Domy bezdomnych

WYDAWNICTWO
UNIwersytetu
ŁÓDZKIEGO

Inga B. Kuźma

Domy bezdomnych

**Badania
sytuacji kryzysowych**

Inga B. Kuźma – Uniwersytet Łódzki, Instytut Etnologii i Antropologii Kulturowej
Zakład Antropologii Kulturowej, 90-236 Łódź, ul. Pomorska 149/153

RECENZENT

Adam Pomieciński

REDAKCJA I KOREKTA

Rafał Gawin

SKŁAD I ŁAMANIE

Tak Studio^o

PROJEKT OKŁADKI

Katarzyna Turkowska

Zdjęcie na okładce książki autorstwa Oskara, lat 10, powstało w ramach warsztatów fotograficznych prowadzonych przez Ewę Żuber od 30 czerwca do 18 lipca 2015 roku. Warsztaty skierowane były do dzieci przebywających w Schronisku dla Kobiet i Dzieci Towarzystwa Pomocy im. św. Brata Alberta w Łodzi. Warsztaty odbyły się w ramach programu Animacji Społecznej w projekcie pn. „Opracowanie modelu prowadzenia rewitalizacji obszarów miejskich na wybranym obszarze w Mieście Łodzi”, realizowanego przez OPUS, CAL oraz Stowarzyszenie Społecznie Zaangażowani, współfinansowanego ze środków Unii Europejskiej, Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach Programu Operacyjnego Pomoc Techniczna 2007–2013.

Wydrukowano z gotowych materiałów dostarczonych do Wydawnictwa UŁ

© Copyright by Inga B. Kuźma, 2015

© Copyright for this edition by Uniwersytet Łódzki, Łódź 2015

Wydane przez Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego

Wydanie I. W.07002.15.0.M

Ark. druk. 16,375

ISBN 978-83-7969-800-4

e-ISBN 978-83-7969-801-1

Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego

90-131 Łódź, ul. Lindleya 8

www.wydawnictwo.uni.lodz.pl

e-mail: ksiegarnia@uni.lodz.pl

tel. (42) 665 58 63, faks (42) 665 58 62

1. Wprowadzenie do antropologicznych badań sytuacji trudnych – kryzysowych	7
1.1. Zaplecze teoretyczne badań	7
1.2. Układ pracy	18
2. Dom w naukach o kulturze i społeczeństwie	21
2.1. Fenomenologia domu	24
2.2. Historia domu	33
2.3. <i>Housing studies</i>	37
3. Bezdomność i osoby doświadczające bezdomności	43
3.1. Obraz językowy	43
3.2. Korzenie zjawiska	47
3.3. Życie w bezdomności	67
4. Schroniska i noclegownie	75
4.1. Geneza	75
4.2. Placówki pomocowe w Łodzi	82
4.3. Życie w wybranych placówkach: na pograniczu domowości i odgórnych reguł	89
4.3.1. Instytucjonalne uwarunkowania pracy terenowej	89
4.3.2. Higienizm a reżim porządku i poszukiwanie intymności	92
4.3.3. Panoptyzm w instytucji totalnej	105
4.3.4. Nawyki i imitacje – zamieszkiwanie w instytucjach	113
5. Domowość i bezdomność w doświadczeniu kobiet i mężczyzn	124
5.1. Perspektywa <i>gender</i> w badaniach domu i bezdomności	124
5.2. Opowieści o kolejach losu	129
6. Zakończenie: potrzeba badań – potrzeba zmiany	226
7. Bibliografia	238
8. Summary	261

Nie sędę,
żeby etnologowie mieli dobrze
określoną odpowiedzialność
społeczną. Wierzę, że każdy
powinien decydować za siebie

(Goody 2012: 98)

1. Wprowadzenie do antropologicznych badań sytuacji trudnych – kryzysowych

1.1. Zaplecze teoretyczne badań

Książka jest zarazem opisem problemu kryzysowego (bezdomność), który zaliczam do sytuacji trudnych¹, jak i przyjętego sposobu badania w terenie określanym przeze mnie również jako trudny. Pracowałam bowiem w miejscach o cechach instytucji totalnych (Goffman 2011), tzn. w placówkach udzielających pomocy osobom znajdującym się w bezdomności². Praca powstała z inspiracji antropologią współdziałającą – wpisuje się w koncepcję nauki zaangażowanej i działającej. Opisuję w niej pewien problem badawczy, który odnoszę zarówno do celów czysto naukowych, jak i pozanaukowych. Podejmuję bowiem polemikę z koncepcją społeczną, która dotyczy tzw. wykluczonych. Interpretacje, które proponuję, spełniają funkcję diagnostyczną. Nie ukrywam swojego stosunku krytycznego do badanej sytuacji, opisując przy tym założenia kulturowe, które za nią stoją. Przyjęte przeze mnie podejście wpisuje się w polityczność, definiowaną przez Monikę Baer jako

świadomość wagi krytycznego wglądu w specyficzne wartości, cele, strategie, usytuowania czy relacje władzy, które kształtują rzeczywistości społeczno-kulturowe, również te dotyczące samej antropologii (Baer 2014: 8),

dodając, że polityczność

obejmuje złożone i zmienne związki polityki, aktywizmu, zaangażowania, moralności, etyki czy ideologii [...], osadzone w idei refleksyjności [...] [jako] ćwiczenia z myśli, gdzie akt myślenia sam siebie czyni obiektem myśli (ibidem).

1 Rozumiem pod tym określeniem, po pierwsze, „pola minowe”, tematy tabu, kwestie drażliwe. Stanowią wyzwanie i czasami prowokują do dokonania naukowej i ludzkiej transgresji, która może dotyczyć procedur i metodologii oraz w jakimś stopniu także samego badacza (Kuźma 2013a: 8–9). Po drugie – i to znaczenie zajmuje mnie tutaj szczególnie – są to sytuacje, w jakich znaleźli się badani oraz teren, który składa się m.in. z tego, co społecznie problematyczne i marginalizowane.

2 Badania w łódzkim środowisku osób doświadczających bezdomności prowadzę od 2009 r. Jako teren wybrałam schroniska, noclegownie i inne centra pomocy (także o charakterze mieszkań wspieranych, istniejących na terenie gminy). Są one zarządzane przez różne instytucje – państwowe, stowarzyszenia i fundacje. Materiały, które prezentuję w książce, stanowią jedynie fragment kompleksowych i wieloletnich badań, które toczą się nadal i ewoluują (m.in. – w pewnych zakresie moich działań – w stronę coraz czystszych praktyk z zakresu antropologii współdziałającej i action research). Dane, jakie przedstawiam i interpretuję w niniejszej pracy, pochodzą tylko z kilku wybranych miejsc.

Dla mojego sposobu pracy ważna była i jest nadal perspektywa, gdy „jednocześnie robimy, badamy, używamy, czytamy, piszemy” (Baer, *op. cit.*: 153), tzn. gdy wykonywane są badania/działania (Reason, Torbert 2010). Największy nacisk kładę na „robienie” i „używanie”, przyglądając się, na ile Baerowski „obiekt myśli” – jako efekt „aktu myślenia”, przekłada się na postawy, słowa i działania badanego i badacza w konkretnej sytuacji. W przypadku moich badań, jest to sytuacja obarczona silnymi stereotypami na temat biedy, bezdomności i płci kulturowych.

Moje podejście wpisuje się do „antropologii problemowej” (Kaniowska 2013: 13–16)³, czyli do jednej z wielu odmian wiedzy i praktyki antropologicznej. Nie mamy już bowiem do czynienia z jedną antropologią, ale z ich wielością i różnorodnością, w tym metodologiczną i etyczną.

Temat, jakim się zajęłam, czyli znaczenie domu w bezdomności na terenie placówek specjalistycznych, jest zagadnieniem wymagającym, moim zdaniem, podejścia transdyscyplinarnego. Powodem jest charakter bezdomności oraz domu. „Bezdomność” należy do tzw. „bad abstraction” lub „chaotic conception” (Sayer 1992: 138). Patrick Declerck zauważył, że wielu badaczy (w tym przywoływał nazwiska Emila Durkheima i Marcela Maussa)

prześlizgnęło obok [...] prowokowanych przez nią pytań. Tak jakby było to zjawisko niegodne badań naukowych. Nieczyste, bo jak tu uprawiać naukę na podstawie czegoś, co nie istnieje w ogóle albo istnieje szczątkowo? Co można powiedzieć o epistemologicznym statusie etnografii nieładu, chaosu, nicości? Tym bardziej, że kloszardzi nie stanowią akurat społeczności łatwej do zdefiniowania. [...] Społeczności niestabilnych, [...] milczących albo obrzucających się delirycznymi wyzwiskami (Declerck 2004: 13–14).

„Bezdomność” to taka sfera życia, która traktowana jest potocznie jako „problem” i opatrzona różnymi uprzedzeniami. Tego typu zaplecze kulturowo-społeczne odciskuje piętno na języku naukowym, w tym na języku krytycznym wobec stereotypizacji „obiekta badań”. Tworząc ujęcia i definicje „bezdomności”, należy zatem pamiętać, że jest ona złożona, czyli skomplikowana, ponieważ w jej zakres wchodzi wiele powodów i czynników, które są niezależne od siebie i mają odmienne właściwości. Jest kompleksowa, tzn. funkcjonuje jako pewien układ powiązań pomiędzy owymi czynnikami (Fitzpatrick 2005: 11). „Dom” to równie pojemne pojęcie, zmienne historycznie i kulturowo, którym zajmowały się różne nauki i jest ono silnie nacechowane emocjonalnie, w tym w zachodniej kulturze naukowej, co odbijają definicje i sposoby badania zagadnienia „domu” i jego zamieszkiwania.

3 Tak rozumiana nauka powinna jednak wystrzegać się „detalizacji i fragmentaryzacji pola naukowego, produkującego (najczęściej nudną) wiedzę bez znaczenia i pseudoproblemy” (Janiak 2012: 213, za: Grabowski 1998).

Poprzez podejście transdyscyplinarne, rozumiem ramę koncepcyjno-interpretacyjną zbudowaną z różnych perspektyw naukowych i pozanaukowych, lecz ramę tę buduję wychodząc z perspektywy i doświadczeń dla mnie źródłowych, czyli etnologicznych/antropologicznych. To one wytyczać będą mój horyzont poznawczy. Jednak dzięki wbudowywaniu w podejście etnologiczne innych conceptów, mogłam zajmować się wybranym zagadnieniem na tyle szeroko, aby rozszcześcić swoje spojrzenie, objąć nim interesujący mnie wycinek rzeczywistości kulturowo-społecznej, cechujący się wielką złożonością. Właśnie ta cecha – charakterystyczna dla terenu badań oraz bezdomności i domu – spowodowała, że wybrałam transdyscyplinarność, a nie interdyscyplinarność.

Trans-, inaczej niż interdyscyplinarność, interesuje się tym, co „jest zarazem między dyscyplinami, poprzez rozmaite dyscypliny i jednocześnie poza każdą z nich” (Zeidler-Janiszewska 2006: 11, za: Domańska 2011: 55). Innymi słowy

w przeciwieństwie do interdyscyplinarności, która nie przekształca pola badawczego włączonych w nią dyscyplin, transdyscyplinarność stawia problemy, które nie są możliwe do rozwiązania w obrębie żadnej z dyscyplin i prowadzi do ukonstytuowania nowego pola badawczego. Badania pomyślane jako transdyscyplinarne niejednokrotnie nie charakteryzują jakiegś konkretnej nowej dziedziny, lecz uzależnione są od podjętych problemów (Domańska 2011: 56).

Wchodząc w teren, gdzie bezdomność poddawana jest praktykom naprawczym i rozmaitym rygorom (jak dzieje się w placówkach pomocy), nie zatrzymywałam się tylko na zreferowaniu doświadczeń jednostkowych osób doznających bezdomności. Prowadziły mnie one dalej, ku tzw. ukrytemu programowi⁴ (*hidden curriculum*). Stoi on za organizacją placówek, czyli założeniami pomocowymi, a zatem za wyobrażeniem, czym jest bezdomność, jak jej „oduczać” i z niej „wyprowadzać” oraz jak włączać osoby jej doświadczające do *mainstreamu*.

Z tego powodu nie wymieniam nazw instytucji, nie podaję, gdzie są zlokalizowane ani komu podlegają, nie opisuję też detalicznie ich wewnętrznych regulaminów. Ujawniając te dane, mogłabym wywołać wrażenie, że oskarżam osoby, które w nich pracują i nimi zarządzają. Lecz zarówno pracownicy, jak i korzystający z opieki społecznej oraz niezaangażowani bezpośrednio w te sfery inni członkowie społeczeństwa, wszyscy działamy w ramach szerszej koncepcji społecznej, która wytwarza obecnie istniejącą ideologię pomocy. Kształtuje ona polskie ustawodawstwo, sektor

4 Ukryty program pierwotnie związany był z badaniami szkolnictwa i zadawał pytania o rolę, jaką odgrywa system szkolny i edukacyjny w socjalizacji. Badaczy interesowało nie tylko to, co jest przekazywane, ale komu, przez kogo i w jaki sposób, z jakich założeń wynika kształt wiedzy, jej forma, cele i style komunikowania się; zob. Jackson 1968 (badacz ten wprowadził pojęcie *hidden curriculum*) oraz Giroux, Puppel 1983 (rozwijali krytyczny nurt w pedagogice); Janowski 1995 (najpewniej był on pierwszym na gruncie polskim, który wprowadził termin *hidden curriculum* do literatury i badań pedagogicznych). Zagadnieniem *hidden curriculum*, rozumianym także w szerszym sensie, zajmowali się m.in. Paulo Friere, Ivan Illich i bella hooks.

socjalny oraz potoczne nastawienie wobec tzw. wykluczonych. *Homo sacer* jest nadal traktowany ambiwalentnie, „z mieszaniną strachu i odrazy z jednej strony oraz żalu i współczucia – z drugiej” (Bauman 2006: 189). Wobec tego typu jednostek i grup, żyjących w otoczeniu „kultury konsumpcji i sukcesu indywidualnego”, dominują postawy „pogardy, poczucia obcości i odrzucenia” (Tarkowska 2012: 122).

Próbuje się też przeprowadzić zmiany w obrębie samej organizacji pomocy społecznej i podejmują się tego osoby zajmujące w niej stanowiska eksperckie. Najnowsza tendencja naprawcza, wypływająca z tego środowiska, dąży do opracowania rekomendacji, czyli zalecanych praktyk, prowadzących do standaryzacji pomocy. Celem jest łatwiejsze mierzenie efektywności wsparcia. Ten proponowany ostatnio dyskurs operuje głównie terminami „usługi” i „klient” (zob. Stenka, Olech, Browarczy 2014).

Dzięki włączeniu do swojej pracy pewnych elementów zaliczanych do antropologii współpracującej, starałam się uwypuklać aspekt współpracy i partnerstwa, stanowiący według tego ujęcia sedno kontaktu badawczego (Fluehr-Lobban 2013: 8; zob. też Rappaport 2013). Inną przyczyną, która stanęła za wyborem współdziałania (co oznacza nie tylko określone techniki badawcze, lecz także zaplecze ideowe), jest chęć dokonania aktu emancypacji. Agata Skórzyńska dostrzegła ją także u niektórych naukowców (Skórzyńska 2013). Emancypację można wówczas rozumieć jako przekroczenie ram nakreślanych przez instytucjonalny system wiedzy „wertikalnej”, tj. „hierarchicznej”, w celu skierowania się ku wiedzy „horyzontalnej”, która opiera się na wymianie doświadczeń różnych podmiotów społecznych i korzysta z takiego narzędzia, jakim jest partycypacja (Skórzyńska 2013: 110). Z tego też powodu po- byty badawcze w terenie łączyłam z działaniami wolontariackim. Obejmowały one lokatorów placówek i personel, z którym współpracowałam czasami ściślej, czasami mniej ściśle. Prowadziłam np. autorskie warsztaty o charakterze edukacyjnym, do których wykorzystywałam wiedzę z zakresu antropologii kulturowej⁵. Współdziałałam przy tym z tamtejszymi specjalistami, zajmującymi się programami wychodzenia z nałogów i doradztwem zawodowym, udzielającymi pomocy psychologicznej itd. Moje propozycje nie miały jednak charakteru *stricte* terapeutycznego, ponieważ nie posiadam takich uprawnień. Rozszerzałam ofertę istniejącą w ośrodkach, które okazały się otwarte na moje działania i obecność. Spotkania często odbywałam przy współudziale terapeutów. Omawialiśmy temat, formę zajęć itp. Dyskusje te odkrywały wiele z podłoża działań wdrażanych w ramach terapii i pomocy świadczonej w instytucjach. Drugą grupą, która *ex aequo* decydowała o tematyce, celu i przebiegu

5 Moja metoda edukacyjno-aktywizująca ma cechy działania emancypacyjnego i należy do podejścia, jakie charakteryzuje badaczy, którzy „kładą nacisk na rozwijanie psychodynamicznego podejścia do niedefensywnych postaw, zdolności do bardziej otwartego stawiania czoła władzy oraz uczenia się, jak pracować w grupach. [...] zakładają, że zdrowsze i bardziej skuteczne jednostki wspólnie są w stanie doprowadzić do zmian we własnym środowisku, a w ostatecznym rozrachunku także w społeczeństwie” (Greenwood 2012: 130).

naszych spotkań, byli lokatorzy i lokatorki placówek – uwzględniałam ich potrzeby i zainteresowania.

Zajęcia oparte były wyłącznie na rozmowie. Jest ona jedną z ważniejszych form działania w ramach antropologii współdziałającej (por. Fluehr-Loban 2013, Rappaport 2013). Może przebiegać jako swobodna deliberacja lub celowa dyskusja, której celem jest dojście do konsensusu bądź kompromisu w jakiejś sprawie. Może w niej chodzić o ustalenie stanowiska lub podzielenie się własnym zdaniem, przedstawienie swoich doświadczeń i wymianę wiedzy (od życiowej po ekspercką).

Spotkania, na których się rozmawia, są działaniami, ponieważ stwarzają możliwość wypowiedzenia się i określenia własnego stanowiska. Polegają na określeniu własnego miejsca, z którego ktoś zabiera głos (zob. Haraway 2008). Oznacza to, że w określony sposób postrzega świat, interpretuje go i działa w nim. Rozmowa – w kontekście placówek udzielających pomocy – może stać się praktyką do pewnego stopnia wyzwolającą, co jest szczególnie istotne dla współpracy z osobami znajdującymi się po stronie wykluczonych i *underclass*⁶.

Jedną z takich rozmów przeprowadziłam z „Dominiką” – osiemnastoletnią wówczas mieszkanką schroniska dla kobiet. To ona jest autorką kluczowego pojęcia przyjętego przeze mnie, które pozwala zrozumieć, co znaczy mieszkać na terenie placówek i czym jest „dom”. Postawiła też inny problem, który stał się krytyczną osią książki.

A zatem, po pierwsze, posłużyła się wyrażeniem „imitacja domu”, które przyjęłam i posługuję się nim w pracy wraz z całym kontekstem, w jakim go użyła. Opisywała przy jego pomocy zasady zamieszkiwania obowiązujące w ośrodku. Wyrażenie to stało się dla mnie podstawową kategorią, wyjaśniającą „domowość” istniejącą w placówkach oraz objaśniającą sens ideologii, jaka ukrywa się za systemem pomocy, który tam panuje. Dodatkowym źródłem inspiracji dla interpretacji miejsc schroniskowych jako imitacji domu była też koncepcja „niedomu” autorstwa Magdaleny Łukasik i Marcina Jewdokimowa (2012).

Po drugie, „Dominika” stwierdziła, że społeczeństwo nie jest dostosowane do osób doznających bezdomności. Pomimo że to ono wymaga określonych zachowań od takich jednostek, oczekiwania nie są skutecznie wdrażane, integracja w wielu przypadkach nie zachodzi, a tak pomyślana pomoc jest nieskuteczna.

Podniosła tym samym kwestię odpowiedzialności kultury dominującej, która – według niej – nie przystaje do własnych wykluczonych. Na ile zatem kultura *mainstreamu* mogłaby się zmienić przy okazji pracy nad zmianą wykluczonych, aby ich inkorporować? A to stanowi cel współcześnie panującego systemu pomocy.

6 Inne podejmowane przeze mnie działania, nawiązywały do *participatory action research* (Greenwood 2012: 116, 199), szczególnie gdy tematyka dotyczyła kulturowej problematyki kobiet i ich adresatkami były kobiety.

Moja rozmówczyni zaproponowała, jak pokonać ów brak dostosowania. Stwierdziła, że powinien być wprowadzony przymus wobec pewnych osób korzystających z pomocy, by wdrożyć je w proces zmiany siebie i swojego życia. Szczególnie chodziło jej o takie mieszkanki schroniska, które – jej zdaniem – były zadowolone z sytuacji, w jakiej żyły, chętnie sięgały po oferowane im środki, niczego w sobie nie zmieniając i nie ucząc się na własnych błędach (użyła tu popularnego terminu „roszczeniowe”). Oparła się na kilkuletniej obserwacji życia różnych lokatorek. Nie akceptowała postawy niektórych osób. Nie chciała być taka jak one i zadowalać się wsparciem. Sądziła, że system jest zbyt łagodny i nie zmusza do pracy nad sobą. Stąd pojawił się jej pomysł, aby zastosować metody represyjne, ponieważ dotychczasowe nie zmobilizowały wielu osób do wysiłku.

Problem, jaki „Dominika” poruszyła, jest bardzo ważny, ale jej propozycja wywołała mój sprzeciw, ponieważ to, co dostrzegłam w sposobie funkcjonowania placówek na poziomie ich *hidden curriculum*, związane jest z rygoryzmem. Ma on miejsce na poziomie ledwo zauważalnym, tzn. przemocy symbolicznej, a nie represji fizycznych. Polega przede wszystkim na wzbudzaniu poczucia wstydu i winy u osób objętych pomocą, myśląc te postawy z wzięciem odpowiedzialności za siebie. Pracownicy badanych miejsc są jednak zakładnikami owego podejścia. Pracują w ramach systemu, który w imię likwidacji problemu dokonuje selekcji i segregacji biednych na poszczególne odmiany w celu lepszego dostosowania środków pomocowych. Oprócz tego, w pracy socjalnej obowiązuje parametryzacja działań, co sprzyja wtórnej wiktymizacji. System ten nie nadąża za zmianą realiów ekonomicznych i społecznych, odzwierciedla zaś niski poziom zaufania i solidarności społecznej.

Pracownicy są przy tym zaangażowani i współczujący, lecz takie ich nastawienie oraz próby „ucławiaczenia” systemu w ramach poszczególnych organizacji i instytucji łagodzą tylko skutki ogólnych reguł na małą skalę i doraźnie.

Pytania „Dominiki”: jak reszta społeczeństwa radzi sobie z „wykluczonymi”? czy jest gotowa na ich włączenie? czy jest władna, by sama się dostosować? – wpłynęły na obrany przeze mnie kierunek refleksji. Odrzuciłam jednak punkt widzenia „Dominiki”, jeśli chodzi o naprawę systemu. To, co wskazuje jako powód nieskuteczności, moim zdaniem stanowi przyczynę powstawania koncepcji wsparcia systemu (nie tylko ustawowych – akty prawne są bowiem odbiciem ogólniejszego społecznego nastawienia).

Książka jest studium przypadku wybranego problemu w rozszerzonym sensie. Zdecydowałam się przyjąć taki sposób podejścia badawczego z trzech podstawowych powodów⁷: 1. Ważny był dla mnie opis kontekstu, który określał interesujący mnie problem (bezdumność i system pomocy) – jest on mi współczesny i mam z nim do czy-

7 O warunkach, jakie powinna spełniać sytuacja badawcza, by wejść na drogę studium przypadku, więcej zob. np. Patron, Appelbaum 2003.

nienia na różne sposoby (badania/działania); 2. Chciałam ukazać sposoby działania pewnej struktury (instytucje pomocy i objęci nią ludzie); 3. Chciałam opisać efekty pewnej sytuacji (bezdomność i pomoc osobom pozostającym w bezdomności). Jest to sytuacja kompleksowa i wzbudzająca kontrowersje, czasami skrajne oceny, nie daje się łatwo ani zdefiniować, ani tym bardziej rozwiązać.

Problem badawczy jest złożony z dwóch wątków. Po pierwsze, chodziło o odsłonięcie stosunku do domu i zamieszkiwania, jaki wrażały osoby znajdujące się w bezdomności, przebywające w specjalistycznych placówkach pomocy; określenie, czym był dla nich dom i jakie mu przypisywały znaczenia oraz sensy. W tym, czy i jak „dom” rzutował na ogląd sytuacji, w której się znalazły. Po drugie, interesowało mnie, w jaki sposób dokonuje się kulturowa projekcja i społeczny trening do bycia „pełnoprawnym” członkiem grupy, gdzie „poligonem” jest wyobrażenie domu i umiejętności związane z zamieszkiwaniem. Oznacza to, że odpowiednie praktyki zamieszkiwania wykonywane w odpowiedni sposób – czego wymaga się w placówkach od pensjonariuszy – stają się synonimem samodzielności i przejawem ich zdrowia społecznego.

Jak wspominałam, bezdomność to sytuacja trudna, a osoby jej doświadczające znajdują się w stanie kryzysu (od osobistego po społeczny; zob. np. *Informacja dotycząca problematyki bezdomności...* 2013).

Termin „kryzys” odnosi się do doświadczeń granicznych i im pokrewnych. Oznacza przeszkody, załamania, choroby, napięcia itp., które mogą dotyczyć poszczególnych osób oraz większych grup. Mogą to być konflikty wewnętrzne, tzn. odnoszące się do czyjegoś stanu emocjonalnego, jak i problemy, z którymi boryka się społeczność na polu ekonomicznym, politycznym i innym. Kryzys może więc odnosić się też do życia w specjalnym miejscu o profilu (socio)terapeutycznym, jak schroniska i noclegownie.

Termin „kryzys” został użyty najpewniej najwcześniej przez Erika Eriksona (2004) na kanwie badań dynamiki ludzkiej egzystencji i procesów, jakim podlega biografia. Posłużył się nim, opisując teorię rozwoju psychospołecznego. Ujmował rozwój jako cykl następujących po sobie konfliktów i sposobów radzenia sobie z nimi.

„Kryzys” nie musi być rozpatrywany wyłącznie w sensie negatywnym, choć zazwyczaj wiąże się z utratą kontroli nad sytuacją i brakiem pomysłu, jak temu zaradzić. Zmiana dotychczasowego stanu przekłada się na przełom życiowy, który czasami prowadzi do poprawy sytuacji.

Nie istnieją stałe i sprawdzalne scenariusze, pozwalające przetrwać taki moment. Wyróżnić jednak można pewne fazy. Pierwszą z nich jest zaprzeczenie wydarzeniom, które z reguły są nieoczekiwane. W kolejnej fazie zachodzi ocena sytuacji, czyli rozpoczyna się proces radzenia sobie. Wówczas następuje ocena zasobów, możliwości i środków, jakimi dysponuje grupa/osoba. Prowadzi to do fazy trzeciej, która polega na podjęciu decyzji, co można zrobić. Wtedy ujawnia się odporność lub jej brak w ob-

liczu wyzwań (Skłodowski 2010: 12–13). Wejście w kryzys może też uświadamiać nieprzystawalność dotychczasowych doświadczeń życiowych do nowych okoliczności i wymagań, co dezorientuje i wymaga reorganizacji życia. Zanim rozpocznie się proces podejmowania decyzji, osoba lub grupa może czuć się jak „w zawieszeniu”. Nielicznymi dostępnymi wówczas uczuciami, są: niemożność, niedorzeczność i bezsensowność (Sacuk 2010: 63).

Podczas pracy nad publikacją ważną kwestią stało się dla mnie, jak pisać/mówić o osobach objętych badaniami oraz moimi partnerami. Piszę o nich, jak o dotkniętych bezdomnością, doświadczających czyli doznających bezdomności, żyjących w stanie kryzysie i w sytuacji bezdomności. Unikam określeń „bezdomni” i „bezdomne”, choć sformułowania te pojawiały się w moich wcześniejszych publikacjach. Opisowy (i zarazem rozbudowany) sposób mówienia odzwierciedla jednak sprawiedliwszy stosunek do bardzo zróżnicowanego grona, jakie przechodzi ten typ wykluczenia.

Sposób mówienia, który kładzie nacisk na to, że bezdomność jest doświadczeniem i kryzysem, przeszedł przemianę analogiczną do dyskursu o osobach z niepełnosprawnościami. W ich przypadku wcześniej zwrócono uwagę na efekt przełamywania stereotypów poprzez zmianę sposobu nazywania. Miała ona dowodzić, że żadna dysfunkcja czy brak w jakimś zakresie nie powinny determinować, zwłaszcza deprecjonująco, niczyjej (samo)identyfikacji i miejsca w społeczności. Podważono tym samym ukryte przekonanie, że (samo)identyfikacja ma być oparta na cechach wskazanych przez *mainstream*. W ten sposób dochodzi do „totalizacji” danej osoby z arbitralnego względu⁸.

Posługiwanie się nazwami, które wskazują na złożoność cech oraz ich fragmentaryczność, otwiera więcej możliwości, w tym danej osobie, by potrafiła określić, kim jest, jaki/jaka jest i dlaczego. Taki opis wskazuje na jedną z wielu odsłon czyichś właściwości, lecz nie powinna być ona traktowana jako przesądzająca. Podnosił to m.in. Leszek Karczewski:

W tekście konsekwentnie będę stosował frazę „osoba z niepełnosprawnościami” w opozycji do pojęcia „osoby niepełnosprawnej”, która stanowi wartościującą kategorię totalną i sprowadza osobę do niepełno-osoby [podkr. – I.B.K.]. Zdaję sobie sprawę, że to kalka z praktyki anglosaskiej. W brytyjskiej angielszczyźnie funkcjonują dwa określenia, które ukazują społeczną wrażliwość

8 Związane to było ze zmianą definicji niepełnosprawności: w 2000 r. WHO przedstawiła nowe jej ujęcie biopsychospołeczne. Jest to koncepcja holistyczna, gdzie niepełnosprawność jest „odchyleniem od normalnego funkcjonowania” na poziomie bio, psycho i społecznym (Palak, Bujnowska, Pawlak 2010: 7). Stopnie odchylenia mogą być oczywiście różne i nie dotyczyć wszystkich, ale wybranych poziomów i ich kombinacji. Ważne są także czynniki kontekstowe, czyli „środowisko i cechy indywidualne, które mogą ułatwiać, utrudniać lub ograniczać funkcjonowanie osoby z niepełnosprawnością” (eadem, *op. cit.*: 7–8).

wypracowaną przez wyspiarską kulturę niepełnosprawności: termin *disabled* („niepełnosprawny”) jest znakiem opresji kulturowej „normalności” [...]. W Stanach Zjednoczonych w myśl zasady *people first, disability second* („najpierw człowiek, potem niepełnosprawność”) mówi się: *people with disabilities*, z reguły z konkretnymi niepełnosprawnościami (Karczewski 2013: 203).

Na decyzję o wprowadzeniu w tekście takiego typu pojęć wpłynęła dyskusja z kilkoma bohaterami książki oraz opiekunami pracującymi w placówkach. Spotkał się, gdy byłam na pierwszym etapie pisania książki, aby porozmawiać o idei mojego opracowania i wnioskach, do jakich doszłam. Wywiązał się wówczas między nami spór, który dotyczył tego, jak stereotypy na temat bezdomności są utrwalane w języku. Niektórzy dotknięci bezdomnością, jak i część opiekunów, sprzeciwiali się sformułowaniom opisowym. Jeden z lokatorów stwierdził, że „fakt jest faktem, czyli gdy ktoś jest bezdomny, nie ma co się tego wstydzić i chować, a mówić o tym wprost”. Inni byli za „nowym” sposobem mówienia, w tym i ja, co przełożyło się na wybór dyskursu opisowego.

To, że nie zgodziłam się z niektórymi badanymi, nie umniejsza jednak wagi ich opinii ani idei współdziałania. Przyjęłam bowiem, że wysłuchując, co mają do powiedzenia osoby najbardziej zainteresowane problemem (ale nie wszystkie, ani ich przedstawiciele, tylko pewne jednostki), mogę pozostać przy swoim zdaniu i nie dostosować się do ich sądów, jeśli coś wywołuje mój sprzeciw. Jestem zwolenniczką takiego rodzaju rozmowy konstruującej badania/działania, aby w jej rezultacie można było „podejmować decyzje w stosownym czasie [...], od czasu do czasu zreformować samego siebie albo rozmowę” (Reason, Torbert 2010: 128), co nie oznacza dostosowania i wyzbycia się własnego zdania. To tekst badawczy, w ujęciu Reasona i Torberta, jest formą, jaka poprzez swoją warstwę rizomatyczną ukazuje wielogłosowość, w tym głosy sprzeczne (ibidem: 149)⁹, które rozumiem jako nietracące na swojej autonomii.

Zdecydowałam się więc dokonać podobnego zabiegu jak ci, którzy piszą o osobach z niepełnosprawnościami. Dzięki utrwaleniu w piśmie będzie on służył zmianie, czyli ją reprodukował. Chodzi o zmianę sytuacji w kontekście wykluczenia poprzez zmianę zachowań językowych utrwalonych w głównym nurcie. Praktykom językowym podlegają wszyscy, także odsuwani przez *mainstream* i dokonujący samowykluczenia, czego dowodzi, moim zdaniem, zacytowany przeze mnie lokator.

Konstrukcja słowa „bezdomność” odnosi się do sensu domu. Rozumiem pod tym pojęciem miejsce, które się zamieszkuje. Oznacza to, że tworzą je pewne zachowania zachodzące w przestrzeni, które angażują rzeczy i osoby. „Dom” powstaje w rezultacie

9 Część pierwsza książki oraz podrozdział 5.2. części piątej są tekstami cechującymi się typową konstrukcją oraz trafnością na poziomie rizomatycznym. Zaś podrozdział 4.3.1., który wchodzi w skład części czwartej pt. „Schroniska i noclegownie”, według klasyfikacji Reasona i Norberta odzwierciedla typ pierwszoosobowy badań/działań (ibidem).

określonych postaw i dzięki wykonywaniu pewnych czynności. Jest to miejsce cechujące się „domowością”. Tworzy ją prywatność bez niechcianych świadków, gdy można zamknąć się przed innymi. Na tym polega bycie u siebie i jest ono sednem domu oraz mieszkania w domu. Wskazywały na to praktyki zamieszkiwania, jakie obserwowałam w terenie, oraz wypowiedzi badanych.

„Dom” to też miejsce odczuwania określonych emocji. Najbardziej charakterystyczną z nich jest poczucie bezpieczeństwa i intymności, co przekłada się na „poczucie zadowolenia z przebywania [w domu/mieszkanii – I.B.K.] oraz wytchnienie od zmiennego świata za progiem” (Jewdokimow 2007: 126).

Doświadczenie domu i praktykowanie zamieszkiwania przez lokatorów i lokatorki badanych placówek wpisują się w interesujące mnie sposoby radzenia sobie¹⁰, w tym emancypowania się. Rozumiem je jako uzyskiwanie statusu podmiotu, co przekłada się na sprawczość. Zadawałam pytanie, czy i jak jest możliwe nauczanie się tego bądź odzyskanie takiego statusu, gdy ktoś przebywa w miejscach o cechach instytucji totalnych. Wymaga się tam od niego/niej podporządkowania regułom i rozlicza „ze stawiania na nogi”, tzn. z tego, jak przebiega usamodzielnianie się. To zaś oznacza nie tylko zaprzestanie korzystania z systemu pomocy, ale i zrywanie (jak z nałogiem) czy leczenie się (jak z choroby) z bezdomności

10 „Radzenie sobie” wywodzi się z psychologicznych koncepcji stresu. Jest rodzajem „aktywności ukierunkowanej na odzyskanie równowagi pomiędzy wymaganiami i możliwościami oraz na poprawę stanu emocjonalnego” (Heszen-Niejodek 2000: 475). Kategoria ta opisuje celową działalność człowieka, a także zmienność jego wysiłków w obliczu okoliczności, które wymagały podjęcia działania. „Radzenie sobie” to nie tylko odzew na coś obciążającego i wymagającego wysiłku, co wypływa z nieświadomych wewnętrznych dyspozycji, ale też proces oparty na dokonaniu poznawczej oceny sytuacji. Jest ona trudna z różnych przyczyn, jakie psychologia nazywa stresem. Mechanizmy obronne, pomimo że według psychologów są nieświadome, też mogą być zaliczane do „radzenia sobie”. Jest ono zróżnicowane i składają się na nie działania podejmowane po przemyśleniu, wybrane z jakiegoś względu oraz zachowania odruchowe. Ma charakter procesualny, lecz nie przebiega według stałych punktów, a zależy od kontekstu i osoby. Można jednak wyodrębnić kilka typów radzenia sobie. Są to m.in. aktywne podejście, wycofanie się (np. ucieczka w marzenia zamiast podjęcia działań), planowanie, szukanie wsparcia społecznego (by zyskać wiedzę przydatną do zastosowania w strategii zadaniowej czy by uzyskać wsparcie emocjonalne), zaprzeczanie, wyładowanie emocjonalne. Tego typu reakcje wiązały się ściśle z sytuacją stygmatyzowania (Goffman 2005), którym naznaczone są osoby przechodzące bezdomność. Jest to sytuacja, która wymaga od takiej osoby uporania się, co każda czyni według swoich możliwości (zasobów kulturowych, zgodnej z nimi interpretacji doświadczeń i dostępu do zaplecza społecznego). „Radzenie sobie” zostało zaadaptowane też przez badaczy terenowych jakościowych. Byli to np. Lofland i in. (2009: 89–122). Zastosowali je, by przyjrzeć się wybranym sytuacjom i praktykom z badań terenowych. Skoncentrowali się przede wszystkim na aspektach emocjonalnych, które zostały przez nich ujęte jako „wyzwania”. Zaliczyli do nich: przeciążenie informacją, lęk, powody wpływające na decyzję o ujawnieniu się jako badacz bądź pozostawaniu incognito w terenie; zachowanie dystansu albo poddanie się wpływowi badanych, co jest związane z odczuciem odrzy, poczuciem marginalizacji, sympatii, aż po pełne utożsamienie się z badanymi. Do spraw wymagających poradenia sobie przez badacza terenowego włączyli dynamikę kontaktów w terenie i wyjście z niego; również dylematy etyczne i kontakt ze specyficzną kategorią osób, jakimi są wysuwający roszczenia wobec badacza.

i biedy. Rodzajem szkolenia do samodzielności i sprawdzianem z tej umiejętności jest sposób radzenia sobie w placówkach: czy ich lokatorzy i lokatorki wiedzą, czym jest życie zorganizowane, poddane zasadom, polegające na dbaniu o siebie i swoją przestrzeń. Symbolem tych praktyk jest dom. W placówkach ma miejsce kulturowe odwzorowywanie określonego projektu „domowości” i „domności” oraz ćwiczenie się w nich przez korzystających z pomocy. Odtwarzają oni kulturowe projekcje „właściwego” – „domnego” życia, przyjmując i poddając się (choć w różnym stopniu) narzuconym regułom.

Rozumienie sprawczości przyjął za Chrisem Barkerem (2005). Według niego jest to taki rodzaj działań, gdy – po pierwsze – osoby ustanawiają same siebie i nic ich w tym nie ogranicza oraz – po drugie – gdy za działaniami stoją uwarunkowania społeczne. Barker uważał, że sprawczość przejawia się w czynach mających charakter zmiany pragmatycznej. Polega na dokonaniu wyboru pomiędzy opcjami, do których mamy dostęp. Opcje są sposobami postępowania. Skoro na kształt i przebieg działania sprawczego wpływają siły społeczne, a w efekcie owe czyny mają zróżnicowany charakter, niektóre osoby mogą działać na większej liczbie obszarów od innych osób. Pewni ludzie posiadają większą swobodę działania, tzn. mogą dokonywać wyborów i do pewnego stopnia tworzyć samodzielne rozwiązania. Barker wiązał te większe możliwości i swobodę z większymi zasobami kulturowymi pozostającymi do dyspozycji niektórych jednostek (zasoby te, to np. wykształcenie i zasobność). Zdaniem badacza czyny sprawcze są jednak często efektem zbiegów okoliczności. Oznacza to, że jednostka posiada niepełny i niejasny ogląd sytuacji i uwarunkowań (nawet pomimo dużych zasobów, jakimi dysponuje). Wiele z działań sprawczych jest rezultatem nawyków lub usankcjonowanej społecznie rutyny. Tego typu czynniki nie zostawiają miejsca na wybór. Tym, co składa się na sprawstwo, jest także działanie jednostki, które polega na kalkulacjach i szacunkach, jak najlepiej postąpić (Barker 2005: 269–271).

Czym zatem jest dom, co czyni dom, jak powstaje, co jest dla niego niezbędne, jak się go tworzy? Jak zamieszkuje się przestrzeń tymczasową, charakterystyczną dla badanych przeze mnie placówek? Co znaczy w tym kontekście doznawanie bezdomności, skoro w miejscach zorganizowanego, ale doraźnego pobytu, lokatorzy tworzą prywatne mikroazyle na wzór domowości „domnej”? Mogą się w nich schronić mentalnie i emocjonalnie, choć życie w placówkach jest wystawione na spojrzenia innych niemal bez przerwy. Panuje tam Foucaultowski panoptyzm (Foucault 1998b). W instytucjach nie zachodzi sytuacja pełnego odtworzenia domu, czyli jego rekonstrukcja dzięki mieszkaniu „jak w domu”. Praktyki zamieszkiwania w schroniskach wywodzą się jednak z wyobrażenia i doświadczenia „domowości”, jakie noszą moi rozmówcy i jakie są przed nimi stawiane w postaci zasad rządzących placówkami.

Wraz z pogłębianiem się kontaktów z osobami badanymi i dzięki coraz lepszemu poznawaniu sposobów funkcjonowania różnych instytucji, powyższe kwestie stawały się dla mnie

coraz ważniejsze. Na terenie badanych placówek ujawniło się też, co znaczy tzw. uniwersalność¹¹ potrzeby „domu” i mieszkania u siebie.

1.2. Układ pracy

W kolejnych częściach książki zaprezentuję podsumowania, rewizje i rekonstrukcje znaczeń domu i zamieszkiwania w oparciu o literaturę przedmiotu i własne badania terenowe.

Książka liczy łącznie sześć części. W **pierwszym rozdziale**, niniejszym, objaśniam przyjęty przeze mnie sposób badań, opisuję teren i zasadność moich wyborów metodologicznych.

Drugą część, zatytułowaną „**Dom w naukach o kulturze i społeczeństwie**”, poświęciłam przeglądowi najważniejszych stanowisk istniejących w nauce na temat „domu”, zarówno jako pewna idea i metafora, jak i teren badań w sensie etnograficznym.

W **trzeciej części**, noszącej tytuł „**Bezdomność i osoby doświadczające bezdomności**”, starałam się dokonać zarysu zjawiska bezdomności i pokazać, w jaki sposób kształtują się najbardziej charakterystyczne jego ujęcia. Przekłada się to na sposoby pomocy i pracy z osobami, które pozostają w stanie bezdomności, w tym na organizację przestrzeni placówek, które są do nich adresowane. Owe ujęcia, definicje i działania odbijają wiedzę potoczną wpływającą na specjalistyczną. Towarzyszy temu bogata literatura autorstwa licznych teoretyków oraz osób, które poznały bezdomność z autopsji i czasami ujmowały to doświadczenie np. w formie książki (m.in. Łojewska 2006; pomocne mogą być też pozycje autorstwa Orwella 2004, Mastersa 2007 i Declerka 2004).

W **części czwartej** zajęłam się fenomenem „**Schronisk i noclegowni**”. Oparłam się na własnych obserwacjach i ich interpretacjach, by opisać miejsca, które znam z badań: na jakich zasadach są oparte, jaki rodzaj interakcji i sposoby życia związane z domem i „domnością” oraz „domowością” można tam spotkać. W części tej ukazuję sposób badania wynikający z przyjętej perspektywy obserwatora – częściowego *outsidera*. Kluczowym kontekstem, jaki wyłania się z tych materiałów, jest zasada utrzymywania porządku, ładu i higienizmu. To ona stanowi sens „domu” i „domowości”, do których wdrażani są mieszkańcy placówek. Klucza

11 O uniwersalności domu i zamieszkiwania mówiła Anna Zadrożyńska, postulując kiedyś projekt „antropologii schronienia” (Zadrożyńska 1992). Przedmiotem tej antropologii miał być „szczególny rodzaj przestrzeni, jakim jest najszerzej pojęte schronienie” (ibidem: 35). Badania te miały korzystać z materiałów etnograficznych i historycznych o charakterze porównawczym. Źródła ilustrowały pewną cechę uznaną przez Zadrożyńską za uniwersalną, czyli kategoryzowanie jednocześnie czasu, przestrzeni i innych ludzi ze względu na odczuwaną wobec nich bliskość albo dystans (Zadrożyńska 1992: 40). Na tym polega poczucie domu, czyli bycie u siebie. Inaczej mówiąc, polega ono na oddzieleniu się od innych. Badaczka dodawała, że we wszystkich znanych etnologii kulturach pojawiają się konwenanse obowiązujące w momencie wkraczania do domu, co podkreśla zasadę nienaruszalności tej przestrzeni, odczucia prywatności i własności.

interpretacyjnego dostarczyły mi podejścia Goffmanowskie i Foucaultowskie, a zatem koncepcje totalizmu i panoptyzmu.

Część piątą, zatytułowaną „**Domowość i bezdomność w doświadczeniu kobiet i mężczyzn**” także poświęciłam prezentacji materiałów terenowych i ich interpretacji. Poprzedzają je teoretyczne rozważania na temat znaczenia domu i bezdomności, rozpatrywanych w kontekście studiów *gender*. Stanowią wprowadzenie do podrozdziału „**Opowieści o kolejach losu**”, który zawiera rozmowy z badanymi. Są to wybrane opowieści kobiet i mężczyzn na temat ich domów, wliczając w to także zamieszkiwanie w placówkach. Rozmowy miały charakter wywiadów swobodnych pogłębionych. Toczyły się wokół trzech wątków: co znaczy dla badanych dom, w jaki sposób znaleźli się w ośrodku, na czym polega ich życie w placówkach (więcej o samym sposobie badania w kontekście przyjętych założeń metodologicznych i etycznych – we wprowadzeniu do tego podrozdziału).

Domy, które wyłaniają się z opowieści badanych, są miejscami, które bardzo często były punktem startu w bezdomność. Z tego powodu można nazwać moich rozmówców cudzoziemcami we własnym życiu bądź migrantami przez własne życie. Obie postawy wiążą się także z wysiłkiem odbudowania lub tworzenia swojego życia na nowo co jakiś czas. Chodzi przy tym o rekonstrukcję przeszłości w postaci odmiennej interpretacji własnego życia. Celem tego zabiegu jest dokonanie w sobie zmiany, która pozwoli wejść na drogę życia „domnego” i domowego.

Trudno byłoby wytyczyć wspólne podłoże dla owych historii. Wszelkie podobieństwa między nimi należy traktować jako umowne. Poszczególne historie ukazują odrębne światy, choć dysponując szerszym oglądem, można byłoby się pokusić o wskazanie powtarzających się cech. Pomimo to, trudno mówić np. o wspólnej kulturze lub społeczności bezdomnych, jako że zbyt wątle jest ich „pokrewieństwo rodzinne” (zob. np. Zalewska 2009 i Miller 2008).

Z wielu historii wyselekcjonowałam tylko niektóre, ponieważ wybrane doświadczenia dobitniej „obrazują osobiste reakcje” (Zalewska 2009: 61). Uznałam, że „rozważania [...] nad jednostkowym doświadczeniem [pozwalają] [...] na dyskusję nad mechanizmami doświadczenia” sytuacji, potrzeb i emocji (ibidem), charakterystycznych dla stanu bezdomności i życia w placówkach.

Starałam się ukazać indywidualność osób żyjących w bezdomności, choć połączyły ich zbliżone okoliczności, co sprawiło, że znaleźli się w podobnej sytuacji. Po pierwsze, dotknęła ich bezdomność, a po drugie – trafili do określonej placówki (rządzącej się wewnętrznym regulaminem). Aby się od niej dostać, musieli spełnić wybrane kryteria, lecz zasady pomocy zwracają uwagę tylko na wybrane aspekty życia, które decydują o pokierowaniu kogoś do danej instytucji, przyznaniu tego czy innego rodzaju wsparcia. Tym samym traktuje się taką osobę jako reprezentantkę określonej kategorii potrzebującego. Nadaje się jej etykietę, co przekłada się z biegiem czasu na jej autodefinicję. Tylko na tym poziomie ujawnia się wspólny dla badanych mianownik, który przypisuje im system pomocy, „zarządzający” biedą i bezdomnością.

Miejsce nie istnieje
bez mieszkańca,
a zamieszkiwanie możliwe jest
dzięki miejscom

(Buczyńska-Garewicz 2006: 6)

2. Dom w naukach o kulturze i społeczeństwie

Mimo funkcjonującej obecnie koncepcji podmiotowości nomadycznej (Braidotti 2009) i społeczeństwa ryzyka (Beck 2012), które wiążą się z ideą tożsamości postnowoczesnej (Bauman 2008, 2009, 2012, 2013), namysł nad sensem bycia u siebie jest nadal obecny, także w kontekście przemieszczającego się centrum lub jego braku. Słownik naukowy zmienił się i pojawiły się nowe ujęcia. Jednak pytania dotyczące tego, co znaczy być sobą, komu tego przywileju się odmawia, za jaką cenę nim dysponujemy i do czego go wykorzystujemy, związane są w dalszym ciągu – choćby pośrednio – z domem. Czasami „dom” jest rozumiany dosłownie, czasami jako metafora. Zarówno jedno, jak i drugie ujęcie łączy się z poczuciem bycia u siebie, z innymi i na swoich prawach.

Przyjęłam, że „dom” to taki sposób zamieszkiwania, jaki tworzy miejsce, do którego dostęp dzielimy z tymi, którym ufamy, gdzie możemy być sobą i ze sobą (w tym ze sobą samym). „Dom” służy też kultywowaniu prywatności i ochronie przed tym, co niechciane. Wyzwała określone emocje, z reguły pozytywne. Jeśli jednak nie były one odczuwane (jak często we wspomnieniach niektórych doświadczonych bezdomnością, opowiadających o domu – miejscu krzywdy), są powszechnie kojarzone z domem. Zaliczyć do nich można poczucie bezpieczeństwa, brak skrepowania, swobodę, intymność, dobre samopoczucie, odpoczynek, rozluźnienie i odprężenie, bliskość, swojskość oraz autentyczność.

Powstało wiele definicji „domu” i tym samym propozycji, jak go badać. Podejścia te można podzielić według wyróżników, które zaproponowała np. Hazel Easthope (2004) lub Shelley Mallett (2004) (zob. Jewdokimow 2011: 25–30). Easthope zwróciła uwagę, że w literaturze przedmiotu wybijają się trzy podstawowe rodzaje rozumienia „domu”. Pierwsze odnosi się do znaczenia domu jako struktury społeczno-przestrzennej, drugie – do jego całości psycho-przestrzennej, trzecie traktuje dom jako „magazyn emocji”. Pierwsze podejście kojarzy dom z konstrukcją fizyczną, materialną, która spełnia funkcję tzw. gospodarstwa domowego. W ujęciu drugim dom istnieje poprzez odpowiednie nastawienie jednostki, która odczuwa go jako przestrzeń pozwalającą się poczuć bezpiecznie, zatem komfortowo, u siebie. Jewdokimow przypomina tu zdanie innego badacza – J. Dougalsa Porteousa, na którym oparła się Easthope, że taki sens domu jest bliski temu, czym dla zwierząt jest terytorium, tzn. wytycza ich tożsamość, zapewnia bezpieczeństwo i stymuluje (Jewdokimow, *op. cit.*: 25). Tak odczuwany dom jest prefiguracją „raju na ziemi” i ustanawia wyraźną opozycję między sobą jako symbolem swojskości i oswojenia a sferą publiczną – obcą, zmuszającą do innych zachowań.

Podejście trzecie, traktujące dom jako „magazyn emocji”, zwraca uwagę na silnie indywidualną więź i osobiste przeżywanie relacji z miejscem. Easthope przytaczała za Craigiem Gurneyem, że dom jest siedzibą wszelkich możliwych uczuć, w tym negatywnych, np. żaloby, smutku, żalu i poczucia winy. Znajdują one miejsce w przestrzeni domu, w jego konkretnych miejscach i przedmiotach (Jewdokimow 2011: 26). Powstaje emocjonalna, czyli znaczeniowa (ważna dla pamięci, identyfikacji i samo-identyfikacji), „domowa geografia”.

Według Easthope owe trzy podstawowe ujęcia kładą nacisk na niepowtarzalność domu, jego wyjątkowość i fakt, że jest on miejscem ekspresji „ja”. Sprzyja też ucieczce od społeczeństwa i kontroli zewnętrznej. Dzięki takiemu zindywidualizowanemu doświadczeniu domu mamy poczucie, że wiemy, co znaczy „mieszkać” i wiemy, co znaczy „dom”.

Mallett zaś nie tyle sporządza typologię ujęć domu, co wskazuje na pewne tropy i metafory, które przecinają się u różnych badaczy zajmujących się tym zagadnieniem i żaden z owych wątków się nie wyklucza. „Dom” rozumieć można więc jako miejsce lub miejsca, przestrzeń lub przestrzenie, jako symbol „ja”, stan bycia w świecie, niebo, rodzinę, materialność, ale też jako mobilność oraz jako odczucia lub praktyki.

W rodzimej etnologii, jak zaznaczała Irena Bukowska-Floreńska (2001), dom jest tradycyjnym przedmiotem i tematem zainteresowań. Począwszy od zagadnień związanych z budownictwem – szczególnie wiejskim, dawnym, po zdobnictwo, funkcję symboliczną całego domu i poszczególnych miejsc oraz ról przydzielanych jego mieszkańcom. Bukowską-Floreńską interesowało jednak najbardziej, w jaki sposób dom staje się przestrzenią kulturową, tzn. jak „wpływa na cechy kulturowe szerszej społeczności i zarazem jest odbiciem warunków, potrzeb, sposobu i stylu życia tej społeczności” (ibidem: 67).

Śledząc poświęconą temu problemowi literaturę, proponuję wyróżnić trzy podstawowe ujęcia. W niniejszym rozdziale przedstawię więc najważniejsze stanowiska, charakterystyczne dla owych trzech głównych nurtów myślenia i badania domu. Zarysuję je, akcentując perspektywę najbardziej mnie interesującą, czyli otwartości domu na działania, na stawanie się domem oraz stawanie się sobą przez ludzi, którzy praktykują zamieszkiwanie.

Pierwszy nurt należy do klasycznego i najlepiej znanego na gruncie etnologii polskiej podejścia fenomenologicznego, inspirującego też do uprawiania hermeneutyki domu – przestrzeni – miejsca. Najważniejszymi przedstawicielami tego ujęcia są Martin Heidegger (1977) i Gaston Bachelard (1957, 1975), których idee omówiła krytycznie Hanna Buczyńska-Garewicz (2006) i głównie jej podejście zostanie przeze mnie zaprezentowane.

Wybitnym przykładem badań etnologicznych w oparciu o perspektywę Heideggerowską i Gadamerowską jest *Dom w tradycji ludowej* Danuty i Zbigniewa Benedyk-

towiczów (1992). Dzięki zastosowanej interpretacji wydobyli metafizykę domu i jego ontologię. Chcieli bowiem odejść od prezentowania domu od strony materialnej. Praca ta powstała jednak na długo przed współczesnym *material turn*, który – jak będzie to widać szczególnie w innych ujęciach, zwłaszcza z zakresu *housing studies* – jest bardzo ważny dla współczesnym rozumieniu domu oraz ma wpływ na aspekt sprawczości (istotny dla praktyk zamieszkiwania).

Warto wspomnieć, że pewnym wariantem ujęcia fenomenologiczno-hermeneutycznego, gdzie ważne jest docieranie do istoty i zasady wewnętrznej domu, byłaby także propozycja Pierre'a Bourdieu. Pokazał on w jednym ze szkiców o domu berberyjskim, że można wejść na poziom metafizyki i ontologii domostwa poprzez badanie struktur głębokich, odpowiadających mitowi, stojących u podłoża danego społeczeństwa. Wówczas rozbiór idei domu należy traktować jako rekonstrukcję głębokich zasad kultury. Dom posiada bowiem w owej strukturze najczęściej centralny status, ponieważ jest traktowany jako homologia kosmosu (Bourdieu 2007).

Bourdieu zaznaczał jednak, że usytuowanie domu zarówno w wymiernej przestrzeni fizycznej, jak i przestrzeni kulturowej, jest wypadkową „konieczności natury symbolicznej czy społecznej z koniecznością techniczną” (Bourdieu, *op. cit.*: 61).

Drugie podejście traktuje dom przede wszystkim jako element kultury materialnej. „Dom” to konstrukcja i rodzaj przedmiotów oraz działań, które toczą się wokół tych zasobów. Ujęcie materialno-historyczne reprezentuje opracowanie autorstwa Witolda Rybczyńskiego (1996), to nadal jedna z ważniejszych syntez historii idei domu w kulturze europejskiej.

Badania z tego nurtu skupiają się na funkcjach domu i przemianach, jakim podlegała jego tkanka materialna i obyczaje związane z zamieszkiwaniem. W perspektywie tej mieszczą się także prace skoncentrowane na tak szczególnych zadaniach domu, jak pielęgnowanie prywatności i intymności, które rodziły się wraz z przemianami codzienności (zob. np. Bieńko 2013 i cykl *Historia życia prywatnego*, szczególnie Prost 2000; Body-Gendrot, Orfali 2000; Charter 2005; Corbain 2006; Perrot, Guerrand 2006; Perrot, Hunt, Hall 2006; także Tuan 1987). W tym nurcie plasują się m.in. badania Tima Danta (2007) i propozycje Tima Edensora (2004).

Trzecie ujęcie reprezentuje subdyscyplina zwana *housing studies*. Stara się ona łączyć, ale i rozszerzać, dwie wcześniejsze perspektywy, które się jednak nie wykluczają. *Housing studies* to badania interdyscyplinarne, które jednoczą spojrzenie funkcjonalno-materialno-historyczne z symboliczno-fenomenologiczno-hermeneutycznym, włączając elementy badań zaangażowanych i krytycznych. Badacze kwestii mieszkaniowych interesują się m.in. zasadami dotyczącymi budownictwa w poszczególnych krajach i kulturach, dostępem do mieszkań oraz warunkami, w jakich mieszkają różne grupy społeczne. Ich badania ściśle wiążą się też z problemami globalnymi. Współcześnie jednym z nich jest np. mobilność i ekonomia, która ją warunkuje

i zarazem jest zależna od ruchliwości społecznej. Jeszcze mocniej uwidacznia się w ten sposób uniwersalizm problematyki domu i jego centralna rola.

2.1. Fenomenologia domu

„Ani miejsce, ani człowiek w nim mieszkający nie są pierwsze wobec drugiego, istotę obu stanowi wzajemne współlistnienie i współformatowanie” (Buczyńska-Garewicz 2006: 6). Specyficzne bycie w domu, które sprawia, że mówimy o zamieszkiwaniu, według Buczyńskiej-Garewicz – podążającej za myślą Heideggera i Bachelarda – polega na „niefizycznej relacji między bytami” i jest ono odmienne od bycia na sposób czysto fizyczny (ibidem: 10). Zamieszkiwanie jest znane tylko człowiekowi i przebiega na poziomie duchowym, jako że tylko człowiek zamieszkuje miejsce poprzez rozumienie, czym ono jest. Buczyńska-Garewicz proponuje uprawiać hermeneutykę miejsc (ibidem: 11). Polegałaby ona na określaniu ich jakości poprzez odkrywanie kolejnych warstw treści duchowych, jakie budują miejsce czy miejsca. Buczyńska-Garewicz pisze o „duchowej topografii świata człowieka”, która odpowiada przestrzeni doświadczonej. Ta zaś

jest pewnym bytem, pewną treścią mającą określony sposób istnienia, a nie tylko jednorazowym doznaniem psychiki. Innymi słowy przestrzeń doświadczona to nie tylko i po prostu przestrzeń geometryczna z pewnymi dodanymi do niej zabarwieniami emocjonalnymi i nastrojowymi. Przestrzenność świata ukonstytuowana w życiu nie jest problemem psychologicznym. To czy ktoś jest *u siebie* czy *na obczyźnie*, czy wędruje czy się zakorzenia – to kwestia ontologiczna, kwestia sposobu bycia człowieka (Buczyńska-Garewicz 2006: 14).

Bycie u siebie, tzn. w domu, czyli zanurzenie się w określony stan egzystencjalny, jest kwestią bezpośredniej intuicji danej każdemu. Ma ono charakter intersubiektywny, stąd liczne ekspresje i przekazy istniejące na ten temat np. w sztuce. Intuicja ta pozwoliła Bachelardowi zrekonstruować archetyp przeżycia domu jako miejsca swojego i bezpiecznego (Bachelard 1975). Koncepcje Bachelarda na temat przestrzenności wykraczają poza jej fizyczne rozumienie i skupiają się na wymiarze duchowym (Buczyńska-Garewicz 2006: 207). Inni myśliciele pozostający w nurcie fenomenologicznym, jak Maurice Merleau-Ponty, Elizabeth Stroecker czy Jan Patočka, koncentrowali się na wymiarze cielesnym tworzenia miejsca, gdy „przestrzeń [jest] generowana przez ruchy ciała” (ibidem).

Dla Bachelarda szczególnie ważna jest przestrzeń intymna, tzn. to, co traktujemy jako „prywatne otoczenie w subiektywnym odczuciu” (ibidem: 216). Jest to przestrzeń osobna, gdzie człowiek przebywa na jednostkowy sposób w swojej świadomości. Zjawisko ma charakter powszechny (każdy ma predyspozycje do tego rodzaju

świadomości i intuicji), lecz za każdym razem zindywidualizowany, albowiem rozgrywa się wewnątrz człowieka na tym obszarze, który Bachelard nazywa duszą. Nie jest to kwestia psychiki i emocji ani logicznego nastawienia, tylko wypełnienia wartościami i sensami emocjonalnymi. Bachelard skoncentrował się na przestrzeni szczęśliwej, w której wyróżnił dom.

Zdaniem Bachelarda dom znajduje się w nas, a nie my w domu. Nie da się go też wcielić w wymienną przestrzeń (Buczyńska-Garewicz, *op. cit.*: 211). Zamieszkiwanie jest przede wszystkim stanem duchowym. Przebywanie gdzieś ciałem i materialne wytwarzanie otoczenia nie jest tożsame z jego zamieszkiwaniem. Aby uświadomić sobie ów pozamaterialny sens domu, Bachelard przywołuje oniryzm, tzn. ukazuje, że poczucie domowości nie potrzebuje faktyczności dosłownej, fizycznej, albowiem domy wymarzone, jako miejsca wyobrażone i upragnione, pozostają w naszej psychice. Tam toczy się proces zamieszkiwania.

Zdaniem Bachelarda dom można porównać do pierwotnego uniwersum, czyli prawdziwego kosmosu. Tam zachodzi pierwotna relacja między jaźnią a otoczeniem, w której chodzi o ochronę i zarazem poczucie wolności (ibidem: 223). Stąd metafora domu jako kołyski.

Bachelard rozważa wewnętrzną topografię domu. Dom jest wertykalny ze swojej struktury, rozciąga się zatem od piwnic po strych. Myśliciela interesuje wertykalność duchowa i jej symbolika uobecniania przez fizyczną budowę domu, dlatego górę domu utożsamia z jasnością i racjonalnością, dół – z ciemnością i lękami, zatem z tym, co irracjonalne. Dom jest dwubiegunowy jak nasza psychika.

Dom posiada centrum, które gwarantuje spokój i pewność. Modelem dla domowego centrum jest jaźń indywidualna – punkt środkowy naszego jestestwa i poczucia jednostkowości. Stąd idea „domu prawdziwego” z zaznaczonym centrum, wzbudzającym poczucie bezpieczeństwa, jako że w ten sposób przestrzeń jej wyraźnie zorganizowana. Dzięki takiej strukturze (wertykalnej i dośrodkowej) dom pozwala na przeżywanie go jako przestrzeni zamkniętej – przestrzeni szczęśliwej. Ważne są tu granice, wyznaczające oddzielenie, separację i poczucie bycia chronionym przez dom. Bachelard posługuje się w tym miejscu także wyobrażeniem kąta, czyli dom jest własnym kątem, własnym kawałkiem na ziemi. „Kąt” to zarodek domu (Buczyńska-Garewicz, *op. cit.*: 228). Dom to też „gniazdo”, „skorupa”, „nora” – symbolizują one ideę schronienia, tym samym skrytość domu, co jest warunkiem prywatności i intymności, oznaczających wolność do bycia sobą, jako że czujemy się w domu u siebie. Symbolizują to takie przedmioty, w których można coś schować i zamknąć (szuflady, szafy, szafki, schowki, także klucze i zamki).

Rozwijając rozumienie owego archetypu, Buczyńska-Garewicz posiłkuje się też myślą Marcela Prousta na temat momentu inicjalnego dla przekształcenia przestrzeni w miejsce. Dokonuje się ono w chwili, gdy pewna treść duchowa staje się ucieleśniona

i niepowtarzalna (ibidem: 31). Proces ten wzmacniany jest dzięki nadawaniu miejsc nazw. Nazwy własne są w tym kontekście ewidentne, lecz także zaimki dzierżawcze („moje”, „nasze” itp.). Słowem o specjalnym charakterze jest również „dom”. Ten, kto je wypowiada, ma na myśli z reguły konkretny dom, nie abstrakcyjny. Skoro według Buczyńskiej-Garewicz człowiek zamieszkując, czyni miejsce swoją okolicą, czyli wbudowuje nowe warstwy sensu w już istniejące, miejsce jest jednocześnie czymś zastanym – danym – samoodnawiającym się (w procesie nadawania znaczeń). Gdy znaczenia nie powstają, nie dokonuje się zamieszkanie w głębszym sensie – jako wewnętrzne osadzenie człowieka. Autorka podnosi tu problem etyki miejsca, która polega na postawie samoopowiedzialności człowieka:

to, *gdzie* przebywamy, stanowi też o tym, *kim* jesteśmy. [...] Jeśli człowiek tworzy sens miejsca, to także miejsce, zinterioryzowane w duszy, określa rodzaj tej duszy. A wobec braku miejsc człowiek staje się duchowo bezdomny. Taka bezdomność jest podważeniem jego istotnościowego sposobu bycia w świecie przez zamieszkiwanie, gdyż sprowadza go do istnienia w otoczeniu jak *wino w amforze* (Buczyńska-Garewicz, *op. cit.*: 39).

Nie oznacza to jednak, jak podkreśla badaczka, że wędrowka, poszukiwanie, w tym zmiana, stoją w sprzeczności z domem i domowością. Dzięki mobilności, która zakłada przenoszenie i rozszerzanie doświadczenia, ujawnia się nasza „zdolność udomowiania wielu miejsc i stałego rozszerzania własnego duchowego *habitatu*” (ibidem), a „kto nigdy nie zamieszkiwał u siebie, kto nie zna horyzontu domu, nie będzie szukał innych, nowych horyzontów. [...] początkiem wędrowki nie jest pustka, lecz jakaś pełnia zmierzająca ku rozszerzeniu” (ibidem: 40).

Domowość, choć wyposaża nas w poczucie bezpieczeństwa i poczucie pewności, że mamy się gdzie schronić przed niechcianym, nie powinna oznaczać odwrócenia się od świata: „mieszkanie nie przeczy wędrowce, lecz ją warunkuje, a wędrowka rozszerza zamieszkiwanie i jest jego pogłębieniem” (ibidem: 41). Rozumienie, co znaczy własny dom, bazuje na świadomości szerszego kontekstu. Buczyńska-Garewicz podkreśla jednak, że może zdarzyć się sytuacja *atopii*, czyli wyswobodzenia się z jakiegokolwiek miejsca. Nie ma to nic wspólnego z wolnością, która przecież opiera się na zdolności do samoograniczenia.

Badaczka podnosi problem różnicy znaczenia terminów „zamieszkiwanie” i „zakorzenie”. Sprzeciwia się posługiwaniu tym drugim terminem w odniesieniu do sposobu bycia człowieka, ponieważ „zapuszczać korzenie” przynależy do opisu funkcjonowania świata nieludzkiego. Człowiek zaś realizuje się samodzielnie, może podejmować decyzje, otwiera się na inność i różnorodność, może je przyswajając, będąc w ruchu. W sytuacji „zakorzenia” odcina się od owej wielości i zamyka – poprzez urzeczowienie – swoje relacje przestrzenne, tym samym doświadczeniowe (ibidem: 42–43). Dom, tak chętnie potocznie utożsamiany z „korzeniami”, według Buczyń-

skiej-Garewicz należy określać jedynie poprzez stan i zachowanie określone zamieszkiwaniem, tzn. są one „określonym sposobem znajdowania się gdzieś, a nie [...] określonym samodzielny obszarem” – „dom i zamieszkiwanie [są] stosunkiem człowieka do pewnej wyróżnionej przestrzeni” (ibidem: 129). Stosunek ten jest rozumowy. Podążając za myślą Heideggera, polega on na rozumieniu ukonstytuowanych znaczeń jako domowych właśnie, a przejawia się w więzach, jakie człowiek wytwarza między sobą a miejscem. Dopiero ich całokształt daje dom. Dom powstaje dzięki człowiekowi, choć miejsce nigdy nie jest puste. Według Heideggera czeka niejako na rzecz, jest „przez rzecz”, rzecz bowiem „udziela przestrzeni miejscu”. Zgodnie z intencją tego myśliciela dom „jest przestrzenią przebywania człowieka wśród rzeczy bliskich i znajomych, kształtujących domową, swojską okolicę” (Buczyńska-Garewicz 2006: 130).

Myśl Heideggera, dotycząca zamieszkiwania i domu, była i jest chętnie podchwytywana przez różnych badaczy, szczególnie inspirujący stał się jego esej *Budować, mieszkać, myśleć* (Heidegger 1977). Odnosi się on jednak do sensu ludzkiego bytowania, gdzie budowanie i mieszkanie to elementy kondycji człowieka, nie zaś czynności potoczne („praktyczno-techniczne zadania chwili doraźnej”; Buczyńska-Garewicz, *op. cit.*: 133). Mieszkanie to sposób bycia, a nie sprawność techniczna i działania manualne. Człowiek mieszka w świecie (zatem jest „domny”) poprzez swoje myślenie: „człowiek tak mieszka, jak myśli, czyli jak potrafi myśleć” (ibidem: 144). Dla tego myśliciela „dom” i „zamieszkiwanie” są terminami, w jakich dość ściśle można wypowiedzieć prawdę bycia, gdyż „język przestrzeni staje się mową bycia” (Buczyńska-Garewicz, *op. cit.*: 172). Można powiedzieć za Bachelardem, a zgodnie też z intencją Heideggerowską, że „dom wyklucza przypadkowość, zapewnia ciągłość” (Bachelard 1957: 26).

Benedyktowiczowie także pragnęli odkryć ów głęboki porządek na poziomie mitycznym, jaki stał u podnóża konstrukcji symbolicznej, czyli domu w kulturze typu ludowego. Traktowali go jako „przestrzeń pełną znaczeń” (Benedyktowicz, Benedyktowicz 1992: 11). Pragnęli wyjść poza opis właściwości materialnych domostwa – taki jego model badania panował w etnografii polskiej od końca wieku XIX. Pomimo klasycznych studiów dotyczących symbolicznego wartościowania przestrzeni, autorstwa Jana S. Bystronia oraz Stefana Czarnowskiego (Bystron 1934, 1939, 1980, Czarnowski 1956a, 1956b), do czasu napisania przez nich książki w 1992 r., nie pojawiło się syntetyczne studium domu. Pragnęli w swojej pracy zrekonstruować jego strukturę symboliczną, koncentrując się na takich wartościach jak moc, świętość i *sacrum*. Tworzą one grunt pod „przeżycie egzystencjalne świata” (Benedyktowicz, Benedyktowicz 1992: ibidem). Do tego zabiegu posłużyły im materiały etnograficzne od połowy XIX w. do przełomu XIX i XX w. Swoją metodę oparli na rekonstrukcji struktury symbolicznej, inspirując się myślą Gerardusa van der Leeuwa (ibidem: 13). Zwrócili uwagę, że dom w analizach antropologicznych to nie tylko przedmiot badań, ale też kategoria

interpretacyjna (ibidem: 15). Skłaniali się do propozycji Claude'a Lévi-Straussa, aby dom traktować jako łącznik pomiędzy społeczeństwami wchodzącymi tradycyjnie w skład terenu badań etnologicznych a społecznościami zachodnimi – nowym wówczas jeszcze obszarem zainteresowań etnologii (ibidem: ibidem).

Benedyktowiczowie rozpatrywali dom w kontekście symboliki kosmoteologicznej. Szukali jej w wierzeniach dotyczących zakładzin domu, podziału przestrzeni i w związku z antropomorfizacją przestrzeni domowej (odczytując znaczenia przedmiotów, jakie wypełniały dom). Wskazywali na tropy wychodzące poza stereotypowe postrzeganie domu, tzn. na jego funkcjonowanie w wyobraźni i symbolice ludowej jako siedziby zmarłych i innych istot nieludzkich oraz przestrzeni otwartej wobec osób wędrownych i pozostających bez własnej siedziby.

Sposób badania zastosowany przez Benedyktowiczów był pokrewny semantycznym analizom z zakresu literaturoznawstwa i kulturoznawstwa, dotyczącym literackich obrazów domu. Liczbę utworów artystycznych, gdzie występuje dom, trudno jest określić. „Dom” i „zamieszkiwanie” to nośne metafory i motywy obecne w sztuce. Np. w *Odysei* pojawia się motyw domu utraconego, wędrówka do niego i jego odzyskiwanie. Tropy te są obecne też w wielu innych opowieściach, np. w Pięcioksięgu, eposach, sagach itd. Wykorzenienie, szukanie własnego miejsca, jego tworzenie, ochrona, utrata i próby odbudowy, pojawiają się zarówno w tekstach i dziełach kultury wysokiej dawnej, jak i w popkulturze i kulturze masowej współczesnej. Niosą ze sobą większy ładunek dramatyczny i czasami też tragiczny niż przekazy o życiu w domu – egzystencji codziennej, toczącej się w ramach jego obejścia.

Dla zilustrowania tej odmiany podejścia fenomenologiczno-hermeneutycznego przytoczę wybrane interpretacje wizerunków domu, jakie znane są w kulturze polskiej.

Dom może służyć więc za teren badań w mikroskali, ponieważ „domem” można określić najmniejszą jednostkę międzyludzką, jaką jest rodzina. Ów co najmniej dwuczłonowy zespół to inaczej gospodarstwo domowe. Zapewnia bezpieczeństwo, w tym materialne i uczuciowe (Kurczewski 1997: 7–8). Jacek Kurczewski udowadnia, że pojęcia dom – rodzina – gospodarstwo, są eliptyczne, jako że milcząco zakładają istnienie czegoś wychodzącego poza nie, będącego tym, co je spaja. Zakładają wspólny rdzeń, który sprawia, że łączą się w potocznym wyobrażeniu w prototyp „domu” (Kurczewski 1997: 8). „Dom” niesie ze sobą skojarzenia raczej pozytywne. Kurczewski przygląda się jednak specyficznym kontekstom, w jakich występowało to słowo i przywołuje też dom publiczny, czyli zamtuz. Kurczewski przypisuje domowi konwiwalność, która cechuje poczucie domowości w ogóle (oparta jest też na wytwarzaniu poczucia *communitas*; Kurczewski 1997: 9).

Innymi przestrzeniami publicznymi, które ich użytkownicy starali się „uczłowieczyć” (Kurczewski pisze o „ludzkiej atmosferze”; Kurczewski 1997: 10), a zatem udomowić je, były miejsca pracy, np. biura. Badacz wspomina własne doświadczenia

związane z pierwszą pracą w placówce państwowej na początku lat sześćdziesiątych XX w. Wspomina, jak personel dzielił się domowej roboty pożywieniem, podgrzewanym często na płytce elektrycznej. Przyniósł ją któryś z urzędników i była ukryta wśród biurowych sprzętów do wspólnego użytku.

Zabiegi te i zażyłość, jaka powstawała przy wspólnym „stole” w pracy, gdy dzielono się posiłkiem, pito herbatę i kawę, wymieniano informacje i wiadomości, odtwarzały dom w pozadomowej przestrzeni. Biuro, jako miejsce pracy, było przestrzenią publiczną. Pozbawione było zatem takich cech, jak intymność i konwiwialność, charakteryzujących domowników w ścisłym znaczeniu tego słowa. „Domowość” (bo nie „dom”) można jednak odtworzyć czy częściowo przenieść, jak udowodnił to Kurczewski, także do przestrzeni, która ma inne przeznaczenie i strukturę. Poszukiwanie „domu” poza nim oznacza wprowadzanie określonych relacji międzyludzkich i wykonywanie określonych gestów i czynności, by przywołać pierwowzór (np. dom i domową atmosferę). Działania tego rodzaju wywołują pewne uczucia, nastawienia i prowadzą do podjęcia kolejnych praktyk.

Kurczewski przypomniał też o specjalnej strukturze, która łączyła w sobie i swojej funkcji porządek domowy i pozadomowy. Miał na myśli mieszkaniowe osiedla zakładowe. Według niego oznaczały kontrolę pracodawcy nad pracownikiem i jego rodziną w przestrzeni domowej. W rezultacie „przeciwieństwo między pracą a domem zacierają się odgórnie” (Kurczewski 1997: 13). Oznacza to, że sens pozadomowy wkracza w znaczenie zarezerwowane do domu, ale i *vice versa*. Ten sam mechanizm można odnaleźć w szpitalach, więzieniach, uzdrowiskach, internatach, bursach, klasztorach, schroniskach, noclegowniach itp., zatem w miejscach masowego przebywania na stałe czy na czas określony dużych skupisk ludzkich. Reguły pobytu służą temu, aby owe skupiska obcych sobie osób przekształcić w grupę, a przestrzeń oswoić i uczynić niejako przezroczystą dla wszystkich, gdzie znamię „normalności”, mimo często trudnej sytuacji (jak choroba, odbywanie kary, bycie bezdomnym), jest dostosowanie się do instytucjonalnych zasad życia. Celem adaptacji jest możliwość przebywania w określonym miejscu. Pobyt tam jednak tylko imituje dom. Jego sens sprowadzany jest do kilku wybranych gestów i zachowań, które tworzą namiastkę „domowości”, lecz stwarzają także warunki do wejścia w „domność” – być może tutaj najlepiej widać różnicę między tymi dwoma pojęciami, które choć są sobie bliskie, to jednak nieco odmienne.

W słownikach staropolskich (Lichański 1997) „dom” ujawnia konotacje przede wszystkim ze znaczeniem słowa „budynek” i ze stałym miejscem przebywania. „Dom” łączony był wówczas przede wszystkim z warstwą materialną i z wyodrębnioną fizycznie przestrzenią, którą zamieszkiwano. Na drugi zestaw znaczeniowy składają się wyrażenia związane z domem jako budynkiem o przeznaczeniu szerszym, służącym jakiejś grupie, np. do zgromadzeń (mogą to być świątynie). „Domem” nie musi

być więc miejsce mieszkalne w dosłownym sensie, lecz może to być także taki rodzaj przestrzeni, która pozwala członkom danej grupy rozpoznać się w jej ramach jako identyczni czy podobni, ponieważ są zespoleni jakąś ideą. Skojarzenia z „domem” w czasach staropolskich rzadko występowały w powiązaniu z rodem, rodziną i pochodzeniem. Z najmniejszą częstotliwością „dom” wiązano z ziemią rodzinną, ojczyzną, krajem, stronami rodzinnymi itp. Mimo tej gradacji wszystkie zakresy wytyczały jedno pole semantyczne „dom”. W okresie oświecenia pozostało one w zasadzie bez zmian, jednak, jak podkreśla Jakub Z. Lichański, wzmocniło się znaczenie domu jako ojczyzny (ibidem: 22).

W pozytywizmie chętnie sięgano do metafor w duchu Spencerowskim, czyli organicznych. Traktowano miasto jako żywe ciało, trawione chorobą, albo zdrowe, o zaburzonem bądź prawidłowym funkcjonowaniu (Ihnatowicz 1997). Do zilustrowania „zdrowia” lub „choroby” społecznej służyły w ówczesnej poetyce specyficzne dla miasta kamienice. Zderzano je z takim modelem domowości, którą uosabiał dworek. Te dwie przestrzenie symbolizowały odmienne modele zamieszkiwania i sposoby bycia. Prawdziwym domem jawił się dworek, kamienica była za mało terytorialna (Ihnatowicz 1997: 93). Dworek tworzył harmonijną całość także z otoczeniem przyrodniczym i gospodarskim. W ten sposób formowało się odczucie, że dom jest (mikro) kosmosem. Kamienica („antydom”) była zaś traktowana jako znak dysharmonii i pokawałkowanej rzeczywistości, co zaprzecza domowości. Literackie portrety kamienic, jak najśłynniejszy w *Lalce*, czyli kamienica Łęckich, ukazują zaburzone więzi międzyludzkie. Oparte są na konfliktach, lokatorzy wzajemnie się podglądają, szpiegują, plotkują i uprzykrzają sobie życie. Kamienica Łęckich jest karykaturą domu i relacji łączących „prawdziwych” domowników. Mimo tego życie domowe można prowadzić także tam, ale dopiero po zamknięciu się w czterech ścianach własnego mieszkania. W konsekwencji, a także w reakcji na patologię relacji sąsiedzkich, nowy sens domu wiąże się jeszcze ściślej z separacją, oddzielaniem i odcinaniem się od innych. Tak ujętemu życiu domowemu coraz bliżej do obrony samego siebie przed innymi, gdzie kładzie się nacisk na indywidualizm. Dom był coraz mniej ostoją wartości patriotycznych, czyli ogólniejszych, a coraz bardziej wypełniał się treściami *stricto* prywatnymi. W sensie historycznym, jak interpretuje to Ihnatowicz (ibidem: 95), kamienica miejska w okresie pozytywizmu była symbolem społeczeństwa polskiego bezdomnego pod zaborami, zatem w jakimś sensie zdegenerowanego i osieroconego.

Atmosferę sprzeczną z ideałem domu jako ostoji bezpieczeństwa i ciepła wydobywa jeszcze mocniej proza powstająca po powstaniu styczniowym. Domy z tego okresu są w rozpadzie, zagrożone ruiną, opustoszałe, a ich mieszkańcy borykają się z trudnościami ekonomicznymi i żyją w żałobie. Wzmacnia to jednak wartość symboliczną domu jako matecznika wartości narodowych. Budzi się obowiązek utrzymania domu właśnie w takim sensie, choć ratowanie jego substancji fizycznej, by mieć gdzie

pielegnować system wartości, jest równie ważne. Dom staje się zatem symbolem polskości. Tym zaś, co najsilniej przemawia do wyobraźni jako pogwałcenie jego integralności, jest wdarcie się do niego zaborców, niszczenie jego zasobów, w tym represje oraz gwałty na kobietach – domowniczkach – strażniczkach wartości. Owe katastrofy, gdy ruina polityczna pociąga za sobą ruinę materialną, a w efekcie psychiczną i międzyludzką (rozpad rodziny), sprzyjają postrzeganiu domu jako ideału: marzy się o nim i tęskni za nim i do niego. Dom funkcjonuje jako przedmiot fantazji i nostalgii oraz staje się archetypem ojcowizny w wyobraźni społecznej i historycznej. Imperatywem staje się konsolidacja wszystkich mieszkańców domu, ponieważ tylko w jedności i odbudowie więzi międzypokoleniowej upatruje się ratunku przed ostatecznym rozpadem. W tym kryje się także szansa na odrodzenie. Z drugiej strony, jak przypomina Jadwiga Zacharska (ibidem: 103), w epoce tej nie ukazywano domu wyłącznie idyllicznie. Miał być on rdzeniem i gwarantem tego, co najlepsze, a jednak psuł się i był siedliskiem patologii. W literaturze z tego okresu poświęcano wiele miejsca konsekwencjom utraty domu. Do głosu dochodził opis życia w bezdomności, które oceniane było ambiwalentnie: bezdomność była tym scenariuszem życiowym, do którego popychał bohaterów rozwój okoliczności niezawinionych przez nich, lecz była to także szansa na wybiecie się na niezależność, sprawdzenie się i zdanie egzaminu życiowego.

Bezdomność, np. już w utworach młodopolskich, to „wykorzenienie i samotność”, ale choć stanowią wysoką cenę, płaci się nimi za wolność (ibidem). Dom zaczyna się jawić jako skostniały. Niektóre jednostki więc z niego uciekają. Taki „dom” jest negatywnie wartościowany. Następuje ujawnianie i piętnowanie rozmaitych patologii (np. patriarchy, przemocy itp.). W ten sposób powstawał grunt pod opis domu w jakimś sensie wynaturzonego w porównaniu z pozytywną mitologią domową wieków wcześniejszych. Kwintesencją domu opartego na patologii byłby np. dom Dulskich; sprzyjał on wspomnianej bezdomności z okresu Młodej Polski. Tę bezdomność symbolizuje utwór Stefana Żeromskiego *Ludzie bezdomni* (Podraza-Kwiatkowska 1997: 107). Przestrzenią, gdzie blakają się bohaterowie wspomnianej książki, lecz i innych utworów z tego czasu, jest przede wszystkim miasto. Los owych „nomadów” zależy od polskiego fatum i konfliktów rodzinnych. Te wpisały się już na trwałe w wyobrażenie domu. Dom oniryczny Bachelarda – pochwalny obraz domu, doczekał się przeciwnieństwa, np. w *Krzyku* Stanisława Przybyszewskiego. Autor opisał dom jak z kosmaru sennego i dopiero ucieczka z jego murów pozwoliła bohaterowi uwolnić się psychicznie i emocjonalnie (ibidem: 115).

„Dom” rozpada się coraz bardziej w wyniku kolejnych wojen i konfliktów, które zagarniają następne pokolenia. Dom czasów wojny został zdesakralizowany i zdegradowany. Destrukcyjna siła wojny polega m.in. na podważeniu dotychczasowego porządku i rewizji wartości:

Nie ma domów – są tylko zimne, zagracone, brudne pomieszczenia, mieszkania-śmietniki i rupieciarnie. Nie ma „pra-schronień” i „świata przeciwataków”, są tylko pokoje hotelowe i cudze mieszkania, gdzie mieszka się kątem. Jednym dom zastępują namioty, okopy, ziemianki, pola bitwy, jeszcze innym kawiarnie, restauracje, kinematograf lub teatr. Domem może stać się szpital, a ponieważ człowiek bytuje teraz w otartej przestrzeni – także droga, polna w lesie, przydrożny rów. Namiastkę bezpieczeństwa daje piwnica, dołek w ziemi, brama, wnęka w murze, nisza (Olszewska 1997: 128).

Wojenne schronienia-domy przypominają przestrzenie zagospodarowywane przez współczesnych miejskich bezdomnych niemieszkaniowych. Ich praktyki są niemal kopiami zachowań z okresu wojny.

Olszewska zauważa, że w literaturze polskiej z czasów wojny i wspominającej wojnę, motyw domu zamienionego w dom publiczny występuje rzadko i nie eksponuje się u nas tego wątku, podobnie jak rzadki jest motyw domu-latryny, charakterystyczny z kolei dla literatury niemieckiej (ibidem). Dom czasów wojny jest ruchomy, sprowadzony do bagażu i paru przedmiotów, często przypadkowych. Stają się metonimią starego porządku, wytyczając zarazem nowy (pierwociny, na których zakładać się będzie nową siedzibę). Dom wojenny – ten, po którym ślad znaczą zgłiszczą – to w zasadzie dom-grób. Może upłynąć wiele czasu, zanim będzie można odtworzyć dom zgodnie z regułą opisaną przez Mirceę Eliadego, gdy

siedziba to nie przedmiot, „machina mieszkalna” [...], siedziba to świat, który człowiek nosi w sobie, naśladując wzorowy akt stworzenia dokonany przez bogów – kosmogonię (Eliade 1993: 81–82).

Dom wojenny jest w zasadzie niedomem:

wojna, niszcząc dom i prawo człowieka do budowania i posiadania domu, uderza [...] w podstawy ludzkiej egzystencji, niweczy to, co stanowi o istocie człowieczeństwa, bo sankcjonuje „wykorzenienie”. Wojenna zagłada domu okazuje się niczym innym, jak skazaniem człowieka na życie w lęku przed chaosem, przed niebytem, nicością, czyli na egzystowanie w przestrzeni bez centrum, wobec której człowiek mógłby się określić (Olszewska, *op. cit.*: 129).

Możemy mieć do czynienia jeszcze z domem zesłańczym. Posiadanie domu w takich warunkach było przywilejem. Nie każdy z zesłańców mógł go mieć (Zwolan 1997). Uzyskanie własnego miejsca w ich sytuacji było

bardzo ważnym, można rzec, przełomowym momentem: poprzedza go długa i uciążliwa droga etapowa, nieustanne przebywanie z innymi więźniami (często pospolitymi zbrodniarzami), brak nawet krótkiej chwili ciszy i samotności. Zamieszkanie w jednym miejscu bez konieczności ciągłego przenoszenia się, z dala od aresztanckiego zgiełku, brudu, pijac-

kich burd kryminalistów i konwojentów była dla więźniów politycznych marzeniem [...] (Zwolan 1997: 38).

Dom był w tej sytuacji wyzwoleniem, darem, jedynym obszarem wolności, lecz zdarzało się, że skazańcy byli osiedlani przy rodzinach pochodzących z rodzimej ludności. Wówczas ten rodzaj egzystencji stawał się karą, ponieważ zesłaniec mieszkał z obcymi na obcej ziemi, nie był to jego wybór. Choć mieszkał w domu, nie był to jego dom, a cudzy – ufundowany na obcych zasadach, gdzie był „gościem” (ibidem: 43). Podobnie mogły czuć się stare panny, choć żyły ze swoimi rodzinami. Ich losy, jako szczególnych „bezdomnych”, także zasiły karty licznych tekstów, szczególnie z końca XIX w. (Martuszevska 1997).

W opinii publicznej nie każdy zasługiwał na dom, czyli siedzibę gwarantującą prywatność i zapewniającą komfort życia. Mechanizm ten działał nadal współcześnie: eksmisja z domu z powodu szeroko rozumianej niezaradności jest czasami postrzegana jako „słuszna” kara. Na dom trzeba poniekąd zasłużyć, nie jest on dany „po prostu”. Jego utrzymanie kosztuje w każdym z możliwych sensów tego słowa. To także koszt w znaczeniu Eliadowskim oraz zgodnie z myślą Bachelarda i Heideggera: powołanie domu – na poziomie duchowym – stanowi sprawdzian z człowieczeństwa i byłoby świadectwem bycia człowiekiem.

2.2. Historia domu

Przyglądając się historii pewnych słów i pojęć, jak np. „miłość własna”, „wiara w siebie”, „melancholia” czy „sentymentalny”, jakie pojawiły się ok. XVII–XVIII w., Witold Rybczyński pisze, że musiał to być dowód na zmianę, która dokonała się w samopostrzeganiu. Jednostka zaczęła wyróżniać i doceniać swój świat wewnętrzny. Poszukiwanie komfortu wiązało się z rozwojem indywidualizmu. Dom zaczął być utożsamiany z miejscem kultywowania własnych obyczajów, nawyków, przyzwyczajzeń i manii, a zatem własnej osobowości (Rybczyński 1996: 43). Wzmacniała to specjalizacja wewnątrz domu, czyli podział jego przestrzeni na poszczególne pomieszczenia: oddzielne do spania, jadania posiłków itp. Wykształciła się także taka forma bycia razem, jaką jest wspólne spędzanie czasu przez członków bliskiej rodziny. Czas, jaki poświęcali sobie, nie upływał wyłącznie na wspólnej pracy, ale na zajęciach, które wypełniały im tzw. czas wolny. Służyły one i służą do konsolidacji i budowania bliskości. Polegało to zatem np. na wspólnych lekturach, grach, zabawach, rozmowach, drobnych naprawach świadczonych sobie nawzajem i dla domu. Zaliczyć do tego można także przygotowanie posiłków oraz opiekowanie się sobą, czyli dbanie o dobrostan poszczególnych członków rodziny przez innych jej członków.

Obok specjalizacji pomieszczeń domowych ważna staje się indywidualizacja, jaką przechodzą wnętrza domu. Zaczynają odzwierciedlać charakter mieszkańców poprzez aranżację, dobór, przeznaczenie i umiejscowienie poszczególnych przedmiotów (Rybczyński 1996: 51). Tendencja ta nie tylko umacniała indywidualizowanie się domu, lecz odbijała koncepcję człowieka jako autonomicznej jednostki. Sprzężona z tym była także zmiana stosunku do dzieci i dzieciństwa. Jak pisze Rybczyński, nawet pracujące dzieci z rodzin rzemieślniczych – pracujące na równi z czeladnikami, czyli innymi młodymi zamieszkującymi tę samą przestrzeń – zaczęły mieć z biegiem czasu w domu wydzielone pomieszczenia do spania. Były one zatem odrębne od pomieszczeń zajmowanych przez ich rówieśników czeladników, którzy byli obcy, nie należeli do rodziny. Koncepcja tejże zaczęła się również zawężyć od XVI–XVII w.

Z rosnącym poczuciem intymności i domowości nadążał rozwój technologii domowych związanych z higieną, czyli myciem się i usuwaniem nieczystości. Czynności te bowiem i potrzeby coraz mocniej wiązano z prywatnością i intymnością (Rybczyński 1996: 55–56).

Domowość pojawiła się „mimoходом, nieświadomie, jakby w odpowiedzi na zmieniające się warunki życia miejskiego” (ibidem: 57; zob. też Elias 1980). Elias uważa, że za wzorcotwórcze dla domowości można traktować XVII-wieczne domostwa niderlandzkie – typowe miejskie osadnictwo rodziny nuklearnej w znaczeniu współczesnym. Złożyło się na to kilka przyczyn, m.in. zamożność ówczesnego społeczeństwa holenderskiego. Ten fakt sprawił, że pojedynczą rodzinę było stać na oddzielny dom bez sublokatorów. Poza tym, domy te przestały służyć jednocześnie jako miejsce pracy zarobkowej, a służba praktycznie nie istniała, ponieważ tamtejsze prawo nakładało wysokie podatki za zatrudnianie służących. Wszystko to przełożyło się na powstanie domu w nowożytnym znaczeniu, tzn. zamieszkałym przez jedną rodzinę, gdzie obowiązki domowe wypełniała żona – gospodyni domu, pani domu, której rola jako matki też uległa wzmocnieniu, albowiem system ten sprawił, że matki zaczęły same wychowywać dzieci. Wówczas uwypuklił się jeden z nowożytnych aspektów symbolicznych domu: dom jako przestrzeń (królestwo) kobiet. Ten fakt dobrze ukazywała również jego architektoniczna konstrukcja. Dzielił się na parter, traktowany jako przedłużenie ulicy, i piętro, na które prowadziły schody. Wchodząc tam, należało zmienić obuwie na domowe. Poza tym, na piętro nie każdy miał dostęp, z reguły jedynie najściślejsi domownicy. W ten sposób domowość zyskała uobecnienie w formie wydzielonego fragmentu z całej przestrzeni domostwa. Enklawa ta, zarezerwowana dla rodziny i jej spraw, stała się domem w dzisiejszym pojęciu. Ponadto pojawiła się kuchnia. To kolejny symbol sfeminizowania przestrzeni domowej w miejskim społeczeństwie nowożytnym (Rybczyński 1996: 77–80). Holenderska pani domu sama zajmowała się gotowaniem i obsługą domowników. Mężczyzna wychodził z domu do pracy zarobkowej, kobieta zaś zostawała w swoim miejscu pracy, jakim stał się dla niej

dom (praca nieodpłatna, lecz o bardzo ważnym charakterze opiekuńczym i aprowizacyjnym), tworząc przy okazji domowość (Rybczyński, *op. cit.*: 80).

Złożona wielofunkcyjność domu była i jest charakterystyczna dla bogatszych członków społeczeństw zachodnich i „zwesternizowanych”. Jak pisze Rybczyński,

pragnienie posiadania własnego pokoju nie polegało wyłącznie na chęci odseparowania. Wskazywało na wzrastające poczucie odrębności – własnego rozwijającego się życia wewnętrznego – i potrzebę zaspokojenia tej odrębności w sposób fizyczny (ibidem: 114).

Prywatność stała się składową komfortu domowego, który polega na „braku dramatu i spokoju” (ibidem: 124). Rybczyński słusznie podnosił, że powyższe spojrzenie na dom jest spojrzeniem męskim. Dom-azyl, dom-zacisze, to pojęcia kształtowane przez kogoś, kto chroni się w domu przed światem, kiedy kończy już zawodowe aktywności rozgrywane się na zewnątrz. Tradycyjnie był to mężczyzna pracujący poza domem. W oczach kobiet dom jest bardziej dynamiczny (w zależności od rozłożenia akcentów i wyboru ujęcia – może być traktowany jako opresyjny). W tym kontekście Rybczyński przypominał studia nad usprawnieniem zarządzania domem, m.in. pod względem technologii domowych, autorstwa XIX-wiecznych publicystek Catherine Beecher i jej siostry Harriet (Rybczyński, *op. cit.*: 163). Beecher lansowała pogląd o zmniejszaniu powierzchni mieszkaniowej, albowiem im mniejsza, tym łatwiejsza do okiełznania przez panią domu. Według niej komfort panujący w domu miał polegać na prostocie wewnątrz, praktyczności oraz – mówiąc językiem dzisiejszym – ergonometrii i dostępie do środków i technik pozwalających taki stan rzeczy osiągnąć (koncepty Beecher wyprzedzały swoją epokę).

Dom to także widoczne ślady użytkowania jego przestrzeni, w tym nieład i jeszcze inne sposoby nawarstwienia przedmiotów i kolejnych skutków naszych działań, które bardzo często usuwamy lub maskujemy. Są to jednak codzienne „oznaki życia” domowego (Rybczyński 1996: 25), oparte na krzątaniu się. O fenomenie tego typu gestów i praktyk pisze m.in. Jolanta Brach-Czaina (1999).

W pojęcie domu jako miejsca spełniającego pewne kulturowo-społeczne parametry wpisuje się także refleksja antropologa Tima Danta (Dant 2007). Dla niego dom był zjawiskiem ściśle związanym z kulturą materialną, choć w szczególny sposób. Według Danta, współlokatorzy dzielili ze sobą życie tak samo, jak dzielili naczynia, łazienkę, sprzęty i przestrzeń domową. Nawet jeśli jesteśmy w domu sami, nie możemy uniknąć jego wartościowania społecznego, ponieważ dom nie jest niezależny od interakcji, w tym społecznych ról i masek. Najlepiej ilustruje to zapraszanie gości do siebie, w tym przez osoby samotne.

Dant mówił o naszym społecznym zaangażowaniu, które przejawia się w domu poprzez obecność różnego rodzaju mediów, z jakich korzystamy (telewizja, Internet, radio). Za ich pośrednictwem, pomimo że przebywamy w domu, jesteśmy wciągani

w tzw. świat i obieg szerszych spraw niż prywatne, choć obcujemy z nimi na terenie tak osobistym, jak dom.

Dla Danta, jako badacza anglojęzycznego, ważną kwestią było przypomnienie znaczeń poszczególnych terminów związanych z domem i zamieszkiwaniem obecnych w tym języku. Również w polszczyźnie dostrzeżemy niuans znaczeniowy istniejący między „mieszkaniem” jako przestrzenią domową a „mieszkaniem” jako czynnością. Dant pisze zatem, że odróżnić należy „home” – przestrzeń emocjonalną, która jest najważniejsza dla wzajemnych relacji ludzi i przedmiotów, od „house”, co tłumacze jego książki przekładają na „domostwo”, tzn. materialną substancję obejmującą dom. Badacz przywołuje też słowo „dwelling”, czyli „zamieszkiwanie”, które według niego jednoczy aspekt materialny i społeczny domu. Fakt naukowej korzyści płynącej z badania domu (zarówno z perspektywy „home”, jak i „house” oraz „dwelling”) jest związany z tym, że dom-domostwo jest bardzo trwałym przedmiotem oraz zespołem relacji i przedmiotów. Potrafi przetrwać pokolenia, mimo że ulega zmianom z biegiem czasu, lecz jednak w jakimś sensie trwa. Jest też ceniony, być może najbardziej spośród wszystkich ludzkich artefaktów, jako centrum uczuć, wydarzeń i związków. Danta interesowało, jak przejawia się zamieszkiwanie, poczynając od wybrania terenu pod dom i wszelkie prace budowlane, w tym kulturowe racje przemawiające za wyborem danej konstrukcji i kształtu domu. Idąc śladami Marshalla McLuhana i Paula Olivera, dopatrywał się związków pomiędzy sposobami stosowanymi przez różne społeczności, które budują swoje domostwa, a tym, jaki mają stosunek do ziemi, z czego żyją i w jak licznych grupach. W kształtach i planach domostw odbijają się według niego wartości, jakim hołdują poszczególne zbiorowości, oraz sposób, w jaki rozumieją świat, jak odbierają go zmysłowo i jak kształtują swoje doświadczenie. Uważał, że klimat, konstrukcja i materiały są czynnikami o charakterze wtórnym, które modyfikują kształt domu i *de facto* ograniczają możliwości wyboru. Tym zaś, co się liczy i wpływa na sposób budowania domostw w danej kulturze, jest etos, wartości i reakcje na podstawowe potrzeby, w tym sens przypisywany życiu rodzinnym i pogląd na pozycję kobiet i prywatność – fundament, na którym oparte są stosunki społeczne.

Według Danta pomieszczenia mieszkalne należy traktować jako przedłużenie człowieka, z tym że w domostwie wydziela się odrębne sfery na różne czynności związane z zamieszkiwaniem. Do owych sfer zaliczył pracę, wypoczynek, jedzenie i spanie. W tym znaczeniu dom zawiera w sobie zwyczaje i konwencje określonej kultury w takim samym stopniu, jak mieści w sobie zamieszkujących go ludzi i wypełniające go rzeczy.

Edensor również utożsamiał dom, jak niemal wszyscy współcześni badacze tej problematyki, z odczuciem komfortu i poszukiwaniem (oraz osiągnięciem) stabilizacji. Pomocne są w tym przedmioty i działania. Dom traktował jednak przede wszystkim jako metonimię współczesnych narodów i wspólnot etniczno-politycznych. Praktyki udomowienia, czyli zadowienia, polegają bowiem na eliminacji obcości w celu

osiągnięcia upragnionego komfortu (Edensor 2004: 80–81). Temu też służy rutyna domowa. Dom staje się wówczas „przestrzenią zadań”, czyli bezrefleksyjnym działaniem, podczas którego przedmioty wspierają nawyki cielesne (ibidem: ibidem). Dom jest jednością doświadczeniową, gdzie określona kinestetyka łączy się z pamięcią określonych doznań. Mogą być one przenoszone na inne przestrzenie i wiążą się wtedy z ustanawianiem własnego miejsca także poza dosłownie rozumianym domem. Edensor podkreślał, że dom nie jest statystyczny, a poddawany ciągłym procesom, działaniom, reprodukcjom, gestom, wytwarzaniu i powtarzaniu.

Dom to także pułapka, przestrzeń klaustrofobiczna, co bardzo dobrze ilustrowały przytoczone przeze mnie wcześniej przykłady zaczerpnięte z analiz literackich domu, obecnego w prozie polskiej na przestrzeni kilku wieków. Przestrzeń domu jest przestrzenią kontroli, a jednocześnie obszarem „transcendencji tego, co przyziemne” (Edensor, *op. cit.*: 85).

Edensor zwracał też uwagę, że obecnie domy powstają w wyniku praktyk ludzino-madów, którzy wędrują z różnych przyczyn. Ich domy skupiają się „na drogach”, a „wielokrotne zakładanie domu na nowo w różnych miejscach na przestrzeni życia nie oznacza, że poczucie domu ulega rozproszeniu”. Osiąga się raczej pewną formę „domowej seryjności, w obrębie której dochodzi do reintegracji znajomych, rutynowych czynności w danym miejscu, wyszukania znajomych punktów odniesienia i ponownego włączenia się w dobrze znane sieci” (ibidem: 87). Według Edensora, „tożsamość i poczucie domu mogą być jednocześnie zakorzenione i mobilne” (ibidem).

2.3. *Housing studies*

Czołowymi periodykami, prezentującymi dorobek z zakresu *housing studies*, są „Housing, Theory and Society” (pierwszy numer wyszedł w 1984 r.) i „Housing Studies” (debiut tytułu przypadł na rok 1986).

W ramach *housing studies* tematyka domu i zamieszkiwania wiązana była (i jest) także z *gender studies* oraz podejściem feministycznym. „Housing Studies” poświęciło tej problematyce pierwszy numer. Krytyka wyobrażenia domu w społeczeństwach patriarcalnych, dokonana z punktu widzenia feminizmu, jest znanym sposobem ujęcia tego zagadnienia¹². Zakres problematyki *housing studies* jest jednak jeszcze szerszy.

12 Zob. np. Eisenstein 1984, Massey 1994, Oakley 1976, Segal 1983. Z badań polskich zob. np. Duch 2002, Falkowska 1998, Harwas-Napierała 2001 – te studia nie tyle dekonstruują znaczenie domu, co ukazują rolę kobiet w rodzinie, czyli w gospodarstwie domowym, odsłaniając kryjące się pod stereotypem Matki-Polki praktyki i działania wyrastające z kontekstu ekonomicznego. Rzutuje on na kształt rodziny, która staje się metonimią domu. O nowoczesnym ujęciu Matki-Polki zob. też Hryciuk, Korolczuk 2012 – prace składające się na tę książkę wiążą także wyobrażenie domu z rodziną i ukazują, w jakim sensie jest to sprawa kobiet.

Zainteresowania badaczy obejmują również kwestie ubóstwa, marginalizacji i nierówności, w tym bezdomności. Ten typ studiów stoi też na pograniczu polityki i praktyki, nie tylko działalności *stricto* naukowej. Dotykają bowiem takich dziedzin, jak polityka społeczna, ekonomia, planowanie, zarządzanie i gospodarka przestrzenna. Kluczowym zagadnieniem jest ukazanie, jak polityki społeczne i miejskie wpływają na praktyki związane z mieszkalnictwem i zamieszkiwaniem przez rozmaite grupy społeczne, szczególnie pozostające na marginesie. Ważnymi nurtami badawczymi są problemy budownictwa socjalnego, renowacji, rewitalizacji oraz gentryfikacji. Istotna jest także tematyka stosunków sąsiedzkich oraz rynku nieruchomości.

Czy można jednak mówić o specjalnej teorii zamieszkiwania i domu, jaka powstała na gruncie *housing studies*? Nie jest to dyscyplina naukowa zbudowana na sobie tylko właściwych koncepcjach i metodologiach. W związku z tym problemy, które obejmuje swoim zasięgiem, można rozpatrywać z punktu widzenia istniejących już teorii i nauk szczegółowych, których przedstawiciele dotykają problematyki domu i zamieszkiwania.

Jeden z ważniejszych reprezentantów *housing studies* – Peter King, nie był jednak pewien, czy pogląd ten jest nadal uprawniony (King 2009). Uczułał na różnicę między tym, co po angielsku nazywa się „dwelling”, a co „housing”. „Dwelling”, czyli zamieszkiwanie, posiadanie własnego miejsca i odrębnego siedliska, wiązałoby się z „home”, co oznacza własne miejsce na ziemi, gdzie czujemy się akceptowani. Jest związane z poczuciem prywatności i uosabia je własne mieszkanie, czyli własny kąt (stosując wyrażenie Gastona Bachelarda; Bachelard 1975: 306, 307, 315). Służy do spełniania osobistych celów i interesów. Mieszkanie posiada wyjątkowe znaczenie. Wszyscy na różne sposoby są zaangażowani w zamieszkiwanie. Jednostki zupełnie tego pozbawione traktowane są jako słabsze.

„Housing” jest związane z określoną polityką mieszkaniową: jej rozwojem, rodzajem budownictwa mieszkalnego, dostępnością i utrzymaniem zasobów mieszkaniowych. Polityka mieszkaniowa może być badana na różnym szczeblu. Problem budownictwa jest w zasadzie dość ścisły i można ustalić jego parametry. Dlaczego jednak, zapytuje King (2009: 43), budownictwo było i jest nadal postrzegane jako poważniejsze zagadnienie, podczas gdy badanie osobistego użytkowania mieszkań nie jest tak traktowane? Czy dlatego, że zamieszkiwanie jest postrzegane jako trywialne lub prywatne, może nawet zbyt osobiste i dlatego krępujące? Być może z tego powodu trudno je skodyfikować i określić, jak o nim mówić w języku naukowym. Zamieszkiwanie odnosi się do sensów i uczuć, a budynki to pewne wymiary, wielkości, materiały. Poczucie bycia u siebie – jak określamy dom – jest trudne do udowodnienia i opisanie. Tym bardziej, jeśli do opisu tego typu miejsc, postaw oraz zachowań dołączmy emocje, a bez nich – jak mi się wydaje i o czym *de facto* będą opowiadać moi

rozmówcy w części piątej – nie da się wyrazić, co znaczy mieszkać w domu. Podążam tutaj za koncepcjami Kinga (2004, 2005, 2006, 2008).

King zauważał, że ludzie, którzy mieszkają, nie zajmują się polityką mieszkaniową jako taką, pomimo że jej w jakimś sensie podlegają, jak choćby te grupy, które są np. ulokowane w mieszkaniach socjalnych (King 2009: 44). Działania podejmowane we własnym lokum wydają się już być poza polem oddziaływania tego rodzaju polityki. Przypisane są jej bowiem takie narzędzia, które nie mają istotnego lub mają niewielki wpływ na praktykę zamieszkiwania. Mieszkanie (tzn. zamieszkiwanie) jest czymś, co według Kinga „po prostu” robimy, lecz prawdą jest, że choć łączy się ono z działaniami bardzo zindywidualizowanymi, podlega szerszym działaniom publicznym i kulturowym, ponieważ zależą one od specyfiki danej kultury. Jednakże polityka mieszkaniowa, w ścisłym znaczeniu tego słowa, jest niewielkim wycinkiem naszego doświadczenia zamieszkiwania. Jim Kemeney – inny kluczowy badacz *housing studies* – twierdził, że rozwój oddzielnej teorii zamieszkiwania i budownictwa nie ma sensu (Kemeney 1992).

King przyznał w zasadzie Kemeney’emu rację i zarazem przestrzegał przed automatycznym stosowaniem pewnych teorii, choćby wydawało się, że nie ma ich czym zastąpić (King 2009: 45–46). Miał na myśli konstrukcjonizm i podejście Foucaultowskie. Zaproponował, aby w celu osłabienia tej tendencji i odświeżenia badań spróbować przyjąć rozwiązanie, jakie sam stosował. Optował za podejściem inspirowanym fenomenologią, które według niego jest bardziej pomocne w badaniu zjawisk i procesów zarówno z zakresu typowego i klasycznego budownictwa oraz mieszkalnictwa, jak i zamieszkiwania i tworzenia domu na poziomie symbolicznym, emocjonalnym oraz psychologicznym. Uważał, że w ramach *housing studies* należałoby zmienić sposób patrzenia na teren, tzn. powinno się go traktować nie tylko jako materiał gotowy do obudowania już dostępnymi teoriami, co jako podstawę pod teoretyzowanie, czyli jako rzecz samą w sobie. Badacz ten uważał, że zajmujący się tematami w ramach *housing studies* powinni tworzyć własne metafory, zamiast opierać się na istniejących. Proponowane przez siebie podejście nazwał „theory building” (King 2009: 47), co przywołuje skojarzenie z tworzeniem teorii, podobnie jak powstaje dom. Według niego, nowe teorie i koncepcje nie występują w próżni społecznej. Pierwszym krokiem powinno być zatem dokonanie fenomenologicznej redukcji zjawiska, aby ustalić, z czym mamy do czynienia i co owo „coś” robi, jak działa, dla i na kogo. Postulował, by zająć się wymiarem doświadczeniowym mieszkania, domu i zamieszkiwania, a dopiero na tej podstawie budować adekwatny korpus pojęć i teorii, które lepiej je opiszą niż wszelkie inne podejścia czerpane spoza owego terenu i jego specyfiki. O tyle np. można wzorować się na Foucaulcie, o ile odtwarza się jego sposób konceptualizowania problemu, zamiast przechwytywać od niego pojęcia. Metoda Foucaulta polegała bowiem na zbadaniu konkretnej przestrzeni historycznej i jej mentalności, aby dopiero wówczas

zaproponować sposoby jej rozumienia. Aby lepiej pojąć, czym jest zamieszkiwanie i koncepcja domu, trzeba zatem zidentyfikować wybrane konteksty i przyglądać się ich znaczeniu oraz działaniu w konkretnych sytuacjach. Nie ma potrzeby wymyślać nowego języka, podobnie jak nie stwarzał go Foucault. Lepiej jest dokonać analizy tego, co jest ważne w wybranej do badań sferze (analogicznie do Foucaulta, gdy posłużył się w swoich analizach terminem „nadzór” oraz „spojrzenie/patrzenie” w znaczeniu kontrolowania i dyscyplinowania, mając na myśli określone praktyki związane z wyobrażeniem kary w oświeceniowej Francji).

King podał przykład pojęcia operacyjnego, które wyrosło na gruncie jego własnych badań: *accomodation*. Było charakterystyczne dla doświadczenia domowości, którą badał. *Accomodation* oznacza według niego stan, gdy żyjemy z innymi osobami w określonym miejscu, utrzymując względną równowagę i godząc się na daną sytuację. Wyraża ono poczucie oswojenia danego miejsca, czyli przyjęcia go za swoje. Ważna jest też w tej sytuacji obecność innych, z którymi utrzymujemy konsensus. Otwiera się tutaj pole dla odczuwania wielu uczuć, na czele z miłością. Miłość wyzwala bezinteresowność i aby doświadczać tego typu relacji, potrzebne jest takie miejsce, jak dom. Wiąż międzyjednostkowa oparta na miłości nie musi odpowiadać wyłącznie relacji łączącej kochanków czy małżonków, może także dotyczyć rodziców i dzieci, rodzeństwa, przyjaciół itd. Możliwość stworzenia związku o takim charakterze i pielęgnowanie go w osobistym zacisku dla wielu osób jest jednoznaczne z sensem domu.

Aby „dom” mógł znaczyć dom we współczesnym znaczeniu tego pojęcia, musiało powstać określone podejście do tego typu miejsca, które pozwoliło postrzegać je jako przestrzeń prywatną, czyli wypełnioną uczuciami i relacjami określonego rodzaju, natężenia i jakości. W ten sposób „dom” mógł funkcjonować jako „magazyn emocji” i jednocześnie przestrzeń psycho-społeczna. Przemiany, które pozwoliły na stworzenie takiego miejsca, rozpoczęły się w XVI w., kontynuowano je w wieku XIX, a obecnie nadal mają miejsce. Hasłem, które podsumowuje to ważne znaczenie domu, jest XIX-wieczne „home, sweet home”. Jednak prywatność domu to raczej mit, a niekoniecznie model przeważający w kulturze rozumianej dystrybucywnie (Jewdokimow 2001: 27). Pomimo tego zastrzeżenia, będzie mnie interesowała prywatność, ponieważ pragnienie bycia u siebie, poszukiwanie tej wartości oraz kreowanie jej – co jest też dokonywane przez osoby w kryzysie bezdomności, mieszkające w schroniskach – strukturalizuje przestrzeń placówek bardzo wyraźnie. Sprawia, że w jej obrębie powstają miejsca imitujące dom. Jak pisałam w części pierwszej, są to bowiem imitacje. Praktyki te przede wszystkim przypominają o głęboko marginalnej pozycji, jaką zajmują osoby doznające bezdomności. Jakikolwiek „dom”, stworzony w tej sytuacji, jedynie przypomina o domu „domowym” z przeszłości czy wymarzonej przyszłości.

Jednak nawet imitacje są „miejscami”, posiadają bowiem konkretne cechy, jakie wnosi i wbudowuje w przestrzeń ich twórca/twórczyni – zgodnie z koncepcją Yi-Fu Tuana na temat tego, co znaczy miejsce (Tuan 1987).

Swojskość miejsca zwanego z tego powodu domem – jego „mojość”, jak pisze Jewdokimow (2011: 29) – jest efektem modernizacji stylu życia i rozkwitu miejskiej klasy średniej, począwszy od XVIII w. Dom był przez ową klasę traktowany jako przeciwieństwo sfery publicznej, zresztą takie podejście sięga już starożytności i podziału na *oikos* i *polis*. Dom może być też traktowany jako miejsce, gdzie ujawnia się niejednorodność przestrzeni (Eliade 1996).

Ujęcie domu na sposób symboliczno-fenomenologiczno-hermeneutyczny, jak i historyczno-materialny oraz reprezentujące *housing studies*, są sobie bliskie. Kierują bowiem naszą uwagę na wytwarzanie, działanie i procesualność. Dom jest „jednostką świata przeżywanego” (Rakowski 2009: 205), czyli „każdy swoisty przedmiot kultury występuje z reguły w sposób dwoisty: w swojej funkcji bezpośredniej, kiedy to obsługuje określoną sferę konkretnych potrzeb społecznych i funkcji metaforycznej, gdy jego cechy przenosi się na szeroki krąg faktów socjalnych, których modelem się staje” (Łotman 1978: 46).

Kloszardzi
grają w chowanego.
Zawsze się za czymś kryją.
Zawsze są gdzie indziej
albo z boku.
My zaś, by ich zrozumieć,
musimy wybaczyć im tę
skłonność do wycofywania się,
transgresji

(Declerck 2001: 10–11)

3. Bezdomność i osoby doświadczające bezdomności

3.1. Obraz językowy

Osoby doświadczające bezdomności nie mają tożsamości grupowej, choć niektóre nabywają umiejętności adekwatne i przydatne do prowadzenia tego rodzaju egzystencji (np. żebranie, zbieranie surowców wtórnych; pomoc w pakowaniu zakupów do koszyka lub samochodu itp. za datek lub jedzenie).

Próby doprecyzowania, co znaczy bezdomność i kim jest jej doznający – jak zauważył Patrick Declerck – upraszczają te kwestie. Definicje i ujęcia mogą się odwoływać do określonej społeczno-kulturowej tradycji lub też odnosić się do zasad, według których próbuje się uporządkować doświadczających bezdomności, tworząc rozmaite kategorie i podgrupy, głównie w celach administracyjnych i statystycznych (Declerck 2001: 10).

W kulturze polskiej „bezdomny” wszedł do słownictwa na przełomie XVIII i XIX w. i początkowo określano tak ofiary wojen i powstań (Szluz 2010a: 16). Potem słowo to zaczęło się pojawiać w dokumentach prawnych i odnoszono je do osób, które utraciły dom z różnych przyczyn. Po 1918 r. w Polsce uchwalono *Ustawę o opiece społecznej*, gdzie nie pojawiła się definicja bezdomności, lecz powołano opiekę społeczną, której zadaniem miało być zaspokajanie potrzeb życiowych osób, które „trwale lub chwilowo nie dysponują własnymi środkami materialnymi lub własną pracą uczynić tego nie mogą” (*Ustawa o opiece...*). Opieką objęto osoby bezdomne, czyli ciężko poszkodowanych i ofiary wojenne. W rozporządzeniu Prezydenta z 14 października 1927 r. o przeciwdziałaniu żebractwu i włóczęgostwu wyłączono te dwie kategorie z bezdomności (*Rozporządzenie Prezydenta RP...*). Zatem inną pomoc przewidywano dla bezdomnych, a inną dla żebraków, włóczęgów, alkoholików i prostytutek. To dla tych ostatnich podgrup zakładano przytulki, domy pracy dobrowolnej i przymusowej, co określił z kolei Minister Pracy i Opieki Społecznej w 1929 r. (*Rozporządzenie Ministra...*). Te akty prawne wyjaśniają również, że włóczęgostwo miało wynikać z własnego wyboru i było oparte na określonym światopoglądzie, zaś żebrakiem określały osobę, która zawodowo wypraszała dla siebie jałmużnę w jakikolwiek sposób. Współczesna, prawna definicja bezdomności, zapisana w *Ustawie o pomocy społecznej z 12 marca 2004 r.*, powiada, że za osobę bezdomną należy uważać jednostkę

niezamieszkującą w lokalu mieszkalnym w rozumieniu przepisów o ochronie praw lokatorów i mieszkaniowym zasobie gminy i niezameldowaną na pobyt stały, w rozumieniu przepisów o ewidencji ludności, a także osobę niezamieszkującą w lokalu mieszkalnym i zameldowaną na pobyt stały w lokalu, w którym nie ma możliwości zamieszkania (*Ustawa o pomocy...* 2004: art. 6, p. 8).

Istniejące w polszczyźnie synonimy „bezdromności” można traktować jako pojęcia języka naturalnego, który odbija wiedzę potoczną, stanowiącą jego zaplecze. Możemy zatem spotkać określenia: tułactwo, włóczęgostwo, bezpańskość (<http://synonim.net/synonim/be...>). Znaczenia te odsyłają do sposobu życia, który polega na byciu w ruchu, ale mobilność związana jest z brakiem przypisania, czyli z brakiem posiadania własnego miejsca, jakim jest dom. „Bezdomność” można zastąpić ewentualnie takimi określeniami, jak: samotność, porzucenie, osamotnienie, osierocenie (<http://synonim.net/synonim/be...>). Wskazują one na stan emocjonalny oraz sytuację egzystencjalną, w tym międzyludzką, osoby nazywanej bezdomną. Nie tylko nie ma niczego (?) własnego, ale jest też pozbawiona bliskiego kontaktu z innymi. Sens bezdomności, jaki ujawnia się poprzez interpretację powyższych określeń, zasada się na tym, że „dom” znaczy nie tylko przestrzeń, zatem konkretne, materialne miejsce, ale też relacje międzyludzkie¹³.

Dla dopełnienia językowego kontekstu bezdomności, z jakim mamy do czynienia w polszczyźnie, przytoczę przykłady z innych języków, przede wszystkim angielskiego i francuskiego. W angielszczyźnie można wyróżnić wiele synonimów „bezdromności” i „bezdromnego” („homless”, „homelessness”). Są to: displaced, destitute, dispossessed, derelict, down-and-out, itinerant, outcast, refugee, vagabond, vagrant, wandering, abandoned, banished, deported, desolate, disinherited, estranged, exiled, forlorn, forsaken, friendless (<http://thesaurus.com...>). Słowa te odnoszą się zarówno do sytuacji egzystencjalnej, materialnej, tożsamościowej, jak i do okoliczności, które sprawiają, że dana osoba staje się bezdomna (uchodźstwo, banicja, deportacja, wyobcowanie, izolacja)¹⁴. Opisują wyrzucenie jednostki poza obręb wspólnoty, czyli poza dom, rozumiany w sensie dosłownym, jak i szerszym – metaforycznym. Osoba taka jest naznaczona piętnem nieprzypisania, jak trafnie zauważyła Monika Oliwa-Ciesielska (Oliwa-Ciesielska 2006).

We francuszczyźnie zakresy słów „bezdromność” i „bezdromny” są podobne, choć wśród określeń występujących w językach narodowych spotkać można niuanse znaczeniowe, które nieco inaczej kształtują pola semantyczne tych pojęć. W języku francuskim mamy do czynienia z następującymi zamiennikami: sans-abri, truand, chemineau, vagabond, sans domicile fixe, itinérant, sans-logis, clochard. Określenia francuskie, częściej niż polskie i angielskie, odnoszą się do braku domu, siedziby,

13 Jak wyjaśniał Marc Augé, pojęcie miejsca w sensie tradycyjnym, w oczach etnologów, antropologów kulturowych i przedstawicieli innych nauk, wiązało się z „[...] kulturą zlokalizowaną w czasie i przestrzeni” (Augé 2010: 20), co oznacza tworzenie relacji i poczucie tożsamości: „Rodzić się znaczy rodzić się w pewnym miejscu, być przypisanym do pewnego miejsca zamieszkania. W tym sensie miejsce narodzin jest konstytutywne dla tożsamości jednostkowej” (Augé 2010: 34).

14 Więcej na temat wyzwick i potocznych określeń bezdomnych na stronie brytyjskiego serwisu językowego: <http://www.macmillandictionary.com>.

dachu nad głową, miejsca określającego pobyt i przynależność. Podkreślają aspekt przemieszczania się, bycia „człowiekiem luźnym”¹⁵ i w drodze. W mniejszym stopniu jednak niż w angielszczyźnie uwypukla się przyczyny bezdomności (w języku angielskim raczej plasuje się je na zewnątrz). Podobnie jak mniej jest wyrażen wśród synonimów francuskich w porównaniu z polskimi, które zwracają uwagę na stan psychiczny osób bezdomnych, a ten aspekt jest akcentowany w polszczyźnie.

Irene Glasser i Rae Bridgman (2004: 240) wymieniają określenia wywodzące się z jeszcze innych języków i tym samym z innych tradycji postrzegania bezdomności. Dzieli je na dwie kategorie. Pierwsza obejmuje terminy mówiące o braku schronienia/ domu oraz o zerwaniu więzi z innymi. Zaliczają się do niej określenia, które wprost mówią o życiu bez dachu nad głową i bez stałego adresu. Druga grupa obejmuje pojęcia odnoszące się do ruchliwości osoby bez domu, czyli życia jak „niebieski ptak”, czyli osoba bez zobowiązań, „brat lata”, który porusza się często na granicy prawa lub znajduje się poza nim. Badacze podali też np. określenie funkcjonujące w Ameryce Łacińskiej – „desamparado”. To ktoś, kto nie zawiera relacji z innymi, kogo nikt nie wspiera, nie chroni i o kogo nikt się nie troszczy, z wzajemnością. Przytoczyli również określenie fińskie – „puliukko”. Dosłownie oznacza starszego wiekiem alkoholika, ale w sensie utartym jest to słowo na określenie osoby żyjącej w bezdomności, ponieważ w takim kontekście kulturowym się ją tam postrzega (Gessler, Bridgman 2004: 240).

Prefiksy i sufiksy „bez”, „sans”, „less” itp. wskazują zatem na podstawową cechę osoby doznającej bezdomności, czyli wspomniany b r a k. Osoba taka jest pozbawiona „domności” i „domowości” (Buczyńska-Garewicz 2006: 219), co oznacza więcej niż fizycznie rozumianą siedzibę.

„Domność” to termin obecny przede wszystkim w żargonie organizacji pozarządowych i wśród samych bezdomnych (np. Łojewska 2006). Jest to określenie stawiane w opozycji do „bezdomności”¹⁶. Jednak, co podkreśliło np. Stowarzyszenie „W Pół Drogi”:

15 Według Słownika PWN „ludzie luźni, [...] hultaje, ludzie swawolni, wagabundzi, wałęsy, włóczęgi, w późnym średniowieczu i czasach nowożytnych do schyłku XVIII wieku kategoria ludności nieposiadająca majątku, stałego miejsca zamieszkania i stałego zajęcia, a w rezultacie niepozostająca w zależności osobistej i nieobciążona powinnościami na rzecz klasy feudalnej” (<http://biznes.pwn.pl/index.php?module=haslo&id=3934666>).

16 Np. Stowarzyszenie Pomocy Wzajemnej „Być Razem” powołało drużynę piłki nożnej Drużyna DOMNI Cieszyn. Powstała w związku z Turniejem Piłki Nożnej Drużyn Bezdomnych w ramach Festiwalu Sztuki Bezdomnych w Cieszynie. Jak jest napisane na ich stronie: „Zauważyliśmy, że regularny trening oraz motywacja i mobilizacja przed zawodami, mają odzwierciedlenie w motywacji do życia, do DOMNOŚCI [...]” (<http://domnieszyn.futbolo-wlo.pl/menu,2,o-druzynie.html>; dostęp: 14.02.14). „Domność” pojawiała się także w tytule reportażu Będę domny (scenariusz i realizacja: Monika Michalak, Edyta Mikołajczyk). Był on zrealizowany przez TVP Info. Co ciekawe, autorki materiału podały tylko imiona osób bezdomnych: widzowie mieli do czynienia z Marcinem, Magdą i Januszem, którzy opowiadali o swoim życiu (<http://www.jadlodajnia-miodowa.org/index.php/106-reportaz-qbede-domnyq>; dostęp: 14.02.14). „Domność” pojawia się też w nazwie programu „BEZ-domni” Stowarzysze-

Stawiamy znak równości między osobami BEZ-domnymi i „domnymi”. Propagujemy społeczną świadomość w obszarach: określenia i uświadamiania stereotypu osób bezdomnych; nagłaśniania sposobów funkcjonowania stereotypów; rozumienia definicji i pojęć bezdomność, osoba bezdomna; uświadamiania przyczyn bezdomności; upowszechniania praw i potrzeb osób bezdomnych (<http://www.wpoldrogi.org/index.php/bez-domni.html>).

Wprowadzenie tego słowa zaznacza jakościową różnicę pomiędzy dwoma sposobami funkcjonowania – z domem i bez niego. Stworzenie słowa na określenie posiadania własnego dachu nad głową, czyli „domności”, wyodrębnia ów aspekt życia, który traktowany jest potocznie jako naturalny. W myśl zwyczajowego i nierefleksyjnego oglądu rzeczywistości, to właśnie bezdomność należy traktować jako coś anormalnego. Stworzenie terminu „domność” odwraca „naturalną” logikę i ukazuje, jak swoiste jest życie prowadzone pod dachem własnej siedziby nazywanej domem. Także ono wymaga określonych środków i zasobów kulturowych. Z tego powodu nie jest zrozumiałe czy dane samo przez się, skoro do prowadzenia życia „domnego” potrzebne są umiejętności, te zaś nabywa się dzięki funkcjonowaniu w określonym otoczeniu.

Obserwacja doznających bezdomności, zwłaszcza przebywających w ośrodkach pomocy, ukazuje, które zachowania i działania służą do tego, by stworzyć własne otoczenie, czyli wytyczyć granice; rozpoznać, kim się jest i do czego się przynależy. Na tym m.in. polega tworzenie domu i zamieszkiwanie. Wcielanie tego typu idei ma swoje fazy i toczy się z różnym natężeniem. Jak zauważył Maciej Brosz, badając osoby tworzące swoje wnętrza mieszkalne od podstaw, w nowym miejscu:

stwarzanie przestrzeni mieszkalnej – jej codzienne urabianie – ma w sobie coś z wydeptywania ścieżek, utrwalania scenariuszy. [...] Stan twórczego uniesienia, który towarzyszy aktywnemu urządzaniu mieszkania czy konkretnego pomieszczenia znika, gdy przestrzeń ta zaczyna być używana na co dzień, bez udziału świadomości, jako tło innych wydarzeń. Wszak wytwarzanie przestrzeni indywidualnej [...] to jej unawykwienie (Brosz 2012: 213).

„Domowość” – jako pojęcie integralnie związane z domem – dotyczy wewnętrznego przeżywania domu, doznania i atmosfery, jaką przesycona jest przestrzeń i miejsce zwane „domem”. „Domowość”, jak i „dom”, są w zasadzie pojęciami tautologicznymi. Coś staje się „domem”, dzięki zamieszkiwaniu jako „domu”, zatem życiu i byciu na sposób „domowy”. Synonimy dla „domowości” i „domowego” to m.in.: codzienny, gospodarski, krajowy, kuchenny, lokalowy, mający miejsce w domu, mieszkalny, mieszkaniowy, nieobcy, nieoficjalny, nieurzędowy, odbywający się pod dachem, odbywający się w domu, ojczysty, oswojony, powszedni, prywatny, rodowy, rodzimy, rodzinny, swojski, swój, własny, zwyczajny (<http://synonim.net/synonim/>

nia „W Pół Drogi”. Program ten był skierowany do „[...] osób pozostających przede wszystkim BEZ: domu, pracy, rodziny, opieki, wsparcia, zrozumienia, akceptacji, życiowych perspektyw” (<http://www.wpoldrogi.org/index.php/bez-domni.html>; dostęp: 14.02.14).

domowy). Wyraźnie akcentowane są tutaj bezpieczeństwo, intymność i prywatność, sprzyjające komfortowi życia. Komfort zaś nie musi oznaczać czegoś drogiego w sensie materialnym, raczej osobność i bezpieczeństwo w kontraście do tego, co na zewnątrz¹⁷.

Tak bardzo subiektywne odczucia starano się ująć w ramy międzynarodowych konwencji i aktów. W 1987 r. w Limuru (Kenia), podczas konferencji na temat bezdomności i minimum mieszkaniowego, stworzono Deklarację z Limuru. Określono na jej łamach „dom” jako schronienie zapewniające niezbędny komfort i podstawowe wygody, jak np. dostęp do wody pitnej, możliwość ochrony, dostęp do opieki zdrowotnej (Glasser, Bridgman, *op. cit.*: 241).

Poza tym, co można wywnioskować na podstawie różnych społecznych diagnoz, „home”, który plasuje się raczej po stronie emocji, postaw i zachowań, jest bardziej uniwersalny niż „house”. Ten jest rozumiany jako pewna konstrukcja i przedmiot. Jednak zarówno „home”, jak i „house” zależą od uwarunkowań danej kultury lokalnej.

Dotknięci bezdomnością dzielą charakterystyczne dla takiego sposobu życia problemy (od zdrowotnych, po interpersonalne). Anna Duracz-Walczak i Tamara Uliasz twierdziły, że są oni „przeważnie samotnikami z usposobienia, czy też z doświadczenia” (Duracz-Walczak, Uliasz 1996: 37). Przekłada się to na sposób kontaktowania z nimi, ponieważ najczęściej demonstrowują negatywne nastawienie do wchodzenia w relacje. Dzieje się tak, ponieważ są „obezwładnieni skalą i głębokością problemu, co wywołuje reakcje podobne do przewlekłej i silnej sytuacji stresowej” (eadem, *op. cit.*: 48). Odczuwają rozpacz, zubożenie, złość oraz podejmują takie działania i zachowania, które ugruntowują ich sytuację. Pograżeni są w poczuciu beznadziejności, nie widzą realnej możliwości poprawy, a gdy taki stan trwa coraz dłużej, sytuacja się pogarsza. Tam, gdzie zaczyna brakować elementów trwałego oparcia, zatem domu i domowości, „destabilizacji ulegają inne obszary życia, ogranicza się tym samym możliwość zaspokojenia kolejnych potrzeb” (eadem, *op. cit.*: ibidem).

3.2. Korzenie zjawiska

W przypadku znanych mi osób pozostających w kryzysie bezdomności, trudno mówić, że wybrały taki sposób życia. Bezdomność jest skomplikowanym zjawiskiem: „można nie mieć domu i nie uważać się za osobę bezdomną oraz mieć dom i uważać się za osobę bezdomną” (Somerville 1992: 530, za: Jewdokimow 2007: 126).

Część moich rozmówców i rozmówczyń wzbraniała się przed słowem „bezdolny/bezdomna” w odniesieniu do siebie. Robili tak z niechęci do bycia stygmatyzowanymi.

17 Więcej na temat zmiennych w historii kultury koncepcji intymności i prywatności oraz roli, jaką w tych aspektach odgrywał dom, zob. opracowanie Bienko 2013.

Nie spotkałam w trakcie badań osoby, która chciała żyć w bezdomności. Mógł to być scenariusz wynikający z warunków, w jakich się znalazła (np. gdy po opuszczeniu więzienia nie miała dokąd pójść). O wyborze nie sposób także mówić w przypadku uzależnionych, dla których wyjście z bezdomności łączy się z zerwaniem z nałogiem (najczęściej alkoholowym). Duża część niemających domu alkoholików (głównie mężczyźni) nie chce przestać pić. Pozostają poza schroniskami, ponieważ placówki stawiają warunek trzeźwości.

Trudno wskazać na swoiste i wyjątkowe dla doświadczających bezdomności zwyczaje, które z biegiem czasu obrastałyby tradycją¹⁸. Podobnie trudno badać ich w „rodzinnym” otoczeniu. Życie bezdomne wyłącza, jest to egzystencja prowadzona najczęściej w pojedynkę, rzadko z innymi, choć istnieją grupki czy pary (mieszane i nie).

Wskazując na historyczne korzenie bezdomności, przede wszystkim należy wymienić tzw. ludzi luźnych. Była to bardzo zróżnicowana zbiorowość, charakterystyczna dla epoki przednowożytnej i wczesnej nowożytności.

„Luźni” to inaczej hultaje, ludzie swawolni, wagabundzi, włóczędzy i wałęsający się. Takim terminami nazywani byli w epoce wczesnonowożytnej ci, którzy nie mieścili się w kategoriach ówczesnego społeczeństwa stanowego (Cichy 2011: <http://wiedzaiedukacja...>)¹⁹. Nie udawało się ich zakwalifikować ani do szlachty, ani do mieszczaństwa i chłopstwa, ani do kleru, ani do żołnierzy zawodowych. Do tej grupy należała też częściowo służba domowa, ponieważ często zrywała kontrakty z pracodawcami i szukała kolejnego zajęcia. To właśnie z ludzi „luźnych” miała się rekrutować w XIX w. wczesnokapitalistyczna klasa robotnicza (Neyman 1966: 59). Badacze wskazywali, że do ludzi „luźnych” należeli też uczciwie zarabiający, pracownicy najemni, sezonowi, wędrowni rzemieślnicy, ludzie związani z handlem, flisacy, furmani, obnośni sprzedawcy, wędrowni weterynarze, znachorzy, artyści, niedźwiedzicy i byli majstrowie, którzy utracili warsztaty. W składzie „luźnych” znajdowali się też tacy, którzy byli określani jako „margines społeczny”, czyli zdemobilizowani żołnierze (często wędrujący w grupach), dezerterzy, żebracy, prostytutki, złodzieje i inni przestępcy oraz chłopci uciekający przed wojskiem, a także osoby szukające pracy w mieście (synowie chłopscy, mieszczańscy i szlacheccy), skrzywdzone przez ludzi dziewczęta ze wsi, skłócenie z rodziną, z prawem lub z dawnym pracodawcą (Frančič 1967). Nikt z nich nie posiadał majątku, stałego miejsca zamieszkania i stałej pracy. Ich więzi z rodziną były słabe lub nie istniały.

18 Katia Michajłowa podaje odnalezione w literaturze oraz spisane przez nią same, znaki z języka graficznego i słowa z żargonu dziadów, jakie zbierano z terenu całej Słowiańszczyzny od XIX w. Dziady zaś można uznać za jedną z kategorii pokrewnych w kulturowym sensie dzisiejszym bezdomnym (Michajłowa 2010: 258–286).

19 Z literatury polskojęzycznej o ludziach „luźnych” w średniowieczu (zob. Geremek 1989a, 1989b, 2003).

Upatrywano w nich zagrożenia, dlatego powstały specjalne statuty i inne akty prawne, które regulowały ich status, sposób postępowania z nimi oraz ich zachowanie. Np. w *Statucie Wiślickim* z 1347 r. nie tylko zawarto regulacje dotyczące życia rodzinnego, lecz jego zapisy poprawiały też sytuację dzieci nieślubnych, sierot i dotkniętych upośledzeniami, czyli potencjalnych tułaczy (Lipski 2010: 311). W 1496 r. powstał *Statut Jan Olbrachta*, który zawarto w konstytucjach Sejmu Piotrkowskiego. Stał się później podstawą dla dalszego ustawodawstwa dotyczącego grupy „luźnych” (akty prawne z lat: 1519, 1523, 1588 i 1678) (Lipski, *op. cit.*: 311; Cichy, *op. cit.*: ibidem). Statut ten był wzorowany na ustawach z Francji (1350) oraz Anglii (1360, 1381 i 1388) (Lipski, *op. cit.*: 310). Na jego mocy zakazano żebractwa, jednocześnie podając warunki, na których je dopuszczano. Według Stanisława Lipskiego, wyrażało to sprzeczność tkwiącą w ówczesnej mentalności: z jednej strony negowano żebractwo jako skazę, a z drugiej, pozostając wiernym duchowi kościelnemu – wartościowano dodatnio samo jałmużnictwo.

Statut Jana Olbrachta zobowiązał magistraty i plebanów wiejskich do liczenia ubogich i odróżniania prawdziwych od fałszywych. Po weryfikacji prawdziwi powinni nosić zewnętrzne, identyfikujące ich „stygmaty” (Lipski, *op. cit.*: 311). „Hultajów”, jak określono bezprawnie żebrzących, czyli nieprawdziwych biednych, należało zaś łapać i odsyłać do wykonywania prac typu sypanie fortec. Poza tym, magistraty oraz właściciele ziemi powinni ustalić, jaką liczebność ludzi „luźnych” są w stanie tolerować u siebie (Lipski, *op. cit.*: ibidem). Mieszczanom zabroniono zatrudniania ludzi „luźnych” na krócej niż rok, jeśli nie mieli stałego miejsca zamieszkania i nie mogli przedstawić listów zwalniających ich z pracy lub poddaństwa.

Jeden z badaczy osób „luźnych”, Mirosław Frančič (idem, *op. cit.*), próbował wskazać na przyczyny ich pojawiania się w przeszłości. Po pierwsze, miały stać za tym powody strukturalne (dominujące), do których Frančič zaliczył rozwarstwienie i biedę panującą na ówczesnej wsi, co zmuszało do poszukiwania nowych źródeł utrzymania i rozwoju systemu pracy najemnej. Po drugie, za przekształceniem się w człowieka „luźnego” stały sytuacje przypadkowe i osobnicze, jak wojny, dezercje, ucieczka przed poborem, klęski żywiołowe i inne, obawa przed potępieniem społecznym oraz karą czy konflikty osobiste.

Do osób nieprzypisanych i znajdujących się poza kategoriami zaliczano żebraków, w tym uprawiających kiedyś ten proceder, tzw. dziadów i baby (Gloger 1901: 93; 1903: 514; Krzyżanowski 1973; Michajłowa 2010 oraz także Lehr 2007²⁰).

Stosunek do dziadów wędrownych, np. na Słowiańszczyźnie, był niemal sakralny (Michajłowa 2010: 97–138), szczególnie do modlących się, wędrujących przez sank-

20 Wspomniana praca Urszuli Lehr traktuje już o współczesnych żebrakach miejskich. Zarówno jej opracowanie, jak i książka autorstwa Michajłowej, posiadają najbardziej wyczerpującą bibliografię dotyczącą dziadów i żebractwa z terenów Słowiańszczyzny w dawnej kulturze typu ludowego oraz odnoszącą się do tych zagadnień współcześnie.

tuaria. W jakimś sensie wiązało się to z upatrywaniem w nich pośredników między Bogiem a człowiekiem. Przypisywano im kontakt z zaświatami i śmiercią. Chrześcijaństwo wzmocniło wymiar świętości i niezwykłości wędrowców, kładąc nacisk na moralny walor ubóstwa i pomocy potrzebującym. Obie te postawy traktowano jako cnotę. W biedakach widziano wybranych, pozbawionych ziemskich dóbr i przywilejów, aby wieść specjalne życie (ibidem: 104–105), pomimo (lub dlatego) że często posiadali jakąś dysfunkcję fizyczną lub mentalną, a ten rodzaj stygmatu naznaczał mocno, szczególnie w kulturach typu ludowego. Podchodzono do takich cech negatywnie i osoby nimi naznaczone odsuwano od wspólnoty. Wędrowcy, biedacy i bezdomni, w tym osoby charakteryzujące się dysfunkcjami różnego rodzaju, byli jednak objęci specjalnym patronatem Kościołów chrześcijańskich. Już zresztą w starożytności mieli przyznane specjalne miejsce przed świątyniami. Nadal też przy kościołach różnych wyznań fundowano dla nich szpitale i przytułki (Michajlowa 2010: 106). Świeccy możnowładcy przeznaczali na nich środki pieniężne, początkowo powierając duchowieństwu dbałość o biednych.

Model duchowości i świętości zmieniał się wraz z nowymi prądami społecznymi i filozoficznymi. Gdy w oświeceniu osłabł ideał ascety, przemianie uległ stosunek do żebraków i innych biednych. Nadal działały zakłady opiekuńcze, ale zaczęto uszczelniać prawo i nie tylko zakazywać, lecz i karać za żebractwo i wałęsanie się oraz nakazywać ludziom „luźnym” przebywanie w ściśle określonej liczbie w określonych dobrach, pod opieką właścicieli prywatnych lub władz miejskich. Mogli oni wydzielać im miejsce do żebrania lub zatrudniać przy różnych pracach, wpisując niejako w swój stan posiadania. Chorych włóczęgów umieszczano w szpitalach, a nadliczbowych „luźnych” wydalano poza granice posiadłości i miasta (Gloger 1903: 514; Krzyżanowski 1973: 19).

Osoby doznające bezdomności wymykały się, i nadal wymykają, „normalnej” codzienności, czyli codzienności osób posiadających dom („house” i „home”). Z jednej strony, pozbawieni domu czy ograniczeni w dostępie do takowego, są niewidzialni – niedostrzegalni. Z drugiej – obecność niektórych z nich wręcz się narzuca. Ci drudzy to osoby żyjące w warunkach niemieszkalnych, czyli na ulicy, w pustostanach, na działkach itp., gdzie zachowanie higieny jest trudne lub niemożliwe. Najczęściej to mężczyźni i oni kształtują wyobraźnię masową, kim jest i jak żyje osoba bez domu. Stanowią tylko część tej zbiorowości. Bardzo duży jej procent, o ile nie większość (zwłaszcza kobiety i dzieci), przebywa na terenie rozmaitych schronisk, noclegowni lub tuła się jako przygodni sublokatorzy u znajomych czy rodziny. W takich warunkach relatywnie łatwiej zadbać o siebie i nie odróżniać się na pierwszy rzut oka od „domnych”. Jednak obie grupy doznających bezdomności posiadają specyficzne doświadczenia wpływające na perspektywę, z jakiej postrzegają rzeczywistość. Poru-

szają się w ramach dyskursu zakazów, wymogów oraz negatywnych ocen i (samo) obwiniania, także pretensji, jakie wysuwają wobec innych.

Stanowią odpowiednik dawnego dziada, żebraka, włóczęgi i podobnie jak oni, współcześni „ludzie luźni” nie wszędzie mają wstęp. Ukazuje to poniższy wybrany przeze mnie fragment artykułu prasowego:

Dyrektor Departamentu Eksploatacji Nieruchomości PKP Jacek Nowak wysłał [pismo – I.B.K.] 8 stycznia. W piśmie czytamy m.in.: „W związku z rozdawaniem przez funkcjonariuszy Straży Miejskiej posiłków dla osób bezdomnych przy Dworcu Warszawa Wschodnia w dniu 3 stycznia ok. godz. 15 na terenie kolejowym, uprzejmie informuję, że PKP S.A. nie wyraża zgody na realizację tego typu przedsięwzięć na terenie i wokół dworca”. Dyrektor Nowak podnosi dodatkowo, że kolej stara się zapewnić odpowiedni poziom usług dla pasażerów i mieszkańców korzystających z dworców i terenów kolejowych, a obecność tam osób bezdomnych powoduje „dyskomfort wśród pasażerów i mieszkańców oraz spadek poziomu poczucia bezpieczeństwa z uwagi na zaczepianie, żebractwo, brak utrzymywania higieny osobistej, a często stan upojenia alkoholowego”. Na dworcach umieszczone zostały wykazy noclegowni i schronisk. Poza tym agenci ochrony zatrudnieni na dworcach pouczają bezdomnych o tym, gdzie mogą szukać pomocy – zapewnia dyr. Nowak. Przypomina też, że budynek dworca kolejowego jest budynkiem użyteczności publicznej i prawo nie zezwala na dokarmianie tam bezdomnych czy przebywanie tam w celach noclegowych. – Mając na względzie szlachetność podejmowanych przez straż działań, prosimy o realizowanie ich w miejscach do tego przeznaczonych jak noclegownie czy schroniska – prosi dyr. Nowak (<http://www.rp.pl/artykul/182403,968499-Kolej-nie-dokarmiac-bezdomnych.html>, art. z 10.01.2013).

Gdy bezdomny wchodzi w przestrzeń publiczną, znajduje się w niej na określonych warunkach. W ten porządek wpisują się np. praktyki mieszkanek noclegowni. Na jej terenie mogą robić niewielkie pranie i są zobligowane do dbania o własną higienę. Gdy była taka możliwość i potrzeba, dostawały nowe i czyste ubrania (te skrajnie brudne i zniszczone są od razu odbierane od nowo przybyłej i palone później przez personel). Zgodnie z regulaminem noclegowni, wychodziły z niej na cały dzień. Większość z nich nie ma pracy, szukały zatem miejsc, by się gdzieś „podziać”, co było szczególnie ważne przy niepogodzie oraz jesienią i zimą. Noclegownię muszą opuszczać (jeśli nie są chore) o 8:00 rano i wracają do niej dopiero po mniej więcej dziesięciu godzinach. By przeczekać ten czas, trafiają najczęściej do galerii handlowych. Najważniejsze jest tam, aby nie usnąć na rozstawionych w *mallach* ławkach w miejscach spacerowych i strefach gastronomicznych. Ochrona nie interesowała się nimi, dopóki nie zaczynały spać – czasami się to zdarzało, gdy były znużone. Samo zaś przechadzanie się koło sklepów, po pasażach, przysiadanie tu czy tam, czytanie, rozwiązywanie krzyżówek, było sposobem na przeczekaanie dnia i spędzenie go w pobliżu bezpłatnych toalet w bezpiecznym, pozostającym pod ochroną miejscu. By nie przyciągać uwagi strażników i pracowników sklepów, unikają wchodzenia do butików,

supermarketów, nie przebywają też zbyt długo koło punktów z jedzeniem. Większość z nich nie ma za co dokonywać zakupów, więc przebywanie na terenie stoisk mogłoby wzbudzić niepokój i narazić je na wyproszenie nie tylko z pojedynczego sklepu, ale w ogóle z galerii handlowej.

Oliwa-Ciesielska, opierając się na swoich badaniach, pisze także o samoalienowaniu się takich osób w przestrzeni publicznej (ibidem: 43), co wynika z reakcji zwrotnej, jaką w sobie kształtują po spotkaniach z „domnymi”. Bezdumni ulegają depersonalizacji – co jest rezultatem dezindywidualizacji, jaką przechodzą. Polega na tym, że oczach innych tracą cechy osobowe i postrzegani są jako zunifikowani, w dodatku pozbawieni statusu i pozycji. Patrzy się na nich przez pryzmat stereotypu bezdomności, który obejmuje biedę, niezaradność i brud (ibidem: 53). Dlatego wydziela się im określone strefy (specjalnie dla nich przygotowane, jak schroniska, noclegownie, przytuliska, ogrzewalnie itp.). Jednak w pewnej części doznający bezdomności (najczęściej wyszukujący sobie miejsca do życia w przestrzeni miasta „na dziko”), „rekwirują publiczne miejsca, [...] np. dworcowe poczekalnie, mimo że budzi to społeczną niechęć” (ibidem: 54). Według badaczki, owe rekwizycje, pomimo że doznających bezdomności spotykają za nie różnego rodzaju reperkusje (ignorowanie – unikanie – wyrzucanie), oznaczają być może „wołanie o społeczne uczestnictwo”. Tym można tłumaczyć ich wychodzenie na ulicę, w tłum: stają się w ten sposób widocznymi, choć najczęściej przeszkadzają (ibidem: 64). Wyjścia z ukrycia są nie tylko spowodowane obniżonym progiem wstydu i zobojętnienia na swój stan (gdy nie pytają siebie „co inni o mnie powiedzą?”), lecz wynikałyby z chęci włączenia się, bycia wśród innych (choć nie znaczy to, że z innymi).

W odbiorze potocznym osoby żyjące na ulicy wyróżniają się najbardziej. Negatywnie naznaczają miejsca, które później są niechętnie użytkowane przez innych. Wydzielanie tym osobom specjalnych miejsc chroni publiczny przestrzenny ład przed przekraczaniem różnych norm, najczęściej higienicznych, utożsamianych z estetycznymi. Jak określił to jeden z bohaterów reportażu telewizyjnego autorstwa Beaty Januchty *Wyobcowani* – „*Autoportret bezdomności*” w *Domku Romańskim* (grudzień 1999 – styczeń 2000)²¹: „bezdumność jest nieestetyczna, brudna, lepka, śmierdząca [...], nieprzyjemna, bełkotliwa”. Orowadzający wraz z nim po wystawie fotograficznej jej autor i zarazem ówczesny kierownik schroniska dla bezdomnych dodał, że „wiele razy lekarz nie potrafi przełamać [...] niechęci [...], żeby pomóc i wtedy pisze, że osoba nie nadaje się do hospitalizacji”.

Do pewnego czasu w zachodniej kulturze panowała jednak „międzyklasowa równość w brudzie” (Ashenburg 2009: 146). Trwała do mniej więcej XIX w. i rewolucji przemysłowej. Wówczas pogłębił się kontrast między klasą posiadającą a robotnikami

21 Był to bezdumny mieszkający wówczas w schronisku TPBA we Wrocławiu, którego lokatorzy byli uwiecznieni na zdjęciach.

i biednymi na tle stosunku do czystości ciała, ubrań i wnętrz mieszkalnych. Katherine Ashenburg przytoczyła notatkę Somerseta Maughama z 1922 r., że „poranna kąpiel dzieli klasy skuteczniej niż urodzenie, bogactwo czy wykształcenie” (ibidem: 149). W podobnym duchu wypowiadano się po drugiej stronie kanału La Manche już w XIX w.:

ci, którzy nie myją rąk, będą zawsze nienawidzić tych, co ręce myją, ci zaś, co ręce myją, będą zawsze gardzić tymi, którzy ich nie myją. Nigdy ni zdołacie ich połączyć, nigdy nie będą mogli żyć razem [...], albowiem jest coś takiego, czego nie sposób przezwyciężyć: wstręt, i coś innego, czego nie można znieść: upokorzenie (Corbin 1998: 184).

Poza tym biedni, mimo że mieli możliwość korzystania z publicznych łaźni miejskich, nie myli się, ponieważ nie widzieli w tym sensu. Traktowali tę czynność jako niebezpieczną (zagrożającą życiu i zdrowiu) oraz wyczerpującą siły.

Utrzymanie higieny, zwłaszcza przez osoby należące do grup marginalizowanych, miało pomóc im wejść (czy raczej upodobnić się) do *mainstreamu*. Np. w USA grupy emancypujących się społecznie Afroamerykanów w latach siedemdziesiątych XIX w. uległy propagandzie „higienizmu”. Czystość fizyczna była wówczas traktowana jako oznaka postępu i oświecenia. Brooker T. Washington, stojący na czele ruchu byłych niewolników, uczył ich samodzielności „w oparciu o ewangelię szczoteczki do zębów” (Ashenburg, *op. cit.*: 178). Pouczał, że „ludzie wybaczą nam naszą biedę, [...] ale nie wybaczą nam brudu” (ibidem: 179).

Higiena zaprowadzona w środowisku biedoty miała zapobiegać innym zagrożeniom, przede wszystkim niemoralności i rozwiązłości, czyli chorobom duszy, a nie tylko chorobom ciała²². Biednym miało pomóc mycie się, lecz np. wśród brytyjskiego establishmentu jeszcze w latach trzydziestych XX w. panował pogląd, że „niższa klasa śmierdzi” (ibidem: 198). Z początkiem XX w., gdy upowszechniły się urządzenia wodno-kanalizacyjne w domach, brudni i cuchnący, stanowiący dawniej normę w pejzażu miejskim, zaczęli być „postrzegani jako odrażający” (ibidem: 189–190), a „epatowanie otoczenia prawdziwą wonią swego ciała urosło do rangi fizycznej napaści,

22 Mniej więcej w tym samym czasie w Królestwie Polskim lekarze zrzeszający się wokół specjalistycznych czasopism na temat higieny także układali programy mające na celu podnosić świadomość o korzyściach płynących z czystości. Nie byli za to represjonowani przez rosyjskie władze zaborcze, które przyglądały się tego typu eksperymentom społeczno-medycyńskim z zainteresowaniem, by ewentualnie zaszcześcić wybrane rozwiązania na rodzimym gruncie. Program lekarzy-higienistów polskich obejmował m.in. popularyzację rozwiązań stosowanych na zachodzie Europy, jak zakładanie przychodni przyfabrycznych, gabinetów medycyny szkolnej, poradni dla kobiet w ciąży i matek, ogrodów miejskich, placów zabaw dla dzieci, publicznych toalet, sanatoriów, pogotowia ratunkowego, oddziałów dziennego pobytu w szpitalach i poradni dla ubogich gruźlików. W zakres ich zainteresowań wchodził także zdrowy styl życia, czyli odpowiednia dieta, ruch na świeżym powietrzu, uprawianie sportu, higiena przechowywania żywności, ubioru i ciała, walka z alkoholizmem i prostytutką (Płonka-Syroka 2012: 310).

stało się przekroczeniem nieprzekraczalnej granicy” (ibidem: 227). Według Ivana Illicha, którego przywołuje Ashenburg (*op. cit.*: 236–237), wraz z uzyskaniem prawa do własnego miejsca do spania, defekacji i wiecznego spoczynku obywatele zapragnęli również prawa do ochrony własnej strefy przed niechcianymi zapachami innych ludzi i jednocześnie nie chcieli, by ich własne odory wydostawały się na zewnątrz. Jak pisał Alain Corbin, „strategia higienistyczna” połączyła na sposób symboliczny „dezynfekcję z podporządkowaniem”, albowiem „«potwornie cuchnące wyziewy katastrof społecznych» – czy będą to epidemie, czy zamieszki – każą mniemać, że odwonienie proletariusza pozwoli ustanowić dyscyplinę i pracowitość” (Corbin 1998: 184). „Odwonienie”, czyli pozbawienie biedaka jego zapachu (związanego z miejscem zajmowanym w hierarchii społecznej), oznaczałoby likwidację materialnych oznak nędzy, m.in. starych, niezmienianych i nieczyszczonych od dawna ubrań. Na nędzę składał się też brak miejsca do wykonania toalety i brak dostępu do wody, zagrzybione i wilgotne pomieszczenia, brak finansów, by kupić środki czystości, lepsze jedzenie i nowe ubranie oraz zadbać o zdrowie. Dbanie o siebie stało się oznaką lepszego statusu, w tym finansowego. Tego typu zabiegi pozwalały zdjąć z nędzarza odium biedy, jaką wręcz nasykał.

Oprócz powyższych, utrzymanie w porządku przestrzeni publicznej miało zapobiegać przebywaniu w niej ludzi, którzy kulturowo byli (i są) utożsamiani z brudem. De Chauvet, cytowany przez Corbina, zaobserwował w XVIII-wiecznej Florencji brak prostytutek na ulicach. Powiązał to z faktem, że ulice miasta były wysprzątane i wybrukowane, obsadzone kwiatami, ścieki były przykryte, a śmieci „chowane za kratami” (ibidem: 186). W tak schludnym otoczeniu nie było miejsca na bałagan uosabiany przez ulicznice, które – jak wskazuje sam źródłosłów – wystawały na ulicach.

Illich przypominał bardzo ważny w kontekście bezdomności zapis z francuskiej *Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela* z 1793 r., że każdemu człowiekowi przysługuje własne, oddzielne łóżko (Ashenburg, *op. cit.*: ibidem). Tego typu podejście zwiastowało społeczny przełom w sposobie myślenia o tożsamości, która stawała się mniej zależna od innych, a bycie sobą wymagało warunków przestrzennych i materialnych, które podkreślały prywatność i intymność jednostkowej egzystencji. Tym samym sposób życia, polegający na zdobyciu odpowiednich środków i ich organizacji, by zaspokoić podstawowe funkcje życiowe, jak bezpieczeństwo, sen, wypoczynek, pożywienie – do czego każdy zyskał prawo, stawał się jawnym przedmiotem polityki i polem walki. Znakiem owych przemian było wspomniane własne łóżko, o które domagali się autorzy *Deklaracji*.

Revolucja dotyczyła także proksemiki. W środowisku biednych, życie toczyło się na oczach innych, choć bliskich, lecz na zbyt małej przestrzeni, by wydzielać w niej odrębne miejsca należące do poszczególnych osób. Własne, w dodatku odrębne łóżko,

było dotąd przywilejem zamożnych. Stanowiło także symbol życia „cywilizowanego”, które nie polegało już wyłącznie na trosce o biologiczne przetrwanie, jak sądzono, że dzieje się to u nędzarzy.

W badaniach bezdomności podnosi się kwestię wypadnięcia poza granice „ludzkiej ekumeny” (Szluz 2012; Oliwa-Ciesielska 2006). Problem ten wiąże z poruszonym w etnologii zagadnieniem statusu obcych-innych-różnych-odmiennych. Każde z tych określeń opisuje kolejne fale postrzegania relacji badacz-badani. Dostrzeganie obcości-inności-odmienności-różnicy wpływa z zakładanych między „nami” i „nimi” różnic metafizycznych, ontologicznych i epistemologicznych bądź ich braku oraz wszelkich gradacji dystansu i bliskości, jakie mogą zaistnieć między dwoma stronami kontaktu. Powiązane jest to z wyobrażeniami o naturze „obcego”: czy jest równoważna bądź nie, naturze badacza; dlaczego i w jaki sposób jest inna bądź taka sama lub podobna; czy formy i struktury, w jakich przejawia się „inny” i jego istota (materia, duchowość, język itd.), plasują się poza logiką badacza, w jej ramach bądź na pograniczach i w jakim sensie. Poza tym, jaki przyjąć sposób odnoszenia się do systemu wartości, któremu hołdują inni: czy – jak współcześnie – uznawać go za równy systemowi badacza, czy jednak z ostrożnością podchodzić do odmiennej racjonalności. Postawy wobec innych przekształcały się dzięki coraz głębszemu uświadomieniu sobie zwrotności refleksji badawczej (Hastrup 2008: 59–74). Najpewniej to najważniejszy efekt poznawczy, który miał miejsce w etnologii, a który ta dyscyplina może zaoferować innym naukom i praktykom.

Badacz życia nędzarzy Oskar Lewis wpisał ubogich w metafizyczno-ontologiczno-epistemologiczny paradygmat obcości. Scharakteryzował ich jako żyjących według określonego porządku kulturowego, czyli wyalienowanych z szerszych struktur społecznych, ze słabymi więzami i bez dzieciństwa; kierować się mieli fatalizmem i rezygnacją, a ich perspektywa sięgała tylko teraźniejszości (Lewis 1976). Rozważania Lewisa stały się podstawą do stworzenia pewnego typu kulturowo-psychiczno-biologicznego osoby żyjącej w nędzy, dotkniętej wykluczeniem, należącej do podklasy. W ten sposób ugruntowywała się koncepcja „kultury nędzy”, której depozytariusze cechować się mają np. postawą roszczeniową wobec reszty społeczeństwa. „Roszczeniowość” można także nazwać fałszywą zaradnością (stosując kryteria zewnętrznego obserwatora, przede wszystkim tego, który łoży na zasiłki i inne formy wsparcia). Biedacy biegle poruszają się – w opinii innych – w systemie pomocy, nie wykazując przy tym inicjatywy, by swoją zapobiegliwość wykorzystać do czego innego, np. do samodzielnego wypracowania środków do życia na wzór członków *mainstreamu*.

Życie biedne miało się przekładać na wadliwy charakter, przekazywany kolejnym generacjom biednych nie tylko na zasadzie socjalizacji, ale też dziedzictwa biologicznego (np. niedożywienie matek lub nieprawidłowe żywienie według standardów

medycznych przekłada się na gorszą kondycję fizyczną dzieci, które z tego powodu mają już od początku nierówny start). W ten sposób dokonano naznaczenia ich jako obcych, co pośrednio przyczyniło się też do ich egzotyzacji. Nędza zatem reprodukuje nędzę, która jest przekazywana na drodze adaptacji i utrwalana w postaci nawyków. Ci, którzy żyją zgodnie z regułami „kultury biedy”, traktują je jako normalność. W kulturze Zachodu powyższa opinia wiązała się też z wyobrażeniem, że biedni składają w pewien sposób ofiarę z siebie – rodząc się czy stając się nędzarami, udoświadczali nieprzewidywalność losu lub woli boskiej. Człowiekowi pozostawało zatem pogodzić się z przeznaczeniem. Szukano też przyczyny biedy w biedakach – w tym na poziomie wrodzonym, zwalniając ich w ten sposób z odpowiedzialności za własny los. Ma to wiele wspólnego z istniejącą w kulturze Zachodu koncepcją ras i ich wartościowaniem, zatem i korzeni społecznego marginesu szukano na gruncie dziedziczności i biologii.

Badania takie toczyły się np. w Niemczech nazistowskich. Prowadzono wówczas projekty w ramach działalności Niemieckiego Komitetu Badań Naukowych. Dostarczały one „dowodów” na słusność zabijania wyselekcjonowanych jednostek, uznanych za nieczyste rasowo, ponieważ posiadały „złą” krew. Zajmowano się więc m.in. włączającami obok ludzi z dysfunkcjami psychicznymi, fizycznymi i mniejszościami. Jeden z kluczowych naukowców należących do wspomnianego Instytutu – Robert Ritter, pisał, że ich „niska wartość w żadnym razie nie ustępuje rzece chorych psychicznie i wariatów, których zaburzenia są dziedziczne” (Klee 2012: 74). Ówczesną miejską *underclass* określił jako „niskowartościowy element” (ibidem: 73). Miał on być rezultatem „połączenia czynników społecznych z niedorozwiniętymi umysłowo, [które] wydało populację wałkoniów, prostytutek, zakamuflowanych żebraków, pijaków i hyclów” (ibidem: ibidem). Rozwijał także projekt *Przyczyny nieprzewidywanej biedy*, który toczył się na terenie osiedla socjalnego. Wnioski, jakie postawił po zakończeniu tamtych badań, były następujące: „bieda nie jest spowodowana czynnikami ekonomicznymi, lecz ostatecznie można ją wyjaśnić na podstawie reguł dziedziczno-biologicznych” (ibidem: 75).

Także analizy Geremka na temat przejawów „kultury nędzy” i stosunku od niej, w tym na gruncie badań naukowych, doprowadziły go do wniosku, że

interdyscyplinarne badania nad ubóstwem próbowały połączyć problemy ekonomii nędzy, programów opieki społecznej, relacji między ubóstwem a zachowaniem dewiacyjnym, nędzy grup mniejszościowych, jak i społeczno-moralnych implikacji ubóstwa. Nędza jawiła się przez to jako pewien sposób życia [...]. W poszukiwaniu elementów jednoczących nędzę jako fenomen społeczny szczególnego rodzaju nabierała degradująca rola tej kondycji (Geremek 1989a: 8–9) (podkr. – I.B.K.).

Koncepcja „kultury nędzy” wyrosła więc ze szczególnie rozumianego porządku społecznego oraz z wizji kultur wzajemnie nieprzekładalnych (Rakowski 2009: 11). We wzorach nędzy widziano antyświat *mainstreamu*: jego „rewers, [...] ubytek, [...] brak” (ibidem: 12).

W Lewisowską koncepcję odmienności wpisują się też spostrzeżenia Oliwy-Ciesielskiej. Jej zdaniem bezdomni nie wierzą, że mogą wpływać na rzeczywistość. Nie doceniają takiej cechy, jak wytrwałość w osiąganiu celu i przy pierwszej porażce wycofują się, nie ufają, że jest możliwy pozytywny ciąg dalszy. Powstają w ten sposób u nich deficyty poznawcze, motywacyjne i emocjonalne. Osoby doświadczające bezdomności stają się apatyczne, nie wierzą w powodzenie i w siebie, a to nie sprzyja podjęciu działań. Badaczka odmawia bezdomnym zaradności, ponieważ ich skuteczność, np. w żebraniu, oznacza zaledwie „krótkotrwałe rozwiązania [...], a działanie takie wynika raczej z woli przetrwania” (Oliwa-Ciesielska 2006: 59). Zaradność, według niej, jest czymś więcej, to „zdolność do zorganizowania własnego życia w jak najbardziej optymalnych w danym czasie warunkach, sprzyjających dalszemu rozwojowi jednostki” (ibidem: 59–60). Ściśle wiąże się z „perspektywicznym myśleniem o przyszłości” (ibidem: ibidem), a tego nie posiada duża część osób dotkniętych bezdomnością.

Oliwa-Ciesielska zwracała uwagę na swoiste otępienie cechujące osoby żyjące w stanie bezdomności. Nie podejmują zatem autorefleksji, nie poddają namysłowi własnego cierpienia, mają zablokowaną wrażliwość na własny ból oraz na odczuwanie bólu przez innych.

Polemizowałabym z tak uogólniającą tezą. Ewentualny brak refleksyjności jest spowodowany natężeniem doznanego cierpienia i nie występuje u wszystkich ani na każdym etapie bezdomności. Odcięcie się jest mechanizmem obronnym. Skrajność doświadczeń, ich dolegliwość i długotrwałość, powodują znieczulenie. Skłaniają też do milczenia, by nie wywoływać, nie przypominać i nie nazywać. Tym bardziej że – jak pisała sama Oliwa-Ciesielska – osoby te dokonują wobec siebie samoponizienia i samowykluczenia, a jest to rezultat niemal wyłącznie negatywnych reakcji zwrotnych, które kształtują ich samopostrzeganie.

Poglądów, które reprezentuje Oliwa-Ciesielska, nie traktowałabym, jako przesądających o inności bezdomnych wobec „domnych”. Różnica między jednymi a drugimi polega na skali i ciężarze doświadczeń, które były ich udziałem, oraz sposobach radzenia sobie z takimi wydarzeniami. Doświadczenia te mają charakter powszechnie występujących problemów egzystencjalnych, jakie dotyczą wszystkich. Odnoszą się do wspomnianego radzenia sobie bądź nie dawania sobie rady, poczucia wartości, sprostania wymaganiom, oceny własnych sił i zamiarów wobec konkretnych wyzwań. Oczywiście, pewne postawy i rozwiązania utrwalają się, szczególnie gdy nie pojawia się dla nich przeciwwaga.

Generalnym problemem jest brak doprecyzowania terminu „bezdomność”. Beata Szluz (eadem 2010b) dokonując przeglądu istniejących rodzimych definicji i typologii bezdomności, zwróciła uwagę na to, że się zazębiają i uzupełniają, jednak żadna z nich nie wyczerpuje problemu (Szluz, *op. cit.*: 113). Tym, co łączy wielu autorów w myśleniu o bezdomności, jest skupienie się na kwestii pozbawienia domu, ograniczonego dostępu do schronienia, tworzenia siedzib paramieszkalnych w warunkach niemieszkalnych lub prawie niemieszkalnych i przebywanie w miejscach specjalnych, tworzonych przez pomoc społeczną.

Sytuacja bezdomności może dotyczyć osób dorosłych, młodych, starych, dzieci, żyjących w pojedynkę i w rodzinie. Do tych grup włącza się także osoby potencjalnie bezdomne, tzn. zagrożone eksmisją, przebywające w szpitalu i pozbawione kontaktu z bliskimi (w tym cierpiący na zaburzenia mentalne) oraz więźniów. Ku takiemu podejściu przychylają się np. Andrzej Przyemeński i Joanna Wygnańska (Szluz 2010b: 114).

Inni autorzy (m.in. Anna Duracz-Walczak, Róża Pawłowska, Elżbieta Jundziłł i Danuta Piekut-Brodzka) skupiają się na wyszczególnieniu kategorii bezdomnych. Mogą być zatem aktualni i potencjalni; całkowici, częściowi (gdy zajmują lokal tymczasowo i nie mają własnego miejsca zamieszkania) oraz sytuacyjni (gdy mają mieszkania, ale z jakichś powodów nie chcą w nich przebywać); przymusowi (zdolni i niezdolni do samodzielnego życia) i z wyboru (zdolni i niezdolni do samodzielnego życia). W zbiorowości tej można także wydzielić osoby tzw. schroniskowe, uliczne, dobrowolnych (do jakiegoś stopnia kategoria ta pokrywa się z wymienioną wyżej problematyczną bezdomnością z wyboru²³) i przymusowych. Są wśród nich długo- i krótkotrwali oraz frykcyjni (gdy przez pewien czas znajdują lokum w miejscach mieszkalnych, np. w czasie pracy sezonowej) (zob. też Toro, Janisse 2004: 244–245). Ze względu na czas trwania bezdomności, inni naukowcy (np. Katarzyna Głąbicka) wyróżnili bezdomność *sensu stricto*, która może być rzeczywista lub jawna (gdy dana osoba nie ma mieszkania bądź innego lokalu o cechach miejsca mieszkalnego) oraz *sensu largo*, dzieląca się dodatkowo na utajoną bądź społeczną (gdy np. posiadany lokal nie spełnia warunków mieszkalnych, tzn. brak w nim standardów uznanych za minimalne) (Szluz, *op. cit.*: 115).

Jeszcze inaczej porządkuje definicje bezdomności Leszek Stankiewicz (Stankiewicz 2002). Według niego dzielą się one – ze względu na przyjętą perspektywę – na etymologiczne, altruistyczne, wiążące bezdomność z jakąś główną przyczyną albo z kumulacją przyczyn, postrzegające bezdomność jako złożone zjawisko społeczne i kulturowo-osobowościowe. Rozumienie bezdomności może wynikać także

23 Kwestia ta wzbudza opór, w tym i mój, o czym pisałam we wprowadzeniu. Np. w filmie dokumentalnym Beaty Januchty *Wysłowcowani*, gdzie zabiera głos ówczesny kierownik TPBA we Wrocławiu, podkreśla on, że nie ma bezdomności z wyboru, a tylko z konieczności.

z perspektywy przyjętej w danej dyscyplinie naukowej lub z praktycznych doświadczeń, np. lokalnych (ibidem: 20).

Osoby doznające bezdomności, jak zostało wspomniane wyżej, dzieli się na różne kategorie, by w zależności od tego dobrać pomoc. Wyróżnia się bezdomne rodziny i są to przede wszystkim młode matki z małymi dziećmi (do lat 10–12), bezdomnych młodych (poniżej osiemnastego roku życia) oraz bezdomnych samotnych (najczęściej mężczyzn, którzy stanowią 70–80 proc. bezdomnych dorosłych, bardzo często są alkoholikami i osobami uzależnionymi od innych używek). Wśród bezdomnych samotnych dorosłych wyróżnia się także podgrupę osób z problemami mentalnymi i emocjonalnymi (Toro, Janisse, *op. cit.*: 245).

Współczesny dyskurs, jakim operuje się w instytucjach pomocy (w tym non-profit) i administracji państwowej, które zajmują się rozwiązywaniem problemów społecznych, jest konstruowany wokół „dowodów” i „faktów”. Opiera się go na obliczaniu różnych parametrów, by jak najściślej opisać potrzebujących. Daje to nadzieję na zapanowanie nad nieprzewidywalnością bezdomności. Wiele czynników, które ją wywołują oraz jej sprzyjają, jest już dobrze rozpoznanych (Dębski 2010: 52–94, Abucewicz-Szcześniak: http://www.ipsir.uw.edu.pl/UserFiles/File/Katedra_Socjologii_Norm/TEKSTY/MAbucewiczbezdomno_w_literaturze.rtf). Nie znaczy to jednak, że są one do wyeliminowania (bezrobocie, alkoholizm, przemoc bądź kryzysy gospodarcze). Jak udowodnił Michel Foucault, nie ma jednak władzy, która nie byłaby połączona z wiedzą (Foucault 1998a; zob. też Bińczyk 1999). Przykładem takich działań porządkujących i systematyzujących, które mają sprawić, że bezdomność będzie podatniejsza na opanowanie, a pomoc stanie się sprawniejsza i dzięki temu skuteczniejsza, jest np. akcja liczenia osób pozostających bez dachu nad głową, także tej podgrupy, która żyje w schroniskach. Poniższa relacja odnosi się do spisu, jaki miał miejsce w Łodzi:

W nocy z 25 na 26 stycznia 2013 r. odbył się w Łodzi pierwszy spis osób bezdomnych, przeprowadzony przez Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej w Łodzi. Celem badania było oszacowanie liczby osób bezdomnych przebywających na terenie Łodzi oraz wykazanie miejsc skupiających środowisko osób bezdomnych. Badanie przeprowadzono przy użyciu metryczki powstałej na potrzeby akcji. W liczeniu wzięło udział 141 osób (w tym: 118 wolontariuszy, 4 pracowników socjalnych, 10 osób bezdomnych ze Schroniska im. Św. Brata Alberta, 5 streetworkerów, 2 pracowników MOPS, 2 osoby duchowne) przy asyście 64 Strażników Miejskich oraz zabezpieczeniu 70 funkcjonariuszy Policji. Ankieterzy dotarli do 1196 osób, z czego zdecydowana większość badanych – 73% przebywała w schroniskach, noclegowniach i innych instytucjach, pozostałe 27% stanowiły osoby spotkane na ulicach, dworcach, pustostanach i innych miejscach niemieszkalnych. Największą zdiagnozowaną grupą respondentów, były osoby posiadające status osób bezdomnych od 1–5 lat i stanowiły one aż 30% badanej populacji. Z badania wynika, że liczba [osób], u których zjawisko bezdomności występuje mniej niż rok i ponad 10 lat, kształtuje się na tym samym poziomie i wynosi 10%. W przypadku 38% badanej społeczności nie udało się ustalić okresu bezdom-

ności. [...] Mężczyźni stanowili 70% badanej populacji, natomiast kobiety i dzieci 30%. [...] Wśród ogółu badanych osób bezdomnych największą grupę 17% stanowiły osoby w wieku 51–60 lat, drugą, niewiele mniejszą grupą były osoby w wieku 41–50 lat (16% badanej społeczności). Najmniej odnotowano osób poniżej 20 roku życia (7%). [...] Największą grupą badanych respondentów byli podopieczni schronisk, którzy stanowili 57% ogółu. 16% badanych podczas akcji liczenia przebywało na terenie szpitali, zakładów karnych oraz domów pomocy społecznej, natomiast 27% w miejscach niemieszkalnych (takich jak pustostany, dworce, komórki, altany itp.) znajdujących się w granicach administracyjnych miasta Łodzi. [...] Największym sklasyfikowanym źródłem utrzymania wśród badanej społeczności było zbieranie surowców wtórnych, z tej formy zarobkowej korzysta 21% badanych. 20% respondentów zgłosiło, że głównym budżetem, jaki posiadają, są zasiłki, renty bądź alimenty. Tylko 6% ankietowanych zadeklarowało żebractwo jako swoje główne źródło dochodu (<http://www.mops.lodz.pl/index.php/akcja-liczenia-ludzi-bezdomnych-podsumowanie>).

Przytoczony fragment pochodzi z oficjalnej strony łódzkiego Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej. Zacytowałam tak duży wyimek, aby, po pierwsze, unaocznić wspomnianą wyżej tezę Foucaulta na temat konstruowania wiedzy przez władzę²⁴. Po drugie, aby pokazać, jak ważną pozycję zajmują dane na temat miejsca pobytu bezdomnych w mieście na tle innych informacji o ich sytuacji. Informacje wyszczególniające, jak wielu z nich przebywało podczas akcji w placówkach, a ile osób było poza nimi i gdzie znajdują się ich schronienia, obrazują wielkość grupy korzystającej z pomocy oraz liczbę osób, które jeszcze nie są nią objęte.

Jedną z najbardziej wymiernych form systemu pomocowego jest bowiem tworzenie specjalistycznych placówek, finansowanych w Polsce ze środków publicznych – również gdy prowadzone są przez organizacje pozarządowe. Dostają dotacje publiczne na tego typu działalność, a większość budynków, w których prowadzą działalność, jest im użyczana przez właściciela, czyli gminę. Oprócz tego, liczą na wsparcie prywatnych darczyńców bądź w jakimś zakresie prowadzą własną działalność gospodarczą.

Określenie liczebności osób przebywających w schroniskach jest zatem bardzo ważne z punktu widzenia systemu, ponieważ przesądza o skali i zakresie wsparcia. Gdy osoby znajdują się na terenie placówek, możliwe jest objęcie ich programem wychodzenia z bezdomności. Poddanie się temu programowi (dostosowuje się go do indywidualnej sytuacji danej osoby) jest niemalże warunkiem obowiązującym w wielu instytucjach. Noclegownie oferują wyłącznie nocleg, na co wprost wskazuje ich nazwa. W schroniskach można przebywać całodobowo miesiącami bądź latami, co zależy od wielu czynników.

Po trzecie zaś, przytaczając tak obszerny cytat, chciałam ukazać kontekst bezdomności, na który składa się dyskurs instytucjonalny. Obejmuje on zasób wiedzy i wyobrażeń potocznych na temat tego, co jest „miejscem niemieszkalnym” zajmowanym przez bezdomnych. Wiedza ta jednak konstruuje też język codzienny.

24 Co ważne, wiedza ta nie jest wykorzystywana przez władzę.

Badania z 2013 r. wykazały, że ok. pięciuset osób nie jest objętych pomocą instytucjonalną, ponieważ w placówkach nie ma dla nich miejsca. Jednak gmina Łódź nie podjęła dotąd żadnych kroków, by temu zaradzić²⁵.

Akcja, podczas której liczono bezdomnych i monitorowano miejsca ich pobytu, toczyła się jednak nie tylko w Łodzi. Miała charakter ogólnopolski i realizowały ją ośrodki w różnym czasie, zleciło zaś Ministerstwo Pracy i Pomocy Społecznej. Pochodzące z innych miast Polski raporty na temat przebiegu akcji i statystyki dotyczące wyników, można znaleźć stronach WWW odpowiednich instytucji, a także śledząc archiwalną prasę lokalną przez Internet. Liczenie bezdomnych w 2013 r. połączone z aktualizacją map rewirów, gdzie przebywają²⁶, było trzecią ogólnopolską odsłoną

25 Zgodnie z Ustawą o pomocy społecznej z dnia 12 marca 2004 r. (*Ustawa o pomocy...*), obowiązkiem gminy jest: „Art. 17. 1. Do zadań własnych gminy o charakterze obowiązkowym należy: 3) udzielanie schronienia, zapewnienie posiłku oraz niezbędnego ubrania osobom tego pozbawionym; 12) prowadzenie i zapewnienie miejsc w mieszkaniach chronionych; 2. Do zadań własnych gminy należy: 3) prowadzenie i zapewnienie miejsc w domach pomocy społecznej i ośrodkach wsparcia o zasięgu gminnym oraz kierowanie do nich osób wymagających opieki”. Wiąże się z tym: „Art. 48. 1. Osoba lub rodzina ma prawo do schronienia, posiłku i niezbędnego ubrania, jeżeli jest tego pozbawiona. 2. Udzielenie schronienia następuje przez przyznanie tymczasowego miejsca noclegowego w noclegowniach, schroniskach, domach dla bezdomnych i innych miejscach do tego przeznaczonych”.

Zasady, jakie stoją za powyższym, są ujęte w kolejnych artykułach tej samej ustawy: „Art. 16. 2. Gmina i powiat, obowiązane zgodnie z przepisami ustawy do wykonywania zadań pomocy społecznej, nie mogą odmówić pomocy osobie potrzebującej, mimo istniejącego obowiązku osób fizycznych lub osób prawnych do zaspokajania jej niezbędnych potrzeb życiowych; Art. 16a. 1. Gmina, powiat i samorząd województwa przygotowują ocenę zasobów pomocy społecznej w oparciu o analizę lokalnej sytuacji społecznej i demograficznej. 2. Zasoby, o których mowa w ust. 1, obejmują w szczególności infrastrukturę, kadre, organizacje pozarządowe i nakłady finansowe na zadania pomocy społecznej bez względu na podmiot je finansujący i realizujący. 3. Ocena, o której mowa w ust. 1, obejmuje osoby i rodziny korzystające z pomocy społecznej, rodzaje ich problemów oraz ich rozkład ilościowy; Art. 16b. 1. Gmina i powiat opracowują strategię rozwiązywania problemów społecznych, a samorząd województwa strategię w zakresie polityki społecznej. 2. Strategia, o której mowa w ust. 1, zawiera w szczególności: 1) diagnozę sytuacji społecznej; 2) prognozę zmian w zakresie objętym strategią; 3) określenie: a) celów strategicznych projektowanych zmian, b) kierunków niezbędnych działań, c) sposobu realizacji strategii oraz jej ram finansowych, d) wskaźników realizacji działań” (*Ustawa o pomocy...*).

Zadania gminy są więc precyzyjnie określone. Podjęcie adekwatnych kroków zależy jednak od interpretacji przepisów i danych, które składają się na ocenę sytuacji lokalnej. Ocenę taką sporządza gmina, będąc do tego zobligowana przez prawo. W dalszej kolejności powinny nastąpić konkretne rozwiązania.

26 Można zapoznać się z taką mapą dla Warszawy sporządzoną przez zimowy Patrol IV w 2011 r.: „Miejsca potencjalnego przebywania osób bezdomnych”, <https://maps.google.com/maps/ms?msa=0&msid=214633386714093195386.00049e32603a8b5c13fc7&hl=pl&ie=UTF8&t=h&ll=52.211814,20.99762&spn=0.201954,0.439453&z=11&source=embed>

Mapy tego typu są wykonywane przez np. Straż Miejską, policję, streetworkerów, którzy posługują się nimi w pracy. Łódzcy streetworkerzy na własny użytek wykonują też zdjęcia miejsc zamieszkałych przez ulicznych bezdomnych. Trafiają tam w ramach obchodu swo-

ministerialnej inicjatywy, choć nie wszystkie miasta brały w niej udział od początku czy systematycznie. Pierwsze badanie miało miejsce w 2009 r., drugie odbyło się w 2010, trzecie w 2013, kolejne w roku 2015 (liczenie w Łodzi w 2015 r. wykazało, że liczebność bezdomnych spadła do ok. 900 osób z nieznanymi nikomu przyczynami). Na przeprowadzenie spisu jest wyznaczana noc w miesiącach zimowych (grudzień, styczeń bądź luty). Wtedy osoby bezdomne częściej decydują się na pobyt w placówkach, więc łatwiej do nich dotrzeć i określić ich liczbę. Poza tym można w ten sposób zintensyfikować pomoc, choćby na jedną noc, ponieważ w razie potrzeby i chęci samych potrzebujących, różne służby są wówczas w specjalnym pogotowiu, zaś ok. setki wolontariuszy przeprowadzających spis, może dotrzeć w różne miejsca w tym samym czasie. Tym samym, szybciej można zauważyć sytuacje zagrażające zdrowiu czy życiu bezdomnych oraz adekwatnie do tego zareagować. Inną wartością społeczną tej akcji jest uwrażliwienie mieszkańców poszczególnych miejscowości, dzielnic i osiedli na obecność doświadczających bezdomności. Mieszkańcy sami niejednokrotnie informowali o „dzikich” schronieniach i bezdomnych rezydentach w swoich okolicach.

Dodatkowych danych na temat liczebności bezdomnych dostarczył także *Spis Powszechny z 2011 r.* Odbywał się jednak wiosną, gdy bardzo wiele osób bez stałego domu mieszka poza placówkami. Z tego powodu jest to chybione narzędzie w przypadku badania tej grupy. Nie uwzględnia dynamiki ich życia, polegającej na mobilności sezonowej i przestrzennej.

W efekcie tych wszystkich częściowych działań, oficjalne dane na temat bezdomności są sukcesywnie uściślane. Jak zauważył minister pracy i polityki społecznej w 2013 r.: „wcześniej mieliśmy jedynie dane szacunkowe zbierane przez organizacje pozarządowe. Ostatnie badanie wykazało, że w całym kraju mamy ok. 43 tysięcy bezdomnych osób, z czego prawie 10 tysięcy pozostaje poza placówkami noclegowymi” (wypowiedź z <http://www.rp.pl/artukul/978643.html>).

Byłyby to zatem pozory, że bezdomność jest nieuchwytna, choć dla większości osób, które nie zajmują się tym zagadnieniem zawodowo, jest w zasadzie niewidzialna. Mimo rozproszenia w przestrzeniach miejskich, osoby bez domu są ujmowane w różne statystyki urzędowe. Jest to powszechny obowiązek i do wdrożenia

ich rewirów. Zdjęcia wykonują telefonem, gromadzą do wewnętrznego użytku, jako pomoc „wizualna” dla siebie oraz kolegów i koleżanek, jeśli ich zmiennicy i zmienniczki nie znają danego terenu. Dzielenie się zdjęciami ma im ułatwić poruszanie się po mieście, by łatwiej trafić w określoną lokalizację i także by łatwiej poruszać się wewnątrz owych miejsc, ułatwić też nastawienie, czego mogą się spodziewać. Zdjęcia dokumentują „dzikie” legowiska i schronienia. Ich organizacja i sposób zagospodarowania prezentują bardzo szerokie spektrum „udomowienia”: są to albo barłogi albo lokale (np. w squatach) niemal w pełni wyposażone w to, co pozwala nazwać takie miejsce mieszkalnym. Oprócz kąta do spania i potrzebnych do tego utensyliów, są tam również drobne sprzęty, jak naczynia kuchenne czy przyrządy przydatne do zrobienia toalety; także szafki i półki, gdzie przechowuje się rzeczy. Miejsca te są dekorowane. Sporo jest tam tzw. drobnych ruchomości.

takiej metodologii zobowiązane są kraje członkowskie UE na podstawie Rezolucji Parlamentu Europejskiego z dnia 14 września 2011 r., gdzie punkt 6 brzmi następująco: „należy prowadzić działania monitorujące i sprawozdawcze w odniesieniu do kluczowych elementów strategii na rzecz walki z bezdomnością [...] w tym prawidłowego gromadzenia danych” (<http://www.europarl.europa.eu/sides/getDoc.do?pubRef=-//EP//NONSGML+TA+P7-TA-2011-0383+0+DOC+PDF+V0//PL>).

Niektóre organizacje kwestionują sposób przeprowadzania owych oficjalnych spisów, jak np. Kamilińska Misja Pomocy Społecznej (<http://www.misja.com.pl/wp-content/uploads/2013/11/Stanowisko-KMPS-liczenie-ludzi-bezdomnych.pdf>), ale nie podważają ich zasadności²⁷, albowiem „dobra diagnoza zjawiska jest podstawą dla efektywności polityki społecznej” (ibidem). Wynika to z konieczności zapewnienia wsparcia bezdomnym w postaci jadłodajni, noclegowni, schronisk i różnego rodzaju programów, a te działania wymagają środków, które przelicza się na liczbę potrzebujących.

Chciałabym przedstawić na koniec jeszcze jedno podejście. Jest to propozycja FEANTSY, czyli *Fédération Européenne d'Associations Nationales Travaillant avec les Sans-Abri* (Europejska Federacja Krajowych Organizacji Pracujących na rzecz Bezdomnych). Działa od 1989 r. i prezentuje obecnie najbardziej wszechstronne ujęcie bezdomności. Celem FEANTSY jest stworzenie rekomendacji, które byłyby pomocne

do tworzenia adekwatnego systemu usług i skutecznej polityki łagodzenia skutków zjawiska. Celem badawczych działań FEANTSA jest zebranie informacji pomocnych rządowi narodowemu i samorządom lokalnym w realizowaniu zobowiązań przyjętych w Europejskiej Strategii Włączenia Społecznego, do których należą: tworzenie strategii zapobiegania bezdomności; ustalanie przyczyn bezdomności; zmniejszanie skali bezdomności; zmniejszanie negatywnych skutków bezdomności dla osób i rodzin oraz stworzenie stabilnych warunków mieszkaniowych dla osób wychodzących z bezdomności (<http://www.bezdomnosc.edu.pl/content/view/19/71/>).

Specjaliści zasiadający w Federacji, zauważają także, że bezdomność ma charakter dynamiczny, ponieważ niektórzy zmieniają miejsce pobytu bardzo często, inni zjawiają się np. cyklicznie w różnego rodzaju miejscach, w tym korzystają okresowo

27 Według Misji Kamilińskiej „w latach 2011–2013 Ministerstwo Pracy i Polityki Społecznej przeprowadziło dwie próby określenia wielkości populacji ludzi bezdomnych w Polsce pod nazwą Ogólnopolskiego badania liczby osób bezdomnych w III kwartale 2011 (MPiPS, 2012) oraz w lutym 2013 (MPiPS, 2013). Także w roku 2011 został przeprowadzony spis osób bezdomnych w ramach Spisu Powszechnego Ludności i Mieszkań (GUS, 2013). Badania zaowocowały wynikami przytaczanymi przez ich autorów jako obrazujące skalę zjawiska w kraju. Jednak wyniki istotnie się różnią: najniższy stanowi 60 proc. najwyższego. Różnica w liczbie osób stwierdzonych w placówkach dla bezdomnych w badaniu MPiPS z 2013 r. oraz w obiektach zbiorowego zakwaterowania dla bezdomnych podczas spisu powszechnego dwa lata wcześniej wyniosła ponad 6 tysięcy” (<http://www.misja.com.pl/wp-content/uploads/2013/11/Stanowisko-KMPS-liczenie-ludzi-bezdomnych.pdf>).

z pomocy przyjaciół lub rodziny. Trafiają też do schronisk, więzień i szpitali. Grupa uciekających przed przemocą przechodzi zaś „tylko” epizody bezdomności i wówczas znajdują schronienie w rozmaitych placówkach, czasami też u bliskich. Zazwyczaj krótko przebywają poza domem i jeśli nie zachodzi w ich sytuacji zmiana (tj. nie wyrwywają się z relacji opartej na przemocy), wracają do dobrze sobie znanego układu, która rozgrywa się czterech ścianach domu.

FEANSTA zwróciła uwagę na to, że powinno się dociekać także przyczyn bezdomności epizodycznej, krótkotrwałej, nielicznej i nieschroniskowej. Jej powody są ukryte i w tym przypadku ważna byłaby prewencja bądź profilaktyka:

ukryte przyczyny bezdomności wpisane w kariery życiowe i procesy stopniowego tracenia dachu nad głową, które mogą dotyczyć osób zupełnie niepasujących do powszechnego wzorunku bezdomności (<http://www.bezdomnosc.edu.pl/content/view/19/71/>).

W ramach prac ekspertów FEANTSY w 2004 r. opracowano *Europejską Typologię Bezdomności i Wykluczenia Mieszkaniowego ETHOS*. Powstała, aby ujednolicić zbieranie danych i móc je ze sobą porównywać, a potem wykorzystywać do tworzenia programów pomocowych w różnych krajach. Tworząc typologię *ETHOS*, założono bardzo szeroką perspektywę:

bezdomność i wykluczenie mieszkaniowe to procesy, które mogą objąć wiele podatnych gospodarstw domowych w różnych momentach życia ich członków. Definicja obejmuje grupy osób, które są, były lub mogą być pozbawione dachu nad głową (<http://www.bezdomnosc.edu.pl/content/view/19/71/>).

W centrum postawiono problem mieszkania i schronienia – jego braku, rodzaj i jakość. Czynniki te sprawiają, że nie każdy wykluczony mieszkaniowo jest bezdomny. Można zatem być wykluczonym mieszkaniowo, a jeszcze nie bezdomnym, lecz np. już żyć w zagrożeniu bezdomnością.

FEANTSA proponuje trzy podstawowe rodzaje wykluczenia, których współwystępowanie składa się na bezdomność.

Możemy zatem mieć do czynienia z wykluczeniem z obszaru fizycznego²⁸, prawnego i społecznego. W zależności od tego, czy i które się ze sobą pokrywają, występuje siedem teoretycznych obszarów bezdomności. Po dodatkowym ich uporządkowaniu, da się je ułożyć w cztery kategorie koncepcyjne:

[1] bez dachu nad głową, [2] bez miejsca zamieszkania, [3] niezabezpieczone zakwaterowanie oraz [4] nieodpowiednie zakwaterowanie. Dwie pierwsze kategorie oznaczają bezdomność, dwie ostatnie wykluczenie mieszkaniowe (<http://www.bezdomnosc.edu.pl/content/view/19/71/>).

28 Zob. także np. Dambuyant-Wargny 2004.

Po pierwsze, bezdomność zatem oznacza brak dachu nad głową, co w ramach wykluczenia fizycznego oznacza brak miejsca, gdzie można mieszkać. W ramach wykluczenia prawnego oznacza to brak wyłączności do zajmowanej powierzchni, a jeśli chodzi o wykluczenie społeczne – przekłada się na brak prywatności, która zapewniałaby bezpieczeństwo i pozwoliła realizować relacje społeczne.

Po drugie, bezdomność zachodzi wtedy, gdy ktoś posiada miejsca do życia spełniające warunki mieszkalne (zatem nie jest wykluczony fizycznie), lecz nie ma tytułu prawnego do wyłączności na zajmowanej powierzchni (zachodzi zatem wykluczenie prawne). Jednocześnie pozbawiony jest prywatności, która dawałaby mu poczucie bezpieczeństwa i szansę na swobodne kształtowanie relacji (spotyka go więc wykluczenie społeczne). Sytuacja „bez dachu nad głową” oraz „brak miejsca zamieszkania” popychają osoby wykluczone (potrójnie: prawnie, fizycznie i społecznie lub podwójnie: prawnie i społecznie) do szukania miejsca w schroniskach i noclegowniach, na ulicy i gdzie indziej.

Próby określenia, czym jest bezdomność i jak do niej podchodzić, sprowadzają się jednak do kilku podstawowych schematów pomagania.

By lepiej to unaocznić, posłużę się podziałem owych ideologii, zaproponowanym przez Kazimierza Frieske. Badacz ten przypomniał dawny spór między

zwolennikami konstruowania racjonalnych procedur rozwiązywania rozmaitych problemów społecznych, (wśród których poczesne miejsce zajmują ekonomiści zajmujący się ekonomią dobrobytu czy teoriami wyboru społecznego) i zwolennikami inkrementalizmu [...] (Frieske 2001: http://www.bratalbert.wroc.pl/index.php?option=com_content&view=category&layout=blog&id=116&Itemid=60&lang=pl).

Pierwsza grupa przychyliła się do poglądu, że nie ma sensu podejmować działań nie dysponując systematyczną wiedzą o świecie i odpowiednimi procedurami, które pozwoliłyby z tej wiedzy korzystać, ponieważ wszelkie przedsięwzięcia powinny być racjonalnie uzasadnione (tak poniekąd prezentowałyby się działania FEANSTY). Druga grupa skupia się na empirii, preferując akcje przebiegające w ramach schematów (tzn. posługując się wyłącznie „mapą drogową” działania) nad postępowaniem według schematów (co oznacza wierność procedurom). Traktowanie procedur jako ostatecznych wyznaczników, może powiększać koszty pomocy, ponieważ schematyczne postępowanie prowokuje do popełniania błędów, jako że nie pozwala reagować adekwatnie do sytuacji, która w przypadku bezdomności jest zmienna, niepewna i zróżnicowana, w tym choć strukturalna, to zarazem indywidualna.

Owe postawy zaowocowały trzema ideologiami pomocy. Pierwsza z nich skupia się na miłosierdziu i w tym przypadku nie jest ważne

jak zdefiniuje się bezdomność poza prostym wskazaniem na to, że łączy się ona z jakąś postacią ludzkiego cierpienia, [...] na tyle dotkliwego, że skłania ono do zwrócenia się o pomoc. I – mówią zwolennicy tego sposobu myślenia – byłoby bardzo niedobrze, gdyby miało się okazać, że nie bardzo jest się ku komu zwrócić (Frieske, *op. cit.*: ibidem).

Celem tej ideologii jest uchronienie człowieka doznającego bezdomności przed degradacją (deprywacją). Chodzi również o to, by udowodnić, że bezdomność nie jest powodem odrzucenia. Z perspektywy ideologii miłosierdzia, nie ma sensu ani oceniać, ani dociekać powodów bezdomności. Jest ona nieszczęściem i powinno się pomóc jej przetrwać. Instytucje oparte na takiej idei pomocy są obecnie w mniejszości. Najczęściej postawa miłosierdzia występuje podczas spontanicznych akcji, np. przeprowadzanych w momencie wybuchu jakiegoś kryzysu, cierpienia, ciężkiego stanu. Zaliczyć można do niej też przedsięwzięcia typu „Food not bombs” i wszelkie inne akcje dożywiania prowadzone przez rozmaite organizacje, także wyznaniowe, np. zakon Misjonarki Miłości Matki Teresy z Kalkuty, który skupia się też na świadczeniu pomocy medycznej, zwłaszcza najciężiej chorym i jest to czynione bezwarunkowo. W zakres tej ideologii wchodzi też gesty indywidualne, spontaniczne odruchy zaradzenia nieszczęściu, co jest podyktowane współczuciem bądź empatią, motywującą do działania wobec osoby znajdującej się w potrzebie.

Druga ideologia podporządkowana jest koncepcji reintegracji. Oparta jest na poglądzie, że bezdomność jest „atrofią podstawowych związków z innymi” (Frieske, *op. cit.*: ibidem). Zwolennicy tej koncepcji nie wnikają w powody zaniku więzi. Zakładają jedynie „brak elementarnych umiejętności społecznych, lekceważenie zobowiązań, jakie wynikają z każdej z możliwych do pomyślenia form ludzkiego współżycia, nadmierne picie, bezradność, itp.” (ibidem: ibidem). W takiej sytuacji pomoc polega na wpisaniu podopiecznych „w jakiś ład życia zbiorowego. Bywa, że ład ten stanowi odzwierciedlenie porządku szerszego społeczeństwa” (ibidem). Wówczas doświadczający bezdomności, a przebywający w miejscach pomocy lub dostający wsparcie w innej formie, powinni się wykazać. Muszą zatem dbać o przyznane lokum lub w ramach programu wychodzenia z bezdomności są zobowiązani załatwić rozmaite sprawy związane z ich sytuacją. Zgodnie z ideologią reintegracji należy wytyczyć cel pomocy, ponieważ gdy go zabraknie, nie uda się skłonić nikogo do zmiany życia, zaś pogrążeni w bezdomności, powinni dążyć do tego, by przestać nimi być. Reintegracja najsilniej jest obecna w placówkach publicznych oraz w większym lub mniejszym stopniu, w większości placówek prowadzonych przez stowarzyszenia i fundacje (np. Towarzystwo Pomocy im. św. Brata Alberta).

Trzecia ideologia pomocy jest związana z autonomizacją osób „wykluczonych”. Zaczynają tworzyć „własny porządek społeczny, który – ze względu na swoje cechy strukturalne – niekoniecznie jest zbieżny z szerszym ładem społecznym” (Frieske, *op. cit.*: ibidem). Tak powstaje ideologia „wspólnoty odrzuconych”, tzn. tworzą oni grupy

alternatywne, mikroświaty społeczne, swoiste kooperatywy. Dzięki temu wykazują się uspołecznieniem, lecz nie musi to ich prowadzić do wejścia w szerszy system społeczny. Cechy tego systemu pomocy są najbardziej widoczne np. w placówkach MONARU, Barki czy Wspólnoty Chleb Życia. W pewnym sensie są to zbiorowości samowystarczalne. Udowadniają, że jednostki odrzucone, dla których nie było i być może nadal nie ma miejsca w obowiązującym systemie wartości głównego nurtu, są zdolne do stworzenia świata na własny użytek, by tam „zdrowieć”. Nie odcinają się jednak zupełnie od „zewnątrza” i wchodzą z nim w koalicje, czerpią z niego, (re)adaptują się do pewnych granic, lecz pełna integracja nie jest ich jedynym celem. Dla członków tego typu grup, nie jest istotne przeprowadzenie zmiany w sobie po to, aby wrócić na dawne miejsce lub znaleźć sobie nową niszę w systemie, z którego wypadli, zostali wyrzuceni/odeszli. Chodzi raczej o zmianę dokonaną z głęboko uwewnętrznionego powodu, motywującego do podjęcia wysiłku przemiany. Grupy te cechuje nastawienie w pewnym stopniu podobne do postaw osób nawróconych, konwertów i odnajdujących swoje życiowe powołanie. Można to zaobserwować również u członków Anonimowych Alkoholików, z których rekrutują się niektórzy poznani przeze mnie lokatorzy placówek.

3.3. Życie w bezdomności

Opisy, jak funkcjonują w „swojej” rzeczywistości osoby dotknięte tytułowym problemem, ukazują zarazem jednostkowość ich losów, jak i liczne podobieństwa między nimi²⁹.

Po polsku znane są np. teksty autorstwa Declercka (2004) i Mastersa (2007). Byli zewnętrznymi obserwatorami, którzy jednak bardzo zbliżyli się do bezdomnych pracując na ich rzecz. Declerck „zamienił się” na jakiś czas w osobę bez domu, by doświadczyć tego stanu. Master napisał biografię Stuarta Shortera – byłego bezdomnego, choć w zasadzie ciągle zagrożonego bezdomnością, którego poznał podczas swojej pracy w jednym z ośrodków udzielających pomocy. Jednym z celów jego książki było odnalezienie momentu kluczowego, który stał się katalizatorem późniejszej bezdomności, ale też przemocy, agresji i uzależnień, jakie dotknęły Stuarta.

29 Badania Nelsa Andersona poświęcone bezdomnym – a dokładniej pracownikom wędrownym, zatem bez stałego miejsca zamieszkania, charakterystycznym dla rozwijającego się przemysłu i procesu „amerykanizacji” w USA od końca XIX wieku poprzez wielki kryzys (Anderson 1923; 1981). Były to pierwsze regularne i długotrwałe badania nad bezdomnością. Nelson jednak wykazał tworzenie się zrębów subkultury „hobo” – tj. głównie tej wczesnej fali mobilnych najemników. Byli oni pracującymi „trampami”. Zob. też np. filmy Charliego Chaplina, w których wykorzystał postaci ówczesnych „hobo”: *The Tramp* z 1915 r. (Włóczęga), *The Vagabond* z 1916 r. (Charlie włóczęga) oraz *City Lights* z 1931 r. (Światła wielkiego miasta). Także proza Johna Steinbecka z tego okresu (np. *Grona gniewu*, *Myszy i ludzie*, *Ulica Nadbrzeżna*).

Pojawiają się też opisy sporządzane np. przez byłych bezdomnych. Świadectwem ostatniego rodzaju jest książka Anny Łojewskiej (2006), jak i opowieści różnych osób, rozproszone w Internecie. Stają się czasami kanwą dla produkcji artystycznych, dokumentalnych i edukacyjnych³⁰.

To, jak można konceptualizować problem bezdomności, w tym przyglądając mu się od środka, zależy od tego, gdzie chce się szukać jej przyczyn. Zdaniem Fitzpatrick (2005)³¹, w literaturze przedmiotu można spotkać dwa klasyczne ujęcia powodów bezdomności: strukturalne (kryzysy ekonomiczne, ograniczenie opieki społecznej przez państwo, postępujące rozwarstwienie przy pogłębianiu oraz rozlewaniu się biedy, osłabienie więzi rodzinnych) i indywidualne (np. popadnięcie w długi, przemoc, utrata pracy). Jednak dlaczego pewne osoby reagują na te sytuacje i tendencje popadnięciem w bezdomność, alkoholizm, depresję itp., a inne nie? (Fitzpatrick 2005: 1–5). W badaniach zachodnich z lat sześćdziesiątych XX w.³² panował trend, by upatrywać bezdomności raczej w jednostce, w jej zaburzeniach mentalnych, chorobach, uzależnieniach i innych słabościach. Następne dekady przyniosły zwrot – bezdomność wyjaśniano odwołując się do wad systemu. Fitzpatrick nazwała zwolenników tego poglądu „nowymi ortodoksami” (ibidem: 4). Sądziła, że bezdomnością rządzi swoisty determinizm: jednostki stają się bezdomne, gdy nie umieją sobie poradzić z tym, na co nie mają wpływu. Czynniki zewnętrzne traktowane są jako usterki, wskazujące na wadliwość systemu. Ten nie pozwala odnaleźć się wszystkim w swoim obrębie, co sprawia, że niektórzy wypadają na jego obrzeża lub nawet poza nie. Ich większą wrażliwość i podatność na załamania dodatkowo obnaża niedostatki strukturalne.

Pojawiły się także wyjaśnienia starające się dostrzegać wzajemne powiązania między poziomem makro (zewnętrznym) a mikro (osobistym). Niektórzy pogłębiali to ujęcie, powiadając, że w związku z niejasnymi zależnościami przyczynowo-skutkowymi, lepiej mówić o czynnikach ryzyka stojących za bezdomnością, niż o powodach lub przyczynach.

Najlepiej oddała to Łojewska, która poddała analizie swój przypadek od pierwszych chwil kryzysu, który rzucił ją w bezdomność, po czasy, gdy z powrotem za-

30 Np. strona Koła wrocławskiego TPBA: http://www.bratalbert.wroc.pl/index.php?option=com_content&view=category&layout=blog&id=116&Itemid=60&lang=pl

31 Zajmowała się przede wszystkim piśmiennictwem anglojęzycznym z obszaru USA i Wielkiej Brytanii. Wedle jej opinii, nauki społeczne z tych dwóch krajów posiadają wręcz najbogatszy dorobek naukowy dotyczący bezdomności. By zrównoważyć ten sąd, chciałabym podać francuską bibliografię na temat bezdomności. Co więcej, obejmuje ona badania naukowców francuskojęzycznych, uwzględniono więc w niej prace badacze nie tylko z Europy. Obejmuje pozycje wydane w latach 1987–2012 (Chopin, Gardella 2013).

32 Odmienne ustroje, jakie różniły Wschód od Zachodu w tamtej epoce, przekładały się na to, że np. w ówczesnej Polsce nie podnoszono problemu bezdomności. Dlatego nie da się porównać i zestawić badań, metodologii, danych oraz koncepcji z jednej i drugiej strony Żelaznej Kury. Z tego też powodu, badania zachodnie można traktować jako źródłowe.

częła być „domna”. Zdecydowała się napisać pamiętnik, ponieważ uznała, że dotąd brakowało „autentycznego głosu nas, którzy doświadczaliśmy usunięcia z życia społecznego” (Łojewska 2006: 9). Cytuje określenie „śmieć”, jakiego wobec bezdomnych miała w jej obecności użyć jedna z osób zajmujących się nimi zawodowo. Książką chciała zachęcić bezdomnych, którzy marzą o „podźwignięciu się z dna ludzkiej egzystencji”, by walczyli z nieprzychylnością, inercją innych i własną, zatem by „nie ograniczali pola widzenia do przytułku jedynie”, a wrywali się do świata „domnych” (ibidem: 10). Przede wszystkim radzi „ukrywać swoją bezdomność”, ponieważ w reakcji na nią można spotkać się, jak ona, z „agresją, chamstwem, upokorzeniem, szantażem, ignorancją, zastraszaniem, traktowaniem [...] jak zadżumioną. [...] Do karania za moją bezdomność byli wszyscy. I to w momencie, gdy intensywnie ją zwalczałam” (ibidem: ibidem).

Opisywała swój los, jako „niedole bezdomności”, pobyt w przytuliskach należących do organizacji zajmującej się bezdomnymi, jako „wegetowanie”, a bezdomność, jako „piekło” (Łojewska, *op. cit.*: 7). Przyznawała, że nie wie „czy te dziesięć lat bezdomności ubogaciły mnie wewnętrznie, czy też przeciwnie, zdegradowały jedynie” (ibidem: 8).

Podkreślała, że przed bezdomnością nic nie zabezpiecza, każdy wybór życiowy czy zbieg okoliczności może w nią popchnąć. Na początku, gdy Łojewska stała się bezrobotna, odczuwała coraz głębszą samotność, której towarzyszyło biedowanie, często głód, ale też nuda. Wydawało się jej, że ludzie, w tym bliscy, odczuwali zażenowanie w jej obecności, sama również wstydziła się swojej sytuacji: nie powiodło się jej i nie odnalazła się w rzeczywistości po przemianach 1989 r. Czuła przy tym strach przed upokorzeniem.

Wydawało się, że rozwiązaniem będzie nowopowstająca wspólnota skupiająca ówczesnych potransformacyjnych rozbitków, nieumiejących się znaleźć albo – patrząc na sytuację pod innym kątem – takich, którzy przestali pasować do nowego systemu, stali się zbędni zgodnie z nowymi uwarunkowaniami. Łojewska przystała wówczas do powstającej „...Arki” i została w niej dziesięć lat. Najważniejszym zadaniem w pewnym momencie stało się dla niej wychodzenie do świata „domnych”, kiedy była jeszcze bezdomna, i osłabianie więzi ze wspólnotą podobnych sobie marginalizowanych. W opinii Łojewskiej system, na jakim oparta była organizacja „...Arka”, zaczął ubezwłasnowalniać jej członków. Duża część jej pamiętnika poświęcona jest opisowi tego procesu. Autorka była jednak bardzo aktywna, wypełniała liczne obowiązki przy obsłudze rozmaitych projektów, odbywała staże, w tym zagraniczne, otwierała się na innych ludzi, chciała się uczyć, zdobywała nowe doświadczenia i przez ten czas nie słabła w niej chęć, by żyć samodzielnie, bez cudzego wsparcia. Podkreślała, że aby wejść z powrotem w „domność”, należy opuścić mentalnie i fizycznie świat bezdomności, tzn. szukać innego otoczenia, mieć znajomości z „domnymi”, nie izolować się:

Nie rozumiałam początkowo, dlaczego Bernard tak usilnie szuka kontaktów z ludźmi z ustabilizowanego środowiska. Miałam mu to za złe. Wydawało mi się, że nas zdradza, poniża się, narażając na pogardliwe traktowanie przez domnych. Dopiero gdy sama doszłam do jego etapu świadomości, zrozumiałam, że jest to jedna z możliwych form walki o siebie, może jedyna, oprócz wygranej w lotto. O powrót do domności. Grupa bezdomnych nie mogła mu w tym pomóc (Łojewska 2006: 109).

Kolejne refleksje w książce poświęciła na opisanie stanu „dochodzenia do własnej domności”, co „bardziej boli i jest trudniejsze [...] niż bezdomność” (ibidem: 110). Stwierdziła, że „na początku człowiek usilnie szuka odpowiedzi na pytanie, kim chciałby jeszcze być i w jaki sposób to osiągnąć” (ibidem: ibidem). Kluczowe było uświadomienie sobie, że bezdomność można zakończyć, czyli że jest ona odwracalna. Łojewska, po dziesięciu latach życia spędzonych w specjalnej wspólnotie, utraciła poprzednie więzi. Wychodząc z bezdomności szukała nowych relacji i osób, wracała też do starych znajomych, co często okazywało się testem przyjaźni i lojalności. Ponownie poczuła się zagrożona zmianą (pierwszy raz uczucie to się pojawiło, gdy wpadała w bezdomność), mimo że miała to być zmiana na lepsze. Zadamawianiu się na nowo, budowaniu swojego świata od początku i ponownemu wejściu w nieznane otoczenie, towarzyszył lęk i niepewność. Uderzała ją też niechęć „domnych” wobec osób bez domu. Ukrywała swój stan, jeśli mogła, ponieważ nie chciała być utożsamiana z bezdomnością. Bała się, że spotka ją odrzucenie i przekonywała się czasami, że ci, którzy przyzwyczaili się do jej bezdomności, na wiadomość o zmianie sytuacji nie wiedzieli, jak zareagować.

Rekonstrukcję życia „domnego” zaczęła od założenia własnego stowarzyszenia i wyprowadzenia się z „...Arki” do wynajmowanego samodzielnie mieszkania. Dobrała korepetycjami. Dostała jednak wypowiedzenie z lokalu i wówczas zaczęła się dla niej bezdomność uliczna, której nie znała wcześniej. Okazało się też, że grupa współpracowników nastawiona jest przeciwko niej. Podsumowując ten kluczowy okres, napisała:

nie poraniono mnie tak przez dziesięć lat moje bezdomności w «...Arce», jak wtedy, gdy sama musiałam zacząć budować moje schody do wychodzenia z tego piekła beznadziei. Może niewłaściwie zaczęłam te klocki ustawiać, ale po tylu latach w przytułku już odczytałam się zarządzania swoim życiem i pragmatyzmu (ibidem: 165).

W tym okresie, udawało się jej czasami spać u znajomych, choć też pod gołym niebem: „dzisiaj śpię [...] w jednym, a jutro w drugim końcu miasta. Nic nie mnie nie ogranicza, nic nie jest «moje» – sklep, sąsiedzi, dom, a nawet nazwa ulicy. Straszne! Nigdy więcej takiej sytuacji!” (Łojewska, *op. cit.*: 163–164). Przeczekiwała w ten sposób okres, dzielący ją od otrzymania obiecanego lokalu. Wołała jednak spać

na ulicy, niż przenieść się do któregoś ze schronisk. Według niej równałoby się to „śmierci psychicznej”.

Po kolejnej nocy spędzonej pod gołym niebem, stwierdziła: „zaczynam traktować swój stan jako normalny!” (ibidem: 166). Dodała, „że się degeneruje” (ibidem: ibidem) oraz że „tak już zaufałam tej mojej bezdomności, że nawet rozbieram się do snu. Śpię zgodnie z moimi nawykami nago. Kładę się pod gałęzią złamanego burzą drzewa. Owinięta jedynie w pled lub śpiwór” (ibidem: 166–167). Jej peregrynacja zaczęła zmierzać ku końcowi, gdy znalazła pokój sublokatorski u starszej niewidomej kobiety, lecz, jak oceniała potem: „nie potrafię odpowiedzieć serdecznością na jej serdeczność. Nie umiem zwyczajnie dotknąć jej ręki [...]. Unikam rozmów na moje tematy osobiste. Rany jeszcze nie zaschły. Boję się otworzyć nawet przed życzliwą mi osobą” (ibidem: 170). Mimo to, cieszyła się z „cywilnego” adresu, telefonu, kluczy, możliwości swobodnego brania prysznic (w domu, a nie w pracy). Ta rekonstrukcja „domności” nie udała się w pełni, musiała się wyprowadzić. Książka kończy się jednak opisem sytuacji już po wkroczeniu przez nią w „domność”, gdy ma własne mieszkanie, firmę i odbyła się premiera sztuki napisanej na podstawie pamiętnika.

Historia Łojewskiej ukazuje rzeczywistą względność, kto może stać się bezdomnym i co oznacza wyrywanie się z tej sytuacji. Zwiastunem książki był reportaż powstały na jej kanwie, autorstwa dziennikarki „Wysokich Obcasów” Katarzyny Surmiak-Domańskiej (umieszczony w Internecie 29 listopada 2002 r., <http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,96856,1169610.html>). Łojewska występowała w nim w pierwszej osobie, mówiła w swoim imieniu. Jednym z pierwszych zdań było „Od kilku lat leczę się z bezdomności” [podkr. – I.B.K.]. Artykuł doczekał się stu trzydziestu sześciu komentarzy umieszczonych przez kilkudziesięciu internautów. Do rozmów z nimi włączała się Łojewska. Wymiana postów trwała od listopada 2002 do marca 2003 r. We wpisach można było spotkać wszystkie możliwe sądy na temat bezdomności: od niemożności uwierzenia, że ktoś, kto jest wykształcony i ma zaplecze społeczne, też może stać się bezdomny, przez tropienie win w tej osobie po poglądy antysystemowe, przerzucające odpowiedzialność na rozwój wypadków zewnętrznych.

Popularne i potoczne opinie, jakie towarzyszyły artykułowi, bardzo dobrze współbrzmiały ze streszczonymi przeze mnie wcześniej teoriami naukowymi. Głosy internautów pokazały też (o ile można je potraktować jako swoisty *vox populi*), że rzeczywistość bezdomnych i to, jak funkcjonują, nie jest tak ważne dla opinii publicznej, jak wskazanie na przyczyny bezdomności. Wytlumaczenie ich, według potocznego poglądu, dostarczy sposobu na wyeliminowanie tego problemu oraz zarządzenie mu.

Masters, który napisał biografię Stuarta, również zajął się osobą „wyleczonego” z bezdomności (posługując się wyrażeniem Łojewskiej). Jest to opowieść o kimś, kogo życie „miało dużą szansę popadnięcia w całkowite zapomnienie” (Masters 2007: 315). Stuart przeszedł z powodzeniem detoksykację, odsiedział wiele wyroków, a pod

koniec życia włączył się do kampanii na rzecz prowadzących schronisko dla bezdomnych, niesłusznie aresztowanych (sam zaś zginął pod kołami pociągu, najprawdopodobniej w wypadku). Master śledził drogę Stuarta od jego dorosłego życia do największej traumy, jaką była przemoc (także seksualna), której doświadczył jako dziecko i która wypchnęła go na ulicę.

Książka jest nie tylko biografią, ale też relacją z pracy nad nią oraz z kontaktów ze Stuartem. Masters, szukając przyczyn „wykolejenia się” Stuarta – o wadze poszukiwania przyczyn bezdomności pisałam już wyżej, streszczając historię Łotewskiej oraz wcześniej, gdy relacjonowałam koncepcje naukowe zajmujące się tym zagadnieniem – przytacza znaczący dialog ze swoim bohaterem:

– [Stuart] Po prostu gadać, gadać, gadać z tobą, tak? Dobra, ty masz dom, wykształcenie, pieniądze, pieprzoną przeszłość, co nie była pełna nadużyć. To wszystko przemawia przeciwko mnie, a teraz chcesz mnie uwikłać w wyjaśnienia? Tego chcą tacy cholerni ludzie jak ty, prawda? Bo wtedy wszystko jest uporządkowane, co? „Stuart? Rozpracowałem go. Wyjaśniłem jego postępowanie”. Ale tak się nie da. To nawet dla *mnie* nie jest takie proste [...] i nadal tego nie potrafię. [...] Czy tu wystarczy, och, był dobrym chłopcem, a potem złym, z takich oto powodów, jeden do pięciu? Można je odznaczyć, zamienić w liczby, zacytować w rządowym przemówieniu, pokazać w telewizji. [...]

– [Masters] [...] ja chcę się dowiedzieć, kiedy wyzbyłeś się dobra. Kiedy stałeś się tak cholernie beużyteczny. Tylko spójrz na siebie, dlaczego już do dziesiątego roku życia nie potrafisz przeżyć dziesięciu minut, nie obracając ich w pieprzoną wojnę światową?

– Alex, to było moje dzieciństwo – Stuart szarpnięciem otwiera drzwi gabinetu.

– Było – drę się za nim – A t e r a z j e s t m o j e (Masters 2007: 222–223) [rozstrzelenie – I.B.K.; *italik* – zgodnie z oryginałem].

Mimo oporu stawianego przez Stuarta, Mastersowi udaje się z niego wydobyć, co było pierwszym impulsem, który doprowadził go do bezdomności:

– [Masters] [...] gdybyś musiał zdecydować się na tylko jeden incydent z twoim udziałem, to który uczynił cię tym, kim jesteś?

– [Stuart] Dzień, w którym odkryłem przemoc.

Zawsze to tak określa.

„Dzień, w którym odkryłem przemoc” – jakby odnalazł jakiś wielki skarb (Masters, *op. cit.*: 232).

Tego dnia pobił się z okolicznymi dziećmi, które go wyśmiewały (cierpiał na dystrofię mięśni). Miał wówczas ok. dziesięciu lat i wtedy nauczył się bić: „odnalazł w sobie siłę, przez co ze słabeusza [dystrofia – I.B.K.] stał się siłaczem. [...]” (Masters, *op. cit.*: 233). Jedno wydarzenie wywołało spiralę przemocy, a zatem rewanż i kolejne bójkę, problemy z prawem. Stuart nie uważał jednak, że winne były inne osoby, jak np. dzieci z podwórka: „Dzieci jak dzieci, zawsze znęcają się nad słabszymi. Wiele

dzieci jest terroryzowanych, a jednak jakoś wychodzą z tego cało. Stają się odpowiedzialne. Ale nie ja – ja postanowiłem udawać szaleńca” (Masters, *op. cit.*: 238). Wówczas zdał sobie sprawę, że „nie panuje nad własnym umysłem. [...] wyzwolił bądź stworzył [...] aspekt swojej osobowości, którym przez jakiś czas bawił się, zachowując dystans. [...] po jakimś czasie fantom urósł w siłę i stał się nim samym” (ibidem: ibidem). Badający go psycholodzy rozpoznali u niego osobowość *borderline*, czyli pograniczne zaburzenia osobowości, zwane inaczej syndromem Jekylla i Hyde’a. Syndrom ten charakteryzuje się nadużywaniem używek, skłonnością do depresji, wahaniem nastrojów, obsesjami, fobiami, poczuciem osamotnienia, skłonnością do samookaleczeń i niezdolnością do przywoływania autobiograficznych wspomnień (Masters, *op. cit.*: 239). Wybuchy agresji Stuarta i skrajności, w jakie wpadał, na tyle wymykały się przewidywaniom i przekraczały granice, że ów chory na dystrofię, przezywany przez ulicę „niewydarzeńcem”, stał się kimś przerażającym dla innych poprzez swoją nieobliczalność i brak opanowania. Dwa razy próbował się zabić. Jak sam przyznawał, podczas ataków furii, gdy demolował otoczenie, nie czuł bólu. Początkowo wzbudzał tym szacunek, potem zrozumiał, że „był to niewłaściwy rodzaj szacunku” (ibidem: 240). Wzmocniła to przemoc seksualna, jakiej doznał ze strony brata, opiekunów oraz nauczycieli ze szkół i ośrodków, do których trafiał. Próbował o tym zapomnieć, lecz jak stwierdził: „to jest jak wielka wojna, którą ciągle przegrywam” (Masters, *op. cit.*: 276).

Historie Łotewskiej i Stuarta, ukazujące odmienne oblicza bezdomności, można także rozpatrywać jako świadectwa przeżywania jej przez kobietę i mężczyznę. Nie są sobie jednak równe w tym sensie, że historia Stuarta jest relacją biograficzną, zaś tekst Łotewskiej – autobiografią.

Jestem szczęśliwa, że tu jestem. Można porozmawiać, pośmiać się.

„Hanna”

Jest mi dobrze, że mam gdzie mieszkać, nie tak, jak przedtem, po kłatkach. Ale z tym niedobrze, że to nie jest swoje. Jak człowiek ma swoje mieszkanie, jak chce i co chce sobie robi. A tu jednak do jakichś reguł, zasad trzeba się dostosować.

„Józef”

Tu nie ma opieki. Nie ma uprzejmości dla osób starszych i chorych.

„Zofia”

Nie ma swobody, nie ma meldunku, ciężko jest coś załatwić. Tutaj jest okres przejściowy.

„Piotr”

Obiło mi się o uszy, że takie miejsca istnieją.

[Pobyty w schronisku, to] po prostu trochę dłuższa delegacja. Nie jest to dom, jaki chciałoby się mieć. Do czasu otrzymania mieszkania trzeba się dostosować do regulaminu. Przestrzegać i przetrwać. Samemu sobie życia nie utrudniać.

„Małgorzata”

Wiedziałem, że są schroniska dla psów, ale nie wiedziałem, że są dla ludzi. Schronisko pokory mnie nauczyło.

Nie zdawałem sobie z tego sprawy. Może mi było żal tych ludzi, ale to było daleko – jak na filmie, mnie to nie dotyczy. A później siedziałem [w tym]. Niezależnie, smród, brud, wszystko razem mnie otaczało. Nie mogło mi przyjść na myśl, że nie jestem inny. Jestem taki sam.

„Tomasz”

Trzeba się tutaj dostosować. Indywidualista nie ma szans. Społeczne życie nie jest takie straszne, jakby się wydawało. Zawsze jest się do kogo odezwać. Da się mieć jakąś drobną imitację tego, co powinno być, zawsze da się stworzyć jakiś mały fragment, z którego można zbudować całą resztę. Nie jakiś typowy. [Tu] nie wolno się zachowywać jak w normalnym domu. Nie ma prywatności. Można się starać przystosować do tego, jak niedługo będzie się żyło u siebie.

„Dominika”

4. Schroniska i noclegownie

4.1. Geneza

Placówki opieki, pomocy i także swoście rozumianego ratownictwa³³ wyrosły na gruncie szpitali. Te zaś, mniej więcej do XVIII w., nie miały jeszcze statusu placówek zdrowia w dzisiejszym rozumieniu, ale instytucji charytatywnych zajmujących się również leczeniem. Otwarte były dla rozmaitych potrzebujących, w tym wspomnianych ludzi „luźnych”. „Szpital” to spolszczony łaciński wyraz *hospitalis*, pierwotnie oznaczający „dom gościnny”.

Początki szpitalnictwa wywodzą się ze starogreckiego asklepieia, czyli miejsca przy świątyniach Asklepiosa, gdzie przybywały osoby w poszukiwaniu pomocy medycznej. Z czasem powstawały przy nich także specjalne noclegownie, do których kierowano osoby dłużej oczekujące na poradę (Lipiński 2010: 7). W Rzymie, formy leczenia i opieki zaczęły przybierać coraz bardziej specjalistyczną formę, np. armii towarzyszyły waletudinaria – prawzór szpitali wojskowych i polowych. Kolejne szpitale wraz z aptekami i wyodrębnionymi oddziałami chorobowymi pojawiały się w Bizancjum, Bagdadzie, Damaszk, Aleksandrii, Kairze i na Płw. Iberyjskim (za ich wzór można uznać szpitale arabskie, które wprowadziły taki rodzaj organizacji). Gdy zaś w średniowieczu problem biedy i żebractwa nasilił się, pomoc świadczona przez tego typu miejsca pozwalała zapanować nad zjawiskiem, choć w wąskim zakresie. Działalność szpitali wpisano w chrześcijańską ideę miłosierdzia, na której stały kościoły. Nastawienie wobec ubóstwa, jakie panowało w przeszłości – wywyższało je, co było też pośrednim społecznym sposobem radzenia sobie z problemem. Akceptowano biedaków i włóczęgów, tworząc dyskurs ułatwiający pogodzenie się z ich obecnością. Jak to ujął Stanisław Lipiński, „nędzarz stawał się rzeczą świętą” (ibidem: 8).

W pierwszych wiekach chrześcijaństwa, tj. VI i VII, część biedaków mogła dostać się do matrykułów, czyli instytucji przy kościołach, gdzie pozostawali do śmierci. Z reguły umierali z niedożywienia (Raś 2011: 15).

Pierwszym szpitalem chrześcijańskim znanym z bardzo wczesnych źródeł, była placówka założona przez bp. Bazylego w 369 r. w Cezarei Kapadockiej. Ośrodki tego typu znane były później jako „bazyleje” i otwarte dla osób znajdujących się w trudnej sytuacji (bezdolnych, chorych, biednych, opuszczonych). Bp. Bazyl stworzył tzw. miasto miłosierdzia, zachęcając innych do podobnych działań. „Bazyleje” na europejski grunt zaszczerpili krzyżowcy. Najwcześniejsze szpitale europejskie to: szpital

33 Np. według Heleny Radlińskiej na tym zasadza się kompleksowo ujęta pomoc, choć każde z trzech składających się na nią działań: pomoc, opieka, ratownictwo, co innego oferuje i na czym innym się skupia (Zbyrad 2012: 55).

św. Bartłomieja w Londynie z 1123 r., Hotel Dieu w Paryżu, założony przez Ludwika XII w 1231 r., szpital św. Marii we Florencji z 1288 r. Na terenach polskich pierwszy szpital odnotowano w 1108 r. i był to szpital Augustianów w Sobótce. W 1152 r. powstał szpital w Jędrzejowie koło Gniezna (prowadzony był przez cystersów). W 1170 r. w Śródce pod Poznaniem Mieszko Stary powołał szpital adresowany do starców, a w 1206 r. we wsi Sławków powstała fundacja bp. Pelka, przeniesiona w 1233 r. do Prądnika koło Krakowa.

W szpitalach zajmowano się umierającymi – pełnili rolę hospicjów, lecz także placówek oświatowych i wychowawczych, gdy opiekę pod ich dachem znajdowały sieroty. Ugruntowywały się określone typy pomocy i rodzaje placówek specjalistycznych: *infirmarie*, gdzie leczono mnichów i ludność miejscową; *xenodochia*, czyli przytułki noclegowe dla wędrowców, pielgrzymów i podróżników; chorzy na trąd i inne choroby zakaźne leczeni byli w *leprozoriach*; w XII i XIII w. na ziemiach polskich znane były również *brerhotrophia*, czyli przytułki dla niemowląt (nazwa wywodzi się z greki, pochodzi od karmienia i niemowlęcia), *orphanotrophia* – sierocińce, *noscomia* – lecznice, *gerontocomia* – domy dla starców i *ptochotrophia* – przytułki dla ubogich i żebraków.

W wiekach XVII i XVIII posługiwano się terminem *alumnaty* na określenie placówek dla chorych, działały *lazarety* dla cierpiących na schorzenia weneryczne oraz *hospicja* – to nazwa ogólna szpitala zakładanego też przez świeckich (Lipiński, *op. cit.*: 9–10).

Według Jana S. Bystronia w XVII–XVIII w. na terenie Polski było więcej placówek szpitalnych niż szkół (Bystron 1976: 439).

Szpitala można dzielić również ze względu na grupę zawodową i warstwę społeczną, której służyły. W dawnej Polsce istniały szpitale dla księży, górników, szlachty, chłopstwa, panien, wdów, uczniów i młynarzy.

Pieczę nad szpitalami powierzano przez długi okres organizacjom wyznaniowym, czyli m.in. Kościołowi katolickiemu, dlatego „pensjonarze” szpitalni, jak dawniej ich nazywano (Bystron, *op. cit.*: 440), byli zobligowani, a nawet przymuszani (gdy okazywali opór) do uczestnictwa w praktykach religijnych. Szpitale otwierały się z upływem czasu na osoby świeckie, które włączano do prac zarządu, lecz już od V w. znane są świadectwa, że na te instytucje łożyli świeccy (Raś 2011: 15). Do zarządów szpitali przyjmowano rajców miejskich, powierzając im funkcję prowizorów. Funkcja ta polegała na przyjmowaniu podopiecznych (wyjawszy zdolnych do pracy oraz włóczęgów), trosce o inwentarz, zdobywaniem środków m.in. dzięki praktyce jałmużnictwa i przygotowywaniu sprawozdań z działalności (Lipiński, *op. cit.*: 11). Czasami dochodziło do konfliktów między władzą świecką a duchowną na tle podziału obowiązków. W okresie słabości miast polskich (ze względu na liczne wojny toczące się na naszych ziemiach we wczesnej nowożytności), władza miejska nie była zbyt silna.

W zależności od decyzji poszczególnych zarządów, w przytułkach panowały zróżnicowane reguły. Przede wszystkim rozsądzały one, kogo można przyjmować do placówki. Gdy w danym szpitalu troszczono się o pensjonariuszy, zapewniano im posiłki i nie stosowano wobec nich zbyt ostrego rygoru, cieszył się popularnością i zgłaszały się do niego także „niebieskie ptaki”, które liczyły na łatwe utrzymanie. Bystron śledził m.in. dekrety biskupie, w których duchowni nawoływali do poskramiania zbyt rozzuchwalonych mieszkańców szpitalnych, którzy urządzali na ich terenie pijackie burdy i zabawy. Za karę wyrzucano ich. Nakazywano również oddalać ze szpitali mężczyzn młodych, zdrowych i żonatych. W dekretach podkreślano, że ich żony często utrzymywały się same, pracując jako kramarki, handlarki i karczmarki. Biskupom jednak nie tyle chodziło o to, że mężczyźni oszukiwali i żerowali na miłosierdziu, choć byli zdolni do pracy i mogli liczyć na wsparcie rodziny. Duchowieństwo potępiało przede wszystkim żony, że korzystając z nieobecności mężów, pozwalały sobie na swobodę obyczajową (ibidem: 442). Niektóre z kobiet same też wtrącały mężów do szpitali (ibidem: ibidem).

Zakonnicy i inne bractwa opiekujące się szpitalami przyjmowali zgłaszających się do nich potrzebujących oraz, np. raz na tydzień, sami wyruszały w ich poszukiwaniu po okolicy. Dowiadywali się o chorych, niedołącznych, biednych, samotnych, ciężarnych itp. i przyprowadzali ich do szpitali. Istniały w nich już w średniowieczu odpowiedniki dzisiejszych „okien życia”, gdzie można było zostawić niechciane dziecko. Sierotom takim – płci męskiej, Kościół zapewniał studia, zwalniając z opłat uniwersyteckich, a dziewczętom gwarantowano posag (Lipiński, *op. cit.*: 13).

Szpitala stopniowo coraz bardziej się medyalizowały. Bystron przytacza dekret kardynała Lipskiego z 1739 r. wydany dla krakowskiego szpitala św. Ducha. Kardynał nakazał rozdzielać chorych według chorób, zakładać karty schorzeń i wypisywać tylko po wydaniu odpowiedniej decyzji przez lekarza (ibidem: 444).

Wspominałam, że starano się odróżniać osoby, które wyłudzały pomoc, od ludzi, którzy nie byli zdolni funkcjonować bez wsparcia (jednorazowego lub pomocy długofalowej). Począwszy od wieku XIII, w zachodnich krajach europejskich, szczególnie po sukcesie reformacji, zmuszano żebraków do pracy. Np. w XVI-wiecznej Anglii w Bridwell powstał specjalny dom pracy dla żebraków. Miał on charakter strzeżonej manufaktury i przypominał więzienie. Badacze problemów resocjalizacji i wykluczenia uważają, że to był pierwszy dom takiego rodzaju, za którego założeniem stała idea, że „najbardziej skuteczną formą karania zdrowych żebraków i włóczęgów było posyłanie ich do pracy” (Raś 2011: 18). Rekrutacja do domu w Bridwell miała charakter przymusowy, gdy trafiano na osoby chore, wysyłano je na leczenie do szpitali, zaś jako profilaktykę stosowano chłostę w stosunku do już ozdrowiałych.

Izolacja na wzór więzienia powodowała, że wszelkie cechy i nawyki związane z życiem na marginesie, pogłębiały się i utrwały. Podobnych domów powstało w tym

okresie na terenie Anglii ok. dwustu (Kępski, *op. cit.*: 19). Przyjęty tam sposób organizacji pobytu, stał się wzorem dla analogicznych instytucji, powstających później w Holandii i Niemczech (Raś, *op. cit.*: ibidem). Z biegiem czasu domy pracy powiększały się i mogły przyjmować po kilka setek włóczęgów na raz, zatrudniając ich do różnych prac rękodzielniczych i manufakturowych. We Francji w XVII w., doszło do tzw. wielkiego zamknięcia biedaków i *de facto* przekształcono ich w tanią siłę roboczą. Ci, którzy nie byli w stanie wypracować dziennej normy, byli karani głodówką i odsyłani do więzienia (Raś, *op. cit.*: 19). Kolejnym etapem było powołanie w Paryżu w 1656 r. na mocy zarządzenia królewskiego, Szpitala Generalnego, który mógł pomieścić sześć tysięcy włóczęgów.

Forma obowiązującej „pomocy”, przestała nawiązywać do idei chrześcijańskiego miłosierdzia. W epoce nowożytnej – oświecenia i uprzemysłowienia – stało za nią przekonanie, że skutecznym środkiem naprawczym jest praca, choć biedacy traktowani byli instrumentalnie. Nie pracowali bowiem na siebie i dla siebie, by wydobyć się z nędzy, zatem w celu naprawczym, ale pracowali dla innych.

Zaczęły pojawiać się głosy krytyczne wobec tego rodzaju polityki społecznej. Protestowano przeciwko zamykaniu nędzarzy, zmuszaniu ich do pracy (domy pracy były pierwowzorem późniejszych obozów pracy) oraz stosowaniu kar za niewywiązywanie się z narzuconych obowiązków. Protesty wywoływało zamykanie żebraków w więzieniach, w tym zsyłanie ich na galery, jak przestępców (Raś, *op. cit.*: ibidem).

Ideę rehabilitacji biednych przez pracę podtrzymywał jednak np. Monteskiusz. Mówił on, że człowiekiem ubogim nie jest osoba, która nic nie ma, ale ta, która nie pracuje (Kępski 1993: 39). Z tego sądu wywodziły się inne opinie, że za biedą stoi lenistwo, nałogi i nieprawidłowe gospodarowanie. Praca nie była już traktowana, jako pokuta za grzech, lecz jako obowiązek. Dorota Raś przypominała, że grupy zamożnych niepracujących, podchwytyjących owe postulaty, nie widziały żadnej niekonsekwencji w zmuszaniu ubogich do pracy, podczas gdy same nie podejmowały wysiłku zarobkowania (ibidem: 11).

Opieka nad ubogim miała polegać na dotarciu z pomocą do „prawdziwych” potrzebujących, tzn. niezdolnych do pracy, a osoby, które jeszcze mogły zarobkować, powinno się motywować i ułatwiać im dostęp do zajęć. W ten sposób dbano o ich moralny rozwój, tępiąc także niedobre nawyki oraz ucząc właściwych postaw (Kępski, *op. cit.*: ibidem).

Dyskusja na temat, kto jest zdolny do pracy, a kto nie, jak rozpoznać „prawdziwego biedaka” i nie dać się zwieść oszustom, toczyła się na przestrzeni setek lat w całej średniowiecznej, nowożytnej i postnowożytnej Europie (Raś, *op. cit.*: 10). Do dziś kształtuje politykę i ideologie pomocy, w tym wyobrażenia o biedzie i biednych (wiedzę potoczną i specjalistyczną).

Od XIX w. uważano, że odpowiedź na pytanie, na czym polega istota ubóstwa i jakie jego rodzaje można wyróżnić, ułatwi organizację pomocy. Elżbieta Mazur przypominała poglądy Fryderyka Skarbka (ekonomista i działacz społeczny) zawarte w jego tekście *O ubóstwie i ubogich* z 1827 r., że biedni to osoby, które nie mają możliwości zaspokojenia swoich potrzeb i zdane są na innych. Wyodrębnił ich cztery rodzaje: 1. niemogących pracować, 2. pozbawionych pracy, 3. niechęcych pracować oraz 4. pracujących, ale niemogących się utrzymać z pracy (Mazur 1999: 7). Z tego rodzaju podziałami wiązały się konkretne systemowe rozwiązania, odpowiednie dla każdej grupy. Skarbk w 1830 r. wystąpił z inicjatywą ustawodawczą, dotyczącą nowego projektu prawa o żebrakach i „tułaczach” (Fijałek 1962: 102). Był przeciwny zakładaniu specjalnych domów i zakładów opieki. Twierdził, że placówki takie demoralizują oraz że korzystają z nich osoby podszywające się pod biednych (Fijałek, *op. cit.*: 102). Przychylał się ku modelowi elberfeldzkiemu, którego twórcą był Daniel von der Heydt z Elberfeldu (żyjący na przełomie XVIII i XIX w.). Von der Heydt optował za zindywidualizowaniem pomocy oraz zatrudnieniem specjalnych opiekunów. Były to osoby, które rozstrzygały o formie wsparcia, biorąc pod uwagę poszczególne uwarunkowania. Mieli pod opieką pojedyncze dystrykty, na jakie podzielono miasto. W jednym dystrykcie nie powinno być więcej niż czterdziestu ubogich przypadających na jednego opiekuna. Dzięki temu znał ich i rozumiał warunki ich życia. Opiekun miał również obowiązek kontrolować swoich podopiecznych raz na dwa tygodnie (choć Lipiński pisze, że dwa razy w tygodniu; idem, 2010: 323). Udzielenie wsparcia zapadało dopiero na wniosek opiekuna i po podjęciu decyzji przez gremium innych opiekunów. W systemie elberfeldzkim czternaście regionów – dystryktów miejskich tworzyło nadrzędne skupisko zwane okręgiem, na którego czele stał naczelnik (Strasburger 1915: 30–31) oraz zarząd formowany przez czterech radnych miejskich i czterech mieszczan (Lipiński, *op. cit.*: ibidem). Taka forma pomocy była nazywana wolną i dopełniała pomoc przytułkową. Podejście indywidualne propagowane przez von der Heydta, uwzględniało także ocenę postawy etycznej ubiegających się o pomoc, zanim udzieli się im wsparcia. Pomoc miała polegać też na ułatwieniu powrotu do pracy (Strasburger, *op. cit.*: 30).

Od XVIII w. dobroczynność i miłosierdzie, przeobrażały się w filantropię. Coraz mniejszą rolę odgrywały nakazy religijne, a coraz silniejsze stawało się postrzeganie związków ubóstwa z określoną formą ekonomii i życia społecznego. Bieda była interpretowana z perspektywy racji stanu lub interesu zbiorowego (zob. Geremek 1989a). Utrwaliła się wartość pracy, jako remedium na wydobycie się z nędzy. Np. w 1783 r. wolnomularze warszawscy powołali Towarzystwo Dobroczynności, które utrzymywało Dom Ubogich. Jego działalność polegała na zatrudnianiu do pracy włóczęgów i żebraków (trudnili się trykotażem i przędzeniem). Z biegiem czasu Dom Ubogich przekształcił się w dom pracy („Dom Robotny” – na wzór domów bridwellowskich).

Wtrącano do niego włóczęgów pojmanych na ulicach Warszawy w wyniku obławy. Byli tam doprowadzani siłą³⁴.

Do zarządzania szpitalnictwem i pomocą wkraczała centralizacja. Ku temu modelowi przychyliły się także władze Polski już po pierwszym rozbiórce, gdy w 1774 r. kanclerz koronny ks. Młodziejowski, poddał pod obrady sejmu projekt skupienia władzy nad szpitalami, aby łatwiej walczyć z żebractwem w miastach (Lipiński 2010: 316). Pomysł ten zyskał poparcie i w 1775 r. powołano komisję nad szpitalami w Koronie i Wielkim Księstwie Litewskim. *Konstytucja szpitalna*, tak bowiem nazwano ów akt, określała, że za darmo mają być leczeni w szpitalach chorzy ze świadectwem ubóstwa, a osoby bez owego świadectwa – odpłatnie. Zdolni do pracy żebracy mieli być wyłapywani i kierowani do robót publicznych (ale że takich nie było w tym czasie, polecano ich wybranym warsztatom i fabrykom). Schorowani byli oddawani na leczenie do szpitali (Lipiński, *op. cit.*: 316–317). Idea centralizacji pomocy społecznej okazała się nieefektywna i towarzyszyła jej coraz większa biurokracja. Pomimo uznania zalet rozwiązania elberfeldzkiego (system ten poza Niemcami został przyswojony też w niedługim czasie w Szwajcarii i Austrii), nie spotkał się on z zainteresowaniem władz na terenach polskich i nie został wdrożony.

W związku z XIX-wieczną industrializacją poszerzały się obszary biedy, której coraz mniej mogła zaradzić filantropia indywidualna i środowiskowa. Zaczęto postrzegać państwo, jako strukturę niezbędną dla działania systemu pomocy. W ten sposób zaczęła się kształtować państwowa polityka socjalna, co było kolejną odsłoną centralizacji. Krajem, gdzie państwo zastosowało dość skrajne rozwiązanie, była ponownie Wielka Brytania. W 1834 r. uchwalono tam prawo dla biednych (*Poor Law*³⁵). Nawiązywało ono do systemu panującego w XVI-wiecznych domach z Bridwell. W wyniku *Poor Law*, ponad połowa nędzarzy z Londynu znalazła się w specjalnych ośrodkach pracy przymusowej. Inne organizacje zajmujące się dobroczynnością, jak np. parafie, ograniczyły skalę wsparcia materialnego, jakie dotychczas świadczyły ubogim. Twórcy *Poor Law*, jak przypomina Mazur za innymi historykami biedy (przede wszystkim Bronisławem Geremkiem, zob. Geremek 1989a), stawiali sobie za cel rozwiązanie problemu nędzy poprzez poddanie jej prawom ówczesnego rynku. Zmuszenie ubogich do pracy miało im pomóc lepiej dopasować się do rzeczywistości i usprawiedliwić ich egzystencję poprzez zaakcentowanie przydatności, której dowodziło zatrudnienie. Wsparcie „za nic” traktowano jako szkodliwe, szczególnie, jeśli miałyby prowadzić do podwyższenia standardów życia niepracujących nędzarzy

34 Po trzech latach działania wolnomularskie Towarzystwo Dobroczynności i prowadzone przez nie Domy zostały rozwiązane, ponieważ wykryto małwersacje, których dopuścili się ich zarządcy (Kępski 1993: 45–47).

35 Opis jego skutków i krytykę, znaleźć można w powieściach Karola Dickensa z tego czasu.

w porównaniu z pracownikami najemnymi (Mazur, *op. cit.*: 12). Traktowano to jako nieuprawnione i niesprawiedliwe wobec tych drugich.

Na terenie Królestwa Polskiego w XIX w., powstawały towarzystwa dobroczynności, jak warszawskie (1814), lubelskie (1815), radomskie (1815), plockie (1881) i łódzkie (Łódzkie Chrześcijańskie Towarzystwo Dobroczynności z 1877 r., Żydowskie Towarzystwo Dobroczynności z 1899 r. oraz Ewangelickie Towarzystwo Dobroczynności z 1901 r.). Ich działacze nie zamykali włóczęgów. Problem uporania się ze zdrowymi tułaczami, pozostawili policji (np. w Warszawie ta kategoria włóczęgów, była wyrzucana poza rogatki miasta). Biednych, po sprawdzeniu ich sytuacji, podobnie jak chorych, umieszczano w odpowiednich dla nich miejscach³⁶.

Struktura i podział kompetencji nowożytnych specjalistycznych placówek świadczących pomoc potrzebującym, powtarzał w zasadzie rozwiązania znane już od średniowiecza i z XVIII w. z *Konstytucji szpitalnej*. Placówki dzieliły się na: zajmujące się chorymi (czyli szpitale), niesłyszącymi, niewidzącymi, starcami i osobami z niepełnosprawnościami oraz małymi dziećmi (tzw. ochronki), zdolnymi do pracy żebrakami i włóczęgami oraz byłymi prostytutkami (przytulki), sierotami, opuszczonymi i zaniedbanymi dziećmi³⁷ (Kępski, *op. cit.*: 100).

Programy pomocy oferowane przez placówki, poddane władzy państwowej, stały się przeciwwagą dla prywatnych instytucji dobroczynnych. Te często stawiały wymagania moralne potrzebującym oraz wybierały grupy, którym chciały pomagać. Czesław Kępski zwrócił uwagę, że obowiązek opieki z biegiem czasu scedowano na mieszkańców tej samej miejscowości (późniejszej gminy) (Kępski 1993: 101).

Z warstwy biedoty wyzwalałi się w miastach robotnicy. Zaczynali się organizować oraz byli objęci specjalnie adresowanymi do nich instytucjami, np. biurami pośrednictwa pracy, ubezpieczeniami dla pracujących i bezrobotnych, kasami pożyczkowymi (Mazur, *op. cit.*: 13). Od końca XIX w., robotnicy byli coraz lepiej wynagradzani. Gdy ich sytuacja poprawiała się, przestali utożsamiać się z biedakami. W przypadku załamania ekonomicznego, zasilali jednak szeregi nędzarzy. Udowadnia to historia Łodzi przemysłowej, zarówno XIX-wiecznej, jak i sprzed II wojny światowej.

36 Od 1842 r. ukazem carskim wszelkie towarzystwa tego typu na terenie Królestwa Polskiego podlegały nadzorowi Rady Głównej Opiekuńczej (pod względem działalności ekonomicznej i opiekuńczej) oraz głównemu inspektorowi służby zdrowia (lekarski aspekt działalności). Zatrudniono też przy Radzie na stałe urzędników, którzy mieli zajmować się zawodowo kwestiami nadzoru nad ówczesnymi instytucjami pomocy społecznej, gdy poprzednio oddelegowywano przypadkowych (Kępski 1993: 98).

37 Przeciwdziałając porzucaniu dzieci nieślubnych, od połowy do końca XIX w., nie tylko w Europie (jak np. we Francji – w Paryżu), ale też w USA (np. w Nowym Jorku), tworzone specjalne programy wspierające samotne niezamężne matki. Odchodzono w tym celu od moralizowania, ponieważ skutkowało porzucaniem dzieci, a zintensyfikowano pomoc materialną dla matek. W Stanach Zjednoczonych stworzono też system rodzicielstwa zastępczego.

Pomoc ulegała coraz większej profesjonalizacji. Korespondowało to z postrzeganiem potrzeb ubogich. W niektórych miastach Europy zachodniej (np. w Paryżu i Antwerpii) oraz w miastach USA (Nowy Jork i Chicago), wyrastać zaczęły schroniska dla bezdomnych (już zatem nie żebraków), bezpłatne lecznice dla ubogich i czytelnie. Upowszechniały się także programy dożywiania dzieci (Mazur, *op. cit.*: 13).

Na ziemiach polskich także podejmowano dalsze próby unowocześniania systemu pomocy, pomimo że zakładaniem czytelnii czy biur pracy trudnili się prywatni filantropi i pracodawcy. Wcielanie w życie idei państwa opiekuńczego, pojawić się mogło u nas dopiero po 1918 r.

Funkcjonujące wówczas przepisy określały wewnętrzną strukturę domów schronienia przeznaczanych dla biednych, starszych i schorowanych. Na miejscu otrzymywali wyżywienie, mieszkanie i ubranie – najczęściej jednakowe dla wszystkich. Poza tym, przepisy regulowały możliwość opuszczenia placówki. Kępski podaje, że trzeba było otrzymać zgodę na wyjście. Była jednorazowa i musiała ją wyrazić osoba odpowiedzialna i władna. Miało to zapobiegać upijaniu się podopiecznych poza murami instytucji i ich powrotowi do żebractwa (idem 1993: 123–124).

4.2. Placówki pomocowe w Łodzi

W wieku XIX na terenie Królestwa Polskiego najwięcej zarejestrowano domów tzw. przytułkowych. Świadczyły pomoc doraźną i ratunkową ludziom starszym i chorym. Odnotowano duży odsetek zgonów na ich terenie, co wiązało się ze złym stanem sanitarnym i lokalowym tego typu fundacji (Fijałek 1962: 110).

Pierwszy dom przytułkowy w Łodzi istniał przy dawnej ul. Cegielnianej 44, czyli przy dzisiejszej ul. Jaracza. Mieścił się w wynajętym domu. W 1897 r. został przeniesiony na ul. Dzielną, obecnie Narutowicza 60 (aktualnie budynek ten należy do Akademii Medycznej). Instytucja była specjalnie zaprojektowana dla potrzeb lokatorów (Fijałek, *op. cit.*: 114–115). W budynku mogło się pomieścić ok. trzystu osób, wnętrza oświetlane były gazem. Doprowadzono tam bieżącą wodę i w skład pomieszczeń wchodziła jadalnia oraz kaplica protestancka. Od 1925 r. dom ten – oficjalnie nazwany „Domem Starców i Kalek” – przejął pod swoje całkowite zarządzanie Wydział Opieki Społecznej Zarządu Miejskiego.

Pierwowzorem tej placówki był szpital istniejący w Łodzi od XVI w., który nakazał utworzyć bp. Hieronim Rozdrażewski przy ówczesnym kościele parafialnym. Szpital miał służyć osobom w podeszłym wieku i przewlekle chorym (Lipiński 2010: 178). Był wymieniany w źródłach jeszcze w XVIII w. Pisano wówczas, że miał do dyspozycji ogród. Jako datę jego likwidacji bądź upadku podaje się rok 1748 (Lipiński, *op. cit.*: ibidem).

Personel pracujący w domach schronienia, zapewniał podopiecznym pożywienie najtańsze i najskromniejsze (starając się je urozmaicić w okresie świąt w miarę możliwości i wysokości pozyskiwanych datków). Zapewniano też mieszkańcom odzież. Z reguły biedni przytułkowi byli ubierani tak samo, czyli nosili jednakowe płaszcze bądź peleryny z naszytymi z boku krzyżami z białego lub czarnego materiału. Było to tzw. piętno miłosierdzia i jak pisał Jan Fijałek, „strój taki wyróżniał ich [...] od reszty [...], ale równocześnie upokarzał” (ibidem: 132). Wprowadzenie tego rodzaju ubioru było powszechną praktyką w całej Europie w XIX stuleciu, co nawiązywało do późnośredniowiecznych zewnętrznych stygmatów biedy, jakimi wyróżniano „zwyryfikowanych” pozytywnie ubogich, jako „prawdziwie” biednych, odróżniając ich od włóczęgów podszywających się pod nędzarzy.

Domy przytułkowe i domy schronienia, utrzymywały się częściowo z dotacji rządowych, które były niewystarczające. Placówki były często wilgotne, ciemne, brudne i nieogrzewane, bez podłogi, z nieoszlonymi oknami. Na ich wyposażenie składały się sprzęty do spania, jedzenia, przechowywania żywności, mycia, prania, gotowania (co wynika z analizy Fijałka, który dotarł do źródeł opisujących standardowe wyposażenie domów tego typu istniejących w okręgu łódzkim w XIX w.; ibidem: 134–135). Za miejsce w domu przytułkowym, „pauprzy” (jak nazywano też biedaków), wykonywali pewne prace w miarę swoich możliwości. Uwzględniano zatem ich ograniczenia wypływające z wieku i stanu zdrowia. Były to zajęcia typu: pomoc w ogrodzie, wypasanie zwierząt, posługi kościelne, pomoc na terenie domu. Grzebali także zmarłych, naprawiali bieliznę szpitalną i przygotowywali szarpie lub żebrali na ulicach, ale oficjalnie, za pozwoleniem (Fijałek, *op. cit.*: 135).

Bieda w Łodzi w dziewiętnastym stuleciu, nasilała się w momentach stagnacji gospodarczej, co zależało od tempa rozwoju przemysłu i wpływało na możliwość znalezienia pracy w tym największym mieście okręgu i w sąsiadujących z nim miejscowościach. Zubożenie łódzian i mieszkańców okolic utrzymujących się z włókiennictwa lub zależnych w inny sposób od tego sektora, obserwowano w latach 1844–1845 (czas kryzysu spowodowanego nadprodukcją), 1847–1848, 1852–1854 i 1861–1865 (okres tzw. głodu bawełnianego) (Fijałek 1962: 200–201). Z kryzysami wiązały się zwolnienia i obniżanie zarobków. Zatem, by obniżyć koszty pracy, zatrudniano najtańszych pracowników, czyli kobiety, dzieci i ludność wiejską. Towarzyszył temu wzrost cen żywności. Głodni, schorowani i bez pracy, nie mieli skąd otrzymywać pomocy, ponieważ *de facto* jej forma zorganizowana jeszcze nie istniała. Wspomniane Łódzkie Chrześcijańskie Towarzystwo Dobroczynności (najstarsze na tych terenach), powołane zostało w 1877 r. Do tego czasu zwoływano doraźne akcje charytatywne, a różne grupy i komitety społeczne rozdzielały zebrane środki. Dotkniętych kryzysem przydzielano do robót publicznych, wydawano im pożywienie i opał. Bano się rozruchów, więc prowadzono też rejestry bezrobotnych, a policja monitorowała ich na terenie

fabryk, warsztatów, w miejscach publicznych i w domach. Wystąpienia ubogich przeciwko władzom i pracodawcom miały jednak miejsce: w 1845 r. biedni urządzili rodzaj strajku okupacyjnego w ratuszu, a w 1854 r. grupa czeladników napadła na wieś Widzew, kradnąc jej mieszkańcom chleb i drewno na opał (Fijałek, *op. cit.*: 204). W latach sześćdziesiątych XIX w. do organizacji pomocy przystępowali fabrykanci, na których społecznicy i władze miejskie starały się wpłynąć, aby dbali o ograniczanie redukcji zatrudnienia, organizowali roboty publiczne i rozdawali żywność. Robotnicy i ich rodziny łatwo zasilali grupę bezdomnych i podlegali marginalizacji w okresach pogorszenia koniunktury przemysłowej.

W 1912 lub 1914 r. z inicjatywy Łódzkiego Chrześcijańskiego Towarzystwa Dobroczyńności powołano Komitet Obywatelski Niesienia Pomocy Biednym (Lipiński, *op. cit.*: 186; autor ten pisze o 1912 r., a Piotr Zwoliński o 1914 r., zob. Zwoliński 2006: 40). Działał on w okresie I wojny światowej. Z ramienia ówczesnych władz kościelnych (bp. Wincentego Tymienieckiego) powołano w tym czasie przytułki dla bezdomnych w Łodzi. Był to m.in. ośrodek dla osób dorosłych, który mieścił się na Rokiciu (Zwoliński nie podaje adresu; *ibidem*: 41). W latach 1927–1928 powstało Stowarzyszenie Pomoc Nędzy Wyjątkowej w Łodzi, które działało pod auspicjami lokalnego Kościoła katolickiego. Jego zadaniem była pomoc osobom, które nie były objęte formami wsparcia przewidywanymi przez ówczesne prawo (Zwoliński, *op. cit.*: *ibidem*).

Przed II wojną światową działały jadłodajnie dla ubogich, m.in. przy ul. Czerwonej 6 i ul. Pabianickiej 49 (miały charakter przejściowy). Prowadzone były przez Zgromadzenie Sióstr Służebniczek NMP Niepokalanie Poczętej. Jadłodajnie uruchamiane były głównie w okresie zimowym dzięki ofiarom łodzian.

Od 1937 r. w mieście działali też bracia albertyni. Zostali zaproszeni do Łodzi, by założyć i poprowadzić noclegownię dla mężczyzn żyjących w bezdomności. W tym celu Wydział Opieki Społecznej zakupił posesję przy ul. Kątnej, lecz najpierw albertynom przekazano istniejący już Miejski Dom Noclegowy dla mężczyzn (na dwieście miejsc). Mieścił się przy ul. Cmentarnej 8/10 (posesja ta już nie istnieje). W domu nie mogli być zakwaterowani chorzy na choroby zakaźne, nietrzeźwi oraz zawodowo parający się żebractwem i włóczęgostwem, co określało Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z 1927 r. (*Rozporządzenie Prezydenta...*, *ibidem*). Za noclegi była pobierana opłata (5 gr za noc). Dom Noclegowy albertynów był otwarty przez cały rok, można było do niego przychodzić od 19:00 wiosną i latem, a od 17:00 jesienią i zimą, pozostając albo do 8:00 (cieplejsze miesiące), albo do 9:00 (zimna połowa roku). Przybyszy dzielono na tych, którzy nie zostali poddani dezynsekcji i byli kwaterowani na pryzach drewnianych oraz na osoby, które przeszły dezynsekcję – te spały na pryzach wymoszczonych materacem, z poduszką wypchaną słomianą sieczką, na prześcieradle. Źródłem konfliktów między albertynami a niektórymi bezdomnymi

(w noclegowni pracowało tylko trzech zakonników) był wymóg zachowania trzeźwości przez zgłaszających się na nocleg.

W 1938 r., po roku działalności, albertyni przejęli placówkę przy ul. Cmentarnej od miasta na stałe, lecz wybuch II wojny światowej przerwał ich pracę, podobnie jak pracę siostr albertynek (Zwoliński 2006: 246–248). Zostały one sprowadzone do ówczesnej diecezji wcześniej niż albertyni, ponieważ już w 1926 r. Ich pierwszym zadaniem była opieka nad starcami i osobami dotkniętymi niepełnosprawnościami, dla których dom powstał w Sulejowie. Placówka o podobnym charakterze została przydzielona albertynkom potem w Wolborzu (1927), a następnie w Łęczycy (1936). Do samej Łodzi przybyły w 1938 r. i zaczęły pracę w Domu Noclegowym dla Kobiet znajdującym się przy ul. 28. Pułku Strzelców Kaniowskich 32. Przygotowano tam sto osiemdziesiąt miejsc dla potrzebujących. Według źródeł, do jakich dotarł Zwoliński, obok tego domu stanął posterunek VII Komisariatu Policji Państwowej, by walczyć z burdami, jakie rozgrywały się w okolicy (Zwoliński 2006: 245)³⁸. 1 września 1939 r. dom został przejęty na własność przez Łódzki Zarząd Miejski. Był otwarty do 24 lutego 1940 r., gdy zjawiło się w nim gestapo. Żołnierze wywieźli sto czterdzieści obecnych tam kobiet w nieznanym kierunku, a dwa dni później albertynki dostały rozkaz opuszczenia domu (Zwoliński, *op. cit.*: 234–236).

Do domów prowadzonych przez siostry albertynki kierowano na wniosek Łódzkiego Towarzystwa Przeciwzembraczego. Działo ono na bazie obowiązujących w Polsce międzywojennej przepisów, czyli m.in. Rozporządzenia Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej z 1923 r. oraz innych aktów. W rozporządzeniu tym podniesiono sytuację osób oddających się hazardowi, narkotyzujących się oraz żebrzących i włóczęgów. Z pewnością kategorie te obejmowały bezdomnych w dzisiejszym rozumieniu tego słowa. Dla ówczesnych wykluczonych stworzono program resocjalizacji i reintegracji przez pracę. Istniał system domów pracy dobrowolnej, przymusowej i przytułkowej. Do pobytu w nich przymuszano, wypuszczano zaś, gdy dana osoba znalazła środki do życia, czyli odpłatne zajęcie, lecz nie mogło to być żebractwo.

W zbiorach Archiwum naukowego macierzystego Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Łódzkiego (dalej jako AIEiAK) znajduje się kilka reprodukcji zdjęć z innych archiwów, zostały jednak włączone do etnologicznej kolekcji, ponieważ ukazują warunki życia panujące w łódzkich przedwojennych schroniskach dla bezdomnych.

Jest zatem kopia zdjęcia pt. *Dom noclegowy dla bezdomnych mężczyzn, 1925 r.* (sygn. AIEiAK 6671/L.5797 – sygn. Wojewódzkiego Archiwum Państwo-

38 Po II wojnie światowej, gdy we Wrocławiu powstało pierwsze schronisko im. Brata Alberta, ulokowano w jego sąsiedztwie posterunek Milicji Obywatelskiej. Założyciele placówki nie traktowali tego jako opresji, lecz pomocy, w dodatku wzajemnej. Milicjanci wprost sygnalizowali korzyści wynikające z założenia tego rodzaju domu, ponieważ mogli przywozić do niego osoby, które nie kwalifikowały się do szpitala, ponieważ ich problemem był brak domu (Marszałkiewicz 2011).

wego w Łodzi 21/32, dalej jako WAPŁ). Nie podano adresu, być może to dom przy ul. Cmentarnej lub drugi, znajdujący się na Rokiciu. Na fotografii uwieczniono nie tylko wnętrze (widać prycze i okna), ale i lokatorów. Byli upozowani do zdjęcia, ubrani w odzież wierzchnią. Zajęli miejsca na pryczach i stali pod ścianami, większość nosiła kapelusze i kaszkiety. Dwóch spośród nich – siedzących po prawej stronie, na pierwszym planie – zwiesiło głowy, siedzieli niemal bezwładnie, opierając się o siebie. Być może chcieli ukryć twarze. Reszta patrzyła wprost w aparat. Widać młodych mężczyzn, w średnim wieku i starszych. Ściany pomieszczenia wydawały się pobielone, okien nic nie zasłaniało, a podłoga była z desek.

Inne zdjęcie przedstawia *Wnętrze baraków dla bezdomnych rodzin, 1925 r.* (AIEiAK 6673/L.5799 – WAPŁ 21/40). Tutaj także brakuje informacji o adresie. Sфотографowany barak jest pusty, wydaje się, jakby dopiero był ukończony. Wnętrze jest na tyle pojemne, by zmieściły się trzy rzędy drewnianych pryczy (z lekko uniesionymi zagłówkami). Okna ciągnęły się po jednej stronie, a przez całą szerokość budynku biegły dwa rzędy słupów podtrzymujących belkowany sufit. Cała budowla była drewniana. Słupy pomalowano od podłogi w górę do, mniej więcej, jednej trzeciej wysokości. Prycze stały jedna obok drugiej, było ich ok. siedemdziesięciu dwóch–siedemdziesięciu ośmiu (dostrzec można od dwudziestu czterech do dwudziestu sześciu prycz w jednym rzędzie).

Na kolejnych dwóch zdjęciach widać wnętrze baraku (tego czy innego) i to, jak urządzili się w nim jego lokatorzy. Fotografia pod takim samym tytułem, jak omówiona wyżej, czyli *Wnętrze baraków dla bezdomnych rodzin robotniczych, 1925 r.* (AIEiAK 6675/L.5801 – WAPŁ Ł-I 21/40), przedstawia szczegóły tamtejszego życia.

Fotograf wybrał do zdjęcia jedną z rodzin. Zajmowała miejsce pod oknem. W połowie jego wysokości widać ciągnącą się przez całą długość budynku rurę, której nie było na zdjęciu dokumentującym puste baraki. Wydaje się, jakby była to rura od pieca umieszczonego w którymś rogu budynku. Pod rurą rozciąga się dość gruby sznur. Na nim rozpostarto zasłony z materiałów, co widać na kolejnym zdjęciu (AIEiAK 6670/L.5796 – WAPŁ 21/333). Zasłaniano się w ten sposób przed pozostałymi mieszkańcami, zarówno od strony przejścia między łózkami, jak i po bokach, tworząc „boksy”.

Dla potrzeb zdjęcia zasłona od frontu została odsunięta. Fotograf zainteresował się planem ogólnym pojedynczego „boksu”. Uwiecznił jego lokatorów, którzy nie korzystają z pryczy, ale z własnych łózek i innych mebli (poza tym prycze na pierwszym zdjęciu, jeszcze w nieużywanych barakach, nie wydawały się przytwierdzone na stałe, dawały się najpewniej przesuwac). Ludzie ci siedzą za stołem zasłanym obrusem lub serwetą. Na ścianie za nimi, rozciągającej się między oknami, widać trzy obrazy i zegar ścienny. Okno należące do ich „boksu” osłonili zasłonkami. Rozwiesili je na sznurku, który, co widać, był rozpięty w połowie wysokości szyb oraz zawiązany na gwoździu wbitym w ścianę. Na jednym z łózek leżała chyba dość młoda kobieta

w pościeli, widać jej nagie ramię. Obok, przy stole, siedziała para: młoda dziewczyna i chłopak, a na pierwszym planie, z boku stołu, mężczyzna w średnim wieku, na krześle. Na lewo od niego ustawiono kolejne łóżko, wezłowiec do nóg łóżka kobiety. Zdaje się, że spało w nim dziecko. Zza bocznej materiałowej zasłony oddzielającej ten „boks” od drugiego zaglądał do sąsiadów młody mężczyzna. Fotografowani różnie zachowali się przed aparatem. Tylko kobieta leżąca w łóżku oraz chłopak zza stołu patrzyli na wykonującego zdjęcie. Najstarszy spośród nich mężczyzna patrzył w bok, a dziewczyna miała spuściła wzrok i pochyliła głowę. Dziecko chyba spało. Sąsiad, wystający sponad przepierzenia, przyglądał się fotografowi i scenie, jaką miał przed oczami.

Drugie zdjęcie z cyklu *Wnętrze baraków dla bezdomnych rodzin robotniczych, 1925 r.* (sygn. AIEiAK 66780/L.5796 – WAPŁ 21/33) ukazuje plan ogólny zasiedlonego baraku. Wyraźniej widać przepierzenia z materiałów. Zasłony były rozpięte na wspomnianym już przeze mnie sznurze bądź sznurach. Owijano je dookoła drewnianych filarów, które podtrzymywały co parę merów strop lub zawijano wokół gwoździ wbitych w słupy.

Dwa kolejne zdjęcia pokazują wnętrze domu noclegowego dla kobiet bezdomnych w Łodzi przy ul. Głównej 62. Tak brzmi też ich tytuł. Obydwa pochodzą z tego samego roku, co poprzednie, czyli z 1925 (pierwsze: AIEiAK 6676/L.5802 – WAPŁ Ł-I 21/48; drugie: AIEiAK 6676/L.5798 – WAPŁ Ł 21/30). Sfotografowane na nich pomieszczenia były inaczej zagospodarowane niż baraki dla bezdomnych rodzin. Kobiety mieszkaly w jednej wspólnej przestrzeni, nie widać przepierzeń. Zdjęcia być może nawet ukazują dwa różne wnętrza, ponieważ na jednej fotografii (AIEiAK 6676/L.5802) są widoczne słupy, a na drugiej (AIEiAK 6672/L.5798) nie ma tego elementu. Przesłanką, że chodziłoby o dwie różne grupy kobiet, rozmieszczone w różnych salach lub budynkach, jest jednak przede wszystkim obecność i nieobecność dzieci na jednym i drugim zdjęciu. Towarzyszą matkom tylko na fotografii AIEiAK 6672/L.5798.

W lokalach dla kobiet niewiele dostrzec można sprzętów oprócz łóżek lub pryczy – ponieważ są zasłane pościelą, trudno powiedzieć, na jakim meblu spały. Na pierwszy rzut oka bardziej umeblowany był pokój dla matek z dziećmi. Jako mebel służyła im np. skrzynka, na której siedziała jedna z kobiet z dzieckiem na kolanach widoczna na pierwszym planie. W jedną ze ścian były wbite gwoździe lub haki, ponieważ widać rozpiętą na niej sieć sznurków. Powieszone były tam ubrania: bezpośrednio na gwoździu lub haczyku albo na wieszaku. Odzież była także rozwieszona na sznurach. Dostrzec można lampę naftową powieszoną dość wysoko na ścianie nad jednym z łóżek. Znajdował się tam zegar wiszący i piec (wystaje jego rura) oraz obraz. W głębi, w rogu obok pieca, widać mebel (?) nakryty narzutą (?). Na jednym z łóżek wyraźnie dostrzec można koronkową kapę.

Na obu fotografiach (kobiety samotne i matki z dziećmi) kobiety pozują: siedzą na łózkach, leżą lub stoją, trzymają na rękach lub obok siebie dzieci i wpatrują się wprost w aparat.

W archiwum IEiAK UŁ można znaleźć też reprodukcje fotografii dokumentujących lokale tymczasowe z 1934 r., w których mieszkali bezrobotni i wyeksmitowani łodzianie. Są to trzy zdjęcia o następujących tytułach i numerach: 1. *Łódź – mieszkanie robotnicze w okresie kryzysu gospodarczego, 1934 r.* (AIEiAK 6247/L.5373 – reprodukcja ze zbiorów Archiwum Dokumentacji Mechanicznej w Warszawie nr 1982); 2. *Łódź – kryzysowe mieszkanie w komórkach, 1934 r.* (AIEiAK 6277/L.5403 – reprodukcja ze zbiorów Archiwum Dokumentacji Mechanicznej w Warszawie nr 1983); 3. *Tak mieszkają bezrobotni i wyeksmitowani biedacy łódzcy na polach miejskich przy ul. Unji* [pisownia oryg. – I.B.K.] (AIEiAK 5546/L.4778 – reprodukcja pochodząca z wydawnictwa „Łódź w ilustracji” z 1934 r., R. X, nr 28, s. 5 – jak podano w adnotacji na tyle zdjęcia).

Komórki, czyli drewniane szopy, gdzie za drzwi służyła czasami płachta materiału, a ogrzewano się najpewniej „kozami” (z dachów szop wystają dymiące rury od piecyków czy innych palenisk). Część sprzętów, jak miska, stołek, stół, stały na zewnątrz. Meble były zbite z desek i nie wyglądały na kupne. Mieszkańcy szop i ich dzieci, podobnie jak sfotografowani bezdomni mężczyźni, kobiety i całe rodziny, ustawili się do zdjęcia na tle swoich siedzib.

Omówiony wyżej sposób urządzania noclegowni i przytułków wpisuje się w układ przestrzenny stosowany w tego typu miejscach już wcześniej. Poświadczają to np. ryciny z XIX w. i starsze. Rycina z 1870 r. ukazuje wnętrze jednego z warszawskich przytułków dla ubogich. Widać na niej postacie leżące na ziemi na pościelach, inne osoby siedzą lub polegają na ławach, kolejne opierają się – możliwe, że śpiąc – o rodzaj stołu lub wyższej ławy (zob. Mazur 1999: 66). Inna ilustracja materiału prasowego z tego samego roku ukazuje rozdawanie herbaty ubogim w Warszawie w przytułku dla biednych. Scena ta rozgrywa się w pomieszczeniu, które spełniało jednocześnie funkcję poczekalni, ogrzewalni, jadalni i świetlicy. We wnętrzu tym pewien porządek wprowadza jedynie kolejka, złożona z kilku osób, które stoją przed stołem w głębi pomieszczenia. Zastawiono go utensyliami do wydawania napoju. Reszta obecnych (przeważają kobiety), którzy już być może skorzystali z poczęstunku, siedzą ściśnięci na jednej z ław, inni stoją pojedynczo i zbici w grupki, rozmawiając lub milcząc (zob. Mazur 1999: 67).

Inna ilustracja przytaczana przez Hannę Mazur pochodzi z 1897 r. To zdjęcie wnętrza sypialni przytułku Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności dla kobiet. W wielkiej sali, w trzech szeregach stały jednakowo zasłane łóżka. Na fotografii nie widać mieszkanki, pomieszczenie jest puste i uporządkowane (ibidem: 119). Gdyby nie informacja, że chodzi o ten rodzaj placówki, można by pomyśleć, że to np. bursa lub koszary.

4.3. Życie w wybranych instytucjach: na pograniczu domowości i odgórnych reguł

4.3.1. Instytucjonalne uwarunkowania pracy terenowej

Do napisania tego podrozdziału wykorzystałam notatki z obserwacji i zdjęcia dokumentujące moje pobyty, jakie zgromadziłam od 2009 r. w wybranych placówkach. To z ich mieszkankami i mieszkańcami rozmawiałam.

W niniejszym podrozdziale oprócz opisu i interpretacji obserwacji własnych, wykorzystałam także wnioski wyciągnięte z rozmów nieformalnych. Prowadziłam je z różnymi osobami przebywającymi w wybranych miejscach, w tym z kadrami.

Moim pierwotnym statusem podczas badań/działań był status *outsiderki*. Obserwacje, które prowadziłam, można nazwać bezpośrednimi nieuczestniczącymi i są one charakterystyczne dla badań organizacji i prowadzonych w organizacjach (Ciesielska, Wolapik Boström, Öhlander 2012: 53). W kontekście prowadzonych przeze mnie badań, były to instytucje, które świadczyły pomoc socjalną i całodobową opiekę. Oferowały terapię polegającą na długofalowym procesie przełamywania wykluczenia, w tym przede wszystkim bezdomności.

Outsider ma jasno określone miejsce podczas badań, tzn. nie „ubiera się” w „kostium” informatorów i nie integruje się, aby stać się jednym z nich. Uczestniczy jednak w rytmie życia danego miejsca, grupy i jej poszczególnych członków, tak blisko, jak to możliwe. Czasami udaje mu się dość dobrze wtopić w tło i przestaje być zauważany. Traktuje się go wówczas jako stały element otoczenia, zaprasza np. na przyjęcia świąteczne w instytucji.

Insider zaś uprawia obserwację bezpośrednią uczestniczącą. Podziela życie z badanymi, uczy się ich zachowań, obyczajów i do jakiegoś stopnia je przejmując (przynajmniej na czas badań; dzieje się to jeszcze inaczej, gdy zajmuje się własną grupą identyfikacji).

Mój przypadek częściej wpisywał się w podejście badawcze nieuczestniczące, choć pozycja *outsiderki* nie wystarcza, by określić moją rolę i badawczy sposób bycia w miejscach badań. Przychodziłam z zewnątrz, nie należałam ani do mieszkańców ani pracowników ośrodków. Prezentowałam odrębne od ich aktywności pomysły na działania. Były one albo nie były przyjmowane przez mieszkańców i mieszkanki oraz personel. W każdym niemal przypadku zdecydować musiała o tym zarówno kadra, jak i lokatorzy. To, co chciałam wykonać (w ramach badań i wolontariatu), podlegało dyskusjom, negocjacjom, czasami modyfikacjom. Uwzględniałam sugestie, motywacje i odmowy każdej ze stron. Nie obowiązywały mnie jednak reguły pracy kadry oraz nie włączałam się w typowo urzędowy proces pomocy. W jakimś zakresie musiałam

się jednak w niego wpisać, aby działać i być tolerowana na terenie każdego z miejsc moich badań. Z tego powodu mogłam być postrzegana jako część personelu zarówno przez jego członków, jak i przez mieszkańców.

Dowodem na to, że byłam traktowana tak przez personel placówek, były rozmowy, jakie ze mną prowadzono. Najczęstszy temat stanowiło dzielenie się, przy mnie bądź ze mną, opiniami i opowieściami o problemach ze współpracy z „klientkami”. Niektórzy członkowie kadry byli przekonani, że i ja wiem, o co chodzi w ich pracy. Ich wypowiedzi jednak często nie precyzowały, co dokładnie mieli na myśli. Poprzedzawano na wyrażeniach: „sama pani wie”, „sama pani się o tym przekonała”, „sama pani widziała/słyszała/była świadkiem/poznała kogoś”, które stały za opowiedzeniem jakiejś historii, wspomnieniem którejś z osób. Ten rodzaj komunikacji pokazywał, że dla osób z kadry zyskałam pozycję częściowej *insiderki*, nie tracąc przy tym statusu *outsiderki*.

Mieszkańcy i mieszkanki obu miejsc plasowali mnie po stronie kadry. Jak wspominałam wyżej, przychodziłam z ofertą spotkań i zajęć (w tym opieki nad dziećmi), co upodobało mnie do personelu. Czasami traktowali mnie jednak jako częściową *insiderkę*, w takim sensie, że choć nie byłam jedną z nich, znałam ich sprawy dzięki inaczej układającym się stosunkom między nami, niż między nimi a personelem. Lokatorzy i lokatorki placówek dzielili się ze mną opiniami na temat rozmaitych spraw wydarzających się w tamtych miejscach i w ich życiu. Skarżyli się czasem na kadrę, sąsiadów czy współlokatorów, a niektórzy próbowali wciągnąć mnie w rozgrywki wewnętrzne, które się tam toczyły.

Podlegałam częściowo zasadom panującym w instytucjach. Przede wszystkim obowiązywały mnie ramy czasowe funkcjonowania tych miejsc. Dostosowywałam swój pobyt i zajęcia do godzin rozmaitych aktywności, do jakich byli obligowani mieszkańcy przez kadrę. Miałam większą swobodę niż pensjonariusze, zaś w stosunku do personelu, miałam do dyspozycji inny rodzaj aktywności. Przede wszystkim nie sprawowałam nad mieszkańcami kontroli.

Dzięki temu, że w zależności od kontekstu, czasami byłam bardziej *insiderką*, czasami mniej, tracąc lub zyskując na statusie *outsiderki*, mogłam gromadzić dane „możliwie najlepsze” (Ciesielska i in. 2012: 47). Taki rodzaj źródeł nie wynika jednak z tej czy innej techniki badawczej, ale z odpowiedniego „stopnia uczestnictwa” (Ciesielska i in., *op. cit.*: ibidem), jaki udaje się osiągnąć określonej osobie o określonym statusie w określonych warunkach.

Obserwacje, jakie prowadziłam, mogą posłużyć jako przykład spojrzenia w pewnej mierze od środka na mechanizmy rządzące miejscami świadczącymi pomoc. Placówki te w większości stosują kontrolę i dyscyplinę. Tego typu polityka przekłada się na zarządzanie czasem i przestrzenią pensjonariuszy. Polem, na którym toczą się procedury dyscyplinujące i korygujące jest też ciało mieszkańców oraz te

sfery przestrzenne, które traktowane są jako prywatne, czyli buforowe (Schmidt 2009: 93). W tym kontekście traktować je można jako ekstensje ciała.

Ciało jest ważnym obiektem troski cudzej i własnej. Przykłada się do niego dość specyficzne parametry. Są one zgodne z systemem wartościowania przyjętym w owych miejscach (zob. Shusterman 2012, szczególnie rozdział o somaestetyce Foucaulta). Ciało jest „obiektem” w tym sensie, że służy do demonstracji przebiegu zmiany, jaką powinien przejść lokator i lokatorka placówki. Przemiana zaś polega na wyjściu z bezdomności i przepracowaniu tego problemu. W placówkach polega to m.in. na wdrażaniu mieszkańców do praktyk mieszkaniowych, „jak w domu”, choć miejscami tymi rządzą wewnątrzinstytucjonalne regulacje, określające charakter i rytm codziennego bytowania. Reguły odnoszą się do określonych sensów zamieszkiwania „jak w domu”. Mimo to, nie są domami *sensu stricto*, choć toczą się tam działania w jakimś stopniu odtwarzające domowe *decorum* oraz emocje, relacje i przestrzenie (np. podczas świąt, gdy wystrój placówki przygotowujący zarówno przez kadrę, jak i mieszkańców, nawiązuje do tzw. świątecznej atmosfery i do tego, co można zastać w domach).

Działania wynikające z zasad instytucjonalnych wiążą się ściśle z kinestetyką. Lokatorzy i lokatorki badanych placówek dostosowują swoje możliwości ruchowe i fizyczne do wymagań, które się im stawia. Wymogi dotyczą kwestii, jak coś powinno być zrobione, jak szybko, przy pomocy jakich sprzętów i narzędzi (szczególnie sprzętanie). Czynności te wykonuje się przy pomocy ciała, czyli ciałem. Poprzez wdrożenie go do oczekiwanych zachowań, osoba inkorporuje zasady. Cieleśność lokatorów jest niemal cały czas (oprócz snu) zaangażowana w proces owego quasi-zamieszkiwania, jaki toczy się w instytucjach. Polega na wywiązywaniu się z obowiązków, (pod)porządkowania, (auto)korekty i (samo)dyscyplinowania, którego się od nich oczekuje. Są one synonimami dojrzałości społecznej i znakiem gotowości do usamodzielnienia się.

Interesowały mnie spotykane tam aktywności, sposoby ich wykonania oraz przestrzenne i czasowy wymiar owych działań (w tym wykonywanych wobec siebie i na sobie). Krzątania, jaka występuje w placówkach, składa się na pewien rodzaj zamieszkiwania. Polega ono na tworzeniu osobistych miejsc do życia, które są imitacjami domów, a zatem w jakimś zakresie i sensie odwołują się do „domu”, tzn. przywołują jego wyobrażenia i idee. Jednak umowność tamtejszych okoliczności sprawia, że miejsca te przede wszystkim zabezpieczają podstawowe potrzeby fizjologiczne.

W szerszym znaczeniu, zagadnienia te wpisują się w obszary badawcze proksemiki, która obejmuje problem terytoriów, zarządzania przestrzenią i jej aranżacji oraz rodzaje dystansu. Dystans może być rozpatrywany ze względu na sposób, w jaki jest wytyczany i przekraczany. Wywołuje to określone konsekwencje, szczególnie w miejscu tak zagęszczonym i zatłoczonym, jak całodobowe miejsca masowego pobytu (zob. Hall 1997, Knapp, Hall 2000, Schmidt 2012).

Bieg moich obserwacji był podporządkowany miejscowemu rytmowi. Dzięki takiemu podejściu zebrałam „bezpośrednie wrażenia” (Ciesielska i in. 2012: 50). Rozmowy nieformalne z kadrą i mieszkańcami odnosiły się do „tu i teraz”, rozgrywającego się na naszych oczach. W ten sposób poznałam objaśnienia celowości rozmaitych czynności (i wiedzę tę bezpośrednio włączałam do niniejszego wywodu).

Wartość nadawana praktykom cielesno-przestrzenno-symbolicznym w placówkach nie jest podobna do tej, jaka może być im przypisana w domu, mimo że wszędzie spełniają podstawową funkcję, np. uśmierzenie głodu. Podobnie, co innego niż w domu, oznacza mycie się, pranie oraz inne zabiegi higieniczne w schroniskach, także sprzątanie oraz wychodzenie na zewnątrz, spędzanie czasu wolnego i zajmowanie się sobą.

Zachowania, czynności i postawy, spotykane u mieszkańców i mieszanek placówek, wynikają z adaptacji do tamtejszych wymagań. Dotyczy to także działań, które pozornie są związane wyłącznie z fizjologią. W tym miejscu wspomnieć trzeba o klasycznej pracy Marcela Maussa na temat sposobów posługiwania się ciałem (2001). Jego konstatacje nie straciły na aktualności. Można do nich dodawać kolejne przykłady oraz poszerzać pole badań (np. o możliwości ciała opatrzonego nowymi technologiami; Ilnicki 2012). Twórca somaestetyki, Richarda Shusterman, powiedział, że mamy do czynienia z „cielesną świadomością”, czyli z takim rodzajem doświadczania, gdy ciało jest odbierane przez nas jako podmiot i przedmiot doświadczania świata. Ciało w świecie „doświadcza siebie”, przekraczając fizjologiczne aspekty bycia materią, tzn. unerwioną tkanką. Shusterman pragnął, aby traktować ciała jako świadome, wrażliwe i reagujące, co pomogłoby w uprawianiu coraz lepszej autopraktyki. Oznacza ona bycie w świecie poprzez ciało i w ciele (Shusterman, *op. cit.*: 7). Badacz ten podkreślał wagę licznych praktyk cielesnych znanych z historii kultury, których zadaniem było inkorporowanie i interioryzowanie określonych ideałów, poglądów, postaw i wartości. Rodzaj doświadczenia ciała, jakie zachodzi w warunkach schroniskowych, gdzie dom jest imitowany, tworzy szczególny rodzaj świadomości.

4.3.2. Higienizm a reżim porządku i poszukiwanie intymności

Gdy dokonuje się przeglądu funkcjonowania historycznych przytułków, domów noclegowych, szpitali i współczesnych miejsc pomocy tego typu, uderza panująca w nich rutyna i porządek. Organizacja owych miejsc oparta była i jest na swoistym reżimie. Starłam się na to wskazać już wcześniej, opisując cele i zadania, jakie stawiano przed ośrodkami pomocowymi dawniej oraz jak rozumiano w nich nie tylko powinności wobec potrzebujących, lecz i zobowiązania tej grupy wobec społeczeństwa.

Zasady, z jakimi spotkałam się w ośrodkach, dotyczą przede wszystkim przestrzegania higieny, czystości i porządku. Istnieje zakaz opuszczania placówek i powrotów w dowolnych porach, jeśli pensjonariusz czy pensjonariuszka nie usprawiedliwi się przed opiekunami lub kierownictwem i nie zostanie ustalony okres nieobecności. W placówkach obowiązują czasowe ramy nieobecności oraz kiedy powinno się prowadzić pewne czynności na terenie instytucji. Nie różni się to zasadniczo od regulaminów panujących w średniowiecznych czy nowożytnych przytułkach. Dzisiejsi odpowiednicy dawnych „pauprów”, powinni równolegle kierować też swoimi sprawami, tzn. czuwać nad procedurami administracyjnymi, aby jak najszybciej opuścić schronisko, noclegownię czy mieszkanie readaptacyjne i przejść do własnego lokalu. Z wysiłków tych są rozliczani przez personel ośrodków. Co jakiś czas przed osobą z kadry (najczęściej pracownikiem socjalnym i terapeutą) opowiadają, czego dokonali, na jakim etapie się znajdują. Wejście w procedury urzędowe, by docelowo wyprowadzić się do odrębnego lokalu oraz by uregulować pozostałe kwestie (rodzinne, bytowe, zdrowotne), można potraktować jako dzisiejszy odpowiednik dawnych prac przymusowych, nakładanych na biednych, doliczając do tego obowiązki porządkowe spełniane w placówce, jakie spoczywają na każdym jej mieszkańcu (z wyjątkiem najstarszych i chorych). Jeśli nie pracują, peregrynacje przez urzędy, zapoznawanie się z przepisami i monitorowanie spraw w sądzie i urzędzie, urastają do pełnoetatowego zajęcia. Muszą stawiać się w określonych terminach w określonych miejscach, chodzą też samodzielnie dowiadywać się, czy nie nastąpiła zmiana w ich sprawie. Jeśli zaś pracują, wizyty w urzędach stają się ich drugą pracą.

Wspomniałam, że zasady pobytu regulują pory przewidziane na różnego rodzaju działania. Zalicza się do nich: korzystanie z kuchni, przestrzeganie ciszy nocnej i sposób spędzania czasu w ciągu dnia, by jak najmniej przeszkadzać sobie nawzajem. Osoby niepracujące najczęściej pozostają w placówkach w ciągu dnia. Wówczas czytają, rozwiązują krzyżówki, oglądają telewizję, przygotowują sobie posiłki, czasami ze sobą rozmawiają, palą papierosy, wychodzą po zakupy i by coś załatwić oraz spędzić jakiś czas na zewnątrz samemu/samej lub z bliskimi. W każdym pokoju są odbiorniki telewizyjne (także własne). Część z lokatorów i lokatorek ma komputery, szczególnie matki w dzieci w wieku przedszkolnym i szkolnym.

Zasady odnoszą się też do zakresu i żywiołowości zabaw dzieci na terenie placówki. Dozwolona jest ona wyłącznie pod opieką dorosłego, czyli matki lub innej osoby upoważnionej przez matkę. Może odbywać się tylko w pokojach lub w świetlicy oraz na trawniku przed domem.

Regulacje odnoszą się też czasami do pór i częstotliwości przyjmowania gości. W jednym ośrodku są wyznaczone dwa popołudnia w tygodniu i funkcjonuje księga gości. Tam zaś, gdzie przebywają mężczyźni, nie ma wyznaczonych pór. Goście (zna-

jomi płci obojga i dzieci) są przyjmowani, ale respektują porę nocną, ponieważ nie ma tam obyczaju, by ktoś zostawał na noc.

W noclegowniach zaś regulacja dotycząca odwiedzin w ogóle nie występuje, ponieważ tamtejsi mieszkańcy opuszczają swoje miejsca na cały dzień. Ich kilkunastogodzinna aktywność (od towarzyskiej po zarobkową) odbywa się poza placówką.

Picie alkoholu na terenie wszystkich instytucji jest zabronione pod karą wydalenia, podobnie jak powrót do placówki w stanie nietrzeźwym. Jest raczej oczywiste, że również życie uczuciowe mieszkańców i mieszkanki odbywa się poza tymi miejscami. Znane mi instytucje nie są skierowane do par (małżeńskich czy innego rodzaju).

Najwięcej swobody i najmniej schematyzmu w planowaniu własnej dobowej aktywności panuje tam, gdzie mieszkają mężczyźni. Z tego względu ich siedziby najbardziej przypominają domy, ponieważ mogą się w nich zachowywać „po domowemu”. Oznacza to życie zgodnie z upodobaniami (choć i tam panują zasady odnoszące się do wspólnego bytowania). Udaje się im też zachować oraz kultywować prywatność i intymność. Mężczyźni mają zatem możliwość chronienia się przed oczami współmieszkańców relatywnie skuteczniej, niż występuje to gdzie indziej, albowiem pokoje dzielą tylko z jednym współlokatorem lub mieszkają w pojedynkę. Cała grupa mieszkająca w ich budynku liczy ok. dziesięciu osób.

Żyją własną codziennością, tzn. osobną od reszty sąsiadów. Przekłada się to też na stosunek do wyglądu własnego. Z braku lepszego określenia, można go opisać, jako styl piżamowo-dresowy i zdarza się częściej u mężczyzn niż kobiet. Z pewnością zależy to od indywidualnych upodobań, ale i od kulturowo-społecznego „reżimu wyglądu” obowiązującego w przypadku jednej i drugiej grupy w miejscach, pod wieloma względami, publicznych. Pomieszczenia, gdzie żyją mężczyźni i kobiety, nie są zupełnie prywatne. Mimo że są to ludzie, z którymi dzieli się codzienność latami, są jednak obcy. W placówkach dla kobiet, ich lokatorki nie pozwalają sobie na pełną prywatność stroju, choć niektóre schorowane samotne, właśnie ze względu na swój stan, nie krępują się innych i tak właśnie ubrane chodzą po placówce.

Intymność życia mężczyzn udaje się im zachować również w przestrzeni samodzielnego pokoju lub osobnej części w pokoju, zajmowanym z drugim lokatorem. Przekłada się to także na sposoby zajmowania się sobą i swoim czasem. Łatwiej im o większą dowolność w zajęciach i mają więcej możliwości poszerzania swojej prywatnej przestrzeni buforowej. Udaje się im to właśnie ze względu na małe zagęszczenie. Mogą się np. meblować zgodnie ze swoimi chęciami i możliwościami, mogą też malować ściany na wybrany przez siebie kolor (remonty wykonują za własne środki).

W miejscach pobytu kobiet intymność raczej się chroni niż pielęgnuje. Różnica wiąże się przede wszystkim z liczbą osób w jednym pokoju: im jest ich mniej, tym łatwiej o swobodę oraz o dobre relacje między współlokatorami/współlokatkami.

Przy większym zagęszczeniu przekraczającym dwie osoby w pokoju, silniej odczuwa się cudzą obecność i wymuszoną bliskość wiążącą się z obopólną, a wręcz wszechstronną obserwacją.

Estetyka, w tym rodzaj przedmiotów i ich układ, dzięki którym zagospodarowuje się własny pokój lub kąt w pokoju zbiorowym, może wpływać na wrażenie osobności i prywatności, jaka panuje w danej przestrzeni.

Jak wspomniałam, pokoje mogą być pojedyncze, lecz zdarza się to sporadycznie. W znanych mi placówkach nie ma do tego prawie nigdzie warunków. W placówkach dla kobiet „jedenki” przytrafiają się najrzadziej. Pojedynczymi lokatorkami zostają przede wszystkim matki kilkorga małych dzieci (trzech i więcej w zróżnicowanym wieku). Najczęściej kobiety mieszkają w dwójkę bądź w trójkę z własnymi i cudzymi dziećmi, zatem żyją na wspólnej przestrzeni w większej liczbie osób.

W pokojach wieloosobowych, własna strefa buforowa jest mała. Przyjmuje kształt „kąta” oddanego do dyspozycji jednej osoby. Osobisty kąt to oddzielne miejsce noclegowe, czyli własne łóżko i jego najbliższe otoczenie. Składa się na nie, obok miejsca do spania, także ewentualnie szafka, podłoga, krzesło, taboret, parapet za głową, czyli wszelkie meble bądź ich zastępniki o funkcji podpórek, półek, blatów, które są dosłownymi lub umownymi schowkami na własne rzeczy. Te zaś trzyma się jak najbliżej siebie. Całości tego typu, mające powierzchnię łóżka z przyległościami, są indywidualnymi centrami proksemicznymi. Są to najmniejsze osobiste enklawy, charakterystyczne dla układu przestrzennego, kinetycznego i behawioralnego, jaki panuje w zbiorowych miejscach pobytu (opisywane przeze mnie zdjęcia z lat przedwojennych oraz ryciny z wieku XIX także obrazują ten sam układ). Można je spotkać w zbiorowych sypialniach, tzn. liczących od trzech do więcej lokatorów.

O wrażeniu domowości decyduje sposób zagospodarowania przyznanego miejsca, czyli zadowolenie się w nim, bez względu na jego wielkość oraz liczbę osób, z którymi dzieli się pomieszczenie. Intymność i domowość w obserwowanych przeze mnie warunkach, polega na chowaniu się przed cudzym wzrokiem i obecnością innych. Ważne jest także, aby samemu unikać ich oglądania. Temu służą kobietom wyjścia na papierosa przed budynek, mimo że palaczki rzadko są tam same. Mężczyźni mają u siebie specjalną palarnię przy wyjściu z budynku, a podczas ładnej pogody palą na podwórzu.

Palenie jest zajęciem pozornie wskazującym na grupowe wykonawstwo, co mogłoby być sugerowane przez powtarzalność gestów, niemal jednakowych, u palaczy. Nie przekładają się one na więź między nimi, choć kobiety często idą zapalić w parach czy pokojami, czyli tak, jak są zakwaterowane. Wspólny papieros dowodziłby istnienia jakichś więzi.

Poszukiwanie prywatności i chronienie się w niej, może przybrać tak różnorakie formy, jak: rozwiązywanie krzyżówek, skręcanie papierosów, oglądanie telewizora

i zajmowanie się własnym telefonem komórkowym. Zajęcia te odsuwają symbolicznie od innych i nie trzeba wchodzić w interakcje. Osoba sprawia wówczas wrażenie zajętej. Jest pochłonięta czynnościami, które poza tym nie wywołują większego zainteresowania postronnych. Dzięki temu komunikacja werbalna jest ograniczona, a audialne współuczestniczenie w życiu toczącym się dookoła jest minimalne. Zwalania to z konieczności śledzenia otoczenia i zastanawiania się, czy należy podjąć jakąś reakcję w odpowiedzi na to, co się dzieje. Chęć wejścia w kontakt z taką osobą, wiąże się z poczuciem, że się jej przeszkadza.

Gdy miejsca zbiorowego pobytu są inaczej rozplanowane, czyli zatłoczenie jest mniejsze i wszyscy mają do dyspozycji większy teren, by rozwinąć własne strefy komfortu, panuje większa dobrowolność w kontaktach. Na terenie opisywanych placówek rzadko kto ma możliwość doznania tego typu dobrostanu przestrzenno-emocjonalnego, ponieważ ich architektura nie jest do tego dostosowana.

Jeśli więc nie można zamknąć za sobą drzwi dosłownie, zamyka się je „w środku”, tzn. we własnym wnętrzu. Następuje izolacja od innych: mała otwartość na kontakt, popadanie w milczenie, brak zagadywania, unikanie dyskusji, wzajemna obserwacja. Polega ona jednak tylko na popatrywaniu lub zerkaniu. Lokatorki zbiorowych sypialni i zbiorczych pokoi starały się nie patrzeć na siebie zbyt ostentacyjnie. Kontakt wzrokowy był utrzymywany, lecz bez natarczywości i dociekliwości. Nie przypominał celowego wpatrywania się. Podobne zasady panowały wśród mężczyzn, choć postawa tego rodzaju była tam słabsza. W lokalach dla mężczyzn zagęszczenie było o wiele mniejsze w przestrzeniach wspólnych. Tłumaczy to, dlaczego nie musieli wkładać tyle wysiłku w omijanie się fizyczne, wzrokowe, werbalne itp. w porównaniu z kobietami.

Warunki, jakie panowały w placówce dla kobiet, nie ułatwiały zachowania czy zbudowania intymności. Myśli, odczucia i oceny rzadko były tam okazywane i werbalizowane. Z tego powodu, jednym z moich pierwszych wrażeń (nadal mi ono towarzyszy), było „zamknięcie”, w jakim żyły ich lokatorki. „Linia graniczna” oddzielająca jedną osobę od innych, była niemal wyczuwalna – demonstrowały to ich ciała. Mieszkanki zbiorowych sypialni poruszały się więc jak najmniej, co nie wynikało wyłącznie z niewielkiej przestrzeni tych gęsto zamieszkałych miejsc. Minimalizm ruchowy przejawiał się w ograniczeniu gestów, poruszeń i czynności – wykonywano je tylko w tym celu, jaki był w danym momencie niezbędny. Nie panował „szum” kinetyczny. Kobiety ograniczały ekspresję, w tym nie rozkładały swoich rzeczy w miejscach wspólnych, bardziej niż to było konieczne i owe „wystawy” własnych rzeczy miały charakter doraźny.

Chód części z kobiet także odbijał zasadę, by zajmować sobą jak najmniej miejsca. Niektóre starały się poruszać, jakby ich nie było, przy tym jak najmniej osobiście. Wykonywały sztywne i oszczędne ruchy, nie dając poznać, jaka była ich wewnętrzna kondycja. Nie rozglądały się, nie interesowały się zewnętrzem. Inne zaś wydawały się

wręcz nonszalanckie w posługiwaniu się swoim ciałem, co np. wywoływało sprzeciw współlokatorek, które nie chciały patrzeć, jak ich sąsiadka rozbierała się we wspólnej sypialni. Powinna w tym celu udać się do łazienki.

„Ekstrawertyczki” chodziły zatem jakby od niechcenia, lecz nie rozglądały się i nie przypatrywały się innym. Mam na myśli chód i ruchy, które określiłabym jako „demonstracyjne” czy „jawne”. Nie przypominało to sposobu, który polegał na przemykaniu się bokiem, ponieważ „demonstrantki” przyciągały uwagę reszty. Kobieta, która w ten sposób się poruszała, wytwarzała wokół siebie swoiste centrum. Samą siebie traktowała jako najważniejszy punkt, wprawiając się w ruch, czyli generując pewne zachowanie przestrzenne, którego celem było także zasygnalizowanie własnej obecności i aktywności. Ruchem, sposobem poruszania się oraz wykonywania czynności, pokazywała, że w pewnym sensie bierze w posiadanie przestrzeń, np. w określonej chwili. Chodziła np. środkiem ciągów pieszych, zagarniając przestrzeń własnym ciałem, wprowadzonym w ruch, skupionym na czynnościach, ale też wykonując je sobą.

Mężczyźni nie krępowali się siebie, ale też chronili przed innymi. Ich celem również było zachowanie autonomii, dopasowując się – jeśli tak trzeba – do potrzeb i chęci innych. Być może jednak dzięki temu, że żyli w pokojach pojedynczych (ewentualnie dzieląc miejsce tylko z jednym sąsiadem) i ponieważ rzadko się na siebie natykali (mijając się tylko na korytarzu, koło łazienki i w kuchni), ich sposób bycia i poruszania się był mniej wymuszony i nie był poddawany tak silnej refleksji oraz autocenzurze. Poza tym, owa mniejsza grupa mężczyzn łatwiej wpadła w rutynę wobec siebie. Tylko określeni lokatorzy mieli ze sobą kontakt w przestrzeni wspólnej w określonym momencie dnia, czyli wyłącznie wtedy, gdy ich rozkłady zajęć pokrywały się. Okazją do kontaktów w większym gronie były spotkania grupowe zorganizowane. Kobiety, żyjące w większym zagęszczeniu i w otoczeniu dzieci, trudniej wypracowywały rutynę i rytm wzajemnych kontaktów. Ich ścieżki częściej krzyżowały się ze sobą niż drogi mężczyzn.

W takich warunkach odseparowanie się i chęć doświadczenia „intymności”, były najczęściej umowne i chwilowe.

Poza tym, z pojęciem „intymność” wiąże się wiele trudności definicyjnych. Agata Stanisz, zajmując się antropologicznymi badaniami związków rodzinnych, stosowała ten termin, by scharakteryzować szczególne emocje i relacje, które udało się jej nawiązać podczas badań. Intymność rozumiała jako dopuszczanie do sekretnych spraw, bycie blisko, czyli pozostawanie w „permanentnym zmysłowym kontakcie” oraz zwierzanie się z traumatycznych doświadczeń (eadem, 2011: 182, 189, 199, 201).

Intymnością zajmuje się przede wszystkim psychologia, badając uczuciowe relacje międzyludzkie. Termin jest szczególnie chętnie wykorzystywany, by opisać jakość więzi erotycznych opartych na miłości, a nie tylko na pożądaniu, dlatego „intymność”

tłumaczy się w takim kontekście jako „ujawnienie siebie”. Część badaczy interpretuje jednak to pojęcie wąsko, jako więź seksualną. Inni traktują „intymność” jako wskaźnik odczuwanej satysfakcji z relacji diadycznej. „Intymność” ma wpływać ze wzajemnej akceptacji i zaspokojenia różnorodnych potrzeb przez siebie nawzajem, a zarazem wpływa na pojawienie się takich odczuć (Kosińska-Dec 1999: 146).

Maciej Musiał badający „intymność” na przecięciu znaczeń nadawanych jej przez socjologię i filozofię, stwierdził, że obecnie należałoby ją wiązać raczej z zażyłością i bliskością. Według niego, poufność i sekretność, zwyczajowo zaliczane do intymności, coraz mniej wpisują się w jej konotacje, jako że kultura medialna zniszczyła znaczenie tych wartości (Musiał 2014: 7). Mimo to, badacz nie zaprzecza, że nadal wchodzą w skład intymności, wiążąc się z czynnościami dokonywanymi w samotności, np. z procesami czy stanami toczącymi się we wnętrzu człowieka. Byłyby to zatem działania uwewnętrznione, gdzie nacisk kładzie się na „Ja” jednostki w jej subiektywnym oglądzie, a nie na interakcje międzyludzkie (Musiał, *op. cit.*: 8).

„Intymność” zaś w moim rozumieniu, jest nastawieniem najgłębiej osobistym, związanym z byciem sobą, także z życiem wewnętrznym i pozostawianiem w odosobnieniu (emocjonalnym i fizycznym) od innych.

Mieszkanie w placówkach, jakimi się zajmowałam, rzadko obdarza poczuciem wolności od innych i zarazem obniża próg samokontroli. Symbolami intymności mogą być przedmioty, zapachy, kształty, kolory, czyli wszystko, co kształtuje także wnętrza mieszkalne i oznacza indywidualny gust, zainteresowania, wspomnienia, osobistą historię i teraźniejszość. Na to jednak nie ma zbyt wiele miejsca w schroniskach. Najwięcej śladów intymności w jej przejawach materialnych, odnajdywałam w ośrodku dla mężczyzn. Wynika to z panującego tam małego zagęszczenia. Im więcej wolnej od innych przestrzeni, tym staje się ona bardziej otwarta na indywidualne działania. Łatwiej jest anektowana przez jednostkę, która wyraża siebie poprzez symboliczne ekstensje, jak pamiątki, książki, ozdoby, symbole religijne i innego rodzaju przedmioty. Przyczyniają się one do powstania czyjegoś miejsca.

Tam, gdzie panuje gęste zaludnienie, niemal nie spotykałam tego typu manifestacji indywidualności, oprócz niezliczonej liczby maskotek w pokojach matek z dziećmi. Pluszaki i zabawki są elementem dekoracyjnym, były kiedyś podarunkami, prezentami. Jednak tak masowe zapełnianie nimi pokoi, może sprawiać wrażenie zagłuszania swoistego *horror vacui*. W sypialniach zbiorowych i miejscach wspólnego użytku, przedmioty są chowane i dlatego prawie nieobecne. Nieliczne z nich uzyskują status pojedynczego symbolu danej osoby, np. maskotka, lampka, kubek. Ten ostatni jest wystawiany koło łóżka, na szafce nocnej. Było to charakterystyczne centrum prosemiczne w sypialniach zbiorowych kobiet.

Intymność budują też zachowania i gesty, czyli sposób bycia, polegający na swobodnym zachowywaniu się, byciu na swój własny sposób, u siebie. Łączy się z tym

brak poczucia dozoru sprawowanego przez innych bądź mały zasięg owej kontroli. Wówczas reguły nie są traktowane jako dokuczliwe, lecz jako trzymające w ryzach. Ich celem jest zachowanie wzajemnego dystansu, aby nie dochodziło do zbytnej ingerencji w osobiste przestrzenie.

W pokojach, gdzie żyje np. ok. sześciu kobiet samotnych lub np. trzy matki mające po dwoje dzieci, reguły dotyczą tego samego, jak w przypadku osób zamieszkujących pokoje jednoosobowe czy jednorodzinne. Wszędzie zatem chodzi o czystość, ciszę i zachowania respektujące prawa innych. Jednak w pokojach o większej liczbie mieszkanki, reguły działają inaczej niż tam, gdzie sąsiedztwo jest rozproszone, a poszczególne lokatorki i lokatorzy są od siebie odizolowani fizycznie, tzn. przedzielają ich nie tyle symboliczne granice, a dosłowne, jak ściany i drzwi do odrębnych pokoi.

W pokojach wieloosobowych zachowanie ciszy, porządku i przyjęcie ograniczeń ze względu na cudzy dobrostan, mają za cel utrzymanie powszechnego ładu. W tych miejscach mieszkańców jest więcej, a przestrzeń nie pozwala im rzadziej rozlokować. Zasady mają więc zabezpieczyć przed wyłamywaniem się z ogólnego porządku, aby nikt – zbytym indywidualizmem – nie przeszkadzał pozostałym. W układzie proksemicznym, gdzie panuje większe zagęszczenie i gdzie niemal każda przestrzeń i miejsce są wspólne³⁹, reguły gwarantują utrzymanie powszechnego spokoju. W tym przypadku jednostki wkładają więcej wysiłku w dostosowanie się, polegające na pomniejszaniu siebie względem innych w imię ogólnej harmonii.

Taki wymóg prawie wcale nie jest występuje w przestrzeniach sprzyjających ekspresjom pojedynczych osób, ponieważ w układach przestrzennych stawiających w centrum jednostkę, może ona dość swobodnie akcentować swoją pojedynczość i prywatność. Wówczas zasady, które kładą nacisk na zachowanie ciszy, likwidowanie bałaganu i nie narzucanie się innym, mają za cel zapewnienie komfortu każdej osobie. Zasady te sprzyjają jednostce, tzn. gwarantują spokój, chronią jednych przed drugimi. W takim układzie proksemicznym, reguły należy interpretować jako środki ochronne przed niechcianymi kontaktami, by nie doszło do ingerowania w intymny świat jednostek.

Na podstawie omówionej wyżej relatywności reguł, widać, jak pozornie przebrzmiały wartości intymności (według Musiała), czyli sekretność i poufność, są żywe. Można je nazwać językiem u wagi kształtowania się domowości w miejscach schronienia dla pozostających w bezdomności. Przypominam, że „domowość” w kontekście owych instytucji, oznacza możliwość zamknięcia się przed innymi, odcięcie się od niechcianych widoków, słów, twarzy, rzeczy, zapachów i dźwięków, by pobyć samemu/samej. Niekoniecznie po to, by robić coś dosłownie sekretnego, lecz aby spędzić czas osobno, bez innych. Dlatego np. kobiety niepracujące zawodowo – wiem

39 Tylko toalety i łazienki są miejscami rzeczywistego odosobnienia.

to od kilku z nich – wołały wychodzić z placówki, nawet jeżeli nie musiały niczego załatwić. Nie chciały pozostawać w placówce i znosić wrażenie bycia pod obserwacją.

Wychodzenie na zewnątrz i spędzanie czasu w miejscach typowo publicznych, nie tyle daje okazję do odczuwania prywatności, co anonimowości. Mimo to, kobiety odpoczywają w ten sposób. Chęć wyjścia (jak powiadają, „wyrwania się”), nie maleje także wtedy, gdy placówka pustoszeje w ciągu dnia w tygodniu roboczym, gdy większość mieszkanek wychodzi do pracy i innych zajęć.

Czego innego za to pragną mieszkanki i mieszkańcy noclegowni. Część z nich ubiega się o miejsce w schronisku (oczekują na pewnego rodzaju stabilizację). Szczególnie starszym i schorowanym chodzi o to, by nie musieć wychodzić z placówki na cały dzień. Różnica między lokatorami schroniska a noclegowni polega na tym, co każda z tych grup może, a czego nie. Osoby ze schroniska, choćby bardzo źle znosiły swoich sąsiadów oraz wzajemne stosunki, mogą wyjść stamtąd i wrócić, niemalże kiedy chcą, choć swoboda ta działa tylko do 22:00⁴⁰. Kobiety i mężczyźni z noclegowni wracają zaś z zasady na określoną godzinę i jest to późny wieczór. Po powrocie, zanim będą mogli zająć się sobą, niektórzy z nich muszą wykonać dyżur porządkowy. Zobligowani są do tego grafikami, także bowiem dbają o czystość i porządek pomieszczeń wspólnych, analogicznie do innych grup korzystających z pomocy schroniskowej. Mają jednak relatywnie krótszy czas i bardziej ograniczoną przestrzeń na zorganizowanie swojego codziennego prywatnego bytowania pod dachem, niż „schroniskowi”. Życie osób z noclegowni toczy się w otoczeniu innych i na cudzych oczach niemal cały czas. Pamiętać trzeba o tym, jak spędzają dzień – w miejscach publicznych, a po powrocie – wśród sąsiadek i sąsiadów.

Na straży zasad w placówkach stoi personel oraz w przypadku kobiet – starościny, które są wybierane przez lokatorki. Starościny ustalają harmonogram dyżurów porządkowych, dbają o jego przestrzeganie i wykonanie, ponieważ są za to odpowiedzialne. Kontrolują jakość porządków w części wspólnej budynku (kuchnia, toalety, korytarze). Teoretycznie mogą rozstrzygać lżejsze spory. W porównaniu z innymi mieszkankami mają dość bliski kontakt z kierownictwem i personelem. Wprowadzają nowoprzybyłe w obowiązujące zasady. Pilnują ciszy nocnej i upominają matki, by pilnowały dzieci (jest zakaz biegania i zabaw na korytarzu).

W zależności od potrzeb, co raczej częściej sygnalizowała kadra, zwoływane były ogólne zebrania lokatorek. Mogły one dotyczyć wszystkich kobiet lub tylko wybranych grup. Zdarzało się, że lokatorki same chciały się spotkać w szerszym gronie z kierownictwem, by przedstawić sprawę, w której rozstrzygnięciu nie pomogły indy-

40 Rozwijając przy tej okazji wspomniany już wcześniej wątek: by opuścić schronisko na noc lub na dłużej niż doba, trzeba uzyskać przepustkę od kierownictwa, określić powód wyjścia oraz datę i godzinę powrotu. Najwięcej osób wychodzi na przepustki na weekendy i święta. Nieusprawiedliwione opuszczanie instytucji na dłużej, jest łamaniem regulaminu i może zaowocować nakazem opuszczenia ośrodka.

widualne zabiegi. Na zebraniach najczęściej podnosi się kwestie związane z brakiem higieny osobistej w pokoju, zachowywaniem się dzieci oraz wobec dzieci (własnych i cudzych), nieprzestrzeganiem ciszy, przeklinaniem, brakiem respektu dla podziału przestrzeni osobistej i wobec cudzych rzeczy.

Tam, gdzie mieszkają mężczyźni, co tydzień ma miejsce tzw. społeczność (dłuższe przerwy w zebraniach wynikają głównie z nieobecności kierownika domu – opiekuna całej grupy lokatorskiej). Lokatorzy tych mieszkań są objęci w pewnym zakresie programem zrywania z nałogami oraz starają się załatwić swoje sprawy mieszkaniowe. Jednak niemal cały czas, jakim dysponują, oprócz owych spotkań terapeutycznych itp., mężczyźni zagospodarowują sami, czyli chodzą do pracy, organizują czas wolny, wykonują także dyżury porządkowe we wspólnej części budynku (jak łazienka, kuchnia, korytarze, podwórze; dbają też o to opalenie budynku w okresie grzewczym). Zdarzają się tam kłótnie, co wynika z życia pod jednym dachem ok. dziesięciu mieszkańców, dzielących jedną kuchnię i łazienkę.

Spotkania społeczności mają za cel dyskusję nad codziennymi problemami, wspólne wypracowanie rozwiązań, ustalenie dyżurów, integrację, stosowanie różnego rodzaju wzmocnień, ponieważ lokatorzy są w większości niepijącymi alkoholikami. Z tego powodu uczestniczą także w terapeutycznych spotkaniach indywidualnych i grupowych różnego rodzaju (na miejscu i poza).

Bytowanie codzienne w miejscach schronienia dla bezdomnych, może przypominać inne formy mieszkania zbiorowego, jak bursy czy internaty. Nie ma przymusu przebywania w tych placówkach, ponieważ można się stamtąd wyprowadzić w każdej chwili. Decyzja o pozostaniu obliuguje do przestrzegania wewnętrznych zasad, które są jednakowe dla wszystkich. Lokatorzy i lokatorki w większości podporządkowują się wspomnianym regułom dotyczącym porządku, ładu i czystości.

Zasady dotyczą tak osobistej przestrzeni, jaką jest własne ciało (i ciało dzieci). Odnoszą się też do otoczenia prywatnego: łóżka i różnych rzeczy osobistych, jak np. pościeli (czasami jest to pościel z instytucji, czasami własna), ubrań, sztućców, naczyń, przyborów toaletowych, kosmetyków, książek, sprzętu elektronicznego, dokumentów itp. Gdy ktoś na początku pobytu nie ma niczego własnego z tego typu urządzeń i wyposażenia, może liczyć na czasowe wsparcie i pożyczki rzeczy w placówce lub od innych. Oddaje lub rewanżuje się, kiedy może już sobie kupić niezbędne środki czystości i higieny oraz podstawowe naczynia. Pościel dostaje na pierwszym etapie zamieszkiwania w placówce, potem można ją wymienić na własną, lecz meble, lodówki i pralki są na wyposażeniu. Z własnych sprzętów, oprócz ubrań, pościeli, naczyń kuchennych, najczęściej jest instalowany sprzęt grający (telewizory, komputery). W miejscach tych płaci się za pobyt, lecz są to sumy wynoszące kilka procent dochodów miesięcznych, a osoby niepracujące i w trudnej sytuacji są z tych opłat zwalniane. Każdą sprawę rozpatruje się indywidualnie. Większe wsparcie w postaci

wyposażenia w sprzęty i materiały potrzebne do mieszkania na terenie instytucji, dostają mężczyźni. W ich placówce obowiązują jednak inne zasady (dostają zarówno środki czystości, jak i naczynia). Mogą też z biegiem czasu wyposażać pokoje we własne meble czy urządzać malowanie. Ci, którzy mają stałą pracę i zostali zakwalifikowani, przechodzą do odpłatnych (kosztujących ok. 200 zł na miesiąc) pojedynczych pokoi, które mieszczą się w innej części budynku. Odtąd nie mieszkają już w części wspólnotowej, lecz żyją w swoich pokojach niemal jak we własnym odrębnym mieszkaniu, choć ma on standard lokalu socjalnego, czyli wspólną na korytarzu łazienkę i kuchenkę. Są to lokatorzy, którzy nie tylko mają przyznaną decyzję na mieszkanie z gminy, ale czekają już na zakończenie remontów. Spodziewają się przeprowadzki w ciągu kilku miesięcy. Ten ostatni etap pobytu w placówce, najbardziej samodzielny, choć znajdują się jeszcze na terenie ośrodka i obejmuje ich część reguł, jest już nie tyle „treningiem” do samodzielności i „domności”, lecz w zasadzie „testem” z tego, czego się dotąd nauczyli w warunkach chronionych, lecz zarazem poddanych kontroli.

Najmniej przestrzeni na własne rzeczy jest przeznaczony dla osób kwaterujących w noclegowni. Sztuczce, kubki, talerze dostają na miejscu podczas wydawania śniadań i kolacji. Aby pozyskać naczynia, które są im potrzebne, przetwarzają często butelki po napojach, kubki po jogurtach, serkach i margarynach różnej pojemności i kształtu (szczególnie ważne jest, by miały wieczko, które można zamknąć). Mogą zostawiać swoje rzeczy, wychodząc na dzień, a nawet na dłużej. Żywność przechowują we wspólnej lodówce. Po ok. roku, gdy osoba przestaje przychodzić na noclegownię (jest tam prowadzona lista i rejestruje się przybywające i przebywające), rzeczy są wyrzucane. To z reguły ubrania pakowane w reklamówki. Kobiety i mężczyźni w każdej z tych placówek mogą korzystać z odzieży pozyskiwanej z darów.

Sferami najbardziej restrykcyjnie poddanymi regułom czystości i porządku są miejsca wspólne: kuchnie, łazienki, korytarze i świetlice. Lokatorzy zaprowadzają tam ład i eliminują osobniczość, głównie zbyt indywidualny zapach. Miejsca te praktycznie nie pachną poza porą gotowania posiłków. Zapachy kuchenne szybko się stamtąd ulatniają, ponieważ garnki, naczynia stołowe oraz resztki jedzenia są usuwane (myte, wyrzucane, chowane do lodówki). Kobiety nie przygotowują zbyt skomplikowanych, np. dwudaniowych potraw (najczęściej zupy, smażą kotlety, gotują ziemniaki, smażą kielbasę, jajecznice, gotują makaron). Nieraz wysłuchiwałam, asystując w kuchni, że w tym miejscu, gdy w porach obiadu i kolacji każdy chce jak najszybciej zejść drugiemu z drogi, znika zainteresowanie kuchnią i jedzeniem. Rzadko zdarza się lokatorka czy grupka sąsiadek, które lubią gotować, potrafią zorganizować się i upiec ciasto na święta, na imieniny. Rzadko też gotuje się grupowo, wspólnie na co dzień czy na weekendy. Czasami, dzięki lepszej znajomości i zaufaniu, niektóre i niektórzy częstują się czy razem gotują (np. w przypadku choroby). Wszędzie kwestia ta zależy

od składu osobowego. Niektórzy i niektóre gotują dobrze, inni źle lub nie zależy im na gotowaniu, jadają więc dania instant.

Jedzenie wydaje się odsunięte na dalszy plan, lecz zabiegi higieniczne wokół ciała są bardzo eksponowane, choć to intymniejsza czynność. Ciało jest myte regularnie, a ubrania zmieniane szybko. Ważną kwestią jest dostęp do łazienki, która jest jedna na kilka, kilkanaście bądź kilkadziesiąt osób. Ablucje odbywają się według niepisanego grafika codziennych aktywności lokatorów, którzy muszą godzić własne potrzeby z potrzebami innych, a własny rozkład zajęć z harmonogramem pozostałych osób oraz z planem dnia i tygodnia w placówce (jak dyżury porządkowe). Na pranie są zapisy (w każdej z placówek jedna pralka przypada na całą grupę). Po wszystkich czynnościach, jeśli nie zostało to ustalone inaczej i jeśli nie ma na to miejsca w przestrzeniach wspólnych, uprząta się ślady własnej obecności. Rzeczy osobiste, w tym utensylia kuchenne, przenosi się do pokoi i chowa w przydzielonych schowkach, stawia na półki, zamyka w szafkach.

Higiena osobista i higiena pomieszczeń są priorytetem. Dyżury porządkowe odbywają się wieczorem i dotyczą miejsc wspólnych w placówkach. Porządki te odbywają się codziennie (wyjątkiem są święta, gdy następuje poluzowanie dyscypliny, ale nie na długo, na dzień-dwa). Stanowią dominantę doby, toczą się wieczorami o stałej porze, mniej więcej od 19:00–20:00 do 21:30. Poza tym, co chwilę ktoś inny dokonuje zabiegów higienicznych w odniesieniu do siebie (i swoich dzieci), korzystając z wolnego dostępu do łazienki, prysznicza, toalety, miski i pralki.

Moim zdaniem występujący tam higienizm, który odnosi się do ciała i przestrzeni, może być porównany do przypominanej wcześniej przeze mnie przedindustrialnej „równości w brudzie”. W znanych mi instytucjach panuje „równość w czystości”, a jak pisałam wcześniej, jest to znaczące w kontekście stereotypów na temat bezdomności.

W placówkach, gdzie mieszkali moi rozmówcy i rozmówczynie, nie ma ani stołu do zjedzenia posiłku, ani oddzielnej jadalni. Jada się w pokojach i tam lokatorzy i lokatorki mają do dyspozycji stoły, stoliki, ławy i biurka. W jednej z placówek dla kobiet, w holu stoi stolik, przy którym najczęściej jednak skręcają papierosy, rozwiązują krzyżówki i czytają. Czasami niektóre z nich jadają przy nim, ale rzadko i najczęściej w pojedynkę. Matki z dziećmi nie mają tego rodzaju miejsca (wolna wnęka koło kuchni zajęta jest rozłożonymi suszarkami z praniem), podobnie jak mężczyźni. Noclegownia zaś ma na wyposażeniu w holu stół i dwie ławy oraz krzesła. Osoby korzystające z noclegowni, tam właśnie jadają posiłki, w tym te przygotowane w placówce (na kolację i śniadanie dostają po dwie kanapki; a z własnych produktów jedzą to, na co każdą stać). Śniadanie jest bardziej zorganizowane, ponieważ rano wszyscy niemal w tym samym czasie, tj. ok. 8:00, muszą wyjść z budynku (z wyjątkiem chorych).

Kolacja jest zaś wydawana sukcesywnie, gdy lokatorzy schodzą się po 19:00. Pora kolacji trwa do porządków wieczornych i ciszy nocnej.

Na noclegowni panuje obyczaj, że wrzątek do zalania kawy i herbaty czy zupek w proszku, przynoszą w czajnikach portierki. Kuchenka jest bowiem po przeciwnej części budynku i tam mieszkanki noclegowni nie chodzą. Wspólne oczekiwanie na wodę, w pewnym sensie dzielenie się nią, prowokuje do wymiany gestów i słów: której co zalać, ile wlać wody i do którego naczynia. Pojawiają się prośby, by zostawić wodę jeszcze dla innej kobiety. Ten kontekst sprawia, że ich zebranie przy stole zmieniło się czasami we wspólny posiłek. Zawiązywało się między nimi współdziałanie, dzieliły się i uwzględniały cudze potrzeby. Atmosfera ta jednak szybko zniknęła i na powrót każda była zainteresowana wyłącznie sobą. Opuszczaly miejsce przy stole pojedynczo, by zwolnić je dla nowo przybywającej. Gdy nastawała chwila spokoju, niektóre lokatorki grywały przy stole w karty czy kości (stawką były zapalki, ale to wersja oficjalna).

Wspominałam, że przygotowanie jedzenia wiąże się z brudzeniem i rozsiewaniem zapachów oraz z czynnościami, do których potrzeba czasami wielu sprzętów i więcej miejsca. Wszystko to jest uprzątnane szybko, w zasadzie natychmiast po zjedzeniu. Dzieje się tak zarówno w kuchniach kobiet, jak i mężczyzn.

Sprawy kuchenne wywołują też częstsze spory niż sprawy łazienkowe. Toczą się one wokół zostawiania swoich produktów i naczyń oraz (na)ruszania cudzych. Większość kobiet i część mężczyzn nie trzyma ich w kuchni, a przenosi do pokoju. Chronią w ten sposób swoją własność. Poza tym, wszystkie nie zmieściłyby się w pomieszczeniach wspólnych, jakimi są kuchnie. Niesnaski wzbudza też pozostawienie brudnych wspólnych sprzętów, ogólny bałagan (rozsypanie czegoś, rozlanie, nakruszenie, poplamienie), nie upilnowanie posiłku, który się wygotowuje czy przypala, nie zwolnienie palników czy naczyń na czas lub tak szybko, jak to możliwe, wiedząc, że ktoś inny czeka na swoją kolej.

Korzystanie z łazienki i kuchni jest związane z ustanawianiem swego rankingu: któraś z osób ma pracę, musi więc wyjść szybciej niż inni, stara się więc ich wyprzedzić; ta, która wraca później, stara się nawet po czasie porządków uzyskać dostęp do kuchni i łazienki. Codzienne porządki powinny skończyć przed 22:00, by dyżurujący i dyżurujące sami zdążyli się umyć i o wskazanej godzinie, tradycyjnie przyjętej za początek ciszy nocnej, znaleźć się w pokojach.

Pomimo przystosowania się do pisanych i niepisanych zasad zachowania, lokatorzy i lokatorki codziennie dokonywali odnowienia wypracowanych już nawyków. Służą one podtrzymaniu ładu. Dokonywali zatem swistej weryfikacji własnej sprawności interpretacyjnej. Pomagało to odpowiedzieć na pytanie (nieświadome), czy stosowane dotąd metody były im nadal przydatne czy trzeba je zmodyfikować ze względu

na nowe okoliczności. Mimo przewidywalności, która towarzyszy egzystencji w placówkach tego typu, w każdej chwili mogą się zdarzyć niespodziewane wydarzenia. Wynika to ze skumulowania w jednym miejscu tak wielu różnych osób.

4.3.3. Panoptyzm w instytucji totalnej

Strefy, którym przypisujemy największy ładunek intymności (jak ciało i pojedyncze centra proksemiczne), często są pozbawiane tej właściwości w schroniskach. Są wystawiane na ogłód innych, czyli kadry i sąsiadów. Także do pojedynczych pokoi w każdej chwili ktoś może wejść lub domagać się wstępu, szczególnie personel, by zobaczyć, jak sobie ich mieszkańcy radzą, czy jest czysto itp.

Kadra i mieszkańcy próbują panować nad rzeczami, ludźmi (w tym nad samymi sobą) i przestrzenią, pilnując porządku rozumianego jako zachowanie czystości, utrzymywanie higieny i bycie schludnym. Miejsca te są jednak przestrzeniami zgiełku, który wynika z ich niejednorodności (Para 2012: 29). Nie są przeznaczone tylko do prowadzenia życia prywatnego, lecz także pracuje w nich personel. W przypadku placówek dla kobiet, całą dobę przebywa tam co najmniej jedna osoba z kadry (opiekunka bądź portierka), która ma prawo wejść do pokoi, niejako skontrolować ich stan i np. upomnieć, by nie łamać ciszy nocnej oraz podjąć interwencję, gdy wymaga tego sytuacja. Zatrudniona tam specjalistka z psychologii „wpada na wizyty/w odwiedziny” i rozmawia w swoim pokoju. Nie dokonuje inspekcji, jak portierki czy opiekunki, które dyżurują i z racji obowiązków pełnią funkcję strażniczek, porządkowych itp.

W budynku mężczyzn przez jedną trzecią doby przebywa kadra, przychodzą też kursanci z zewnątrz na różnego rodzaju warsztaty. Pracownicy mogą także zaglądać do lokatorów. Jedni i drudzy czuwają nad porządkiem, co jest szczególnie widoczne, gdy któryś lokator nie dostosowuje się do zasad. Wówczas interweniują wszyscy, tzn. zarówno inni mieszkańcy, jak i kadra, próbując wpłynąć na taką osobę, by dostosowała się do reguł. Gdy ich uwagi, prośby i apele nie odnoszą skutku, może być jej wymówione miejsce.

Pokoje w każdym z ośrodków są wielofunkcyjne. Kumulują się w nich rozmaite działania, które nakładają się na siebie. Każda z osób mieszkających w jednym pokoju wieloosobowym, w tym samym czasie może robić zupełnie odmienne rzeczy niż jej sąsiedzi i sąsiadki. Różne osoby mogą zatem w tym samym pokoju jednocześnie jeść, słuchać muzyki lub radia (słucha się ze słuchawek), oglądać telewizję (odbiorniki są nastawione na głoś), wykonywać manicure, robić porządki w swoich rzeczach, czytać, prać, SMS-ować, źle się czuć, ucinąć sobie drzemkę itd. Rozmaitość owych czynności i sposobów ich wykonywania, jest bardzo zróżnicowana, począwszy np. od parzenia herbaty, zmywania naczyń przez jedzenie na łóżku po strofowanie dzieci i ich zabawy w pokoju.

Wszystkiemu, co się dzieje, towarzyszą spojrzenia innych. Oglądanie i wystawianie się na ogłód jest wpisane w ten rodzaj miejsc. Panuje w nich klasyczny Foucaultowski panoptyzm (Foucault 1998b).

Michel Foucault zaczerpnął tę ideę z projektu tzw. Domu Nadzoru, autorstwa Jeremy'ego Benthama z 1787 r. Chodziło o projekt architektoniczny do zastosowania w budownictwie więziennym, przytułkowym, szpitalnym i szkolnym. Projekt ten miał się sprawdzać w przypadku miejsc, gdzie ważne było utrzymanie nadzoru nad mieszkańcami. Rozwiązanie budowlane polegało na tym, by poszczególne pomieszczenia miały zewnętrzne i wewnętrzne okna, a całość powinna być zbudowana na planie koła z wieżą wartowniczą w środku. Znajdujący się w niej strażnicy, mogliby zaglądać przez owe okna do lokali zajmowanych przez mieszkańców danej placówki. W ten sposób mogliby ich wszystkich jednocześnie pilnować. Wszystko, czym zajmowaliby się mieszkańcy, byłoby jawne i otwarte na kontrolę (żyliby jak na scenie). W myśl Benthama, strażnicy mieli być jednak niewidoczni dla mieszkańców panoptikonu. Ci zaś, ponieważ nie wiedzieliby czy i kiedy są obserwowani, zachowywaliby się, jak gdyby byli nieustannie podglądani. Poddawaliby się „samoregulacji zachowań” (Nowel-Smigaj 2012: 27), czyli „staliby się strażnikami dla samych siebie” (ibidem). Na tej postawie wyrasta władza obserwatorów nad obserwowanymi.

Współczesne centra pomocy nie są budowane według założeń Benthama, lecz idea władzy, polegająca na m.in. na wizualnym dostępie do podopiecznych, jest w nich obecna. Tłumaczy się to koniecznością niesieniem pomocy, zapewnieniem ochrony i bezpieczeństwa.

Panoptyzm istnieje w wydaniu formalnym, czyli – po pierwsze – jako prawo personelu do zaglądania do pokoi (także bez zaproszenia). Po drugie – w postaci komentarzy kadry odnośnie czystości osobistej, porządków i zachowania pensjonariuszy i mieszkank. Personel ma do tego codzienny wgląd.

Istnieje też panoptyzm nieformalny, który jest bardziej wszechstronny i przenikliwy. Spojrzenie władzy jest bowiem wybiórcze w porównaniu z totalnym codziennym i wzajemnym towarzyszeniem sobie wzrokiem przez lokatorów. Władza patrzy pod kątem uchybień wobec regulaminu, sąsiedzi i sąsiadki zaś po to, by patrzeć i wiedzieć. Wyniki nieformalnego obserwowania mogą się jednak przełożyć na formalne procedury, gdy ktoś złoży skargę przed personelem na zachowanie współlokatora. Zachowania i sposoby bycia można komentować też przed starościną, innymi współlokatorami, także na społeczności lub zdać relację bezpośrednio kierownictwu instytucji.

Panoptyzm należy do mechanizmów (samo)kontroli charakterystycznych dla systemu, który Erving Goffman nazwał instytucją totalną (Goffman 2011). Schroniska i noclegownie zaliczył do pierwszej z pięciu kategorii owych instytucji. Są to placówki

„udzielające pomocy osobom niesprawnym i nieszkodliwym (Goffman, *op. cit.*: 14)⁴¹. Instytucje totalne to „miejsca pobytu i pracy znacznej liczby osób znajdujących się w podobnej sytuacji, odciętych na jakiś czas od reszty społeczeństwa i prowadzących sformalizowany tryb życia” (Goffman, *op. cit.*: 11). Oprócz tego, o totalności decyduje też stopień zamknięcia danego miejsca. Oznacza to, po pierwsze, izolację społeczną, jakiej poddane są osoby należące do instytucji: nie mają więc możliwości realizowania pełni swoich potrzeb czy potencjałów oraz wchodzenia w dowolne interakcje. Po drugie, zamknięcie symbolizują fizyczne granice i bariery, jak bramy, kraty, płoty itd. broniące dostępu z zewnątrz i zamykające od wewnątrz.

Biorąc pod uwagę kontekst badanych przeze mnie miejsc, jako granice potraktowałabym także portiernie, księgi gości i procedury urzędowe, przez które musiałam przejść, zanim mogłam przestąpić próg owych placówek i podjąć tylko próbę nawiązania kontaktu z ich mieszkańcami. Przed przystąpieniem do badań przeprowadziłam rozmowy z osobami zarządzającymi tymi miejscami, ponieważ to one decydowały o wpuszczeniu mnie na teren, choć to każdy z lokatorów i lokatorek zgadzał się bądź nie, na uczestnictwo w badaniach. Moje pobyty badawcze musiały być zaakceptowane przez urzędników na poziomie dyrektora wydziału określonego urzędu. Do prośby dołączyłam opis celów badań, sposób ich przeprowadzenia, w tym wyjaśnienie i zastrzeżenie, że badania respektują prawo do prywatności i do odmowy w nim udziału przez poszczególne mieszkanki i mieszkańców. Do kompletu owych dokumentów, dołączałam poparcie pisemne, przygotowane przez moich przełożonych, w którym prosili konkretną osobę reprezentującą tamtą instytucję, o udzielenie mi pomocy w prowadzeniu badań.

Kontakty wstępne mogły mieć także inny charakter. W innej placówce wystarczyło tylko osobiste spotkanie i rozmowa najpierw z kadrą, a potem z mieszkańcami, bez pism i specjalnych formalnych procedur.

Goffman zauważył, że „instytucje totalne różnią się między sobą stopniem intensywności występowania poszczególnych cech w tej rodzinie właściwości” (ibidem: 15). Choć schroniska, noclegownie, mieszkania readaptacyjne itp., można zakwalifikować do instytucji totalnych, z pewnością nie są ich czystym typem. Występuje jednak na ich terenie typowe dla instytucji totalnych łamanie granic oddzielających takie podstawowe aktywności, jak praca, prywatność (dla Goffmana uosabiana przez sen) i rozrywka. Według Goffmana żadna z tych sfer życia nie toczy się „w naturze”

41 W literaturze polskojęzycznej teoria instytucji totalnej wraz z ujęciem panoptycznym i perspektywą proksemiczną została zastosowana do analizy przestrzeni takich ośrodków, jak domy pomocy społecznej, więzienia, domy poprawcze i szpitale (zob. Borowski 2013a, 2013b, Chomczyński 2013a, 2013b, 2014, Dąbrowska 2012, Ferenc 2013, Nowakowski 2013, Schmidt 2009, Tarkowski 2008, Zbyrad 2012). Nie spotkałam jednak opisów funkcjonowania dawnych i współczesnych schronisk, czy to stosując tę perspektywę, czy bazując na innym ujęciu, z wyjątkiem wspomnianych już: Mastersa, Deklercka, Łojewskiej oraz Mateusza Rodaka (2011).

zgodnie z narzuconym ogólnie planem. Przebiegają w odrębnych miejscach z różnymi ludźmi (ibidem: 16). W instytucjach totalnych zaś, granice między owymi sferami są niwelowane. Egzystencja toczy się w jednej przestrzeni i jest kontrolowana przez personel. Nikt nie jest tam sam, wszyscy mieszkańcy są traktowani jednakowo, ponieważ wymaga się od nich tego samego. Wykonanie określonych czynności przebiega według narzuconego schematu i za każdym razem działania powinny zakończyć się rezultatem założonym przez kogoś, kto nadzoruje porządek. W ten sposób instytucja totalna realizuje swój cel (Goffman, *op. cit.*: ibidem).

Wchodząc do instytucji, wnosi się do niej także własny wzór i model zachowania, który pozwala w ogólnie narzuconych zasadach szukać alternatywnych rozwiązań i radzić sobie w takiej sytuacji. Oprócz tego Goffman stwierdził bardzo ważną rzecz w kontekście interesujących mnie miejsc oraz systemu pomocy wykluczonym – instytucje totalne nie są władne

zastąpić własną kulturą czegoś już istniejącego. Mamy tu raczej do czynienia z efektem większym niż efekt procesów akulturacji czy asymilacji. Jeśli następuje zmiana kulturowa, to być może polega na eliminacji pewnych skłonności [...] [podkr. – I.B.K.] (ibidem: 23).

Poza tym, gdy ktoś „dość długo” przebywa w owych instytucjach, następuje efekt dyskulturacji, czyli osoba taka traci wcześniejsze umiejętności społeczno-kulturowe, przyzwyczajenia i nawyki. Może być nawet odcięta od nowej wiedzy i nowych doświadczeń. Sytuacja taka jest mniej czy bardziej dolegliwa w zależności od rodzaju instytucji. Z pewnością odnosi się najbardziej do więźniów i obłożnie chorych. Gdy ktoś z doświadczeniem dyskulturacji opuści instytucję, może być nawet czasowo niezdolny do wypełniania codziennych czynności. Goffman nie podaje dokładnej długości czasu, jaki musi upłynąć, by efekt ten zaistniał. Podaje tylko przywołane określenie, że jest to okres długi. Nie wydaje mi się, by dało się wyliczyć czy oszacować. W przypadku osób dotkniętych bezdomnością, na pojawienie się dyskulturacji wpływają również czynniki pozainstytucjonalne, jak przyczyny bezdomności oraz ile trwa ten stan i czy taka osoba była naznaczona życiem tylko na ulicy lub/i w noclegowni, schronisku, jakiego rodzaju było to miejsce, o jakim stopniu zamknięcia, rygorystyki itd. Co warto podkreślić, przedłużający się pobyt nie wynika wyłącznie z „wygodnictwa” lokatorów placówek, lecz z o wiele częstszej niewydolności lokalnego systemu mieszkalnictwa komunalnego i socjalnego, gdy nie ma wystarczającej liczby mieszkań tego rodzaju oraz w nieefektywny sposób rozwiązuje się kwestię długów mieszkaniowych w lokalach komunalnych. Tym samym, rośnie grupa osób zagrożonych bezdomnością.

Lokatorzy i lokatorki schronisk oraz noclegowni rzadko opowiadają czy zwierają się ze swojego życia w bezdomności innym. Wspominałam już o tym wcześniej.

Mimo że się to przemilcza, nie da ignorować, albowiem osoby takie wiele aktywności na zewnątrz muszą dopasowywać do regulaminu pobytu w placówkach. Nie są więc w pełni samodzielnie odpowiedzialne za swój czas i charakter działań. Podobna zasada obowiązuje w stosunku do ich ciała – należy ono do nich, stanowi ich integralną część, ale zawiadywanie nim pośrednio przejmują instytucje, wdrażając mieszkańców do odpowiednich zachowań cielesnych. Zdaniem Goffmana to dowód złamania granic między środowiskiem a „Ja” (ibidem: 32). Badacz traktował tę kwestię jako jedną z form udręczenia, jakie występują w instytucjach totalnych.

Gdy pisałam wcześniej o ciele oraz o przestrzeni prywatnej i przestrzeniach wspólnych, podkreślałam ważność zasad pisanych i niepisanych, dotyczących przestrzegania higieny, zachowania ładu i schludności. Nie zaliczyłabym tych rygorów do tak silnej odmiany opresji, jak wspomniane przez Goffmana udręczenie. Podporządkowanie się wymogom utrzymania porządku, jako że należy do jednej z ważniejszych reguł, za której złamanie można zostać wydalonym, jest częścią swoistego treningu, jaki przechodzą lokatorzy. Jego celem jest doprowadzenie do zmiany. Ponieważ polem owego treningu jest ciało i cielesność, mamy do czynienia z biowładzą i biopolityką w sensie Foucaultowskim (Dominiak 2012: 253). Foucault odniósł się do zakresu „biopolityki” podczas wykładów w Collège de France w latach siedemdziesiątych XX w. Jego zdaniem była to „sztuka rządzenia dotycząca zjawisk, które są charakterystyczne dla zbiorowisk istot żywych tworzących populację [...] [zjawiska te, to] zdrowie, higiena, przyrost naturalny, długość życia, rasa itp.” (Foucault 2011: 381). Zdaniem Foucault „biowładza” i „biopolityka” są zespołem działań i metod, przy pomocy których aparat władzy kontroluje człowieka także w wymiarze biologicznym. A zatem są to sposoby zarządzania ciałami, czyli ich właściwościami. Ciała poddawane są ideologicznemu wartościowaniu i treningowi. Skoro „biopolityka” to całość historycznie wytworzonych idei, „biowładza” jej jest narzędziem. To konkretne techniki, poprzez które wciela się wyobrażenia dotyczące cielesności. Kluczowa jest dyscyplina stosowana wobec ciał, co przekłada się na wytwarzanie wyobrażenia o samym sobie. Foucault rozważał to szczegółowo w *Nadzorować i karać* (1998b).

Dbanie o siebie i zachowanie ładu jest praktyką symbolizującą pożądaną dla pensjonariuszy przez kadrę przemianę ich życia (której niektórzy mieszkańcy i mieszkanki także chcą). Można ująć to w następujące słowa: „zaczynj dbać o siebie, zatroszcz się o siebie, spojrzysz na siebie oczami innych, bądź zatem takim/taką, jakim/jaką chcieliby cię oglądać inni, czyli bądź osobą estetyczną i porządną wbrew bezdomności; potraktuj swoje życie jako nieład do uporządkowania”. To moja interpretacja zasady leżącej u podłoża m.in. behawioralnego treningu, któremu poddawani są lokatorzy i lokatorki placówek. Dotyka ona także ważnego kontekstu wiążącego się z bezdomnością, a mianowicie brudu i nieczystości. Są to cechy przypisywane doświadczeniu bezdomności, wręcz z nim utożsamiane. Sprzątanie, pranie i mycie,

czyli higienizm panujący w miejscach pomocy osobom dotkniętym bezdomnością (włączając je do tych praktyk), ma zatem głębszy sens, oprócz zdroworozsądkowego, by dbać o higienę w miejscach zbiorowego pobytu.

Jednym z przejawów higienizmu w ośrodkach jest wymienianie starych i brudnych rzeczy na nowe. Zabieg jest powszechny w placówkach tego typu. Wymiana wiąże się pośrednio z opisaną przez Goffmana praktyką odbierania osobistych rzeczy osobom wchodzącym do instytucji totalnych. Pozbycie się przedmiotów indywidualnych i mających związek z ciałem, jak np. ubranie (bielizna i buty) lub włosy (obcięcie ich czy zgolenie), a odnoszących się do „starego” życia, uniemożliwia jednostce trwanie przy dotychczasowym obrazie siebie. Cyrkulacja rzeczy i korekta – po zamieszkaniu w placówce – swojego ciała, sprawia, że w gestach wymiany i zamiany odbija się metaforycznie sens życia w bezdomności: egzystencja taka toczy się wszędzie, lecz w zasadzie nigdzie; w tymczasowym schronieniu, jakimi są placówki, zatem nie w domu, choć nie na ulicy; mimo że placówki są jednak miejscami publicznymi, z drugiej strony są hermetyczne; bez rzeczy na stałe, jako że często ulegają wymianie lub grozi im szybki rozkład, zgubienie czy kradzież i przez to nie są w pełni osobiste; lecz choć podlegają wymianie, są ważne i stanowią wyposażenie życiowe.

Największej rotacji poddawane są ubrania, co zrozumiałe. Jest to też możliwe dzięki licznym darom, jakie napływają do instytucji.

Pobyt w instytucjach totalnych może dokonywać jeszcze głębszych ingerencji w „Ja”. Wdrażanie mieszkańców do przyjmowania określonych postaw i wykonywania określonych gestów (co jest przede wszystkim widoczne w wojsku, więzieniach i zakonach), zmienia ich samoocenę i samopoznanie (Goffman, *op. cit.*: 30). Najczęściej ulega ono pomniejszeniu. W utrzymaniu wysokiego stopnia akceptacji siebie, nie sprzyja też werbalne i niewerbalne upokarzanie ze strony współmieszkańców, które może się zdarzać w instytucjach tego rodzaju (*ibidem.*: 3). I ja wysłuchiwałam skarg oraz narzekań na brak kultury osobistej. Kobiety i mężczyźni wspominali o dyskomforcie, który związany był z zakwaterowaniem z osobami, których nie tylko nie znali, ale z którymi po pewnym czasie mieszkania razem, nadal nie mogli się porozumieć. Personel starał się dość szybko zmieniać skład osobowy pokoi, jeśli okazywało się – również po próbach mediacji – że nie da się uniknąć zadrażnień, kłótni czy awantur. Roszady personalne były jednak czasami trudne do przeprowadzenia, gdy do dyspozycji pozostawały np. tylko cztery wieloosobowe pokoje (każdy dla sześciu osób), a takie miejsce jest oddane do dyspozycji pewnej grupy lokatorek – bez dzieci.

W instytucjach totalnych istnieje też problem przenikalności, tzn. czy i na ile na standardy wewnątrzinstytucjonalne, oddziałują standardy ze świata pozainstytucjonalnego i ewentualnie na odwrót. Goffman podkreślał, że gdy zależność ta występuje, obrazuje tendencję do minimalizowania różnic pomiędzy światem wewnętrznym a zewnętrznym (*ibidem.*: *ibidem.*). Schroniska i noclegownie nie wywierają jednak

wplywu na „zewnętrze”, lecz same powielają potoczny stosunek do bezdomności. Jest ona zatem traktowana jako nieszczęście, za które odpowiedzialna jest osoba nim dotknięta. Stawia się jej wymogi, by starała się (bardziej niż dotychczas lub w ogóle) i pracowała nad własną „poprawą”. Polega to na m.in. na uznaniu swojej odpowiedzialności. W placówkach świadczących pomoc, istotna jest praca nad uzupełnieniem niedostatecznego poziomu akulturacji obok zażegnania wspomnianego już defektu związanego z nabytą, m.in. w placówkach pomocy, dyskulturacją. Tego typu praktyki readaptacyjne kodują w sobie założenie składające się na *hidden curriculum* instytucji, że osoby korzystające z ich pomocy, prezentują sobą brak. By go nadrobić, zobowiązuje się je do przestrzegania porządku na różnych poziomach, w stosunku do różnych spraw i kategorii.

Goffman omówił też rytuały instytucjonalne. Są one przydatne m.in. do urządzania tzw. pokazów personelu i mieszkańców/mieszkanek przed sobą nawzajem oraz przed obcymi. Zadaniem takich akcji, jest wywołanie pozytywnego obrazu danej instytucji. Rolą taką mogą więc spełniać gazetki, biuletyny, radiowęzły, kółka zainteresowań, świetlice oraz przyjęcia świąteczne (Goffman, *op. cit.*: 97 i kol.). Niemal wszystkie te formy oprócz gazetek, mediów i kółek hobbystycznych, są znane w badanych przeze mnie placówkach, choć, jak wspomniałam, ceremonie świąteczne zostały kiedyś zawieszone w jednym z badanych miejsc. Jednak odejście od wspólnego świętowania, wedle diagnoz Goffmana, można interpretować jako oznakę słabości placówki. Ważnym mechanizmem utrzymującym spójność miejsc, są bowiem momenty święta i wiążący się z tym wzrost towarzyskości między kadrą a pensjonariuszami. Dochodzi wtedy do osłabienia rygoryzmu, a „rola personelu wykracza poza obowiązki nadzoru” (ibidem: 111). Przywołując teorię Durkheimowską: silnie spolaryzowany podział danej społeczności na dwie części może ulec zespoleniu dzięki ceremoniom (w tym instytucjonalnym), gdy grupa osiąga czasową i rytualną jedność (ibidem: 112). Według Maksa Gluckmana, przywołanego przez Goffmana, zgoda personelu na zabawę, w tym zainicjowanie jej przez kadrę, dowodzi sprawnego funkcjonowania placówki (ibidem: ibidem). Okazje te pozwalają na kanalizowanie buntów, niezadowolienia i prześmiewczego stosunku do opiekunów oraz wobec zasad. Pracownicy, którzy pozwalają sobie na chwilę kontrolowanej słabości, dowodzą przenikliwości, ponieważ chwilowa karnawalizacja w miejscu, gdzie na co dzień rządzą formalne zasady, pozwala dać upust negatywnym emocjom pensjonariuszy i łatwiej potem nimi zarządzać.

W podrozdziale tym starałam się oddać najważniejsze momenty aktywności lokatorek i lokatorów ze znanych mi placówek. Ich działania są swoistą odmianą radzenia sobie w sytuacji zamieszkiwania tylko pozornie kojarzącej się z domem, choć aspirującej do stworzenia azylu, który by go w jakiejś części imitował. Aktywności

te wynikają ściśle z logiki rządzącej miejscami – przestrzeniami ładu społecznego, który wynika z określonego systemu wartości. Składa się na niego wiara w wartość „rehabilitacji społecznej” osoby doświadczającej bezdomności. Praktyka ta przybiera postać poradnictwa psychologicznego indywidualnego lub/i grupowego. To warstwa formalna. Zaliczyć do niej także trzeba inne wymogi ustalane w ramach kontraktu wychodzenia z bezdomności. Kładzie się w nich nacisk na to, aby podjęli samodzielnie działania, które pozwoliłyby im uzyskać mieszkanie i opuścić instytucję. Na warstwę nieformalną, składa się zaś przekonanie o sile sprawczej resocjalizacji w postaci specjalnej organizacji czasu pobytu i struktury miejsca. System pomocy realizowany w placówkach, posiada własny ład i cechuje się specyficzną „reżyserią przestrzeni” (Franta 2004). W ich utrzymaniu pomaga zasadnicza reguła oparta na higienizmie (obejmującym sfery osobiste po porządek w przestrzeniach wspólnych).

Wdrażanie i utrzymywanie w czystości siebie, rzeczy i miejsca, wiąże się z nieustającą krzątaniem. Polega ona na chowaniu, składaniu, układaniu rzeczy w pokoju, na sobie, wokół siebie oraz w miejscach wspólnych, jak kuchnia i łazienka. Dzieje się to niemal cały czas w placówce dla kobiet, co wynika z dużej liczby osób na małej przestrzeni. Z nieco mniejszym natężeniem obserwowałam krzątanie tego rodzaju w lokalach dla mężczyzn, co wiąże z ich większą swobodą, ponieważ mieszkają odrębnie lub tylko we dwóch.

Reżim higienizmu byłby wytłumaczalny zgodnie z regułami zdrowego rozsądku, o czym wspominałam nie raz. Pozwala wtedy zapanować nad możliwymi niebezpieczeństwami, wynikającymi z przebywania ze sobą dużej liczby osób, gdy nie zawsze są one w dobrym stanie zdrowia. Jednak owe zdroworozsądkowe powody nie wyjaśniają podłoża, z którego wyrastają nakazy porządkowania i czyszczenia. Starałam się ukazać ich głębszy sens, tzn. ukryty program instytucji, objaśniając go z punktu widzenia teorii Goffmana i Foucaulta.

W mojej opinii dawny przymus pracy, jaki panował kiedyś w ośrodkach pomocy, został przekształcony współcześnie w politykę utrzymywania (się/w) czystości. Wysiłek wkładany w osiągnięcie schludności i ładu jest zarazem symbolem domu i domowości, poddawanych specyficznej interpretacji. Jest to wykorzystywane w ukrytym programie systemu pomocy. Aby móc aspirować do posiadania własnego miejsca w życiu, należy najpierw pozbyć się piętna bezdomności i udowodnić niejako różnymi staraniami, że ma się „prawo” do domu. W tym celu zaprowadza się porządek na sobie, w sobie i wokół siebie. Na tym polega sens treningu kulturowego i readaptacji do „domności”, który działa w placówkach pomocy.

4.3.4. Nawyki i imitacje – zamieszkiwanie w instytucjach

Jak starałam się to już wykazać, pojęcie domu i jego potrzeba są traktowane w nauce jako powszechne, choć dyskusyjne. Na rozumienie domu i przypisywane mu sensory, także te, jakie obowiązują w placówkach pomocy, wpływają rozmaite czynniki kulturowe i społeczne, odnoszące się też do wyposażenia i substancji fizycznej domu. Do owej materialności należy dołączyć relacje, uczucia i sprawy, które można w domu realizować.

Przypominając ideę Bachelarda, archetypiczną strukturę domu nosimy wewnątrz siebie i stanowi ona podstawę interpretacji doświadczeń życiowych. Wydaje się na tyle pierwotna, że dostarcza fundamentów pod obraz świata – zatem nie tylko pod literalnie rozumianą „domność” i domowość, lecz również pod wszelkie inne wyobrażenia miejsc, przestrzeni, relacji, fizyczności oraz wyobrażeń o sobie samym/samej. Mimo to, doświadczenia związane z domem podlegają przemianom, zatem obraz domu może ulec zmianie. Podmiot może je oceniać i rozumieć różnie w wyniku transformacji, jakie przechodzi w życiu. Dom jako idea i jej poszczególne wcielenia zmieniają się.

W części drugiej książki wspomniałam o odnotowanych przez badaczy przypadkach domów zakładanych przez nomadów. Warto ponownie o nich przypomnieć w kontekście osób doznających bezdomności. Nie chcę jednak w ten sposób porównywać sytuacji tak diametralnie różnych kulturowo i społecznie (co przekłada się na kształt i treść doświadczeń), w jakiej żyją te dwie kategorie. Pragnę jedynie wskazać dzięki temu na pewien wątek.

W przypadku nomadów najbardziej znamioną jest odnawianie i rekonstruowanie domu. Wędrowcy ze swojej istoty pozostają mobilni, bez stałego miejsca wyznaczonego w przestrzeni, którą „noszą” ze sobą. Symbolem ich świata jest droga, a nie korzenie. Powoływanie domu od nowa w wielu różnych miejscach w przeciągu życia, nie powoduje jednak, że zanika u nich koncepcja domowości. Domy, jakie tworzą, funkcjonują na zasadzie seryjności – tak wyjaśniał ich fenomen Edensor (Edensor 2004: 87). Sens takiego domu ulega permanentnej odnowie. Z a-mieszkiwanie, czyli pewne czynności, w tym rutynowe, które składają się na dom, w życiu nomadów podlegają interpretacji i rozpoznaniu za każdym razem, gdy ustanawiają go na nowo. W odmiennym miejscu, w okolicznościach innych od poprzednich, ludzie drogi odnajdują znane sobie punkty odniesienia. Nomadzi wprowadzają też stałe i ważne dla siebie sensory w napotykaną przestrzeń, utkaną ze znaków o innej wymowie. W ten sposób odtwarzają struktury i sieci znaczeń, które pozwalają im zachować poczucie „domności” i domowości (Edensor, *op. cit.*: ibidem).

Sytuacja kreowana przez nomadów interesuje mnie, ponieważ odnosi się do reakcji na zmieniające się okoliczności. Wymagają one podjęcia poszukiwań odpowiedzi na nowo wraz z pojawianiem się nowych wyzwań i warunków, choć istnieją stałe kulturowe ramy. Moim zdaniem, życie w drodze pokazuje także na czym polega refleksja nad zamieszkiwaniem.

Refleksyjność ta nie musi jednak oznaczać dosłownego namysłu czy problemowej dyskusji. Do procesu związanego z namysłem, należy też przekształcanie przestrzeni w miejsce zwane domem. Tym jest przede wszystkim gest pierwszy (zob. Benedyktowiczowie), jakim jest odgradzanie się – wytyczanie zasięgu domostwa oraz kolejne czynności, które polegają na tworzeniu warunków „domności” (zob. Benedyktowicz, Benedyktowicz 1992).

System kulturowy zakreśla granice, w których działają określone jednostki, które do pewnego stopnia mają wpływ na swoje działania. Można je określić jako „sprawców”, nie tylko „aktorów” (lub szczególnego rodzaju aktorów – „performerów”). Korzystają ze wspólnych społecznych zasobów różnego rodzaju, aby tworzyć potrzebne im do życia strategie. Żadne z tych przedsięwzięć nie toczy się w społecznej próżni. Zachowania i postawy dostosowywane są także do celów innych osób. Wystarcza „zanurzenie się w systemie/kulturze”, by „[wyzwoliły się] działania, praktyki o znacznym stopniu podobieństwa” do aktywności owych innych, poruszających się w ramach określonego systemu (Jewdokimow 2011: 41). Procesy te nie przebiegają wyłącznie na drodze racjonalnej i pragmatycznej kalkulacji, negocjacji bądź rozważań, jako że system nie determinuje ludzkich działań, wyborów i taktyk. Jest elastyczny, czyli podatny na interpretację. Przejawia się ona poprzez „improwizację”, jakimi są pojedyncze doświadczenia jednostek. Wybory i decyzje poszczególnych osób można traktować jako warianty pewnego inwariantu. Różnorodność i pokrewieństwo doświadczeń zależą też od stopnia więzi danej jednostki z systemem i od miejsca, jakie w nim zajmuje.

Wyrazicielem podejścia, które uwrażliwia na tego rodzaju czynny aspekt życia, obdarzony także pewną dawką sprawczości, jest Chris Barker (2005) – omówiony już przeze mnie w części pierwszej⁴². Przypominając pokrótce jego założenia, działania o charakterze sprawczym polegają na ustanowieniu samego siebie, gdy nic w tym nie ogranicza, a po drugie, gdy stoją za nimi uwarunkowania społeczne. Sprawczość ludzka jest pragmatyczna, tzn. jednostki dokonują wyboru pomiędzy tymi opcjami, które są dla nich dostępne. Dokonują szacunków, jak najlepiej postąpić. Opcje stają się więc sposobami postępowania. Niektóre osoby mogą działać na większej liczbie obszarów w porównaniu z innymi, co zależy od sił społecznych, jakim podlegają. Powoduje to ich dalsze zróżnicowanie. Niektórzy dysponują większą swobodą działania niż inni, czyli mają większą wolność w podejmowaniu wyborów i do pewnego stopnia mogą tworzyć samodzielne rozwiązania. Zależy to, zdaniem Barkera, także od ich poziomu edukacyjnego oraz zasobów materialnych. Ważnym czynnikiem są przypadki i zbiegi okoliczności. Jednostki nie posiadają pełnego i jasnego oglądu sytuacji, ani nie znają wszystkich uwarunkowań i przyczyn, pomimo że niektórzy dysponują większym kapitałem symbolicznym (np. na poziomie edukacji). Działania sprawcze

42 Do teoretyków sprawstwa można zaliczyć także Pierre’a Bourdieu (zob. 2007), Anthony’ego Giddensa (zob. 2002, 2008) i Michela Foucaulta (np. 1998b).

mają też charakter nawyków, a zatem cechują się rutyną, która nie zostawia miejsca na wybór (Barker 2005: 269–271).

Do autorów poruszających problem wewnątrzsterowności jednostki można zaliczyć także Mary Douglas, Frederica Bartha i Michela de Certeau. Propozycja Douglas dotyczy sposobów działania, reagowania i myślenia jednostek działających w sieci zależności od innych. Owe sposoby zależą, po pierwsze, od słabości bądź siły grupy, na którą składają się poszczególne osoby, zaś po drugie – od słabości bądź siły reguł, które tworzą swoistą siatkę. To reguły stanowią spoiwo łączące członków grupy (Douglas 2005). Siatka wyraża porządek symboliczny i opisuje obowiązujący w grupie obraz świata. Grupa i siatka są dwoma czynnikami kształtującymi charakter miejsca, jakie przypada jednostce w całym systemie. Może to być miejsce cechujące się większą albo mniejszą (nie)zależnością, co przekłada się na większą albo mniejszą swobodę w podejmowaniu decyzji. Ma to związek z poczuciem sprawczości. Jednostki mogą się cieszyć zróżnicowaną autonomią. Douglas wyróżnia kilka pozycji, jakie jednostka może zająć w zależności od relacji istniejących między nią a siatką i grupą. Zgodnie z kryteriami przyjętymi przez Douglas, osoby doznające bezdomności w kulturze współczesnego wolnego rynku, gdy traktuje się ich jako wyrzutków, funkcjonują w ramach hierarchicznego układu społecznego. Opiera się on na powszechnie podzielanym systemie klasyfikacji, podtrzymywanym przez silną strukturę społeczną. Zasady, jakie obowiązują w społeczności hierarchicznej, obowiązują wszystkich, a odstępstwa są piętnowane, podobnie jak opuszczenie przypisanego sobie miejsca. To, kim jest jednostka i na czym polegają jej powinności oraz przysługujące jej prawa, jest ściśle podporządkowane strukturze, określającej porządek.

Fredrik Barth (2006) podnosił kwestię transformacji myślenia i zachowania, jaka zachodzi na poziomie wyborów dokonywanych przez poszczególne podmioty. Modyfikacje tego typu nie interesowały zazwyczaj antropologów kultury. Skupiali się raczej na odkrywaniu ponadjednostkowych reguł. Rzadko śledzili, jak są one realizowane przez jednostki. Barth uczulał na wagę takich odkryć i badań terenowych, które ukazywałyby, co ludzie myślą, robią i mówią (te trzy aspekty nie zawsze się pokrywają).

Michel de Certeau (2008) proponował, aby przyjrzeć się dynamice działań i relacji toczących się w ramach „strategii” oraz „taktyki”. „Strategie” należą do sposobów „silniejszego”, czyli kogoś, kto reprezentuje *mainstream*, czyli grupę dominującą. „Silny” narzuca swe metody i cele innym, wyznacza reguły. „Taktyki” to sposoby działania „słabszego”, który nie ma własnego miejsca, działa w ramach i obszarach podporządkowanych „silniejszemu”. „Słabszemu” obce jest pojęcie własności, częściej korzysta ze sposobności, czyli „kłusuje”, „zastawia pułapki”, „dostosowuje się do sytuacji” i cechuje się mobilnością (de Certeau 2008: 37).

We wszystkich podejściach poruszających kwestię (nie)zależności jednostek podejmujących różne aktywności, decydujących o sobie i posługujących się w tym celu

rozmaitymi koncepcjami świata/-ów, jak i samych siebie, warto pamiętać o tym, na co zwrócił uwagę Jewdokimow. Podkreślił on, że „ludzie c z u j ą s i ę niezależni i wolni, są to doświadczenia realnie przez nich przeżywane, nie oznacza to jednak strukturalnej niezależności jednostek” (idem 2011: 41).

W badaniach i teoriach zajmujących się sprawczością, podkreśla się, że także język jest dyskursywną formą działania, zaś instytucje i struktury są efektami praktyk. Jednostki funkcjonują w „stanie praktykowania”. Oznacza to, że konstytuują siebie i są konstytuowane przez innych, dzięki temu, że wykonują rozmaite działania i wyrażają je oraz wdrażają na sposób dyskursywny. Dokonują wyborów i realizują „strategie”, dostępne im w ramach „taktyk” (Jewdokimow, *op. cit.*: 43). Ważny jest więc aspekt wcielenia działań, czyli ich praktykowania. Osoba działa w otoczeniu innych, wraz z nimi lub obok nich. Wpisuje doświadczenia w swoje ciało i jednocześnie dzięki niemu prezentuje je w przestrzeni i przed innymi.

Znaczenia przypisywane działaniom i przestrzeniom, dzielimy z innymi. Wynika to z założenia, że świat wyobrażeń i przekonań na temat zasad, powinności, idei itp., jest podzielany społecznie. Pomimo że jednostka jest odpowiedzialna za pewne aktywności, nie są one rezultatem tylko jej decyzji. Działania są relacyjne, referencyjne oraz relewantne. W ich obrębie mieści się też stosunek do świata materialnego.

Na ślad materialności wskazywało też w pewnym sensie wcielenie, czyli ucieleśnienie praktyk. Korporalność można traktować jako specyficzną materialność, dzięki substancjalności i fizyczności ciała oraz jego przestrzenności. Z jednej strony, ciało wpływa na przebieg i znaczenie „treningów” społecznych, obejmujących rozmaite aspekty i wymiary życia, z drugiej – ulega im. Cieleśność aktywnie współkształtuje działania, które wyrażają się poprzez ciało, dzięki niemu oraz w nim.

Działaniami, które pozwalają jednostkom najpełniej wcielić w siebie (tzn. we własne ciało) rozmaite dyspozycje kulturowe, są nawyki. Mogą być one uświadamiane i nieświadome. Odnoszą się do określonej przestrzeni, rzeczy, wykonania i osoby. Wypełniają codzienność, choć można je nazwać kwintesencją codzienności. Według Jewdokimowa, który w swoich rozpoznaniach idzie m.in. za Edensorem (2004) oraz Mirosławą Marody i Anną Gizą-Poleszczuk (2004), nawyki nie są tożsame z automatyzacją „sprawców” („agentów”). Nie należy traktować przyzwyczajęń jako bezrefleksyjnych, mimo że bywają także nieświadome. Codzienność jest labilna, albowiem toczy się jedynie w pewnych ramach. Wykonanie czynności powtarzalnej (a już przez to zbanalizowanej), mimo wszystko jest aktem jednorazowym. Działania nawykowe można potraktować jako odpowiedź na kontekst, którego zawartość ulega modyfikacjom, zaś granice przesunięciom. Nie muszą to być transformacje na wielką skalę, ponieważ codzienność, np. w podejściu Edensora, nie ma cech stanu czy bytu. To proces i stawanie się (Jewdokimow 2011: 47). Transformacjami dotknięte są raczej jednostki, które dokonują dla swoich potrzeb interpretacji okoliczności. Mogą więc

np. działać tak, jak zawsze lub inaczej. Na ten czy inny tryb działania, może wpłynąć świadoma lub nieświadoma analiza czynników, które skłaniają jednostki do tej czy innej praktyki.

Podejście to łączy się z teorią Jean-Claude Kaufmanna (2004). Powiadał on, że reagujemy pod wpływem bodźców, jakie oddziałują również na nasze ciało. Bodźce powstają w wyniku obcowania przez nas z obrazami i przedmiotami, które wypełniają i tworzą otoczenie. Czynniki te organizują nasze myślenie, działanie i percepcję. Formują nietrwałe sieci i ich sposób funkcjonowania jest w większości jednostkom nieznanym. Działania mają więc przebieg intuicyjny, szczególnie gdy aktywności jednostek odnoszą się do przyzwyczajzeń codziennych, także związanych z życiem domowym. Nawykom rozgrywającym się w domu, zdaniem Jewdokimow, przyświecają względy praktyczne.

Kaufmann kładł też nacisk na relacyjność działań tego typu. Ciało i umysł „sprawcy”, współdziałają w sieci powiązań z bytami i aktywnościami o sensie ponadjednostkowym i poza-ludzkim.

Zgodnie z założeniami Kaufmanna, przyzwyczajenia mogą stać się obiektem refleksji, gdy ulegają przemianie, np. gdy zachodzą wypadki losowe lub zmiany zaprojektowane przez jednostkę, decydującej o zaingerowaniu w rutynowo dotąd przebiegającą codzienność. Przykładem może być życie domowe. Katalizatorem zmiany byłoby np. opuszczenie dotychczasowego miejsca zamieszkania, zmiany w potrzebach mieszkaniowych poszczególnych lokatorów itp. (Jewdokimow 2011: 71–72).

Wzrost refleksji charakterystyczny dla obecnej kultury związany m.in. z nasileniem mobilności i tym samym z projektowaniem zmian przez pewne jednostki, skutkuje „zmniejszeniem intensywności wcielania domu” (Jewdokimow 2011: 73). Osłabieniu ulega znaczenie przypisywane zamieszkiwaniu oraz sens domu. Przestają być one punktami odniesienia. Relatywizacja nawyków przekłada się na poczucie większego wyobcowania w przestrzeni (ibidem: 80). W konsekwencji zanika aspekt wcielenia nawykowego bycia w danym miejscu, jaki jest odpowiedzialny za tworzenie domu i za poczucie, że jest się „jak w domu”. Na to poczucie składają się również relacje z innymi i wizja przyszłości (ibidem: ibidem). Dom tworzą zatem emocje, obrastające fizyczną strukturą przestrzenną (Jewdokimow, *op. cit.*: 81).

W przestrzeniach zamieszkałych przez wiele osób (Jewdokimow badał domy emigrantów; zob. idem, *op. cit.*), refleksją objęte są nawyki własne, które ujawniają się dzięki codziennym kontaktom z innymi i ich nawykami. Symptomatic wzrostu refleksyjności, stają się rozmowy z innymi lub rozmyślanie na temat zachowań współmieszkańców. Od zachowań cudzych odbijają się nawyki własne. Jednak refleksyjność, a szczególnie poczucie nieprzystawalności różnych nawyków do siebie, utrudnia dopasowanie się do wspólnej codzienności, także jej wypracowanie. Zaś w przypadku instytucji totalnych, jakimi są schroniska i podobne im placówki, tamtejsza codzien-

ność jest w niewielkim stopniu otwarta na jej współkształtowanie w takim stopniu, w jakim jest to mimo wszystko możliwe np. w lokalach sublokatorskich emigrantów, badanych przez Jewdokimowa.

Placówki pomocy programowo nie dopuszczają do głosu przyzwyczajęń charakterystycznych dla poszczególnych mieszkańców. Miejsca te funkcjonują jako przestrzenne projekty społeczne, realizując „ukryty program”. Są w tym podobne do indywidualnych domów, ponieważ jedne i drugie mają funkcję socjalizującą, a mieszkańcy są „socjalizowanymi socjalizatorami”. W tej podwójnej roli występują rodzice wychowujący dzieci we wspólnym domu: poprzez wychowywanie oddają i podtrzymują wyobrażenia, jakie sami wcześniej nabyli w swoich poprzednich domach. W podobnym trybie działają też np. matki z dziećmi zamieszkujące instytucje pomocowe: wychowują zgodnie z tym, co uznają (najczęściej nieświadomie) za najlepszą praktykę wobec dzieci (czyli taką, jaka jest im znana). Jednocześnie same podlegają jawnymi i niejawnym praktykom instytucjonalnym, których zadaniem jest wpłynąć na nie „korekcyjnie” w ramach działań stosowanych w placówkach. Kobiety podlegają regulaminom, ocenom formalnym i nieformalnym oraz opiniom personelu i pozostałych współlokatorek. Wszystkie te komunikaty werbalne i niewerbalne, odnoszą się do ich życia, wyborów, cech, przeszłości i przyszłości oraz tego, czym jest „dom” – symbol normalności, zdrowia, prawidłowości, udanego życia ich i ich dzieci.

Dom, a także jego imitacje, to miejsca, gdzie zaszczepia się nawyki. W badanych przeze mnie instytucjach, nawyki to zestawy zachowań, dzięki którym (zgodnie z obowiązującą ideologią pomocy), lokatorki i lokatorzy mogą stać się osobami odpowiednimi z punktu widzenia założeń kultury, czyli jej zinstytucjonalizowanego uniwersum (Berger, Luckmann 1983).

Peter Berger i Thomas Luckmann pisali, że jednym z mechanizmów podtrzymujących spójność świata społecznego jest tzw. terapia. Czasami występuje w towarzystwie „nihilacji” (Berger, Luckmann, *op. cit.*: 179–183).

„Terapia” pozwala utrzymać ewentualnych „dewiantów” w ramach społeczności. Oferuje w tym celu szeroki wachlarz praktyk (od rytuałów szamańskich po rozmaite szkoły psychologiczne). Wszystkie one mają za zadanie objąć kontrolą jednostki, które z różnych przyczyn nie podzielają przyjętego społecznie obrazu świata i usiłują na różne sposoby definiować rzeczywistość po swojemu. W rezultacie czego są wyrzucane poza granice „Terapia” służy temu, aby ująć takie osoby w ryzy. Jest to technika, która służy zagłębieniu się w przyczyny „patologii” i na kanwie tej wiedzy, proponuje się rozmaite środki zaradcze. Towarzyszy jej wiedza na temat osób z marginesów, co pomaga lepiej nad nimi panować. Jednostki „dewiacyjne” sprowadza się np. do specjalnych miejsc i poddaje odpowiednim praktykom.

„Terapia” ma charakter korygujący, ale jednak uprawomocnia marginalia. W porównaniu z nią, „nihilacja” odmawia „pozytywnego uprawomocnienia” tych, którzy

wyłamują się ze społecznego uniwersum (Berger, Luckmann, *op. cit.*: 181–182). „Nihilacja” nadaje im „negatywy status ontologiczny”. Zadaniem „nihilacji” jest opanowanie przypadków „anormalnych” przy pomocy pojęć należących do uniwersum. Powstaje w ten sposób przekład języka „patologii” na język obowiązujący, by przy pomocy dyskursu *mainstream*-owego unieważnić dyskurs „dewiacyjny” i wykazać jego błędy.

Dzięki powyższym koncepcjom Bergera i Luckmanna, można zrozumieć, jak przebiega proces wpływania na nawyki mieszkańców/mieszkanek w placówkach pomocy. System ten czerpie z repertuaru domowości „prawdziwego” domu. Stąd sens takich instytucji plasowałabym bliżej sensu „niedomu”, którym zajmował się Jewdokimow, kontynuując badania nad emigrantami (wraz z Magdaleną Łukasik; zob. Łukasik, Jewdokimow 2012) niż anty-domu bądź świata alternatywnego, świata obok itd. „Niedom” nie jest bowiem antytezą domu. Jest to „konglomerat elementów przeniesionych z domu wprost, [...] odwróconych bądź zredefiniowanych oraz powziętych spoza zasobu (ibidem: 97).

Instytucje pomocowe byłyby więc w pewnym sensie „niedomami”, choć moim zdaniem określenie to nie wyczerpuje w pełni ich znaczenia. Owszem, jako „niedomy” operują wybranymi znaczeniami związanymi z „domem”. Jednak nie zmieniają idei domu tak, jak dzieje się w to w „niedomach” emigrantów, gdy w tym przypadku osłabieniu ulega metafora domu, jako „korzeni”, osadzenia, wrastania i stabilizacji (Łukasik, Jewdokimow, *op. cit.*: 99). Podtrzymałabym więc swoją tezę, że placówki pomocy to imitacje domu. Różnica między nimi a „niedomami” polega na tym, że placówkowe imitacje domu uczyniły z zakorzeniania swoich podopiecznych idee wiodącą.

Poza tym, w „niedomu” przestrzeń nie jest włączana w schematy cielesne, zatem ciało jego mieszkańca nie identyfikuje się z nią właśnie z tego powodu, że jest to przestrzeń „niedomu”. Ani go nie wciela, ani się na niego nie „rozlewa” (ibidem: 101). W schroniskach chodzi zaś o zaszczepienie w ciele określonych nawyków, by lepiej zakorzenić osoby podległe reżimom w uniwersum społecznym. Ma to miejsce zgodnie z opisanym wcześniej mechanizmem, według którego działają instytucje totalne.

Nawyki są związane z wyobrażeniem domu jako azylu, miejsca zabezpieczającego potrzeby. Na ciało i przy pomocy ciała przenosi się owe idee w postaci rozmaitych praktyk porządkowych i uładzających otoczenie, które obowiązują mieszkańców i są ujęte w regulaminy i niepisane zasady. W imitacjach domu, przynależne do nich działania są inkorporowane, podczas gdy w „niedomach” – według ich badaczy, nic takiego nie zachodzi. W instytucjach pomocowych, działania, postawy i zachowania narzucane przez obowiązujące tam porządki, wchodzą do repertuaru zamieszkujących je jednostek. Wcielają one owe zestawy na pewien czas (na pewno, gdy

przebywają w placówkach), uzupełniając tym samym nabytą przez siebie już wcześniej, kognitywną i behawioralną strukturę domowości.

Łukaszewicz i Jewdokimow pisali o „niedomu”, że „nie uruchamia [...] tych ścieżek praktyk, tych skryptów działań, które rozumiemy kulturowo jako domowe” (ibidem: 200). Na terenie instytucji pomocy ich mieszkańcy działają „jak w domu”, choć owym domem nie są wyłącznie noszone przez nich wyobrażenia i doświadczenia, lecz jest to obraz im narzucony. Wymaga się jednak od nich odwołania się do „domowości” w sensie schludności, porządku, zadbania. Odwołując się do owej idei, równocześnie się ją przywołuje i temu też służy praktyka udomawiania przestrzeni. Najczęściej wyraża się poprzez aranżację dostępnego miejsca, „po swojemu”. Może to być np. pomalowanie pomieszczeń na wybrany kolor, zaprowadzenie swojego porządku wśród przedmiotów, wprowadzenie określonych rzeczy, układanie relacji z ludźmi zgodnie z własnymi zasadami, przydzielenie pomieszczeniom określonych funkcji zgodnie z osobistymi potrzebami. W instytucjach tego typu zachowania są sprowadzone do minimum i obejmują najczęściej własne ciało i najbliższe sobie otoczenie, lecz nie na całym ich obszarze i nie w każdym zakresie. Mieszkańcy placówek są poddani opisanej przeze mnie idei porządkowania. Robienie porządków na sobie, wokół siebie i w dalszym otoczeniu, jest metaforą zaprowadzania porządków w życiu. Odczytać je można jako tożsame z wychodzeniem z bezdomności, tzn. są one gestami i praktykami formującymi postawy, dzięki którym następuje wkraczanie do „domności”. Wejście w „domność” – ćwiczenie jej w placówkach pod okiem kadry – może być wejściem w nią na powrót lub w ogóle. To bowiem, co jest traktowane przez niektórych lokatorów, jako „zamieszkiwania jak w domu”, czasami nie jest tolerowane przez innych czy przez personel. Stosuje się wówczas korekty.

Wdrożenie do dyscypliny opartej na porządkowaniu, oznacza też umiejętność wytyczania sobie celów i budowania ich hierarchii, ponieważ tym, co przyświeca instytucjonalnym imitacjom domowości i „domności”, jest przeprogramowanie życia lokatorów i lokatorek placówek.

Budowanie domu zaczyna się od wspomnianego przeze mnie podstawowego gestu, który ustanawia jakąś przestrzeń, jako własną. Polega na odgródzeniu się – od innych i od reszty przestrzeni. Dzięki owemu ruchowi powstaje centrum, jakim jest jej lokator, czyli ktoś, kto ją bierze w posiadanie, tzn. użytkuje na sposób właściwy tylko sobie. Dokonuje się podział na zewnątrz i to, co wewnątrz, czyli na to, co własne i obce⁴³.

43 Krystyna Zachwatowicz-Wajda, wspominając okres Powstania Warszawskiego, dzieliła się zapamiętanymi obserwacjami na temat taktyk przeżycia, jakie obierali ówcześni mieszkańcy Warszawy. Wykonywali pewne rzeczy, aby wytrwać psychicznie, nie tylko fizycznie. Pomagało im w tym konstruowanie własnego – choćby tymczasowego – miejsca do życia, czyli według niej domu: „Widziałam, że ci ludzie, którzy mieszkali w czasie Powstania w schronach zawsze robili sobie swoją przestrzeń za pomocą jakiegoś materaca, jakiejs poduszki, a to z walizki jakąś

Zagarnianie przestrzeni dla siebie, tylko przy pomocy jednego gestu, by uczynić z niej swoje miejsce, ma wartość ochronną i jednocześnie tożsamościową. Odgrodzić można się przy pomocy przedmiotu, poprzez wybór miejsca o specyficznym układzie czy przyjmując określoną postawę ciała. Te i inne zachowania komunikują „tutaj ja jestem”. Nie przenoszą jednak dosłownie do domu, choć przybliżają jego znaczenie. Gdy miejsce takie zaczyna być zagospodarowywane, objęte krzątaniem, zaczyna znaczyć tym bardziej, że jest czyjeś i może przekształcić się w dom – miejsce poddawane organizowaniu i utrwalaniu, także poprzez robienie porządków i zaprowadzanie ładu.

Instytucje nie są domem ze swojej istoty, choć wiele osób znajduje pod ich dachem tego namiastkę. Podobnie do „prawdziwego” zasiedlania domu, placówki do jakiegoś stopnia poddają się udomowieniu i oswojeniu. Także ich celem jest „oswojenie” tych, którzy są „bez-domni”. W placówkach zachodzi proces wdrażania (się) do „domności” (nauka „domu”), czyli wdrażania się do „świata”. Dzięki wykonywaniu pewnych działań składających się na zamieszkiwanie, powstają skojarzenia, że pobyt w placówkach przypomina dom.

Mimo to, schroniska „nie są właściwym miejscem dla większości ludzi”, a życie na ulicy „świadczy o zdolności człowieka do adaptacji, prowadzącej do samozagłady”, albowiem „ludzie przyzwyczajają się do każdej okropności i zaprzestają stawiania oporu” (Master, *op. cit.*: 51). Z tego powodu, choć taktyki stosowane w placówkach przez kadrę mogą wydawać się opresyjne, naśladowanie gestów i zachowań domowych, jakie się tam odbywa, wiąże się do pewnego stopnia z powrotem do świadomości samego siebie i własnego ciała u niektórych lokatorów i lokatorek. Własne ciało staje się polem działania. Dla osób doświadczających bezdomności, czasami może dojść do utraty poczucia ciała, co oznacza brak kontaktu ze sobą. Declerck obserwował ten proces u wieloletnich bezdomnych żyjących na ulicy. Przejawiało się to przez zaprzestawanie dbania o siebie, gdy znikало u nich poczucie przeszłości i przyszłości. Zrywali wówczas kontakt samymi sobą, czyli z ciałem. Osoby takie nie widziały np. potrzeby leczenia się. Następowало zubożenie na dolegliwości, nie interesowało ich już uzyskanie pomocy (Declerck 2004: 371).

Uprzedmiotowanie zachodzić może jednak także u osób mieszkających w placówkach, choć przejawiałoby się ono w inny sposób. Ciała nie tylko należą tam do nich i nie tylko po to mają odzyskiwać ich poczucie, by odnaleźć związek z samym

ściankę, tu coś powiedzieli [...] odgrodzenie się było istotne, takie dążenie, żeby zrobić przestrzeń tylko dla siebie” (Zachwatowicz-Wajda, Komorowska 2010: 6). Podobny ruch „dośrodkowy” na poziomie symbolicznym i behawioralnym opisał Alexander Masters, gdy opowiadał o akcji ulicznego protestu. Polegała ona na okupowaniu fragmentu przestrzeni publicznej: „Skoro nie mamy i przez najbliższe trzy dni nie będziemy mieli, własnego kąta, musimy go sobie stworzyć. Łapię się [...] na szukaniu wzrokiem kawałka chodnika, z którym chcielibyśmy się zaznajomić. Wśród betonowych płyt poszukujemy zarysu domu” (Master 2007: 76).

sobą. Przede wszystkim powinni nauczyć się być określonymi osobami. Ich nowe „Ja”, w tym korporalne, jest projektowane przez schroniskowy ład. Jak pisał Declerck

nieszczęście polega [...] na tym, że większość osób [...] nie jest w stanie wytrzymać narzuconych rygorów. Większość dostępnych im rozwiązań jest więc, z punktu widzenia równowagi oferowanych korzyści i stawianych wymagań, ponad ich pragnieniami i możliwościami lub poniżej (ibidem: 417).

Kluczem do udzielenia trafnej pomocy, jest dostosowanie środków do potrzeb i możliwości poszczegółnej jednostki. To wymaga uwzględnienia sprawczości. Jej odzyskiwanie czy ożywienie rozpoczyna się wraz z pojawieniem się (auto)refleksyjności, co ma miejsce przed zerwaniem kontaktu z samym sobą, a w bezdomności jest to pewien proces, na co zwracał uwagę Declerck.

Trening, jaki odbywa się w opisanych przeze mnie placówkach, którzy polega na wdrażaniu do określonych nawyków, w tym systematyczności, jest odpowiednikiem posiadania meldunku przez „domnych”. Adres, to znak administracyjnego przypisania do miejsca. Nie tylko uwiarygodnia jednostkę, ale w pewnym sensie ją uprawomocnia i konstytuuje jako członka społeczeństwa. Brak adresu pozbawia praw *de facto*, choć nie *de iure*. W myśl przepisów niektórych państw, więcej praw należy się tym, którzy legitymują się stałym adresem pobytu. Stałe miejsce i stały adres były i są traktowane, jako cechy przemawiające na korzyść jednostki. Tym samym „porządek moralny przekształcił się w porządek przestrzenny” (Morley 2011: 44). Mieszkanki i mieszkańcy schronisk najczęściej nie są nigdzie zameldowani. Mogą za to udowodnić swoją rację bytu, gdy przestrzegają narzucany im „porządek moralny” w ramach instytucji.

Zamieszkiwanie
z istoty swojej
musi rozszerzać świat,
a nie zawężać

(Buczyńska-Garewicz 2006: 40)

5. Domowość i bezdomność w doświadczeniu kobiet i mężczyzn

5.1. Perspektywa *gender* w badaniach domu i bezdomności

Idealizacja uczuciowa domu traktowanego jako ostoja bezpieczeństwa została podważona w wyniku badań feministycznych, zajmujących się kwestią znaczenia domu dla kobiet. Badania te zerwały z postrzeganiem go przez pryzmat „szczęśliwej fenomenologii” (Morley 2011: 75), którą można przypisać np. teorii Bachelarda. Dzięki owemu zwrotowi⁴⁴, dom zaczął być rozpatrywany z perspektywy konfliktów, władzy, przemocy, opresji, także wyzysku, nierówności i niebezpieczeństw, jakie zachodzą w jego obrębie oraz z perspektywy interesów, które toczą między sobą jego mieszkańcy. Stosunki rodzinne przestały jawić się jako naturalne, a zaczęły jako konstrukty społeczne i konkurujące ze sobą wyobrażenia, poddawane negocjacjom. Rodzina i przestrzeń domu zaczęły być postrzegane jako *ugenderowane*. Miało to także związek z krytyką koncepcji Heideggera. Jego podejście, wraz z podejściem Bachelarda, dyskurs feministyczny utożsamiał z perspektywą androcentryczną. Oczekiwania mężczyzn wobec domu wiązały się z kulturową pozycją beneficjentów dominującej na Zachodzie domowości (Morey, *op. cit.*: 78). Mężczyzna powraca bowiem ze świata zewnętrznego do swojego siedliska, które utożsamia z azylem i schronieniem. Ten punkt widzenia nie uwzględniał perspektywy osób, które – jak kobiety – w domu przebywały częściej (bądź wyłącznie) i był on ich miejscem pracy. Obciążenie czasowe pracami domowymi w większości nadal spoczywa na kobietach. One też podejmują się na terenie domu zajęć opiekuńczych, skierowanych do osób, które z różnych przyczyn są zależne od innych (dzieci, chorzy, starsi, również zwierzęta domowe)⁴⁵.

44 Za najbardziej wiążące dla owego zwrotu interpretacyjnego są uznawane prace Ann Oakley: 1974a (potem znana pod innym tytułem, zob. Oakley 1976) i 1974b. Można także dodać tutaj opracowanie Pierre’a Bourdieu (2004).

45 Przeciętny czas wykonywania prac domowych przypadający na jedną osobę, to ok. trzech godzin. Po uwzględnieniu kryterium *gender*, „dysproporcje w czasie poświęcanym na pracę w domu okazują się być znaczące. Kobiety na ww. czynności poświęcają 4 godziny 30 minut w ciągu doby. [...] [w przypadku – I.B.K.] mężczyźni prace domowe zajmują 2 godziny 36 minut. Tak więc średnia dysproporcja między płciami wynosi prawie 2 godziny dziennie, w wymiarze tygodnia – 14 godzin, miesiąca – ponad 50 godzin, a roku – 700 godzin” (Świątkiewicz 2011: 15–16). Autorka ta pisała również, że sytuacja rodzinna zmienia te obciążenia na niekorzyść kobiet: „Kobiety do 45 roku życia, mieszkające z rodzicami i nieposiadające dzieci w wieku poniżej lat 18 spędzają na pracach domowych około 2 godzin 20 minut dziennie. Kobiety z tej samej grupy wiekowej, również bez niepełnoletnich dzieci, ale w związku małżeńskim, poświęcają tego rodzaju pracom już 3 godziny 48 minut. Dla kobiet mających więcej niż 45 lat udział czasu poświęcanego analizowanym zajęciom rośnie do ponad 5 godzin”

Jak przypominała Agata Świątkiewicz,

kobiety wykonują od 62% do 84% całości takich prac, jak pranie, prasowanie, przygotowywanie posiłków, zmywanie oraz sprzątanie, a także gruntowne porządki. Mężczyźni częściej natomiast zajmują się takimi sprawami, jak zlecenie wykonania usług naprawczych w domu, np. wezwanie hydraulika (59%). Natomiast załatwianie spraw urzędowych czy wyrzucanie śmieci dzielone jest mniej więcej po równo [...] (eadem, 2011: 17).

Potoczne wyobrażenie domu zakłada normalizację i stabilizację ról, jakie mają do wypełnienia jego członkowie. Odnosi się to także do stosunków panujących między mieszkańcami domu, zatem do ich zachowań i postaw, emocji, doświadczeń, aktywności, obowiązków oraz relacji ze światem materialnym. Stabilizacja jest dostrzegalna przede wszystkim na poziomie przydziału określonych sfer i symboli domowych do określonego *gender*. Dom kojarzony był szczególnie z kobietami i kobiecością (według stereotypowego wyobrażenia kobiety są „najwłaściwsze” w roli opiekunek domu, są jego „sercem”). Zgodnie z takimi kulturowymi wytycznymi, dom byłby czymś odmiennym od sfery publicznej. Konsekwencje, jakie zaczęto jednak wyciągać z hasła propagowanego przez feminizm drugiej fali, że „prywatne jest polityczne”, spowodowały, że coraz popularniejsza stawała się refleksja nad kulturową logiką i kosztami (od dosłownych – ekonomicznych, po przenośne – symboliczne) podziału obowiązków w domu ze względu na *gender*. Wykrystalizowało się ujęcie traktujące domowe i opiekuńcze obowiązki przypisane kobietom jako ich nieodpłatną pracę – wyłączną lub dodatkową, spełnianą obok zawodowej i ściśle powiązaną z rozumieniem „kobiecości”.

Objawiła się w ten sposób niejednoznaczność pewnych tematów rozpatrywanych w kontekście ogniska domowego i domostwa. Studia *gender* z jednej strony odnowiły badania rodziny, rodzicielstwa, wychowania dzieci itp. w kontekście domu, w tym studiów nad jego przestrzenią i materialnością, z drugiej – inaczej rozłożyły akcenty. Zweryfikowały definicje domu, rodziny, ról rodzicielskich i opiekuńczych, sens bycia dzieckiem itp.

Dom oglądany z perspektywy różnych płci kulturowo-społecznych nie musi prezentować się tak samo. Ogląd domu oczami osób doświadczających bezdomności również zależy od tego, jak bezdomność jest doznawana ze względu na płć kulturową⁴⁶. Przyjmuje się, że bezdomność „kobieca” różni się od „męskiej”, ponieważ

(ibidem: ibidem). Badaczka dodała, że „do czynności domowych z pewnością należy zaliczyć opiekę nad dziećmi oraz osobami wymagającymi stałej opieki, a także opiekę nad zwierzętami. Jak wynika z wypowiedzi ankietowanych, opieka nad dziećmi zdecydowanie częściej spoczywa na kobiecie. Partnerzy uczestniczą jedynie «pomocniczo», np. przy wspólnym odrabianiu lekcji. Sprawiedliwiej wygląda zaangażowanie w opiekę nad zwierzętami domowymi. Tutaj swój czas w podobnym stopniu poświęcają oboje partnerzy” (eadem, ibidem).

46 W języku polskim o kobietach w kryzysie bezdomności zob. przede wszystkim Dębski 2008 (są to badania z terenu województwa pomorskiego) i Szluz 2010a.

nie chodzi tutaj tylko i wyłącznie o formy przeżywania własnej bezdomności, ale przede wszystkim o przyczyny bezdomności, i szanse z niej wyjścia. Różnorodne przeżywanie sytuacji wykluczenia społecznego wśród kobiet i mężczyzn niesie za sobą konieczność dostosowania odpowiednich narzędzi pracy socjalnej realizowanej wśród obu kategorii płci. Nie trudno się domyśleć, że narzędzia te mogą być, i niejednokrotnie są, zupełnie odmienne w przypadku bezdomnych mężczyzn i kobiet (Dębski 2008: 5).

Graham Bowpitt i in. zbadali, jak owa konstatacja na temat zróżnicowania *genderowego* bezdomności przekłada się na wybrane zagadnienia związane z życiem bezdomnym (2011). Zbadano trzy kwestie: powody bezdomności, dawanie sobie rady (autorzy posłużyli się tutaj wyrażeniem „zarządzanie doświadczeniem bezdomności”) oraz adekwatność pomocy skierowanej do różnych *genderowo* osób bezdomnych (Bowpitt i in., *op. cit.*: 540).

Badania wykazały różnice w szczegółach postrzegania i znoszenia swojej sytuacji przez jedną i drugą płć kulturową. Zgodnie z założeniem, że przeżywanie wszelkiego doświadczenia, nawet tak skrajnie trudnego, jak bezdomność, odbija zasady i wyobrażenia społeczne nakładane na mężczyzn i kobiety w każdej kulturze. Życie doświadczających bezdomności jest także określane przez społeczną rzeczywistość zróżnicowaną *genderowo*.

Jeśli chodzi o przyczyny bezdomności, kobiety i mężczyźni wskazywali przede wszystkim na problemy rodzinne i domowe, a zatem na wszelkie możliwe formy przemocy, biedy, niezaradności różnego rodzaju, uzależnienia itd., które doprowadzały do coraz większego wykluczenia, aż po bezdomność.

Dyskurs kobiet i mężczyzn bezdomnych różnił się w opisie tych doświadczeń. Kobiety kładły nacisk na zerwanie więzi i ich patologizację, nadużycia ze strony bliskich, jakich doświadczały. Mężczyźni opowiadali o domowych historiach z punktu widzenia osoby, która została wyrugowana na margines, nie była traktowana jako pełnoprawny członek rodziny i której sytuacja wymknęła się spod kontroli. Mężczyźni opuszczali dom, gdy czuli, że problemy są dla nich zbyt skomplikowane i nie dają sobie z nimi rady. Kobiety – gdy chciały przede wszystkim chronić siebie (i dzieci) i wyzwolić się z sytuacji przemocowych. To odmienne spojrzenia na dość podobne u swojej genezy problemy, jakie popychają do bezdomności.

Co do „zarządzania” bezdomnością, Bowpitt i in. zwrócili uwagę przede wszystkim na ten aspekt, który wyróżniali badacze zajmujący się wyłącznie bezdomnością kobiet, m.in. Julia Wardhaugh (1999), czyli znaczenie ciała w bezdomności. Zadano pytanie, w jaki sposób bezdomni mężczyźni i kobiety traktują swoje ciała, jakimi rodzajem narzędzia, znaku i sensu staje się ono dla nich i dla otoczenia. Dla kobiet i mężczyzn ciało jest podstawową „jednostką doświadczeniową”, a zapewnienie sobie bezpieczeństwa cielesnego jest bardzo ważne. Kobiety starają się, aby

ich cielesność wywoływała jak najmniejsze skojarzenie z bezdomnością, szczególnie, gdy przebywają w sferze publicznej. Nie chcą być naznaczone etykietką bezdomności. Inaczej wobec swojego ciała postępują mężczyźni. Ich ciała, jak określili Bowpitt i in., „expand, [...] seeking to colonise the streets and other public spaces to construct an alternative hard exterior” (ibidem: 540). Ich praktyka różniłaby się zatem od strategii kobiet, które rzadziej żyją na ulicy, choć wśród nich także spotyka się bezdomne „uliczne”, lecz inaczej się to przejawia (polskie statystyki mówią o ok. 10–20 proc. kobiet bezdomnych, co potwierdzają badania światowe; zob. Dębski 2008). Kobiety starają się nie rzucać w oczy, dłużej i częściej zachowują pozory życia „domnych”, szczególnie jeśli chodzi o wygląd, zachowanie w miejscach publicznych. Jednak mężczyźni i kobiety podobnie przeżywają główne problemy życia poza ośrodkami pomocy i własnym domem, czyli zimno, głód i utrzymanie higieny (w przypadku kobiet trzeba dodać podleganie cyklowi miesięcznemu, ewentualne ciążę, przemoc seksualną; Bowpitt i in., *op. cit.*: 541). Kobiety częściej stają się prostytutkami, a mężczyźni częściej uprawiają różne procedury kryminalne. W przypadkuprostituujących się, niektórzy badacze (Bowpitt i in. przywołują tutaj badania naukowców brytyjskich z ostatnich lat) uważają, że nie należy postrzegać ich sytuacji wyłącznie z perspektywy „ofiary”, albowiem prostytutka to także jedna ze strategii radzenia sobie w bezdomności, wykorzystywana przez pewien procent kobiet i o wiele mniejszy odsetek mężczyzn.

Jeśli chodzi o warunki oferowane kobietom i mężczyznom w placówkach specjalistycznych, badania wykazały, że więcej trudności w uzyskaniu pomocy (w tym informacji) miały samotne kobiety, w porównaniu z mężczyznami i matkami z dziećmi. Być może wiąże się z tym potoczna ocena, kto bardziej potrzebuje pomocy (kobieta z dzieckiem lub dziećmi) bądź kto jest bardziej uciążliwy ze względu na liczebność i sposób zachowania w przestrzeni publicznej (bezdomny mężczyzna). Problemy samotnych kobiet doświadczających bezdomności prawdopodobnie nie są traktowane jako strukturalne, tylko jako personalne.

Fitzpatrick uważa, że społeczne umiejętności, w jakie dana kultura wyposaża kobiety i mężczyzn, przekładają się na „kobiece” i „męskie” radzenie sobie w bezdomności, lecz do tych czynników dokłada też kontekst patriarchalny. Kobiety zatem cierpią z powodu przemocy doświadczanej przez mężczyzn (przemocy strukturalnej, osadzonej w stosunkach nierównościowych panujących między płciami kulturowymi), co często skutkuje ich bezdomnością. Jednak to mężczyźni przeważają wśród bezdomnych. Wydaje się bowiem, jak pisze Fitzpatrick, że „some gendered factors associated with homelessness almost certainly disproportionately affect men” (eadem, 2005: 9). Mężczyźni są również ofiarami patriarchalnego modelu stosunków międzypłciowych, zwłaszcza jako ofiary wyobrażenia męskości opartej na rywalizacji o prestiż i nie pokazywaniu porażki. Z tego powodu trudniej niż kobiety formują sponta-

niczne grupy wsparcia. Kobiety bowiem są socjalizowane do współdziałania i otwarte na inne jednostki, dzięki czemu łatwiej im przetrwać w kryzysie. Jest im także łatwiej dzięki innej umiejętności zaszczipionej w trakcie socjalizacji, tzn. werbalizowaniu odczuć i wyrażaniu emocji. Podobną rolę odgrywają inne cechy, w jakie kultura patriarchalna wyposaża kobietę, czyli posłuszeństwo, ustępowanie, niewypowiadanie własnego zdania, znajdowanie rozwiązań niekonfliktowych. W sytuacji bezdomności pozwala to kobietom relatywnie „łatwiej” (czyli inaczej niż mężczyźnom) uporać się z nowymi wyzwaniami. Mężczyźni mimo tego, że kulturowo dysponowali większą swobodą (szczególnie w przestrzeni publicznej), byli jednak bardziej zależni od troski innych (czyli zazwyczaj kobiet), tym samym mniej elastyczni. Jednocześnie są przyzwyczajeni do oglądania świata z perspektywy „Ja”, kobiety zaś są kulturowo przygotowywane do odczytywania potrzeb innych. Stąd częstszy wybór przez nie strategii polegającej na wtapianiu się w tło, nieodróżnianiu się bezdomnością, aby nie drażnić, nie prowokować do reakcji.

Wnioski te mogą wydawać się przewrotne. Można byłoby je zinterpretować w ten sposób, że kobiety tylko pozornie są ofiarami, a w rzeczywistości lepiej sobie radzą z problemami, ponieważ nie nastawiają się na sukces i wygraną, demonstrację siły i walkę o niezawisłość, do czego kultury sprzyjające wartościom patriarchalnym przygotowują mężczyzn. Rzecz jasna Fitzpatrick ani nie gloryfikuje kobiet, ani nie pomniejsza ich doświadczenia bezdomności.

Zauważa jednak cechę charakterystyczną dla „kobiecej” bezdomności. Taktyką kobiet okazuje się bowiem przeczekanie, dlatego rzadziej wybierają rozwiązania skrajne, jak np. samobójstwa, bezdomność uliczną i wpadanie w nałogi. Nawet gdy sięgają po nie, zostawiają sobie możliwość ratunku, nadejścia pomocy i zmiany. Wybierają więc słabsze środki samobójcze, mają silniejsze więzi z innymi (stąd jeśli wpadają w bezdomność, rzadziej żyją na ulicy) i opowiadają o problemach. Szukają wsparcia dzięki temu, że umieją się otworzyć. Mężczyźni przodują statystycznie w środkach i sposobach skrajnych, które wybierają jako rozwiązanie problemów. Mężczyźni szybciej i skuteczniej niż kobiety doprowadzają się do stanu deprywacji, anomii i utraty życia⁴⁷.

Założenia Fitzpatrick należy rozpatrywać jako próbę ukazania głębszego poziomu związków bezdomności z *gender*. Przy takim podejściu żadne ogniwo systemu, w jakim żyje osoba doświadczająca bezdomności, w tym nierównościowy układ stosunków między poszczególnymi *gender*, nie jest mniej ważny od pozostałych, może

47 Na temat samobójstw mężczyzn i kobiet zob.: Girard 1993; Canetto, Sakinofsky 1998; Murphy 1998; Möller-Leimkühler 2003; Rudmin, Ferrada-Noli, Skolbekken 2003; Landburg 2008; Payne 2008; Värnik i in. 2008 oraz zestawienia polskie policyjne na <http://statystyka.policja.pl/st/wybrane-statystyki/samobojstwa> (dostęp: 03.2013). W ciągu pięciu lat kontaktów ze schroniskami i noclegowniami, usłyszałam w tym czasie o dwóch samobójstwach mężczyzn bezdomnych (śmierć przez powieszenie). Popełnili je w placówkach.

tylko wywierać wpływ słabszy bądź silniejszy w zależności od konkretnej osoby. Faworyzowanie któregoś z czynników nie wyjaśni bezdomności i nie pozwoli skuteczniej zerwać z nią. Na każdą sytuację, w jakiej znajdują się osoby doznające bezdomności, powinno się patrzeć pod indywidualnym kątem, biorąc przy tym pod uwagę wszelkie możliwe zależności, zatem również *gender*.

5.2. Opowieści o domach i bezdomności

Każdą z wybranych placówek zajmowałam się w nieco innym czasie, począwszy od 2009 r. Z ich mieszkańcami i mieszkankami miałam zróżnicowany kontakt. Odkrywałam kolejne konteksty ich sytuacji i zarazem możliwości stojące przed antropologią kulturową, toczącą się w takim rodzaju terenu. Badania przebiegały w cyklach różnej długości, przedzierały je dłuższe i krótsze przerwy⁴⁸.

Mieszkańcy i mieszkanki placówek zawsze byli informowani przeze mnie czy kadre, kim jestem, czym się interesuję, dlaczego przychodzę i że także rozmowy o charakterze na pozór prywatnym (nieformalne) mogą stać się dla mnie ewentualnym materiałem badawczym.

Nie można ani przewidzieć, ani tym bardziej zakładać otwartości mieszkańców schronisk czy noclegowni i ich akceptacji na wejście w kontakt badawczy. W ciągu ostatnich pięciu lat zdołałam zamienić co najmniej parę zdań z ponad stoma osobami. Nie jest to duża grupa, biorąc pod uwagę liczbę osób żyjących korzystających ze wsparcia znanych mi instytucji (w szczycie sezonu – czyli zimą – to kilka setek osób). Ośrodki prowadzą wykazy i dzienniki pobytu. Nie były to jednak dane, z którymi się zapoznawałam (nie miałam pozwolenia – to dane osobowe, podlegające ochronie).

W placówkach przebywa się dopóty, dopóki ich lokatorzy nie uzyskają mieszkania. Zasady mówią o roku pobytu. Jednak procedury urzędowe związane z przyznaniem lokalu (po spełnieniu określonych kryteriów przez osobę, gdy gmina dysponuje odpowiednim mieszkaniem i posiada środki na remont), jak i procedury związane z zasądzeniem alimentów, przeprowadzeniem rozvodu, uzyskaniem orzeczenia o rencie,

48 Do badań zaliczam też prowadzone przez siebie zajęcia, choć nie są one przedmiotem tej publikacji. Również dostarczały mi materiału do analiz, opisanych przeze mnie w innych miejscach (Kuźma 2013b, 2013c). Opuszczałam teren, by dokonać cząstkowych podsumowań, a gdy prowadziłam warsztaty, przychodziłam do placówek przez okres np. kilku następujących po sobie tygodni. W innych przypadkach stawiałam się na zaplanowane rozmowy i by prowadzić obserwację. Stosowałam technikę „bycia na miejscu” i sporządzałam potem notatki z przebiegu pobytu. Dzięki temu wyłaniały się kolejne tematy do poruszenia z konkretnymi osobami. Pobytu w terenie liczyły od jednej wizyty przypadającej na parę tygodni po kilka w jednym tygodniu i mogły trwać od godziny–półtorej do trzech–czterech, a czasami dłużej. Ich intensywność zależała od tego, z kim się spotykałam i co działo się w każdym z miejsc. Dzięki statusowi wolontariuszki miałam i mam dość swobodny do nich dostęp.

splata długów, wyjaśnieniem spraw karnych i cywilnych (odbycie kary, uzyskanie jej zawieszenia itp.), zajmują miesiące lub lata. Dlatego rezydenci i rezydentki placówek przebywają w nich o wiele dłużej, niż przewidują regulaminy. Kobiety o najdłuższym stażu mieszkają tam sześć lat, choć matki z małymi dziećmi czekają najkrócej. Lokal socjalny uzyskują „już” po roku–półtora od złożenia papierów i pozytywnego rozpatrzenia ich prośby. Mężczyzna czeka w schronisku na mieszkanie średnio osiem lat. Najstarsi i najbardziej schorowani spośród kobiet i mężczyzn czekają na miejsce w domach pomocy społecznej. Niektórzy wyprowadzają się sami, lecz zdarza się to bardzo rzadko. Najczęściej, gdy ktoś ma partnera/partnerkę z mieszkaniem.

Większość lokatorów i lokatorek nie chciała rozmawiać i odrzucała kontakt, szczególnie wzbraniały się przed nim osoby spotykane w noclegowni. Ostatecznie, w ramach interesującego mnie tematu, udało mi się uzyskać zgodę na rozmowę od kilkunastu osób; w książce prezentuję jedenaście sylwetek.

Tak niewielka liczba osób wynikała z tego, że zależało mi na rozmowach z ludźmi, którzy wyrazili zgodę samodzielnie, czyli nie byli wskazani czy namawiani przez pracowników instytucji. Rozmówcami i rozmówczyniami stawały się osoby „gotowe do zaangażowania emocjonalnego oraz dzielenia się swoim czasem” (Stanisz 2011: 86). Jednak w pewnych przypadkach współpraca z miejscowymi psychologami i terapeutami była mi potrzebna, by lepiej zrozumieć sytuację osoby, z jaką się spotykałam. Dzięki temu wiedziałam, dlaczego niektórzy nie zgadzali się na ten i wszelki inny rodzaj interakcji bądź dlaczego rozmowa przebiegała w określony sposób. Zależało to od ich stanu, etapu terapii, rozmaitych deficytów itp.

Rozmowy miały charakter wywiadów swobodnych pogłębianych (nagrywałam je za zgodą badanych). Oparłam się wyłącznie na trzech dyspozycjach. Interesowało mnie: co znaczy dom dla danej osoby, jak to się stało, że znalazła się w ośrodku i na czym polega jej życie w placówce.

Przebieg spotkania zależał od wzajemnej otwartości, większego czy mniejszego talentu do opowiadania, stanu zdrowia itp. Pewnych wątków czasami nie pogłębiałam ani nie poruszałam, mimo że moim zdaniem ściśle wiązały się z interesującymi mnie tematami. Podejmowałam taką decyzję w wyniku interpretacji sygnałów płynących od rozmówców. Pewna ich część nie chciała przypominać sobie niektórych rzeczy. Nierozstrzygniętą kwestią pozostaje jednak dla mnie, czy pomijane wątki nie były już kiedyś przez nich opowiadane, szczególnie reprezentantom pomocy społecznej. Być może konieczność przedstawienia sytuacji bolesnej czy dramatycznej przed urzędnikiem, w ramach rozmowy urzędowej, dodatkowo naznaczyła taką historię. Dlatego też niektórzy rozmówcy nie chcieli później wracać do pewnych kwestii. To jednak zbyt wątpliwa hipoteza i na pewno nie jedyna, jaką można postawić. Wymagałaby pogłębienia, lecz nie w tym miejscu. Kiedy widziałam różne reakcje i domyślałam się przemilczeń, nie dowiadywałam się, czy moje pytanie było zbyt trudne, bolesne, czy może kiedyś

już na dany temat rozmawiano i w jakich okolicznościach. Powstrzymywałam się od drażenia tych wątków, ponieważ nie chciałam nikogo urazić. Po czasie już wiem, że pytania o okoliczności przemilczenia i jego powody można byłoby spróbować zadać.

Mówienie o problemach, komu i w jaki sposób, mieści się także w zakresie przyjętej przeze mnie koncepcji treningów społecznych do „normalności”, których poligonem jest obecny system pomocy. Część rozmówców można określić mianem „profesjonalnych opowiadaczy” własnego życia, ponieważ wielokrotnie uczestniczyli w praktyce autoanalitycznej przed różnymi specjalistami i byli przez nich tego uczeni.

Nasze rozmowy toczyły się zgodnie z dynamiką, która wynikała ze wzajemnej interakcji. Zadawałam więc w ich trakcie dodatkowe pytania, które odpowiadały kontekstowi, potrzebom i chęciom, a zatem często konwersowaliśmy, co przekształcało się w bardzo swobodne wymiany zdań. Nie zawsze więc byłam tylko słuchaczką i nie tylko ja zadawałam pytania.

Przyjęłam metodę „braku techniki” w trakcie rozmów, podobnie jak celowo przyjęłam za swój badawczy sposób bycia w placówkach „bycie na miejscu”. Chciałam odciążyć spotkania badawcze od skojarzeń z rozmowami terapeutycznymi, jakie zna część mieszkańców i mieszkanki ośrodków (jednak część osób kontakty ze mną kojarzyła z terapiami; por. Hryciuk 2008) oraz pragnęłam zminimalizować podobieństwo naszego spotkania do wywiadu środowiskowego. Jego celem jest zdiagnozowanie problemu w kategoriach socjalnych. Z tym typem rozmowy spotykają się wielokrotnie osoby, które korzystają z różnych form pomocy społecznej. Nasze rozmowy miały być zatem o wiele mniej kontrolowane, niż mogłyby, choćby przez posługiwanie się bardziej szczegółowymi wytycznymi czy zestawem pytań ujętych w kwestionariusz. Dlatego później, na etapie opracowania rozmów dla potrzeb publikacji, poddałam je redakcji. Układ poszczególnych wypowiedzi nie jest identyczny z przebiegiem rozmów na żywo i z ich transkrypcjami. Po pierwsze, zdecydowałam się na to, ponieważ usunęłam własne pytania i wypowiedzi oraz liczne dygresje, jakie składały się na nasze spotkania. Po drugie, ze względu na bardzo swobodną strukturę spotkań, wyłaniały się w ich trakcie motywy dodatkowe, lecz wiążące się z pierwotnym tematem (historie w historiach). Działała tu oczywista zasada ukierunkowania myślenia poprzez postawienie pytania lub problemu do rozważań. Prowokowało to rozmówców do rozwinięcia całej gamy kolejnych skojarzeń i wspomnień, by odnosić się do nich w toku rozmowy. Z tego powodu, dodatkowo dokonałam podziału na mniejsze tematyczne bloki, które mają własne tytuły. Budowały określony kontekst, naświetlały kolejne sprawy i sytuacje.

Douglas twierdziła, że dom jest skonstruowany z wymagań i zasad⁴⁹. Wskazała także na nostalgię za domem, która występuje nieraz jednocześnie z chęcią zerwania

49 Co jej zdaniem mogło wyjaśniać bunt młodych z kultury zachodniej przeciwko domowi.

z nim (Douglas, *op. cit.*). Opowieści, jakich wysłuchałam, ukazują podobne znaczenia. W oczy rzuca się idealizacja domu i stereotypowe ukazywanie go jako miejsca rodzinnego. Lecz owa klisza, że dom to rodzina, ulega podważeniu przez rzeczywistość znaną moim rozmówcom i rozmówczyniom z autopsji. Gdy zaczynają wspominać, okazuje się, że rodzinę miewali i wielokrotnie tracili, tym samym pozytywny obraz domu oddalał się w sferę typowo kulturowych wyobrażeń. Domy, o jakich opowiadali, bywały miejscem wygnania, porzucenia, odtrącenia i przemocy. Trzeba było z nich uciekać lub było się wyrzucanym. Motyw ten często występował w historiach opowiadanych przez badanych. Dom, który wyłania się z poniżej przytaczanych opowieści, wypełniony był przede wszystkim relacjami z ludźmi (w tym złymi) i to one go tworzyły.

Często opowiadano też o rzeczach. Za ich specyficznym postrzeganiem przez pewną część badanych stały doświadczenia licznych wyprowadzek, ucieczki z kolejnych domów, pomieszkiwanie u różnych osób i w różnych placówkach. Wówczas rzeczom nie przypisywano większego znaczenia. Niewykluczone jednak, że gdy osoby z takimi doświadczeniami znajdują się we własnym mieszkaniu, deklarowany przez nich brak zainteresowania rzeczami ustąpiłby pod ich naporem. Przedmioty pojawiają się bowiem regularnie w opowieściach o planach związanych z przyszłym mieszkaniem, ale też o tym, co minęło.

Podkreślałam, że większość rozmówców przechodziła wcześniej czy równolegle terapię oraz miała za sobą liczne rozmowy o własnej sytuacji z pracownikami socjalnymi. Można ich określić jako wyszkolonych sprawozdawców z własnego życia. Najważniejszą kwestią podczas tamtych rozmów było odnalezienie w sobie motywacji do zmiany, wytrwania i wytyczenie celu. Stąd też rozmowy, jakie z nimi prowadziłam, były bardzo autorefleksyjne. Kilkoro badanych dokonało wręcz podsumowania własnego życia i rozrachunku z sobą samym/samą (nie pierwszy i nie ostatni raz). W trakcie rozmowy ze mną „przepowiadali” również sobie ponownie plany i marzenia, odwołując się do wiedzy na swój temat i procesów, jakim podlegali i podlegają (szczególnie widać to w sposobie opowiadania u niepijących alkoholików). Moje doświadczenie badawcze potwierdza konstatację Goffmana na temat większej autorefleksyjności osób, które przeszły przez instytucje totalne (Goffman 2011: 72).

Posługuję się terminami „historia”, „opowiadanie” (w tym jako czynność) i „opowieść”, starając się jednak unikać słowa „narracja”. Ono szczególnie, ale i te wyżej przeze mnie wymienione określenia, są bardzo silnie nacechowane metodologicznie. Wiąże się z podejściem, które opiera się na metodzie biograficznej lub inspiruje się nią. Żadnej z tych technik i metod nie stosowałam. Nie tyle prowadziłam wywiad, co rozmawiałam, a z jakich powodów były to „rozmowy”, a nie „wywiady” i dlaczego miały tak luźną strukturę, wyjaśniłam wyżej, pisząc o typach kontaktów werbalnych, które rozmówcy już znali.

Rozmowy odnosiły się do kolei losu i przypadków, jakie spotykały badanych. Doświadczenia ujmowali więc w ramę opowieści, dzieląc się historiami ze swojego życia. Zastrzegam, że „historia z życia”, „opowieść o kolejach losu”, „historia o życiu”, „opowiadanie o życiowych przypadkach”, nie są tym samym, co sposób badania przy pomocy wywoływania historii życia. Stosowali zatem formę i czynność, którą można nazwać narracją i opowiadaniem w sensie najprostszym, oznaczającym ujęcie w słowa doświadczenia rzeczywistości, komponując je według pewnego kulturowego porządku. Tylko w takim kontekście posługuję się określeniami „historia”, „opowieści”, „opowiadanie” i „życie”.

Wysłałam też z założenia, że moim zadaniem nie jest dokonywanie typologii zasłyszanych „przypadków”, by skonstruować z nich poglądowy świat bezdomności i życia schroniskowego. Typologizacje wpisują się w logikę porządkowania, która stoi za ukrytym programem pomocy. Chciałam tego uniknąć.

Jak wspomniałam, wśród rozmówców zdarzały się osoby uzależnione od alkoholu (głównie mężczyźni), zaś terapia antyalkoholowa z jej filozofią opowieści rzutuje na postrzeganie życia przez tych bohaterów i na sposób, w jaki o sobie opowiadają. Inni rozmówcy i rozmówczynie doznali przemocy i także ten rodzaj doświadczeń nazaczył ich życie i wypowiedzi, m.in. wpłynął też na techniki unikania opowiadania o takim rodzaju doświadczenia. Np. jedna z osób odnosi się do tego bardzo oględnie (młoda kobieta), a druga opisuje konkretne sytuacje, odczucia i wyłuszcza własne interpretacje przeszłych wydarzeń (mężczyzna doświadczający przemocy od swoich partnerek).

Interlokutorzy byli w różnym wieku i o różnym statusie społecznym. Ich pozycja nie zniknęła w bezdomności, lecz nadal oddziaływała i wywoływała różnice. Uderzało to wręcz, gdy lepiej poznawałam ich samych i relacje panujące między mieszkańcami placówek. Życie sprzed bezdomności przenikało i strukturyzowało egzystencję osób doświadczających tego kryzysu – odbijało się w ich opowieściach, czyli ujęciach własnego życia, stosunku do niego, w planach na przyszłość i poprzez relacje z innymi. Tym bardziej dowodzi to mojej tezy, że bezdomność nie jest „życiem na opak”, ale kontynuacją życia „poprzedniego”, tzn. jego kryzysowym etapem. Bezdomność nikogo nie zrównuje, choć system pomocy, który nią zarządza, dokonuje unifikacji i typizacji osób doświadczających bezdomności. Jest to indywidualnie przeżywane doświadczenie, które w zetknięciu z personelem, poprzez mieszkanie w placówkach i kontakt z innymi osobami w sytuacji bezdomności, przybiera dość charakterystyczne formy. Można je nazwać taktykami radzenia sobie. Zajmował się nimi Goffman (2011) oraz Jill Leufgen i David A. Snow (2004). Część z tych sposobów można rozpoznać u moich rozmówców i rozmówczyń.

Goffman wymienił cztery taktyki (2011: 67–69). Pierwsza z nich polega na „sytuacyjnym wycofaniu się”. Ma to miejsce wówczas, gdy dana osoba interesuje się wy-

łącznie własnymi sprawami, ogląda wszystko ze swojej perspektywy, nie obchodzą jej cudze problemy. To częsta postawa spotykana przeze mnie w placówkach. Lokatorzy i lokatorki deklarują też słownie obojętność dla spraw i osób innych.

Druga taktyka polega na byciu nieprzejednanym, tzn. osoba taka buntuje się, sprzeciwia i neguje zasady. Taktyka ta nie występuje prawie wcale w ośrodkach, ponieważ nie są to instytucje przymusowego pobytu. Gdy ktoś nie akceptuje reguł schroniskowych, szczególnie nakazu abstynencji od alkoholu, może się z takiego miejsca wyprowadzić i pewna część osób z tego powodu opuszcza placówki. Ma jednak miejsce łagodniejsza postać nieprzejednania, jak narzekanie na zasady i bierny opór wobec narzuconych porządków.

Kolejną taktyką jest „kolonizacja”, gdy osoba buduje swoje wyobrażenie o świecie i o sobie, na bazie i wokół życia w instytucji. Świat placówki staje się właściwym światem – pewnym i stabilnym, czasami atrakcyjnym. W ten kontekst wpisywałyby się opinie personelu na temat niektórych pensjonariuszek. Bywały określane jako „wygodne”, czyli nie dawały się zmotywować do starań o lokal, ponieważ oznaczałoby to opuszczenie placówki i zmianę życia. Pozornie, było im dobrze tak, jak żyły. Z kolei inni terapeuci podkreślali, że postawa „kolonizatorska” może być też spowodowana lękiem przed pełnym usamodzielnieniem się, gdy życie poza instytucją kojarzy się z brakiem wsparcia, jakie jest gwarantowane w miejscu profesjonalnej pomocy, co szczególnie ważne dla utrzymania się w abstynencji.

Czwartą taktyką jest „nawrócenie”. Oznacza sytuację, gdy mieszkaniec instytucji przyjmuje jej punkt widzenia i wchodzi w rolę idealnego pensjonariusza. W kontekście badanych miejsc, przekłada się to na chęć, by jak najszybciej je opuścić. „Nawrócenie” nie łamie w tym celu regulaminu, by zostać wyrzuconym – przypominam, że pobyt jest dobrowolny. Nie zadamawiają się tam jednak, mówią o miejscu z dystansem, nie potrafią zidentyfikować się z innymi osobami znajdującymi się w podobnej sytuacji. Potrafią być też wrogo nastawieni wobec systemu pomocy i jego urzędników, choć tego rodzaju „klient” jest idealny, ponieważ sam domaga się pomocy. Jego motywowanie jest niepotrzebne, ponieważ sam jest zmotywowany wewnętrznie. W ocenie osób „nawróconych”, choć system ma za zadanie im pomóc, zarazem utrudnia zmianę, ponieważ urzędy domagają się od nich kolejnych dokumentów. Ich zdobywanie, podobnie jak oczekiwanie na przyznanie lokalu, trwa. Nie pojawiają się też od ręki oferty pracy czy stażu, które dawałyby szansę na samodzielność. Pomimo że osoby wewnętrznie zmotywowane do przeprowadzenia zmiany, niecierpliwą się na wymogi administracyjne i biurokrację, współdziałają z systemem. Celem programów pomocowych jest przecież nauczenie „klienta” samowystarczalności i samodzielności. Pokrywa się to z osobistym nastawieniem osób „nawróconych”, które także spotkać można wśród ludzi dotkniętych bezdomnością.

Leufgen i Snow badali natomiast rozmaite aktywności osób pogrążonych w bezdomności (Leufgen, Snow 2004: 548–555). Były to np. tzw. aktywności „praktyczne” – materialne, podejmowane w celu przeżycia. Można je nazwać rozwiązaniami strategicznymi. Pomagały skonstruować określony obraz siebie, w tym uporządkować wiedzę o świecie, która byłaby przydatna w dostępnej rzeczywistości. Leufgen i Snow wyodrębnili także strategie tożsamościowe związane z niematerialnym (czyli duchowym i psychicznym) życiem w bezdomności. Zdaniem wymienionych badaczy, ten aspekt identyfikacji z samym sobą opiera się na trzech głównych sposobach narracyjnych o sobie samym (*identity talk*).

Pierwsza strategia polega na zaznaczaniu dystansu wobec siebie jako osoby doznającej bezdomności i swojego życia. Sens zdystansowania się wyraża postawa „mógłbym/mogłabym ci coś opowiedzieć o bezdomności, ale przecież nie jestem bezdomny/bezdomna”. Dzięki temu następuje odcięcie się od negatywnych, piętnujących stereotypów i autostereotypów.

Według drugiej strategii powinno się zaakceptować siebie i swoją sytuację jako bezdomnego, a nawet na przyjąć pozycję eksperta od bycia bezdomnym. W tym przypadku obraz siebie współgra z obrazem odbitym w oczach innych. Akceptacja tego, kim się jest, pozwala takiej osobie postrzegać siebie „w prawdzie”. To często pomocne w podjęciu decyzji o zmianie i np. wyleczeniu się z uzależnień (z tej grupy najczęściej wywodzą się członkowie AA).

Trzecia strategia to opowiadanie fikcji o sobie i swoim życiu. Powstają wówczas nierealne scenariusze, które odtwarzają nieistniejące okoliczności. Wybierając tę strategię, osoby chronią się w niej i bronią, negując swój status jako bezdomnego. Osiągają podobny efekt jak w przypadku pierwszej strategii, choć inaczej do niego dochodzą.

Leufgen i Snow zauważyli także, że sposoby opowiadania o sobie i swoim życiu rzutują na życie społeczne i relacje międzyludzkie, w jakie wchodzi osoby doznające bezdomności. Najczęściej kontaktują się osobami o podobnym im statusie. Ich relacje są oparte na warunkowym zaufaniu, a przyjaźnie są rzadkie i częściej zastępowane są doraźnymi sojuszami. Więzy przyjacielskie czy uczuciowe potrzebują do rozwoju intymności, prywatności i zaufania, co jest trudne do osiągnięcia na ulicy, w przypadkowych schronieniach czy masowych placówkach pomocy. Bieda i kryzys nie wywołują odruchu solidarności czy poczucia wspólnoty z tymi, którzy znajdują się w tej samej czy podobnej sytuacji. Sednem relacji o charakterze doraźnych sojuszy jest raczej wymiana przysług, dzięki którym, niejako przy okazji, powstaje wzajemne wsparcie emocjonalne.

Relacje ułożyłam naprzemiennie: po opowieści kobiety następuje opowieść mężczyzny, potem kobiety, znowu mężczyzny itd., ponieważ w ten sposób chciałam skonfrontować uzyskane historie o życiu przed bezdomnością i w jej trakcie, z wnioskami, jakie przytaczałam w kontekście *ugenderowania* domu oraz bezdomności. Zgadzam

się ze stanowiskiem, że owe dyskursy są zniuansowane ze względu na kulturową perspektywę *gender*, którą przyjmują kobiety i mężczyźni. Rzutuje ona na wypełnianie przez nich społecznych ról i sposób doświadczania rzeczywistości. Przekłada się również na stosunek do domu. Z drugiej strony, różnice między nimi są niewielkie i sens „domu”, jaki ujawnia się w zebranych wypowiedziach, jest im wspólny i dość spójny. Kwintesencją „domu” jest spokój, rodzina, miłość, ciepło, wspólnota i bycie u siebie. Z pewnością to bezdomność zaważyła na kształcie tego wyobrażenia i jego powszechności u badanych osób. Brak domu wzmocnił tendencje do jego idealizowania i tym silniej wybrzmiały stereotypy.

Poza tym, bezdomność u każdej z rozmówczyń i u każdego z rozmówców, jest inaczej pojmowana i przeżywana. Inne wiodły do niej drogi. Osoby te stosują różne taktyki radzenia sobie, mają też zróżnicowany stosunek do placówek, w których się znajdują. Niektórzy i niektóre potrafią dostrzec panujący w nich ukryty program, jakiemu podlegają i do tego mają równie zróżnicowany stosunek. Wydaje się, że to mężczyźni bardziej bezpośrednio negują ów system. Lecz i wśród kobiet jest kilka, które są równie świadome istnienia procedur instytucjonalnych oraz ich głębokiego sensu. Pokazują też (wydaje mi się, że bardziej otwarcie niż mężczyźni), jak same się podporządkowały i z jakiego powodu, a koszt dostosowania się równoważą spodziewane korzyści.

Historie o kolejach losu są interpretacjami rzeczywistości i sposobami uporania się z nią (por. Trzebiński 2001: 17–42). Chodzi w nich o nadanie porządku i sensu oraz o wyrażenie siebie, w tym ustosunkowanie się do samego siebie, do własnego przypadku i do życia w ogóle. Opowiadanie o sobie i życiu, „to nie tylko historia, którą snujemy, ale sposób funkcjonowania w społeczeństwie” (Burek 2013: 207):

każda opowieść na temat siebie, prawdziwa czy też od prawdy odbiegająca, jest opowieścią użyteczną, taką, która służy jednostce. Jednak przekłamania w narracji, mistyfikowanie pewnych faktów, sprawiają, że narracja okazuje się być nie tylko zwyczajnym opowiadaniem historii, ale także wchodzeniem we własne „Ja”. Jednostka bowiem dzięki autonarracji ma szansę krytycznie odnieść się do siebie samej, wybrać informacje, które chce przekazać słuchaczom, ukryć te, którymi nie chce się dzielić. Autonarracja nierzadko bywa trudnym doświadczeniem, przeżywaniem traum z przeszłości raz jeszcze. Jednak jest w niej także coś kojącego, dla czego warto ją tworzyć (ibidem: 208).

„Marta”

Ma ponad trzydzieści lat. Poznałam ją półtora roku przed tym, jak poprosiłam ją o rozmowę. Nie ma dzieci, dlatego została ulokowana w grupie innych samotnych kobiet. Pierwszy raz miałyśmy okazję porozmawiać, gdy pojawiła się na spotkaniu ze studentką prawa. Studentka działała w uczelnianej „Klinice prawa” i przygotowała

omówienie kwestii prawnych związanych z mieszkalnictwem. „Marta” opowiedziała wtedy na forum o problemie z mieszkaniem, jaki ją spotkał. Potem, gdy zagłądałam do niej, zamieniałyśmy parę zdań. Po pewnym czasie udało się jej dostać na szkolenie, a potem na staż. Gdy ten się skończył i nie pojawiła się oferta pracy, widziałam, jak z tygodnia na tydzień zmniejsza się jej entuzjazm, który bardzo wzrósł w związku ze szkoleniami i pracą. Czekala na przyznanie lokalu socjalnego, ale liczyła się z tym, że jako osoba bezdzietna będzie dłużej czekała na pozytywne rozstrzygnięcie sprawy.

Dla „Marty” dom oznacza

rodzinę. Mama wychowywała nas w taki sposób, że jednak rodzina jest najważniejsza. Tata zmarł, jak miałam dziewięć lat. [Byłyśmy] z siostrą. Siostra nic nie rozumiała z tego wszystkiego. Nie знаła go, więc nie była tak bardzo związana.

[Dom jest] tam, gdzie się wychowywałam.

Rodzice zmieniali miejsce zamieszkania. W końcu dostali od miasta mieszkanie. Mieszkanie miało być taką poczekalnią przed blokami, przed Osiedlem Y. Rodzice wpłacali do księżeczki i mieli gdzieś zaklepane mieszkanie. Po śmierci taty [...] mama straciła pracę. Przyszło wtedy do zapłaty 80 milionów. Zostałyśmy same, mama bez pracy i [...] wszystko przepadło. No i w dalszym ciągu zostałyśmy na ul. X. To była kamienica. [...] dwa mieszkania [...] połączone. [...] Umowa była taka, że to była kamienica prywatna pod zarządem administracji.

Wstęp do bezdomności:

Zmieniło się po śmierci mamy. [...] zmarła w październiku. W listopadzie chciałyśmy z siostrą jakoś uporządkować te sprawy. Moja mama była głównym najemcą. Napisałyśmy podanie, żeby to przeszło na nas. Nie było żadnych zaległości w czynszu. Czekaliśmy na odpowiedź. Odpowiedź dostałam przed Bożym Narodzeniem. Dostałam telefon, że znalazł się spadkobierca kamienicy i najlepiej, żebyśmy jeszcze tego samego dnia opuściły mieszkanie. Najpierw był telefon, że owszem, właściciel zgadza się, żebyśmy podpisały umowę i wpłaciły ok. 5 tysięcy kaucji. Oczywiście odpowiednio wzrósłby czynsz za metr. W połowie grudnia był następny telefon, że jednak nic nie da rady zrobić. [...]

Mój prawnik mówił, że niestety, nic się nie da z tym zrobić. Nie mamy tytułu prawnego do nieruchomości. Trzeba czekać, co będzie dalej. [...] Spadkobierca [...] sprzedał kamienicę. Nawet zamienili nam kluczyk i wystawił to mieszkanie na sprzedaż. Mieszkaliśmy tam jakiś czas, niestety nie za długo, bo trzeba było zapłacić 24 zł za metr. Nie miałyśmy tytułu prawnego. Przy 48 metrach wychodziło 1200 zł z opłatami. Niestety, nie było mnie na to stać. [...] zaczęło się robić nieprzyjemnie. Wyprowadziłam się. On zaoferował odpowiednią kwotę za to, żeby się wyprowadzić. Faktycznie było na to, żeby zapłacić kaucję za mieszkanie do wynajęcia i wyremontować [...] mieszkanie. Moja siostra tam została [w pierwszym lokalu, „domowym” – I.B.K.]. Po jakimś czasie odłączył jej światło. Elektrownia nie miała nic do gadania. Odłączył jej wodę. To chyba był październik zeszłego roku, sytuacja stała się nie do zniesienia i sama się wyprowadziła. Mieszka do tej pory w [...] wynajmowanym mieszk-

kaniu [drugim – I.B.K.]. Jest jej ciężko, mieszka z partnerem. Głównie to ona pracuje, ale nie wiadomo jak długo.

Ja jestem tutaj, ponieważ w pewnym momencie [...] pracy zabrakło, żeby opłacić mieszkanie. Niestety, [...] musiałam się wyprowadzić. Nie chciałam w żaden sposób żerować na właścicielu tego mieszkania. Mieszkać za darmo i te sprawy. I znalazłam się tutaj. Koleżanka powiedziała mi o tym miejscu. Była tutaj sama w oczekiwaniu na mieszkanie socjalne. Z tym że u niej sprawa wyglądała zupełnie inaczej. Bardzo szybko dostała to mieszkanie. Tutaj była zaledwie tydzień. Starła się wcześniej o [...] mieszkanie. To przyspieszyło sprawę.

[Decyzja, by przyjechać do schroniska – I.B.K.] właściwie była [...] z dnia na dzień. Przyjechałam tutaj jednego dnia. Zobaczyłam się z panią kierownik. Jeszcze tego samego dnia, jak tutaj przyjechałam. W tamtym mieszkaniu miałam swoje rzeczy. 20 grudnia opuściłam to mieszkanie, żeby nie robić kłopotu właścicielowi przed świętami. Część [rzeczy została – I.B. K.] w moim starym zakładzie pracy, takie rzeczy jak zastawa czy pościel. Mebli musiałam się pozbyć. U siostry nie [przechowuje rzeczy – I.B.K.]. Nic swojego nie mogła wstawić do mieszkania.

Jej wrażenia z pobytu w schronisku:

[Trafiła do schroniska] 22 czerwca [2013 r. – I.B.K.]. Wbrew pozorom, jeśli chodzi o mnie, to pozytywnie [ocenia ten pobyt – I.B.K.]. W końcu się wzięłam za jakieś działanie. Miewam takie chwile [załamania – I.B.K.], np. wczoraj. Tutaj pani [...] psycholog jakoś podświadomie mną potrząsnęła. Wstydziłam się trochę, byłam nieuczesana, jeszcze w piżamie. Zawstydziłam się. W zeszłym miesiącu skończył się staż. Nie było możliwości zatrudnienia w Urzędzie Wojewódzkim. Z pracą [jest] nie bardzo. Dzisiaj były takie pierwsze kroki.

Nie liczę na mieszkanie socjalne. Wiem, ile dziewczyny tutaj czekały. Czekaly cztery lata. Niektóre tutaj, inne wcześniej się starały, a tutaj przyszły, żeby przyspieszyć [...] sprawę. Natomiast nie wytrzymam tutaj czterech lat. Kiedy znajdę pracę, to planuję z dwiema dziewczynami z mojego pokoju wynająć mieszkanie. Fajnie się dogadujemy między sobą. I tam czekać. Sytuacja tutaj nie jest specjalnie ciekawa. Ludzie niestety stwarzają takie sytuacje. Zmieniałam pokój [...], osoby się zmieniają. Jedne zapiją, inne dostają mieszkanie. Odkórnie decydują o umieszczeniu tych osób. Można [wytrzymać], owszem. Akurat tutaj jest mi dobrze. Natomiast niespecjalnie się nieraz zgadzamy wśród tych kobiet. Sama zdziwiłam się, że tak łatwo mi to poszło [wejście w to miejsce – I.B.K.]. Tak łatwo się przystosowałam. Sama byłam zdziwiona.

Bardzo brakuje [...] prywatności. Bunt zdarza się czasami, natomiast bezkonfliktowy. Ja staram się być bezkonfliktowa. Wystarczy, żeby wyjaśnić sobie na spokojnie. Był moment, kiedy przez Urząd Socjalny kazano na przepustkach pisać adres pobytu [gdy wychodzą na dłużej niż dzień czy noc – I.B.K.]. Wtedy pojawił się bunt [...], nie opowiadałam o tym poza murami.

Niektóre [zakazy] są dobre, np. zakaz przychodzenia pod wpływem alkoholu czy [...] cisza nocna od 22:00. Mamy taki wewnętrzny swój regulamin. Na pewno na górze jest inny. W noclegowni jest inny i u nas jest inny [znajduje się w części dla kobiet bez dzieci]. Właśnie też się dziwię, że przystosowanie do tego nie sprawiło mi problemu. Zawsze byłam taka na przekór. Możemy dyskutować [o regulaminie]. Natomiast to są podstawowe rzeczy, np. dbanie o czystość swoją i wokół siebie.

Co myśli o swojej sytuacji:

[...] Wymusknie mi się czasem, że wracam do domu. Najczęściej w towarzystwie, które nie wie, gdzie przebywam, np. na stażu się nie dowiedzieli. Chociaż mam takie poczucie, że cieszę się, że mam gdzie wracać. Trzeba czasami skłamać. Miałam bardzo fajne towarzystwo na stażu. Bardzo fajne kobitki. Bardzo żałowałam, że nie mogę im powiedzieć. [Uważa, że okazałyby jej] na początek litość. Później nie wiem, co by było. [...] Nie wiem, czy to by było napiętnowanie. Naprawdę fajne osoby tam spotkałam. Na pewno byłaby litość. Nie wiem, co byłoby później.

Przyszłość:

[...] jest [...] stres, jeżeli chodzi o [...] wynajmowane mieszkanie. Wiadomo, że we trzy damy sobie radę [później wyjaśnia, o jakie trzy osoby chodzi – I.B.K.]. Jeżeli czynsz będzie na tyle wysoki, to zawsze któraś poratuje. Sama nie zdecydowałabym się na wynajęcie mieszkania. W każdym momencie mogę stracić pracę i w każdym momencie mogę wrócić tutaj. Na pewno nie wynajęłabym sama mieszkania. Gdybym dostała mieszkanie socjalne, chociaż nie sądzę, bo trzeba spełniać pełno kryteriów. To jest 720 zł⁵⁰. Tak, że sama bym się nie podjęła tego, żeby wynająć mieszkanie.

Z dwoma kobietami, które poznała w schronisku, zaprzyjaźniła się:

Jedna jest dłużej o rok, natomiast druga przyszła miesiąc po mnie. Niecały miesiąc. Sześćdziesięciolatka i czterdziestosześcioletka. Można na nie liczyć, zdecydowanie.

Wspierają się, co jednak je wyróżnia spośród innych:

[...] są takie osoby, które chyba się boją. Mają takie doświadczenia. Właśnie nie rozumiem tych mechanizmów tutaj, że żyje się z kimś dobrze, a w praktyce jest tak, że po zamknięciu drzwi zaczyna się. Dziwi mnie, że skąd tyle nienawiści, skąd tego wszystkiego. Zamiast przenieść to doświadczenie na coś dobrego dla siebie. Zamiast nauczyć się czegoś, to są jakieś spiny.

50 Jest to dochód, który w przeliczeniu na jedną osobę nie przekracza 80 proc. najniższej emerytury w gospodarstwach jednoosobowych (wysokość tę i proporcję ustala Gmina Miasta Łodzi: §6 uchwały Rady Miejskiej w Łodzi z dnia 6 marca 2002 r. w sprawie zasad wynajmowania lokali wchodzących w skład mieszkaniowego zasobu Gminy Łódź, Nr LXXV/1765/02, za: Robaczyński, Kosińska, Wojtczak: br.r.w., http://wpia.uni.lodz.pl/klinika/Programy_Pliki/stol/Mieszkania%20Socjalne.pdf). W 2012 r. najniższe gwarantowane świadczenie emerytalno-rentowe wynosiło 799, 89 zł, w 2014 r. – 844,45 zł. Wszystkie kwoty brutto.

O zmianie:

Dużo bym zmieniała w swoim życiu. Byłam takim niesubordynowanym dzieckiem. Bardzo tego żałuję. Dużo rzeczy żałuję. Wcześniej w ogóle w siebie nie wierzyłam. Przyszłam na warsztaty kompetencyjne i m.in. ten staż. Dali mi tam odczuć, że faktycznie się sprawdzam [...]. Czasami o tym zapominam, tak jak wczoraj. To było na plus i takie kursy. Dobrze prowadzę samochód. Jeśli się chce i jeśli jest taka możliwość [można się zmienić]. Z drugiej strony będąc w domu, nie dowiedziałabym się o takich rzeczach, projekcie czy o stażu. Pewnie bym się nie dowiedziała.

„Arkadiusz”

Ma ponad pięćdziesiąt lat. Jego historia pobytu w placówkach pomocowych zaczęła się mniej więcej trzy lata wcześniej, gdy znalazł się w jednym ze schronisk. Nie oznaczało to jednak zerwania z pracą. Opowieść o pracy i posiadanych kwalifikacjach, zajęciach i marzeniach związanych z nauką jest czymś, co wybijają się na pierwszy plan w jego historii. „Arkadiusz” posiada stosunkowo wysokie kompetencje i przede wszystkim dość stabilne miejsce pracy. Po upływie kilku miesięcy od naszej rozmowy jego życie uległo kolejnemu zwrotowi, ponieważ ujawniła się przewlekła choroba. W wyniku tego znalazł się w szpitalu. Po okresie hospitalizacji wrócił do ośrodka. Nie tracił nadziei na własne mieszkanie pomimo choroby. Wrócił też do pracy.

Dom:

Dom rodzinny to było najpiękniejsze życie, z rodzicami. Jako dziecko, [...] bo ja z domu szybko wyszedłem, w wieku dziewiętnastu lat poszedłem na swoje: po zawodowce rok, przed wojskiem. [...] W tamtych czasach było inaczej. Miałem swój zawód, miałem swoją pracę. Wtedy wynajmowałem mieszkanie na Lelewela, niedaleko, na Górnej. Ale później miałem mieszkanie na Lutomińskiej i przy Klonowej. Tam mieszkalem z rodziną – z żoną, z dzieckiem. Później zamieniliśmy się na Drewnowską. Też były fajne czasy. Było się z rodziną. No, ale się skończyło tak, jak się skończyło. To się musiało skończyć. Nie mogłem pozwolić, żeby pieniądze, które się zarabia, a druga strona nie pracuje – cztery osoby w rodzinie, a jedna pracuje, ja jak dziki osioł ciągnę, żeby pieniądze zarabiać cały czas. Ciągle było mało i mało. Chociaż nie mogę powiedzieć, bo żona pomimo że ma nałóg [jest alkoholiką – I.B.K.], miała chociaż tyle jeszcze rozsądku i logiki, że dzieci chodziły ubrane, nakarmione, kanapki do szkoły zrobione. Czyli o ten dom – nie mogę powiedzieć – dbała. Dbała też o to, żeby w gardło było co wlać jeszcze.

Pozostałe domy:

[Zanim stał się osobą] taką stuprocentowo bezdomną, wcześniej mieszkalem z przyjaciółką cztery lata i w tym czasie straciłem mieszkanie. Było zadłużone jeszcze z czasów mojego

pierwszego małżeństwa. Ciągłe było mało pieniędzy, ale na wódkę musiało jej zawsze starczyć. Moja była żona jest alkoholickou do tego stopnia, że ma czterdzieści sześć lat, a od pięciu czy sześciu lat już ma padaczkę [alkoholową – I.B.K.]. Przez alkohol żeśmy się rozwiedli. Dowiedziałem się na sprawie rozwodowej, że mieszkanie mam zadłużone na ponad 20 tysięcy. Nie podźwignąłem tego zadłużenia. Dlatego mieszkanie straciłem.

[...] Ja to już podejrzewałem wcześniej. Nakłaniałem ją, żeby, żeby coś z tym zrobiła. Chciałem ją dać na leczenie, ale ona nie, ona nie jest alkoholikiem, ona nie jest pijana. Mówię, nie, pijana to ty nie jesteś, ale w stanie wskazującym na spożycie alkoholu to na pewno jesteś. I tak było codziennie. Dyskusja, rozmowa. Kiedyś zresztą prowadziłem działalność gospodarczą. Miałem dobrze prosperującą działalność [...], sklep ogólnospożywczy, i do tego prowadziłem dla osób rachunkowość. Zatrudniałem biegłą księgową z papierami rewidenta na pół etatu. Takiej osobie trzeba było zapłacić 2,5 czy 4 tysiące prawie za pół etatu. Miałem kilkanaście firm, które prowadziliśmy razem z tą księgową. Ona robiła kadry, znaczy płace i podatki – dochodowy. Ja robiłem wszelkie księgowanie w księgach i podatki VAT, ZUS-y ona robiła już. [...] Sporządzałem deklaracje podatkowe i deklaracje podatkowe VAT, ona się pod tym podpisywała, bo uprawnienia miała, ale ja to robiłem, podliczałem wszystko. I tak jakoś prowadziłem to z tą księgową, i do tego sklep. Tam miałem jednego pracownika i pracownicę i nawet nieźle szło, ale do czasu tylko. Przy rozwodzie trzeba było to wszystko wyprzedać, polikwidować, zrobić bilans, ile, co i jak. Podział majątku i skończyło się.

[Była żona] ma przyjaciela. Ten przyjaciel ma już wątrobę rozwaloną, drugą grupę inwalidzką, jest w wieku czterdziestu pięciu lat, bo jest o rok od niej młodszy. Znam tego chłopaka, bo to był nasz kolega kiedyś. Kiedyś spotkałem jego matkę, bo i jego matkę znam dobrze. Mówię, jak tam się układa B. i P. [eks-żonie i dawnemu koledze – I.B.K.]? Machnęła ręką i mówi, że każdy ma to, co chciał. Mówię, P. chciał B. i ją wziął. Ja mam przyjaciółkę, która jest nauczycielką, ma wykształcenie wyższe, ma pracę i pracuje w Piotrkowie – jestem z nią. Szczena jej opadła.

Praca:

Moim zawodem wyuczonym jest elektromechanik samochodowy, po zawodowce. Do tego miałem w wojsku zrobione kategorie B i C prawo jazdy zawodowego. Po wojsku jeździłem na ciężkich wozach. Bez ograniczenia tonażu samochodu mogę prowadzić pojazdy samochodowe bez naczep i przyczep, czyli jednonaczepowe, tylko takie sztywne wozy mogę prowadzić. Były dwunasto-, czternastotonowce nawet. Ostatnio jak byłem w Piotrkowie z przyjaciółką, też jeździłem prawie dwa lata na scanii. To było trzynastotonowe ze spożywką. Zaopatrywałem Carrefoury, później Biedronki u prywatnego właściciela firmy. Jeździłem pod dyspozycją E. – był naszym dyspozytorem, nam zlecał, gdzie mamy jechać, w jakie dni. Nie było tak źle, ale na początku szef się ze mną umówił, że jak zrobię kurs do 300 km, będzie płacił stówę za kurs. Kilka miesięcy mi tak wypłacił. Po kilku miesiącach zaczął mi płacić 80 zł za kurs. Ścierpiałem to, ale już nie ścierpiałem, jak przyjechałem, bo baza była za Częstochową. Mieliśmy taki układ: było nas dwóch na dwóch scaniach. Mieliśmy taki układ z E., że dwa dni wcześniej dzwonił mi, że mamy mało paliwa i dawał nam kurs do Częstochowy. Z Częstochowy na pusto lecieliśmy po paliwo. Albo dawał nam kurs do Wrocławia. Także jechaliśmy na Częstochowę, odwiedziliśmy bazę i dopiero na Wrocław, żeby zatankować, a przy tankowaniu była wypłata raz w miesiącu. Więc i zajeżdżam, po

dwudziestu dwóch kursach, a on mi 1320 na rękę, czyli po 60 zł. Szef miał na imię S. Panie S, mówię, umawialiśmy się na stówę. Zaczął mi pan płacić 80 zł, ścierpiełem to, ale 60 zł nie ścierpię. Jakby powiedział, że jutro porozmawiamy... ale on mi puszcza tekst, czy to moja wina, że pan przewozi małej wartości towar? Ja mówię, panie S., nie interesuje mnie, bo ja nie wiem, co oni ładują, czy pietruszkę, czy ziemniaki, czy alkohol. Ja mogę jeździć z samym alkoholem, który jest, ma wysoką wartość. Czy wtedy by mi pan płacił 150 od kursu? Nie odezwał się. To ja idę do kabiny i nie uprzedzając go, wszystko w plecak spakowałem. Na samochodzie 12,5 tony spożywk. Samochód musi być za trzy czy cztery godziny we Wrocławiu pod Carrefour'em do rozładunku. Wychodzę z kabiny, zamykam, kluczyki mu oddaję, mówię „do widzenia panu, jadę do domu stopem”. Tak się skończyła praca u niego po prawie dwóch latach. Ale nie mogłem powiedzieć, bo u niego umowa o pracę była, prawie idealnie wszystko płacone, składki ZUS-owskie, wszystko. U kierowców nie można oszukiwać, bo w razie wypadku, gdzie jest leczenie? To są ciężkie samochody jednak. Teraz zbyt dużo kontroli jest. Nie mówię o kontrolach policyjnych, ale dopiero ze trzy lata temu Państwowa Inspekcja Drogowa wzięła się za kontrolowanie mniejszych samochodów, ale wtedy były nałożone kontrole na ciężkie samochody. Nawet jadąc z Piotrkowa Trybunalskiego, bo tam mieliśmy załadunek, do Częstochowy, były dwa punkty, gdzie non stop były kontrole. Nie było tygodnia, żebym nie był skontrolowany. Oni nie zawsze stali na tych punktach, było widać. Tak jest przed Pszczonowem, jak się leci Gierkówką do Warszawy. Są dwa pasy na Warszawę i na środku, nad trasą, jest świetlny znak, że ograniczenie prędkości do 50 km. Już wtedy kierowcy ciężarówek i osobowych wiedzą, co się dzieje. Za parę metrów jest znowu następny znak – samochód ciężarowy na znaku wyświetlony – zjechać na prawy pas. Wszystkie ciężarówki zjeżdżają na prawy pas, jest ograniczenie prędkości do 20 km i nagle 20 m za tym na pas jest wbudowana waga – samochód przejeżdża z daną prędkością. Szybciej nie może i w tym momencie jest zważony. Jak jest nie taka waga – oni już widzą, kto jedzie, jaka ładowność samochodu – ciężarówki zjeżdżają na bok i są kontrolowane. To się tak odbywa. Samochód nie stanie, jak ma swoją wagę nieprzekroczoną, czyli dopuszczalny nacisk na oś, czyli dopuszczalną wagę. Mnie raz zatrzymali, bo byli ciekawi, co wożę. Proszą o papiery przewozowe, ja mówię, dobrze. Daję. Pan otworzy – nie otworzę. Dlaczego? Niech pan pójdzie ze mną na tył. Mówię, widzi pan – plomba jest. Ma pan taką plombę, żeby zaplombować ten samochód? Ja wiem, co wiozę, natomiast nie byłem przy załadunku. Wpisano mi w firmie, co przewożę. Pan widzi, dla kogo przewożę, gdzie byłem załadowywany. Tutaj nawet kierowca nie wchodzi, tylko siedzi w kabinie, jak wstawiają towar. Jak każą mu odjeżdżać 15 m, odjeżdża się 15 m, podchodzi ochrona firmy, podchodzi kierownik magazynu, zamykają, plombują, dają kartę przewozową i są numery plomby wpisane. Pan ma tylko prawo sprawdzić, czy się numery zgadzają. Jak się nie zgadzają, czyli ja mogłem coś grzebać lub może być coś innego. A jeżeli pan chcesz to kontrolować – proszę bardzo, dzwonisz pan do firmy, przyjeżdża inspektor z firmy i przy tym inspektorze tylko może być odpłombowany samochód. Ale musi pan wziąć pod uwagę to, że ja będę stał, a agregat będzie chodził, bo to jest żywność, jest 20 stopni ciepła, muszą to chłodzić cały czas do 3 stopni, utrzymywać temperaturę. Za paliwo inspekcja drogową musi mi zwrócić, mówię. Za moje godziny pracy, postojowe też, bo mi tego firma nie zapłaci ani mój szef. Sprawdził numery plomby i dziękuję, do widzenia, wszystko się zgadza. W hipermarketach tak właśnie jest. Tam kierowca nawet nie wchodzi na magazyn. Nie patrzy, jak jest ładowane. Plomby i dziękuję. Następnie mam dwa sklepy przykładowo. Zajeżdżam na sklep, komisjynie magazynier otwiera plombę przy mnie. Biorę kartę przewozową, bo ja odpowiadam za towar na samochodzie. Ja go wyładuję z samochodu i z karty

przewozowej widzę numery palet, tylko numery – odnajduję je i wystawiam. Wstawiam puste palety, jak mają na wymianę na bok, bo jeszcze jest towar na inny sklep. Zamykamy, plombuje mi magazynier, wpisuje swoje plomby, które założył i jadę na drugi sklep. Na drugim sklepie to samo. Wkładają mi palety po zabraniu towaru i plombują samochód, żeby się plomby zgadzały, gdy przywożę im palety, bo to jest majątek firmowy. I w momencie, kiedy odjeżdżam z ostatniego sklepu, magazynier dzwoni na magazyn w Piotrkowie, że wyjechał ten i ten samochód. I czas jest obliczany, np. z Warszawy do Rokszyca pod Piotrkowem Trybunalskim, że to trzy godziny. Zbliża się do trzech godzin, mam telefon, gdzie jestem z samochodem, za ile pan będzie, dlaczego pan tak długo jedzie. Mówię, że w Jankach czy w Warszawie miałem korki, to, tamto, nie mogłem rozwijać takich prędkości, jakie są dopuszczalne. A jaka jest średnia? 50 na godzinę. I że jestem pod Piotrkowem, za 15–20 minut będę. Jest ścisła kontrola. Jak się nie ma wykresu, to telefon i dzwonią.

[...] A gdy trafiłem do schroniska na koniec lipca, dwa–trzy lata temu, miałem wtedy inną pracę. Umowę o pracę, co tydzień z agencją pracy tymczasowej. Pracowałem tak chyba z miesiąc [...], na produkcji ześmy składali zestawy komputerowe dla Della, na wysyłkę. Oni zapotrzebowanie mailowe przysyłali do kierownictwa [agencji pracy tymczasowej]. Kierownictwo dawało to na taśmę i [...] było składane. Wysyłane to było do Della ciężarówką. Było takich zestawów kilkaset dziennie. [...] szło wszystko taśmowo. Trzy taśmy były i składało się to. Później, po miesiącu, po całym lipcu pracy, w sierpniu były zastoje. I wtedy pierwsze zatrudnienie mieli pracownicy stali, a my, pracownicy [tymczasowi – I.B.K.] na telefon: pan dzisiaj nie przychodzi, pan jutro nie przychodzi. W końcu się wkurzyłem. [...] teraz nie mogłem iść się zarejestrować w pośredniaku. Mówię, pójde umowę zerwać. Z kierownikiem schroniska rozmawiałem, że mam taką pracę i z niej rezygnuję, bo nie mam godzin. No i kierownik mi odpowiedział, że tutaj jest taka grupa, gdzie w „Przełam bariery” [chodzi o udział w programie przeciwdziałania wykluczenia – I.B.K.]. [...], jeszcze było miejsce. Przyszedłem do pani G., przyjęła mnie do grupy. To był wrzesień. Grupa szła od maja, miałem sobie wybrać dwa kursy, które chciałbym odbyć. Wybrałem kurs samodzielnego księgowego drugiego stopnia i wybrałem [na] staż urząd miasta. [...]. Pracowałem w terenie. Czyli obsługiwałem mieszkańców [...] w domach. Zanośiłem im decyzje na podległe im nieruchomości [...]. Później dwa miesiące pracowałem pod kierownictwem pana kierownika Z. [...] Też roznosiłem w terenie decyzje na działalność gospodarczą, bo to był taki okres, że do 15 grudnia trzeba było zmienić wpis do działalności gospodarczej. Jak tam we wpisie jest określenie dział cyfrowy z katalogu polskiego, było określenie działalności wypisania koło tej cyfry, co to jest [...]. Jaki to jest zakres działalności. No i ci przedsiębiorcy musieli to odebrać do końca lutego. Ale to była decyzja już z tym katalogiem z Unii Europejskiej – unijnego. Zakresy działalności gospodarczej były według katalogu Unii Europejskiej. Był przymus wymiany pewnego terminu. A ci, co zapomnieli odebrać, to ja to zanośiłem. No i później jak to się skończyło, na ostatnie dwa miesiące trafiłem do referatu ogólnego, pomagając koledze obsługiwać [...] kserokopiarki i drukarki, w zależności ile tego trzeba było przekserować albo wydrukować. Jak mniejsze ilości – to na kserokopiarce. Jeżeli duże ilości, to były dwie takie potężne drukarki. Wyrzucały w granicach trzystu wydrukowanych dokumentów na minutę. Ten papier aż fruwał. Jeszcze nie zdążyło upaść, a już na nowo wychodziło. No i potem [kiedy już skończyła mu się pierwsza umowa w urzędzie – I.B.K.], nie było [więcej – I.B.K.] takiej możliwości [...]. I w międzyczasie mi się tutaj trafiło. No więc od razu do niego [kierownika Z. – I.B.K.] telefon wykonałem. Mówię, panie kierowniku, jest możliwość, że mogę do pana przyjść na staż za darmo. Będę pracownikiem urzędu za darmo. Będę miał wypłatę płaconą z funduszy unijnych, przez stowarzyszenie. Mówi,

to załatw dokumenty, wszystko. I tak od 15 października 2011 r. wróciłem z powrotem do urzędu. No i od tamtej pory tak pracuję. Staż mi się skończył jakoś w lutym, dwa miesiące byłem na bezrobotnym, no i po dwóch miesiącach wróciłem, no i od tamtej pory mam taką umowę: pół roku – wracam na bezrobocie, na kilka dni i wracam do urzędu z powrotem. Bo tutaj też moja wypłata nie idzie z pieniędzy, które zbierze gmina do budżetu, tylko z pieniędzy, które przeznacza [się] na walkę z bezrobociem. To idzie z budżetu państwowego, a nie gminnego. Czyli inne pieniądze. No i tak pracuję do tej pory jeszcze. A tutaj trafiłem dzięki właśnie temu, że ten kurs [na biegłego księgowego – I.B.K.] miałem taki potężny i powiedziałem, nie wyrobię, nie ma tam warunków [w schronisku X – I.B.K.], żeby się uczyć. [...] No i pani R. poleciła mnie, żeby pan kierownik wziął mnie w pierwszej kolejności [do lokalu readaptacyjnego – I.B.K.]. Od razu dostałem telefon, dwa dni po tym, jak dzwoniłem i z panią R. porozmawiałem, i uzgodnił ze mną kierownik tutaj, że przyjdę, jak dostanę pierwszą wypłatę za staż. Przyszedłem tutaj 7 czy 8 listopada, teraz będzie dwa lata. Od tamtej pory jakoś daję sobie radę. Nawet to, że byłem na bezrobotnym te dwa miesiące, to sobie tak dorobiłem troszkę. [...]

Coś mi się o uszy nieoficjalnie odbiło, że jeżeli zostaną wszystkie punkty informacyjno-kancelaryjne wyremontowane we wszystkich oddziałach obsługi mieszkańców na dzielnice, to jest wtedy możliwość, że podpisane zostaną z nami umowy stałe już. Bo tutaj też mamy umowę o pracę z urzędem podpisaną. Mamy wszystkie świadczenia, normalnie, jak pracownik. W tych samych terminach mamy dodatek, kiedyś to się nazywało „wczasy pod gruszą”. Teraz to jest refundacja wypoczynku. Tak samo mamy dodatek tzw. karpiowy na święta. Tylko mamy trochę niższy, bo jak stały pracownik ma 400 czy 350 zł na rękę, to my mamy te 250 na rękę. No i trzynastą pensję też mamy normalnie. [...] Zawsze te kilka złotych wpadnie. To są jakieś tam pieniądze dodatkowo. Nie należymy do kasy zapomogowo-pożyczkowej. Nie należy nam się tzw. fundusz remontowy na remont mieszkania. Teraz się ubiegam, właśnie idę we wtorek czy w środę do okulisty, po receptę na okulary, bo mi się należy dofinansowanie do okularów też jako pracownikowi, który wykonuje minimum cztery godziny pracy przy komputerze. [...] To są te przywileje stałej pracy państwowej. Gorzej jest z mieszkaniem, bo złożyłem wnioski i czekam na odpowiedź. Zresztą tak porozmawiałem z panem radnym K. [...] i przyjmie zaproszenie, żeby przyjść tutaj do nas na spotkanie z nami. Będzie doradzał tutaj kolegom i koleżankom, jak załatwiać mieszkania. Ja mam nadzieję, że jak będzie teraz [...] komisja Rady Miejskiej do spraw rozpatrywania wniosków o przydział mieszkań z zasobów gminy Łódź – mnie to już obejmie. Wszystkie dokumenty, które urząd wymagał, dostarczyłem i zobaczymy, jak to będzie. Z pół roku może, może góra do następnej wiosny, już bym stąd wyszedł na swoje.

Powyższe plany przecięła w pewien sposób choroba i to ciężka, z możliwościami nawrotu, wymagająca długotrwałego leczenia. Jednak dotychczasowa praca i uregulowana sytuacja finansowa pomogły „Arkadiuszowi” uporać się np. z innym obowiązkiem – alimentami. To ważna kwestia w przypadku mężczyzn bezdomnych, ponieważ niewywiązywanie się z tej powinności bardzo często przecina kontakty z dziećmi. O byciu dłużnikiem funduszu alimentacyjnego i własnych dzieci nie mówi się. To sprawa wstydliva (?), tym bardziej że niektórzy ojcowie, zalegający z opłatami, mają na koncie wyroki za tego typu długi (w zawieszaniu i nie tylko). Jednak „Arkadiusza” to nie dotyczy:

Już mi się wszystkie sprawy zaległe finansowe uregulowały. Wyprostowały mi się przez te dwa lata, jak tutaj jestem. Spokojnie mogę z alimentami, bo córkę mam dorosłą, bez stosunku alimentacyjnego. Mam syna młodszego, ma siedemnaście lat i poszedł do technikum, pięć lat skończył, to mam stosunek alimentacyjny, płacę już na bieżąco, bez zaległości, bez niczego. Czyli już mogę sobie spokojnie wyjść na swoje mieszkanie, żebym tylko dostał to mieszkanie.

„Arkadiusz” nie jest alkoholikiem, jednak alkohol w życiu kobiet, które poznawał i nadal są mu się bliskie, psuje ich wzajemne relacje:

W międzyczasie [od rozstania z żoną – I.B.K.] mieszkalem w P. z przyjaciółką. No, tam też mi się nie ułożyło, [ale] do tej pory się spotykamy raz czy dwa razy w miesiącu. Szanujemy się, ale musiałem od niej odejść, bo ożeniła dwóch wspaniałych synów. Ożeniła ich, a oni jak weksel bez pokrycia wrócili do niej z powrotem. Żony ich wyrzuciły, bo są alkoholikami. I ciągle jej robią awantury [przyjaciółce, ich matce – I.B.K.] i jak przy mnie to było, to nie wytrzymałem. W końcu, nie, mówię. Albo się pozabijamy, bo ja nie mogłem patrzeć na to. Nie miałem ani matki, ani ojca [i] nie mogłem patrzeć na to, że ktoś nie szanuje własnej matki, a tym bardziej kobiety, którą kocham. Nie mogłem na to pozwolić. Powiedziałem jej, że wracam do Łodzi. [...]

Także potoczyło się tak czy inaczej. Zobaczymy – życie pokaże. Umawiamy się, jak mieszkanie dostanę tu w Łodzi, to ona w przyszłym roku już dostanie trzydziestopięciolecie i z kartą nauczyciela będzie mogła przejść na rentę nauczycielską, i może razem zamieszkamy. Ona już jest na tym etapie, że od jutra wynajmuje sobie inne mieszkanie, żeby tylko z tymi synami nie mieszkać. [...] już w zeszłym roku wynajmowała dwa czy trzy miesiące mieszkanie i wróciła. Mówię, nie wracaj tam, bo będziesz miała jeszcze gorzej. No, ale wróciła i przekonała się na własnej skórze, że tak jest, że jeszcze gorzej. [...] Jak to matka, serce boli. To nie są dzieci z pieluchami, ale stare chłopcy. trzydzieści dwa, trzydzieści jeden lat, mają i szkoły skończone, powinni pracować. Jeden piękną karierę w policji robił. Był nawet dowódcą [...]. Źle miał? Osiem lat już pracy miał. [...] Dwa lata temu go wyrzucili za alkohol, dyscyplinarnie. Ile trzeba pić, żeby z policji wyrzucić za alkohol? Policja ma pod Warszawą [...] szpital do leczenia uzależnień alkoholowych. Próbuja tych ludzi uratować, [...] od alkoholu odciągnąć, żeby wrócili do służby, no i on był tam dwa razy i trzeci raz powiedzieli nie, dziękujemy panu. Bez prawa do emerytury policyjnej już miał. On miał kursy porobione. Jeden kurs, dwa kursy robił przy mnie. Jeden trwał pięć miesięcy. Drugi [...] prawie rok. Potężne kursy, w przeciągu miesiąca czasu miał pięć czy sześć dni wolnego na kontakt z rodziną – z żoną, z dzieckiem. Czyli dwa razy w miesiącu mógł wziąć po trzy dni albo raz na cały tydzień przyjechać do rodziny. I miał za to dobre pieniądze płacone, tak jakby pracował. Policja w niego zainwestowała [...]. Miał już inspektora [...].

Powody, dla których znalazł się w placówkach dla bezdomnych, „Arkadiusz” przedstawia poniżej. Co ważne, sam zwrócił się o pomoc. W jego ówczesnej sytuacji wydawało się to racjonalną decyzją. Dążył i dąży do uporządkowania swojego życia, czyli – jak sam często powtarzał – „ułożenia go” sobie:

Na początku [po wyprowadzce od przyjaciółki z P. – I.B.K.] wynajmowałem mieszkanie, ale nie podzwignąłem tych kosztów, bo ta praca raz była, raz nie była. W końcu idę [do schroniska X] i jakoś może mi się to ułożyć. I na szczęście mi się to ułożyło. [...] Mój kolega powiedział [o schronisku – I.B.K.], bo obok mieszka z przyjaciółką. Ja się go pytałem, on mówi, chodź, pójdziemy, porozmawiasz, uzgodnisz termin, co i jak. Poszedłem, akurat do takiego opiekuna. Z nim porozmawiałem, zapisał moje nazwisko. Uzgodnił ze mną termin, jaki jemu pasuje i mnie do przyjęcia, żeby miejsce naszykować, no i mnie przyjęto. [...] Miałem zapłacone [za wynajmowane mieszkanie – I.B.K.] do 20 lipca i chciałem jak najdłużej w tym mieszkaniu być, bo miałem opłacone. Czyli 20–21 lipca szedłem dopiero [do schroniska – I.B.K.]. [...]

Część rzeczy zostawiłem u córki, w szafie. Drugą część u siostry. To, co najwięcej potrzebne, ubrania, wziąłem ze sobą.

[...] były różne sale. Sześciu-, dwunastoosobowa. Nas była dwunastka. Było ciasno, ciasniej jak tutaj. Syf, smród, co będę mówił. Tam nas było ze stu czterdziestu paru mężczyzn. I siedmiu czy ośmiu niepełnosprawnych na korytarzu. Można sobie wyobrazić! [Pamiętał mężczyznę, który udawał chorobę – I.B.K.] jak na papierosa, to wstawał, a jak do ubikacji, to robił pod siebie. Był ganiany przez wszystkich mieszkańców i opiekunów. [...]

Były dyżury robione salami. Cała sala ma dyżur, czyli cała dwunastka sprząta. Sprzątają ci, co są. Ci, co byli w pracy, to byli w pracy, a ci, co nie byli w pracy, nie było mowy, że mają przyjemności na mieście, nie. Najpierw obowiązki, potem przyjemności. Jest dyżur – masz być na dyżurze. Jak nie możesz być, to tylko cię wytłumaczy praca lub choroba.

Swoją salę każdy musiał zrobić. Natomiast tam, wewnątrz, trzeba było umyć cały hol, schody. W kuchni porobić i na jadalni porobić porządek. Na zewnątrz poomiatać wszystkie chodniki, śnieżyce czy nie. Od godziny 18:00 do 19:00 jest sprzątanie, cała sala sprząta obiekt, wszystko i przekazuje się o 19:00 dyżur następnej sali. I jak coś nie pasuje, trzeba jeszcze poprawić. Przejmują dyżur i dalej dyżurują oni.

[...] Jestem osobą ugodową. Nie donoszę, nie skarżę, lubię się z każdym dogadywać polubownie i tam też nie było tak źle. [...]

Widziałem, jak przychodzili podpicci, albo jak zza winkla gdzieś pili wódkę z gwinta. Mnie to aż ciarki chodziły. Wchodzi się trzeźwym, nastaje cisza nocna, opiekun gasi światło, zostaje tylko to światło nocne, całodobowe, przyciemnione. Wstawali i w łóżkach z gwinta. Mnie to aż ciarki chodzą, jak to wspomnę, bo ja nie mam problemu alkoholowego i na szczęście nie miałem i [...] nie ciągnie mnie do alkoholu. Jak chcę sobie tam wypić piwo czy po kieliszku, kieliszek wódki, to jadę sobie do przyjaciółki, kupimy sobie to wino czy setkę na cały wieczór. Drinka sobie zrobimy, posmakujemy i następnego dnia bez alkoholu, drugiego dnia bez alkoholu. Drugiego albo trzeciego [dnia] wracam do Łodzi w spokoju. Nie mam problemu z alkoholem. Nie miałem nigdy, na szczęście. No i się wystrzegam, żeby go nie mieć [...].

W ośrodku przebywa w tym samym pokoju od początku, zmieniali się tylko jego sąsiedzi:

Mój były współlokator nie żyje. Zmarł na moich oczach. Taki W., świętej pamięci. Starszy facet, siedemdziesiąt dwa czy siedemdziesiąt trzy lata miał. W zeszłym roku zmarł. Przeszedłem z pracy, patrzę, a on siny, blade. Tutaj było jego łóżko postawione. Pogotowie wezwałem – on nie chciał – ja wezwałem pogotowie. Koledzy mi też pomogli. Przyjechały dwa zestawy reanimacyjne, dwie karetki, jedna po drugiej, bo dwa razy było wzywane po-

gotowie. No i próbowali go odratować, ale nie udało się. Chorował na żylaki, miał umówionego lekarza, naczyniowca. Jakoś w sierpniu zmarł. Koniec lipca, początek sierpnia. Teraz rocznica jego śmierci będzie, a we wrześniu miał mieć wizytę. Tam było niedokrwienie serca – lekarze orzekli po reanimacji. Facet starszy ode mnie, a żeśmy żartowali, śmiali się, prawie dziesięć miesięcy w jednym pokoju. On znał moje problemy, ja jego. No, ale cóż, takie jest życie.

[Potem] przyszedł M. Mieszkał obok. [Kierownik domu] na spotkaniu społeczności powiedział, czy ktoś jest chętny, żeby przyjść do mnie mieszkać, bo przeżywałem to i ten M. w przyszedł. W styczniu poszedł na swoje mieszkanie. No i po nim przyszedł Z. Od stycznia [tu] jesteśmy.

Pobyt w placówce – zamieszkiwanie i gospodarowanie:

Tapczany były wymieniane – obydwa. Były już stare. Żeśmy z kierownikiem porozmawiali i dali nam tutaj [TPBA] pięć czy sześć tapczanów. Nie są nowe, bo są po likwidacji domów dziecka czy jakiegoś domu opieki społecznej, ale w miarę ładne, zadbane i czyste przede wszystkim.

Tutaj nie ma, czy to jest moja część czy nie. Z tej jednej półki korzysta Z., a w tej szafie i w tamtej ja mam swoje rzeczy. On ma tą całą szafę, ja mam tam tylko jedną półkę na dokumenty. Dogadujemy się, gdzie komu wygodniej. Jestem osobą ugodową, Z. tak samo, a chłopaki mówią, że nasz pokój z tych czterech pokoi dwuosobowych jest chyba najwięcej zgrany. Tak mówią, słyszałem. Jak jest mój dyżur, to Z. mi pomaga, a jak jego dyżur – ja jemu pomagam. Gdy ktoś robi w pojedynkę dyżur, to robi w dwie i pół godziny czy ponad dwie godziny, a my we dwóch robimy jeden dyżur wspólnie i robimy w półtorej godziny, a jest posprzątane tak samo, jakby to robiła jedna osoba ponad dwie godziny. Na swoim dyżurze robię łazienkę, kuchnię, myję podłogi. Z. mi tylko zamiata podłogi. Jak jest Z. dyżur, to on zaczyna od zmiatania podłóg, a ja mu sprzątam łazienkę, kuchnię. On przez ten czas pozamiata podłogi. Wchodzi i myje podłogi później i to idzie piorunem. Zaczynamy o 21:00, zaczynamy dyżur i o 23:00–23:15 mamy koniec, już posprzątane, porobione. Wszyscy tak mają, żeby między 21:00 a 23:00 dyżur był skończony. Tak często mamy dyżury, ile osób jest. Nas jest dziesiątka. Do dzisiejszego dnia było nas dziesięciu, bo T. odchodzi od dzisiaj. Czyli co dziesięć dni jest dyżur. Jednego dnia jest dyżur wewnętrzny, a drugiego dnia dyżur zewnętrzny [ulica przed posesją i podwórze]. Czyli trzeba pozamiatać listki, ale najgorzej jest zimą – trzeba odwalić śnieg. Cały dzień namachać się. Jak ktoś pracuje, to rano przed pracą musi się namachać po nocy i po pracy przychodzi i musi się namachać znowu. Ale często pomagamy innym. Gdy ktoś nie pracuje albo pracuje po południu, a widzi, że w południe już zasypało, to odśnieży tyle, co może. Później przychodzi ci, co pracują po południu – widzą, że komuś nasypało, kolega dochodzi i pomaga. Ja też innym pomagam. Jeżeli są duże opady śniegu, tak było w tym roku, zawsze się pomagało. Tak samo jak węgiel jest przywożony, to nie ma, że wrzuca ten, co ma dyżur zewnętrzny. Ci, co są w domu, wrzucają węgiel. Jak jest jeden, wrzuci jedną trzecią czy połowę. Następni przychodzą po pracy i wrzucają resztę, zamiatają, żeby nie było śladu po węglu. Zimą za długo nie może leżeć, bo w każdej chwili może sygnąć śnieg i będzie mokry.

[...] U nas jest tak, że jak ktoś pracuje, to sprząta dzień wcześniej. Wieczorem sprząta. Później następnego dnia idzie do pracy, przychodzi z pracy i dyżur po sprzątaniu wieczornym polega na tym, że się sprząta i myje naczynia, wszystko się stawia na suszarkę, a dyżurny,

jeżeli są już suche naczynia, chowa je, składa, układa. Z kosza wyjmuję worek ze śmieciami, patrzy na górę w toalecie na drugim piętrze, w tej toalecie ogólnej dla gości i stamtąd też się wyjmuję śmieci, jeżeli są. Z palarni się wyrzuca pety do worka i wynosi na zewnątrz. Wtedy jest koniec dyżuru. Później przekazujemy dyżur. Tutaj jest wspólne zaufanie – to, że każdy przykłada się, robi. Jeżeli ktoś zrobił dyżur nie tak, mówi się na spotkaniu. Raz, drugi raz, trzeci raz można powiedzieć to w oczy takiej osobie, ale jak robi te same błędy, to już na ogólnym.

W tym roku miałem przepuklinę. Byłem naprawdę na tyle chory, że nie mogłem, mnie tu nie było dwa tygodnie, bo byłem u siostry pierwsze półtora tygodnia po operacji. Przyszedłem po operacji i powiedziałem panu kierownikowi domu, że jestem po przepuklinie. Zresztą on wiedział, gdzie ja jestem, co i jak, dlaczego. Powiedział mi, żebym pokazał zaświadczenie od lekarza, no i jestem zwolniony i nie było sprawy. Byłem w grafiku cały czas, a koledzy robili za mnie. Bardzo dużo mi pomagali. Mówię, nie będę nic nie robił, będę sprzątał, ale niech mi ktoś pomoże dźwignąć wiadro, przesunąć, to jest jednak 8–9 kg. Zaraz po operacji tyle nie mogę dźwigać. Pierwsze trzy miesiące były najgorsze dla mnie, ale koledzy mi bardzo pomagali i to muszę powiedzieć szczerze. Tutaj zawsze jest tak, że jak ktoś jest chory, to jeden za drugiego weźmie dyżur.

[...] Ostatnio malowanie z Z. zrobiliśmy, w ten ostatni, długi weekend. Było Boże Ciało dwudziestego szóstego czy ósmego. Było wtedy cztery dni wolnego. Ja sobie wziąłem urlop w pracy i tak machnęliśmy to w trzy dni. Później na dwa dni pojechałem, bo miałem chyba około tygodnia wolnego. Później na trzy czy cztery dni pojechałem do S. do przyjaciół.

[...] Kolor taki, bo mnie się spodobał [fioletowy]. Myślałem, że będzie trochę ciemniejszy, ociupinkę, ale nie. A tu sobie wyszedł taki jaśniutki wrzos. [...] Nie trzeba oblepiać ścian, żeby nie zalać białą, a później nie trzeba oblepiać znowu sufitu, żeby nie zjechać kolorem ze ścian. A czasu za dużo nie mieliśmy. Mieliliśmy na to dwa–trzy dni, żeby to zrobić. Żeby wszystko wynieść z pokoju, zaszpachlować wszystkie pęknięcia. na suficie, na ścianach. Wszystko ładnie zaszpachlowane, wygładzone, ręcznie zacierana była ściana, sufit, wszystko. Później unigruntem, dwa razy farbą. żeby nie poprzebijało. Stara farba, to był niebieski kolor. Tutaj to było tak: ta jedna ściana i ta druga ściana, gdzie jest łóżko Z., była zielona. Tamta była znowu niebieska. A to już było tak brudne, że od początku, odkąd jest ten ośrodek, chyba nie było malowane, jak za pierwszym razem. Ściany były szare, brudne. Teraz pokój jest ładnie odświeżony. Jeszcze tylko zostaje nam drzwi odświeżyć jeszcze, jak kolega umaluje palarnię na dole, pan [kierownik] załatwił farbę do palarni i jak ona zostanie, to wtedy.

[...] Zdjęcie na ścianie zostało – po poprzednikach. I obrazek święty też. Po tamtym i to już zostanie w pokoju. [...]

Meble są ze stowarzyszenia, z ośrodka. No, też są nie za świeże. Np. szafa z tyłu nie ma ścianki. [Meble] są zniszczone już, bo to się przestawiało wiele razy.

Telewizor w spadku po koleźce W., świętej pamięci, to po nim nam został. Wideo jest Z. Moje to, co się do torby zmieści i co w szafkach jest. Bo gdy kupię meble, to gdzie je wstawię? Jest suszarnia, ale jest zajęta. Są dwie lodówki, chyba jakaś pralka czyjaś stoi, co też się wybierają na mieszkanie i może niedługo odejdą. Powoli sobie też kupują.

Plany i marzenia:

Mam grupę inwalidzką, którą [...] wywalczyłem. Dzięki tej grupie inwalidzkiej też się dowiedziałem od kadr, że u nas w urzędzie osoby w moim wieku, jeżeli na pra-

cach publicznych będą pracowały cztery lata [jak on, dzięki wejściu w specjalny program unijny – I.B.K.] i w międzyczasie przekroczą próg pięćdziesięciu lat, to wejdą w program 50+. A pośredniak przede wszystkim pilnuje tych ludzi, żeby dostawali szybko pracę, którzy mają grupę niepełnosprawności, tak jak ja mam. Pani z kadr mówi [do mnie], na spokojnie pan wejdzie w 50+, a nawet jak z 50+ się rząd wycofa, bo będzie bezrobocie niższe, jeszcze ma pan ochronę ze względu na grupę inwalidzką, że pan zawsze będzie miał zatrudnienie i do nas kierowany z powrotem pan będzie. W najgorszym przypadku czeka mnie do emerytury takie chodzenie, [czyli – I.B.K.] co pół roku do pośredniaka i z powrotem do urzędu, ale do emerytury wszystko idzie, to jest najważniejsze. I zobaczymy, może jeszcze zdrowie pozwoli. W tym roku to nie, ale zamierzam maturę zrobić i tego średniego wykształcenia, dyplomowe tylko [mam] i myślę, może jeszcze na studia podskoczyć sobie po maturze? Wie pani, obcy język jest obowiązkowy. Chyba że rosyjski wezmę, bo innego ni w ząb prawie. A rosyjski też będę musiał tak nauczyć się, jak na maturę. Bo to już dziesięć lat ponad, jak zakończyłem jakąkolwiek naukę wieczorową i liceum. No, ale zobaczymy. Motywacją jest to, żeby mieć pracę, awans. To po pierwsze, a po drugie, teraz często się ukazują ogłoszenia o pracę w biuletynie informacji publicznej z urzędu, ale [jest potrzebne] wykształcenie wyższe. Podinspektor czy inspektor musi mieć wykształcenie wyższe, a referent czy młodszy referent – średnie, ale takich stanowisk już nie ma. Raz tylko widziałem ogłoszenie na referenta, ale miałem pecha. Aplikowałem na to. Dano mi odpowiedź, że zaproszony jestem na rozmowy kwalifikacyjne, a ja wtedy byłem po operacji. I w ten sam dzień o tej samej godzinie, co były rozmowy kwalifikacyjne z kandydatami, miałem wizytę u chirurga – pierwsza wizyta kontrolna po szpitalu, po operacji. Musiałem iść, nie mogłem tego odpuścić [chirurga – I.B.K.]. Nie było takiej możliwości, żeby przełożyć [rozmowę o pracę – I.B.K.]. Był sztywno powiedziany termin, że o tej i o tej godzinie na rozmowę, dziękuję, a jak nie, to pana odkładamy. No i życzyli mi szczęścia, żebym nadal obserwował ogłoszenia i aplikował. Przecież wiadomo, że jak zobaczyli zgłoszenie – aktualna umowa o pracę z urzędem, pracownik urzędu – czyli, że już się zna na tym. Tym bardziej, że miałem już staż prawie dwadzieścia miesięcy wszystkiego razem. No, ale nie mogłem. Musiałem wybrać [...]. Zobaczymy, co będzie dalej. [...] Ja sobie wolę np. pieniądze na konto. Założyłem lokatę sobie w nowym banku. Dostałem w promocji 8 proc. na trzy miesiące. Wpłaciłem następne 3 tysiące, co mnie było stać z zaoszczędzonych pieniędzy. Teraz na koncie oszczędnościowym wkład 3,5 proc. w promocji przez najbliższy rok od otwarcia konta. Muszę się zabezpieczać finansowo, bo jak gmina da mieszkanie, to po takim remoncie za najniższe pieniądze. Okien nowych nie wstawią, tylko odmalują, uszczelniają. Trzeba by sobie nowe okna i nowe drzwi powstawić. Pralkę, lodówkę sobie kupić, prysznic zrobić. A to kosztuje, tak podejrzewam, że w 10 tysiącach może się zmieścić. Najlepiej, jakbym dostał ze dwa pokoiki małe. Jeden pokój by był z aneksem kuchennym, z możliwością zrobienia toalety czy prysznicza do tego jeszcze. I w 10 tysiącach może bym się zmieścił. Wiadomo, że jak będzie toaleta, wstawią najgorszą wannę, a trzeba zrobić będzie sobie prysznic, nowe sobie wstawić. Wiadomo, że ten kibel będzie używany czy odświeżony, czyli trzeba będzie nowy kupić. Nowe meble do aneksu kuchennego, do pokoiku – zobaczymy. Ja marzę sobie o takich dwóch niewielkich pokojkach. Jeden z aneksem kuchennym, gdzie mógłbym przyjąć sobie dzieci, jak przyjdą w odwiedziny z wnukami. Drugi – żebym miał taką sypialnię dla siebie. Byle w Łodzi, z zasobów gminy Łódź. Wiadomo, że na Widzenie nie dostanę, bo już wiem. Dostanę albo Polesie, albo Górną lub Bałuty. Na Polesiu składałem wniosek o przydział mieszkania. Na Górnej przebywam na razie. Na Bałutach miałem ostatnie zameldowanie. Są brane pod uwagę te trzy dzielnice. Lokalizacja

mniej więcej tam, w których dzielnicach się najczęściej przebywało, bądź ostatnie miejsce zameldowania, bądź ostatnie miejsce przebywania. Mam możliwość jeszcze, że w urzędzie pracuję na Polesiu, to może jeszcze być Polesie. [...]

Ale nie wiem, czy ja sześćdziesiątki dożyję, bo u mnie rodzina jest krótko żyjąca. Tata zmarł, mając pięćdziesiąt sześć lat. Jego mama zmarła mając niecałe sześćdziesiąt lat. Moja matula zmarła, gdy sześćdziesiąt lat miała. Przeszła na emeryturę od stycznia, w kwietniu zmarła, tydzień po papieżu, w piątek równo. Mało tego, to już tak: jedną chorobę, którą miała moja babcia, nabyłem w wieku dwudziestu pięciu lat – jestem po wylewie. Dochodzą teraz jeszcze inne rzeczy i inne leczenie jeszcze. Kręgosłup po matuli mi siada. Tak liczę – średnia wieku mojej rodziny. W statystyce jest tak. Matuli siostra umarła na raka – to jedna. Druga leczy tarczycę, tarczycza też jest rakowa. Moja siostra już po usunięciu tarczycy, matula na raka. Do lekarza, jak poszedłem, mówię, daj mi, pani, skierowanie na te badania wykrywające raka. Ona się pyta, dlaczego? Ja mówię, bo jest taka i taka sytuacja u mnie w rodzinie. To są najbliżsi krewni. Matula, mojej mamy siostra. Lekarka mówi, to następnym razem, jak pan przyjdzie do mnie, dam skierowanie do przychodni genetycznej, czy jestem w jakimś stopniu zagrożony rakiem. Ponoć mówią, że zagrożone genetycznie jest zawsze jedno dziecko. A nas była trójka. Mojej siostry nie znam. Bo bym miał starszą siostrę półtora roku. Zmarła na zapalenie opon mózgowych. Natomiast ta siostra, młodsza trzy lata ode mnie, ma zmienną tarczycę. Miejmy nadzieję, że mnie to ominie, bo dwie [inne] choroby rodzinne mam.

„Hanna”

Ma sześćdziesiąt lat i jest schorowana w wyniku kilku zawałów i wylewów, jakie ją dotknęły na przestrzeni kilkunastu lat. Po zainstalowaniu się w schronisku oczekiwała na wolne miejsce w całodobowym domu pomocy społecznej (DPS). O przydział miejsca w DPS starała się już wcześniej.

W schronisku ulokowano ją w sześciuosobowej sali i jedna z tamtych kobiet podjęła się jej pomóc. Bardzo życzliwie się nią zajęła, czuwała nad codziennymi drobnymi sprawami, robiła zakupy, gotowała jej wraz z innymi współlokatorkami. Dzięki temu „Hanna” dość szybko zaczęła dochodzić do siebie. Pobyt w schronisku skończył też dla niej okres niepewności.

„Hanna” chętnie nawiązywała znajomości. Od razu też zgodziła się na rozmowę ze mną. Nie chciała nawet wcześniej zbyt dokładnie wiedzieć, na jaki temat i w jakim celu. Jednym z wielu skutków wylewu były jej problemy z wysławianiem się oraz chodzeniem.

W schronisku przebywała tylko parę miesięcy. Gdy wróciłam tam dwa tygodnie po naszej rozmowie, już jej nie zastałam. Zwolniło się miejsce w jednym z DPS, gdzie się natychmiast przeniosła. Wyszła ze schroniska dosłownie na własnych nogach, ponieważ nie musiała się podpierać laską jak przedtem. Bezdomności doświadczyła w starszym wieku i pod tym względem nie jest wyjątkiem. Na jej sytuacji za-

ważył konflikt z rodziną męża, co przyniosło nieodwracalne skutki w postaci utraty mieszkania.

Decyzję, by starać się o DPS, podjęła o wiele wcześniej niż miały miejsce wypadki rodzinne. Stwierdziła, że chce spędzić resztę życia w domu opieki ze względu na stan zdrowia i małe wsparcie dzieci.

Co rozumie przez „dom”:

Dom rodzinny, rodziców. Inaczej pomieszczenie. Dom jest tam, gdzie mieszkam, gdzie przebywam. Najpierw mieszkaliśmy z rodzicami w wieżowcu na Dąbrowie, na Nałkowskiej. Później rodzice kupili, bo tata się udzielał. Był przewodniczącym w Kuraku. Wzięli sobie na raty, nie wiem, na dziesięć czy na ileś. I spłacali. Później mieli własnościowe. To był taki domek z ogródkiem. Był to pokój z kuchnią, łazienka, ubikacja. Tu, na O. 45 czy 47. Zresztą przedtem na N. też mieszkaliśmy. Też to była Górna. Tylko że mieszkaliśmy w wieżowcu, na ósmym piętrze. Tam był, nie wiem, czy kardiolog czy neurolog. On powiedział mamie, że dobrze by było, gdyby mieszkala parter – pierwsze piętro. To nawet dla zdrowia. Właściwie od mamy z pracy, ja tam też poszłam do szkoły, wyjeżdżaliśmy nad morze, żeby był jod. Tak właśnie z tym mi się kojarzy. Cały czas byłam z rodzicami.

Gdy się przeprowadzili, ja mieszkalam na Z. To tam u mojego męża. [...] byłam sama i pomagali mi moi rodzice. Miałam problemy z nerkami, z jajnikami. Byłam więcej w szpitalu, niż w domu. [...]

Odkąd pamiętam to moi rodzice byli zawsze razem. Nie kłócili się. [...] Nie mieli czasu, bo mama zasuwała na dwie zmiany. Tata z resztą też [był mechanikiem, miał zakład samochodowy – I.B.K.]. Zima przyszła, to odśnieżanie, żebyśmy miały dobrze z siostrą i mamą. Mama miała cukrzycę i łuszczycę. Jeździliśmy na wieś po babcię, bo ją przywoziliśmy w każde święta. Miała problem z korzonkami. Ani kłótni, ani żadnych awantur nie było, bo nawet nie było kiedy. Każdy miał swoje obowiązki. Ja byłam starsza, nie dużo, bo trzy lata, ale musiałam siostrę prowadzić do szkoły, do zawodówki, bo to najważniejsze. Najpierw szkoła, a później przyjemności. Taki dom pamiętam.

Jej przeszłość:

Interesowały mnie druty, dzierganie. Nie, że mama, bo mama to raczej z szyciem [jej matka pracowała w zakładach LIDO – I.B.K.]. Podobało mi się, jak babcia robiła. Podglądałam, jak miałam w dziesięć lat. Zrobiłam pierwszą bluzeczkę. Jeszcze mama mówi do taty, daj jej spokój. Jak zobaczy tamte maszyny, to jej przejdzie. Mi nie przeszło. Skończyłam zawodówkę, dlatego mam dziewiarz ręczny i maszynowy. A mnie interesowały motory, skutery. Moja mama nie paliła, a ja sobie popalałam. Tata nie poczuł, a od niej zawsze dostałam [upomnienie, że paliła – I.B.K.]. Biegałam, bo mnie interesowała lekkoatletyka. [...] Nie poszłam na gospodarkę tak jak chcieli [dziadkowie], bo mnie wychowywali do siedmiu czy ośmiu lat. Jeździłam do L. Był tam sad u jednego dziadziusia i u drugiego. Chcieli, żebym poszła na gospodarkę. A ja i biegałam i czytałam. Dlaczego się tym interesowałam? Bo tata nie wyczuł ani papierosów, ani nic. Zawsze mu pomogłam, bo mieli zakład. Byłam raczej taki lizus. Zawsze parę groszy dla świętego spokoju miałam. Tata mi dawał, żebym nie brała

od mamy. Właśnie tak wierciłam dziurę w brzuchu. Nie chciałam już roweru tylko chciałam skuter Osa. Składałam i tak koło tatusia. Miałabym, tylko że mama mówiła, że nie: „jak ona jeździ na tym rowerze, bez trzymanki. Nie dosyć, że sama sobie coś zrobi, to jeszcze komuś”. Powiedziała, że ja jestem struś pędziwiatr. Wszędzie mnie pełno. [...] Tata samochody naprawiał i to nie raz takie ruiny. Dlatego ja tak przy tatusiu się uczyłam. Wiedziałam, że ma papierochy, to nie czuje zapachu. Taki dom pamiętam.

[...] [Gdy rodzice chorowali] co dzień z siostrą się zmieniałyśmy. Od rana u mamy albo ja albo siostra. Później do szpitala, bo tata też czekał. [...] Odkąd pamiętam, rodzice byli razem i do samego końca. Jedno na drugiego czekało. Tata miał siedemdziesiąt pięć lat jak umarł. Nie pamiętam, żeby się pokłócili, żeby się rozeszli na tydzień. Dlatego dom, to oni.

Życie zawodowe:

[Skończyła szkołę zawodową przy zakładach LIDO – I.B.K.] Nie pracowałam w swoim zawodzie dlatego, że jak mama tak pracowała, tata też po godzinach, to ja raczej handlowałam. Koleżanki mi powiedziały, że tu na rynku przeważnie, bierz od bluzki, czy od kombinezonu 5–10 zł zarobku. Jedno przy drugim miałam po 10–20, to był dzień, czy tydzień, że miałam ponad 200 dniówek. Nienormowany czas, dlatego syn i córka nie chodzili do przedszkola. Ja byłam wtedy rzemieślnikiem, bo byłam zarejestrowana u męża.

Życie małżeńskie:

Rodzice mi pomagali, bo jak u mnie w domu zaczęły się awantury, to mama z tatą byli rodziną zastępczą. Myśleli, że im Kasia [córka „Hanny” – I.B.K.] przeszkadza i dlatego są awantury. Dlatego ona była przemeldowana na N., bo rodzice byli rodziną zastępczą. [...] W T. [z mężem] mieliśmy zakład. Najpierw mieszkaliśmy na N. u rodziców, a później mieszkaliśmy na Z., u „Ilony” – męża siostra rodzona. Mieszkanie jest na syna, „Krystiana”. Tam zrobiliśmy wszystko, ubikację. To mój tato jeszcze robił, a do pracy jeździliśmy do T. do zakładu krawieckiego. „Władysław” [mąż] chyba też papiery robił [na mistrza krawieckiego]. Już nie pamiętam. Nie dochodziłam do tego. Mój teść, bo jeszcze żyje i teściowa, tam w T. na ul. L. 8 mieli zakład krawiecki. My mieliśmy na ul. M. 3. Mieliśmy tam krawiectwo bieliźniane. Sami szyliśmy. Mąż, „Władysław”, pracował u swojego brata. Też miał zakład krawiecki. Później ten „Wiktor”, brat męża, szył ubranka dla psów. Właśnie przez te maszyny, gdzie mąż cały czas się klócił o to ze swoją mamą. I te maszyny zabrali teściowie i „Wiktor” z żoną. A za wszystko ja płaciłam. Zabrali mi maszyny i wszystko [przejęli, co było jej własnością]. Mąż domagał się maszyn. A ja wcześniej pięć albo sześć razy zakładałam sprawę o rozwód. Miałam robione obdukcje po pobiciach. Nie skarżyłam go o alimenty. Nie chciałam jego widzieć i jego alimentów. Nawet sędziowie czy bank się dziwili, że powinien. Ja powiedziałam, że nie chcę jego widzieć. Chciałam tylko rozwód i eksmisję. Ale „Władek” to jest moim drugim mężem. Bo ja córkę mam z pierwszego małżeństwa. To w ogóle był mój pierwszy chłopak. A ja byłam młoda, głupia i myślałam, że sobie poprawię. I wpadłam. Byłam niepełnoletnia. Miałam sprawę i ślub przez sąd. Miałam ślub i wesele. Dlatego z „Władkiem” nie chciałam brać ślubu, tylko moi rodzice powiedzieli, że to nie karta rowerowa. Żeby nie robiła wstydu rodzinie. Mój pierwszy mąż się drugi raz ożenił. Ma też żonę „Hannę” i syna „Mateusza”. Dlatego mówi, że „Władek”, ty mi wychowałeś

córkę, to ja tobie syna. Dał mu też „Mateusz”, jak ja mojemu synowi. Z tym pierwszym, „Robertem”, byliśmy małżeństwem cztery lata. Za młodzi byliśmy. Ja miałam siedemnaście lat. Jakoś sobie radziłyśmy. Tylko, że później on zapoznał drugą żonę. Ale jak później byłam z „Władkiem” i miałam awantury, [rodzice] myśleli, że może przez córkę. Jak jeszcze mieszkaliśmy z moimi rodzicami, to się powstrzymywał. Dopiero później były obdukcje, bo byłam pobita. Miałam trepanację czaszki. Raz była sprawa o rozwód, drugi raz. Później już do tego doszło, że tata mówił, że da sąsiadów z wieżowca za mną, bo wiedzieli jak było. Tata mówi, że jak ty chcesz tak, to założyli sprawę.

W związku z konfliktami małżeńskimi zainterweniowali jej rodzice. Sąd ustanowił ich rodziną zastępczą dla wnuczki. „Hannie” nie udało się rozwieść. Małżeństwo z alkoholikiem stosującym przemoc skończyło się, dopiero gdy zmarł jej mąż, którym się opiekowała.

Mieszkanie było przez nich wynajmowane od jej szwagierki, która w pewnym momencie postanowiła ją z niego wyrzucić. Rzeczy należące do zmarłego męża przejęła jego rodzina (w tym maszyny krawieckie). Zawłaszczyli też jednak rzeczy należące do „Hanny”.

Konflikt:

Szwagierka przyszła [kazała wyjść z mieszkania]. Ja nawet nie mam swoich kart chorobowych, niczego. Dała mi czterdzieści minut. Co może pani wziąć przez czterdzieści minut? Wzięłam tylko koc, dwie poduszki i nie mam nic. Ale pralka i telewizor, wszystko jest na mnie, bo to ja kupowałam. Kupiłam sobie pralkę, lodówkę, żeby nie przepuścić. Nawet srebrne łyżeczki, kryształowe spodeczki. No, nie mam klucza. Zabrali mi klucze.

Szwagierka przychodziła do niej po opłaty za wynajem. „Hanna” płaciła, ale „nawet mi się nie wyliczyli. To, co ja mam, to guzik, nie pieniądze, ale to jest moje. Renta chorobowa już po śmierci męża”. Ponieważ w tym mieszkaniu był zameldowany tylko mąż, a nie „Hanna”, jej szwagierka po śmierci brata chciała się jej pozbyć z lokalu. Już wcześniej, niedługo po śmierci męża „Hanny”, jego rodzina powoli przejmowała majątek nie tylko należący do niego, ale także do niej. W końcu zmusili ją do wyprowadzki, a w dodatku pobili:

W którymś momencie się tak stało, że musiała Pani opuścić to mieszkanie?

Tak. [...] Zabrali mi klucze.

Co Pani wtedy zrobiła?

No nic. Jestem tu.

Wtedy od razu Pani trafiła tutaj?

Tak.

Kto Pani w tym pomógł?

Ta pani Kasia pode mną, to ją poprosiłam. Ta pani z opieki, co ją miał „Władek”. [...] [Szwagierka] zabrała mi rentę i jeszcze mi światło wyłączyła, wodę, wszystko.

I to ona chciała Panią wyrzucić.

Tak. I mnie wyrzuciła. Przecież tam są wszystkie papiery i to, że chorowałam.

Nie ma szans, żeby oddała dokumenty?

No skąd. Przecież nie mam telefonu ani kontaktu.

A żeby dobić się do tego, kto tam mieszka? Czy to jest jej syn?

On tam był meldowany.

Ale czy on tam zamieszkał, czy to wynajęli?

Nie wiadomo, bo przecież dostałam w łeb, zabrali mi moją rentę.

Bo to było tego samego dnia, co przyszedł listonosz.

Tak.

Czyli okradli Panią?

Tak. Dlatego jak się domagałam dzielnicowego, to zgłosił się tego samego dnia. Ja powiedziałam, że to jest taka i taka sprawa. Ten dzielnicowy zadzwonił po prokuratora i przyjechali. Jak zobaczyli, że to podchodzi pod sprawę karną, bo mówiłam, że dostałam w łeb. Od kogo pani dostała? Ja mówię, że od syna [szwagierki], bo tak było. [...] Nie było światła i od razu dostałam w łeb. I weszli. Wzięli wszystko, korale mamy.

I zostawili tak Panią?

Tak. Jak tu przyszedłam bez grosza, to kobiety mi pomogły, te z pokoju.

Nie wiadomo, czy będą ich łapać?

Nie.

Ale doniesienie na prokuraturze jest?

Tak. Wypisywali, dawałam dowód, książeczkę ZUS-u. To jest jedno bez drugiego nieważne. Z tego spisywali. Ta pani prokurator mówi, że nie płacz, kochana, nic w powietrzu się nie rozchodzi. Czekaj, bo to jest prywatne.

Ale założyła je Pani i sprawa jest w toku?

Tak. Mam czekać.

Kiedy to było?

We wrześniu już tu byłam. To było lipiec, sierpień [2012 r.].

Została Pani w tym mieszkaniu czy tu Panią przywieźli?

Oni mnie tu przywieźli [pracownik socjalny]. Powiedziała do mnie, że znalazła mi mieszkanie i czy reflektuję. Jak miałam wszystko powylęczone, to tak. Miałam 40 minut na spakowanie [groźby szwagierki – I.B.K.]. Kazała mi wziąć koc, dwie poduszki. Mówię, że sobie pokupowałam na rynku koszulę czy coś do domu starców, bo pisałam. Pytałam się, czy mogę. Tak, z rzeczami. Tam mnie zostawili z tą rozwaloną głową. Jak tu przyjechałam i obcy ludzie mi pomogli, to ja ryczałam. Zresztą ten listonosz, co mnie widział miesiąc wcześniej, powiedział, że kochana, jakby mi powiedzieli, że to ty, to bym nie uwierzył. I tu obcy ludzie. Kochana, ja nie mogłam nic zjeść. Tak serdecznie, z takim sercem. Chyba do końca tego nie zapomnę.

Ten fragment zamyka całą sekwencję rozmowy, podczas której starałam się odtworzyć, co zaszło. „Hanna” wspomina tu scenę napadu i moment opuszczenia mieszkania oraz swoją reakcję na to, jak życzliwie potraktowały ją kobiety ze schroniska.

Wspomina o listonoszu, który przyjechał do niej z rentą w kolejnym miesiącu po wypadku, gdy już mieszkała w schronisku i był pod wrażeniem pozytywnej zmiany, jaką przeszła.

Ostatnie miesiące życia męża:

„Władek” leżał dwa miesiące, nie ruszał się i sąsiadki mi pomagały. Bo tam wielki syf i nic więcej. [Chorował] na kręgosłup. On już miał wcześniej. Wyrzekł się ojca i matki [nie interesowali się nim, gdy zachorował – I.B.K.]. Sąsiedzi wiedzą i nawet mówili. Kazał mi przyrzekać [że też nie będzie się z nimi dla niego czy za niego kontaktować – I.B.K.]. Ja mówię, że wiesz, że to rodzice [...]. „Przysięgnij się, żebym chociaż leżał przy płocie, ale to tam gdzie ty będziesz”.

Były awantury [gdy był już chory – I.B.K.]. Do bicia nie leciał, bo bym się nie dała. Mój tata kiedyś mówił, od czego ty masz łapy? Jak mu raz kiedyś strzeliłam w papę, to był spokój.

[...] matkę i siostrę wyzywał przed samą śmiercią.

Szesnaście lat siedział. Moi rodzice [wiedzieli], ale ja nie chciałam słuchać. Myślałam, że tylko tak mówią. Jak jeszcze żyli, chciałam wrócić po rozwodzie do swojego panińskiego nazwiska. Miałam już tego dosyć. Czy gdzieś stałam na rynku, [...] to nie musiałam nazwiska podawać, bo wiedzieli. On siedział tyle lat i szło się za tym nazwiskiem.

Odzyskiwanie równowagi:

Jak się dowiedziałam [o więzieniu męża – I.B.K.] i zrozumiałam, to rodzice byli już chorzy. Tata w szpitalu, mama w domu. I mówię, tato, powrócę do nazwiska panińskiego. Tata się zgodził i mama też. Później pani prokurator mi tłumaczyła: „kobito, po co będziesz się narażać na koszty? Przecież i tak nie żyje [mąż]. Znów wspomnienia, powracanie. Szkoda twoich pieniędzy. Teraz już go nie ma i ci krzywdy nie robi. Od nowa to wygrzebywać, ludzi stawiać. Za mało masz pieniędzy?”. Mówi: „powodzenia i wiary w siebie. Teraz ty, kobito uwierz w siebie. Uwierz, że potrafisz z niczego się odbudować”.

Mówiłam, jak ja płakałam, jak tu przyszłam. Bez grosza, głowa, tylko te poduszki i koc. [To, co na sobie] było pokrwawione. W czym się umyję bez światła? Dlatego tak płakałam, bo obcy ludzie i tacy serdeczni. Ja im w życiu tego nie zapomnę. Teraz jak mi pan listonosz przyniósł rentę i powiedział mi i pani kierownik: pani „Haniu”, jak ja bym z tyłu patrzył, to bym nie powiedział, że to pani. I z czego ryczysz? Ja mówię, że teraz to chyba ze szczęścia. Naprawdę to jest cud.

Teraz pani kierownik mi powiedziała, że skoro już taka duża poprawa, to żebym próbowała [chodzić bez laski – I.B.K.]. Z piętnaście lat temu miałam jeden zawał albo dwa. Wylew to jeszcze miałam w 1984 r. I trepanację. Tato mi to podpisywał, dlatego tak tatę kochałam. Miałam prywatne rehabilitacje i to po osiemdziesiąt parę złotych. Skąd bym wzięła? Jak już przeszło i pan doktor powiedział, że [...] z czasem i ta lacha nie będzie potrzebna. Myślałam, że będzie do fotela albo do łóżka. Te rehabilitacje tak mi pomogły, że już teraz tutaj łączę z taką radością. Jeden mnie pochwalił, drugi. To ja rosnę. Na takie kobiety, na jakie ja tu traflam! Nawet do pani kierownik powiedziałam, bo byłam taka ucieszona, jak dostałam tą rentę. [...] A mi lekarz powiedział, że szybciej kaktus wyrośnie [niż zacznę chodzić bez

zupełnego wsparcia laski – I.B.K.]. Szukałam tego kaktusa i nie było. I mówię: doktorze, za pół roku, czy za rok przyjdę do pana bez laski [...].

[...] nie jestem taka najgorsza, że trafiłam z piekła do raju. Może nie dostałabym w łeb, gdyby było światło. I jeszcze [...] mi z kieszeni rentę zabrali. Od pani L. pożyczałam, żeby kupić chleb.

A tu kupili mi włóczkę, bo prosiłam, jak dostałam rentę. Lekarz powiedział do mojego taty, żebym się nauczyła na drutach, żeby ćwiczyć. Mój tata mówi: panie doktorze, ja myślałem, że to jest wybryk. Ona sobie sweterek zrobiła. Nawet dziesięć lat nie miała, jak zrobiła. Pan doktor się uśmiechnął i mówi: niech tak właśnie robi. To jest ćwiczenie.

I dres mam. To wszystko mam swoje. Piżamkę mi kupiła też z pokoju. Mówi: „Hanka”, tylko nie rycz. Mówię, że chyba uduszę z tej radości. Tak mnie te babeczki przyjęły. To się liczy. A jak jedna się nie odzywa, to nic nie mówię, bo słucham mądrzejszych od siebie. [Mówią] nie przejmuj się tą czy tą. Później jej przejdzie, bo każdy jest wybuchowy. Jestem szczęśliwa, że jestem tutaj. Można porozmawiać, pośmiać się.

Kontakty z dziećmi:

W każde święta i syn i córka przychodzili do mnie. Najpierw umarł tata, później mama, to żeby mi nie było tak przykro, to w tamtym mieszkaniu [jej rodziców] zrobiliśmy Wigilię i Wielkanoc. Tylko, że to tak trochę kiepsko. Córka mówi, że mama, nie martw się, na pewno babcia i dziadek patrzą. No i tak razem byliśmy w każde święta. Córka mieszka w Łodzi [...]. Przychodziła, ale mój wnusio jest chory. Jeździ z nim na rehabilitację.

Syn ze swoją siostrą utrzymywał kontakt. Tylko, że on gra w piłkę, uczy młodzież i wyjeżdżał. W Niemczech był. Nawet pracował za granicą.

[...] Tata i mama umarli bez żadnego zapisu. Musiałam robić sprawę. Nie było testamentu. Nie chcę być udruką [dla własnych dzieci – I.B.K.]. Po co mają być nieporozumienia, tak jak u mnie. Nie chcę być przeszkodą. Mogą powiedzieć, że gdyby nie matka, to by było też inaczej.

Chciałabym żeby mieli dobrze. Każdy jest kowalem swojego szczęścia. Może byłam zła czy niedobra, ale chciałabym, żeby każdy sobie tak ułożył życie, żeby miał dom i żeby miał dobrze. Nie mogę powiedzieć nic złego na jedno czy na drugie. Że syn wybrał piłkę to jego sprawa. Do dzieci to ja nic nie mam. Nie chciałabym być ciężarem. Po wylewie, po trepanacji, po zawale. Z resztą już jestem stara, pięćdziesiąt dziewięć lat, a oni młodzi. Po prostu chcę, żeby sobie dobrze ułożyli życie.

„Józef”

Ma prawie sześćdziesiąt lat. Jest niepijącym alkoholikiem. Z powodu nałogu stracił pracę i dom. Doznał bezdomności ulicznej, ale nie chciał o tym mówić. Później przeniósł się do schronisk. Po kilkunastu miesiącach pobytu najpierw w jednym, potem w drugim schronisku, przeszedł program antyalkoholowy i dostał miejsce w kolejnym ośrodku. Jest rozwiedziony. Utracił kontakt z dziećmi (są dorosłe, mają własne dzieci) i pozostałymi członkami rodziny. Od mniej więcej roku, gdy przeszedł

terapię i zamieszkał w lokalu readaptacyjnym, zaczął odbudowywać kontakty i na razie ma najlepszy kontakt z bratem.

Znany jest z tego, że umie gotować, w tym piec ciasta (stosuje przepisy eks-żony, sam wymyśla różne potrawy, podgląda, jak gotują inni, np. w telewizji). Oprócz tego lubi zieleń i majsterkowanie. W jego pokoju jest bardzo dużo roślin doniczkowych. Gdyby miał więcej miejsca, jeszcze zwiększyłby ich liczbę. Mieszkał jednak w dwuosobowym pokoju, czyli dzielił powierzchnię ze współlokatorem, którego zieleń zupełnie nie interesowała. Czasami opowiadał mi podczas spotkań historię poszczególnych kwiatów, jakie ma u siebie, czyli skąd je wziął, jak roślina kiedyś wyglądała, jak się nią opiekował, jak się nazywa itp. Jest administratorem budynku na jednym z łódzkich osiedli. Dzięki pracy pozyskuje rzeczy, które są wyrzucane przez lokatorów z bloków. Ci, którzy chcą się pozbyć mebli czy roślin, zgłaszają się do niego jako pierwszego ewentualnego odbiorcy (ofiarowują mu je najczęściej bezpłatnie lub w zamian za wyniesienie, ewentualnie za drobną opłatą). Nawet jeśli nie przychodzą z taką ofertą, on pierwszy ogląda i szacuje pod kątem własnych potrzeb wyrzucane sprzęty i inne przedmioty. Nie kieruje się jednak pragmatyką typu: „nie mam A, choć przydałoby mi się; ktoś pozbywa się A, więc wezmę je dla siebie”. W ośrodku, w którym przebywa, nie ma tyle miejsca, by gromadzić rzeczy, jakie mogłyby być przydatne w przyszłym własnym mieszkaniu. „Józef” najczęściej jednak bierze przedmioty, które trzeba naprawić, podobnie jak kwiaty, które komuś przestały się podobać, ponieważ zaczęły usychać, chorować, zbyt szybko wyrosły, czyli straciły na wartości dekoracyjnej. Lubi zajmować się rzeczami, tzn. czyścić je, odnawiać, naprawiać usterki. Wielokrotnie byłem świadkiem sytuacji, gdy deliberował, w tym ze mną, co można zrobić np. zamiast brakującego elementu dekoracyjnego w szafie ubraniowej, którą przywieziono do ośrodka. Żaden z mężczyzn, oprócz „Józefa”, nie zainteresował się nią, ponieważ była wybrakowana. „Józefowi” to nie przeszkadzało – zajął się nią, podobnie jak zajmuje się odzyskanymi roślinami. Jeśli chodzi o dotychczas poznanych przeze mnie lokatorów i lokatorek, tylko w jego pokoju widziałam książki.

Czym jest dom:

Z domu człowiek wyniósł [żeby robić wspólnie i dzielić się]. Nas czwórka była rodzeństwa. Później jedna siostra i druga w swojej rodzinie miały zawsze wigilie, wszyscy razem przy stole, wesoło było, jakoś człowiek czuł atmosferę rodziny. Później pamiętam, jak ojciec umarł, to już nie tak [było] i wszystko się rozleciało. Każdy swoje. A tak to mi się podobało, że wszyscy razem. Tak, to jest rodzina.

[...] A w domu to było tak: żona ciasta zaczęła robić i chłopaki, moi synowie [dogadywali jej] „mama, co ty za placek zrobiłaś?”. „To sobie róbcie sami”. No, mówią, ojciec. Oni nie mówili tata, tato, tylko ojciec. „Ojciec, chodź zrobimy jakieś ciasto, zjadło by się coś słodkiego”. Mówię, nigdy mnie robiłem, nie znam się na tym. [Młodszy syn] mówi, „chodź,

przepisy są, pomogę ci”. No, ten młodszy taki był, starszy nie. Tak się zaczęło. Raz, drugi, udało się. Później [żona] mówi, „jak wam się tak udaje, będziecie robić ciasta”. [...] [Potem do gotowania] życie człowieka zmusiło, że musi sobie jakoś radzić. [...] Bo tym się [wcześniej] nie zajmowałem. W pracy, w Cefarmie robiłem w magazynie, bo transport zlikwidowali i później na magazyn nas przenieśli, i gotowaliśmy różne zupy. Jak tam nas na zmianie ośmiu-dziewięciu było, to siedmiu robiło, a dwóch zawsze w kuchni gotowało, coś robiło. No i za tego jednego-dwóch się robiło, oni gotowali, szykowali. Tak się dogadaliśmy. Po obiedzie się gotowało, żeby jedzenie było ciepłe. I trochę w domu, w takie gospodarskie rzeczy się wprawilem i w pracy był taki system. Więc i tutaj [w ośrodku] nie było żadnych problemów, żeby zacząć. [...] Wałek do ciasta kupiłem, pałkę taką. Łyżki, wszystko tu jest. Nawet ostatnio kierownictwo jakiś komplet garnków nam dało. Garnków to pełno mamy. [...] Przyprawy trochę mam. Jak pojedę do kolegi [...] to jego żona, „a nie potrzebujesz tego, bierz, bo ja mam” i daje. A nie raz człowiek pójdzie do sklepu, a to by się przydało, to trzeba kupić. Później przychodzę i przecież mam, już poprzednio kupowałem. [...] Sprawia mi satysfakcję jak coś ugotuję, że wyszło, dobre. Nie to, co lubię, ciągle pichcę. Najgorzej, jak nic nie wyjdzie, nie uda się. [Lubi robić nowe rzeczy – I.B.K.]. [...] Teraz z bratem jak się widziałem, to mówi, żeby naleśniki zrobić z młodą kapustą i do tego przetapia słoninę. Potem słoninę ze skwarkami i z kapustą przez maszynkę przepuszcza, jak ugotuje, i naleśniki zawija. [...]. A ja mówię, jakby do tego koperku dodać? Jak będę sobie robił, spróbuję z koperkiem. Nie raz coś się doda i pasuje akurat. [...] Kolega kiedyś, pamiętam, dał mi przepis na naleśniki i parówkę w naleśniki. Tylko parówkę się przekrawa i z warzywami daje, różne warzywa. Serem żółtym owinać, obtaczać w bulce i do piekarnika zapiec. Dwa takie naleśniki i człowiek pełny.

[We wspornej kuchni, gdy ktoś coś gotuje] masz, spróbuj, czy dobre zrobiłem. Chce spróbować, niech próbuje. Jedzenia nikomu nie będę żałował.

Stosunki z bliskimi:

[...] po prostu wstydziłem się. Na Wszystkich Świętych na cmentarzu siostrę spotkałem, porozmawialiśmy. Podała numer i tak się zaczęło z bratem. Teraz sobie co niedziela jeździmy na wycieczki rowerowe. Staram się. [Myślał, że brat] będzie się wypytywał, ale nie jest taki, jak to się mówi, nachalny, żeby dziurę wiercił, żeby wszystko chciał od razu wiedzieć. W niedzielę nawet teraz byliśmy aż pod Z., prawie dojechaliśmy, 70 km. Jechać, gdzieś usiąść. Brat bardzo lubi za grzybami. On grzyby, na R. mieszka, to okolice zjeździł. Nieraz jedziemy, to mówi, tu rosną. Też ma działkę, bo teściowie jego mają gdzieś za G. Niby mówi, że jest na jego żonę przepisane, ale teście jeszcze tam sobie siedzą. A brat mówi, nie lubię tam jeździć, bo teściu zaczyna mi rządzić. Mówi, ja bym chciał sobie usiąść jak coś zrobić, grilla sobie rozpalic, usiąść z piwem, a teściu to by chciał, żeby ciągle w ziemi robić.

Mieszkanie w ośrodku:

[Najpierw] byłem na hostelu na ul. N. I stamtąd wyszedłem z kolegą i wynajmowałem mieszkanie, ale on zaczął pić, nie pracował. Ja nie będę za dwie osoby płacił i zrezygnowałem. A wcześniej już tu u kierownika byłem i chciałem tu przyjść. Dostałem telefon, że zwalnia się miejsce i tak trafiłem tutaj.

[...] Jak tu przyszedłem, to powiedziałem kierownikowi, że tydzień jeszcze nie przyjdę, bo musiałem uregulować sprawy z tamtym mieszkaniem.

[W wynajmowanym mieszkaniu] miałem rzeczy osobiste, ubrania i nic innego. Byłem tam miesiąc. To były 52 metry w blokach, 1200 zł za miesiąc. Kolega pierwszy miesiąc zaczął pracować. Ja zapłaciłem te 1200, ale on z pracy zrezygnował, a następny miesiąc trzeba płacić, więc chciał, żebym znowu założył. Ja mówię – nie, rezygnuję, bo widzę, że on za pracą nie idzie.

[Gdy przyszedł do ośrodka] byli już tu niektórzy: P., „Tomasz” i „Piotr”, „Arek”. Był jeszcze W., on dostał mieszkanie tu, na R., niedaleko. I jeszcze starszy ode mnie i on umarł. Nawet na pogrzebie byliśmy.

Domowość w ośrodku:

Na pewno nie kuchnia. W domu po swojemu miałem poukładane, wiedziałem jak, co. [Miał pomysł, jak zorganizować miejsce na pokrywki] Teraz też, nawet taką listwę jakby zrobić. Od ściany odsunąć trochę i te pokrywki [powiesić]. No to zrób [mówili pozostali lokatorzy]. Tak samo ciasta. Miałem ciasta, to „daj spróbować”. Ale który chociaż [by powiedział] dołożę się, zrobimy ciasto, kupię. Nie ma sprawy, ja bym zrobił. Kiedyś ziemniaków zostało, to kopytka. Dobra, zrobimy kopytka. No, ale później nikt [nie pomógł]. Sam nie będę wszystkiego robił. Nie ma praski, ja już bym zagniół, rozwałkował, których pociął. Już inaczej. Sam zeżrę, co za problem. Nie raz mnie najdzie ochota, ugotowałem sobie ziemniaków, narobiłem kopytek i do zamrażarki. Tak samo jak miałem ochotę na pyzy czy kluski z truskawkami. Miałem ochotę, truskawki kupiłem, zrobiłem sobie. To robić wszystko samemu, a drugi przyjdzie na gotowe? Nie, no to zrób coś chociaż, [że] ty to, ja to i razem możemy zrobić. Nieważne, ty zrobisz np. tyle, ja tyle, ale razem robimy, o to mi chodzi. To tak, jak u mnie w pracy ten obok, co sprząta. Chodnikowi tyle brakuje do drugiego. On już tego kawałka w zimę nie odśnieży. Mówię: nie mogłeś odśnieżyć, żeby było przejście? „To nie mój rejon” i on nie robi. Dwa razy łopata by ruszył i by było przejście.

[Domowość dla niego symbolizuje pokój, którym mieszka] Wiem, że mi tu nikt nie przyjdzie i nie rządzi. Czy mam pod taką pościelą spać czy pod taką.

Pokój w ośrodku:

Jak ja tu przyszedłem, to ten pokój był pusty. Tylko dwie szafki, szafa i półka. Nawet tu tapczany były inne.

Ja jestem taki człowiek, że jakbym był miesiąc gdzieś, czy parę dni, chciałbym się czuć swobodnie, dobrze. A nie tak jak np. w hotelu, czy w szpitalu – nic swojego. Tak przyzwyczajony jestem. Jak byłem na tym ośrodku dla matki z dzieckiem, to dwóch nas było, bo na kotłowni paliliśmy, to też pokoik sobie tak urządziliśmy we dwóch, żeby się dobrze czuć.

Pierwsze, to telewizor musiał być, ale to W. miał taki mały telewizor – 19 cali i mi pożyczył, żeby powiedział, że chce go sprzedać – to bym kupił, bo on za 50 zł go chciał sprzedać. Ale nic nie mówił. Myślałem, że jak pójdzie na swoje mieszkanie to zabierze ten telewizor, a on sprzedał później. No, musiałem drugi załatwić, no, bo tak bez telewizji nie lubię. To już jest taki nawyk, że człowiek musi coś obejrzeć.

Potem malowanie było. Zapytałem kiedyś kierownika, bo kolor na tamtych pokojach mi się nie podobał, czy jakbym chciał sobie pomalować po swojemu, [to co]. Kierownik mówi, nie ma sprawy. Nawet miał zaproponować, żeby odnowić pokój. Kupiłem pigment, kolor taki dobrałem i później tą szafkę zrobiłem. Kupiłem też puszkę takiej farby i tak się zaczęło. [...] A tu np. zamknięcie szafy takie tymczasowe. Muszę iść do budowlanego marketu i kupić jakieś zamknięcie, bo tak to jest, jak nie ma człowiek jakiegoś warsztatu, nie ma narzędzi, nie ma czym zrobić, to tak szybko, szybko.

[...] Tam, gdzie pracuję, jedna pani zmieniała meble. Za 20 zł mi sprzedawała. Dobre, bo to rozbierane. Rozebrałem sobie, autobusem przywiozłem, tu złożyłem. Lustro od kolegi dostałem. Potrzebowałem, a on, jak ma co zbędnego, to zawsze mnie czymś uraczy.

Miałem taką szafkę. Byłem teraz u niego [u kolegi], bo on rowery sobie kupuje i chce zabezpieczenia w komórce, więc żeby zmienić drzwi w komórce, żeby mu pomóc. I patrzę, u niego stoi taka wąska część regału. Mówi, że mu niepotrzebne, a mnie się przyda. I takie coś pod kolor właśnie tej szafki.

Nawet zamiarowałem sobie coś kupić, ale mówię nie, bez sensu to kupowanie. Na S. gdy byłem [w jednym ze schronisk dla mężczyzn – I.B.K.], to kupiłem sobie telewizor z tych płaskich, są z DVD, 19-calowy, no i co? Alkohol był ważniejszy. I telewizora nie ma. Chociaż, jakby to była sytuacja, że ja już bym wiedział, że za pół roku czy za rok będę miał mieszkanie, wtedy bym to zrobił [kupował]. [...] Jak się [...] mieszkanie dostaje, to brakuje ciągle pieniędzy. Człowiek by chciał to zrobić, to kupić. Z czego? Milionerem by trzeba było być. [...] Kwietniczki znalazłem. Ile ludzi rzeczy wyrzuca. Teraz nawet kolega przyszedł, czy bym nie poszedł mu pomóc, bo jedna pani chciała. Meble jej przywieźli i żeby wnieść. Na ósme piętro, ale winda jest. Poszliśmy, żeby numer telefonu podać, bo nie będziemy cały dzień stać, niewiadomo kiedy przywiozą. [Więc] jak przyjadą, żeby do nas zadzwoniła. Pokazywała, że dwie wersalki miała, bo córka z zięciem wprowadziła się i ta córka spodziewa się dziecka. Pani mówi, że nie będzie miejsca i zmienia meble, kanapy i mówi, że dwie kanapy dobre, szkoda jej wyrzucić przed blok. Pytała czy nie mamy chętnego. Za darmo oddać [chciała], żeby nie zostawić pod blokiem, bo potną. Widzę, że niezniszczone kanapy. Już by coś było. Na początek. [Nie wziął ich, jednak ani innego chętnego nie znaleźli – I.B.K.]. [Poprzednie meble] ona chciała na korytarz, bo w paczkach. Może kogoś znajdzie, na razie nie widziałem, żeby to stało pod blokiem.

[...] A tu dwie pralki są, ja jeszcze nawet tą małą Franię przywiozłem też i działa. Także tu z praniem bez problemu. Jak wolne i nikt nie pierze to [się pierze]. [Pościel i ręczniki] coś jest, bo ostatnio jak byłem u kierownika była pościel. Mówi, jak coś, to wybierz sobie. Nawet w zimie jak coś z tym centralnym nie tak było, to mówią, żeby koce brać.

[Firanka w pokoju] to kolegi. Tej pani, co pomagaliśmy przeprowadzać się, zносиła karnisze i muszę je przywieźć. Jakiś dziwny ten karnisz, z rurką metalową czymś obklejoną, wygląda jak z drzewa. A druga jest szyna na żabki. Podwójny kij, że na jednym kółka są drewniane, a druga jest szyna z żabkami. [...]

[Gdy przywiezie karnisz] na górę zaniosę, niech stoi. Może ktoś będzie potrzebował kiedyś. Bo tu to był karnisz, chyba ktoś sam zrobił – jakby z desek zbity, taka drewniana rama i dwa pręty metalowe. To wszystko. Nie raz te pręty musiałem olejem posmarować, bo żabki nie chciały się przesuwac dobrze.

[...] Część rzeczy trzeba [sobie] kupić. [Jeden z kwiatów] by się zmarnował, [...] i doniczkę sobie kupiłem. [...] Wydaje mi się, że go za mocno podlewałem. Tak jak ten niebieski za oknem. Ja muszę dzień w dzień go podlewać. Jak go nie podleję, jak ma sucho, zaraz gubi kwiatki. Mówię, co, już by przekwitły? Patrzę – ziemia sucha – podlałem. Za tydzień patrzę

– już puścili. [...] Rodzice cały czas działkę mieli. Ale jak człowiek młody, to gdzie tam praca na działce. Później, jak się ożeniłem, kupiliśmy z żoną działkę pracowniczą na L., ale tam nie pasowało nam. No i później na W. Tak fajnie tak było, działeczka, lubię. W domu też lubiłem mieć kwiaty.

[...] Jakbym nie miał gdzie [zabrać kwiatów], to bym zostawił, tylko szkoda. Jakbym wiedział, że ktoś będzie dbał, a tak zostawić komuś.... Jakbym miał mieszkanie, to bym zabrał. [...] Książki niektóre kupiłem, a niektóre od brata dostałem. Fantastyka, przygodowe. Bardzo lubiłem kiedyś Pauszty książki czytać. On przygodowe, takie młodzieżowe, ale zaraz po wojnie, jak to było. Jak na Mazury jeździli młodzi ludzie. Podobały mi się jego książki.

Rzeczy:

[W swojej części pokoju ma dużo pudeł i worków wypchanych rzeczami] Wie pani, jak to jest. To tak jak w domu. Jest regał, są szafki, to nic nie widać – pochowane. Jak jest jakaś przeprowadzka czy co, jak się zacznie wyjmować, to skąd się tyle tego wszystkiego nabrało? [...] Niby jest potrzebne, a leży później i leży. Nie lubię, jak np. robię coś, żeby do sklepu latać po coś czy pożyczać, bo by się przydało. Nie lubię tak. Lubię mieć własne.

[...] Jest mi dobrze, że mam gdzie mieszkać, nie tak jak przedtem, jak po klatkach, po schroniskach. Tu jest jakaś inna atmosfera. Ale z tym niedobrze, że to nie jest swoje. Jak człowiek ma swoje mieszkanie, jak chce i co chce sobie robi. A tu jednak do jakichś reguł, zasad, trzeba się dostosować. Nawet z dyżurami. W domu sobie daruję. A tu zmęczony czy nie, trzeba zrobić, bo tak jest i już. Z drugiej strony to mobilizuje żeby zrobić. Bo tak to by człowiek [powiedział sobie], dobra, kiedy indziej, a tu trzeba, bo mogą być konsekwencje. Trzeba zrobić, to mobilizuje człowieka.

„Zofia”

Ma siedemdziesiąt kilka lat. Gdy rozmawialiśmy, w schronisku była od kilku miesięcy. „Zofia” w pewnym momencie stanęła w obliczu utraty wszystkiego, szczególnie więzi rodzinnych. Eskalacja konfliktu z dorosłą córką, skłoniła ją, by szukać pomocy na zewnątrz. Sama bowiem podjęła decyzję schronienia się w placówce.

W schronisku została ulokowana w narożnym, czteroosobowym pokoju. Z moich obserwacji wynika, że jest to pokój, w którym kwaterowane są kobiety najstarsze, z największymi też problemami ze zdrowiem. Pomieszczenie jest najspokojniejsze i najcichsze, przede wszystkim dlatego, że nie jest pokojem przechodnim, jak pozostałe sale. Jednak jego lokatorki mają najdalej do łazienki i kuchni.

„Zofia” była lokatorką, która nie izolowała się od innych, ale też nie spoufalala. Przyjęła rolę obserwarki, nie angażowała się w życie grupowe. Nie krępowała się jednak wyrażać swojego zdania publicznie np. podczas zatargów wybuchającym m.in.

kobietami. Jej komentarze odnosiły się i do jednej i do drugiej strony. Nie sprzyjała nikomu, wyrażała tylko swoje komentarze na temat sytuacji.

Co dla niej oznacza dom:

Pierwsze skojarzenie domu to rodzina. Kojarzy mi się z najbliższymi członkami i też, bo uczestniczą w tej rodzinie, nie tylko bliżsi. Przyjaciele się spotykają. Dom otwarty jest bardzo przyjemnie przeze mnie widziany, żeby inni mogli nas odwiedzać, żeby nie był przed nikim zamykany. Miałam taki dom, że przychodzili, czekali za mną. Nieraz zostawiłam im coś, żeby wykonali. Nie obawiałam się, że coś mi zginie, bo byli zaufani. Ja im ufałam, a oni mnie. [...] Z ludźmi miałam dobry kontakt. Uważam, że ludzie nie są najgorsi. Są podzieleni, bo są lepsi i gorsi. To zależy od charakterów. [...] Miałam dom jako dziecko u mojej mamusi. Byłam bardzo małym dzieckiem, do drugiego roku życia, może do trzeciego albo czwartego. Dokładnie nie pamiętam. Jak miałam pięć lat, to byłam u babci. Mama miała padaczkę. Poszła ze mną czerpać wodę ze studni i wtedy dostała atak. Wtedy pobiegłam na ratunek, krzyczałam i byłam w jakimś szoku. Krótko żyła i to pamiętam. U babci zostałam ja i moja siostra. Babcia była wspaniała. Nie chciała nas rozdzielić. Ciocia przyjechała, mamy siostra, i chciała zabrać moją siostrę. Babcia nie chciała się na to zgodzić. [Ciocia jednak] po kryjomu to zrobiła. Jak babcia gdzieś wyszła, na podwórko czy w pole, to ona porwała wtedy moją siostrę. Siostra była młodsza, miała cztery latka. Babcia szukała i była taka niezadowolona. Była zła na swoją córkę, że ukradła jej wnuczkę. Tak, że byliśmy rozdzielone. Babcia dobrze mi się kojarzy. [...]

Jak miałam dwanaście lat, to jeszcze byłam u babci. [Potem] przyjechał babci syn i zabrał nas do Łodzi. Tam było takie pomieszczenie, siedem łózek, bo duża rodzina wtedy powstała. Oni byli dwoje i jeszcze pięcioro ich dzieci. W każdym bądź razie było o jedną osobę za dużo i oddali mnie do domu dziecka. Był wielki żal. Taki żal, że dla mnie nie było miejsca. Babcia miała duże profity majątkowe. Miała zapisane, że to i tamto. Nikt babci nie utrzymywał. Babcia raczej była tym sponsorem. Nie mogłyśmy [zostać z siostrą u babci], bo sobie później nie radziła. Była stara i chora. Tego już nie rozumiałam. Często ją odwiedzałam.

W tamtym domu dziecka byłam tylko trzy miesiące, na ul. K. Potem przez trzy miesiące przechodzi się taką kwarantanną przystosowawczą w domu dziewcząt im. [...] Miałam tylko dwanaście lat. Też była taka moja koleżanka, Zosia, w tym samym czasie. Obie byłyśmy przekazane do tego domu na ul. Kr. Chodziłam do szkoły, do VI klasy. Jako wychowanka domu dziewcząt sprawowałam się bardzo dobrze. W szkole radziłam sobie dobrze. Zachowanie miałam wzorowe. Uczylam się dobrze. Byłam tam dwa–trzy lata. Do średniej szkoły to już poszłam do technikum telekomunikacyjnego, ale tam mi się nie spodobało, bo były takie metalowe warsztaty. Po trzech latach przyszła moja kuzynka od strony mojego tatusia i zapytała, czy ja bym chciała być u niej. Ma tylko jednego syna. Będę miała dobrze i nie będę musiała chodzić do tego technikum telekomunikacyjnego, tego niechcianego. Nie muszę nic robić, wszystko będę miała. Rzeczywiście tak było. Powiedziałam, że się zgadzam i za tydzień przyszła i mnie stamtąd zabrała.

Tam u niej w domu miałam dobrze. Nic nie robiłam. Jak mi się nudziło, to mierzyłam sobie ubrania, wszystkiego było dużo. Ubrania, piękne kapelusze, buty, cudowny złoty dzbanek do wody. Miała męża, który lubił wypić, ale nie do towarzystwa, tylko do pijaństwa. Wysyłał mnie [po wódkę dla niego] ich syn, był młodszy ode mnie o pięć lat. Albo chodził [sam] po wódkę, albo mnie wysyłał. Z nami pił tą wódkę. Miałam piętnaście lat. Mnie wlał tyle,

a [synowi] mniej. Nie wytrzymałam i po dwóch razach powiedziałam mojej kuzynce, bo pomyślałam sobie, że może on coś chce ode mnie. Nic się nie zdarzyło, ale taką miałam myśl. Sama musiałam dbać o siebie. Praktycznie od dwunastego roku życia musiałam dbać o siebie. Jako samodzielna jednostka musiałam myśleć o wszystkim, co może mnie spotkać złego.

[Kuzynka] zawiozła mnie do swojej mamy, do siostry mojego rodzzonego tatusia. Tam mieszkaliśmy [z jej dziesięcioletnim synem]. Ze wszystkim nas przywiozła tramwajem. Do zboru jeszcze chodziła [Świadków Jehowy]. Do Pisma Świętego mnie wprowadzała. Tam też się nauczyłam religii. W miarę to poznałam. Chcieli, żebym się ochrzciła, ale nie chciałam. Byłam w wierze katolickiej [...]. W ten sposób odnosiłam się do tej sprawy, że nie jestem przygotowana. Odciągałam to w czasie.

Moja kuzynka prowadziła zakład krawiecki. Szyla płaszcze, libry, takie krótkie kurtki, rozszerzane z klapami à la Słowacki. Kupowała jeszcze apaszki, bluzki, paski. Wszystko, co kupowała, poprosiłam, żeby mi dała, że pojadę do cioci na wieś w koszański i sprzedam. Tak jak ona, bo sprzedawała to na bazarach na Lutomierskiej. Już wiedziałam, że to się tam sprzedaje, bo kazała mi stanąć z tymi rzeczami, tam policjanci gonili. Ja jej to dostarczałam. Ona do mnie przychodziła i brała. Nie było tego dużo, to była mała ilość.

[Kuzynka] była pomysłowa i sobie radziła w życiu.

Pojechałam z towarem, co od niej wzięłam [i pojechałam z nim] do cioci, mamy siostry. Poszłam tam do PGR-u i wszystko było rozchwytnie. Jeszcze mnie zapraszały, żeby przyjechać. W tym czasie również chodził taki prezes, który werbował uczniów do szkoły handlowej. Ja się zgłosiłam. Miałam szczęście. Zapisalam się i jeszcze raz przyjechałam z towarem [do cioci na wieś].

Przywiozłam pieniądze, a [kuzynka] złapała się za głowę i mówi: „coś ty zrobiła? Tak dużo żądać od ludzi, którzy nie mieli pieniędzy”. Ja jej tłumaczyłam, „ciociu, tak się handluje”.

[Ona] „Ty Boga w sercu nie masz”. „Ciociu, przecież oni mieli prawo się ze mną targować. Nie chcieli?”. Moja kuzynka, ta, co mnie wzięła z domu dziewcząt, pyta się, a gdzie to jest? A moja ciocia, jej matka mówi: „co, klientów chcesz jej zabrać?”. Były uczciwe. Nie było oszustw, natręstwa, złodziejstwa. [...]

Nauka – praca – mieszkania:

Skończyłam szkołę handlową. Po tej szkole jeszcze poszłam do technikum ekonomicznego. Też je skończyłam. Miałam jedną maturę i drugą. Po szkole pracowałam. Cały czas byłam samodzielną dziewczyną. Wynajmowałam mieszkanie, ale bez niczego. Nic nie miałam. [Były tam gołe ściany]. Pierwsze mieszkanie było w województwie koszańskim, miejscowość C. Miała 5000 mieszkańców. Tam są wspaniali ludzie. Nie miałam mebli. Ciocia mi dała pościel, kożuch, pierzynę, węgiel, bo był piec. Ale dlaczego nie mogłam napalić w piecu? Wstawałam rano i szłam do pracy, bo pracowałam w księgowości. Jak był bilans, to nawet do 24:00, a potem po bilansie prowadziłam kurs. Przyuczałam się. Nie było czasu napalić, nie było jak. Wszystko robiłam w niedzielę, prałam. A jak spałam zimą, to pamiętam, że miałam szron na brwiach i na rzęsach. Jak był bilans, to razem ze mną w jednym łóżku spała pani główna księgowa. Przyjeżdżała z Cz. na bilans. I taka była ślizgawica, bo tak się szło na skos i woda z rana zamarzła. Ona się poślizgnęła, miała taki duży kapelusz i spadł jej z głowy. Zamiast jej pomagać, to zaczęłam się śmiać. Przepraszalam ją. To była tragedia. [...] Pracowałam [potem] też w Sz. Najpierw pracowałam w księgowości w C., potem w Sz., jako kierownik transportu. Tematu nie znałam, siadałam do biurka i robiłam. Potem

po miesiącu wrócił kierownik i ja ustąpiłam z tego miejsca. Poszłam do dyrektora tej firmy i awansowałam na kierownika do spraw zaopatrzenia w tym samym przedsiębiorstwie. Spotkałam koleżankę, której matka w domu dziewcząt była praczką. Miała mnie zaprosić do swojego domu, bo wyszła za mąż za lekarza. Ale nie doczekałam się tego, bo wyjechałam do Łodzi. Z tamtym był koniec.

Miałam dwadzieścia trzy lata, jak stamtąd wyjechałam do Łodzi, do tej ciotki co ukradła moją siostrę. Tam przebywałam jakiś czas. Potem mnie poznała z moim kuzynem. Jakies załoty, ale ja byłam nieetykalną osobą. Wyprowadziłam się. Jak można mnie proponować takie rzeczy? Byłam samodzielną i płaciłam za mieszkanie. Mieszkalam u kogoś kątem.

To było vis à vis teatru na L. [...]. Tam mieszkalam u pani Basi. Miała bardzo dobre serce. I to mieszkanie było umeblowane. Pościel też była.

Potem mieszkalam na ul. O. Jak wtedy, co z tym kuzynem, gdy zdenerwowałam się na niego, to tak się bardzo zdenerwowałam, że jak jechałam do pracy [...], a pracowałam w usługach telewizyjnych w księgowości, to płakałam w barze. W każdym razie zamieszkalam jeszcze krótko u innej cioci [...]. Tam też byli wspaniali ludzie. Był oddzielny pokój. Nie miałam z nią bliższych kontaktów. Mijałyśmy się. Ja też tylko chodziłam tam nocować, czytałam sobie nieraz.

Życie uczuciowe – ciąża i małżeństwo – własny dom:

Tu [w Łodzi] pracowałam w Zenicie. Miałam też taki nieszczęśliwy przypadek. Po godzinie 17:00 wysiadam z tramwaju [...]. Dobiegł do mnie jakiś człowiek, taki wojskowy i złapał mnie z tyłu. Ja tak się przeraziłam, że mnie zatkało i nie mogłam krzyczeć. Nie mogłam z siebie wydobyć głosu. Zbieg okoliczności był dobry, bo kobieta zamykała piwnicę. Pani Sz. Słyszałam zgrzyt zamykanej piwnicy. On się odwrócił, a ja zamiast uciekać, w takim byłam w szoku, zaczęłam go gonić. Jak przyszedł, to opowiadałam tej pani. Trzęsłam się, ręce i nogi. Rano czytam gazetę, a to był zboczeniec. Zboczeniec grasował w wojskowym ubraniu. Szczęście cały czas mi sprzyjało. Potem to środowisko, jakie miałam, to dzięki koleżance z księgowości, z biura. Miałymy dobrych znajomych [...]. Normalne życie towarzyskie. Wspólne zakupy. Obiady w Urzędzie Miasta były załatwione. Chciałam prowadzić życie rodzinne, miałam już dwadzieścia pięć lat. Tak się stało, że nieszczęśliwie się zakończyłam. Nieszczęśliwy przypadek, jestem w ciąży. On powiedział, żebym usunęła. To było vis à vis Empiku. Uderzyłam go w twarz, bo mnie zdradził. Poszłam ze łzami w oczach. Powiedziałam jego matce, byłam u niej. Znałam ja, a on był rozwiedziony. Miał żonę alkoholicką. Ja w to uwierzyłam i matka też przyjęła mnie jako przyszłą synową. Bardzo mnie polubiła. Ja tak nieraz wspominam, że moją mamą jakby była [...].

[Po tym co się stało] zwierzyłam się [przyjaciółce] i z nią się spotykałam. Byłam wtedy u niej w sobotę. Zadzwonił do niej jej przyjaciel i mówił, że jest z kolegą: „Przyjadę po ciebie, to posiedzimy i się zabawimy”. Ona mówi, że ma koleżankę. Ja mówię, że nie wspominaj mnie, bo jestem po pracy i nie jestem przygotowana. [Ona] „Otwórz szafę i wybierz sobie najfajniejsze rzeczy”. Ja mówię, że nie, ale on zaraz przyjechał taksówką. Poszukała tych rzeczy, ja się ubrałam i pojechaliśmy razem. Spotkałam tego człowieka [kolegę przyjaciela przyjaciółki], przywitałam się. Rozmawialiśmy. A mnie bardzo zależało, żeby poznać kogoś na szybko. Sama z dzieckiem bym była i to mieszkanie... Tego samego wieczora on zaakceptował sprawę. Był wdowcem od trzech miesięcy. Był wolny. Od razu mi się oświadczył tego samego wieczora.

Powiedziałam mu, że jestem w trzecim miesiącu ciąży. Moja przyjaciółka to potwierdziła. On zaufał mnie i jej. Widzieliśmy się pierwszy raz w życiu. Ten jej przyjaciel opowiadał, że on jest w porządku. Przedstawił jego zalety. Było tzw. poręczenie. Mówił o swojej żonie, że nie żyje. Ten mi powiedział, że jest bardzo gospodarny, że dba o dom, dzieci, że nie pije, ale palił.

Miał trójkę dzieci, już dorosłych i był [ode mnie] dwadzieścia dwa lata starszy. Wiedział kim ja jestem. To był bardzo mądry człowiek. [...] Był pochodzenia żydowskiego. Widziałam z wyglądu. Albo może ten kolega powiedział, nie wiem. Mnie się spodobał, miał czarne włosy, czarne oczy. Nie był wysoki, ale był mądry. Dobrze się wysławiał. Był z Łodzi, ale przedtem z Warszawy. Do Łodzi ich zesłali z Uzbekistanu. Rodziców miał w Warszawie. Pokazywał gdzie mieszka, że blisko domu kultury. Pokazywał metrykę do ślubu, to wiedziałam. To był dobry człowiek. Skończył szkołę, bo miał podobno sześć klas gimnazjum. Skończył jakiś kurs i otworzyliśmy firmę. Jak było dziecko, to musiałam się zająć dzieckiem, bo było bardzo ciężko chore, nóżkę. On to zobaczył i się wystraszył. Od razu byli lekarze, do szpitala, masaże. Potem była nóżka w gipsie.

[Jego dzieci] Był szesnastoletni M. I on tam mieszkał. Najstarszy miał więcej lat, może osiemnaście–dziewiętnaście i był z Żydówki. Ten M. był z Polki. Ja miałam dwadzieścia pięć lat. Najmłodszy, J, miał osiem lat i był u babci. Czyli ja byłam trzecią żoną. [...]

Od razu jak mi się oświadczył i po zakończeniu tego dancingu pojechaliśmy do jego mieszkania, żeby zobaczyć jak mieszka. Moja przyjaciółka i jej przyjaciel [też]. Mieszkanie zaniedbane, podarte firanki, stół też taki nieciekawym. Podłogi pomalowane. Przestrzeń była duża i byliśmy tam do rana. Cała czwórka tam spała. Nikt nie był pijany. Spotkanie jak w filmie. „Za tydzień przyjedź po rzeczy, bo mi obiecałeś”. A on: „co, będę czekał tydzień? Ja dzisiaj przyjadę po pracy”. Jeździł na żuku i po pracy jeszcze dorabiał na taksówce. Był zaradny. Przyjechał i zabrał moje wszystkie książki. Potem mi wymawiał te książki, że taki posag. A tam pani Sz, „ojej, pani nas opuszcza, wyjeżdża. A my tak myśleliśmy o pani, że będzie pani naszą synową”. Trzeba było wcześniej mówić. Mieli syna. Tam mnie lubili, nawet poznali ze swoją rodziną, która na górze mieszkała. Ciągle spotykałam dobrych ludzi. [...] Na ul. L. też mnie traktowali jak rodzinę. Miałam dużo szczęścia w życiu.

[...] Powiedziałam [do M. – średniego syna jej męża] „dzień dobry, ja będę przyszłą żoną twojego taty. Jeżeli chcesz, żeby między nami było zawsze dobrze, żebyśmy żyli w zgodzie w tej rodzinie, to bardzo cię proszę, że zanim coś powiesz, najpierw się zastanów, czy warto to powiedzieć. Wtedy będziemy się rozumieć i na jednej linii będziemy rozmawiać”. Tak powiedziałam od razu i spontanicznie. M. pomagał mi we wszystkim. Mój mąż był zajęty pracą, a on pomagał. Mąż miał też mamę, którą kochał. Był o dobrym sercu, ale mnie zdradzał. Był moment załamania. Na krótko się rozstaliśmy. Wzięłam moje dziecko i pojechałam do mojej niedoszłej teściowej [jednej z matek jej poprzedniego partnera – ojca biologicznego dziecka]. Powiedziałam jej, że jak przyjdzie do pani syn, to proszę nie mówić, że tu jestem. I on kiedyś był. Nie zdradziła się. I dziecko też było. Chyba że dziecko by zapłakało, to wtedy by usłyszał. Nigdy się nie dowiedział. [...]

Własny interes:

[Mąż] został zwolniony z pracy. Przyszedł załamany i coś się stało strasznego. Zrobił się błąd jak ściana. „Zostałem zwolniony z pracy”. [Ona] „To ja pójde do prezesa i może porozmawiam. Może się uda, że cię przywrócą do pracy”. Nie mógł, bo wszyscy krzywo patrzyli,

że toleruje itd. [chodzi o nagonkę antyżydowską pod koniec lat sześćdziesiątych XX w.]. Nie udało się tego załatwić. Opowiedział [...], że kiedyś prowadził interes. To było kaletnictwo. Ja sobie pomyślałam, czemu nie. Nie mam pieniędzy, ale porozmawiam z panią K., kierowniczką działu księgowego i pożyczę pieniądze na miesiąc. Miałam na pierwsze potrzeby tego interesu. Potem poszła taka fama, że nie mogę wrócić do pracy, bo dziecko chore, bo to, bo tamto. [...] Przyjechała z pieniędzmi, przyjąłem je i podziękowałam. [...] Jak się dorobię, to wtedy oddam. Tak to się zaczęło. On zarabiał pieniądze. Ja byłam motorem napędowym. Byłam sama na rynku. Pochwalę się, że byłam bardzo ładną dziewczyną. Byłam zadbana, mam bardzo ładne oczy. Byłam bardzo elegancko ubrana. Pracowałam w księgowości, więc dużo zarabiałam. Jeszcze po pracy też dorabiałam. Byłam zaradna. Zawsze miałam coś nowego. Miałam ciuchy, bardzo ładne kapelusze. Byłam taka inna.

[...] Załatwiłam stoisko. Mój mąż mówi: „a może nie będziesz stała na rynku”? Mówię: „dlaczego nie? Już rozmawiałam z kierownikiem i się zgodził. Jak nie będzie mi dobrze szło, to się z tego wycofam”. Przekonywałam go „spróbujmy”. Ten kierownik się tak na mnie popatrzył. On się uśmiechał, to ja też się uśmiechnęłam. Stół mi wyniósł z biura. W biurze była kawa, to ten co robił, mi przynosił. To się nie kończyło na kawie, bo on chciał się ze mną umawiać. Podrywał mnie. Nigdy się z nim nie umówiłam. Nigdy, ale względy zawsze miałam. [...] Mojego męża już widział. Był młody, przystojny pan magister. A tutaj był niski człowiek, starszy ode mnie. Myślał, że ma pole do działania. Przychodzili do mnie tajniacy, policjanci na rozmowy do tego mojego straganu. Pierwsze wrażenie na rynku to był dla mnie szok. Nigdy z nimi nie rozmawiałam. Teraz rozmawiam normalnie. Przyzwyczaiłam się do tych ludzi. Oni też byli grzeczni, mili. Wszystko było w porządku. [...]

Wyjeżdżałam jeszcze z towarem, bo mąż tylko produkował. Pierwszy wyjazd był do K. Tam zawoziłam towar. Jeszcze mąż mnie ostrzegał, że nie przyznawaj się, że jesteś moją żoną. Ja mówię, że dobrze. Przywiozłam pieniążki i te kartony pod pachą takie z tektury. Płaszcz miałam elegancki, różowy, na stojce, rozkloszowany, piękny. Torebka też w kolorze tego płaszcza. Byłam taka elegancka i ten karton. „Mogłaś go wyrzucić na śmieci” [mąż]. Ja mówię, że przecież to 5 zł kosztowało. Tak się dorabialiśmy. Ja tam jeździłam aż zarobiłam na pierwszy samochód. [...] Jeździłam autobusami. [Brałam] cały karton taki duży jak telewizor. Może jeszcze większy. Prosiłam innych i mi pomagali. Chciałam im płacić, ale nie chcieli ode mnie pieniędzy. Zanosili mi razem ze mną albo sami nieśli. Pan w autobusie mówi, a pani to do pani B? Ja mówię, że tak. Ja panią autobusem podwożę. Nawet autobusem podjechał [...]. To było oczywiście niedaleko przystanku autobusowego. Ciekawe to wszystko było. Takie przyjemne.

Kolejne etapy życia małżeńskiego:

[...] [Męża] nigdy nie sprawdzałam. Ludzie mówili, że złodziej. Pracownia już działała i nie będę przedłużała tego tematu. Spytał się jeszcze o dziecko, to najmłodsze, „czy pozwolisz, żeby był z nami”. Ja mówię, „że jak ciebie chciałam, to i twoje dzieci”. No i ten J. przyszedł. Był mną zachwycony. Do babuni nie chciał chodzić, tylko ze mną. „Mama była fajna. Nie będę do babuni wcale przychodził”. [...] Kiedyś dzwoni jakaś kobitka czy dziewczyna i [J. – najmłodszy syn jej męża] mówi tak: „znów do ojca jakaś k...a dzwoni”. Ja mówię, że to na pewno koleżanka. Nigdy nie powiedziałam tak, jak on. Ani z tym starszym, nastolatkiem, ani z tym młodszym, ośmiolatkim. Tak, że nie można było tak robić. [...] Nigdy nie było kłótni w domu. Co wiedziały, to wiedziały, ale nie z moich ust.

[...] [Córeczka] była bardzo regularnie leczona. Miała pięć miesięcy, jak z nią pojechałam z M., tym nastoletnim, co ojca zastępował. Udzielał mi pomocy. On zawsze jeździł ze mną do lekarza, żebym ja nie dźwigała. Już taki był, żeby wszyscy mi pomagali. Jak miała pięć miesięcy, to lekarz powiedział, że choroba ustąpiła. Codziennie kąpałam dziecko. M. przygotowywał stół, była wanienska i on mi asystował. Ja tu myłam itd., a J. się patrzył, „ciociu a kiedy ja będę mógł ją wykąpać”. Takie to wszystko było rodzinne. Nie było zazdrości. Wszystko szło w dobrym kierunku, w kierunku moim i mojego dziecka. Mój mąż był tak zadowolony. Jak miała trzy latka, śpiewała. Mówił, że powtórzy wszystko, co ja będę chciał. Powiedz córciu „dom, je. Dom jebie”. I powiedziała. Tak jej się spodobało to słowo. Będąc na podwórku z dziećmi, biegała, bawiła się i powiedziała. Dzieci przybiegły na górę, i że ona bluźni. A co ona mówi? A mówi to słowo. Ona nie wie, co mówi. Później jak zaczęła śpiewać taką melodię. Znow był zachwycony. „Moja córka będzie miała jakiegoś ambasadora, [...] Kim ona będzie?”. Bardzo się cieszył. Miał trzech synów i córeczkę. Dziewczynki lubił. I córka też go kochała. [...]

Po śmierci mojego męża przyjechał jego syn jeszcze jeden, który rzekomo miał wyjechać do Izraela. On nie wyjechał, tylko został, nie wiadomo gdzie był wychowywany. Mnie w tym czasie nie było, bo pojechałam z towarem. Po śmierci mojego męża to ja wszystko przejęłam. Zmarł w 1980 r. Ja wtedy dalej prowadziłam zakład w tym samym miejscu. Mnie nie było, a córka zapytała się o jego dane, czy telefon. Nie spisała, bo była zazdrosna. O każdego była zazdrosna. Taka była egoistka. Potem już nie było kontaktu. Przyszedł do pracowni, „dzień dobry”. Wyszedł pracownik i ten jego syn do tego pracownika: „Nareszcie cię spotkałem. Szukałem cię tyle lat. Nie mogłem cię spotkać”. „A kogo pan szukał?”. „Swojego ojca”. On takie oczy i mówi, że „ja nie jestem pana ojcem”. „A gdzie mój ojciec?”. „Pana ojciec nie żyje”. On o tym nie wiedział. Nie odezwał się [później]. Był tylko raz i zniknął. Nie wiedział, że miał przyrodnich braci. Powinni się trzymać razem, bo mieli jednego ojca. Szukał, chciał wiedzieć. On był lekko wypity, bo córka mówiła, że coś wziął może na odwagę. Więcej się nie pokazał. Stracił na tym, bo ja bym mu dużo powiedziała o ojcu. Jego mama mówiła o moim mężu, że pierwszą żoną była Żydówka. Tak, że ja miałam bardzo dobry kontakt z Żydami. Wszyscy chcieli mnie zaprosić, ale mój mąż nie życzył sobie z tego powodu, że on był już ochrzczony na wiarę katolicką.

Z nimi [Żydami] nie utrzymywał kontaktów. Oni nawet nie chcieli od niego kupować. Taki był jeden Żyd, świętej pamięci, że też nie chciał nawet o nim słyszeć, [...] „bo ma taką żonę jak ja i jeszcze się innymi umawia. On nie szanuje takiej żony. Zaraz zadzwonię po kierowcę i panią zawiozę do domu. Żebym ja była zadowolona, żebym nie miała takiego drania za męża”. Oni go nienawidzili za to, że się ochrzczył. Ja byłam dla nich ważna. Jeszcze po jego śmierci to też mnie bardzo lubili. I za jego życia zapraszali mnie. Wszędzie mnie zapraszali wszyscy Żydzi. Miałam dobre kontakty tym bardziej, że polubiłam ich człowieka. Dalej mam dobre wyobrażenie na temat Żydów. [...]

Zwrot życiowy:

[...] Szczęście mnie opuściło pół roku po śmierci męża. Pół roku po wyszłam za mąż. Takie rzeczy same się działy. Chodziłam do urzędu skarbowego, o wszystko sama dbałam. Rozwinęłam zakład kosztem własnego wysiłku i czasu. Byłam nakręcona tym wszystkim. Sama się nakręcałam i nie miałam kiedy odpocząć. Tyrałam dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ludzie wyobrażają sobie, że praca umysłowa jest taka lekka. Zależy jaka praca.

I dom, córka i jeszcze pies. Nie sprzedawałam psa, bo szkoda mi było go zmarnować. Przywiązałam się do niego i moje dziecko też. O 2:00 w nocy szłam na spacer, sprzątałam łazienkę, denaturatem smarowałam, bo nie było takich środków jak teraz. Czyściłam podłogę w łazience. A dom jak postawiliśmy na nogi, to mieszkanie! Były dwa schowki, kuchnia i dwa pokoje. Zrobiliśmy tak, że dwa pokoje zostały. Tam, gdzie była kuchnia, była pracownia. Z jednego schowka była zrobiona łazienka, a z drugiego kuchnia. I jeszcze był przedpokój. To wszystko była sprawa pieniędzy, że zarabialiśmy pieniądze. Pieniądze to ja zarabiałam. Bardzo lubiłam zarabiać pieniądze. Interes był mojego męża. Mój mąż daleko zaszedł, bo kierował tym wszystkim. Był przyuczony z Rady Spółdzielni. Prowadził zebrania. Na pogrzebie byli wszyscy. Dużo było obcych, był ksiądz, przyjaciele. Rozmawiali, przemawiali, załatwiałam orkiestrę taką tramwajową dętą. Pamiętam, że wszyscy mi pomagali.

W domu padł na zawał serca. Ratowałam go, dzwoniłam i on już nie żył. Szelka mu upadła. Ja nawet nie widziałam, patrzę, a on już nie żyje. Jeszcze mocz oddał i nie żył. Już nie było kogo ratować. [...] Kiedyś udał takiego nieboszczyka. Oczy wywrócił i my z córką się popłakałyśmy. Był taki zgrywas. Dużo kryminalów czytał przed spaniem. Lubiał tańczyć. Taki jeden prowadził szkołę tańca. Może ja go urzekłam tym tańcem? Chodziłam na tańce w szkole handlowej. Chodziliśmy na początku na dancingi. W ciąży nawet chodziłam na dancingi. Chodziliśmy od 6:00 wieczorem do 6:00 rano. Też do Casanovy. Dwanaście godzin. O 6:00 dozorca nas wpuszczał, dostał napiwek. To było krótko. Potem już była firma, to już nie było jak. Taki przyjemny przypadek. Jesteśmy na dancingu w Casanovie. Młody człowiek w wojskowym ubraniu. Nie wiem, czy był wojskowym, ale był w mundurze, ze Zgierza. Wziął się za amory. Najpierw ze mną chciał zatańczyć. Ja mówię: „dlaczego? W jakiej sprawie pan przychodzi?”. „Chciałem panią zaprosić do tańca”. [...] mąż się zgodził. Tańczyliśmy ten utwór z Boni M, co się tak kładzie na podłozie, a ona tańczy. I ja tak tańczyłam. Uczyłam się gimnastyki. [Nauczycielka] Uczyła nas cierpliwie tego wszystkiego i to wszystko miałam w sobie. Do dzisiaj to mam. Ruchy i to wszystko jeszcze mam. Ja byłam jej pupilką. Chciała żebym poszła do szkoły o profilu wychowania fizycznego. Ja nie chciałam. Ona widziała, że chyba byłby ze mnie jakiś materiał. Potem podjęłam technikum.

Drugie małżeństwo – nowy dom:

[Drugi mąż] miał żonę pijaczkę. To mi moja klientka załatwiła [zeswatała ich]. Ładnie się ubrałam, włosy zrobiłam na czarno. Przyjechałam do niej do domu z tym towarem. On też był. Jeszcze przed tym mówiłam, że rezygnuję. A ona, że za późno. Już jest. [...] Przyjechałam i on się mnie wystraszył. Siedział koło mnie, ale się trząsł. Bał się. Potem włosy odbarwiłam. [...] Nie chciałam go. Byłam z kierowcą, bo jeździłam taksówką. Ten mój kierowca, mówi, że „teraz pojedziemy i go pani zobaczy”. „Niech pan mi nic nie mówi, bo przestanie pan ze mną jeździć”. [...] Taki cienki, nie. Nie chcę go. Potem pojechałam po telewizor, on był kierownikiem. Gdzieś jechaliśmy, odwiózł mnie do hotelu. Pożegnaliśmy się i sobie pojechał. Pocałował mnie w rękę i to wszystko. Tak oficjalnie. [...] Nie miałam serca. Potem jakoś widziałam się z jego bratem. Brat zagadał, że skąd taką fajną dziewczynę poznałeś? Jakoś tak się stało, że przyjechał do Łodzi i pożyczył samochód [...]. Przyjechał do mnie. W domu nie można było się spotkać bliżej. To moja przyjaciółka, ta, co była u mojego pierwszego męża: „przyjeżdż, bo na pewno tam nie możecie sobie porozmawiać na osobności z tym I.”. Bo to córka itd. Ona mnie zaprosiła. Tam dopiero się poznaliśmy.

Wtedy on mówi, że on mnie nie zostawi i nie pojedzie. Mówię, że „nie wygłupiaj się, tylko pojedziesz i koniec”. I tak się zaczęło.

Ja to się bałam z takim młodym. Nie chciałam, bo dziewięć lat młodszy. Miał dwadzieścia dwa, młodszy dziewięć lat. Moja przyjaciółka mówi, że „ciebie jest na to stać, mnie by na to nie było stać”. I ja jej posłuchałam. Potem byliśmy razem, bo on przyjechał do Łodzi i mieszkał ze mną. Idziemy i mówi, „chodź, dowiemy się o termin na ślub”. Weszliśmy i było na październik. Powiedziałam, że nie, wycofaj i weź na grudzień. Wybraliśmy termin. Bardzo dobrze nam było. Ale córka była zazdrosna. Miała dwadzieścia dwa. Tata to był tata, a on jest obcy. A synowie pierwszego męża wyjechali jeszcze w czasie życia swojego ojca. Ojciec nie był dla nich taki dobry. Był bardzo surowy, szczególnie dla chłopaków. Trzymał ich bardzo krótko. [...] [jednego z pasierbów] odprowadziłam na dworzec, pożegnaliśmy się. Potem też był z nim kontakt, przysyłał paczki. Oczywiście wszystko dla mnie. Przyjechał po paru latach, a wyjechał do Danii.

[Drugi mąż jednak] Nie życzył sobie kontaktów [z poprzednią jej rodziną]. Był taki zaburczy. Teściową jaką miałam wspinałą. To ja byłam lepszą synową. Miała drugiego syna, to już tamtej tak nie chwaliła. Jak umarła, pomogłam załatwić trumnę. Taki sarkofag.

[...] Wyprowadziliśmy się [...] i pojechaliśmy robić interesy. On nie chciał płacić alimentów. Żałuję bardzo, że ja nie płaciłam za niego. By nas nie ścigali. Wyjechaliśmy w nocy z bagażem, z wszystkim. Pamiętam, że nocą zabieraliśmy meble. Chciałam prowadzić interesy do Ruskich, miałam taką pośredniczkę, ale potem zmieniły się przepisy celne. Rosjanie mieli płacić 30 proc. cła i nie przyjeżdżali. Nie wypaliło. Przyjechaliśmy z powrotem do Łodzi. Mąż się wziął za naprawy sprzętu AGD. [...] był takim złotą rączką od zegarka po samochód. Miał jeszcze skończone technikum. Świetnie sobie radziliśmy przy jego zawodzie. Wynajmowaliśmy mieszkania.

W S. to był dom, 300 metrów. 5 milionów miesięcznie się płaciło. Już miliony płaciłam za pobyt tam. To był wielki, piękny dom jeszcze niezamieszkały przez nikogo. Myśmy tam byli pierwsi. Były parkiety, łazienka i pracownia. Nie było ludzi do pracy, towary z pieniędzy się wstawiało do sklepu. Kiedyś się w ogóle nie brało za towar. Przyjechaliśmy z powrotem do Łodzi. Tu pracował i wynajmowaliśmy mieszkanie. Pierwsze mieszkanie nie pamiętam, jakie było. To były pojedyncze mieszkania. Nie, od razu dwa pokoje. To było w A., s potem nie pamiętam. [...] Pojechaliśmy do córki i tam trochę byliśmy. Tam był alkoholizm. Córka wyszła za mąż za mojego pracownika, alkoholika. I tam nie można było długo mieszkać. Wtedy szukaliśmy w ogłoszeniach. Nie wiem jakim cudem to się stało, że ja znalazłam pośredniczkę. Może w ogłoszeniu była pośredniczka. Zadzwoiłam na ten numer i ona nam załatwiła mieszkanie. Mieliśmy być u niej [u córki] w domu do Sylwestra 1985. Była taka awantura, że musieliśmy się w nocy wyprowadzić z bagażami. Mróz był taki wielki. Też z pieniędzmi. Przed świętami nieraz stawałam na rynku razem z mężem i sprzedawałam jemiółę i palmy, ale to na Wielkanoc. Były pieniądze na zapłatę mieszkania, na kupienie towaru w W. Cały czas, żeby coś kupić i sprzedać. Żeby zarabiać na utrzymanie. Było ogłoszenie w gazecie, to mąż rozwoził samochodem [...]. Później było ogłoszenie w gazecie, że do regeneracji taśm. Mąż to robił [...]. Potem zobaczyłam, że tam jest jeszcze opisane, że są tonery. Trzeba było dojeżdżać do S. Zainteresowaliśmy się. Jak to zrobić? Ale trzeba spróbować. Weszliśmy w nowy interes. [...] Braliśmy od sztuki 200 zł. On nie myślał, tylko ja myślałam, bo on pracował [...]. Potem się to wszystko rozsypało. Maszyny się zabrudziły i trzeba było przerwać. Tym bardziej, że przychodziły nowe tonery i były coraz tańsze. Nie opłacało się. [...] Wtedy te tonery pozyskiwaliśmy i sprzedawaliśmy tym naszym odbiorcom. Przede wszystkim instytucjom, urzędowi skarbowym. Sądy to nie

drukowały, komunikacja miała swoje, ubezpieczenie też swoje, czyli ZUS. Wszystkie instytucje oblatywaliśmy. Razem [...] Nigdy osobno, zawsze było razem. Od momentu poznania się byliśmy cały czas razem. [Inaczej niż z pierwszym mężem] Na okrągło byliśmy razem. Też był zupełnie innym człowiekiem. Nie lubił Izraela. Byliśmy razem dwadzieścia pięć. A tak mi się zdaje, że tylko pięć czy dwadzieścia pięć dni. To było takie krótkie.

Dostał udar mózgu. Bolała go głowa i noga po tej samej stronie, po prawej. Wyszedł od klienta i upadł przy samochodzie. Ja do niego dzwoniłam, bo go długo nie było. Zabrało go pogotowie. Pojechałam do szpitala. Był nieprzytomny. Później go nie uratowali. Byłam zła na niego. Miał tabletki, a szukałam i nie mogłam znaleźć. Wychodził od klienta i miał wstąpić do apteki i nie wstąpił. Nie by się wtedy nie stało. Gdyby wziął tabletki, to by mu przeszło. Chorował na nadciśnienie i miał nieleczone. Takie nieszczęście się stało. Potem córka się do mnie wprowadziła. Opuściła męża. Jej mąż umarł jeszcze za życia [drugiego męża „Zofi”]. Miał pięćdziesiąt dwa lata, jak umarł. Była u nas, przez cztery i pół roku nie piła. Potem jak mąż zmarł, to nie bała się już niczego. Nie był rygorystyczny, ale to mężczyna. Czuła respekt.

Córka:

Jej mąż był alkoholikiem. Mój były pracownik. Żona go odstawiła za alkoholizm. Pojechała do pracy do Niemiec. Jak wróciła z Niemiec, to w ogóle nie wróciła do domu tam, gdzie on był. Wynajęła sobie mieszkanie. Nie chciała z nim być.

[Córka] Była zazdrosna, ciągle nie miała chłopaka. Jeszcze nie powiedziałam, że bardzo ciężko chorowała. Miała zaburzenia hormonalne. Nie mogła mieć normalnego okresu. Miała bardzo ciężką operację [...]. Nie rokowało, że będzie dobrze. Jak spytałam się profesora, nie był pewien, czy dobrze poszło, czy źle. Szczęście od Boga, że poszło dobrze. Wycierpiała się, nie miała tego chłopaka. Jaki był, taki był. [...] Miała też duże owłosienie, to też ją krępowało i krępowało chłopaka. Starszy bardziej rozumiał, a młody tego nie widział. Potem córka była u mnie. Skarżę się do mojej siostry, że ona pije, że nabrała kredytów, nie słucha. Chciałam jej pomóc, żeby skończyła technikum kaletnicze. Może robić torby albo coś innego. Nie chciała z tego skorzystać. Przepiła pieniądze. Dałam jej pieniądze, bo w takich przypadkach jeszcze ludzie ufają. Mąż jej zmarł. Ona też piła, awanturowała się. Policja przyjeżdżała. Źle się działo. Kłóciła się ze mną. Wymawiała mi tego mojego męża, że dobrze, że zdechł itd. Taka zazdrosna była.

[...] miała mieszkanie. Wyprowadziła się ode mnie do mieszkania po ojcu swojego męża. Jego ojciec zmarł i ona tam zamieszkała. Nie płacili komornego jakiś czas, zadłużenie. Zerwali podłogę, bo to nie było dobrze utrzymane. Mieli zastępcze mieszkanie, bo było dziecko i nie mogli ich eksmitować. Na D. teraz mieszka i też nie płaci, bo nie ma pracy. Warunki są gorsze. Stara kamienica. I tam jestem zameldowana. Po śmierci mojego męża chciała mnie zameldować. Nie prosiłam jej o to, ona sama chciała. To była prywatna kamienica.

Droga do schroniska:

Od mojej córki z kamienicy pojechałam do mojej siostry. Tam narzekałam, że córka taka niedobra, pije i się awanturuje. I siostra po mnie przyjechała bagażówką. Część rzeczy ze sobą zabrałam, a drugą część zostawiłam dla mojego dziecka. Moje dziecko było tak zajęte towarzystwem, że nie chciała nic wziąć. Ci, z którymi hulała to wszystko zabrali. Tak, że mi to wszystko zabrali. Oni to wszystko rozkradli.

Siostra urodziła dziesięcioro dzieci. I jedno dziecko jest pijakiem. I przyszło [do niej] na zimę, żeby nocować. No i ona mówi, że „masz córkę, to możesz jechać”. Pewnie, że mogę jechać. Przyjechałam do córki. Córki nie było, bo ona tylko przebywała z tym swoim towarzystwem. Poszłam do sąsiadki. Sąsiadka mówi, że jest taka noclegownia. To ja przyjechałam tu na godzinę 11:00 w nocy. Naciskam na domofon i nikt nie odbiera. Nie wiem dlaczego w nocy nie odbierały. Może w nocy nie wpuszczają postronnych osób. Zadzwoiłam na policję pod furtkę i oni mi dali numer telefonu. Ja zadzwoniłam, otworzyli mi tą furtkę i weszłam. Pani D. sprawdziła mi dowód, czystość osobistą. Wszystko było w porządku. Spytała się, czy chcę herbaty, kanapki. Mówię, że wzięłam ze sobą, bo jestem z podróży. Prosto z podróży tu przyjechałam. [...] No i tu przyszedłam. Nie podobało się to, że miałam stałe zameldowanie. W dzień musiałam opuścić to miejsce. Znowu wróciłam na tę ulicę. Tak zimno było.

[...] wychowywałam wnuczkę, bo rodzice to nałogowi alkoholicy. Wnuczka ma dwadzieścia lat. Wyjechała do Holandii. Wnuczka też piła z matką, powybijała szyby. Tam było tak zimno. Jak wróciłam do tego mieszkania bez szyb, sąsiadki [...] zadzwoniły do MOPS-u i opowiedziały całą historię. Ja tam nie byłam. No i pani opiekunka powiedziała, że kategorycznie muszę tu być [...]. Przyjechałam raz i nie chcieli mnie wpuścić i znów wróciłam. Ta pani opiekunka się zdenerwowała, bo nie wie, co ma zrobić z tym wszystkim. Ona nie będzie ponosiła odpowiedzialności, jak mi się coś stanie. Wtedy zadzwoniła przy mnie na policję. I musiałam z policją rozmawiać. Przykazali, że mają mnie przyjąć. Pani opiekunka powiedziała, że to ich obowiązek mnie przyjąć. Nie ma takiego prawa, żeby mnie nie przyjęli. Jestem chora, nie mogę chodzić przez dwanaście godzin. To może być góra dwie godziny, bo tu mnie obciera. Pęcherz mi też szwankuje. Musiałam prać majtki i mokre całe, a tu listopad. Przeziębiłam sobie pęcherz. Nie wzięłam na zmianę. Nie wiedziałam, że mi coś dadzą do ubrania. I sobie wyrządziłam taką krzywdę. A potem to już nie ustępowałam, bo powiedzieli, że mam tu być i koniec. I zostałam. Pogodzili się z tym stałym meldunkiem. Do DPS miałam skierowanie. Chciałam jak najszybciej iść i załatwić tą swoją sprawę.

Pobyt w schronisku:

Tu nie ma opieki. Nie ma uprzejmości do osób starszych i chorych. Wczoraj czy przedwczoraj powiedziałam pani kierownik, że ja potrzebuję opieki. Nie mogę wszystkiego zrobić na czas. Dłużej się kąpię. Jestem słabszym człowiekiem, nie młodym. Duża rozpiętość wiekowa tu jest. Tylko pojedyncze osoby są kulturalne, bardzo uprzejme. U nas w pokoju jest pani nauczycielka, która wie jak ma się zachować. Ja mówię do niej „cześć”, to ona mówi „dzień dobry”. Jestem wrażliwa. [...] Jestem tu już ponad rok. W listopadzie minął. [W sprawie DPS] Mam mieć jeszcze zwołaną komisję orzekającą. [Może będzie miejsce w 2014 r.] Czekam na miejsce na P., K. albo R. Poprzednia pani socjalna mówiła mi, że na

K. jest pięknie. Słyszałam, że na P. jest bardzo dobrze. Teraz niedawno o tym słyszałam, jak ludzie chwalili. Nie słyszałam nic o R. [...]

[Święta, jakie już tu spędzała – Bożego Narodzenia i Wielkanoc] były bardzo smutne. Życzenia mi złożyła P., ta, co ma dwadzieścia lat. No i te wszystkie, co były w sypialni. Ale ona szczególnie. [...] Jest dobrym człowiekiem. Ma tylko dwadzieścia lat. Jest bardzo grzeczna.

Jak ocenia swoją sytuację:

Jestem bardzo chora i nie mam pieniędzy. Nie będę rozmawiać z socjalną [Poza tym] ja już rozmawiałam. Z psychologiem rozmawiałam. Ja bym chciała, żeby jeszcze umiała pomóc... Pani socjalna obiecała, że napisze pismo do DPS-u. Tylko to może mi załatwić, bo moje wyposażenie jest o 20 zł za duże. To jest dla mnie niesprawiedliwe. [...]

Będę walczyła o to, żeby darowali mi jakąś pomoc. Chciałam, żebym miała pomoc w postaci obiadu, który mi zabrali, bo moje dochody są za wysokie. Chyba o niecałe 20 zł. Nie bierze się pod uwagę tego, że ja mogę zachorować i większość pieniędzy przeznaczam na leczenie. To nie jest brane pod uwagę. To samo kryterium nie powinno obowiązywać. Jakby człowiek był zdrowy, to nie brakuje na jedzenie. Nie bierze się do rozliczenia leków czy tych produktów, które są niezbędne dla organizmu, któremu potrzebne jest podawanie tych pierwiastków, które z niego ubywają.

Obiecali mi jednorazową zapomogę. Zostały tylko słowa. Jednorazowo może. To nie jest dla mnie odpowiedź. [...] Chciałabym uzyskać jakąś pomoc, choćby nawet materialną. To też by coś znaczyło. „A po co pani taka pomoc, jak pani nie będzie gotować?” [cytuje któregoś z pracowników jednego z urzędów]. To mi się bardzo nie spodobało. Do piątego każdego miesiąca dostaję rentę. Kupiłam leki i mało mi zostało. Już się zadłużyłam, bo nie miałam z czego żyć. Przykro mi mówić, ale nawet resztki jadłam. Przyniosła mi P. [dwudziestolatka, o której wspominała]. Tam było mięso, surówki i ziemniaki. Zjadła mięso i surówkę, a kartofle zostawiła. Te kartofle zostały [...]. Zjadłam te ziemniaki, ale czy ja będę jadła resztki po wszystkich?

Filozofia życiowa:

[...] Los sami sobie wybieramy. Niektórym się wydaje, że los nam ktoś inny zsyła, że przez przypadek go spotykamy. Może to jest przez przypadek, szczęście. Szczęście krótko trwa, jest bardzo ulotne. Potem mile je wspominamy. Znaleźć się w nieszczęściu to niezbyt przyjemna sprawa. Odrzucamy nieszczęście, bo po prostu zaczynamy inaczej myśleć, w drugim kierunku. Chodzi o to, żeby pozytywnie zadziałać na umysł, żeby się odstresować. To jest teoria i praktyka. Zależy jak osoba to stosuje i w jakim celu. Ja stosuję to dla zdrowia. Trzeba, bo nie mam innego wyjścia. [...] Dla zdrowia robię wiele rzeczy. Nakazuję umysłowi, że ma być tak a nie inaczej. Nieraz mnie posłucha. Rzadko kiedy jest posłuszny. Jak jest coś nie tak, to trwa kilka sekund. Już przychodzi informacja, że już wiem. [...]

Teraz się dziwi, że nie jestem taka ułomna, bo dobrze chodzę. Jednak w mózgu jest ta postawa. Na sto procent w głowie. Tutaj ciało jest chore. Boli, ale się prostuje. Zastaw się, a postaw się. Tu gorset jest tylko od dyskopatii, a nie jest od całego kręgosłupa. Jeszcze podpieram się laską, żeby ten kręgosłup, który tu mi się zaokrągła w kierunku pośladka, żeby

go wydłużyć. Wszyscy myślą, że ja świetnie chodzę i nikt nie uznaje mojego kalectwa. A ja stękam. Jak jestem bez kuli, to stękam, bo tu mnie wszystko boli. Nie wierzą w te moje bóle. To jest paradoksalne, nawet śmieszne. Trochę denerwujące, ale jest śmieszne.

„Piotr”

Ma ok. trzydziestu pięciu lat, jest niepijącym alkoholikiem. Niedługo po naszej rozmowie wyprowadził się z ośrodka do swojej przyjaciółki. W ośrodku mieszkał już od dłuższego czasu w pokoju jednoosobowym. Przez to jego kontakty z resztą lokatorów były doraźne. Dotyczyły tylko dyżurów, czyli spraw porządkowych i organizacyjnych. Nie miał głębszych relacji z żadnym z mieszkańców. Przestrzeń niedzielona z nikim w jego pokoju, rządziła się innego rodzaju (nie)ładem, niż tam gdzie przebywali ze sobą dwaj lub więcej sublokatorzy czy współlokatorki. Jego pokój był bardzo mały, liczył ok. 4 m kw. (dwuosobowe pokoje były jednak tylko może o 1,5 metra większe). Znajdowały się tam: tapczan, komoda, wąska szafa stojąca, szafka, półka, lustro, telewizor, mikrofalówka (co wskazywało, że nie zawsze chodził do kuchni). Na każdej powierzchni stały rzeczy, głównie kosmetyki, płyny do picia (woda, soki), leżały lekarstwa, rozwieszone były ręczniki. Drobiazgi tego typu w pokojach wieloosobowych najczęściej były zbite w kupki przynależne danej osobie i umieszczone w jej części pokoju. Często bywały pochowane, widoczne były tylko te, jakich używa się codziennie (kosmetyki, kubki, ręczniki). Upychanie ich i ustawianie w kupki, nawet jeśli zostawiono je na widoku, sprawiało wrażenie, jakby było ich mniej, ponieważ pozornie zajmowały mniej miejsca i były jak gdyby mniej widoczne. W jego pokoju zaś ich rozproszenie wywoływało wrażenie wielkiej liczby rzeczy.

Znajdowały się tam symbole religijne: różaniec i obrazki o treści religijnej. Nie nawiązywał do tego podczas rozmowy, ale wiem z innych rozmów nieformalnych z nim i z innymi osobami, że należał do tej grupki, która wyjeżdżała na pielgrzymki. O tym jednak za mną nie rozmawiał.

Dom:

Kojarzy mi się z domem rodzinnym, jak byłem mały. Chciałbym mieć coś swojego, ale swojego, żebym wiedział, że zawsze mogę do niego wrócić. Nie chcę mieszkać u kogoś, chcę mieć swoje. Swoje, pewne, że zamknę i zawsze, o każdej porze mogę wrócić. Nie mieszkanie z kimś, u kogoś, wynajmowane. Musi być papier. Twardo stąпам po ziemi. Bo jak coś jest gdzieś w powietrzu, to mnie nie interesuje. Od wczoraj mieliśmy taki temat z kierownikiem: żeby siebie zmienić [po to] żeby być sobą. [...] Mam takie zahamowanie, że chciałbym, ale otoczenie, brak pieniędzy i siedzę po prostu. To, co bym chciał – nie realizuję, bo nie mogę. Jeżeli my coś w życiu nie zmienimy sami, to życie się toczy i coś tam się zawsze wydarzy.

A jeżeli my coś postanowimy, zmienimy, to potem już dalej my musimy w to brnąć. Może nie jestem na to przygotowany, nie wiem. [...] chyba nie jestem. [...]

[Domu] brakuje mi, widzę ten dom, gdzie się urodziłem. Na R, w trzech pokojach, tam jest tylko mój ojciec i moja siostra, bo mama zmarła. Tam mnie ciągnie. Tam jestem myślami, jeżeli myślę o domu. Mieć swój kąt, a kto w nim będzie, to już zobaczymy. Czy np. córka ze mną zamieszka, jak dorośnie czy inna kobieta. [...] na pewno chcę mieć swój kąt i dbać o niego, żeby go nie stracić.

[...] dążę do tego, żeby się stąd wyprowadzić. Naprawdę tu jest miło, fajnie, tym bardziej, że mieszkam sam, nikt mi nie przeszkadza, ale ze względu na dzieci, na to, co jest przede mną w życiu, tutaj [się] blokuję po prostu. Zablokowany [jestem]. Zresztą K. to samo powiedział bezpośrednio kierownikowi, że wiele rzeczy nie można, bo jesteśmy tutaj i nie jesteśmy wolni.

Myślę, że jak tu już jestem i przysłały decyzja o przyznaniu mieszkania, to już obojętne, gdzie mieszkanie dostanę. Jak już mam papiery, że mi się należy. Mogłbym się w zasadzie wyprowadzić obojętne gdzie. [...] tutaj nie można być w nieskończoność, ale myślę, że w przeciągu roku-półtora wszystko się wyjaśni. [...] zacząłem załatwiać tę sprawę ponad rok temu. Jak tutaj przyszedłem w marcu dwa lata temu, to złożyłem podanie o mieszkanie bodajże w maju czy w czerwcu. Przysłali mi w lipcu odpowiedź, że mam złożyć dalsze dokumenty i będą rozpatrywać. Jak napisałem to podanie, to odwołałem się do tamtego podania, żeby ten okres [odsiadki] mi jakoś zaliczyli [...]. Administracja teraz do szesnastego miała urlop, bo prywatna jest [chodzi o administratorkę kamienicy, gdzie kiedyś mieszkał i zadłużył się] i jeszcze wypowiedzenie umowy dostarczyć do urzędu miasta. Zaświadczenie mam o tym, że nie mam żadnego prawa do lokalu i że tamto mieszkanie, co miałem, było zadłużone i wypowiedziana umowa [...].

Rodzina – alkoholizm – choroba – trzeźwość:

Miałem pogmatwane życie, bo mieszkalem u babci. Poznałem swoją przyszłą żonę. Ona się tam wprowadziła, ożeniliśmy się. Jak już zaszła w ciążę, to sobie kupiliśmy mieszkanie w prywatnej kamienicy, tam żeśmy się wyprowadzili, tam się urodziła córka. No i tam mieszkaliśmy, pokój z kuchnią. Pokój chyba 32 metry. Wiedziałem, że jak babcia umrze, to mieszkanie mam [po niej]. A tutaj sobie mieszkaliśmy, bo więcej miejsca, nie musiałem się z babcią męczyć. Ale po dwóch latach, jak już babcia była licha, ojciec mnie poprosił, żebym się tam wprowadził. Babcia żyła i żyła. Też sobie popijała, kolacyjki i imprezki rodzinne. Popadłem w alkohol. Zagubiony byłem, tak mogę powiedzieć. Nie dążyłem chyba do niczego, stałem w miejscu albo się cofałem, bo jak się patrzy wstecz, tak można powiedzieć. [...] Jak tutaj mieszkalem [z żoną, w kamienicy], to szwagierka ze szwagrem parę kamienic dalej [żyli] i tam było często [picie]. Pozwalaliśmy sobie [pić] w weekendy. W tygodniu było piwo, ale to były początki. Miałem problemy i to nie była kobieta dla mnie [żona]. Tylko jak wypilem, mogłem z nią wytrzymać. Wtedy się uspokoiłem, nie przeszkadzało mi. To też był na pewno powód mojego picia. Ona wypila kieliszek-dwa i była od razu zamulona. Bardzo rzadko piła. Były momenty, że [w] Sylwestra [...], wypila dwa i było wszystko w porządku [...]. Nawet mojej siostrze kiedyś powiedziała, że lubi, jak ja piję, bo wtedy jestem inny, inaczej się zachowuję, jestem elastyczny. Mnie tego nigdy nie powiedziała. [...] Jak przestałem pić, a jeszcze żeśmy się spotykali, bo do dzieci chodziłem, powiedziała, że jakiś sztywny jestem, nie ten sam, nie taki rozrywkowy.

Kiedys się nie patrzyło na pieniądze, co będzie jutro, tylko na to, co jest dzisiaj. Tylko wypić, pobawić się, a jutro się będzie myśleć. Gdy się popadnie w nałóg, człowiek nie potrafi funkcjonować bez małej ilości, [czyli to] nie musi być duża ilość alkoholu. Może być drink-dwa. Ale już się inaczej funkcjonuje. Co prawda, w niewielkiej ilości alkohol trochę pomagał, powiem szczerze, w mojej pracy przedstawiciela. Było łatwiej się porozumieć na spotkaniach integracyjnych i wyjazdach. Był alkohol, język się rozplątywał.

W moim życiu zawsze był alkohol. I po ślubie w 2003 r. zacząłem alkoholu nadużywać. [...] Nie mogę powiedzieć, nie była złą żoną. [...] A tutaj był rzeczywiście gdzieś indziej problem, dlatego tak oceniała całą sytuację. Może dlatego, że jej ojciec zawsze pił i ona go widziała pijanego.

[...] [Przedtem żyło się] normalnie, praca, dom, wakacje. Niby życie toczyło się normalnie, tylko to nie był taki dom, jaki ja bym chciał, teraz jak spojrzę wstecz. Jednak za dużo było alkoholu, przez alkohol pewne sprawy się nie poukładały, jakbym chciał, bo człowiek machnął ręką. Poszedł się napić, a potem było już za późno i przeszło. Dlatego źle [to] wspominam.

Tak naprawdę trzeba od nowa żyć. Wszystko, co zostawiłem na ul. M. [gdzie było jego mieszkanie z żoną i dziećmi], swoje rzeczy [...], odciąłem się, nie ma, zaczynam od nowa. Mam jedną parę butów, dam radę, nie wracam do tego, co było.

Jaki będzie [nowy dom], czy duży czy mały nie ma znaczenia. [...] [Powinien być] otwarty, żeby dzieciaki zawsze mogły przyjść, kiedy będą chciały, posiedzieć, pogadać, zostać, póki są małe i nie mają rodzin.

[...] Żyję dla siebie, ale dzieci mnie trzymają przy trzeźwości, bo przeze mnie trochę straciły dom rodzinny, ja jestem temu też winien i staram się im to naprawić. Dlatego jestem dla nich. Staram się jakoś im czwartki i niedziele im urozmaicić, żeby się nie nudziły, żeby wiedziały, że mają ojca, a nie pijaka. [...] wiedzą, że piłem, że byłem zły. To, co pamiętają, to pamiętają, a to, co im powiedziała moja była żona, to mogły sobie wyobrazić jak to małe dzieci.

[Córki] mogą tu przychodzić i przychodzą. Spać nie mogą, bo ja nie mogę ich zabrać na noc. Sąd mi nie pozwolił ze względu na to, że tu przebywam i nie ma wygod. Jest jedno łóżko i to jest ośrodek dla mężczyzn. Bo to dziewczyny, załatwić się nie ma [chodzi o to że jest jedna toaleta, nie ma oddzielnej dla kobiet]. Była tutaj kuratorka i powiedziała [...], że napisze, że tu jest ładnie, pięknie, czysto, bo ja czytałem to, co ona napisała w wywiadzie, ale sąd się nie zgodził i moja była żona. Ale jak się stąd wyprowadzę to na pewno... [córki będą jeszcze więcej czasu z nim spędzać].

Chcę, żeby mnie dobrze zapamiętały, jeżeli kiedyś coś by miało przyjść, bo jestem chory na trzustkę, nie daj Boże, raz już spod noża uciekłem. 2 proc. [szansy na] życie [miałem]. Nie wiadomo kiedy znowu może złapać atak i mogę nie wyjść już.

W 2003 r. zaczęły się moje problemy z piciem i w 2004 r. znalazłem się na stole operacyjnym w bardzo ciężkim stanie. Jakoś z tego wyszedłem i piłem dalej. Nic, ani lekarze, nic mi nie pomagało. Mój pokarm to było białe mleko, na cały dzień pokarm w kroplówce. Nic jeść, pić, z 87 kilo zrobiło się 65 kg. [Pielęgniarka mówiła] „Do McDonald'sa to pan nie pochodzi, tłustego panu nie można, niech pan zapomni o alkoholu”. Po co żyć? Da się żyć, tylko trzeba trochę popracować. [...] Ale jak wyszedłem ze szpitala, jeszcze miałem sączi, to już cichaczem sobie jakieś piwko. Na początku były bóle, ale przechodziły.

[Żeby przestać pić] to musiałby być wstrząs, [ale] taki [który się wydarza, gdy] człowiek jest świadomy. Jestem u lekarza, zrobił mi badanie i złapał mnie atak, a byłem w Pabianicach. Wziąłem pierwszą lepszą gazetę, dzwonię do faceta. „Panie, na ul. Z. jestem, przyjeżdż o której chcesz”. Ja myślę, na drugi koniec Łodzi nie wiem czy dojadę. Ale jak już doje-

chałem, to mnie zbadał: „tak, ma pan ostre zapalenie trzustki, proponuję panu zostawić tu samochód i jechać do szpitala”. Panie, ja nie jadę do żadnego szpitala, dawaj pan tu leki, zastrzyk i idę do domu. Dał mi zastrzyk, nie za mocny, bo mówił, że samochód. Przepisał mi leki i mówi „zrób pan badania na wszelki wypadek. [...] oddasz moc, krew i będziemy wiedzieli”. Pojechałem, zapłaciłem za badania i odebrałem. Czytam mu wyniki. Byłem słaby, bardzo słaby. Napić się nie mogłem, bo co się napiłem, to wymiotowałem. Takich strasznych bóli wtedy już nie miałem po zastrzyku, ale źle się czułem. I jak mi ten lekarz powiedział, pojechałem do domu, zostawiłem samochód, zabrałem [się] do szpitala, gdzie od razu mnie położyli, kroplówki [dali] i leż pan. W sobotę zrobili USG, okazało się, że jest ropień do wycięcia. Miała być zwykła operacja. Potem się okazało, że trzustka się w niedzielę rozlała, zapalenie otrzewnej i różne komplikacje. Leżałem nie wiem ile czasu, dwa-trzy dni i w piątek wypisali.

[...] ja o tym opowiadam normalnie, tak, jakby mi się to nie stało. Potem się jeszcze przez trzy lata się męczyłem z trzustką, bo piłem, miałem bóle, ataki, ale byłem w ciągu dwóch miesięcy trzy razy w szpitalu, leżałem po pięć–siedem dni, a potem wychodziłem... To nie była moja osobowość, nie potrafię wytłumaczyć. Głowa jakby nie była połączona z ciałem. Jak ja się zastanawiam czasami nad swoim życiem, to chyba ktoś nade mną czuwał, bo to nie jest normalne. Dziś mogę powiedzieć, że jestem trzeźwy na umyśle, jestem świadom tego, co robię, co jem. Pilnuję diety. [...]

[Byłem też] zaszyty. [...] nie pamiętam kiedy to było, ale chyba między terapiami byłem zaszyty i trzy miesiące nie piłem, bo tyle wytrzymałem. Miałem taką wszywkę, że byłem żółty. Idę do lekarza, a on mówi, że jak wątroba i serce panu wytrzyma, to będziesz pan żył, a jak panu nie wytrzyma, to my panu nie pomożemy. [...] był taki moment, że się pociąłem, byłem dwa razy w szpitalu trzy tygodnie na depresji. Nawet nie piłem miesiąc-dwa, bo były takie momenty, że nie piłem. Najdłuższy to był ten okres trzymiesięczny, gdy byłem zaszyty. Ale nie byłem trzeźwy. Tłumaczę wszystkim, że wtedy [też] nie byłem trzeźwy. Owszem, nie piłem, ale nie byłem trzeźwy.

Droga do lokalu readaptacyjnego – utrata mieszkania:

Zacząłem się od tego, że byłem po raz drugi na terapii. Pierwszą terapię skończyłem w szpitalu Babińskim, a potem po półtora roku poszedłem na drugą terapię.

[...] Na terapii rano zajęcia. Przerwa obiadowa i zajęcia. Godzina 17, wolne. Tak, jak po pracy, ale tam było więcej osób, świetlica i inne rzeczy. Wtedy jeszcze paliłem i dużo czasu się spędzało na palarni. Teraz ze względów finansowych nie palę. [...] nie paliłem dużo, bo paczka mi starczyła na dwa dni, czasami na trzy, ale niech to w miesiącu będzie 50–70 zł, to [za to] tydzień mam na przeżycie, może nie tydzień, ale dajmy na to.

Nie miałem gdzie mieszkać. Mieszkalem u cioci kątem. Żona się wyprowadziła do babci. Ja miałem duże mieszkanie, było 50 metrów, duże komorne w prywatnej kamienicy. Tam się trochę zadłużyłem. Dała mi [administratorka kamienicy] mieszkanie przystosowane z komórki – tam się nie dało mieszkać. I tak mieszkalem kątem u ciotki. Ale tam wujo pił. No i po terapii tutaj złożyłem wniosek i tu trafiłem. Tutaj się zadomowiłem, potem się okazało, że odwieszony mam wyrok – poszedłem do zakładu karnego. Z zakładu karnego znowu tu wróciłem. [...] A tu są zasady, że się nie wraca, jeżeli się złamało regulamin. Ale w moim przypadku nie zapilem [...], po prostu akurat miałem wyrok odwieszony, o którym nie wiedziałem, tak się stało i tak tu się znalazłem. Pierwszy raz byłem tu w marcu 2011. [Dowie-

działem się na terapii o tym ośrodku] od kolegi z pokoju. Przyjechałem na jedną rozmowę. Powiem szczerze, że tak dokładnie to nie pamiętam. Przyjechałem zapoznać się. Jakies chyba dokumenty wypełniłem. Znaczący złożyłem wnioski. Czekalem na telefon. Zadzwo- niła bodajże pani M., że mam przyjść tego i tego dnia, na rozmowę, no i przed kierownikiem była przeprowadzona rozmowa i ustaliliśmy, ale tak dokładnie wszystkiego nie pamiętam. Że któregoś dnia przyjdę po odbiór kluczy. Po tej drugiej rozmowie było zaklepane, że będę tutaj przyjęty.

Dla mnie było problemem, że mieszkalem u cioci [gdzie pił wuj], a ja byłem po terapii. To był dla mnie wyzwaniem. Sam zapach alkoholu, pijany... Nie to, że on [wuj] zachowywał się źle, ale [...] alkohol. I to chyba było głównym powodem, że kierownik mnie przyjął, żebym nie zapił.

[U ciotki] są trzy pokoje, a on [wuj] też ciągi ma. Pije tydzień, potem dwa, trzy tygodnie nie pije albo wypije piwo, ale potem jak wypije piwo nie w porę, to znowu.

[Jak przyszedł do ośrodka z jednym] Torba z ciuchami, tylko ubranie. [...] Ja tego miesz- kania [w komórce, za długi] nie zasiedliłem, jak powiedziała pani administratorka, ale ja powiedziałem, że się nie da mieszkać. I powiedziała mi, że moje mieszkanie zabrano.

[...] Jak mieszkalem na ul. M., miałem czas [na] wyprowadzenie się do końca lipca, ale wy- szło tak, że dostałem zakażenie od zęba i znalazłem się na chirurgii szczękowo-twarzowej w Barlickim – było zagrożenie życia. Stamtąd nie mogłem wyjść, bo jak, tutaj antybiotyk silny, miałem mieć operację. [...] przyszedł pierwszy sierpnia to leżałem jeszcze w szpitalu. Jej [administratorki] to nie obchodziło, [choć] miałem czas jeszcze dwa tygodnie żeby się wyprowadzić, zniosła moje rzeczy wszystkie do pralni, to, co było w mieszkaniu i że zam- knęła to na klucz, dała mi klucz. „Rób se pan z tym co chcesz”. A ja nie miałem z tym co zrobić, bo tam była wersalka, szafa jedna, druga, jakieś tam kwiatki, odkurzacz. Takie rzeczy. I żona pozabierała. Telewizor poszedł na alkohol. Rzeczy drogocennych to nic nie było. Ciuchy były. Tamte ciuchy, co właśnie sobie zabrałem na terapię, potem z tymi ciu- chami jeździłem, bo były pod ręką. A reszta, wszystko, potem jak poszedłem siedzieć, to się okazało, że wszystko poszło [najpewniej pozbyła się tego administratorka]. Tam nic nie było wartościowego. Były meble, garnki, jakieś talerze, ale co to tam. Po prostu tamten etap – nie ma [go; zamknięty]. Doszedłem do takiego wniosku, że po prostu nie ma. Trzeba od nowa zacząć.

Życie w ośrodku:

Tutaj nie jest coś nowego. Nie jest tu źle, tym bardziej, że mam jedynkę, ale przez zebrania, spotkania, dyżury, człowiek jest tutaj jakby uwięziony. Nie ma swobody, nie ma meldunku, ciężko jest coś załatwić. Tutaj jest taki okres przejściowy. Pracę dopóki mam [jest dobrze]. Jeżeli pracę bym chciał na inną, niewiadomo, jakby to się zakończyło. Nie mam meldunku, mieszkam w ośrodku – może by inaczej na to spojrzeli, może by nie chcieli, trudno powie- dzieć. Jak najszybciej się stąd wyprowadzić. Wszystko jest w toku. Jak najszybciej stąd. Tu nie jest źle, ale przez to, że są takie niuanse, przez to jest problem w życiu. Nie można sobie, [tn.] można pojechać na tydzień na urlop, ale się trzeba prosić z kimś na dyżury się zamienić. A jak bym chciał pojechać do pracy na trzy miesiące za granicę, bo mam takie oferty, to kierownik się nie zgodzi. Bo mogę zapić. Pomyśleliby, że jak już tam poje- chałem, zarobiłem parę groszy, to mógłbym wynająć. Kierownik mówi, jakie tutaj są za- sady. Tutaj mieszkał pan, który jeździł na tirach. Jeżeli on wyjeżdżał w trasę, nie było go

trzy tygodnie czy dwa, po co ma zajmować miejsce? A ja taką pracę też zamierzam podjąć. Też zaraz muszę kończyć kurs. Tutaj jest problem z meldunkiem. Muszę mieć dowód, żeby wyjechać za granicę, [czyli] muszę mieć dowód ważny z meldunkiem, bo bez meldunku nie wypuszczą.

Mieszkanie i rzeczy:

[Na początku] byłem z K. w dwójce. Jak wróciłem z zakładu karnego to kierownik dał mi ten pokój [jedynek], bo akurat kolega zapił i się zwolniło. [...] moja jest szafa, mój jest telewizor, to, co sobie porobiłem, jest moje. Ten blacik. Robię, żebym miał wygodniej. Nie było przy czym usiąść, nic nie było, żeby usiąść, zjeść, coś zrobić, napisać. Akurat przed moim tutaj przyjściem pokój był odświeżony. Ja tylko wysprzątałem. Co prawda, tutaj kolega [...] był czyściochem. [...] mam takie rzeczy, żeby zamieszkać. Pralka, lodówka, kuchnia gazowa, a szafę czy stół mogę kupić, jak meble do kuchni. [Wyposażenie] czeka, już jest. Pralkę i lodówkę trzymam w pralni. Piec stoi w garażu, u znajomego, na działce.

Ocena własnej postawy:

[...] Na pewno dużo by się chciało zmienić, tylko nie wiadomo, za co się złapać. Podstawą jest brak funduszy. [...] w każdym banku jestem zablokowany [nie mówił o tym, ale m.in. zalega za alimenty, poza tym kwestia zadłużenia mieszkania nadal nie jest uregulowana]. Tylko to, co mam w portfelu jest moje. Muszę sam dojść do tego. I żeby nie stracić, [...], bo najczęściej ludzie przez porażki się zapijają, jeśli im coś nie wyszło, nie mogą sobie poradzić [i] zaglądają do kieliszka. Lepiej twardo stąpać po ziemi, nie robić wybryków, bo może się nie udać. Iść przed siebie. Na ile mam w głowie, tak idę.

Przecież można wyjść gdzieś, nie wiem – na basen, ale na razie nie jest mi to potrzebne. [...] jak idziemy do klubu [dla niepijących alkoholików], potańczyć, ale to jest w klubie, [tam] nikt nie pije, wszyscy trzeźwi, bawimy się. A do [...] pubu, to jeszcze nie byłem, nie chodziłem. Na imprezę mogę iść, na spotkanie, w gronie rodzinnym, w gronie kolegów, ale tak na miasto to nie, na pewno nie. [...] w towarzystwie jak wiedzą, że się nie pije, to jest inaczej, a jak w obcym, to patrzą, że się nie pije.

Wróciłem, można powiedzieć, do swojej osobowości sprzed dziesięciu lat [gdy przestał pić]. Jak nie piłem, byłem normalny, [...] w sensie, normalnie się zachowywałem. Myślałem o domu, rodzinie, o jutrzejszym dniu, jak, co będzie. [Gdy pił] tak się żyło, żeby mieć tylko na kielicha, człowiek się nie martwił, co będzie jutro, tylko co jest teraz albo co będzie za godzinę. O jutrzejszy dzień, to będę się martwił, jak się obudzę. Teraz to trochę inaczej się myśli. Świat do tego prowadzi, że trzeba myśleć o jutrzejszym dniu, bo jest tak, że dzisiaj się pracuje, a jutro można nie pracować. Nie są te czasy, co kiedyś. Tak się myśli, tak się zachowuje człowiek. Przez to jestem jakiś taki domownik: nigdzie nie chodzę, nie spotykam się. Zawsze jest jakiś strach [przed alkoholem]. Mały procent, ale to jest chyba kwestia nawiczenia się.

Ja lubię [zostawać w domu]. Wracałem po pracy do domu póki nie zacząłem nadużywać alkoholu. Nawet jeżeli przychodziłem do domu, to przychodziłem z piwem. W domu sobie piłem piwo. Ale jak już zacząłem nadużywać, to już piłem poza domem. Żona, dzieci, a przy okazji wypilem sobie piwo raz na jakiś czas. Potem już tak nie było.

Wróciłem [teraz] do swojej osobowości. Ciężko było na pewno przez ładnych parę lat. Nie piję trzeci rok. Jak wyszedłem z kryminału, a wyszedłem w tamtym roku w czerwcu, jeszcze byłem taki trochę zagubiony. W grudniu były święta i jeszcze miałem problem trochę z alkoholem, jeszcze mi gdzieś tam przeszkadzał – jakieś spotkania, ale styczeń-luty, już inaczej jest. Gdzieś w tym roku mi przeszło. Takie już mam luźne podejście do alkoholu, już się go tak nie boję. Bo miałem taki strach, lęk. Gdzieś iść, to wódka stoi, więc może nie wytrzymam. W domu się nie napiję czy gdzieś u rodziny, ale [jak gdzieś] wyjdę?... Jak się słucha na terapii, od kolegów, to ten zapił, tamten zapił, a nikt nie potrafi tego wyjaśnić jak tak naprawdę [było]. [Mówili] szedłem do sklepu, wziąłem, kupiłem, wyszedłem. Moje pierwsze zapięcie [po pierwszym leczeniu] też takie było. Poszedłem do sklepu, koledze piwo, to wziąłem dwa. [...] jak już to piwo kupiłem, mówię, jedno piwo, chyba nic mi nie będzie. Jak wypiłem, to po jakimś czasie poczułem, jak alkohol przeze mnie przechodzi. Zdenerwowałem się. Jest niedobrze, trzeba uciekać do domu, dzwonić, żeby mnie ratowali. Ale nikt mnie nie uratował i skończyło się, że zapiłem. Ciężko, jest.

Jak było pożegnanie w pracy, wódkę pili i bawiłem się dobrze, w ogóle mi to nie przeszkadzało, luz. Teraz, jak były święta wielkanocne, też już nie miałem takiego problemu, już na luzie. Nawet wódka stała na stole, nie musiała być schowana, już mówię, że mi nie przeszkadza. A siostra wie. Mogą pić, mogą robić co chcą, byleby wódki nie było na stole, a w tym roku już mogła stać, tak mi już nie przeszkadzała, byłem obojętny. Jakiś dystans, czym dłużej tym lepiej.

Czym dłużej się jest trzeźwym, do czegoś się dochodzi każdego dnia. Jak się spojrzy wstecz, coś się zrobiło. Przez rok do czegoś doszedłem. Nie wiem, co by było, gdybym pił dalej. Mogłoby mnie tutaj nie być.

„Mariola”

Liczy dwadzieścia kilka lat. Jej czas życia samodzielnego z dwójką dzieci i kolejnymi partnerami, zakończył się mniej więcej trzy lata wcześniej, zanim trafiła do schroniska. Będąc w ciąży z trzecim dzieckiem i po rozstaniu z jego ojcem (z powodu przemocy), trafiła do domu, gdzie przyjmowane są matki z małymi dziećmi oraz kobiety w ciąży, a później do kolejnej placówki, w której ją spotkałam.

Dom rodzinny i jej kolejne domy – przemoc:

Dom to dom, bez różnicy, czy duży budynek, czy małe mieszkanie. Po prostu dom. Przede wszystkim rodzina. Jako dziecko mieszkalam na G., koło RL. Ja już mieszkalam w każdym miejscu Łodzi, również rok w Bełchatowie. Miałam osiemnaście lat, gdy wyszłam z domu i to był splot dosyć tragicznych okoliczności. Nie było sympatycznie w domu. Chowałam się u taty. Do tej pory jest tak, że jak mamy ze sobą kontakt, nie mieszkając ze sobą, jest OK. Po prostu nie możemy ze sobą mieszkać. Całkowita tragedia. Mieszkalam jakiś czas u koleżanki, potem poznałam chłopaka. To nie był dobry wybór, ale nieważne. Żaden z kolejnych nie był dobrym wyborem. Aż w końcu znalazłam się tutaj. W międzyczasie wynajęłam mieszkanie, na które nie było mnie stać.

W większości wynajmowałam. Ze swoim pierwszym chłopakiem mieszkalam u jego ojca. Nie bardzo się dogadywali, więc trzeba było opuścić lokal. Później mieszkaliśmy kątem u znajomych. Później się rozstaliśmy. Już dojrzałam do tego, żeby być ustabilizowanym, a on jeszcze nie. Później mieszkalam z powrotem u taty, ale tak się nie dało. Później trochę u babci, u koleżanki. No i później poznałam tatusia moich córek. Następną katastrofa. Ale sześć lat mieszkaliśmy w jednym miejscu. Chociaż tyle było ogarnięte. Jedno miejsce i jeden dom. Akurat mi się trafił taki niesympatyczny człowiek. Było jak było. Nie miałam [wtedy] gdzie iść, więc to było takie zamknięte koło.

Dom to jest coś, co bardzo by się przydało człowiekowi w życiu. Swój własny dom, żeby nie być zależnym od kogoś. Ja całe życie byłam zależna od kogoś. [...] Chcę doczekać się swojego i być panią na własnych włościach. Nie będzie mi coś pasować, jestem u siebie i mam prawo kogoś stamtąd wyrzucić, a nie się bać, że sama zostanę wyrzucona. Przede wszystkim poczucie bezpieczeństwa.

[...] przyszło dziecko, najpierw N., ale on [ojciec jej dzieci] robił, co chciał. Wiedział, że nie mam kontaktu z ojcem, ponieważ mój tato go nienawdził. Nie bezpodstawnie, jak się później okazało. Póki z nim byłam, nie miałam czego szukać u taty. Właściwie to koleżanka mnie zmusiła do tego, żebym się do niej przeprowadziła. Jak już byłam w drugiej ciąży. Po prostu po raz kolejny przyszłam do pracy z pięknym kolorem na oku. Co dzień się zmieniał na inny. [Koleżanka] stwierdziła, że chyba już dosyć, wystarczy. Postawiła mnie przed faktem dokonanym. Jeżeli tego nie zrobię, to ona mnie po prostu zwolni z pracy [była właścicielką zakładu, w którym „Mariola” wtedy pracowała].

Uwolniłam się i jakoś sobie poradziłam później. Mieszkalam w Domu Samotnej Matki [DSM], bo ona miała dwójkę swoich dzieci. Też nieciekawa sytuacja, bo ona jest z kolei żoną Turka. Niestety, wpakowała się. Wciąż jest jego żoną, ale ze sobą nie są. Rozwody z Turkami nie są proste. Tym bardziej, że mają syna [...]. Ona miała dwa pokoje w Bełchatowie, ale nie będę siedziała z trójką dzieci i jej dwójką, to jest piątką dzieci. No i my we dwie. Całe życie komuś na głowie. Dlatego przeprowadziliśmy się do DSM. Ciuchy tam pozostawiałam. Najgorsze, że nie mogę odebrać tych rzeczy z DSM. Były nowiutkie i firmowe, z darów świątecznych. [Na korytarzu] [...] wory stały po jednej i drugiej stronie. Wchodziliśmy w ten korytarz, siostry w tym czasie zajmowały się dziećmi na bawialni albo świetlicy. My sobie wybierałyśmy. Niesamowita historia. Ja to pół magazynu zajmowałam. Jak się wyprowadzałam, to cztery dni się pakowałam. Multum zabawek, samych grzechotek miałam kosz. Zostawiłam na strychu [w wynajmowanym mieszkaniu, po wyprowadzce z DMS] i po prostu zostało wszystko rozkradzione. Nie mogłam tego ze sobą zabrać. Wystarczy, że zabrałam dzieci i bagaż. Miałam to wszystko jeszcze wozić? [...]

Do dzieci jestem przywiązana. Cała reszta to rzecz nabyta. Po tym wszystkim, co przeszłam, dochodzę do wniosku, że rzeczy są zbędne w życiu. Nawet im mniej, tym lepiej. W czasie przeprowadzki mniej problemu. Też tego tak nie szkoda. Już we własnym mieszkaniu będę mogła sobie trzymać, co chcę. Mogłabym spróbować odzyskać parę rzeczy. [Ale] mebli już nie odzyskam. Właściwie to mogłabym sobie wyposażyć całe mieszkanie tymi meblami, które pozostawiałam. Nawet o tym nie myślę. [...]

Wynajęłyśmy mieszkanie z koleżanką z DSM. Okazało się, że koleżanka nie jest zbyt chętna do pójścia do pracy i składania się na wspólny czynsz, który nie był wtedy mały. Trudno, trzeba było zrezygnować. To i tak całkiem nieźle, że trafił nam się taki facet, który wynajmował. Był w porządku, bo generalnie zadłużenia było sporo. Placiłyśmy tylko za prąd i takie rzeczy, a komornego za wynajem nie. On nie chciał, żebyśmy mu to spłacały, tylko, żebyśmy się jak najszybciej wyprowadziły. Potem z powrotem mieszkalam u kole-

żanki w Bełchatowie. Znowu się znalazłam w patowej sytuacji. No i jestem tutaj. Tak sobie mieszkam. [...].

Pobyty w ośrodkach pomocy:

Pierwszy ośrodek [DSM prowadzony przez zakonnice – I.B.K.], był na NS. Ja się wyprowadziłam na koniec września, a oni się przenosili w październiku na B. [...] Tam nie było noclegowni tylko i wyłącznie Dom Samotnej Matki i dziewczyny w ciąży. Mogły mieszkać od początku ciąży do ósmego miesiąca życia dziecka. Był przedłużany pobyt. Generalnie nie było z tym źle. System był trochę inny, jeżeli chodzi o sprząatanie. Był większy budynek i więcej pomieszczeń zajmowałyśmy. [...] Tu są dwa główne dyżury, a tam było dwanaście. Tutaj raz na dwa tygodnie wychodzi kuchnia, a raz na tydzień łazienka. Tam codziennie się robiło. Raz na tydzień dostawało się jeden dyżur i codziennie robiło się to samo. Jak się nie złapało karnego, to się robiło potem coś innego. Trochę przekichane z tym sprząataniem. Oni już tam tak mają. Muszą zdać test czystości, żeby zostały przyjęte jako zakonnice. Są uczulone na czystość aż do przesady, bo jedna plamka niedoczyszczona na podłodze, to już poprawka, a trzy poprawki to karny. Karny polegał na tym, że kolejny tydzień robiło się ten sam dyżur i jeszcze jeden. Dziewczyny tutaj są przerażone tymi dyżurami. Ja się zawsze śmieję, że byście pomieszkały tam z miesiąc, to [dopiero] byście były przerażone. Tutaj byłam w szoku, jak się wprowadziłam. Starościna mi mówi, że są dyżury, raz na 2 tygodnie kuchnia. Nie powiem, że się nie ucieszyłam.

W DSM było o tyle fajnie, że od początku miałam sama pokój. Miałam dwójkę [dzieci] i byłam w ciąży, więc przewidując przyszłość, siostry dały mi osobny pokój. Z trójką to jakiś się trzeba pomieścić. Tutaj byłam od razu z panią N. Masakra. [Kobieta ta wyprowadziła się]. To było straszne. Kuśtykała na nogę niby chorą. My czasem siedziałyśmy na palarni, to widziałyśmy, że szła jak dzika. Jakby dwie nowe nogi dostała.

Pierwszego dnia już miałam spięcie z panią D. [jedną z opiekunek – I.B.K.] niestety przez panią N. Ona miała na półeczce swoje śmieszne kremy i duperale, jak to starsza kobita. A moja L. miała wtedy dwa lata. Ten krem jej przesunęła kawałek. Nie otworzyła go ani nie zniszczyła, nic z nim nie zrobiła, nie zgubiła, tylko przesunęła. Jaka była awantura o ten krem. Ona go w ogóle dotykała, jak ona śmiała. [Pani N.] Poszła i się poskarżyła pani D., że moje dzieci zrobiły straszny bałagan w jej rzeczach. To pani D. przyszła do mnie z pretensjami. Ja mam charakter i od razu reaguję niefajnie. Jeżeli ktoś mnie oskarża bezpodstawnie, to ja też go napadam. Taka reakcja zwrotna. No i generalnie miałyśmy spięcie. Ja z nią mieszkalam trzy dni. Później od razu zostałam przeniesiona do trójki do I. Później już było w porządku. Dokooptowali [mnie] do Izy. Potem miałyśmy K. i to był nasz rekord, bo mieszkaliśmy w dziewięć osób. Z tego sześć to były dzieci. Raz miałyśmy jeszcze więcej. Było dziesięć osób, bo K. miała dwójkę. Ja trójkę i I. swoją dwójkę. My byłyśmy we trzy i była masakra. Potem miałam E., w sumie jakbyśmy mieszkaly z kolejnym dzieckiem. To było straszne. I. poszła do osobnego pokoju i my zostałyśmy z E. i ja się wreszcie wyprowadziłam.

Byłam [tam] trzy dni [sama]. To jest taki pokój przejściowy i się tego spodziewałam. Po trzech dniach dorzucili mi K. Generalnie K. jest trochę zakręcona. Przynajmniej niegłupia. E. była po prostu tępą. Nic absolutnie nie robiła. Informacja w ogóle do niej nie docierała, a jak docierała, to po tygodniu. K. nie jest głupia, ale jest gdzieś na innej orbicie. Nigdy nie miałam problemu z komunikatywnością. Jestem dosyć wybuchowa, narwana. Rzucam

mięsem na lewo i prawo. Każdy tu to powie. Miałam kilka scysji, bo przy dzieciach też bluźnię. Wiem, że to nie jest dobrze, aczkolwiek taka moja natura. I tak to już ograniczyłam do minimum. Jak się czasami wścieknę, nie jest łatwo się powstrzymać.

[...] Wyjście na palarnię [w schronisku] czasami graniczy z obłędem. Można się tyle dowiedzieć, nawet o sobie samej, czego się nie wiedziało [z plotek]. Ja się tutaj dowiedziałam, że byłam w czwartej ciąży. Kiedyś zdarzyło mi się odwiedzić siostry. [I z tego powodu powstała plotka] [...] że jestem w ciąży i pojechałam błagać siostrę o to, żeby mnie przyjęła. Ona się nie zgodziła, więc wzięłam kredyt i usunęłam dziecko. Ja bym tego nie wymyśliła. Straszne, a z drugiej strony śmieszne. Niektóre osoby umilają sobie życie czymś takim. Można robić ciekawsze rzeczy. Jak już nie mają co ze sobą zrobić i nic nie mają do zrobienia w swoim życiu, to zajmują się życiem innych. Nie pojmuję tego.

Obecne kontakty z rodziną:

Nie miałam kontaktu z mamą dziesięć lat, teraz złapałyśmy kontakt. Dzięki niej mamy komputer. Przywiozła dzieciom laptopa. Tata, co może, to zawsze skombinuje. Mają rower od dziadka, to czy tamto. [...] Jest zdecydowanie lepszym dziadkiem niż był ojcem. Dzięki temu, że ze sobą nie mieszkamy. W momencie, kiedy razem mieszkaliśmy, bo mieszkaliśmy u ojca już z dziećmi, to się go bały. Tata jest po prostu alkoholikiem. Do tego bierze bardzo silne leki psychotropowe. Jak to popije wódą, to mu odbija. Reakcja na taką mieszankę nie jest normalna. Jest jak jest. Jak ze sobą nie mieszkamy, to jest OK. Ja jemu chętniej pomogę, bo nie muszę tego wszystkiego oglądać. Raz wróciłam z pracy, ojca nie było, a one przerażone siedziały na wersalce. Okazało się, że dziadzius cały dzień, co godzina do nich wchodził coraz bardziej pijany, żeby sprawdzić czy żyją. Nie dał im nic do jedzenia. One siedziały cały dzień i czekały jak wrócę. Już wtedy wiedziałam, że tak nie będzie. Albo muszę zrezygnować z pracy, albo muszę się wyprowadzić. Tak nie może być. Nie będę mogła spokojnie pracować. Cały czas myślałam, co się dzieje, czy jest w domu, czy nie jest pijany, opiekuje się nimi, czy nie. Czy żyją, czy nie. Teraz kontakt mamy całkiem niezły. Mam jechać do niego na święta. Te pięć dni to chyba jakoś przeżyjemy ze sobą.

[...] Informowanie mojego taty, że mam kontakt z mamą, graniczyłoby z popełnieniem samobójstwa albo zabiciem własnej matki. Oni się nie mogą spotkać. Mój tato jest w stanie wbić siekierę w głowę. Nie będę ryzykować śmiercią matki, dlatego, że ja mam z nią kontakt, a oni się nienawidzą. To jest nienawiść w czystej postaci. Nawet mam teraz problem z komunią. Dopóki nie miałam kontaktu z matką, to było wszystko proste. Wiadomo było, że zaproszę tatę. [...] mama się teraz stara wszystko ponaprawiać, stracone lata. Przynajmniej moje dzieci mają szczęście, bo mają fajnych dziadków. Tak głupio jej nie zaprosić. Z kolei nie mogę nie zaprosić taty, bo to jednak on był ze mną całe życie. W ogóle nie zrobię tej komunii i będzie najprościej.

Własne mieszkanie:

Dostałam już mieszkanie [decyzję na konkretny lokal], ale już ponad miesiąc czekam na skierowanie na remont. Jeszcze trochę potrwa. [...] Muszą tam wstawić piec, bo nic nie ma. Remont im zajmie tyle, że spokojnie zejdzie się do wiosny, jak nie do lata. Perspektywa już jest. Mieszkanie jest na F., odchodzi od P. [...] okolica niezbyt ciekawa. Szczerze mówiąc,

nie byłam zachwycona, jak zobaczyłam skierowanie do mieszkania. Socjalne dają w takich ulicach. Nie wprowadzam się tam, żeby się przyjaźnić z całą ulicą. Nie są „ciekawi”, bo już poszłam tam oglądać, to wiem. [...] To mieszkanie w środku podwórka. Osobny budynek. I są tam, tylko dwa mieszkania, moje i ich [bezpośrednich sąsiadów]. Oni się starali [o mieszkanie obok, jakie zostało jej przyznane] i generalnie niefajnie zareagowali. [...] Nie będziemy przyjaciółmi. To mnie akurat mało interesuje.

Będę musiała jakoś przeforsować pomysł podłączenia wody w moim mieszkaniu. Nie będę brała wody z hydrantu, który zamarza. Ci sąsiedzi, którzy mieszkają obok w tym samym budynku mają podłączoną wodę. Myślę, że jest to do zrobienia. Tylko nie jestem pewna czy na mój koszt, czy na koszt administracji. Zobaczy się. To jest najmniejszy problem na chwilę obecną. Też mogę nosić wodę. [...]

Najważniejsze, że przestanę odwiedzać tego rodzaju miejsca [ma na myśli schronisko itp.]. Tym bardziej, że dzieci strasznie się niszczą w tych miejscach. Drugi ośrodek i po prostu to, co się dzieje z moimi dziećmi, to jest jakieś nieporozumienie.

[...] wszystko jest na dobrej drodze. Z jednej strony chciałabym doczekać do tej wiosny, a z drugiej strony jak najszybciej chciałabym się stąd wynieść.

[...] [Perspektywa przeprowadzki] z jednej strony to super. Wreszcie moje. Nie muszę przychodzić na określoną godzinę [...]. To jest bardzo męczące. Człowiek czasami chce sobie posiedzieć w weekend u znajomych. Niekoniecznie musi się upijać i wracać na czworakach, ale posiedzieć przy tym piwie czy kawie. Musi wrócić o 22:00 do domu. To nie jest jeszcze taka straszna pora. Przyzwyczaiłam się do tego, że wiecznie otaczają mnie ludzie. Będzie trudno się przestawić, że jestem sama w czterech ścianach. Dzieci będą w przedszkolu, szkole, a ja nie wiem, co będę robić w tym czasie. Na pewno nie będę się nudzić. [...] nie znoszę nudy. Nienawidzę monotoności. Zawsze muszę sobie znaleźć coś do zrobienia, chociażby to byłaby jakaś pierdola, np. liczenie żółciaków. Ja zawsze coś robię. Będę bardziej szczęśliwa, niż nieszczęśliwa we własnym domu. Będę odwiedzać znajomych sama, bez dzieci, wolna. [W schronisku] pracował taki R. w pracach interwencyjnych. Miał jakiś dostęp do mebli. Do niego dzwoniły z pytaniem [kobiety ze schroniska], czy ma czy nie ma [gdy szły na swoje]. Są różne portale. Za niewielkie pieniądze można sobie kupić. Na początek to interesują mnie tylko łóżka, butla gazowa, kuchenka do gotowania i lodówka. Tyle mi wystarczy na dobry początek. Nawet nie muszę mieć segmentu. Na razie mogę sobie w pudełeczkach trzymać rzeczy. Powoli się wszystko ogarnie. Najważniejsze, żeby dzieci położyć spać i coś im ugotować.

[...] będę chciała utrzymywać kontakt [z dwoma poznanymi w schronisku koleżankami] i na pewno tak będzie. Reszta dla mnie może nie istnieć. One ze mną nie rozmawiają, a ja się staram im nie zawadzać. Nie jestem szczególnie potrzebna, bo nie mamy ze sobą nic wspólnego. K. jest bardzo młoda [...]. Dogaduję się z nią lepiej niż z większością. Przede wszystkim jest inteligentna i życiowa. Potrafi ze mną porozmawiać i nawet pokłócić. O religię. Ja wierzę w Boga, a ona nie. K. nieźle cytuje Biblię.

Swojskość w obcych miejscach:

W DSM było domowo. Przede wszystkim podejście personelu. [...] siostry nam pomagały. W każdy możliwy sposób, w jaki tylko mogły i potrafiły. Właściwie nas prowadziły za rękę przez ten czas, kiedy u nich mieszkaliśmy. Każda siostra była od czegoś innego. My je sobie tak rozdzieliliśmy i tak było dobrze. Siostra J. była konkretna. Nowe dziewczyny były nią

straszone, że jak siostrze J. podpadniesz, to masz przekichane. I tak było. Jeżeli coś kazała nam zrobić, np. zanieść pozew o alimenty do sądu, który ona nam pisała, to należało zanieść w ten dzień, w którym ona kazała. Jeżeli nie, rozmowa nie była łatwa. Była konkretna, ale bardzo potrzebna. Tak naprawdę najpotrzebniejsza, bo potrafiła z nas wyegzekwować. Ja jestem nygus, jeżeli chodzi o sprawy urzędowe. Mnie się po prostu robi niedobrze, jak mam iść do urzędu. Mam uczulenie na urzędy. Ona była jedyną osobą, która potrafiła mnie zmobilizować do tego, żebym poszła i załatwiła.

Tutaj się wprowadziłam i znowu na ostatnią chwilę załatwiłam rodzinne alimenty. Już musiałam, bo miałam nóż na gardle.

[W DSM] wiedziałam, że będą gorące krzesła, jak to nazwałyśmy. Co wtorek miałyśmy spotkanie z całym personelem i podpisywałyśmy kolejny kontrakt, czyli sprawy, które trzeba załatwić. W następnym tygodniu na tych gorących krzesłach wywiązywałyśmy się z tego. Czy zawiozłyśmy jakieś zaświadczenia, a to, a tamto. Do tego same się zobowiązywałyśmy, bo podpisywałyśmy. Terminy były, jakie my chciałyśmy. My sobie same narzucałyśmy, że np. w przeciągu miesiąca załatwię to i to. Nie, że siostra nam mówiła, że za tydzień masz mieć załatwione. Pytała nas: „w jakim terminie jesteś w stanie to załatwić?”. „W takim i takim”. Dobra, wpisywała taki termin. To było OK. Jedna wielka pomoc. Tam naprawdę się mieszkalo, jak w domu. Atmosfera była taka rodzinna i te wszystkie wigilie, święta.... Po prostu jak w domu. Miałyśmy wspólną jadalnię. Było zupełnie inaczej. Integrowałyśmy się. Z dziewczynami nie było spieć, bo bardzo dobrze się znałyśmy. Generalnie wszystko robiłyśmy razem. Była rozmowa z psychologiem, wszystko. Jak któraś nie miała dochodu, pieniędzy, szła do siostry z listą rzeczy, które są jej potrzebne dla siebie czy dla dziecka. Siostra jej kazała posprzątać w tym czasie. I dawała jej te rzeczy. Nie było problemu. Dziecko zachorowało i któraś nie miała na leki, szła do siostry. Siostra dawała kartę do apteki. Oczywiście trzeba było to później oddać. Na teraz nie mam gotówki, a dziecko jest chore. Co w tej sytuacji zrobić? Tam wiedziałam, że jak się rozchoruje czy mam pieniądze czy nie, wiem, że mam ją wyleczyć. Leki były też na miejscu. Taka pierwsza pomoc. Codziennie położna nas odwiedzała w pokojach. Codziennie był obchód rano. Jak się coś działo, jakaś plamka na dziecku, zaraz było obejrzone, doradzone. Super. Mimo że urodziłam tam już trzecie dziecko, to i tak pierwsza kąpiel była przy położnej.

Wielu rzeczy się tam dowiedziałam na temat opieki nad dzieckiem, których nie wiedziałam wcześniej. Nie robiłam im krzywdy, aczkolwiek doszłam do wniosku, że niektóre rzeczy mogłam robić lepiej lub inaczej. Byłoby wtedy o wiele lepiej. Człowiek uczy się całe życie. Tam były tylko cztery siostry. Była pani psycholog, do której niestety nikt nie chodził. Ona rzeczywiście nie wzbudzała zaufania. Miała zawsze taki wyraz twarzy jakby sama potrzebowała nieustannej pomocy. Wyglądała, jakby była wiecznie w depresji. Dzieci do niej lubiły chodzić. Zawsze miała jakieś zajęcia. Raz na dwa tygodnie miałyśmy z nią spotkanie. Siostry organizowały różne rzeczy. Przeszłam kurs aktywnego poszukiwania pracy. Pracowałyśmy, bo znalazły nam pracę. Taka chałupnicza, wyklejałyśmy wzory z tekturki. Wszystko było dostarczane. Pieniądże przynosili nam do ręki, nie trzeba było jeździć. Żyć nie umierać. Dla nich najważniejsze było przede wszystkim dobro dzieci.

Dzieci były odbierane od matek. To bardzo szybko się działo. Jeżeli coś było nie tak, to był automat. [...] Była dziewczyna w ciąży, która chciała oddać dziecko. Siostry ją wspierały, przede wszystkim nie potępiały jej. One nikogo nie potępiały. Była ateistką. Nie uczęszczała na msze, nie była do tego zmuszana. Szła na świetlicę czy siedziała w pokoju, ale to nieistotne. Naprawdę była inteligentną dziewczyną, ale jej zabrali dziecko. To było z jej winy. Siostry to zgłosiły. Po porodzie dostała depresji. Dziecko chciała karmić piersią, ale

nie mogła, bo dostała bardzo silne antydepresanty. To było raczej niewskazane. Nie wiem, czy te antydepresanty na nią nie działały, ale siedziała na korytarzu, miała być w bujaku. Strasznie płakała [dziecko], a ona tego nie słyszała. W ogóle do niej nie docierało, że trzeba się nią zająć. Zabrałyśmy T. [dziecko], ją odprowadziłyśmy do pokoju. Tam sobie siedziała, zrobiłyśmy jej herbatę. Dzięki siostrze dziewczyny w ogóle inaczej razem funkcjonowały. Nie było czegoś takiego jak tutaj, że te wszystkie harpie, by się pozagryzały.

Tam nawet więcej dziewczyn mieszkało. Owszem, też się kłóciłyśmy. Każdy człowiek ma swoje zdanie. Normalne, że były jakieś spory. Potrafiłyśmy je rozwiązywać. Nie było na takiej zasadzie jak tu. Siostry organizowały nam czasem spotkania, żebyśmy chciały sobie wyjaśnić jakieś kwestie. Na forum publicznym sobie to wyjaśniałyśmy. To mi się nie podoba, bo zrobiłaś tak i tak. Ona mi odpowiadała i dziękuję, było po sprawie.

[...] A tutaj jedna drugiej nie daruje. Siostry to potrafiły jakoś zespolic. Czy była dziewczyna nowa czy nie, tego nie czuła. Po prostu nie dało się odczuć, że jestem nowa. Była ładowana w grono dziewczyn. Siostry umiały dobrać dziewczyny w pokoju. Dobierały dziećmi, wiekowo. Było tak, że ciężarna mieszkała z dziewczyną, która miała niemowlaka. Po to, żeby zobaczyć, jak to jest, jak przewinąć, jak nakarmić. Super. Zespołowy dom kobiet. Siostry wiedziały więcej niż my. Obiektywnie na to patrzą. Mają już lata praktyki. A tu to jest jakieś nieporozumienie. To jest straszne. Ja nic nie mam do pani K., bo ona mi nigdy krzywdy nie zrobiła. Aczkolwiek stwierdzenie, że jak ktoś się tutaj znajduje, oznacza, że ta osoba jest dnem, bo się tutaj znalazła, to dla mnie takie stwierdzenie to jest dno.

Generalnie wszystkie wiemy o tym jak nas oceniają. To widać po podejściu. Wszystko w zależności od humoru. [...]. Jedyń normalną osobą, która tutaj pracuje to jest pani P. Uwielbiam ją. Łażę do niej, kiedy tylko mogę. Ona jedyna jest tutaj normalna albo jeszcze nie nasiąknęła atmosferą. Mam nadzieję, że jej się to nie przytrafi. Dla niej to by była straszna krzywda. No i niektóre portierki. Na szczęście już pani K. nie ma [...]. Nam się dobrze zrobiło bez niej. Potrafiła powiedzieć dziecku starszemu, że ono ma się słuchać portierek. Zdębiałam, oczy wywalilam. O., taka cicha myszka, mówi, że ona to się słucha mamy. „Jesteś bezczelna”. Ja mówię, że bezczelna to jest pani. Dziecko ma słuchać mamy, a nie pani. Pani jest dla niej obcą babą. Nie musi się pani słuchać, a wręcz nie powinno. Pani jest portierką, od otwierania furtki i sprzątania tu na dole. To jest cały zakres pani obowiązków. Ale nie byłam wzywana [...] na rozmowę. Nie lubię jak osoba, która jest powołana na pewne stanowisko, nie wykonuje swoich obowiązków. [Ma ich] nie przekraczać, bo nie jest do tego. Ja w ogóle nie lubię, jak mi się ktoś wtrąca w wychowywanie dzieci. Jeżeli potrzebuję rady, to o nią pytam. Jeżeli byłam zbyt nerwowa do dzieci, bo był taki okres tutaj już, to poszłam do pani P. i spytałam się, co mogę zrobić, bo zauważyłam, że wszystko mnie drażni. Każda najmniejsza pierdoła mnie wyprowadza z równowagi. Nie zniosłabym tego, żeby własne dzieci się mnie bały. Więc jak potrzebuję rady, to się o nią pytam. Nie lubię, jak ktoś przychodzi ze swoimi złotymi radami, które są mi całkiem niepotrzebne na chwilę obecną.

Jestem tutaj od lipca ubiegłego roku. Strasznie długo. Tu była taka PS. Też wprowadziła się z DSM. Też od tych samych siostr, u których ja mieszkalam. Ona była tak załamana porównaniem tego domu do tamtego, że celowo zaszła w ciążę, żeby wrócić do DSM. Na tyle była skłonna do poświęceń. Tęskniła za tamtym miejscem. Zaszła sobie w ciążę i poszła tam mieszkać. Teraz ma własne mieszkanie, dwójkę dzieci. Przede wszystkim jest szczęśliwa. Wróciła do swoich ukochanych siostr.

[Powrót do ośrodka prowadzonego przez siostry jest niemożliwy] [...] One mają swoje odgórne przepisy. Jeżeli dziecko jest powyżej ósmego miesiąca życia, a mamusia nie jest w ciąży, to nie mogą przyjąć. Są pewne przepisy.

[...] Raz mi się zdarzyło [już mieszkając w schronisku], że poszłam ze znajomymi do kina. Zostawienie dzieci pod opieką [innej lokatorki]. Człowiek niby jest gdzieś tam i się dobrze bawi, rozmawia ze znajomymi i ma wolność, ale jednak cały czas myślami jest tutaj, czy coś się nie stało, czy wszystko jest w porządku. Będą w szkole, przedszkolu to ja sobie gdzieś pójdę, wypiję kawkę u koleżanki. Będzie na luzie.

[W schronisku natomiast] Mam być do tej godziny i tramwaj mi nie przyjechał [i tłumaczenie się]. W DSM nie było czegoś takiego. Wpisywałyśmy się w zeszyt. Nie wpisywałyśmy, z kim zostawiamy dzieci, bo to była nasza sprawa. Miałam taką sytuację, że zostawiłam dzieci z A. chyba ze trzy razy. Okazało się później, że ona się nimi nie zajmowała. Inne dziewczyny się w tym czasie nimi zajmowały. Nie była odpowiednią osobą. Im się krzywdza nie stała. Siostra J. mnie wezwała i powiedziała, żebym nie zostawiała dzieci, bo jest tak i tak. [...] To było tyle. Na zasadzie dobrej rady, a nie jakiegoś tam nie wolno ci, bo coś tam. To była moja sprawa, z kim zostawiam swoje dzieci. Najwyżej ja poniosę tego konsekwencje. Będzie mi przykro, jak moim dzieciom się coś stanie, no i konsekwencje prawne. Wybór należał do nas. Nie pisałyśmy żadnych kartek. Wpisywałyśmy się w zeszyt, cel wyjścia, godzina wyjścia i przyjscia. Powrót do 20:00 [...]. Jak się spóźnił tramwaj, to się zadzwoniło do siostry, że stoję w korku czy coś. Mielśmy kierowcę. Jeździł po nas do szpitala. Czy jak dziecko leżało w szpitalu, to było przywożone. Siostra J. sama osobiście przyjechała w sobotę po mnie do szpitala. Zorganizowała też wycieczkę do Częstochowy z dziećmi. Za darmo oczywiście. Nawet byliśmy w tym domu u sióstr.

[Siostry mieszkaly w DMS] Nawet odebrały poród właśnie tej P., która specjalnie zaszła w ciążę. Zaczęła rodzić w domu. Weszła pod prysznic, wody jej odeszły, a ona niby nie zauważyła. W każdym razie urodziła w domu. Siostra A. prawie zawału dostała. Pierwszy raz była przy czymś takim. Siostra biegła przez korytarz w tym habicie, jak taki Batman. Właściwie to uratowała życie T. [noworodkowi], bo go odśluzowała. Zaczął się dusić. Nikt nie wiedział, co się dzieje. Ja weszłam i zobaczyłam te wszystkie flaki i dziecko. O Boże, wychodzę.

Rodziłam miesiąc wcześniej. Wody mi odeszły, budzę się o 3:00 w nocy w mokrym łóżku. Byłam tak strasznie zasnana. W ciąży byłam śpiącą, cały czas mogłabym spać. Pokładam sobie ręczników, a tu znowu mi mokro. Nie, niemożliwe. A ja ani jednej rzeczy przygotowanej do szpitala. Miesiąc wcześniej to się nie spodziewałam. Cięża rozwijała się prawidłowo. Biegnę do koleżanki i mówię: „wody mi odeszły”. „Co?”. „Idź po siostrę”. Zawsze wiedziałyśmy, że jak pójdziemy do którejś będziemy miały wsparcie, pomoc. Tutaj to drzwi pozamykane, nie przejmują się. Ktoś może umrzeć i mają to w nosie. Poleciała po siostrę i znowu siostrze A. się trafiło. Wszystko zadziało. Pojechałam oczywiście nieprzygotowana. Z ręcznikiem kąpielowym, owinięta. Położna była pierwszą osobą, która do mnie przyjechała. Od razu pierwszego dnia. Mnie wody odchodziły dwie doby. Byłam odporna na wszelkie leki. Szpital M. to coś straszego. To był drugi poród w M. Żeby mieli mnie zarzącać na środku ulicy, to tam więcej już nie pojadę. Jeżeli mi się kiedyś zdarzy, a mam nadzieję, że nie. Na pewno nie w M. Pierwszy poród to była katorga. A ten trzeci wcale nie był lepszy. Leżałam tam dwie doby i sączą się te wody. Po pierwszej nocy jak mi te wody odchodziły, a nie było żadnych skurczy, nawet nie przygotowali mojego ciała do porodu. Dali mi leki na wywołanie skurczy. Nie pomogło. Cała kropłówka mi zeszła i nic. Lekarz przychodzi, patrzy w KTG. „Był skurcz?”. „Nie?”. „Jak to nie?”. „Normalnie. Wiem, co to skurcz”. No i druga kropłówka. Przy M. też wody długo odchodziły, a nie było żadnej akcji porodowej. Dali mi zastrzyk z tym samym, co w kropłowce i od razu. Tak mi przygotowali poród, że miałam jedno parcie i koniec. W końcu pan doktor przyszedł i mówi, czy ja się

zgadzam na cesarkę, bo jest zagrożenie dla życia dziecka. Głupio się pytają. Pojechaliśmy na tą cesarkę. Znieczulenie też nie zadziałało, ale nie raczyli się mnie zapytać, czy działa. Wbili mi skalpel na żywcą w brzuch. Usłyszeli mój wrzask. Lekarz patrzy: „co się stało?”. Ja na to, że czuję. „Niemożliwe”. Należało to do ich obowiązków [sprawdzić], czy znieczulenie działa. [...] Obawiając się procesu, to tak mnie pięknie zsztył, że prawie nie mam blizny. W ogóle jej nie widać. Malutka, cieniutka kreseczka. Tylko to go uratowało przed procesem. Później wróciłam, wchodzę do pokoju. Dzieciaki oczywiście były pod opieką siostr. Ale tu jest minus [w schronisku]. Dziewczyna wpada [np.] na ulicy pod samochód i jedzie do szpitala. Dzieci zabierają do domu dziecka. One nie mogą się nimi zająć [ani personel ani współlokalki]. Tam tak nie było. Tam dziewczyna mogła leżeć pół roku w szpitalu i dzieci miały opiekę. Siostry między dziewczynami robiły grafik. Nie wiem, czy to było legalnie czy nielegalnie. Myślę, że przy dłuższym pobycie coś załatwiały. Była dziewczyna, która nie miała osiemnastu lat, jak urodziła. Jest chrestną mojej L. I żeby jej nie zabrali dziecka, to siostra J. została opiekunem prawnym jej dziecka. Wszystko było w porządku. Później M. skończyła osiemnaście lat, odbyła się sprawa i została pełnoprawnym opiekunem swojego dziecka. Nikt nikomu nie zabierał. M. była młoda, aczkolwiek była lepszą matką od niektórych czterdziestolatek. Generalnie to pewnie by prędzej zabiła, niż oddała komukolwiek. Zupełnie jak ja. Ja byłam pięć dni w szpitalu. Niby powinienam być siedem. Wypisałam się i dostałam straszny ochrzan od siostry J. Nie wiedziała o tym, jak po mnie jechała. L. nie chciała w ogóle jeść. W szpitalu była karmiona przez sondę. Ja nie mogłam do niej wejść, bo mnie przeziębili na porodówce. Otworzyli okno, a ja taka upocona. Miałam kaszel i po tej cesarce myślałam, że umrę z bólu. Siostry były z moimi dziećmi. One miały swoje pomieszczenia, bo my ich nie mogłyśmy oglądać jak są bez welonu. Nie mogą się pokazywać bez welonu. Miały swoje pokoje i dzwonczkiem się dzwoniło, jak się coś od nich chciało. Miały czas, żeby się przyodzierać. Od N. [córkę] wiem, jakie siostry miały włosy. Były przypadki, że któreś dziecko ściągnęło welon. N. sobie u nich jeździła hulajnogą. Ja też już byłam za nimi stęskniona, bo do niej nie mogłam wejść. Byłam przeziębiona, a ona wcześniak. Jeszcze jakiś zarazek był w Madurowiczu. Tam są ciągle zarazki, noworodki umierają hurtowo. Tylko od 15:00 do 17:00 można było wejść do dziecka. Mnie w ogóle nie wolno było wchodzić. Mówiłam tym mamom, że ja chcę zobaczyć swoje dziecko chociaż raz. W końcu moje. Rodziłam w bólach, zostałam pokrojona na żywcą. Ubrali mnie w swoje kitle, maski. Chciałam do dzieci. Już całkiem dobrze się czułam. Później to przypłaciłam tym, że trzy noce nie spałam z bólu. Dusiałam się, jak się kładłam. Zadzwoiłam do siostry, że się wypisałam i czy ona po mnie przyjedzie. No przyjedzie, oczywiście, że tak. Powiedziała, że jestem nieodpowiedzialna. Mam przekichane, nie będzie się do mnie odzywała przez dwa tygodnie. Później stała się rzecz jeszcze gorsza. Weszłam do pokoju, a tam cała wyprawka dla L., wielki misiek, czerwona kokarda. Całe sterty nowych rzeczy moich dzieci. Siostra nie chciała robić bałaganu w szafkach, więc dała im nowe rzeczy. O zabawki to można było się zabić. Jakies domy dla lalek. Straszne to było. Nie było gdzie nogi postawić. Przyjechałam ze szpitala, to trzeba było posprzątać. Nawet nie miałam się gdzie położyć. Postanowiłam zrobić przemeblowanie. Przeształam segment z jednej ściany na drugą i potem zastanowiłam się, co ja robię. Wyciągnęłam na środek wielki segment, oczywiście pełny, bo nic z niego nie wyjęłam. Siostra zirytowana i przerażona tym, że ja wyszłam dwa dni za wcześniej, bo nie wiadomo, co się dzieje z tą moją raną. Mają doświadczenie w przemycaniu ran i mają do tego cały asortyment. Poszła po te gaziki i zanim wróciła, to ja zdążyłam wyciągnąć ten segment do połowy. Ona otwiera drzwi a ja na środku z segmentem. Zaczęła krzyczeć, „ja cię zabiję. Co ty robisz?”. „A to nie wolno?”.

Zaraz skrzyknęła dziewczyny i one przestawiły dalej. Dostałam zakaz ruszania się z łóżka. Później trzy noce spałam na siedząco przy łóżku, bo tylko tak mogłam oddychać. To było straszne. Po ścianie szłam do koleżanki po ketonal o 4:00 w nocy. Byłam półprzytomna. Koleżanka mi pomogła i przespałam całą noc. Później rozchodziłam. Teraz już wiem, że po cesarce nie wolno przezebrać przez jakiś czas. Niektórzy twierdzą, że do pół roku nie wolno nic dźwigać. [...]

Jakbym teraz miała możliwość tam zamieszkać do momentu, kiedy mi wyremontują, to już się pakuję. Tu nie ma czegoś takiego. Tam dużo dawały spotkania z personelem. Imprezy okolicznościowe były cudowne. Każdy Dzień Dziecka, Dzień Matki były organizowane. Dzień Matki organizowały nam siostry. Dzień Dziecka organizowałyśmy razem z siostrami. Wynajdywałyśmy jakieś zabawy, konkursy, grill. Paczki na każdą okoliczność, prezentów multum. Przed gwiazdką nie miałyśmy gdzie tego pchać. Tylu tych Mikołajów się zjeżdżało. Siostra chodziła z listą, co dzieci chcą dostać. Ona sobie zapisywała pokój, imię dziecka, wiek, żeby to wszystko było przypasowane. Wszystko było spisywane i wysyłane do różnych fundacji. Przed świętami odbierałam dla dzieciaków taką stertę czekolad plus jeszcze inne słodycze. Nie miałam gdzie pchać. Oni to jedli i jedli i jedli. Oczywiście skrupulatnie to sobie zapisali. Co dzieci chciały, to dostały. Mikołaj przyszedł w postaci księdza. On z resztą mieszkał w tym domu i zawsze był na miejscu. Jeśli ktoś chciał się wypowiadać, to w każdej chwili. [...] Każda impreza to była kupa śmiechu.

[W DMS gotowały] nasze kucharki. Wiadomo, że kiedyś też musiały mieć wolne. W soboty i w niedzielę siostra G. gotowała. Ona miała taką misję. Nienawidziła gotować, dlatego miała taką misję. One dostały takie misje zgodnie z tym, czego nienawidzą. Siostra M., która jest dyrektorką tego domu, nie znosi dzieci. Za dużo biegają, za dużo krzyczą. Nie znosi ich, a jest siostrą dyrektora. Całkiem nieźle jej idzie. Dzieci ją uwielbiają. Ja nienawidziłam prasować. Zawsze jak szłam po pracy do siostry A., to zawsze mi dawała prasowanie. „Ja nie chcę prasować, mogę sprzątać. Nienawidzę prasować”. „To dlatego będziesz prasować”. „Siostra chce mnie wykończyć”. „Nie, ja chcę ci ukształtować charakter”.

Ja tam pracowałam na wózek. Siostry wyposażały nam całe mieszkanie. Nie było rzeczy, których nie miały dziewczyny, jak się wyprowadzały. [...] [Ale] musiały sobie zapracować. Np. co tydzień w sobotę sprzątały kaplicę. Trzeba było te meble od kogoś przywieźć. Nie spadały z nieba. Siostry nie wierzą w cuda aż takie. I pralki, lodówki, telewizory, wszystko. Każda dziewczyna, która się wyprowadzała, dostawała tzw. wyprawkę od siostr w prezencie na nowe mieszkanie. Całą chemię, która jest niezbędna, a która jest droga. Łącznie z zapasem pampersów i stertą rzeczy. Dostawały w prezencie od siostr mopy, płyny, mleczka. Ale one mają fioła na punkcie sprzątania.

Pomocni ludzie:

Siostry i P. [koleżanka z Bełchatowa i była szefowa zarazem]. [...] Generalnie siostry i to od emocji tych dobrych i tych złych. Jak się ochrzani dostało, to nie było fajnie. Przede wszystkim bardzo dużo mnie nauczyły. Są różne dziewczyny, jedne chcą się uczyć, a drugie nie. [...] Z jednej strony wszystko jest podane na tacy. [...] ugotowane, podane, pozmywane. Nie trzeba nic robić. Dziewczyny wychodziły stamtąd takie, [jakie] chciały wyjść. Każdy musi się przygotować do tego, że kiedyś będzie mieszkał sam. Kiedyś mieszkali gdzieś zanim tam trafili. [Ja] wręcz odwrotnie. Mnie bardzo dużo nauczyły. Dzięki nim radzę sobie z różnymi sytuacjami o wiele lepiej, niż radziłam sobie wcześniej, też z dziećmi.

Wielu rzeczy się nauczyłam. Konkretnie nie jestem w stanie powiedzieć, ale bardzo dużo mi dały. Nauczyły mnie bardzo dużo o życiu. Nie chciałam być zakonnicą, ale one są fajne. Dowiedziałam się od nich, że istnieje zakon dla takich kobiet jak ja. Jest zakon, który przyjmuje kobiety jak dzieci są już odchowane. Zostaję sama i nie mam co zrobić z życiem. Może wstąpię do zakonu.

[P. – z Bełchatowa] uratowała mi życie. Dzięki niej poznałam siostry. Nie wiem, czy ona nie ma większej zasługi niż siostry. [...] Uratowała mi życie i moim dzieciom. [Utrzymują kontakt] na Facebooku, bo ani ja nie mam czasu, ani ona. Już teraz ma trzecie dziecko z chłopakiem, którego zdążyłam poznać, jak jeszcze mieszkaliśmy u niej. Taki M. [Jej koleżanka jednak] żyje z dnia na dzień, bo żyje w strachu [przed byłym mężem, Turkiem]. To jest nienormalny człowiek [eks-mąż tamtej]. Ja u niego pracowałam. Właściwie to ona też u niego pracowała. Uważał, że żona nie może pracować. P. sobie wywalczyła, że mogła. On jest innym człowiekiem niż wszyscy. Niełożył na rodzinę. Jej nie pozwalał pracować, a na rodzinę niełożył. [...] [to] niewyobrażalny idiota. Tak mnie potrafił wyprowadzić z równowagi, że ja z takim nożem ganiałam go po całej Galerii Łódzkiej. Pracowałam u niego w restauracji, akurat szaszłyki kroiliśmy. O coś się kłócili, o wojnę, czy o coś. On do mnie, że Polacy to jest gówno bez honoru. Ja się odwróciłam i mówię, że ty jesteś brudna świnią. [...] Przyjechałeś tutaj, dorabiasz się na nas i śmiesz powiedzieć mnie, Polce coś takiego? A on krzyczy po swojemu. Nie zwracałam na niego najmniejszej uwagi. Nigdy już tak nie powiedział. Postawiłam się mu po turecku. [...] Strasznie mnie zdenerwował. [...] Ludzie powinni wymieniać swoją rodzinę na pierwszym miejscu. Rodzina zawsze jest najbliższa. [Czasami jednak na pierwszym miejscu są inni, np.] obcy ludzie.

„Władysław”

Miał najkrótszy staż spośród lokatorów placówki, gdy go poznałam – przebywał tam zaledwie od kilkunastu tygodni. Najszybciej też z wszystkich mężczyzn się wyprowadził, ponieważ po niecałym roku pobytu. Jego ojciec w pewnym momencie tak bardzo się rozchorował, że „Władysław” podjął się nad nim opieki. Po śmierci ojca, nie wrócił już do ośrodka.

W zasadzie nie miał problemu alkoholowego, choć nie był abstynentem. Zdarzały mu się tzw. epizody, gdy nie stronił od kieliszka i alkohol jednak go pociągał. Można powiedzieć, że balansował na granicy nałogu.

Historia „Władysława” ukazuje kolejne trudne relacje rodzinne. Podobnie jak „Mariola”, doświadczył przemocy domowej. Fragmenty, w których opowiada o tych wydarzeniach i towarzyszących im emocjach, ukazują uniwersalność mechanizmu przemocy.

Podobnie jak część jego kolegów, opowieść o kolejach losu koncentruje na pracy. Okazuje się, że to praca zarobkowa oraz dla domu i w domu (w jednym z lokali stworzył pomieszczenie mieszkalne niemal „z niczego”), była zarzewiem konfliktów między nim a jego najbliższym otoczeniem. Zatargów tych najpierw doświadczył w domu ojcowskim, a potem we własnych domach z kolejnymi żonami.

Dom rodzinny i stosunki z rodziną:

Jeden praktycznie [dom miałem], co z babcią mieszkalem.

Matka też po prostu..., miałem do niej trochę [żału], ale jaka była, taka była. Babcia mnie wychowała, matka odeszła. Na raka w Koperniku [umierała]. Dowiedziałem się i pojechałem do niej... Przed operacją mi powiedziała, po co przyszedłem. Odwróciłem się, popłakałem i wyszedłem, jako ten syn rodzony... Później dostałem telefon, że nie żyje.

Nie mogłem wejść do kaplicy [na pogrzebie]. Tylko jeden matki brat i siostry syn wyszedł do mnie żeby zapalił znicz. Myślałem, że krawat mnie udusi, musiałem krawat rozluźnić i nie wszedłem. Moja była pierwsza weszła z dziećmi, a ja nie. Nie mogłem, nie mogłem wejść.

Praktycznie byłem z babcią, bo ojciec miał swoje... [życie]. Babci mi szkoda, żałuję, że jej nie ma, bo mogłaby mi pomóc. Mogłem na nią liczyć. Ona na mnie, ja na nią. Dawno [zmarła], dziewięćdziesiąt dziewięć lat prawie miała. [...] Potrafiła z czwartego na czwarte do sąsiadki zasuwać.

Ta pierwsza [eks-żona], nie chciała się opiekować [jego babcią – pomagać mu], mi już ręce opadły, ja już nie miałem siły, bo ojciec nie chciał przyjeżdżać pomóc. Wuj przyjeżdżał tylko w niedzielę. [...] Z tą moją się kłóciłem. Pytałem [się babci] czy się zgodzi do domu [opieki], bo już wiedziałem, że sam nie dam rady, a wiedziałem, że ona [pierwsza eks-żona] mi nie pomoże. Praktycznie przy dzieciakach nie robiła. A ojciec miał żal do mnie, że babcia tam trafiła. Co ja miałem zrobić sam jeden?

Miałem takie przejście, że poszedłem na stację, chciałem się rzucić pod pociąg. Później, jak się załamałem, jak się dowiedziałem, że babcia nie żyje, to później się załamałem praktycznie...

Poszedłem, ale się wycofałem, powiedziałem [sobie] piekło jest tu na ziemi, trzeba sobie dać radę. Ale ojcu dziękuję za to, że tak postępował nie raz ze mną, że nie chciał pomóc, że tam coś. To mnie nauczyło, że po prostu sam sobie [muszę pomóc]... Ojciec pomógł mi kilka razy, bo chciał żeby zostawiał w wojsku. A ja teraz żałuję, bo byłoby lepiej. Ale połowa [z tych, co idą teraz do wojska] myśli, że to jest prosty chleb. Tej drugiej żony siostra miała chłopaka i on na misję wyjeżdżał. Poczekaj, zobaczysz jak przyjedzie po tej służbie i wyjdzie do cywila. Zobaczysz, on będzie inny i ty sobie z nim rady nie dasz. I tak wyszło, że się rozstali. On ze mną wychodził, poszliśmy się napić piwa. Gada co było na misji, co widział. Ja mówię „człowieku, uspokoisz się? To, co było tam, to nie tu, a połowie żeś przyrzekał, że nie powiesz, co widziałeś i co wiesz. Tajemnica tajemnica”. Niektórzy po prostu załamują się. Słyszałem, że się ożenił, rodzinę ma, ustatkował się, jakoś wyszedł. Ale znam kumpli, którzy nie wyszli, wylądowali jeden w szpitalu, a jeden na cmentarzu.

[...] Ja zobaczyłem po sobie [jak działa wojsko], z początku [...] byłem nie do życia, ale potem to już było mi obojętne. Powiedziałem sobie, to, co jest tam, to jest tam. Tam zostawiam, a wracam tu. Tu jest co innego i koniec kropka, zamykamy tamto, tamtego nie ma. [...] To, co widziałem, to makabra. Przez tych starszych żołnierzy [młodzi] byli tak gnębieni, że się niektórzy poddawali, załamywali, się wieszali, strzelali do siebie. [...] wieczorem słyszymy strzały, lecimy, chłopak z innej kompani [zastrzelił się], tu dziura, tam pół pleców... bo go nie puścił na pogrzeb ojca. Załamał się chłopak i sobie puk. A to jest właśnie najgorsze.

[...] Jedna córka jest w Anglii. Druga, trochę taka obrażona, nie wiem na co. Nie wiem, co tamta jej naopowiadała [pierwsza eks-żona]. A ten malutki jest trochę za mną, ale jeszcze jest za mały. Cztery lata, to co on może. [...] Teraz w niedzielę byłem, byliśmy w ZOO nim.

Jak trafił do placówek pomocy:

[...] w którejś książce przeczytałem i zobaczyłem, co tu jest [informacje o ośrodku TPBA z mieszkaniami readaptacyjnymi; informacje znalazł w którejś z broszur, najpewniej w jakichś wiadomościach urzędowych, ale nie udało się dojść, co to było – I.B.K.]. Zadzwoń i przyjechałem zaraz, zapisałem się i czekałem. Dostałem telefon, kierownik mówi, że jest [miejsce]. Ja mówię, że nie jestem jeszcze po rozwodzie, niech pan [kierownik] kogoś [innego] bierze, a jak mi się tutaj coś zmieni to wtedy. No i jak byłem po rozwodzie tu przyjechałem, spytałem się, akurat miejsce było.

[...] przechlapałem swoje mieszkanie. [...] tamto mieszkanie było po mojej babci. Poszedłem do Urzędu Miasta, gdy dostałem pismo, że mam się zgłosić. Poszedłem, żeby dała mi pierwsza żona eksmisyję, a nie wiedziałem, że sprawę zakładała. [...] nie dała eksmisji i ja nie wiedziałem o tym. Nawet w sądzie mi nie powiedzieli, że na jednej sprawie może być eksmisja od razu. [...] mówię w Urzędzie Miasta, że ja chcę mieszkanie. Ja jej tamto zostawię, bo to była prywatna kamienica, ale chcę mieszkanie. Że się nie chcę stamtąd wymeldowywać, że ja się z nią nie zgadzam, nie chcę się z nią kłócić. [...] jest płacone to mieszkanie. No to oni mnie zaocznie wyeksmitowali i nie miałem nic do gadania, bo doszli do wniosku, że jeżeli się ożeniłem drugi raz później, to można mnie [wyrzucić]. [...] nie brali pod uwagę tego, że druga żona jest meldowana u babci i tam jest jeden pokój. To gdzie z babcią w jednym pokoju i ja i ona, to było bez sensu. Oni mi paragrafami, że tyle i tyle metrów mi przysługuje. Dobra, mówię, ale jest pełno pustych mieszkań, mogą wam pokazać. [...] pan powiedział, że mi się nic nie należy, bo dochody przekraczają i [...] że mogą sobie wziąć do remontu. Ja mówię, [...], że jakbym miał pieniądze, to bym sobie dom postawił. Jak poszedłem zobaczyć jedno mieszkanie, no fajne było, ale kuchnia [...] dosłownie dziura była na wylot do piwnicy. Strop by trzeba było wzmocnić, belki, [...], kłaść nową podłogę. Położyć nowe przewody, pomalować, a to były wysokie mieszkania.

[...] No i tak wyszło, że straciłem pracę i [z drugą żoną] zaczęły się zgrzyty. Jak pracowałem było dobrze.

[...] Jej siostra jeszcze nie wyjechała do Anglii. Nieraz przyjeżdżała, to musiałem wyjść z domu. Nieraz mnie nie wpuszczali na noc. Musiałem całą noc przejść... policję wezwała. [...] Przyjechali i mi powiedzieli „może pan iść do schroniska”. [...] Nawet nie wiem czy mnie spisali czy nie. Przecież jej nie pobiłem ani nic. Pojechałem na N.S., zobaczyłem tylko z zewnątrz [...]. Będę walczył, żeby po prostu mieć pracę i żeby mieszkanie wywalczyć. Bo wiem, że jakbym poszedł tam, boję się, żeby nie wpaść [w nałóg], a wiem, że tam szybko wpadają. Jeden drugiego po prostu pcha do tego.

Fakt faktem, że nawet jak nie pracowałem, to wychodziłem – ona myślała, że chodzę i szukam. A to nie jest tak, że pójde, pstryk, panie kierowniku, ja stąd nie wyjdę i chcę pracę. Mówię, nie ma teraz. No i założyła mi o separację i alimenty. Jeżeli chcesz separację i alimenty to zakładaj o rozwód od razu. [...] bo nawet jak będziemy w separacji, możesz mi powiedzieć „wywalaj stąd”. I kurde ja założyłem o rozwód. Zaraz na drugi dzień do sądu poszedłem, złożyłem papiery. Sędzina na rozwodzie jeszcze się pytała teściowej, bo wzięła mamę sobie jako świadka, czy dojdziemy do zgody. Teściowa – nie. Pytała jej się [żony], ta powiedziała też nie i popatrzała na mnie. Ja chciałem zgody ze względu na syna małego. W ogóle na początku chciałem pokazać ojcu, że po prostu ja pociągnę to wszystko, ale... nie wyszło. Żebym ją uderzył, żebym pił, to mógłbym powiedzieć „sorry, piłem, uderzyłem cię z trzy czy cztery”. To ja dostałem wpierdziel od niej dwa razy przy synu. [...]nie chciałem z nią się szarpać. Wiedziałem, że jest chora, a ona na tym bazowała. To dostałem. A ona...

Ale co mi to da, żebym ją uderzył? Jestem szybszy i mógłbym ją tak zdzielić, że znalazłaby się w pogotowiu, bo miałem taką sytuację w szkole, że ze starszej klasy ze mną ktoś zaczął to dostać i musieli karetkę wzywać i później nie wdawał się w bójki. Nie mam wyważonej ręki po prostu.

Ja nie czuję tego. W wojsku byłem w takich oddziałach, że mi już nie zależało. Tylko tata mi powiedział, żebym wrócił i wróciłem. [...]

[...] zawsze dostawałem po łbie, a że byłem dobry... [...] może zrobiłem błąd, że sprzątałem w mieszkaniu przy pierwszej żonie? Robiłem, sprzątałem, koleżanka przychodziła do niej, mówi, „gdzie ona jest”? Ja, że [tam i tam]. „A ty co robisz?”. Mówię, „sprzątam”. Popatrzała się... I tutaj tak samo, pokazałem, że posprzątam, zrobię, ale [tego nie dostrzegala]. Tylko żebym pieniądze dał. [...]. Jak jeszcze mój kuzyn żył, to nie raz poszedłem do niego wypić, no, ale kurde nie robiłem tam żadnych ceregieli ani nic. Zawsze przychodziłem... [Pamiętałem] o swojej córce, która była bardzo chora [z pierwszego małżeństwa], bo miała epilepsję i duszności, a później wykryli u niej żółtaczkę. To ja przecież siedziałem przy niej w szpitalu. Ta pierwsza [żona] nie założyła sprawy o zabranie praw rodzicielskich tylko [dlatego], że trafiła na sędziego, który nie był jednostronny, [a gdy] tylko zobaczył, że ona zaczyna mnie przyciskać, powiedział: „bije dzieci – nie, robi coś pani – nie. To co pani chce?”. Tak jej zaczął mieszać, że jak jej się pytali, kiedy się urodziła, to nie wiedziała – autentycznie zatkało ją.

[...] Teściowa też zwolniła się i całe lato nie robiła. Nie było żadnej pretensji, bo ja zasuwalem w Indesicie i przynosiłem kasę. Ale miałem zadłużenie i musiałem je płacić [chodzi o zaległe alimenty]. W sądzie się jej spytała sędzina [drugiej żony] „czy pani wiedziała, że ma trójkę?” [on ma troje dzieci z pierwszego małżeństwa]. Wiedziała. A ja mówię, „pani sędzio, nie ukrywam tego. Co, miałem dzieci pochować w szafie, nie powiedzieć jej? I tak by wyszło na jaw”. Przecież wiedziała wszystko. [Wiedziała] co do mnie przychodziło od tamtej, że miałem mieć rozwód [...] pokazałem jej papier od sądu na rozwód. Nawet wiedziała o mojej matce, że [...] walczyłem o połowę pieniędzy [spadek po jego matce]. [...] mama pracowała w szpitalu wojskowym – ta moja biologiczna mama. To też wiedziała. [...] ale sędzina do mnie mówi na tej sprawie „pan dostaje jedną część, ojczym dostaje drugą część”. „Jak ja mam ojczyma powiadomić? Ojczym jest na cmentarzu”. „To trzeba drugą sprawę założyć, żeby braci ściągnąć”. Musiałem ściągać. Dostałem nie całe 1000 zł, nie musiałem podatku płacić od tego. Ale zostały praktycznie grosze, jak ja będę ich ściągał? Ich jest tam trochę, ale ściągnąłem. Przed salą [rozpraw] spojrzałem, pierwszy raz ludzi na oczy widzę niektórych. Mówię, „słuchajcie jest tyle i tyle do podziału na was. Wychodzi wam praktycznie za podróż po 150 zł na łebka, no bo tylu ich było akurat”. Mówię, „albo to na mnie, bo ja jestem jedynym synem i praktycznie te pieniądze mi się należą, ale żebyście nie powiedzieli jak mnie spotkacie, że zagarnąłem wszystko i jestem świnią, a widziałem jak się kłóć w sądach. Więc jak chcecie?”. Weszliśmy na salę, sędzia się pyta, czy podtrzymuję? Ja mówię „tak, podtrzymuję, że pieniądze albo przechodzą na mnie, albo niech oni się dzielą, niech robią sobie co chcą”. Sędzin mówi, że dwóch braci i siostra dostaną, ale tutaj dwie młode – dwóch braci córki, bo [bracia] nie żyją. One muszą założyć sprawę kolejną, żeby te pieniądze przeszły na nich za ojca. No i koło się zamyka. Mówię, „bijcie się o te pieniądze, macie, ja jestem czysty”.

No i później powiedziałem sobie, że teraz po tym wszystkim [chcę] stanąć na nogi sam. Już nie mam zaufania. Już mi się wszystko przejadło. Ojciec mi zachorował, matka ma raka i on ma raka... Załamie się. [...] z ojcem to mieliśmy taki kontakt [zły], teraz trochę zaczyna

się jakby poprawiać. Ale na początku były zatargi, bo ja mówiłem, a bo to, a tamto. Teraz mówię, wiem, że wypilem.

Nie wyszło, nie wyszło [w życiu jak chciał]. Chciałem pokazać rodzinie, że mnie stać na więcej i bach. Mam teraz robotę i nie myślę o niczym więcej, tylko żeby to mieszkanie wywalczyć.

Starania o własny lokal i poprzednie mieszkania:

Walczę o socjalne. A że pracuję, to znowuż będzie, że dochody [za duże] i czekać, papiery składać. Ale gdzie tu jest sens, gdzie logika, jeżeli dzisiaj mam pracę, to zapłacę, a za miesiąc stracę pracę. Nie będę miał ani na komorne, ani na to i na tamto i znowuż się zaczną kurde długi. Wyrzucą mnie, że nie płacę, że w koło Wojtku...

Tak jak mi powiedziała [urzędniczka], że tyle i tyle na socjalne. Ja mówię, dobrze, do pani nie mam pretensji, ale tutaj po prostu gdzieś rząd zgubił wątek. Niech ja będę miał z opieki. Gdzieś tam dorobię dwie stowy, no i z opieki niech ja dostanę, to będę miał 400 zł. Zapłacić za mieszkanie, zapłacić gaz, zapłacić prąd... To, kurde, gdzie tu jest logika? Niech ja dostanę większe mieszkanie, bo wątpię żeby wszystkie mieszkania były w jednym metrażu. Jest 19 m kw, ale są różne. Jak wynajmowałem, bo tak wyszło z tą drugą, że wynajmowaliśmy, to 19 m kw praktycznie było takie, jak ten pokój [zajmowany przez niego ze współlokatorem]. Ale nie wiem, ile on tutaj ma. Tam też było jedno okno. Potrafiłem zrobić [z tego] sypialnię, taki pokój, łazienkę, ubikację i kuchnię. [Na 19 m kw] trzy pomieszczenia. Płytą gipsowo-kartonową oddzieliłem, że stała lodówka, parę szafek wiszących. Po drugiej zlewozmywak i szafka i już była kuchnia. [...] wymierzyliśmy, żeby brodzik wstawić, ubikację się wymierzyło i rozdrabniacz, bo tam nie było odpływu. No i żeby można jeszcze było pralkę małą wstawić. [...] światło wtedy zrobiłem na 12 wolt. Prądu paliliśmy co miesiąc 20–30 zł. Bo wszystko na 12 wolt, telewizor i takie inne rzeczy to już większe wolty dało, ale światło miałem cztery halogeny po 50, czyli 200, a ja nie włączałem w pokój – chyba że ktoś przyszedł, bo było tak widno jak na stadionie. Wszystko po przekątnej zrobione. Nikogo nie raziło, bo na ściany uderzało. Można było zrobić.

[...] Niektóre rzeczy to wiedziałem, [ale] że samemu się nie robi tak szybko, prosiłem kolegi takiego znajomego i on mi pomagał. Przywieźliśmy materiał, na górę się wniosło. On mi pomógł i we dwóch żeśmy dłubali. On robił wodę, ja elektrykę. Coś się robiło, żeby jak najszybciej zrobić, było porządnie i dokładnie.

Ale teraz mówię, że będę się po cichu starał o socjalne. [...] A potem będę składał papiery na kwaterunkowe. Żeby już być w tym socjalnym, [bo] już mógłbym kupić jakieś rzeczy sobie. Najwyżej przenieść się już później. I będę wiedział jeszcze czy będę pracował tu gdzie pracuję, bo umowę miałem teraz od 3 do 14 i od 15 do 21 [dnia danego miesiąca], a teraz to nie wiem, jaką umowę [będzie miał]. Jutro ma przywieźć.

Praca:

W Dellu robię. Tzn. to jest agencja. Dell agencję wynajmuje i agencja im ludzie daje. Byłem w Czechach i wróciłem szybko. Byłem cztery–pięć dni. Pojechaliśmy, mieliśmy mieć 75 koron na godzinę. Pojechaliśmy tam wieczorem i okazało się, że nie 75, tylko 53 korony. [...] Zajechaliśmy tam, było grubo po 22, chcieli, żebyśmy jechali na szkolenie. Mówimy

nie, bo jesteśmy zmęczeni, chcemy się położyć. No dobra, to rano. Rano od ósmej pojechaliśmy na zakład. [...] musieliśmy oddać dowody, bo inaczej nie wolno było wejść na zakład i siedzieliśmy do 22. [...] Umowę dostaliśmy na sto pięćdziesiąt godzin, na rok. Ja mówię, sorry, ale ja sto pięćdziesiąt godzin zrobię nie przez rok tylko krócej. Dwa-trzy dni i mam sto pięćdziesiąt godzin zrobione. A oni dochodzą do tego, że jeżeli przywiozą komponenty i podzespoły, to będzie praca. Jeżeli nie przywiozą i nie załatwią, to nie będzie pracy. Ja mówię, ale to jest płatne? Nie. [...] [Korona czeska kosztuje] 16 gr. Taka tania. Jak wyjeżdżałem, to jeszcze złapałem koronę za 15. Jak przyjechałem, już była po 16. Taniocha. [...] jak sobie obliczyłem, to nie było [po] co tam siedzieć. [...] przyjeżdżali Polacy, jedni robili, jedni dostali umowy [...], a niektórzy schodzili do baru i nie mieli za co później wrócić. Później brali [zaliczki], [...] można było wziąć 2000 koron takiej zaliczki. Druga to 1500 chyba było. Ja się pytam, [po co] tak zaliczki brać. [Pytam się] jednego, „po co ty to bierzesz? Przecież później jak przyjdzie do wypłaty, możesz nie mieć tyle. I koniec, nie masz kasy, nie masz za co wracać”. Jednemu żeśmy się złożyli, stamtąd ściągnęli, żeby wrócił.

Przeleciałem przez te agencje, [...] opinie mam wypisane przez zakłady, ale co z tego, jak oni tego nie czytają. [...] w gazecie było, [że] poszukują na wtryskarki, na zgrzewarki – pracowałem przy tym trzy lata. Nie dostałem żadnego telefonu. Ślusarzy potrzebowali, mam – nie dostałem. Spawaczy mam, tylko że nie mam na migo-maga – nie dostałem. Kurde, to co wy piszecie w gazecie, przecież ja mam na to uprawnienia.? „No, bo pan CV nie zostawił”. Ja mówię, „jak nie, niech pani zajrzy”. Zajrzała, „to już jest siódme CV”. Ja mówię, „no i co? Wy po prostu nie czytacie”. Koordynatorzy nie wiedzą. Zamiast najpierw ściągnąć tych, co zostawili CV. Ściągnąć, spytać się, gdzie pracował, co przy tym robił, jak, i wtedy ma czarno na białym czy tak czy nie.

Zrobiłem kursy [na wózki] widłowe z opieki [jedne z programów na kursy i szkolenia zawodowe], no ale... [Jestem] ślusarz, mechanik, elektromonter podzespołów elektrotechnicznych, spawacz, wózki widłowe, [...] mam jeszcze pierwszej pomocy porobione i praktycznie mam przerobione na produkcji każdy etap. Lodówki dla Gillette'a, podstawki robiłem do tego. W Sanoku też pracowałem, pakowałem maszynki. Na galwanizerni pracowałem, na budowie pracowałem.

To, co mogłem zaraz po szkole i było dobrze płatne, zaraz się łapałem i było fajnie, bo mogłem sobie iść do pośredniaka. Przypuśćmy, że coś z pieniędzmi było nie tak, [...] czy chciałem podnieść [wynagrodzenie bądź stawkę za pracę], siedłem do pośredniaka, gablota – jest. Wchodziłem od razu i tak.

Teraz jak do pośredniaka poszedłem, to oczy postawiłem [...]. Na dzień dobry dostałem listę agencji. Mówię, „a po co wy tu jesteście? Przecież wy powinniście pracę dać, a nie agencja”. Poszedłem, czy są te prace interwencyjne. „Nie, nie ma. My nie mamy”. [...] Po prostu są ludzie niektórzy na nieodpowiedzialnych stanowiskach. [...] mieliśmy koordynatora, to był facet, który autentycznie nie nadawał się na koordynatora, bo ja do niego dzwoniłem. Mówię, „panie M., niech pan przywiezie płyn”. „To wy już nie macie?”. Przychodził i [kazał], to ma być zrobione, ale czym?

[...] później mnie przyjął do mycia okien. Okazało się, że za dużo ludzi poprzyjmował, a ja zrobiłem awanturę, bo już e skończyła mi się umowa, ja się go w piątek pytałem, czy będzie umowa dalej? [Tamtę] „Zobaczmy”. W poniedziałek jadę do biura, mówi „nie jest podpisana z panem umowa”. Tak po prostu, bez uprzedzenia, bez niczego, po prostu mi powiedział [...] „że niepodpisana. Ja mówię, „a nadgodziny?” „To pan miał jakieś nadgodziny?”. A ja mam wszystko zapisane, gdzie byłem, co robiłem, bo sobie zapisywałem, bo jak się przyjmowałem coś mi nie pasowało. [...] wkurzyłem się i poszedłem do Państwowej Inspekcji

Pracy i do Pefronu. Powiedziałem [...] co się dzieje. Wypłacił, bo się wystraszył i dostał zawał, dowiedziałem się. I został wyrzucony z pracy. Jego kolega kierownik przyszedł tu, no i później jego ściągnął, a podobno pobrali obiekty i nie porobili. Zostałem wezwany, bo zadzwoniłem i kierownik nowy mi powiedział, żebym przyjechał, to przy mnie dzwonili, że nie jest zrobiony teren, a [były] informacje, że jest zrobiony. Nie, nie jest zrobiony, niech pan przyjedzie zobaczyć. [Tamten, który później dostał zawał] [...] kazał nam wchodzić na okna na ósmym piętrze bez zabezpieczenia, żeby myć okna. [...] no to wchodził ochroniarz. [Ale raz] było okno w drugim pokoju otwarte, nie były zamknięte drzwi i okno go przygniotło [przeciąg], nic mu się nie stało [...]. [Nie spadł], bo się przytrzymał. [...]

Tyle zakładów, ile przeszedłem, to sobie nie pozwolę, bo wiem, co jest i wiem kiedy mogę się odezwać, a kiedy nie. Nie obawiałem się, przeczytałem kodeks, bo teraz te kodeksy są pozmieniane, ale na początku przeczytałem. [Jak] zaczęliśmy z kierownikami nie raz walczyć, wiedzieli, że ze mną nie przelewki. [...] po prostu nie dawałem sobie.

Jak u B. robiłem na magazynie, to samo było. [Współpracownik] polecił na skargę, że mu naubliżałem. [Sze]f mówi, „po co ty mu się wtrącasz? On ma swoją robotę? Ma. Zrobił dobrze i dokładnie? Tak. No to po co mu się wcinasz? Idź mi stąd”, a – a to był jego wujek. A ode mnie dostał opeer [skarżący się potem]. Bo [...] po prostu nie pozwolę sobą pomiatać tak, jak pracowałem na VT. u takiego Chińczyka na magazynie. On na mnie zagwizdał. Ja mówię, „to sobie pogwizdź jeszcze dłużej, nie pójdę do ciebie”. Dopiero [...] jego wspólnik mu coś powiedział, przyszli z tłumaczem. Mówi, żebym poszedł coś zanieść, a ja mówię „zrobię to, pójdę i zrobię. Mogę teraz iść, żeby mi powiedział, co mam zrobić. Ale [gdy] zrobię swoją pracę do końca, [wtedy] mogę zrobić następną pracę, a nie że odejdę od tego, zrobię tamto, a tu zostawię”. Będzie bałagan, potem będę chciał coś znaleźć i tego nie znajduję. Robiłem do telewizorów przody i tyły. Były samsungi, panasonicki i coś jeszcze. Później się tylko Panasonic został, bo inne wycofały się. To on później na mnie nie gwizdał, [a] na chłopaków gwizdał. Do mnie to przychodził „dzień dobry” – kultura. [...] dziewczyny jak się pomyliły – źle był napis czy coś było źle, potrafił kopnąć w kartony. [...] tak bluźnił, że mała głowa. [...] wiem, że oni potrafią po polsku. [...] to nie było na mojej zmianie, ale uderzył chłopaka. W ramię go pukał podobno i chłopaki się zebrali, a on całą noc nie wychodził z zakładu, bo się bał. Później drugi raz był incydent z nim, to zawzięli się i poszli do Inspekcji Pracy. Inspekcja wpadła i trochę się uspokoił, „dzień dobry” do każdego, grzecznie. Ale później chłopaki mówią, że znowu dostał [w sensie: odbiło mu]. [...] Chińczyk jeden, pięć lat nie płacił podatku. Inne zakłady nie płać podatku w strefie [ekonomicznej].

Przyjdzie inny kierownik i nie musi zmieniać nazwy. Wejdzie [...] i już może następne pięć lat ciągnąć. Zmieni [...] literę, nazwę zakładu, już jest inna. I oni mówią dziura w budżecie. [...]

Dell, mówię już trudno, ale [żeby] Sanoko, gdzie pakują. Przecież tam na okrągło przewijają się cały czas ludzie. Jest przerób. Jedni zostają, nigdy nie odchodzą [...]. Chciałem tam wrócić, na razie nie ma pracy, to wróć. Zrobiłem im na 100 proc. testy, [mówią] „bądźmy do pana dzwonić”. Nie odezwali się. Mówię, co jest. Nie odebrała – pojechałem – „dlaczego nie zadzwoniliście?”. „Bo doszli do wniosku, że pan już pracował i już nie może pan tam pracować”. Ja wiem: lepiej jest przeszkolić następnego pracownika, świeżego i mniej mu zapłacić.

Tam się jedzie i to też jest przez agencję, stoi się pod bramą i czeka na koordynatora jak przyjdzie, żeby dał wejściówkę. Przechodzi się przez bramkę, idzie się na drugą bramkę w zakładzie, dostaje się kluczyk [od szafki], pobiera się, idzie się ubrać i na halę. Jeżeli kierownicy zmianowi wiedzą, że maszyna nie chodzi, nie będzie roboty – mogą cofnąć.

[...] trzy razy ta miałem. Pojechałem na nocną zmianę, stoję na bramce, a ona mówi „ja pana na liście nie mam. Musi pan czekać, jeżeli się kierownik zgodzi, żeby pana wpuścić, to wypuszczyć”. Ja mówię, „to dziękuję, jadę z powrotem”. Odwołany byłem. SMS nie napisali, albo zapomniała, albo coś, ale po prostu odwołują. Człowiek się nastawi, [...], że jutro jadę na rano, a tu dostaję SMS „proszę nie przyjeżdżać, nie ma pracy”. No i ręce opadają i nie wiadomo, co robić, czekać czy co. I tam właśnie tak cały czas. Tam emeryci robią.

Najdłużej to pracowałem w Zakładach Sprzętu Przeciwpowodziowego. [...] tam było długo i później w Redsamie i to były najdłuższe. Tutaj było pięć lat chyba, a tam od 2000. [...] w szkole pracowałem na odlewni, tylko świadectwa nie mam, bo zagubiłem gdzieś, a tamtej szkoły nie ma.

I przerobiłem agencję, właśnie Dell, Indesit – wszystkie zakłady w okolicy. Jest makabra. Jak dzwoniłem, wszystko dobrze. Na końcu się pyta o lata. Mówię, swój wiek mam, czterdzieści osiem lat, „no to nie, proszę pana”. Ja mówię, na osobny tor boczny pójść? To pani mogła się od razu mnie spytać. Albo po prostu grupy nie było, bo chciałem do ochrony [...]. Żartowałem sobie, że banki rabują, a dziadek stanie, wejdzie gówniarz, postraszy i od razu. Dla mnie to jest paranoja, a wiem, bo pracowałem w ochronie, więc wiem, że byli policjanci i ubowcy mają licencje.

[...]. Jak ja popatrzyłem [...], to mówię, niedługo będzie trzeci rozbiór Polski. Praktycznie gdzie by się człowiek nie obejrzał, to [firma] polsko-angielska, polsko-francuska, polsko-niemiecka. [...] Pracowałem też [gdzie indziej], a ona mówi [ktoś z kadr], „sorry, ale kończymy umowę, jak pan widzi, [...] ta linia wyjeżdża do Anglii”. I zostały same wtryskarki. [...] gdzie by człowiek nie poszedł, mam na wszystko zaświadczenia. Wózki widłowe, tego typu, komputer, [...] jest operator produkcji, pomocnik magazynu. [...] Tu jeden dzień, tu siedem dni, a tu jedenaście dni. [...] Tutaj też przez agencję. [...] List [z rekomendacją] – przez agencję. Jeden – przez zakład. Opinia też jest przez zakład wystawiona. Wszystkie agencyjne umowy. To są świadectwa pracy. [...] Cała książka praktycznie.

To jest [na] krótki okres i tak przyjmują, jest wszystko okay, wszystko fajnie – do widzenia. I ja tej swojej tłumaczyłem: zobacz, że ja nie mogę. „Bo ty źle rozmawiasz”. Ja mówię, „jak ja mam iść, jak ja mam rozmawiać z pracodawcą, przecież mu nie wywalę wszystkiego”. Przecież pokazywałem, wszystko mają, przecież może sobie przerzucić, może się mnie spytać. No, bo już wiek. [...].

O sobie:

[...] Modelarstwem się trochę zajmowałem. [...] Jak kleiłem modele, to uspokajałem się. Wyłączałem się. Nie raz jak kleiłem, to ta druga żona mówi: „choroba, zostawiłbyś to. Słyszysz, co do ciebie mówię?”. A ja nic, byłem w swoim świecie. [...] Teraz nie [klei], za drogie są. Teraz może trochę zacznę, ale na razie powiedziałem [sobie], że muszę pociągnąć mieszkanie, no i dopóki tu będę, żeby było czysto. [...] kumpel mi pomógł poprzywozić ciuchy. Telewizor, sprzęt to ja sobie przywiozłem.

[...] nie lubię [bałaganu]. Mam plamę na spodniach czy coś, już mnie to denerwuje. Nie lubię [czegoś] takiego, na sprzęcie muszę mieć też czysto, na szafkach [w pracy]. Nie lubię mieć kurzu. Nauczyłem się od babci, żeby mieć czysto i w ogóle. Gotować [nauczył się też od niej]. Kazała mi kurczaka ugotować. [...] jak to ugotować, jak przegotuje? Ale ugotowałem jakoś. Zaniósłem, powiedziała, że dobry był, ale czy naprawdę? Trochę sobie ugotuję. Tylko

nie gotuję pomidorówki, bo już przejadła mi się. Jak z pierwszą żoną byłem, miałem codziennie pomidorówkę, już miałem dosyć. Jak wypłatę dostałem, to nieraz poszedłem jeść. [...] Codziennie tu sprzątam [w pokoju w ośrodku]. Wejdę w butach, przyniosę tego piasku... Chciałbym żeby było czysto. Nie lubię, ktoś przyjdzie do mnie [...] [zobaczy brud]. Tak się mówi: jak cię widzą, tak cię piszą.

„Małgorzata”

Ma niecałe sześćdziesiąt lat. Należała do grupy najbardziej zajętych i zapracowanych lokatorek schroniska. Część z nich ciężko pracuje także w systemie zmianowym, jednak tylko niektórym z nich udaje się zatrudnić na umowę (najczęściej pracują na czarno). Placówkę traktują jako „sypialnię”, przystanek czy miejsce odpoczynku lub jak hotel robotniczy. Tak określiła tę instytucję jedna z nich, wprowadzając „Małgorzatę” do panującego tam systemu, co potem „Małgorzata” mi opowiedziała.

Trudno ją było zastać i wielokrotnie przekładałyśmy rozmowę. Powodem nie była jej niechęć do rozmowy czy zmiana zdania, ponieważ zgodziła się od razu na opowiedzenie swojej historii. Miała jednak zmienny grafik pracy w opiece społecznej (sic!).

Historie ludzi znajdujących się w schroniskach i noclegowniach odsłaniają paradoksy życia. Życiorys „Małgorzaty” jest tego dobrym przykładem: zanim trafiła do placówki, miała doświadczenie w pracy w jednym z działów opieki społecznej, a potem zajmowała się osobami starszymi wymagającymi stałej pielęgnacji. Zdobyła też w tym zakresie dodatkowe kwalifikacje, gdy już mieszkała w schronisku. Używała taką możliwość dzięki jednemu z programów wspierających wychodzenie z bezdomności i bezrobocia.

Czym jest dom:

Na pewno nie jest to miejsce. Nawet mój rodzinny dom, też nie był taki prawdziwy dom. Dużo nas było, miałam cztery siostry przyrodnie. Zawsze było w nerwach i zawsze było mnóstwo do roboty. Moja mama pracowała. Mój ojciec biologiczny nie żyje. Pan, który został potem ojcem tej czwórki rozbrykanych dziewcząt, a miał być syn, tylko się nie udało, też już nie żyje. Same baby w domu, to jest w ogóle koszmar.

Ja zawsze najpierw starałam się czegoś nauczyć, a dopiero potem zakładać rodzinę. Moje młodsze siostrzyczki raczej robiły odwrotnie. Jak ja zaczynałam studia, to moja siostra młodsza o prawie dwa lata, już była w ciąży.

W końcu wyszłam z tego mieszkania. Na początku tułałam się po wynajętych mieszkaniach. Po wielu latach udało mi się, już jako pracownikowi Uniwersytetu Łódzkiego, Wydziału [...], kupić mieszkanie.

Nieopatrnie zgadałam się z kimś po śmierci mojego pierwszego chłopaka i dziecka. Nie wierzyłam już w „Solidarność” itd. Na to też nie było czasu. W końcu, jak związałam się

w kimś, komu zaufałam na stare lata, to mnie wyrolował tak, że straciłam własne mieszkanie. [A] udało mi się kupić mieszkanie.

Później mnie poniosło w tuszyńskie. Siedziałam tam siedem lat i wróciłam. Tam też straciłam dach nad głową. Mieszkalam u jednej pani, którą się opiekowałam. Była sparaliżowana od pasa w dół. Warunki się na tyle pogorszyły, że jej syn, który nie stronił od alkoholu, owszem, napalił w piecu, [ale] o 4:00 rano. Robił pobudkę, potem jechał do sklepu i przyjeżdżał po czterech godzinach dokładnie nasączony „rogalem”. [A tu] przynieś wodę z działki, 50 metrów [do studni], dokładaj do pieca; mycie tej pani, ręczne pranie... Panicznie bali się prądu, gazu, wszystkiego.

Później zajmowałam się panem, który był chory na raka i jednocześnie też miał [...] problem alkoholowy. Miał powikłaną sytuację rodzinną. Rodzina była bardzo negatywnie do mnie nastawiona. Kiedy on już bardzo zachorował, to bardziej na marskość wątroby, niż na raka. Był chudziutki, palił, nie miał $\frac{3}{4}$ jednego płuca. Dopóki miał bodziec do życia pod tytułem przebudowa mieszkania po mamie i najróżniejsze cudenka, posprzedawał jakieś działki i forsy miał jak lodu, instalował sobie jacuzzi, sauny, ogrzewanie podłogowe, [więc] dopóki to robił, jeszcze było fajnie. Później już przestało mu na tym wszystkim zależeć [...]. Nakupował inwentarza w postaci kozy, królików miniaterek. [...] Córki oddały go do szpitala, gdzie zmarł.

Wyrzuciły mnie, niszcząc mi okulary i protezę. [...] stwierdziły, że najwyżej przyjdę sobie po swoje rzeczy. Teraz, jak [ich] tata jedzie do szpitala, natychmiast muszę zrobić „aut”. Może myślały, że nagrałam jakąś kradzież, bo faktycznie nastąpiła. Właściwie trzy czwarte osób wiedziało, co kto pokradł, a dokładnie ukradziono 52-calową plazmę. Potem 5 tysięcy, które się odnalazły. One później stwierdziły, że podczas tego włamania moje rzeczy zabrali złodzieje. Na pewno złodziejom była potrzebna czyjaś proteza! [I] wszystkie moje rzeczy. Dzień w dzień coś tam paliły na działce. Wszystko, futerko [...], kozuszek, wszystko. Mnie pomogła pani dzielnicowa [...], przywożąc różne rzeczy. Dlatego ja tak wyglądałam w tych za dużych rzeczach. Jak ta ofiara. I tu przyjechałam. Niestety straszna rodzina.

Dawne życie:

[...] wynajmowałam masę różnych mieszkań i przeżyłam tyle z tym chłopem. Byłam z nim pięć lat. Te cztery i pół na pewno za długo. Moi łódzcy przyjaciele wrobili mnie w związek. Na pierwszy rzut oka człowiek szarmancki, pełna galanteria i w ogóle. Bardzo dobre wrażenie. Okazało się, że przesiedział w więzieniu trzynaście lat za fałszerstwa bankowe. Fałszował [...] PKO-wskie książeczki. Za państwowe zakłady bardzo długo się siedzi. Siedział w [...], jak się potem dowiedziałam. To jest podobno więzienie o złagodzonej rygorze. Tam się nauczył angielskiego. Jest z rodziny lekarzy stomatologów i sam potrafił robić protezy. Mógłby robić. Z zawodu elektryk, elektronik. Ale dwie lewe ręce do roboty, bo w więzieniu nic się nie robiło. Prowadził radiowęzeł więzienny, bo elektryk, elektronik, bo to, bo tamto. W zasadzie ślizgał się przez życie.

Na początku niby nie mógł dostać pracy. Wszystko naprawił, złota rączka. [...]. Dom był posprzątany, obiad ugotowany. Robił to. Później się zaczęło. Tułałyśmy się po mieszkaniach w różnych dzielnicach i różni ludzie. Zamiast zapłacić, postawił kielicha. Był dwa razy prywatnie na detoksie. Za trzecim razem już byliśmy razem...

Pierwsze mieszkanie załatwił nam jego wujek. [...] Któregoś razu zrobił mi [jej partner] taki numer, że zostawił mnie bez pieniędzy, bez niczego. Nałykał się akrylu – związku, z którego

robi się zęby, żeby się zatruć. Zabrało go pogotowie, a następnym razem wywieźli go do [...]. Liścik mi zostawił, żebym przywiozła mu to i to i parę groszy.

Nie odpisałam i nie pojechałam. Nie wiem, co się z nim dzieje. Do pana J. [jego wujka] powiedziałam, żeby się nie gniewał. „Pani Gosiu, ja się nie gniewam. To jest mój siostrzeniec, ale rozumiem”.

Nie chcę już go widzieć. Nie dowiaduję się. Nie jadę do niego. Od pięciu lat nie wiem, co się z nim dzieje. Musiałam odsprzedać to mieszkanie i oczywiście na tym straciłam. Poodda-
wałam długi za prąd.

Tam chodził do [pracy] do kurnika. Koszmarne miejsce, bo tam też trzy miesiące pracowałam. W każdym razie starałam się wykazać. Coraz częściej ja przyjeżdżałam do pracy, a to jest pół godziny lasem. Po drodze do Tesco. Wtedy pracowałam w świadczeniach rodzinnych. [...] Więc do Tesco, żeby taniej kupić. Miałam taki autobus, że wracałam pół godziny przez las. I nie mógł wyjść po mnie, po zakupy... Miałam dosyć. Podziękowałam za mieszkanie, co załatwił ten wujek. Od razu trafiła mi się pani [pierwsza, którą się opiekowała].

Było co jeść, papierosy. Do tego jeszcze pani M. [jej podopieczna] mi płaciła, żebym miała na własne potrzeby. Z nimi mieszkalam. Tego też było za dużo, bo węgiel, to wszystko. [Jej syn] ciągle wracał pijany.

[Po rozstaniu z partnerem] W końcu byłam sama. Były przelotne znajomości, ale nie było czasu.

[...] Byłam zaangażowana w [Solidarność] dość mocno. [...] Zakładaliśmy ZHR. Też jestem członkiem założycielem.

[...] Dzięki [znajomym z dawnej pracy na uniwersytecie] zostałam jeszcze potem w MOPS. I tam bym pracowała do tej pory. Zachorowała mama mojego chłopaka, przyszywana teściowa. Zajął się nią, bo nie miał kto. Powiedziałam wszystko szefowi. A on, „pani Gosiu, nie mogę pani zagwarantować, że jak pani wróci, to będzie miejsce”. To było ponad pół roku [opieka nad niedoszłą teściową].

[...] Przyjechałam do Łodzi i pojechałam do Manufaktury, bo w życiu w niej nie byłam. I, matko! Pozmieniała się ta Łódź. A jak zobaczyłam tamten wydział [...], to Boże. Zupełnie inaczej. Wróciłam, nie miałam pracy. Długo nie mogłam nic znaleźć. Nie umiałam prosić znajomych. [Jeden z nich] powiedział mi, „nie gniewaj się, idź do [...] mojego sekretarza”. I rzeczywiście on załatwił [pracę w MOPS]. To było na czas określony w ramach robót publicznych. Potem zmienił się szef MOPS. Jak się umowa skończyła, już nie przedłużyli. Potem i tak wyjechałam do T. Dojeżdżałam z T. do Z. Próbowала pracować w Bobovicie. I jeszcze w tym kurniku, po 19 kur w jednej klatce. Komputerowo sprawdzałam jajka [...]. To było zimą. Grudzień, styczeń, luty. Na trzy miesiące mnie zatrudniano. Biegałam sobie przez las. Dobrze, że śnieg nie padał. Pracowałam na dwie zmiany. Jak mi opowiadali pracownicy, w okresie przed Wielkanocą [pracowało się] 24 godziny na dobę. Przed Wielkanocą już mnie nie było. I trzy miesiące w Cyfralu. Produkowali domofony. Siedziało się przy biurczku, słuchawki, sprawdzało czy wszystko działa. [...] jeszcze pracowałam u stolarza. Malowałam i lakierowałam mebelki.

Pobyty w placówkach pomocy:

Po siedmiu latach wróciłam do Łodzi. Okazało się, że mama się wyniosła do mojej prawie teściowej nad morze. Siostry pozajmowały mieszkanie i nie miałam gdzie iść. Poszłam do Straży Miejskiej [gdzie dowiedziała się o miejskim schronisku dla kobiet].

[Pokierowana przez Straż Miejską] Weszłam od strony noclegowni, nie wiedząc, że jest podział na schronisko [i noclegownię]. Trafiłam właśnie na noclegownię. [...] Byłam bez protezy i rzeczywiście wyglądałam tragicznie.

[...] To był marzec, paskudna pogoda. Tuż przed 22:00. Jeszcze kobitki siedziały sobie na papierosie. Właśnie sympatycznie mnie pokierowały, „proszę zadzwonić, poczekać. Zaraz ktoś do pani wyjdzie”. Zdziwione, że taka tu przyszła. Ktoś nowy i to nie policja, nie straż miejska, tylko sama z siebie. Trzeźwa i w ogóle. Pani D. wyskoczyła.

[...] [W noclegowni byłam] od 7 marca do 5 kwietnia. To wszystko się działo w tym roku [2014]. Tuż po świętach. Potem mi powiedziała [pracownica socjalna], że tutaj różne trafiają. Ale ja nie wiedziałam, że tam od drugiej strony jest wejście [do schroniska].

Pierwsze zetknięcie [z noclegownią] było tragiczne. Przyjmowała mnie pani D. i bardzo sympatycznie to zrobiła, fajnie, delikatnie. Potem [inne] panie [portierki, opiekunki] zawsze były bardzo ciepłe. [Jeszcze inną] tak bardziej na dystans. O pani [kolejnej] w ogóle nie mówię. Szefowa też inaczej.

[...] Mam taką sytuację, że mamy nie ma, siostry to w ogóle. Jedna siostra, z którą utrzymywałam kontakt, nie było jej [u siebie]. To było przed 22:00 i nie wiem dlaczego nie było mojej siostry, bo tam jest trójka dzieci. Nie świeciło się, a od strony podwórka nie mogłam zobaczyć, bo była brama z domofonem. Nie dostałam się i tłumaczę, że nie wiem, co jest. A własne mieszkanie niestety już musiałam sprzedać. To mieszkanie, które było tak zadłużone, bo mnie tak chłop załatwił. Wszystko w tym mieszkaniu było na prąd i nie wyrobiłam się. Musiałam oddać część pieniędzy mojej siostrze, która dała też swoją książeczkę. Pomagała.

„A ma pani to wymeldowanie?” [pani D., która ją wtedy przyjmowała na noclegownię]. Mówię, że tak. Już parę lat temu byłam wymeldowana z tego mieszkania. Nie sprawdzała mnie alkomatem. Ona bardzo delikatnie, nieważne, że to tak wyglądało bez tych zębów. „Proszę mi wybaczyć, ale muszę sprawdzić głowę”. Mówię, że proszę bardzo. Miałam taką kitkę związaną. Teraz mam krótkie włosy. W tym za dużym kozuchu, Boże. Koszmar. Mówię, że to ja rozumiem.

Obiło mi się o uszy, że takie miejsca istnieją. Pierwsze wrażenie to już było przyciemnione światło, właściwie już po dyżurze. „Nie ma w tej chwili miejsc. Możemy zsunąć pani dwa fotele na korytarzu”. Mówię, że jadę z powrotem do Z. [do przyjaciół] i jeżeli uda mi się tam załatwić jakieś miejsce, tu nie wrócę. Miałam piżamę na przebranie się. Wiedziałam, że nawet gdziekolwiek indziej bym się zatrzymała, to muszę [ją] mieć. Przybory do mycia. [...] „a jeżeli mi się nie uda, czy mogę tutaj wrócić z powrotem?”. „W takiej sytuacji tak, ale proszę pamiętać, że to będzie kompletna roszada. Może nie być miejsca na tych fotelach, ale może będzie na innym fotelu albo nawet na krześle. Absolutnie nie wypuścimy pani na ta pogodę”. Rzeczywiście za dwa dni wróciłam. Niestety, nie udało mi się tam nic załatwić. Ci moi przyjaciele, którzy teraz mnie zapraszają, wtedy już byli kompletnie wytrąceni z obiegu. I to wszystko tak im się poukładało. I wróciłam.

[...] no cóż, na korytarzu [spiałam]. Usnęłam. Ja może dziwnie reaguję na stres. Wtedy zaczynam jeść. Przez pierwsze pół godziny myślę intensywnie, jak to rozwiązać. Potem dostaję nagle takiego uścisku w skroniach i basta. I śpię. Tak reaguję.

Radzenie sobie w nowych warunkach:

[...] moi przyjaciele w tej chwili starają się nadrobić to wszystko z tamtego okresu. Teściowa im zmarła i musieli zlikwidować mieszkanie. Też wtedy im się spiętrzyło. [...] mówię na nich dowcipnie „sponsorzy”. Po prostu na początku zamawiali u mnie papierosy. Dawali mi na tytoń, a jeszcze potem mi płacili za papierosy. Do tej pory zapraszają mnie na święta. Siedem miesięcy temu urodził im się wnuczek, więc oszaleli. Teraz urodziła się wnuczka, to już drugi kociokwik.

W każdym razie wtedy [na początku pobytu w schronisku] byłam tutaj sama bez grosza. Co prawda, chyba dostałam od nich [przyjaciół] 300 zł, żeby mnie wspomóc pieniężnie.

Jakoś tutaj próbowałam się porządzić.

Po pierwsze, wyrobić nowy dowód. [...] Powinnam w listopadzie wymienić dowód, bo już mi się skończyła ważność. Dopiero w marcu, jak tutaj wróciłam [do Łodzi], to rejestracja. I pieniążki jakoś mi się rozeszły. Nawet rejestrując się w PUP, doradca do spraw pracy, przy drugiej wizycie, stwierdziła, że coś umiem. [...] Może nie skończyłam [studiów], ale znałam francuski. Biegle znam, bo bywałam we Francji. Angielskiego nauczyłam się na biologii, bo w naszym Zakładzie [...] wydawano kwartalnik angielski. Teksty na komputerze ja opracowywałam. Praktycznie angielski biologiczny znałam. Śmieli się, że nie tylko magisterium, ale też doktorat mogę napisać po angielsku. Ja może nie mówię po angielsku. Bardzo dużo rozumiem, jeżeli ktoś wolno mówi, nie zawsze piosenki. Czytam, ale to nie biegła znajomość. Potrafiłam wychwycić błędy po angielsku w pisowni. [...]. Pani doradca mówi: „Pani Gosiu, jak cię widzą, tak cię piszą. Jak już pani wprawi zęby i to wszystko, zupełnie będzie inaczej”. Rzeczywiście, pamiętam, że poszłam do pani [socjalnej w schronisku], że potrzebuję na nowe okulary. Przecież mnie też zależy, żeby dostać pracę. Mam trzy i pół roku do wypracowania. Ale to trzeba udokumentować. Mówię, że mam papiery. „To proszę mi pokazać”. Zobaczyła moje świadectwo, że Alliance Française. Miałam nagrodę, że coś tam, że języki. Zawołała mnie: „Czemu mi pani tego od razu nie pokazała?”. Ja wychodzę, a ona woła [...] kogoś tam i mówi, że przecież tej dziewczynie trzeba natychmiast pomóc. I za dwa dni przeniosła mnie do schroniska.

[...] Próbowałam pomóc E. [jednej z kobiet poznanych na noclegowni] [...] Jeździłam z nią do przychodni na badania. Miała coś tam z płucami. Niestety przez alkohol miała lęki. Jak ktoś szedł z naprzeciwka, ona nie potrafiła sama iść. Od razu łapała mnie za rękę, bo na nią wpadnie. „Myślisz, że ludzie chodzą, żeby na kogoś specjalnie wpadać?”. Kiedyś szłyśmy [ulicą] i kropla deszczu jej wpadła za kołnierz. Tak wrzasnęła, że myślałam, że coś się stało. Sama nie mogła wychodzić. Później byłam z nią na komisji lekarskiej. Dostała stały zasiłek chorobowy i zniknęła. Nie ma z nią żadnego kontaktu. Ona po prostu wyszła sobie z koleżanką z noclegowni i wcięło. Przerywała leczenie i wszystko. Niby poszła do swojego brata do domu. Jeszcze próbowałam dwa razy zadzwonić do jej siostry. Powiedziała, żeby już nie dzwonić w tej sprawie. Zawsze będzie miło pogadać, ale nie na temat E. Ja już też nie chcę wiedzieć.

Staralam się jakoś i z tą S. [inną kobietą] na tyle, na ile mam ten czas.

Pani [socjalna] wręcz powiedziała, „pani Gosiu, może z początku było nie fair, brzydko, ale teraz pani zaufałam. Mam nadzieję, że jakoś się pani wykaże”. Rzeczywiście, zaczęłam najpierw robić kursy MOPS-owskie jako opiekun dzieci. Zaczęły się w lipcu. [...] Zaczęło się od takich części wstępnych, warsztatów aktywizujących, motywacyjnych. Dwa tygodnie później miała być dalsza część po przerwie. Rozpisali na cztery różne profile. No i tego opiekuna dzieci nie było. Byłam zarejestrowana, przychodziłam, dowiadywałam się. Mam

skończone pięćdziesiąt sześć lat. Żadna praca nie hańbi, ale już na stare lata tym bardziej, i [...] jestem zdrowa. Jak miałam dziesięć lat, to miałam szkarlatynę i penicylinę z debecyliną domięśniowo. Uodpornili mnie na wszystko. Tylko że jestem słaba fizycznie, jestem wcześniakiem. Nie mogę za bardzo się szarpać. Ja do łopaty nie pójdę. Mogę pójść sprzątać biura, ale te dziewczyny chodzą gdzieś po klatkach do naprawdę ciężkiej pracy. Chociaż teraz, jak tak biegam... Ale biegać to ja mogę, gorzej dźwigać. [...] Więc starałam się. To się potem przełożyło, jak była zmiana pani socjalnej. Pani R. wiedziała, że w końcu to jest ich obowiązek a nie mój, biegać po lekarzach czy po pogotowiach w sprawie S. Nie wiem, czy starała się o dodatkowy zasiłek celowy [dla tamtej].

[...] Były paskudne pogody i można było wrócić o 18:00 [do noclegowni, gdy tam jeszcze była]. Jeździłam co Carrefoura, do Ikei, bo daleko, do Empiku poczytać, [do] bibliotek, które znałam. Dużo mi pomogła koleżanka z placu Barlickiego. Tam, gdzie mieszkalam [kiedyś]. Handlowała na placu. Trochę jej popilnowałam stolika, ona mi załatwiała dzinsy i [...] posiłek.

[...] Od razu dostałam bony do Tesco na 200 zł [...]. Jeszcze nie zdążyłam przejść. Jeszcze potem 71 zł, bo całość zasiłku to 271 zł. Ja i tak dostanę dopiero pod koniec stycznia pierwszą wypłatę [...] Oprócz alkoholu i papierosów można było wszystko kupić na te bony. Te 71 zł to na papierosy. Ten miesiąc udało mi się przeżyć. Co by było, gdyby tego nie było? Zaczynałam myśleć, żeby znaleźć jakąkolwiek pracę. Od razu się zarejestrowałam. Tym bardziej, że [na] portierni zawsze zostawiają gratkę. Koleżanka mi też załatwiła ładowarkę do starej Nokii, żeby można było dzwonić. Chociaż po te 5 zł, żeby doładować. Za 25 zł od razu kupiłam doładowanie na miesiąc. To była stara Nokia, stara bateria i codziennie musiałam ją ładować. Dlatego pieniążki mi się rozlażyły. Potem kolejne miejsce, kolejny rozdział w życiu. Trzeba się znowu przyzwyczajać do nowych warunków, ale jeżeli przeżyłaś to i tamto, to też przeżyjesz. [...]

W ogóle starałam się rządzić tymi pieniędzmi, bo zostało mi jakieś 100 zł. Śniadanie i kolację dostawaliśmy. Natomiast ciepły posiłek do jakiegoś baru, do Tesco, do Galerii. Tam było tanio, po 2 zł skrzydełka, udka czy cokolwiek. Można było jakoś przeżyć przez ten miesiąc. Jak wydałam te pieniądze, pod koniec tego nieszczęsnego miesiąca właśnie ta koleżanka mi pomagała. Wydałam już na okulary, zdjęcie [do dowodu]. Od razu jak przyszłam, jakoś udało mi się przez ten miesiąc [przeżyć]. Dalej to już odezwali się moi przyjaciele. Chociaż widzieliśmy się pod koniec kwietnia, jak ja już byłam w schronisku [Gdy przeszła tam z noclegowni] starościna mówi: „Nie bój się, tutaj nikt nie gryzie. Każdy czeka na mieszkanie socjalne czy komunalne. Wszyscy traktujemy to jak taką przejściówkę, trochę hotel robotniczy. Nie wiem, jak ty to będziesz traktować”.

Też sobie tak pomyślałam. Np. jak te dwa tygodnie nad morzem, bo kiedyś pojechałam z koleżanką w delegację. [Więc] po prostu trochę dłuższa delegacja, ale weź się w garść. Już nie jesteś w noclegowni. W noclegowni czasami ogarniały mnie czarne myśli. Bałam się zwłaszcza na początku, jak mnie potraktowano, jak kompletnego lesera.

Dlatego tak biegałam po Carrefourze, po Ikei. Nie jeździłam tam tylko po to, żeby się ugrzać, ale pytałam się, czy czegoś nie trzeba, może do posprzątania. [Tak samo, gdy] byłam w Manufakturze. Potem te kursy. Jeszcze wcześniej przeprowadzka do schroniska.

To już po noclegowni, po okresie pierwszych dwóch tygodni takiej niepewności, ale jeszcze miałam pieniądze. Zaczęły topnieć. Jak już byłam zarejestrowana, to mówię trudno. Bez prawa do zasiłku, bo nie mogłam się wykazać pracą. Akurat na czarno robiłam. Trzeba będzie natychmiast coś znaleźć, znowu popukać do dawnych znajomych. Schować dumę do kieszeni. Łączyć po MOPS, po siostrach urszulankach. Dostawałam dla siebie i dla koleżanek

z noclegowni na Wólczańskiej [jedzenie]. Stało się w kolejkach co drugi dzień [po pomoc w organizacjach charytatywnych]. Stwierdziłam, że trzeba żyć. Później jak przeszłam do schroniska i na ten stały zasiłek, to większe możliwości.

[...] Staralam się wykazać, że jeżeli ktoś mi da szansę, to jednak nie spocznię na laurach, ale wykorzystam. Tak się trafił kurs opiekun osób starszych niepełnosprawnych, gdzie ja to w tuszyńskim robiłam. Zmieniać pampersy – u tej kobiety z synem pijakiem, który teraz jest chory na cukrzycę. Jest abstynentem, rychło w czas. Ta pani była sparaliżowana od pasa w dół. Musiałam sama dźwigać. Co prawda, ona była dużo chudsza, ale też musiałam wejść na łóżko. Synalka nie było. A to był jej ukochany synek. Oddał ją do DPS-u i za dwa miesiące zmarła.

[...] Dlatego ten kurs. Nie pójde na kosmetologię czy na fryzjerstwo, bo nie mam do tego drygu, zamiłowania. Uwielbiam jak fryzjerka robi mi coś z głową, ale sama tego nie lubię. Też miałam coś z sercem, ciśnieniem, krążeniem. Jakbym kręciła sama włosy, to dwa walki i koniec.

W każdym razie ten opiekun był akurat. Było siedem tygodni [kursu], cztery tygodnie praktyk w DPS na N. Nie wiem, gdzie była ta pani z tuszyńskiego w DPS, że zmarła w dwa tygodnie [miesiące?]. Podejrzewam, że z tęsknoty, a nie z innych powodów. Raczej psychicznie musiała. Ja ją raz tam odwiedziłam, to jeszcze jako tako. Później nie miałam czasu. W każdym razie skończyłam teraz ten kurs. W międzyczasie trafiło mi się prywatnie opiekować tzw. dziadkiem, jak ja to mówię. Jego wnuczka też mówi dziadek. Między sobą możemy sobie tak rozmawiać, ale on czołgista, osiemdziesiąt trzy lata, sprawny fizycznie, ale Alzheimer. Tam też za dużo nie robiłam. Jeżeli bywałam na cały dzień, to w sobotę. Tak to poniedziałki, wtorki po obiedzie. Od rana mieli jakąś stałą opiekunkę, z którą bez przerwy darli koty. Trzymali ją tylko dlatego, że ten pan ją tolerował. Ona próbowała wprowadzać swoje rządy. W poniedziałki i środy jego zięć, który z nim zostawał, był w domu. W domu na noc z nim zostawał. Jego córka z wnuczką jechały do swojego domu. Trzeba było [czołgistę] po prostu pilnować, żeby nie pił, nie uciekał. W poniedziałki i środy po obiedzie, bo ten zięć jeździł na jakieś kursy, ale sobie też jakoś dorobiłam.

Tutaj [instruktorka z kursu, z MOPS-u] zadzwoniła do mnie, że jest zebranie w Klubie Integracji Społecznej [...]. Z przedstawicielem, który zbiera ludzi po kursie na opiekuna. To było we wtorek [...]. W czwartek rano jest telefon, czy bym mogła się zgłosić. To było ogólne zebranie, ale potem ta pani A. przedstawiła się jako kierownik pracowników tzw. opiekunów środowiskowych z zakonu Bonifratrów. Każdy z nas, jak chciał, wypełniał numer telefonu, zamieniał dwa słowa. Ja się do wszystkiego przyznałam, skąd jestem, ze schroniska, że mam doświadczenie, te siedem tygodni kursu, w tym cztery tygodnie praktyk w DPS. Pani A. powiedziała, że jestem pierwszą osobą z tej piętnastki, która przyszła jej na myśl. I żeby nawiązać bliższą współpracę, czy pani może przyjść. [...] W czwartek na 8:15 się umówiliśmy. Nie wiem, czy do końca jest prawda, ponieważ tam był okres urlopowy. Zdaje się, że oni naprawdę nie mieli nikogo. Może też nikt nie chciał, może wcale nie jestem taka pierwsza, która im przyszła na myśl. Zgodziłam się, bo zależało mi na tym. Zarabiałam jakieś pieniądze, ale na lewo. Przyznałam się [w schronisku], ale powiedziano mi, że jak to jest poniżej 500 zł miesięcznie, to OK. „Niech pani ma normalną pracę, to wtedy będziemy rozmawiać o płatności”.

Wigilia u dziadka czołgisty była jakby pożegnalna.

[...] To jest świetny zarobek [u bonifratrów, nawet na zastępstwie], bo w DPS w życiu bym tyle nie dostała. 8 zł netto za godzinę i podwójna stawka za soboty i niedziele. Naprawdę przyzwyczajcie. Pani A. już mi powiedziała, że umowę mam do 31 stycznia. Później to ma

być albo trzymiesięczny okres próbny albo, jeżeli to będzie bardziej się opłacało, umowa zlecenie. Tak, żebym się spokojnie wyrejestrowała z Urzędu Pracy. Właśnie 3 stycznia mam [być] u [...] bardzo sympatycznego doradcy. Termin mam wyznaczony. Upowiedziałam podopiecznych, że muszę iść do urzędu.

[...] Moim bezpośrednim przełożonym jest dyplomowana pielęgniarka. Ale podanie o zatrudnienie pisałam do ojca przeora.

Schronisko a domowość i „domność”:

Powiedzmy, że ten dom [noclegownia i schronisko] na początku okazał się straszny. W tej chwili nie jest to taki dom, jaki chciałoby się mieć.

[...] Nie od razu przeszłam do tego pokoju, w którym [teraz] jestem. Byłam w [...]. Już miałam dość N. i jej traktowania ludzi. [...]

Trzeba [...] poobserwować, jak to się toczy. Jak współgrać ze wszystkimi. Dzień takiej asymilacji. Później rozmowa z koleżankami z innych pokoi.

[...] Pierwsze wrażenie, że to jest normalny pokój. Są szafy, jest gdzie co powiesić. Jakaś namiastka normalności. Od razu wytłumaczę sobie, że tam jest tylko noclegownia. Przychodzi się tylko po to, żeby się przespać. Niekoniecznie się zadomowić. Stworzono namiastkę domu i trzeba to docenić. Trzeba przyjąć warunki, pod jakimi się tutaj mieszka. Jest regulamin, trzeba się do niego dostosować.

[...] Dziewczyny wiedziały, że ja uwielbiam czytać. W czerwcu mam imieniny i lampkę nocną mi kupiły. Do 22:00 trzeba pogasić górne światło. Ludzie starają się nam stworzyć pozory domu. Lampeczkę można sobie zapalić. Można poczytać. Nikomu nie przeszkadza. [...] Tylko ta [...] To jest ciężki przypadek [mówi o osobie, która jest leczona psychiatrycznie]. Telewizor jak nikomu nie przeszkadza, niech sobie gra. Ktoś chce poczytać, proszę bardzo. Chyba że ktoś chce do końca życia [pozostać w takiej placówce, jak noclegownia i schronisko]. Coś takiego go zadowala. Do czasu otrzymania mieszkania trzeba jakoś się dostosować do regulaminu. Przestrzegać i przetrwać. Samemu sobie życia nie utrudniać.

[...] wróciłam z wigilii od kaprała czołgisty. [...] Z naszego pokoju nie było nikogo, tylko ja. [...] Telewizor grał, choinka zapalona w jadalni i w naszym pokoiku. [...] W noc wigilijną, to chociaż może kot by coś powiedział. Taras zamknięty. Zawsze ktoś był, a tu nikogo nie ma. O 23:20 skończyłyśmy sprzątać bałagan [ktoś zostawił po sobie nieposprzątaną kuchnię na Wigilię i te lokatorki, które były tego wieczoru, stwierdziły, że same zrobią porządek]. Poszłyśmy jeszcze na papierosa. K. poszła do pokoju. M. też do swojego pokoju. Zostałam sama z telewizorem. Jakieś komentarze, chichranie się, głosy [które z niego dobiegały]. [Ale] nawet telewizora nie chciało mi się oglądać.

Zobaczyłam, że [jedna z portierek na dyżurze] wyłączyła ogólną choinkę, to wyłączyłam też w naszym pokoju. [Ale potem] wyłączyłam z powrotem choineczkę. Budziłam się co godzina. Niby człowiek czasami pragnie samotności, ale po takim okresie, kiedy jest się zawsze razem, że tu ktoś przewróci się [...] na bok, tam ktoś chrapnie, tu ktoś przejdzie. Po krokach już wiem kto. Ja nie mam problemu z asymilacją w nowym miejscu. Mogę spać po hotelach, mnie to nie przeszkadza. Jeżeli mi się chce spać, to śpię o każdej porze w każdym miejscu. Może być hałas i mogę spać. Nigdy na to nie narzekam. [...] tak się przyzwyczaiłam, że brakowało mi kogoś w pokoju.

[Więc] okazało się, że dom to jest bardzo względne pojęcie. Punkt widzenia zależy od punktu siedzenia.

Spałam w różnych miejscach. Próbowalam się zintegrować z ludźmi, gdzie mieszkalam, wynajmowałam. Jednak w głębi duszy człowiek marzy o własnym kącie. Jeżeli wreszcie dostanę mieszkanie! Nie wiem czy socjalne, bo przy takich dochodach to już chyba o komunalne mogę się starać.

[...] W kwietniu złożyłam [papiery o mieszkaniu]. Już wiedziałam, że będę miała zęby, ale trzeba poczekać. Wtedy też można zapełnić ten dom po swojemu.

[...] To jest a propos hasła dom. Ja szybko przyzwyczajam się do otoczenia, warunków. Nie ważne czy biwak, hotel. [...] Tutaj jestem tyle miesięcy, od marca [nasza rozmowa odbyła się styczniu]. Jednak człowiek się przyzwyczaja. Jak się nie ma co się lubi, to się lubi, co się ma. Cały czas czekam na mieszkanie. [...] Cały czas wydzwaniam, żeby przypadkiem nie zapomnieli. Nawet gdybym chciała zapomnieć, to pani [socjalna] mi nie pozwala. Pod koniec lutego mam sprawdzić, jak to się posuwa. Tylko, że jak ja teraz pójde i powiem, że mam pracę. Chyba że mieszkanie komunalne można wcześniej dostać. Już w lutym też będę wiedziała więcej. Na jaki okres będzie kolejna umowa.

[...] Przychodzę do S. na noclegownię i próbuję ją namówić na DPS. E. zniknęła. J. jest w tym DPS, gdzie miałam praktyki. [...] Bliższy kontakt utrzymywałam tylko ze S. i J. z tego pokoju [w noclegowni], gdzie byłam. To jest na zasadzie, że fajnie, jesteśmy w jednym budynku, ale nic bliższego. Tu nie nawiązuje się wielkich przyjaźni. Może ja nie jestem taka szybka, żeby nawiązywać. Jestem łatwa w kontaktach z ludźmi. Niekoniecznie to musi być od razu przyjaciół. Mówimy sobie tyle, ile chcemy. Nikt od nikogo nic nie wyciąga. No, niektóre wyciągają. Każdy sobie rzepkę skrobie. Jest parę osób, do których bym się zwróciła o pomoc, bo mogę na nie liczyć. Może to już jest przyjaźń, przynajmniej początki. Jest to uwarunkowane tym, gdzie jesteśmy i że do pewnych osób można się zbliżyć na tyle, żeby nie wstydić się prosić o pomoc. To też jest wstyd.

Ocena własnych doświadczeń:

Cieszy mnie to, że z każdej sytuacji życiowej, w której się znalazłam, coś jednak we mnie zostaje: moje zadowolenie, że komuś mogłam pomóc. To nie jest chwalenie się. [Poza tym] wolę zwierzęta niż ludzi. Nie jest mi jednak obca krzywda ludzka, ponieważ ja też doznałam krzywd. Potrafię słuchać, gdy ktoś chce mi coś poopowiadać, wyżalić się. Zawsze staram się, żeby ludzi zachowywali po mnie dobre wspomnienia. Może wcześniej wcale nie byłam taka. Później sama się na tym złapałam, że czasami dostaję po dupie za to, że jestem dobra. [...] to dobro jednak powraca.

Trzy razy wszystko traciłam. Raz, kiedy wyszłam z rodzinnego domu i zaczęłam wynajmować mieszkania. Miałam stypendium naukowe. Później od razu praca na uniwersytecie, bo potrzebowali kogoś z językiem francuskim. Gromadziłam [wtedy rzeczy].

Później wynajmowałam [mieszkanie] z [partnerem] [...] Coś [sąsiadka stamtąd] gadała o tych wynajmujących nam mieszkania. [...] wtedy spóźniliśmy się z opłatą. W każdym razie [tuż przed] 22:00 wpadli do nas do mieszkania. [...] była zima. Żeby się pakować i wynosić. Poszliśmy do znajomych.

Już nie wróciłam po resztę rzeczy. To jest drugi raz.

A trzeci raz, kiedy dziewczyny przy tym panu [córkę jej drugiego podopiecznego].

[...] nigdy nie ciulałam rzeczy. Nie przywiązywałam wielkiej wagi. Chyba że jakąś wartość sentymentalną miały. Jeżeli coś naprawdę chciałam zatrzymać, drobiażdżek czy maskotkę, to i tak musiałam nosić torebkę zawsze ze sobą. Jakieś albumy, rodzinne rzeczy

mam w tym dawnym mieszkaniu, gdzie siostry. Tak na bieżąco, to te rzeczy, co sobie kupowałam, ubrania. Pamiątki mam w mieszkaniu i one mi ich nie zawłaszczą [siostry], bo aż takie to nie są.

Tak się zdarzyło, że [...] dziecka nie było [oprócz tej wzmianki i wcześniejszej o śmierci dziecka, nie mówiła o tym, ja zaś nie powracałam do wątku]. Moja siostra miała już dwójkę dzieci. Na tych kilku metrach kwadratowych to za dużo. Jeden z pokoiów należał do mnie. Był urządzony i tak go zostawiłam. Tam w dalszym ciągu stoi moja biblioteczka. [Nic] nie mogę [złego] powiedzieć o siostrach. A tamte panienki [córkę podopiecznego] zniszczyły mi wszystko. [...] Poszło mi wszystko.

Starałam się tutaj [w schronisku] widzieć dobre strony. [...] Cieszę się, że mimo wszystko umiem znajdować dobre strony. Czekam bardzo [na decyzję w sprawie mieszkania], dowiaduję się. [...]

„Tomasz”

Jest sześćdziesięciokilkulatkiem i człowiekiem od różnych interesów. Spędził życie w podróży, mieszkał na trzech kontynentach, miał kilka żon i partnerek. Handlował, pracował fizycznie, miał własne firmy, zmieniał samochody, mieszkania i okolice.

Rodzina i dom:

[...] mieliśmy swoje mieszkanie [z rodzicami]. Rodzice mieli dwa domy. Jeden dom i drugi, ale tam nie chcieliśmy mieszkać [z pierwszą żoną], bo tam była duża działka, ponad 10 tysięcy metrów w Żabiczach. Mieliśmy mieszkanie własnościowe w blokach w Konstanczynie, no i później to już nie mieliśmy razem z tą żoną. Z tą drugą, to ona miała swoje. Jak sprzedaliśmy je, mieliśmy wspólne w centrum w A., dwupoziomowe, 110 m kw. Kupiliśmy razem. Ale później zaczęło się psuć, ja cały czas byłem na montażach, w takiej firmie pracowałem, było więcej pieniędzy, ale cały czas Niemcy, Szwajcaria, północne Włoch.

Coraz rzadziej wracałem, coraz dłuższe delegacje. I ona mówi – zmieniamy to mieszkanie – znalazła w Innsbrucku, byłoby fajnie, bo jeździła ciągle do Tyrolu. Mówię, „no to załatwiam wszystko, napisałem jej wszystko, no i przeprowadzaj się”, a ja wtedy byłem w Niemczech. Przeprowadziła się, ja przyjechałem i że w Polsce firmę zakładam. Była w Polsce, ale długo nie wytrzymała, bo nie знаła języka. Pojechała. [...] No i ja pojechałem potem do niej, do Innsbrucku, tydzień byłem może, wyszedłem na piwo, wsiałem, odpaliłem samochód i przyjechałem do Polski. I od tego czasu... Pisała jeszcze, mam gdzieś jej listy. Pisała tych listów jeszcze dużo... Zostały sprawy nieuregulowane, niedopowiedziane. W sumie to nie przejmowałem się tym wcale, bo... [pił].

Nawet nie wiem czy jest ten rozwód, czy nie ma. A sprawa tych wszystkich ubezpieczeń... Chciałem, żeby syn mi pomógł, bo on dużo jeździ, w takiej firmie pracuje. „Tatuś, no tak, tak, ale najlepiej jakbyś tutaj przyjechał”. On to nie lubi załatwiać, a z [drugą żoną ojca] wcale, mówi, nie ma możliwości.

[...] Znalazłem do niej kontakt, zadzwoniłem, ale nie chce ze mną rozmawiać. Po dwudziestu latach nie chce... Mam parę spraw do załatwienia. Chciałem się dowiedzieć, ale nie chciała ze mną rozmawiać. Usłyszała tylko „Kristof” i pyk.

Nawiązałem z powrotem kontakt z synem, bo ściągnąłem całą rodzinę do Austrii. Zostali tam. [Jak pojechałem do Austrii], to z tą pierwszą żoną już miałem rozwód. Byłem wtedy młody, miałem trzydzieści cztery lata. Żona w Polsce, syn dziesięć lat, no i tak jakoś...

Nie chciała lecieć do Kanady, ona zostanie, i tak ich ściągnąłem po kolei. Najpierw ją, później jego, bo nie można było [inaczej]. Jemu to tak ciekawie załatwiłem, bo wycieczkę do Belgradu wykupiłem dla całej klasy i wzięliśmy go potem na lotnisko i do Wiednia i cześć. [...] Wtedy były takie czasy. Żona rok czekała, żeby dostać paszport i wizę, ale się rozsy-pało to małżeństwo. Miałem do niej pretensje, kilka razy z nią rozmawiałem, były takie momenty, że mieliśmy dosyć dobre układy, aż do tego [czasu], jak wszystko przepięłem. Tak mogę powiedzieć. Podobало mi się, w W. kupiłem taką fajną posiadłość, ponad dwa hektary, siedlisko stare i tam miałem robić agroturystykę. Cudne miejsce, blisko Karkonosze, piękne miejsce.

Na wzgórzach kupiłem [dom w W.], bo mi się podobał. Nie wiedziałem jak jest w środku, co tam jest do remontu, nie zwracałem na to uwagi, co tam będzie. Piękna lokalizacja, fajnie położony – kupuję, kupiłem zimą. Wcale go nie widziałem. Kupiłem przez biuro [...] nieruchomości. Jechaliśmy, oglądałem, zwiedziłem cały ten dom, myśląc właściwie o okolicy, bo mi się tam podobało. [Byłem] po takim ostatnim dużym prawie półrocznym picciu. [...] Z siostrą [układało się] źle, nie chcieli się do mnie odzywać, bo ja pół roku prawie piłem. Siostra ze trzy razy dzwoniła, przyjeżdżała [gdy szedłem] na odrucie, kropiółki. Trzy-cztery dni dobrze się czułem po tym wszystkim i znowu. Machnęła ręką i [ktoś inny z rodziny] przyjechał i mówi, „chodź do mnie”. Pojechaliśmy, [...] byłem tam ze dwa tygodnie, nie piłem i on mi właściwie to [załatwił]. Nie jeździłem samochodem, tylko on, bo byłem taki roztrzęsiony, że... Pojechaliśmy jego samochodem. Jeździliśmy najpierw, dzwoniłem, szukałem biur. Patrzę w te oferty, właśnie wracaliśmy czwartego dnia pod wieczór. Mówię, „a co to jest, tam daleko?”. „Tam nie dojedziemy, bo jest zasypane, wkoło nic nie ma, to jest zadupie”. „Ale to jest do sprzedaży?”. „Jak pojedziemy do biura, to zobaczymy. To jest siedlisko takie zaniedbane”. Jedziemy do biura, jest, no to ja kupuję. „Ale pan nie był w środku, nie widział, co tam jest”. „Ile kosztuje?”. „180 czy ileś tysięcy. Właściciel będzie chciał zadatek, żeby pan zostawił pieniądze”. „Dycha mu starczy?”. „Pewnie”. „To umowę wstępną podpisuję”. I [członka rodziny] namówiłem, w W. był taki domek, duży teren, 2 hektary, kupił działkę z domkiem też. On płacił chyba 60 tysięcy, nie za dużo, kupił.

Dopiero na wiosnę pojechałem tam, zobaczyłem i mówię, o kurcze, rzeczywiście, tu trzeba remontu. Studnia była. I zacząłem działać. Sam remontowałem. Pierwszy zrobiłem kominek, bo tak chciałem, duży salon był, cztery okna, nieduże, ale z trzech stron – od południa, wschodu i zachodu. Kominek zrobiłem duży, żeby można było kłodami palić. Mieszkałem wtedy z taką W. i ją zaprosiłem i tylko ten pokój był w miarę zrobiony, że można było się przespać. Zrobiłem spanie, ten kominek i podobało mi się, bo można było napalić. Później piec przywoziłem z Austrii olejowy i na węgiel, u nas takich nie było. [...] i tak powoli robiłem tą agroturystykę.

[...] Nawet [Austriaczka] przyjechała tam. Ona jest taką artystką. Poznałem ją, jakoś nie pamiętam, ale na jakiejś imprezie. Taka fajna kobitka, mówi, że jest artystką w betonie. „Jak w betonie, gdzie, dłutem robisz czy czymś?”. „Nie, takie konstrukcje, pokażę ci zdjęcia”. Do pracowni mnie zaprosiła, kwiaty takie dziwne. Ona betonem okładała i później malowała, takim cementem okładała rzeźby. Mówię, „a taką kalię byś zrobiła?”.

„Tak, ale trzeba zrobić konstrukcję”. „Ja bym ci konstrukcję zrobił, jakbyś mi zrobiła kalie”. No i w tej pracowni stworzyłem to. Później mi takie podziękowanie przysłała. Była w piśmie, dostała nagrodę za rzeźby, wielkie były. Była samotna, no i tak się zeszlismy. Powiedziała, „przecież u mnie jest duże mieszkanie, przyjedź do mnie”. Tak się zaczęło. Później właściwie to miałem drugi dom. Na początku byłem tam parę miesięcy. Ale musiałem do tego W. „Przyjedziesz?”. [Na trochę przyjechała].

[...] Podkreślałem od razu, że to sobie sam tworzę, tak ma być, ja to widzę, jak to będzie wyglądało później. Widziałem całość, tu będzie to, tu to, tu to. W. nie raz się pytała, po co to robisz tutaj. A ja już widziałem, gdzie będzie grill, ognisko, przestrzeń miałem zaprojektowaną. Projekt się czasami zmieniał.

[...] Komornik mi zabrał, bo już miałem problemy. Byłem na sylwestrze w Wiedniu. A syn kupił nowe mieszkanie, bo wziął drugi raz ślub – on ma coś ze mnie chyba. Rozwiódł się z jedną żoną, wziął ślub z drugą i mieli jechać w podróż poślubną do Egiptu, a mieszkanie nowe, jeszcze miałem pieniądze, bo 250 tysięcy kosztowało. Żona dołożyła, ja tylko 50 dałem, a żona stówę, a i syn miał, no i zaczęli remont. Mówię, będę tu siedział, a wy sobie jedźcie. I byłem tam do świąt. Później przyjechalismy do Karpacza, [...] właśnie z tą pierwszą żoną i jej mamą, chciała zobaczyć ten W., ale ja mówię „taki śnieg”. Miałem tam kolegów i im się nie za bardzo chciało jechać, chociaż to tylko 40 km dalej. „Na wiosnę zobaczysz, teraz są śniegi”. Na wiosnę już nie zobaczyła, bo w marcu komornik sprzedał. [...] jak przyjechałem, byłem wkurzony, szukałem znajomych, którzy by mi pomogli to odzyskać, no i straciłem następne 100 tysięcy w hotelu ze znajomymi. Zablokowali karty, no i tak... [...] Nie lubiłem nigdy bloków. Od dziecka mieliśmy zawsze swój własny dom, duże podwórko. Jak byłem z [pierwszą żoną] mieliśmy mieszkanie w blokach, nie duże, bo 50 metrów kwadratowych, było dziecko, ale mieszkaliśmy właściwie w Żabiczkach. Mieliśmy na wynajem, zimą więcej w blokach, a jak już się wiosna zaczynała to tam. [Eks-żona] też nie była wychowana w blokach, że bloki to nie bardzo, ale później nawet się jej podobało. Były lata siedemdziesiąte, przed osiemdziesiątymi, było ciężko z dojazdem nawet te 5–6 km bez samochodu.

Już w 1977 r. mieliśmy dwa samochody. Miałem swojego golfa, a ona malucha. Była pielęgniarką, była mobilna, z dzieckiem. Później już było tak cały czas. Mieszkania w blokach mnie nie interesowały. [...] Specjalnie mnie nie cieszyły, twórcza myśl mi się nie rozwijała, bo mieszkanie w blokach to obojętnie, jakie będzie, co tam. A jak była przestrzeń, mogłem sobie coś robić.

Droga do bezdomności – byty w placówkach:

[...] [Zaczęło się] w 2009 r., 2 czerwca. Miałem złamaną nogę, już przepiłem wszystko, już mnie wyrzucili, w „Ś.” [hotelu] mieszkalem miesiąc, już karty nie płaciły, nogę na koniec złamałem. Sprzedałem samochód, już nic nie miałem. Przyszedłem, bo złe stosunki z rodziną, z siostrą, bo posprzedawałem i nic już nie miałem. Poszedłem na S. na jakiś czas, żeby wyleczyć nogę i odbić się, [...] tak myślałem. Takie miałem wtedy spojrzenie. No, ale to wszystko się pozmieniało.

O schronisku nawet nie wiedziałem. Wiedziałem, że są schroniska dla psów, ale nie wiedziałem, że są dla ludzi.

Ktoś mi to powiedział. To była koleżanka mojej siostry [...]. Przyjechałem kiedyś do mamy [...]. Taksówką przyjechałem, miałem już nogę w gipsie, to był już drugi czy trzeci dzień.

Mówi, „syneczku, co się stało”. Jeszcze nie wiedziała, że wszystko poszło, wtedy już nie miałem pieniędzy, ale [...] jeszcze myślałem, że mam, bo jeszcze mnie z hotelu nie wyrzucili, ale to było już za chwilę. I ta [koleżanka] była i mówi „ty to kiedyś źle skończysz, w schronisku dla bezdomnych”. Na następny tydzień pojechałem znowu w sobotę [do matki], bo [...] już mnie wyrzucili z hotelu. Już nie pojechałem taksówką, tylko mnie zawiózł kolega, któremu sprzedałem volkswagena, no i mama widziała, że samochodem przyjechałem, „tak nie możesz jeździć”. „Nie, z kolegą”, a to już nie był mój samochód i wtedy mamie powiedziałem, co się stało. „No to się doigrałeś, nie myśl, że tu przyjdiesz, że tu cokolwiek będziesz miał”. No i [koleżanka siostry] przyjechała do nich, często [była], bo niedaleko mieszkała. Mówię, „właściwie to już nie mam gdzie iść”. [...] Wymeldowany byłem [od partnerki]. Później jeszcze pojechałem i chciałem wziąć parę rzeczy swoich. Awantura była i już nic nie miałem. Ona myślała, że pojechałem do W. i tam jestem, a ja w Łodzi byłem – gdzieś mnie widziała widocznie. Pracowała w lokalu i gdzieś mnie widocznie widziała, a ja jej nie. Dzwoniła, „co kłamiesz, że tam jesteś, jak ja cię widzę w Łodzi”. No, to nie szkodzi, nas nic nie łączy. Właśnie u niej zostały obrazy, lustro, parę takich drobiazgów. Ale później, po roku czy więcej, zadzwoniła kiedyś, co ma zrobić z moimi rzeczami. „Wyrzuć” mówię. „To przyjdź i zobacz, bo tego szkoda”. Wtedy już byłem spokojny, zrobiła obiad. [...] No i ta [koleżanka siostry] mówi, „jak nie masz co robić, to jest takie [miejsce] na [...]”. To był czerwiec. Mówię, „a co tam jest?” Ona, że „mogłabym cię wziąć do siebie, do P.”, bo ona jest kierowniczką [...] w P. Zadzwoniła nawet. Posiedzialem trochę u mamy. Mówi, że obiad, nie chcę, nie będę jadł. W sumie to jeszcze z 1000 zł miałem czy 2000... A ta [koleżanka] mówi, „Tomek, zadzwoniłam na S., masz miejsce, jak chcesz. Łóżko masz, możesz sobie z tą nogą przeczekać”. Wziąłem taksówkę. Taksówkarz nie wiedział gdzie, jeździmy, pytam się, nie ma. Jeździłem po okolicach, a tam nie mogłem trafić. Na drugi dzień pojechałem jeszcze raz, a miałem tylko parę rzeczy swoich, bieliznę [...]. Spotkałem właśnie tego [opiekuna, gdy już trafił do schroniska], co go później chciałem pobić. „Dzień dobry”, „dzień dobry, moje nazwisko takie i takie. Ja tu mam gdzieś łóżko na sali numer 10”. „A co ty, kurcze, jesteś, wypad mi stąd”. Bo nikt tak nie przychodzi. [...] Ale zadzwonił, poszedł do kierownika, ten przychodzi i mówi „proszę, pan jest przyjęty”.

Szybko załatwiłem pracę, jak byłem na S. Wyleczyłem nogę i już w sierpniu poprzez stare układy zostałem przedstawicielem handlowym mody młodzieżowej u takiej pani. Jeździłem po całej Polsce, dostałem samochód, towar. No, ale to właśnie było do czasu, do grudnia. [...] Na początku wstawiałem do firmy samochód, ale później pani M. [właścicielka firmy] mówi, „tani [jest], to zostaw go u siebie”, bo ona nie wiedziała, że jestem bezdomny. Myślała, że mieszkam na Widzewie, no i mówi, „zostaw u siebie na parking”. A w samochodzie było, w renówce, towaru na ponad 100 tysięcy. Przyjeżdżałem, nie raz – nie dwa brałem kolegę w trasę, żeby nie siedział tu w pokoju. Ja zawsze wyjeżdżałem albo w poniedziałek wieczorem albo we wtorek rano i wracałem albo w piątek w nocy albo w sobotę po południu. [...] było nas dwóch: jeden miał północną część Polski, a ja południową. Od Gorzowa w dół i od Zamościa w dół od Łodzi, a on tamtą stronę. Tak to było podzielone. Co tydzień wyjazd, szykowanie towaru, trasa, telefony. Nie zdawałem sobie sprawy, ale ich to kuło gdzieś tam w oczy, że to jest tak [innych lokatorów schroniska i noclegowni S.]. Tam był telefon, a ja miałem wizytówki firmowe. I tak nieświadomie zostawiałam je na tej dyżurce. No i był telefon do niej. Przychodzę przed świętami, a ona „dlaczego mnie okłamałeś?”. „Z czym?” Bo miałem jej powiedzieć, żeby mnie na stałe zarejestrowała od stycznia. „Samochód zostawiasz na S., sami złodzieje, bezdomni, ty też. Złodziej – nie. Ale bezdomny. [...] gdzie bym szukała, jakbyś sobie poszedł?”. „Ale coś się stało?”. „Nie, jestem zadowolona, wszystko,

ale nie może tak być. Bo miałam telefon ze S. Zostawiasz tam towar, samochód jest niepilnowany, sami złodzieje”. A ja go zostawiałem przed dyżurką, pozamykany, miał alarmy, nic by się tam nie stało, bo tam nikogo nie było takiego. Nawet ci, co wiedzieli, że jeżdżę, nikomu zbytnio to nie przeszkadzało. Każdy zadowolony jak się przyjedzie, bo ma się papierosy, no i tak to wyszło [stracił to zajęcie].

[...] Wtedy to była najbardziej czysta sala, porządna, to było na piętrze. Sami porządni w miarę ci bezdomni, nie? A na korytarzu! Jezu, co tu jest?! [...] na górnym łóżku byłem, ale dałem sobie radę, wchodziłem. [...] miesiąc z tą nogą przetrzymałem. Żeby tylko nogę wyleczyć, ale już jak ich poznałem, bo załatwili mi kule – żebym nie chodził tak – miałem kolegów. Bo znowu spotkałem takich kolegów, którzy lubili wypić. B. [jeden z kolegów z sali] mówił, „nie chodź z nimi”. A ja pod parasolki do sklepiku, na piwko. Nikt mi nic nie mówił, mogłem sobie wypić, tak miałem na luzie.

[Picie tam] zabronione było. Ale przychodziłem, nikt mnie nie widział. A że miałem tę nogę, położyłem się, śpię i koniec. Minął lipiec, sierpień, już miałem nogę wyleczoną, pod koniec sierpnia załatwiłem pracę, zacząłem jeździć i brałem tego B. w podróż. Później z tym L., co poszedł do Legii. A w międzyczasie przychodziłem do [terapeutki, A.].

[...] Przyszedł do nas na salę taki młody chłopak, rozmawialiśmy o różnych sprawach, bo ja od 1985 r. byłem cały czas na Zachodzie, po całej Europie. W 1993 wróciłem, ale wyjeżdżałem. No właściwie na stałe to od 1996–1997 r.

I on mówi, że chciałby do Legii Cudzoziemskiej, bo tu go ścigają. No to musisz ćwiczyć – ja mu opowiadałem o tym, o tamtym. On tak słuchał i mówi, „może masz kogoś, kto by mi pomógł się tam dostać”. „Mam takiego wuja. Możemy zadzwonić”. Tamten podał adresy, „wejdź sobie na stronę, zobaczysz, co potrzeba w Legii, bo tam są koszary, rekrutacja jest w Marsylii i w Lyonie tylko. Możesz przyjechać tam, możesz przyjechać tu”. [...] Musiałem wszystko mu tłumaczyć. Ja też nie znam francuskiego, ale niemiecki, bo jak byłem w Libii to po niemiecku. No i on mówi, „będę ćwiczył”. Ćwiczył do czerwca, no to ja też nie piłem, nie paliłem i z nim biegałem. Wyjechał w czerwcu do Legii do Lyonu, a ja później przestałem [ćwiczyć], bo samemu mi się nie chciało. Też były problemy, bo zrobiliśmy w świetlicy na dole na S. atlas do ćwiczenia. Był stary, nieużywany. Myśmy go tam zmontowali, parę cegieł, nie, no i temu [opiekunowi] to też się nie podobało – kazał wszystko wyrzucić, bo to nie jest po to, żeby sobie wychodzić i ćwiczyć.

Jak byłem sam, no i wtedy właśnie zacząłem najpierw pić, potem zacząłem palić.

[Właścicielka firmy] Wypłacała mi pieniądze za to, co przychodziło z trasy, [...] jeszcze mi w marcu wypłacali pieniądze, bo przychodziły sukcesywnie.

[Po tamtej rozmowie z nią] Zrobiłem remanent, poszedłem do samochodu, wszystko się zgadza, nie ma żadnych problemów, nic. „Niech się pan nie martwi, zapłacę pieniążki, jak przyjdą”. [...] Nigdy nie było mniej niż 1000–1500 zł.

[...] chlałem na S. Później mnie wyrzucili [...] na noclegownię, dalej piłem, bo na noclegowni mogłem pić. No i miałem taką awanturę [...]. [...] Po alkoholu dostałem wysypki, wrzody właściwie, to się otwierało. Codziennie piłem sporo z chłopakami z noclegowni, no i szedł akurat lekarz i pielęgniarka, i chciałem, żeby mi coś tam zrobiła. No, a on mnie [inny pracownik] po prostu chciał wyrzucić stamtąd [...]. [Inny z opiekunów] trochę pomógł, mówi „chodź na zewnątrz”, bo chciałem tamtego pobić [...] byłem po alkoholu już [...] dwa miesiące w ciągu. [...] Już wcześniej rozmawiałem z panią A. o tych problemach [terapeutką] i myślałem, że sobie dam radę. [...] dzięki niej właściwie zacząłem na ten temat myśleć, rozważać i doszedłem do wniosku, że nie zaszkodzi spróbować nauczyć się kontrolować picie. I poszedłem na [odtrucie i terapię]. [...]

[W mieszkaniu readaptacyjnym jestem od] 22 stycznia 2011 r. Kontrakt się [wtedy] zaczął [chodzi o „kontrakt” – zobowiązanie, jakie lokatorzy podpisują, zamieszkując w danym ośrodku, w którym godzą się na przestrzeganie zasad, zobowiązują się do różnych rzeczy – I.B.K.].

1 grudnia skończyłem terapię, no i był jeszcze problem. Ten kierownik był nowy, on tak nie wiedział i mówi „nie, musi pan iść na S., od razu tu nie wolno”. Teraz to wszystkich przyjmują, a przedtem... No i też tak sobie załatwiłem, że byłem w ośrodku, gdzie ktoś mógł przebywać jakiś czas. Potem poszedłem do kierownika i mówię, żeby mnie wpisał już, że czekam. Minęły trzy tygodnie no i już, miejsce było i czekało. I tak tu przyszedłem.

Miałem tu przyjść w 2010, ale nastąpił niewypał ze względu na alkohol. Piłem, zachlałem po imieninach, a miałem akurat tu przyjść. [...] chciałem to kontrolować, ale nie wyszło, no i później były takie same niemiłe rzeczy. [...]

Poszedłem [na terapię] w tym celu, żeby nauczyć się kontrolować picie, ale się wszystko zmieniło. Nie można było kontrolować picia, musiałem przestać pić, tak to jest. Nie musiałem, tylko chciałem. W pewnym momencie, gdzieś po dwóch tygodniach, gdzieś mi tam coś przeskoczyło czy zaskoczyło. Jednak zacząłem rozumieć, może jeszcze wtedy nie wszystko, bo tak na początku nie wie się wszystkiego, ale gdzieś tam się częściowo poddałem. Wiedziałem, że sam już nie dam rady, że trzeba się poddać. Zobaczymy, co później wyjdzie, ale najpierw się poddaję. Ale dalej mi nie pomagają. Pomogą czy nie, jak ja sam sobie nie będę mógł pomóc. Z czasem coraz więcej i więcej rozumiałem.

[...] Znalazłem później pracę u znajomego, który miał duży zakład ślusarski i chodził na terapię, też miał problemy. No i że nie pijemy, [...], tacy sami jesteśmy, no to dobrze, ale on tylko pół roku nie pił. I później znowu zapił. Pracowałem półtora roku u niego. Na drugi rok zapił na święta. Potem już tak porządnie popił, że wszystko na mojej głowie zostało i żona tamtego nie chciała niczego [się dotykać]. Mówi, „panie Tomku, niech pan pilnuje, ja już się nie wtrącam, mam problemy”. Do czerwca pracowałem u niego. [Powiedziałem mu] „rozliczmy się, ja już u ciebie nie będę pracował, bo ty pijesz”. To długo trwało. Wszyscy się pozwalniali, tacy moi znajomi, [inny] kolega nawet wcześniej, ja na końcu zostałem. Nie chciałem go zostawić, no, ale już później oddałem żonie wszystko, a on nadal pił. [...] Później poszedłem do firmy, w której teraz jestem.

Życie w placówkach – ludzie i miejsca:

[Gdy zamieszkał w ośrodku readaptacyjnym, najpierw był w pokoju] z takim M., on nie żyje. [...] Byliśmy nawet razem na sali w schronisku na S.

On nie pił, bo nie chciał pić. Ale nam przynosił wódkę na Spokojną, bo pracował [...] jako cukiernik, mieszał czekolady. Dostał mieszkanie później, nawet ładne załatwił. Byłem u niego parę razy. Cukier miał za darmo, bo on cukru miał dużo. Ale umarł. Siostra jego, bo już ześmy się znali, zadzwoniła i powiedziała, że M. nie żyje. „Pan był jego kolegą, będzie pogrzeb”. Nie byłem na pogrzebie, bo myśmy byli gdzieś na montażu. Pracowałem w takiej firmie. I mówię, „kurcze, nie pojadę, a jutro jest pogrzeb”. Ona myślała, że tu jestem na Trębackiej [...]. Później był jeszcze taki J. [inny współlokator]. Załatwił sobie mieszkanie, zakochał się – miłość. [...] W międzyczasie przyszedł jeszcze taki, rzucił swój tobołek i pyta się: „alkomat tu jest?”. Nie ma. Za tydzień wrócił narąbany, mnie nie było w pokoju, dostał klucze. [...] przychodzę do pokoju na górę, [ten] narąbany jak dzik [...] sobie leży. Nie chciał wstać. „Ej koleś, zrywaj się”, „Ja tu mieszkam”. „No to już nie mieszkasz”. Wyprowadziłem

go i koniec. Przecież nie będę dzwonił do kierownika, z pijanym dam sobie radę sam. „Jak masz pretensje, to sobie dzwonić gdzie chcesz, spadaj stąd gdzie chcesz”. [...] Przyszedł chyba po dwóch dniach. Była społeczność i przyszedł, ale też nie był do końca trzeźwy. A kierownik się na niego patrzy, „ile pan wypił?”. „Nie wiem”. „No jak to?”. „Może piwo jedno czy dwa, może trzy piwa wypilem”. „To niech się pan pakuje”. „Jak to, przecież nie jestem pijany”.

No i później przyszedł P. [obecny współlokator]. Też na niego popatrzyłem, kurde, co to za orzełek jest. Ale on jest komunikatywny, można się z nim dogadać. Nie mieliśmy z nim żadnych [problemów]. Od początku gdzieś tak zaiskrzyło.

Nigdy nie lubiłem smutasów albo narzekających. [...] teraz to już się przyzwyczaiłem do tego, już mi to nie przeszkadza. Chociaż nie raz samemu jest ciężko. Nie ma z kim konkretnym pogadać...

My tu sami sprzątamy i to nie jest tak, że złośliwie czy coś, ale jak jeden nie robi – następny musi robić podwójnie. Zdarza się, że nie zawsze się wszystko idealnie posprząta, bo nie raz jest krótki czas, czy coś. Ale to następny widzi. Albo się widzi w kuchni, jak jest. Ktoś znowu nie zrobił tego czy tego. Po co ma być ten syf. Zawsze jest tu czysto i tak ma być. Jest też przyjemnie, jak się idzie i jest porządek.

[...] odszedł R., K., D., W., L. i Z., w ciągu miesiąca chyba sześciu. [...] zaczęli przychodzić właśnie tacy [...] różni i zaczął się tworzyć bałagan.

[Zdarzały się scysje z kolegami odwiedzającymi mieszkańców ośrodka]. [...] Ciężko mi się było zaadaptować. Ale się starałem, chciałem, nie wszystko wychodziło. Sama z siebie się [nie] tworzy ta atmosfera wzajemnego zrozumienia. [...] przy takiej szybkiej rotacji [...] było dosyć ciężko. Bo każdy chciał wprowadzić swoje nawyki. Nie tak, a tak, a nie tak, bo tak. Co raczej nie zdaje egzaminu, bo tu wszyscy muszą być [zgodni]. Jest jedna łazienka. Jak już ktoś dłużej [mieszka] to wie, że jeden nie chodzi o tej, a inny o innej porze, w określone dni. Nie idzie się kąpać, nie idzie się golić, bo ktoś przyjdzie z pracy [i będzie potrzebował pierwszy skorzystać]. To jest tak jak w rodzinie. A jak ktoś przyjdzie sobie i „a co mnie to [obchodzi]”, to zaraz się komplikuje. Tak samo z obiadami, z gotowaniem, ze wszystkim. Tu mniej więcej każdy wie, że ten robi tyle, ten tyle, ten tak, a ten tak. Jak w rodzinie. Jak ktoś jeden [taki] przyjdzie i lekceważy wszystko, co jest, zaczyna się robić zamieszanie.

[Jeden taki był] niereformowalny, miał swój świat. Jak się jest dłużej wśród tych ludzi, jak my wszyscy tu, bezdomni, to wytwarza się [coś takiego], że jedni starają się zrozumieć, a inni są tacy, że są cwaniakami. Wszędzie, gdzie jest grupa ludzi, to jest coś takiego. Ja byłem takim cwaniaczkiem. Tu nie, tu nie, albo głupi, albo taki czy taki. I robi się, żeby odpuścić. Tak jest w więzieniu i w wojsku. [...] jedni się starają, drudzy nie potrafią, ale też jakoś [próbują], a inni zaczynają „ja to sobie dam radę” – cwaniaczek. Środowisko szybko to rozpoznaje. Wszyscy jesteśmy tacy sami. Ktoś z was, z zewnątrz nie rozpozna tak szybko, bo [cwaniaczek] ma gadkę, bo nieszczęśliwy, taki czy taki. Np. babcie, dziadki zaczynają umierać, wszyscy rodzic i same nieszczęścia. Ciągle się wali i wali. Nawet inni to zauważą. Za dużo tych nieszczęść. [...]

Schronisko pokory mnie nauczyło. Nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale... może mi było żal tych ludzi, ale to było daleko – jak na filmie. Wojna gdzieś tam w Iraku, mordują się. No szkoda ich, bo ich pozabijali, ale to jest daleko ode mnie. To mnie nie dotyczy. Nie mój dom, nie moje podwórko.

A później siedziałem [w środku]: nieszczęście, smród, bród, wszystko razem mnie otaczało. Nie mogło mi tylko przejść przez myśl, że ja [też nie] jestem inny, bo [myślałem, że] jestem

tu chwilowo. Chyba tak u wszystkich jest. Oni to są jacyś, a ja nie. Ale jestem taki sam, jak wszyscy inni, każdy ma swój problem.

Jak rozmawiam z ludźmi, to się nie chwale, że jestem bezdomny. [...] mój szef tu przyjechał, „gdzie ty jesteś?”, „jestem bezdomny”, itd. Jak przyjechał, zobaczył. „No dobra, wejdę”. „A na kawę wejdiesz?”, „Nie, no..., ale wejdę, dobra, zapalimy”. Wchodzi, patrzy – tu w miarę jest w środku, z zewnątrz nieprzyjemnie. No, ale jakoś tak inaczej [podchodził do niego później].

Drugi nie widział schroniska. Zaprosiłem J. „Widziałeś schronisko?”. „Nie”. Pojechaliśmy na S. Mówki, „Ty tu byłeś?”. „No tak”. „Kurde, zabić to wszystko” – mówi – „zniszczyć albo gazu użyć”. A noclegownia... a ja poznałem to życie, tak jak i na świecie, bo jeździłem zawsze nie jako turysta, który jeździ na wycieczki, tylko to życie od podstaw. [...]

Idzie taki bez nóg – nie ma kompletnie – zimno, śnieg, a on się telepie do przystanku. Idą inni bezdomni, nikt mu nie pomaga. Bo on tego nie chce. Jedzie facet furą, widzi, że [bez nóg], wsadza go. Przywozi go na S., a on mówi „dałbyś mi coś pan”. Daje. Jeszcze nie odjechał, my stoimy, patrzymy, a [ten bez nóg mówi do nas] „to ch...j, myślałem, że mi da więcej, a on mi tylko tyle dał”. A ktoś z zewnątrz go nie zna, [widzi tylko, że] biedny, kikuty zmarznęte, ale jemu jest tak dobrze.

Albo spali pod płotem. Mogliby być na noclegowni, a nie chcieli. Pili tam. Deszcz pada, oni przykryci kocami leżą. Jak tylko się ciepło zrobiło w miarę, śniegi zeszyły, [pili] pod płotem. Tam urzędowali, tam się bili i pili. Bez nóg, na wózkach, widać wózek przewrócony, leży [człowiek] narąbany. Tragedia, nie? Ale oni już [tacy] byli, komórki [szare] nie mogły im zafunkcjonować, że można inaczej. Tam w tych betonach [kanałach], ten się powiesił, tamten umarł, ten położył się, leżał. „Nie czujecie, że śmierdzi?”. Kto czuje, że śmierdzi, jak tam wszyscy śmierdzieli, [choć] tam się ciało rozkładało. To taka... wegetacja. Zawsze są jednostki, że ktoś przystanie, inaczej robi, ale to są tylko jednostki. Pozostali nie chcą, nie znają. Dużo jest ludzi, którzy nie znają innego życia [chodzi o doświadczonych bezdomnością]. Nie wiedzą, co to jest mieć coś na własność. Gdzieś byli, nie wiadomo skąd przyszli, kim są. Dużo jest takich, co stracili rzeczywiście coś, ale dużo jest takich, co takie wychowanie od dziecka, gdzie tam... [...] w tych kamienicach, właściwie matkę widział, że go urodziła i jak może, parę razy wpierdol dostał i to wszystko. I ojca gdzieś tam... Wychowała go ulica. Coś robił, dawał sobie radę póki był młody, ale młodych [bezdomnych] też jest dużo, ale stracił zdrowie, to, tamto i schronisko. Schroniska przecież nie są od tak dawna, dopiero jak się zmienił ustrój. Kiedyś przecież tego nie było. [...] [Choć] pamiętam nawet z telewizji Kotańskiego, dziwiłem się – dla mnie narwany.

[...] jak by pójść teraz na S. [do schroniska], [kto tam mieszka, temu] nie przeszkadza smród w pokoju, bo oni wszyscy śmierdzą. [Ktoś z zewnątrz] wejdzie, jakoś tak tu trochę nie bardzo, bo w innych warunkach się przebywa. Inne powietrze, z innymi ludźmi. Dlatego jak A. tu przyszedł z S., to się zdziwił, jak ja mówię „idź się umyj”. [Przyniósł ze sobą ten] smród. Po tygodniu znowu śmierdzi. „Myłeś się? Nie myłeś się. Wypierz wszystko, pralka jest, upierz to”. „Przewrażliwiony jesteś”. Ale to już jest inaczej. Jak się tam przebywa, nie czuje się tego zapachu. Człowiek się przyzwyczaja do wszystkiego. [...] ktoś normalny, spoza, [poczuj]. Człowiek przebywa w innych zapachach. Jak ja jestem na warsztacie, to obojętnie, spawanie czy nie, [i że] moje ciuchy są w szafce – śmierdzą. A np. w biurze, czy coś, też są inne zapachy, tak to jest.

Ważne przedmioty:

[Wskazuje na duże lustro, wiszące na ścianie] To lustro jest moje. Przyjechało z Kanady, z Toronto. Ma ponad sto lat. I taką podróż zrobiło: z Kanady do Frankfurtu nad Menem, z Frankfurtu do Insbrucku, z Insbrucku do Polski do Żabiczek, z Żabiczek na Widzew i z Widzewa tutaj. W Toronto było specjalnie zapakowane w paczkę. Wisiało u takiego mojego kolegi K., bo on tam dużo wcześniej polecał. Miał swoją stację benzynową i ja u niego tam dorabiałem. To jest kryształowe lustro. Gdzieś sprzed pierwszej wojny albo z okolic pierwszej wojny światowej. Wisiało u niego w takim kantorku, gdzie ja później spałem.

Chciałem zarabiać dużo pieniędzy. Zanim wleciałem do Kanady to byłem w Austrii, w Insbrucku. Mieszkiałem w hotelu, gdzie byli uciekinierzy. No i się zapisałem przez jedną organizację, gdzie [szukali ludzi] ma wyrąb lasu do Kanady, duże zarobki, ponad 6 tysięcy dolarów kanadyjskich na miesiąc, warunki. Z Węgrem tam byłem, ale niedługo, niecałe trzy miesiące. Mieliśmy takiego murzyna – majstra, który mówił „róbta, co chceta”. Opieka się skończyła, wszystko. Ja miałem znajomego M., szukałem z nim kontaktu, znalazłem [przez jego ex-żonę]. Rozwiódł się z żoną, ale to ją znalazłem, pracowała w Toronto, w firmie deweloperskiej [...]. No, ale już nie była z M., więc byłem u tego K., co miał stację benzynową. Najpierw zostałem u nich dwa tygodnie, ale później mówią „wynajmij sobie mieszkanie”. [Żeby jednak nie wynajmować] w takim kantorku spałem i zarabiałem na bilet do Europy, żeby wrócić. Sprawdzałem olej, takie tam pierdoły.

A lustro bardzo mi się podobało. Mówię, „K., jak ty masz tak w tym nieporządku trzymać lustro, w tym kantorku to...”, „a weź je sobie, co tam takie lustro”. Zapakowałem.

Jak wróciłem do Polski, to miałem swój dom. Miałem jeden dom i drugi. Handlowałem w międzyczasie samochodami, miałem jedną firmę, drugą firmę.

Lustro było potem u mojej partnerki, co kupiła mieszkanie na Widzewie. Ten obraz [akt kobiecy] i wiele innych obrazów miałem. Część się tylko zachowała, bo reszta to... [...] porozdawała znajomym. Ale niektóre rzeczy pozostawały. Lustro trzymała, bo zapakowałem i w komórce leżało. Mówię, „zabieram sobie”. A obrazów nie miała więcej, jak tylko ten, bo drugi się zniszczył, komuś tam dała.

Są drobiazgi jeszcze. Miałem w W., ale mnie trzy razy okradli, bo jak wyjeżdżałem, to zostawiałem. Kupę pieniędzy włożyłem w centralne ogrzewanie, bo tam 400 metrów kwadratowego było, takie siedlisko. Dom piętrowy – mam zdjęcia nawet – kiedyś pokażę. Też zdjęć dużo poginęło, okradli mnie raz, no to jeszcze zrobiłem drugi raz. Pierwszy raz dostałem duże odszkodowanie, ledwo mi uznali, co było na fakturach, na rachunkach. [...] A trzeci raz jak mnie okradli, machnąłem ręką. Już nic nie robiłem, na wiosnę zobaczę, może to sprzedam, ale nie zdążyłem, bo już komornik zabrał. Część sprzedałem – taką jedną małą stacyjkę, bo przy torach kolejowych – fajnie położona.

[...] Niewiele takich rzeczy miałem [po stracie kilku mieszkań, domów i rodzin]. Kilku rzeczy się dorobiłem, później musiałem sprzedawać [...]. W sumie nic specjalnie nie kupuję. Zmieniło mi się o 180 stopni wszystko. Kiedyś, co mi się podobało, to kupowałem. Było mnie na to stać i nigdy nie szanowałem pieniędzy. Do dzisiaj nie potrafię i już się chyba nie nauczę

Nie mam czegoś takiego w sobie, co by mnie skłaniało, żeby oszczędzać, żeby nie kupować. Cały czas jak przedtem, choć trochę się zmieniło, bardziej rozsądnie to robię, ale niewiele. [...] przedtem to alkohol powodował. Jeżeli mi coś potrzeba to kupuję. Raczej rzeczy potrzebne, takie, które są niezbędne. Chociaż czasami sobie robię prezenty, czy są potrzebne, czy nie.

Miałem wiele rzeczy, nosiłem stary zegarek. Kiedyś lubiłem stare zegarki, co lepsze zegarki były posprzedawane, później tam część została to tu, to tam w tych wszystkich domach, gdzie mieszkalem. A teraz nie. Taki jeden mi został, który tam dawno miałem – to falsyfikat, bo nie oryginał, ale jak ktoś nie wie... dziesięć lat temu za granicą nie było tak, jak u nas, tych podróbek chińskich.

[...] [Teraz] niewiele rzeczy mam, nigdy nie dbałem o takie rzeczy materialne, ani o samochody, nie przywiązywałem do tego żadnej wagi. Raczej miałem kilka drobiazgów, jak jeździłem po świecie, od dawien dawna. [...] kamienie, takie małe, drobne, niewielkie, gdzieś nad morzem, nad rzeką, w górach, takie ładne jak otoczaki, barwy miały fajne. Zielone, żółte, pomarańczowe. Miałem tego, kilka porozdawałem, bo taki byłem, a sporo ze świata przywoziłem. Właśnie takie inne rzeczy. Nigdy nie lubiłem złota, nie miałem żadnych złotych zegarków, ani złotych – czegoś takiego nie, absolutnie nie. Jeśli, to białe wszystko. Nigdy nie nosiłem sygnetów, łańcuchów, nigdy mnie to nie pociągało, nie fascynowało, nie podobało mi się to.

[...] Miałem nawet taki kamień zielony. Mówię [do byłej partnerki], „powiedz mi, gdzie są moje kamienie?”. „Oj, to tam dałam temu, temu, temu”. A ja tam miałem taki fajny kamień z Namibii –zielony kamyczek. I mówię, „pani A., dam pani prezent – taki kamyk, kiedyś go tam przywoziłem, gdzieś znalazłem, jak się później dowiedziałem, na tych terenach on z gór przywędrował”. Był taki zielony, [...] fajna zieleń była i mi się tak spodobał, „trzymam w ręku kamyk zielony”. [...] On mi tyle szczęścia przynosił, bo rzeczywiście jego najbardziej lubiłem. Zawsze gdzieś, gdzie coś się nie działo, to go wkładałem.

Zawsze z jednego miejsca [na drugie były przenoszone] niby nie wszystkie, ale takie najbardziej ulubione. [...] z 1,5 kg.

[...] Już nie mam żadnego. Tu [w ośrodku readaptacyjnym] jeszcze miałem taki z Kanady –był rudy, w beż wchodził, [...] komuś też dałem. [...] miałem chyba ze dwa, porozdawałem. [...] ten ulubiony dałem A. [terapeutce]. Nawet miałem go na S. [pierwszy raz, gdy znalazł się w schronisku]. Nosiłem w takiej torbie podróżnej. [...] zawsze w schowku to tam był. Zawsze miałem w sakwach swoje ulubione te kamienie. A też miałem taką podróżną torbę, kilka lat ze mną podróżowała, taką ulubioną, miała prawie dwadzieścia lat. Tą torbę dałem Ł. [wyjeżdżającemu do Legii], a on kupił sobie [...] ale mówi, „taka praktyczna jest ta twoja”, „a to bierz sobie”.

Plany i oczekiwanie na mieszkanie:

Czekam od dwóch lat na mieszkanie. [...] powiedzieli, że mi się nie należy, bo nigdy nie miałem żadnego komunalnego ani takiego [rodzaju] mieszkania. Zawsze swoją prywatną własność. Niby to komplikuje, ale wcale nie. Napisałem jedno pismo, drugie, w końcu je przyjęli. Byłem upierdliwy.

[...] [Na] jakiegokolwiek mieszkanie trzeba mieć 15–20 tysięcy odłożone, żeby coś mieć i jakąś stałą pracę, która by zapewniała później spłacanie czynszu. A tu tak na razie się nie układa. Plany się zmieniają cały czas, życie weryfikuje, co się założyło. Nie wszystko jest tak, jakby się chciało. Nikt nie mówił się, że będzie lekko, to się zmienia. No i w związku z tym moje podejście też się zmienia, bo można powiedzieć, że w miarę jedzenia rośnie apetyt. Najpierw były małe założenia, potem to się rozrastało i jakby się chciało wrócić do tego, co było, tylko bez picia, a to nie jest takie proste.

Refleksja o sobie samym:

Tak sobie pomyślałem [...], bo nieraz piszę różne rzeczy – jakieś refleksje czy co mi przychodzi do głowy, i tak sobie pomyślałem, że dopiero teraz, jak nie piję, czasami otwiera mi się spojrzenie trochę filozoficzne i takie głębsze na to, co było. Co było przyczyną, dlaczego coś się stało. I pomyślałem sobie, że życie mi się zwichnęło wtedy, jak dostałem duży wyrok, jak poszedłem do więzienia. Miałem dwadzieścia lat i tak mi się to wszystko gdzieś załamało i zostawiło ślad na później.

Żyję dniem dzisiejszym, cieszę się tym... Dostałem 4 sierpnia 1971 wyrok dwadzieścia pięć lat. Miałem równo dwadzieścia lat. W dzień urodzin zrobili mi to. [...] przez miesiąc właściwie do mnie to nie dochodziło, absolutnie. Jak mnie zawieźli do Rawicza na ten oddział, gdzie [siedzą skazani na] karę śmierci, dożywocie i oddział specjalny, wtedy dopiero po jakimś czasie, gdzieś po pół roku, [dotarło] co mam. Zacząłem liczyć ile. To tak było, taki moment i to gdzieś zostało. Chciałem zapomnieć o tym wszystkim, ale to gdzieś zostało. Później po dwóch latach [odsiadki] dostałem wyrok cztery lata [rewizja wyroku]. Równy cztery lata siedziałem.

Nie byłem w ogóle winny. Byłem w wojsku i byliśmy na zabawie przed pierwszym majem. W Kołobrzegu byłem w łodziach podwodnych i zostaliśmy pobici przez Rosjan, bo tam byli wtedy jeszcze Rosjanie, to był 1971 rok, oni – oficerowie. My weszliśmy, młodzi marynarze. Pasy mieliśmy nieszczerbłe, bo pas marynarz ma z taką aluminiową sprzączką, a oni mieli pasy oficerskie, porządne, no i nas trochę poturbowali. Wyszliśmy, spotkaliśmy jeszcze znajomych, zielonych – z lądowego wojska. Nie ma co, marynarze a tu dostaliśmy, idziemy z powrotem. No i tak, wtedy był inny system, [...] więc wyrok, Rosjanie, przyjaciele itd., bratnie wojska. Niby tam kilku zostało zabitych w tej bitwie czy coś takiego. Później się to wszystko odwróciło, ale gdzieś zostawiło ślad.

Potem mi się wydawało, że miałem inne podejście, co rzutowało już na całe życie, że chwilą się trzeba rozkoszować, tym, co jest. Nigdy się nie zagłębiałem, co było złe. Było to było, teraz od nowa i od nowa i od nowa, i tak właściwie cały czas, dopóki nie spotkałem A. To jest terapeutka, która zmieniała mi całe życie, bo ja przychodziłem, jak miałem problemy – tak mi się wydawało wcześniej, że coś jest nie tak ze mną, bo nie potrafię kontrolować [picia]. Tu mi powiedzieli, że jest taka terapeutka od uzależnień. Tylko spojrzałem na nią, młoda taka, co ona tam wie, co mi może powiedzieć. Ale jakoś tak podeszła, była jedna rozmowa, za jakiś czas druga, mówię – to bez sensu, ona nie wie. Zaczęła się wypytywać, jakie były okresy picia, a ja nie przywiązywałem wagi do tego, czy wypiję setkę czy dwie. Właściwie tak było codziennie, jak się coś załatwiało. Ja się nie opijałem, ale jednak piłem. Liczyłem te okresy, liczyłem, gdzie się ochlałem, a w międzyczasie niby nie piłem, ale w sumie piłem. Zaczęła dawać mi testy, wypełniałem je, no i powiedziała, że „w zasadzie to pan nie jest uzależniony. Ale jest coś, że musi pan uważać na alkohol”. Nie dawało mi to spokoju. Nigdy mnie do niczego nie namawiała. Zawsze mówiła na koniec rozmowy, „czy pan miał z tym czy z tamtym problem?”. „Nie”. Ale gdzieś mnie nurtowało, o co jej chodzi, że muszę z nią pogadać, jeszcze raz się spotkać. Aż doszło do tego momentu, że jej powiedziałem, że „faktycznie to pani skłamałem w tych testach, tylko nieświadomie, bo ja piłem. W sumie by wyszło, że jestem alkohikiem, ale z tym się nie zgadzam”. I ona mówi, że można na leczenie. „Gdzie tam, na leczenie to takich biorą..., gdzie ja?”. „No, ale jeżeli pan by chciał, to jest na Niciarnianej, można spróbować. [...] zawsze może pan wyjść. Może pan iść, spróbować, zobaczyć”. To było po tych ostatnich wyskokach, jak mnie wyrzucili z S. „Może pan spróbować, może coś pomoże”. „Dobra, spróbuję”.

Poszedłem z takim nastawieniem, że się nauczę.

No i później sobie pomyślałem jak tą terapię skończyłem, że zawsze spotykałem na swojej drodze kogoś takiego, kto mnie... [na nogi stawiał], bo tak całe życie było. Nie należało mi się to niby, ale zawsze spotkałem kogoś takiego, jak A., jak C. Powinni mnie wyrzucić na zbity ryj i powiedzieć spadaj. Zawsze ktoś podał rękę. Bo ja bym tak zrobił. Ja wtedy byłem..., sam nie lubiłem takich ludzi. Jak ktoś nie słucha, nie rozumie – dobra, do wzięcia.

I zaczęło się tak, że zmienia się [u mnie] cały czas od tego momentu. Przedtem mi się bardziej spieszyło. Żeby coś załatwić, żeby zmienić. Teraz też mam takie momenty, żeby wyjechać, zmienić, znowu coś robić. Przychodzi taka refleksja, że już ponad cztery lata nie opuszczałem kraju. To jest aż niemożliwe. Siedzę praktycznie tylko w Łodzi, co tam takie małe, gdy jeździłem po Polsce, jak pracowałem. Nawet było wtedy potrzebne, bo pozwoliło mi przetrwać ten okres, że nie było stagnacji. Później jak usiadłem, gdzieś mi to zaczęło doskwierać, a teraz już inaczej, już spokojnie patrzę. Wyjeżdżam pod koniec sierpnia, albo w styczniu – już rozmawiałem z kierownikiem – pozałatwiać swoje sprawy, zobaczyć jak to jest tam, do Austrii, do Niemiec, może do Lichtensteinu zajrzę, może tam praca. Dzwoniłem do znajomego, u którego pracowałem, ma teraz firmę wielką, ale wiek robi też jednak swoje. Obcy to patrzą, że sześćdziesiąt dwa lata, „chłopie, o czym mamy mówić, to emerytura, nie?”. Tak jest... Inaczej jest telefonicznie czy listownie, mailowo, a inaczej, jak jest kontakt osobisty, jest zupełnie inaczej, bo wtedy ludzie trochę inaczej patrzą.

[...] Ostatnio, od pół roku, nie przestrzegam żadnych zasad, co było zalecane. Samego mnie to przeraża, bo idę gdzieś i czuję, że [jadę] po bandzie dosyć ostro. Ale [jeszcze nie spałem], bo już by mnie tu nie było, nie byłoby naszej rozmowy, o tym jestem przekonany. W sumie to podoba mi się, że nie piję, że jestem trzeźwy, że inaczej myślę – to mi się podoba, ale to też może być złudne. To jest takie „hola, hola” i gdzieś można wpaść. Zdaję sobie z tego sprawę.

Życie zaczęło mi się układać. Nie jest to całkowity powrót do tego, co było, ale częściowy.

[...] spotykam się z ludźmi, którzy żyją normalnie. Nie ze starymi znajomymi, których kiedyś miałem. Z nowymi ludźmi, których poznałem też poprzez moją nową partnerkę.

[...] na początku nie chciałem jej powiedzieć, że jestem bezdomny, jak się poznaliśmy. Ale już w drugiej rozmowie, jak się umówiliśmy na kawę, mówię tak – fajna kobieta, wszystko jest, nie będę kłamał i pojechałem równo o wszystkim. Zrobiła wielkie oczy. „A możesz coś dobrego o sobie powiedzieć?”. Drugie spotkanie, trzecie... nigdy się nie wypytywała. Jeżeli sam coś chciałem powiedzieć, to... Kobieta jest inteligentna, jest inżynierem elektrykiem, pracuje w zagranicznej fińskiej firmie. Spotykamy się z jej znajomymi. Jeździ też po całym świecie, mamy dużo wspólnych tematów, bo gdzieś byliśmy. Ona dużo więcej, bo w podróży, a ja w pracy tam byłem. Ale nie każdy był w Namibii, bo po co. Ja pojechałem tam akurat do pracy, do znajomego. Pojechałem, żeby zobaczyć i znam Afrykę Południową z drugiej strony. Z takiego normalnego życia. Tych legionistów poznałem, jak oni tu wpadli, tam wypadli, musieli zrobić porządek.

[...] Gdzieś zostało z tego okresu, kiedy sam siedziałem w więzieniu, bo ludzie tego pokroju tak opowiadali, wtedy byli tacy. A gdy siedziałem, byłem grypsujący. [...] Później jak tam byłem, łatwiej mi było nawiązać kontakt, rozmawiać. Zawsze miałem zamiłowanie do broni, mieliśmy wspólne tematy. [...] Nawiązałem kontakt z takim Francuzem, z tym P., bo zawsze się trafi w towarzystwie ktoś taki, kto najbardziej nam odpowiada. Nawiązała się taka nić [porozumienia]. Wziął mnie na kilka „wycieczek” [nie wyjaśniał, co ostatecznie robił z tymi legionistami], „no dobra, macie tak porąbane w głowie, że się z wami nie zadaję”, ale gdzieś

tam to później zostało. Jechałem do Paryża to mówię, „pojadę do ciebie”. Handlowałem tam samochodami, w tym czasie jeździłem do Belgii, Holandii, Niemiec, Francji. Zawsze miałem jakiś kontrakt, ale on gdzieś pojechał, gdzieś był, więc później ześmy się spotkali kilka razy. No i w ubiegłym roku [...] rozmawialiśmy, że przyjdzie do nas. [...] On nie ma żadnej żony, nikogo. Cały czas po świecie. [...] Chodziłem do terapeutki na Niciarnianą i mówię, że mam taki problem i nie wiem, co zrobić. Bo jak on przyjedzie, to tylko burdele, wódka, lokale. On mówi, „wiem, że coś miałeś i nie pijesz. [...] Nie musisz, ale jak przyjadę, to sobie pojeździmy”. Ale los znowu zdarzył, że nie przyjechał. [...] Jakoś tak gładko przeszło. Później zachorował, dostał malarii czy czegoś, gdzieś był w Ameryce Południowej i rozeszło się. „Ale i tak kiedyś przyjadę”. Przyjeżdż.

[...] [Terapia antyalkoholowa] to jest właśnie granica, gdzie przeskoczyłem jak gdyby to wszystko – inne spojrzenie i tak trwa do dzisiaj, bo to cały czas postępuje. Z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc, z roku na rok, coś innego. Co ciekawe, otwierają mi się takie komórki, które nie zostały do końca wypalone przez alkohol, uczucia czy emocje, o których ja kiedyś myślałem, że ich nie mam, że to gdzieś poszło, spalone, wytopione, że nie potrafię. A to gdzieś tam [jest], [aż] niemożliwe, że ja jestem taki tolerancyjny czy taki dobry potrafię być, skąd mi się to bierze. Ale to wszystko jest z czasem i to właśnie dzięki tej [terapeucie].

„Dominika”

Jest jedną z najmłodszych, choć już pełnoletnią, mieszkanką schroniska dla kobiet. Spędziła w nim kilka lat, obecnie czeka na przydział mieszkania. Mieszkała w placówce z mamą, która sprawowała funkcję starościny w grupie matek z dziećmi.

Co to znaczy „dom”:

Szczerze mówiąc, nigdy nie miałam takiego swojego domu, żebym mogła w nim znaleźć swoje miejsce, zagrać trochę dłużej. My non stop się przenosiłyśmy. Z normalnej definicji, z podstawówki, to przede wszystkim koiarzy [mi] się rodzina. Mam rodzinę, mam mamę, to raczej z tym. [Ale] nie miejsce, ściany, mury.

[Przenosiłyśmy się] na pewno powyżej dziesięciu razy. Naprawdę sporo, od samego początku, od małego, non stop się przenosiłyśmy. Wynajmowałyśmy w ogóle w różnych częściach miasta. Tam, gdzie w danym momencie było mieszkanie, które nie było najdroższe i które mogłyśmy wynająć po odpowiednich kosztach. Wtedy tam szłyśmy. Chyba wszystkie dzielnice zwiedziłyśmy. [...] Było jedno miejsce, w którym mieszkałam sześć lat. To już było sporo [...]. Tam było nam dobrze, a tutaj to, żeby najszybciej stąd wyjść. Niezbyt fajnie. [...] Podczas jednego takiego wynajęcia, jeszcze mieszkałyśmy z moim ojcem, wyszło jak wyszło. Musiałyśmy nagle wyjść z mieszkania i zostawić kompletnie wszystko, wszystkie sprzęty, zdjęcia. Wyszłyśmy tylko tak, jak byłyśmy ubrane. Miałam wtedy sześć lat. Bardzo dużo koiarzyłam.

Wzięłyśmy coś do jedzenia i to wszystko. Od tej pory to nie ma takich rzeczy, czegoś takiego namacalnego. Takiego sentymentalnego, tego typu przedmiotów. Właściciel po prostu to wszystko sobie wziął, zabrał i koniec.

Za każdym razem starałyśmy się wprowadzać do mieszkania, gdzie były meble, takie najpo-
trzebniejsze rzeczy. Takie, jak lodówka, cokolwiek innego to po prostu się kupowało nagle,
jakieś najtańsze, żeby tylko było. Będąc tak ciągle na walizkach, strasznie niewygodne by-
łoby mieć jakieś rzeczy. Właśnie od tego momentu, kiedy wszystko się straciło, to już nie
warto było od nowa.

[...] nie lubię cofać się w przeszłość. To, co było, było. Nie ma co płakać nad rozlanym mle-
kiem. Jeżeli w tym momencie dla siebie coś chcę, to teraz od tego momentu, kiedy mogę,
zbieram sobie swoją własną przeszłość i przyszłość. Z tym idę do przodu. Wystarczy mi to,
co mam. Nie muszę mieć namacalnych przedmiotów. Po prostu, żeby było to, co jest teraz
w tej chwili.

Życie w schronisku:

Tutaj [jestem] cztery i pół roku. [...] Już tu raz byliśmy. Właśnie wtedy, kiedy musiałyśmy
wyjść z jedną torebką, to przyszłyśmy tutaj.

Biegałyśmy góra, dół. Tak naprawdę wszędzie [mieszkałyśmy]. Tu był kompletny miszmasz.
Ja mieszkałam z mamą i z jakimiś czterema babciami. Kompletnymi alkoholikami. Do tej
pory pamiętam sytuację, kiedy moja mama poszła na palarnię i ja zostałam z tymi kobie-
tami. A one alkohol zza szafki i mówią, „chcesz dziecko?”. Potem się napiły, a ja usiadłam.
Byłam tam tylko dwa dni. Usiadłam, patrzę się na nie. One się już totalnie upiły. Zaczęły
się szarpać za włosy. Ja biegiem do mamy, a one mi drzwi zamknęły. „Nie wychodź, bo się
wszyscy dowiedzą”. A ja płacz i krzyk. Było o wiele gorzej. Teraz kobiety tak narzekają, ale
naprawdę było gorzej. Teraz przede wszystkim jest większy porządek niż był kiedyś. [...]

A cztery i pół roku temu okazało się, że musimy nagle bardzo szybko opuścić tamto miejsce,
bo za chwilę będzie eksmisja. Nie płacił w ogóle, olewał to tak naprawdę [ojciec]. Mama
oczywiście w płacz i w ogóle. Trzeba było coś zrobić. Mówię, „mama, byliśmy tutaj, więc
trzeba iść tutaj, bo innej opcji nie ma. Mamy tydzień, to gdzie się dostaniemy w tym mo-
mencie”. Przyszłyśmy znowu tutaj.

[...] Miałymy szczęście, bo na początku mieszkaliśmy w pokoju obok tego, w którym teraz
jesteśmy. Jedyna nasza przeprowadzka była do [obecnego] pokoju i koniec. Nie było żad-
nych innych. Kot jest u nas [dostały pozwolenie na trzymanie zwierzęcia, choć generalnie
nie powinno się trzymać zwierząt], więc całe szczęście. Moja mama i ja byłyśmy ogólnie
lubiane, kiedy pierwszy raz tutaj byłyśmy. Całe szczęście, że kierownictwo to zapamiętało
i stara się bez tych wszystkich przenoszeń. Wiem, że mnie to nie minie, kiedy moja mama
się wyprowadzi. Ona pierwsza dostanie swoje mieszkanie. [...] będę musiała się przenosić.
[Pobyt w schronisku] to nie jest dla mnie powód do dumy. To jest pomyłka życiowa, którą
trzeba teraz jakoś naprawić. Nie wydaje mi się, żebym musiała się tym chwalić komukol-
wiek. Wiedzą tylko osoby, które znam bardzo długo. Też nie nazwałabym ich przyjaciółmi,
bo po prostu jakoś nie wierzę w przyjaźń. Koleżeństwo, takie coś, w porządku. Wiedzą
osoby, które dowiedziały się przez przypadek albo muszą wiedzieć. Muszą do mnie przyje-
chać i coś ode mnie odebrać. Tego typu rzeczy. Ale tak, żebym usiadła z kimś i powiedziała:
słuchaj, jest taka i taka sytuacja, to nie.

Podstawowa wartość, której ludzie potrzebują do rozwoju to po prostu prywatność. Tu nie
ma o tym mowy tak naprawdę. Tak samo nauka w mojej sytuacji. Nie jestem w stanie uczyć
się w takich chwilach jakbym chciała. Zostają mi nocne godziny, kiedy dzieci nie biegają po

korytarzu, kiedy jest spokój. Tym bardziej, że moja mama jest starościną, to non stop drzwi się otwierają. Tak jest cały czas. [...]

Nigdy nie starałam się traktować mieszkania, że to jest „moje” mieszkanie [...]. Tyle razy się przenosiłam, że nie mam tego problemu, jakbym np. mieszkała 20 lat u siebie i nagle straciła mieszkanie, [to tak]. Nigdy go nie miałam, więc nie czuję takiej megapotrzeby tak naprawdę. Chciałabym oczywiście móc jakoś się usamodzielnąć, żeby był spokój i mogłabym sobie usiąść. Nikt by do mnie nie wszedł. Zechcę, to otworzę, a jak nie zechcę, to nie otworzę. [Mieć] wolny wybór. Raczej na tej zasadzie.

Są chwile, kiedy człowiek nie chce ludzi przy sobie. Nie ma ochoty na rozmowę, coś tego typu. Tutaj nie ma opcji uniknięcia czegoś takiego. Jest ciągły ruch. Ja lubię takie coś, lubię zmiany, ruch, ale bez przesady. Nie ma nawet pięciu minut [spokoju]. Wypaść się do końca nie można, bo od 6:00 rano już dzieci biegają.

Własne mieszkanie:

Już się [o nie] staram. Jak miałam osiemnastkę, to dostałam swój dowód. Od razu poszłam do urzędu złożyć papiery o mieszkanie. Oczywiście, że już się staram. [...] wiadomo, że jestem samotna. Jak dowiadywałam się w Urzędzie Miasta, jest sporo rodzin z wieloma dziećmi, właśnie wielodzietne, [...] jeszcze trochę sobie poczekam. Do pięciu czy sześciu lat dobiję, niestety. W razie czego wolę potem pozytywnie się rozczarować.

W tym momencie, jeżeli chodzi o meble, czy coś tego typu, to nie ma opcji, żeby to tutaj składować, czy gdziekolwiek indziej. Teraz to, co mogę robić, to odkładam jakieś tam kwoty, żeby nie wejść w cztery gołe ściany. Parę dni wcześniej umeblować to mieszkanie. Trochę pieniędzy trzeba mieć odłożonych. I to tyle na razie. Meble będą w ostatnim momencie. Po prostu teraz mam odłożone pieniądze, będę wiedziała, że je mam i w każdej chwili mogę iść do sklepu i je kupić. Tu też nie ma sensu składować nie wiadomo czego. Tak naprawdę nie wiadomo, gdzie mnie będą przenosili [chodzi o inny pokój, gdy jej mama pierwsza dostanie mieszkanie]. Poza tym, tu nie ma miejsca na takie rzeczy. Ma się dwie szafki na krzyż i to koniec. Tu nie ma takiej możliwości. [...] Miałymy tutaj przyjąć z telewizorem czy lodówką, ale kierownictwo się nie zgodziło. To jest takie, a nie inne miejsce i tutaj nie można czegoś takiego. Znowu trzeba było zostawić sprzęty tak naprawdę na stracenie.

Wszystko znowu trzeba od nowa.

Pierwsze co, to [we własnym mieszkaniu] oczywiście muszę wyregulować wszystkie sprawy typu meble i to wszystko. Jak już to będzie, to po prostu pożegnaj się z tym miejscem, jak najszybciej. Wejdę do tego domu. Już widzę po sobie, że będzie problem, bo tak narzekam, że jest głośno, ale wiem, że u mnie będzie za cicho. Musi być jakiś zwierzak. Biorę pieska ze schroniska. Kotów nie lubię, mojego uwielbiam, ale w ogóle to nie lubię. Będzie piesek i ja. To wszystko. Będzie spokój. Będę mogła robić, co będę chciała, bo będę u siebie. Z takich podstawowych to oczywiście praca. Dzięki niej będę mogła utrzymać mieszkanie, a nie znowu wylądować tutaj. Tego już bym nie wytrzymała. Znam siebie i wiem, że jestem uparta, więc jakby była opcja, że miałabym coś stracić, to nie dopuściłabym do tego. Nie ma takiej opcji.

Po prostu wyobrażam sobie ten spokój. Już mam w głowie umeblowanie mieszkania. Nie lubię na ostatnią chwilę. Wolę mieć wszystko poukładane, zaplanowane, co i jak. Żeby się nie martwić, tylko móc wejść i rozkoszować się tym, że jestem u siebie. Mieć parę dni spokoju.

Życie w placówce:

Tutaj człowiek się bardzo dużo uczy. Jeżeli mieszkałabym tu rok, to stwierdziłabym, że naprawdę można się tutaj sporo nauczyć takich pozytywnych rzeczy. W tym momencie, mieszkając cztery i pół roku, uważam, że tutaj się można nauczyć grubiaństwa, chamstwa i tak naprawdę bardzo niewielu pozytywnych cech. Są osoby, które są w porządku. Naprawdę przychodzą i potrafią od razu wywołać uśmiech na twarzy.

[...] Same kobiety. To nie jest przypadek, że tu wylądowały, tylko po prostu ich zaniedbanie. One uważają, że tutaj będą, im tu jest dobrze, idealnie, bo nie muszą płacić, tylko mogą sobie siedzieć. Mogą robić, co im się będzie podobało.

To jest społeczna różnica wbrew pozorom. Są osoby z różnych środowisk i zupełnie inaczej postrzegają różne sprawy. Dla [jednych] to nie jest ujmą, że tutaj są. Dla nich jest super, fajnie. Nie płacę, jest idealnie. Nie bardzo to rozumiem. Rozumiem, że są takie osoby.

Kobiety wbrew pozorom innych [rzeczy] nie znają, więc mówią, że są twarde, sobie radzą. To są dorosłe kobiety, a im chodzi o to, żeby nie żyć, tylko przemykać przez życie. Tak bez niczego, bez scenariusza, bez planów na przyszłość. Chcą iść i jak się uda przemknąć, to się przemknie. Jak nie, to trudno. To są kobiety, które mają już dzieci, więc kompletnie nie rozumiem takiego podejścia. Ale tak mają. Uważam, że to jest ich sposób życia w tym momencie. Tak je społeczeństwo nauczyło, tak ich doświadczenie nauczyło, że tak najłatwiej. Wiem, że trudno jest planować, bo to się może nie spełnić. Ale chodzi o to, żeby umieć planować. Nieważne, że się zawaliło. Tylko taka epikurejska filozofia, że nieważne, że się zawaliło, byle iść dalej. Byle iść i się nie przejmować. Starać się robić, co do siebie należy. Krok po kroku.

Można [tu] współpracować w grupie. Też się tego nauczyć. Trzeba się tutaj dostosować wbrew pozorom. Indywidualista nie ma szans. Takie społeczne życie też nie jest aż takie straszne, jakby się wydawało. Zawsze jest się do kogo odezwać. Jest taki moment, kiedy się trzeba odezwać. Taki podstawowy przykład, nie ma kosmetyków, to się biegnie i dostaje się, pożyczka od kogoś innego. To akurat jest w porządku. Wśród niektórych stosunki nie są takie złe. Są osoby, które naprawdę są w porządku. [...] każdy ma inne podejście. Jakoś nie utrudniają życia innym. To jest najważniejsze. Żyć i nie utrudniać życia innym.

Zaradności można się tutaj nauczyć. Żeby robić, co do ciebie należy, chociażby z mieszkaniem. Nie można się zatrzymać, siedzieć i nic nie robić. [...] Właśnie tego [można się nauczyć], żeby najszybciej wylapać, że ta sytuacja, w której jest się teraz, jest zła. To trzeba poprawić, bo to nie hotel, tylko, żeby poprawić swój byt i swoje życie.

Uważam, że dom jest tam, gdzie jest rodzina. [W schronisku] da się [mieć] jakąś drobną imitację tego, co powinno być. Da się w jakiś sposób. Oczywiście, najgorzej mają właśnie dzieci, które [tu] przychodzą. To jest najgorsze. Jak ja byłam jeszcze byłam młodsza, to pamiętałam już co tutaj było i co się działo. [...] Było po prostu tragicznie. Uważam, że zawsze da się coś stworzyć [w schronisku]. Jakiś mały fragment, na którym można budować całą resztę. Nie jakiś typowy, bo tutaj nie można zaprosić gości. Nie wolno się zachowywać jak w normalnym domu. Nie ma tej prywatności, nie ma czegoś takiego. Można się starać jakoś przystosować do tego, jak niedługo będzie się żyło u siebie w domu. Na takiej zasadzie.

Stygmat bezdomności:

[...] ideologia bezdomności mnie bardziej interesuje. Tak naprawdę wszędzie, gdziekolwiek się nie spojrzy, media, ludzie tacy pospolici, bezdomność kojarzy się [im] ze śmierdzącym żulem wchodzącym do tramwaju, który sika pod siebie. Zawsze mnie to irytowało. Dlatego [...] nienawidzę słowa [bezdomność]. Jest straszne, bo zawsze z tym się kojarzy. Nie kojarzy się z osobą, która mieszka w takim schronisku, który stara się o mieszkanie. T[ylko], że to jest pasożyt, który bytuje na społeczeństwie, na państwie. Kompletnie się nie stara, tylko żyje za państwowe pieniądze. [...] Tak się kojarzy ludziom bezdomność. Nie lubię tego słowa, więc oczywiście się z nim nie zgadzam. Uważam, że domność, bezdomność, nie ma aż takiego ogromnego znaczenia, żeby szufladkować ludzi. Po prostu tu się znalazły osoby, które nie mają tych czterech ścian. Dom to nie są tylko cztery ściany. [...] to jest rodzina. Na tej zasadzie. Samo to słowo kompletnie nie opisuje osób, które tutaj mieszkają, bo mamy dom. W tym momencie t u t a j mamy dom. Nie mieszkamy pod gołym niebem, nie patrzymy co noc w gwiazdy. Mamy łóżka, w nich śpimy. Nie mamy aż tak strasznej sytuacji, żeby szufladkować się w tym słowie bezdomny. Nie wiem, czy to [się da] w ogóle opisać słowami. To jest chyba nie do opisanie w tym momencie. Nie [zn]am w tym momencie takiego określenia, które w stu procentach odnosiłoby się do tego. To tak, jakby spotkać na ulicy człowieka, który jest lekarzem i szufladkować go, że jest tylko lekarzem. Ma różne określenia. Jedno słowo – „bezdomny”, nie ma wielkiego znaczenia w porównaniu z tą całą resztą słów, które do danego człowieka pasują. T[utaj] są osoby, które potknęły się w pewnym momencie swojego życia i teraz starają się to jakoś sobie wynagrodzić. Sobie i innym, właśnie rodzinie, temu domowi, który mają w tym momencie. Tylko taki mogą teraz mieć. [...]

Uważam, że w Polsce, jak i na całym świecie, bo bezdomność dotyczy wielu krajów, nie jesteśmy dostosowani do ludzi bezdomnych. Ludzie, którzy tutaj pracują, zakładają, że każdy chce z tego wyjść i sobie poradzi. Nie zawsze tak jest. Jest to okres przejściowy. Jestem tutaj, jest fajnie, nie płacę, jest idealnie. Jest po prostu pięknie. Nie dostrzegają właśnie czegoś takiego, że aby pomóc takim osobom, takim zatwardziałym lokatorom [schroniska], trzeba naprawdę pracować nad takimi osobami. To nie są osoby, które chcą pomocy. Prześlizgują się i tak im pasuje. Stracą, pójdą, dostaną kolejne.

Uważam, żeby w tym momencie coś się ruszyło z takimi osobami, tylko system totalitarny wchodziłby w grę. Trzeba ich zmusić siłą. Niby wszystko super, tutaj będzie OK. Wyjdę stąd, wolność i będzie jeszcze gorzej. Znowu to samo. Tyle ile charakterów, to tyle może być sposobów. [...] Część to być może skrzywdzi. Powiedzmy, że starają się i jest w porządku, a tu jeszcze więcej [zasad]. Część znowu powie, że co mi zrobicie. Tyle ilu ludzi, tyle problemów. Każdy tutaj przychodzi w zupełnie innej sytuacji, z innego środowiska. Jest zupełnie czegoś innego nauczony. Nie jest nauczony pracy czy czegośkolwiek innego. Na zasadzie, że się chodzi, wszystko się dostaje, wszystko się ma. Pieniądze się należą, wszystko się należy. Samemu nie trzeba nic robić.

Tego właśnie nie rozumiem. To jest na zasadzie lenistwa. U nas, jak to u nas. Plus jest tylko taki, że jeżeli chodzi o materialne wsparcie, ma się to miejsce, które nie jest drogie do utrzymania. Są oczywiście osoby, które płacą za ten ośrodek. Tak, czy inaczej jest to o wiele mniej, niż gdyby poszły na swoje.

Kompletnie nie na tym polega życie [że mieszka się w schronisku]. Nie muszę płacić, to z jakiej racji muszę płacić za mieszkanie. To, że się płaci, to też nie jest zbyt inteli-

gentne dla osób, które się starają, bo płacą 100 czy 200 zł za mieszkanie tutaj, a wolą sobie odkładać na meble.

Tutaj osoby nie są nauczone, żeby pójść i coś samemu załatwić. To jest problem. Ona się musi postarać, żeby potem mieć tą satysfakcję, że się starała. Nie było tak, że weszła i każdy jej coś dał. Tylko, że weszłam i coś załatwiłam. Dostałam wsparcie tutaj, stąd, ale coś załatwiłam. Tutaj i tak nie jest tak źle, jak słyszałam od osób z zupełnie innego schroniska, np. z tego na Broniewskiego, dla matek z dziećmi. Tam trafiają młode kobiety, które zaszły w ciążę i tak się stało. Dowiedziałam się, że tam się wchodziło i brało wszystko. Człowiek nie musiał się o nic martwić, o jedzenie dla dziecka. O najpotrzebniejsze rzeczy. Szło się i pozamiatało kawałek korytarza i dostawało się pieluszki. Potem stamtąd się wychodzi i nawet człowiek nie wie, gdzie te pieluszki kupić. Wszystko się dostawało i to jest dla mnie chore, tym bardziej dla kobiet z dziećmi. Jak te kobiety mają się potem uczyć, że dziecko to nie jest zabawka? Że to jest ktoś, kto wymaga. Skoro dziecko jest, skoro byłam na tyle dorosła, że mam dziecko, trzeba go teraz utrzymać. A nie, że utrzymywało się samo. Tam było wszystko. Opieka nad dziećmi, po prostu wszystko. Oprócz tego dostawało się pieniądze na to wszystko. Tak naprawdę na swoje potrzeby. Matki opływały w kosmetykach, a potem się wychodziło i „o nie, dlaczego nie mogę kupić tego kremu za 100 zł!”. To po prostu chore. Kompletna bezradność. To kompletnie nie resocjalizuje, że tak to nazwę. Nie można wyjść z założenia, że każdy będzie cię na świecie głaskał. Uważam, że lepiej założyć gorsze, żeby potem móc się ucieszyć z czegoś lepszego. Nie na zasadzie, o nie, nie uda mi się. Po prostu, że może mi się nie udać. Muszę przyjąć plan B, jeżeli nie wypali plan A, żeby mieć drogę awaryjną. Tu się nikt tego nie uczy, tylko „nie muszę mieć planu, bo jakoś sobie poradzę, zawsze się prześlizgiwałam, to prześlizgnę się i teraz”.

Tu może nie ma ogromnego wsparcia czy czegoś tego typu. Ale można na tym miejscu coś zbudować. Coś robić ze sobą, a nie tylko usiąść i super, że mam cztery ściany. Mogę tu posiedzieć, pomieszkać, nie pada na mnie. To tyle tak naprawdę. Nikt nie chce nic robić w swojej sprawie. Tu nikt nie mówi, żeby za kogoś coś robić. Zobaczyć, czy teraz sobie poradzę, żeby potem, jak pójdę na swoje, umieć. Dobry psycholog dla wszystkich – to byłoby dobre. Panuje tu taka opinia, że psycholog to nie, bo ja sobie sama radzę. Nie ważne, że sobie nie radzę. Mam wszystko i sobie radzę. Nie ważne, że jak wyjdę, to nie będę miała. Jakoś sobie poradzę, a jak nie, to wrócę tutaj znowu.

Mają straszną tendencję do narzekania [współlokatorci]. Nie cierpię tego. Wyszły z jednego problemu, a potem same sobie stwarzają jeszcze większe problemy. Problem bezdomności się rozwiązał, bo jest dach nad głową. Tak naprawdę oprócz tego miejsca, budynku, niewiele się pozmieniało. To mnie bardzo często przeraża. Nie chciałabym popaść w taką rutynę, że super fajnie, mam miejsce, ale za chwilę emocje opadną. Znowu będą jakieś inne problemy, które nagle narosną. Tego chciałabym uniknąć. [...] Bezdomność jednak była dużym problemem. W tym momencie, kiedy ona zniknęła, to trzeba było to zamienić w jakiś sposób. [...] Teraz [jej] nie ma, nie ma tego podłoża, [i] wszystko wychodzi na wierzch.

[Powrót do schroniska byłby] dla mnie jedną z najgorszych porażek w życiu, jakie mogą być. Zdaję sobie sprawę, że każdemu może coś nie pójść i może się powinąć noga. To jest normalne. Nie non stop i nie na takich kolosalnych błędach, które widać od razu. Rozumiem, że można się pomylić. Coś może się nie udać. [Ale] nie ma takiej mocy, żeby nie udawało się non stop. Zawsze się można pozbierać, poskładać, jakoś to naprawić, żeby było trochę lepiej. Nie mówię, że idealnie, ale żeby się chociaż do tego zbliżyć. Żeby się starać. A nie, że jest mieszkanie i osiadę na laurach. Potem się okaże, że przez to, że osiadłam na laurach, to straciłam pracę. [...] Jestem u siebie. Jeszcze może ciąża, dzieci, trojaczki, czworaczki. Nagle

tracimy mieszkanie i znowu wracamy. Straszny schemat. Już tutaj byłam, kiedy sporo ludzi się przewiniło w ten sposób. Wyszło i wróciło. Nie wyobrażam sobie czegoś takiego. Dla mnie to jest uzależnienie od tego miejsca. Od tego, że tutaj, mimo że są problemy, których nie będzie w swoim mieszkaniu, są też udogodnienia tego typu, że nie trzeba płacić za mieszkanie. Dla mnie to też jest nie za fajne. Rozumiem, że państwo pomaga i to dobrze, ale młode kobiety mają ręce i mogą pracować. Mogą iść do pracy i zarobić. Nie ma w tym problemu. Im się nie chce. Nie rozumiem takich kobiet. Jak one potem mogą starać się o mieszkanie? To jest bez sensu. Są na liście, czekają na mieszkanie, wprowadzają się, zadłużają mieszkanie. Mam nadzieję, że czegoś takiego uniknę. Nie powielać tego schematu, bo to jest największa z możliwych porażek.

[...] Była kobieta, która trzy razy wracała. Wróciła dwa razy, a za trzecim powiedzieli, że nikt jej nie przyjmie.

[Niektórzy] nie wynoszą doświadczenia z tego, co się stało. Mnożą sobie problemy. I to dosłownie mnożą, bo miała jedno dziecko, a przychodzi z dwójką. Już w tym momencie wie się, że nie potrafi utrzymać mieszkania. Po co wprowadzać się w jeszcze większe problemy? Po co dziecko w tym momencie? Wiadomo, że nic mu nie zapewni. Samej na własne życzenie pogarsza swoją sytuację. Większość osób jak tu wchodzi, sądzi, że to nie ich wina. Stało się i nie ponoszą odpowiedzialności. To jest straszne nie zdawać sobie sprawy. Podstawą jakiegokolwiek nauki, jest zdawać sobie sprawę z problemu. W tym momencie tworzy się go samemu. Co jest przez los, a co ja mogłam zrobić, a czego nie zrobiłam. Lepiej twierdzić, że to nie moja wina, [że] wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie, wszyscy chcą mojej zguby i koniec. Ja nie miałam żadnego wpływu, bo co ja zrobię. Lepiej nic nie robić. I tak się zawiodę, więc po co. Po co próbować? [...]

Zero posunięcia do przodu. Kompletnie cofnięcie. Okropny wstyd. [...] Jak widzi się, że ktoś wraca po raz kolejny, zapala się taka lampka, że może się nie udać skoro tyle osób wraca i im się nie udaje, to mnie też może się nie udać. Już jest tego typu wiadomość w głowie.

Pamiętam cztery takie osoby. Nie mówię o osobach z noclegowni. Moja mama bardziej kojarzy. Nie znam tych pań, bo staram się z nimi nie utożsamiać pod tym względem. Nie poznaję wszystkich. Moja mama bardziej stara się ze wszystkimi, papieros, palarnia. Moja mama mi nieraz mówiła, że „wiesz, ja widziałam tą osobę, ale ona tu była rok temu”. Pamiętam, że były osoby kiedyś i nie zostały przyjęte do schroniska na górę, tylko do noclegowni. [...] nieraz już nie przyjmują. To jest normalne, że nie ma co ratować. Zapewniło się już start, ktoś przychodzi, wychodzi stąd i wszystko jest w porządku, po czym wraca z powrotem. Dla kierownika, dla pracownika socjalnego to byłaby porażka zawodowa. Niekiedy można być wyrozumiałym [dla takich pracowników].

Refleksja o sobie:

Moja mama wychowywała mnie samotnie. To było zawsze na tej zasadzie, że jesteśmy razem, ale ja nigdy nie miałam sztywnych zakazów. Nigdy nie było tak, że nie zadawaj się z tą osobą, nie rób tego, unikaj tego. Powiedziałam kiedyś mojej mamie, że będzie mogła się wtrącać, kiedy ją zawiodę. Wtedy pozwolę na to, żeby mną kierowała. Póki jej nie zawiodę, póki jest wszystko w porządku, chcę, żeby było po mojemu. Żeby sama się uczyła na swoich błędach, a nie, że mama powie, nie rób tego, bo to jest złe. Żeby sama zobaczyła, że to jest złe. Człowiek to zapamięta. Trzeba samemu zobaczyć, jak chce się żyć. Nigdy moja mama nie starała się mnie zamknąć w kloszu i jakoś nakazywać czy izolować od innych.

Zawsze robiłam, co chciałam. Do tej pory mamy nie zawiodłam. Wydaje mi się, że to jest raczej dobre. Dobrze wyszło zaufanie tego typu.

[...] tam, gdzie mieszkałam w danym miejscu, mieszkalam krótko. [Znajomi] to środowisko szkolne. Ludzie raczej stamtąd. Jakieś zajęcia ponadprogramowe, cokolwiek tego typu. Wyjścia do teatru, do kina, czegokolwiek. Tam bardziej poznawałam ludzi, którzy mieli wpływ na moją dalszą sytuację. [...] Nie starałam się też nawiązywać więzi, bo wiedziałam, że i tak niedługo opuszczę to miejsce. To było bez sensu. Jak coś się udało, to się udało. Jest OK, w porządku, ale nie zabiegałam o to, nie starałam się. Jakoś nie przywiązywałam do tego większej wagi. Szłam do szkoły, szkoły nigdy nie zmieniałam. Od początku do końca jeździłam przez pół miasta. Nigdy nie chciałam zmieniać. Chciałam mieć chociaż jedną stałą rzecz. To mi odpowiadało. Raczej tam poznawałam ludzi. Przede wszystkim byli starsi, bo nie bardzo rówieśnicy. To byli chociażby nauczyciele, z którymi miałam dobry kontakt. Też zawsze wiedzieli, gdzie mieszkam. Miałam z nimi dobry kontakt.

Przeszłość zawsze [...] wpływa. Może dlatego jestem niekiedy naddojrzała. To mnie strasznie irytuje. Tak sobie myślę, że Boże, skończyłam dziewiętnaście lat, a niekiedy zachowuję się jakbym miała czterdzieści–pięćdziesiąt. Jest to strasznie irytujące. Zawsze miałam lepszy kontakt ze starszymi ludźmi. Chociaż nie mówię, że stroniłam od rówieśników. Naprawdę z nimi też można było w porządku się dogadać i nie było żadnych problemów.

[...] spędziłam tu sporo czasu, [jak] ten moment, w którym dorastałam. Były takie osoby, które się stąd wyprowadziły i dalej mam z nimi kontakt, naprawdę dobry. Będą jeszcze takie osoby, z którymi mam zamiar utrzymywać kontakt, które są w porządku. Pomogły w pewnym sensie, ja im pomogłam. Współpraca – to jest ważne. W tym momencie więzi odbieram na zasadzie współpracy. To nie tak, że non stop od kogoś coś dostaję, coś się bierze. Nie mówię o przedmiotach, tylko o emocjach. Raczej na zasadzie symbiozy. Każdy dla kogoś. [...]

[Wyjdę stąd] z taką myślą, że będzie tylko lepiej. Że się pokonało duży problem, bo to jest duży problem. Teraz może być tylko lepiej i żeby tego nie zepsuć. Żeby było tak, jak sobie zaplanowałam – po prostu dobrze i szczęśliwie.

6. Zakończenie: potrzeba badań – potrzeba zmiany

Miejsca moich badań były (i są) zasiedlane przez ludzi pozostających w kryzysie. Gdy rozmawialiśmy o tym, co słyhać, najczęściej opowiadali o swoim (złym) samopoczuciu, a nie o wydarzeniach czy faktach. Sens owych rozmów, czasami wymiany paru zdań, pokazuje, że bezdomność oznacza utratę: pozbawia lub osłabia poczucie stabilności oraz zaufanie do siebie i innych; uczy życia z dnia na dzień i zmusza do przyjęcia określonych strategii ochronnych. Osoby doznające bezdomności rzadko spodziewają się poprawy losu. Bezdomność jest doświadczeniem życia „bez ciągu dalszego”, podporządkowanego przetrwaniu. Dotyczy to także osób przebywających w schroniskach, a nie tylko poza nimi.

Prowadzone przeze mnie rozmowy i obserwacje wpisują się spostrzeżenia Bogny Bartosz i Ewy Błażej (eadem 1995). Jako emocjonalne skutki bezdomności wymieniały: osamotnienie, poczucie niższości wobec innych, wstyd, bezsilność i negatywną ocenę świata, strach, lęk i obawy (ibidem: 55–61). Osoba dotknięta bezdomnością traci umiejętności zawodowe i zaprzestaje kontaktowania się z tymi, którzy mogliby jej pomóc. Środowiskiem stają się dla niej ludzie w podobnej sytuacji, którzy najczęściej sami nie umieją wyjść z bezdomności, lecz nauczyli się, jak w niej przetrwać.

To rzeczywistość, którą opisać można jako jedną z najbardziej marginalnych. W pewnym sensie życie osób doznających kryzysów egzystencjalnych jest także tabu. Pewne grupy marginalne znajdują się w skrajnym punkcie skali niedowartościowania. Wskazują na to takie cechy, jak przeżywane przez nich doświadczenia graniczne, traumy, deprywacja, anomia, często związane ze znalezieniem się po stronie *underclass*⁵¹. Mniejszości i marginesy mieszczą się jednak w obszarze zainteresowań przedstawicieli mojej dyscypliny. Wiązałabym to głównie z refleksją na temat powstawania i działania mechanizmu nadawania obcości i odmienności (zob. klasyczną etnograficzną pracę Bystronia: idem 1980 oraz Goffman 2005).

Zajmując się grupami i jednostkami zaliczanymi do tej ostatniej kategorii, można popaść w moralizowanie na temat ich sytuacji oraz pozycji „uprzywilejowanych”,

51 O nich m.in. traktują np. opracowania Marcina P. Kafara (2014), Andrzeja Perzanowskiego (2009), Tomasza Rakowskiego (2009), Aleksandry Rzepkowskiej (2012, 2013), Adrianny Surmiak (2010a, 2010b), Huberta Wiercińskiego (2010, 2012, 2013), Małgorzaty Wosińskiej (2009, 2013) i Kamila Pietrowiaka (<https://fonosferra.wordpress.com...>, <http://po-omacku.klangoblog.net...>, 2013, 2014, Pietrowiak, Tworowska, Zdobyłak 2013). Warto przy tym zwrócić uwagę na okres, w którym wychodziły wymienione przeze mnie prace, są to bowiem lata niedawne. Nie wymieniam wszystkich nazwisk, które z pewnością mogłyby się znaleźć w tym miejscu. Nie podaję też wszystkich prac wzmiankowanych autorów i autorek. Wybór ograniczyłam do opracowań, które uznaję za charakterystyczne dla owego nurtu i które zdążyłam poznać do chwili pisania niniejszego tekstu. Są to także teksty, z których założeniami w jakimiś sensie pozostaję w zgodzie, lecz i takie, wobec których zachowuję dystans. Jednak bez względu na to, uważam, że przyczyniły się do rozwoju interesujących mnie obszarów badań.

z których (najczęściej⁵²) wywodzi się badaczka/badacz. Zachowanie bezstronności w ramach takich projektów naukowych wymaga wysiłku i czasami się nie udaje. Badacze mogą być w swoim mniemaniu neutralni, ewentualnie balansują (świadomie lub nie) na granicy neutralności lub porzucają ją⁵³. Zdarza się to, gdy obok pytań interesujących dla nauki stawiają inne, tzw. „naiwne”, np. o porządek społeczny, odnoszące się do sprawiedliwości, nierówności i solidarności oraz na ile w wartości te wpisuje się nauka i jej praktykowanie, a także czy nauka może/powinna się do nich odnosić.

Irene Glasser i Rea Bridgman napisały, że to właśnie zetknięcie się z bezdomnością uświadamia najdobitniej, że nie każdy może korzystać z podstawowych warunków do życia. Ta konstatacja prowadzi do pytań o siły społeczne i polityczne, jakie sprawiają, że niektórzy nie mają domu, gdzie mogliby spełniać potrzeby dotyczące schronienia, jedzenia i higieny. Zdaniem Glasser i Bridgman, większość badań na temat bezdomności rodzi się z chęci zrozumienia, jak jest możliwy taki rodzaj egzystencji i dlaczego mamy z nim do czynienia – jakie przyczyny systemowe go wywołują (Glasser, Bridgman 1999: 2). Z odpowiedziami na to ostatnie pytanie wiążą się różnice w poglądach pozanaukowych i naukowych.

Za przyczynami marginalizacji i odrzucenia stoją przesłanki zewnętrzne i wewnętrzne. Do zewnętrznych zalicza się uwarunkowania ekonomiczne, społeczne, ustrojowe oraz wszelkie ich kombinacje. Do wewnętrznych – deficyty, jakimi cechują się określone jednostki. Uniemożliwiają im lub utrudniają korzystanie z dóbr, praw, przywilejów i wywiązywaniu się z obowiązków. Dostrzec można wzajemne zależ-

52 Można zastanawiać się nad rzeczywistym uprzywilejowaniem badaczy, przede wszystkim ze względu na kontekst wytyczany przez *gender* badacza/badaczki oraz osób badanych, którzy wchodzić w interakcję w konkretnych sytuacjach.

53 Te trzy postawy zanalizowała Baer (2014: 13–14). W pierwszą – neutralną – wpisała Tomasz Rakowskiego (2009), plasującego się po stronie „zawodowego współodczuwania”, a nie przeciwdziałania. Badacz ten jeszcze wówczas nie angażował się w modernizujące projekty i oceniał je krytycznie. Z biegiem czasu jego postawa wyewoluowała, gdy stał się projektodawcą i wykonawcą działań, jakie określiłabym modernizacyjno-partycypacyjnymi, stając się moderatorem działań z zakresu animacji kultury lokalnej społeczności „wykluczonych” (por. np. Rakowski 2013). Przykładem postawy drugiej – polegającej na balansowaniu między zaangażowaniem a nauką – Baer uczyniła Natalię Bloch. Podczas badań sytuacji uchodźców tybetańskich w Indiach, Bloch wskazywała na trudność utrzymania równowagi między aktywizmem a uprawianiem nauki. Według Bloch nie można było pogodzić tych dwóch ról, co rodziło według niej, „performatywne sprzeczności” (za Baer 2014: 13). Reprezentantką trzeciej postawy – antropologii w działaniu – byłaby Hanna Červinkova, zajmująca się np. projektem aktywizującym osoby z niepełnosprawnościami. Mówi ona o antropologii, jako o „praktykowaniu wartości na rzecz emancypacji podmiotów badań” (za Baer, *op. cit.*: 14). Właśnie z tym podejściem się identyfikuję, podobnie jak z ujęciem antropologii stosowanym przez Agnieszkę Kościańską, optującej za upodmiotowieniem różnego rodzaju „marginalizowanych” na przykładzie krytycznej analizy dyskursu eksperckiego, w którym unaoczniała mainstreamowy tryb wiktymizowania ofiar gwałtu. Kościańska ukazała, jak dokonuje się wtórna wiktymizacja przy pomocy pozornie neutralnych naukowych metod (za: Baer 2014: 14).

ności istniejące między tymi dwoma poziomami przyczyn. Mieszają się one w różnych porporcjach.

Podjęcie kładące nacisk raczej na powody wewnętrzne, bardzo często wiąże się ze wspomnianą perspektywą moralizującą, czyli postrzeganiem przedstawicieli *underclass* jako bezradnych, uzależnionych od instytucji pomocowych i przekazujących kolejnym pokoleniom ten sposób życia (Nalaskowski 2007: 7). Sama struktura dyskursu naukowego na temat przyczyn bezdomności zbudowana jest najczęściej na zasadzie albo-albo. Skłania do tworzenia ocen rzeczywistości z określonego punktu widzenia. Jak zauważył Kazimierz Frieske (2002), pojęcia *underclass* oraz „marginalizacji” i „wykluczenia” nie są czysto opisowe, a ideologiczne. *Underclass* jest popularniejsze w USA, podczas gdy w Europie chętniej mówi się o wykluczonych i marginalizowanych. Dyskurs europejski unika terminu „ubóstwo” i jego synonimów, w tym „kultura ubóstwa/biedy” (szczególnie w języku oficjalnym polityki i ekonomii). Według Frieskego, rządy niektórych państw wołały posługiwać się na pozór neutralnym „wykluczeniem” i „marginalizacją” niż terminem „ubóstwo”. Słowo to i mu pokrewne traktowano jako niewygodne dla decydentów, ponieważ stały w sprzeczności z modelem państwa opiekuńczego, opartego na ideałach solidarności społecznej (Nalaskowski 2007: 1). „Wykluczenie” i „marginalizacja” miały naznaczać mniej negatywnie⁵⁴ (por. też Grotowska-Leder 2002).

Zachowanie neutralności w badaniach *underclass*, jak i zachowanie równowagi podczas balansowania między naukowością a aktywizmem, może być tym trudniejsze, im bardziej kontakt badawczy ulega personalizacji. W historii badań biednych uznawano jednak, że to właśnie „odejście od wartościującego [...] stosunku do biedy i biednego”, jakim było z początku czerpanie wiedzy z drugiej ręki, a nie od samych biednych, miało zapewniać „wprowadzenie do badań ubóstwa perspektywę opisową, empiryczną, naukową” (Tarkowska 2004: 2).

Dodatkowy kontekst badaniom członków *underclass* nadała metoda związana z historią mówioną. Był to następny stopień, jak pisała Tarkowska, w zbliżaniu się do biednego. Pierwszym przełamaniem dystansu były studia nad dokumentami osobistymi (Tarkowska, *op. cit.*: 8). Dopiero *oral history* dała sposobność „badania [...] ludzi i [...] kategorii społecznych, które ze względu na upośledzenie i dyskryminację nie miały dotąd możliwości wypowiedzania się” (Tarkowska, *op. cit.*: *ibidem*). Przywołując słowa innej badaczki, Marii Boguckiej, „ubodzy są najbardziej milczącą grupą [...]” (Bogucka 1992, za: Tarkowska, *op. cit.*: *ibidem*). Założenia te wpisują się w tezę

54 Odnosnie języka, można zastanawiać się nad efektem nazywania „wykluczonych”/„biednych” – „łowcami”, „zbieraczami”, „praktykami niemocy”, wpisującymi się w kategorię „człowieka zdegradowanego”, co zaproponował Rakowski (2009). Określenia te mogą wywołać skojarzenia z badaniami „ludów pierwotnych” i naukową mitologią „człowieka pierwotnego”, która legła u podstaw metafizyki, ontologii i epistemologii etnologicznej, zeszyfrowanej np. przez Adama Kupera (2009).

Oskara Lewisa, który pozyskiwał zwiłokrotnie autobiografie ubogich, ponieważ, jak pisał: „starałem się dopuścić do głosu bohaterów, których w inny sposób nie można by usłyszeć” (Lewis 1970: 30).

Jednak rozmowa (zwłaszcza w kontekście instytucji, gdzie dialog odgrywa kluczową rolę w „zarządzaniu” problemem), może czasami dawać złudne poczucie zbliżenia i zrozumienia. Declerck przestrzegał, że rozmowa może prowadzić na manowce, ponieważ każdy jest „uwikłany w sieci dyskursu” (Declerck, *op. cit.*: 358). Tym bardziej że według Declercka, narracja o nieszczęściach

musi [...] mieścić się w granicach okropności możliwych do strawienia przez opiekuna, jako że ma ona stworzyć u niego urojone wyobrażenie identyfikacji z pacjentem. [...] To właśnie owo utożsamienie prowadzi do mobilizacji psychicznego zaangażowania [...]. Stanowi ono warunek umożliwiający pojawienie się litości (ibidem: ibidem).

W rezultacie powstaje iluzja, że dzielimy tożsamość, co sprzyja solidarności. Ja sama, po pewnym czasie bycia w terenie i intensyfikowania swoich tam kontaktów, zaczęłam brać pod uwagę łączące mnie z badanymi i personelem skrypty emocjonalne i sposoby radzenia sobie w obliczu porażki, nieszczęścia, śmierci, choroby i innego rodzaju kryzysów. Powodowało to pogłębienie mojego nastawienia, które od pewnego momentu wykraczało coraz bardziej poza „zawodowe współodczuwanie” (Rakowski 2009: 22), jakie ma podobno charakteryzować antropologów. Profesjonalizacja empatii w antropologii kulturowej przejawia się zaś w tym, co Rakowski nazywał, na swoje potrzeby, „szczególnym współczującym myśleniem” (ibidem: ibidem). Wywodzi się ono z założenia, że środowiska badane nie są „puste”, pomimo że np. *mainstream* traktuje je jako wybrakowane. Antropolog jednak powinien oddać ich „wewnętrzny, kulturowy sens” (ibidem: ibidem).

Declerck opisywał też sytuację, gdy opowiadający mówi o czymś zbyt strasznym dla słuchającego i wówczas objawia się monstrialność takiego doświadczenia. Słuchacz tego typu historii nie może się z tego względu z nią identyfikować⁵⁵ (ibidem: 359). Odczułam tę różnicę między sobą a badanymi właśnie ze względu na zakres, natężenie i długotrwałość ich doznań, które były mi przedstawiane. Gdy doświadczenia, o jakich dowiadywałam się, wykraczały poza moją skalę poznawczą, wkradała się obcość w rozumieniu przyjętego konceptualizowania świata.

Poza tym, historie doświadczeń kryzysowych moich poszczególnych rozmówców i rozmówczyń ukazywały, że gdy ktoś przekracza próg własnej wytrzymałości, może stać się wtórnie podatny na kolejne doświadczenia trudne. Wcześniej przyswojone

55 Podobnie, jak osoby nieleczące się z uzależnień, którzy ciągle wracają do nałogu, pomimo wielu prób zaprzestania. Wywołują swoją postawą zniechęcenie i zarzucenie motywacji, by im pomagać (Declerck, *op. cit.*: 359).

taktyki radzenia sobie w niektórych przypadkach okazywały się niewystarczające wobec kolejnych, jeszcze intensywniejszych i skrajniejszych przeżyć.

Declerck podkreślał, że równie złe, jak pustosłowie czy słowotok, jest wycofanie się w milczenie. W przypadku moich doświadczeń z badań, raportowanie przez badanych przed urzędnikami o stanie własnej egzystencji (od aspektów materialnych, przez prawne, po emocjonalne) było główną przyczyną ich niechęci do spotkania i rozmowy ze mną. Zaniechanie i niepodjęmowanie mówienia stanowiło jedną z taktyk ochronnych, choć czasami wtórnie izolującą.

Kontakty udawały się wówczas, gdy „mówiący panował nad mową”, co odnosiło się zarówno do mnie, jak i do badanych. Wówczas „mowa dorasta do swego wymiaru, [...] przerywana chwilami milczenia, to znaczy powstrzymywana” (Decklerck, *op. cit.*: 360). Poprzez obcowanie, rozmowę, milczenie oraz obserwowanie codzienności i różne działania animujące dowiadywałam się, co oznacza życie z doświadczeniem bezdomności i czy można się go pozbyć. Wiele z poznanych osób zachowa status wykluczonych, chociaż może kiedyś zdejmą z siebie etykietkę „bezdomny/bezdomna”.

Wiele moich wniosków wypłynęło z postawy, którą określiłabym solidarnością. Według Declercka, jest to efekt uboczny identyfikacji oraz profesjonalizacji empatii w antropologii. Solidarność wyrastała z niezgody na istniejący stan rzeczy. Wydaje mi się, że ten rodzaj doświadczenia, jakim jest bezdomność, nie może być wyłącznie komentowany naukowo. Oczywiście to truizm, że nędza materialna i inne odmiany depriwacji istnieją „od zawsze”. Niezgoda na taki porządek pozostaje więc w większości głoślna, a próby przeciwdziałania zamieniają się bardzo często w praktyki pozorowane. Gdy dopuszczają się tego badacze, mogą być określani jako naiwni lub można ich posądzić o to, że zamienili się w aktywistów. Warto jednak podkreślić za Andrzejem Lederem, że nędza wpisuje się w

proces [...] związany z istnieniem [...] stanu skrajnego, który dehumanizuje; sam w sobie wyrywa człowieka ze wspólnoty sensów [...]. Nędza to doświadczenie stanów granicznych – głodu, zimna, często fizycznego cierpienia, a przede wszystkim strachu. Pozwala działać i myśleć tylko w czasie teraźniejszym, pod presją konieczności [...], wypychając człowieka poza ramy wspólnoty znaczeń, [...] uniemożliwia też relację z Innym. Nie czyni jednak istoty ludzkiej naturalną, żyjącą zgodnie z naturą; raczej spycha człowieka w ową sferę szarości [...] mieszczącą się poza człowieczeństwem i poza naturą (Leder 2014: 162)⁵⁶.

Układ oparty na nierównościach może grozić doznaniem szczególnie perwersyjnej satysfakcji, albowiem na tym polega podtrzymywanie *status quo*: „trzeźwe

56 Wydaje mi się, że brak zgody na dehumanizację części naszego gatunku, jest tym ważniejszy, im silniej dochodzi do głosu idea zrównania bytów ludzkich z nieludzkimi.

spojrzenie na historię ludzkości pokazuje, iż pogarda wobec tych, którzy są niżej [...], dla wielu stanowiła podstawowe źródło [...] radości” (Leder, *op. cit.*: 177)⁵⁷.

Jak starałam się to pokazać w książce, bezdomność była i jest „od zawsze”, choć w przeszłości stosowano na jej określenie inne słowa i szukano jej przyczyn nie tylko w sytuacji ekonomicznej. Wysuwanie oskarżeń o jej powodowanie pod adresem tego czy innego systemu społecznego, politycznego i ekonomicznego wydaje się mijać z celem, skoro można ją postrzegać jako stałą i powszechną. W każdym układzie istniały jednostki, które były „niedopasowane” i wyrzucane na margines przez innych. Czy z tego powodu strategia (re)integracji i readaptacji, jako praktyki naprawcze wobec wykluczonych, mają rację bytu? Różne ich formy towarzyszyły bezdomności również „od zawsze”.

Jednostki „zdegradowane” w oczach większości nie są jednak moim zdaniem rewersem *mainstreamu* czy światem alternatywnym. Przeciwnie – należą do niego. Stanowią jego „produkt” i „odpad”, jak powiedziałby Zygmunt Bauman (2004). Można je opisać jako skrajną formę życia nazywanego „normalnym” i „zdrowym”. Tu być może leży przyczyna braku pozytywnych efektów w stosowaniu (re)integracji i readaptacji: opierają się na błędnych założeniach co do „natury” potrzebujących jako obcych i innych.

„Podmiot nędzy nie jest [...] reprezentowany” (Leder, *op. cit.*: ibidem). Nie chce się go oglądać, czyli odsuwa się go poza zasięg wzroku i zainteresowania. Programy pomocowe, choć pracują nad włączeniem wykluczonych, w wyniku błędnych założeń maskują tylko problem. System będzie nadal ich wytwarzał, w związku z tym pomoc nie będzie trafna. Rozwiązaniem byłaby praca nad zmianą, którą powinno objąć się także główny nurt.

Declerck stwierdził, że „poznał człowieka w jego absolutnym, ostatecznym wymiarze” (ibidem: 129). Zastosował to wyrażenie z pewnością dlatego, ponieważ duża

57 Na takie postrzeganie przeze mnie podłoża własnych zainteresowań i działań, wpłynęło tzw. zainfekowanie. Według Declercka „kontakt ze światem upadku działa jak trucizna. Nasza powszednia rzeczywistość oddalała się jak odpływ. [...] wydawała mi się czymś odległym, małostkowym i śmiesznym (ibidem: 128). Tego rodzaju stan pojawia się szczególnie na początku, później zaś następuje nieuchronne przyzwyczajenie. Nie tyle stępią się wrażliwość, co ujawnia się umiejętność patrzenia przez to, co szokuje innych (i co nie jest najważniejsze): „Właśnie pani domu [...] wskazała mnie ciężkim i upierścienionym palcem, wykrzyknęła: Patrick Declerck spędza swoje życie w metrze razem z kloszardami. Z pewnością wołałbym, żeby lata poświęcone przeze mnie na badania naukowe i udzielanie konsultacji zostały podsumowane nieco inaczej” (ibidem: 131). Mnie także przydarzały się podobne sytuacje, choć „rewelacje” tego typu na temat moich badań, towarzystwo najczęściej kwitowało milczeniem. Milcząca reakcja wpisuje się w „paradygmat milczenia” charakterystyczny dla badań środowisk wykluczonych (milczenie ich samych o sobie i milczenie na ich temat). Wyjaśnianie innym, skąd wziął się taki pomysł badawczy, skłaniało Declercka do snucia przypuszczeń, że „podejrzewali mnie o jakieś dziwaczne inklinacje, żeby nie powiedzieć – o perwersję” (ibidem: 132).

część osób dotkniętych bezdomnością „żyje tak, że nie można gorzej” (ibidem: 15). Stąd, jak podkreślał, margines traktuje się jako inny ze swojej istoty, co powoduje, że tłum się „ambiwaleńcę tego, co wykluczeni przeżywają” (ibidem: 352). Przypisuje się im więc status ofiar, co jest równie niesprawiedliwe, jak obwinianie ich za sytuację, w jakiej się znaleźli: „tożsamość ofiar – oczyszczająca z wszelkiego grzechu – niesie ze sobą bierność, słabość i poniżenie” (ibidem). Popycha to rozważania w stronę refleksji nad godnością ofiary w jej przeżywaniu nieszczęścia. Nie jest wówczas istotny namysł nad odpowiedzialnością czy odczuciami dotkniętych kryzysem. Oczekuje się za to, by ofiara przeżywała swoje doświadczenia jak ofiara właśnie, czyli w ciszy. „Niegodne” byłoby otwarte przez nią stawianie czoła, buntowanie się, popadanie w szaleństwo i nalogi, ucieczka, agresja, samobójstwo itp. (ibidem: 353). Jednak to takie zachowania pomagają „zagospodarować to, co najgorsze” (ibidem: 354).

Na swój sposób starałam się ukazać ów „absolutny wymiar”. Jednym z kontekstów, gdzie go szukałam, było przyjęte przeze mnie założenie – zarazem etyczne, jak i metodologiczne – że „wykluczenie” i „marginalizacja” są pojęciami umownymi, podobnie jak „bieda”, „ubogi” lub „bezdomność”, albowiem „czy m że i n n y m niż społeczeństwem jest jego margines czy odwrót na strona?” (ibidem: 350). Jak powiedziała „Dominika”, na którą powoływałam się wcześniej:

[bezdomność] nie kojarzy się z osobą, która mieszka w [...] schronisku, która stara się o mieszkanie. To jest na zasadzie, że to jest pasożyt, który bytuje na społeczeństwie [...], kompletnie się nie stara [...]. Nie lubię tego słowa, więc oczywiście się z nim nie zgadzam. Uważam, że domność, bezdomność [...] nie ma aż takiego ogromnego znaczenia, żeby szufladkować ludzi. [...] Samo to słowo kompletnie nie opisuje osób, które tu mieszkają, bo mamy dom. W tym momencie tutaj mamy dom. Mamy łóżka, w nich śpimy. [...] Jedno słowo bezdomny nie ma wielkiego znaczenia w porównaniu z [...] resztą słów, które do danego człowieka pasują. To są [...] osoby, które potknęły się w pewnym momencie [...] życia i teraz starają się to jakoś sobie wynagrodzić.

Ten rodzaj podejścia, jakiego domaga się „Dominika”, zaczyna jednak przenikać do *mainstreamu* systemu pomocy. Można natknąć się na opracowania zawierające propozycje rozwiązań, które próbują przeobrazić dotychczasowe metody pomagania. Propozycje te mówią o zmianach na poziomie idei przyświecających pomocy, organizacji miejsc, służących udzielaniu pomocy oraz nastawienia osób pracujących w tym sektorze, a tym samym – pośrednio – podejścia do własnej sytuacji tych, którzy o pomoc występują. Zmian dotyczą procedur, a twórcy owych propozycji zwracają m.in. uwagę na szukanie innego sposobu zarządzania placówkami, co powinno przełożyć się również na takie zachowania ich mieszkańców, które zaczną sprzyjać procesowi wychodzenia z bezdomności.

Słowem-kluczem jest włączanie, czyli zaangażowanie potrzebujących w urządzanie swojego życia na terenie placówek i poza nimi. Rozwiązania w tym zakresie

proponuje *Podręcznik. Model gminny standard wychodzenia z bezdomności* (Stenka, Olech, Browarczyk 2014):

W polskim systemie pomocy, w którym dominuje hierarchiczny sposób zarządzania, rzadko mamy do czynienia z partycypacją właściwie rozumianą. Osoby bezdomne nie mają realnego wpływu na oferowane im formy pomocy, sposób funkcjonowania placówek czy zasady przyznawania mieszkań wspieranych. To, w jakim stopniu zostaną włączone w proces podejmowania decyzji i przyjmowania rozwiązań, zależy od instytucji i organizacji świadczących pomoc. Dla tych ostatnich oznacza to dzielenie się władzą, zmiany organizacyjne, a przede wszystkim przewrót w dotychczasowym postrzeganiu ludzi bezdomnych. **Należy uznać, że mają one prawo do posiadania oraz wyrażania swojej opinii na temat systemu pomocy i że ta opinia ma podstawowe znaczenie. I należy tak przeorganizować funkcjonowanie danej instytucji/organizacji, żeby ułatwić osobom korzystającym z jej pomocy udział w planowaniu i podejmowaniu decyzji** [podkr. – I.B.K.] (Stenka, Olech, Browarczyk 2014: 31)

Podręcznik... nie tylko oparty jest na etyce współdziałania i współuczestniczenia, lecz może służyć także jako przewodnik dobrych praktyk. Został stworzony przez pracowników sektora pomocowego i osoby łączące w niektórych przypadkach pracę naukową z działaniami społecznymi i pracą społeczną. Propozycje zawarte w tym dokumencie opisują system alternatywny do obowiązującego wobec osób doświadczających bezdomności, co widać nie tylko na poziomie postulatów, jak w cytacie wyżej, lecz również na poziomie opisów procedur. Przekładają one nadrzędne idee na konkretne zalecenia, jak powinna kształtować się praca na polu pomocy w bezdomności. Nowe rozwiązania poparte były akcjami pilotażowymi. Nie są to zatem gołosłowne rozważania, lecz wynikają z doświadczeń, które zostały poddane weryfikacji. W procesie tym uczestniczyli autorzy skryptu oraz osoby doznające bezdomności. Propozycje odnoszą się także do rozwiązań sprawdzonych poza granicami Polski.

Innym, ważnym zaleceniem, ściśle związanym z powyższym, jest powoływanie w miejscowościach partnerstw lokalnych. Są to społeczne koalicje, złożone z organizacji działających na polu przeciwdziałania bezdomności i wykluczeniu oraz pomocy w sytuacji bezdomności i wykluczenia. Partnerstwa mają na celu budować miejscowe systemy wsparcia, kierując się ideą współdziałania i solidarności społecznej. Skupiają lokalne stowarzyszenia i fundacje, jednostki budżetowe różnego szczebla i pojedyncze osoby lub grupy nieformalne, zajmujące się przeciwdziałaniem bezdomności i świadczeniem pomocy w sytuacji bezdomności. Członkowie partnerstwa powinny zgadzać się co do tego, że szukają nowej jakości w swojej pracy i są otwarci na wypracowywanie zmian, choćby przy pomocy narzędzi pokazanych w *Podręczniku*... Nie ma on mocy prawnej, jest jednak powszechnie dostępnym źródłem⁵⁸, co najmniej

58 Np. na stronach: <http://www.bratalbert.org/projekty.html>; <http://www.kielce.caritas.pl>; <http://wpis.irss.pl/gminny-standard-wychodzenia-z-bezdomnosci/>; <http://www.monar.org/content/pliki/>

pobudzającym do stawiania pytań, w tym o miejscowe warunki udzielania pomocy i ich „ukryty program”.

Partnerstwa powinny włączać także samych bezdomnych, np. tworzących swoje stowarzyszenia. Autorzy *Podręcznika...* postulują, aby osoby doznające bezdomności miały udział w różnych procesach decyzyjnych, np. na etapie opracowywania indywidualnego programu wychodzenia z bezdomności. Podnoszona jest także kwestia wolności w kształtowaniu przestrzeni mieszkalnej w schroniskach i innych lokalach, gdzie świadczy się pomoc większej grupie. Forma organizacji tych miejsc, jaką proponują twórcy dokumentu, powinna otwierać takie możliwości przed ich mieszkańcami, aby mieli udział w ich prowadzeniu (np. tworząc wspólnotę i społeczność). Udział ten powinien dotyczyć pozyskiwania środków niezbędnych do utrzymania instytucji i budowania scenariuszy reintegracyjnych.

Rozwiązania tego typu wpisują się także w postulaty tych subdyscyplin w antropologii kulturowej, które kładą nacisk na współdziałanie różnych podmiotów. Praktyki włączające, w efekcie tworzące szerszą przestrzeń decyzyjną, dopuszczają różne głosy i grupy interesów. Daje to szansę partnerstwom lokalnym na wypracowanie własnego sposobu zarządzania owymi głosami (własnymi głosami), stworzenie adekwatnego sposobu komunikacji i konkretnych rozwiązań.

Wdrażanie proponowanych standardów powinno zmniejszyć stopień zależności od pomocy w takim jej kształcie, jaki powstał w ramach funkcjonującego już systemu. Prowadzi on raczej do swoistego ubezwłasnowolnienia, czyli wytwarza wtórne poczucie bezradności (co przyjmuje postać „roszczeniowości”). To następstwo wiary w ideę dawania pomocy, na wzór wyposażania w gotowy produkt, w przeciwieństwie do ideału wspierania w samodzielnym wysiłku samopomocy, dostosowanej do możliwości określonej osoby. W wyniku brania/otrzymywania pomocy osoba objęta ustrukturyzowanymi z góry programami może odczuwać brak własnej skuteczności w samodzielnym rozwiązaniu problemów i zaspokojeniu potrzeb. Nie tyle się usamodzielnia, czyli – jeśli jest na to gotowa i tego chce – uczy się nowych sposobów myślenia oraz interpretowania otoczenia i siebie samej, co uczy się dostosowywać do wymagań instytucji i organizacji. Najczęściej bowiem dotychczasowe udzielanie pomocy toczy się pod warunkiem podporządkowania się poleceniom, formom i zasadom wsparcia. W ten sposób jednostka wyzbywa się (i nie nabywa) wyobrażenia o własnej sprawczości i rozumienia skutków, przyczyn i procesów.

System krytykowany w *Podręczniku...* uderza także w pracowników instytucji pomocowych, ponieważ patrzą na osoby, dla których pracują, przez pryzmat deficytów. Może to rodzić w pracownikach nadopiekuńczość i wyręczanie „klientów”, czyli „zmniejszanie do minimum lub wyeliminowanie świadomego wysiłku i samodzielności osoby” (Stenka, Olech, Browarczyk 2014: 41). Przy tej okazji etatowi pra-

cownicy i – sporadycznie – wolontariusze z nimi współpracujący, uczą się, jak zaspokajać własną potrzebę władzy i siły.

Mimo powyższych postulatów, niepokój mogą wywoływać słowa „standard” oraz „usługi”, jakimi posługują się twórcy *Podręcznika*... Dokument ten wydaje się jednak potrzebny ze względu na całościowe ujęcie rozwiązań, wypracowywanych w Polsce już od dwudziestu pięciu lat głównie przez organizacje pozarządowe, którym to państwo (gmina, samorząd) zleca usługi pomocowe i opiekuńcze. *Podręcznik* jest zbiorem owych punktowych *know how*, ujętych w systematyczny wykład. Jak zatem piszą twórcy publikacji, wyjaśniając sens standaryzacji w zakresie pomocy w bezdomności:

[...] Standardy kulturowe można rozumieć jako zbiór obowiązujących norm społecznych (np. politycznych), ustanawiających kryteria pewnych pożądanych zachowań. Wykroczenie poza nie lub ich niespełnienie może się wiązać z wykluczeniem i marginalizacją. Jednocześnie standardy funkcjonują w obszarze usług. Stosunkowo rzadko mamy świadomość, że usługi oferowane przez banki czy sieci telefonii komórkowych są wysoce wystandaryzowane, a każda oferta tych podmiotów jest zawsze szczegółowo zaplanowana i opisana językiem procedur. Polityka społeczna w jej współczesnym kształcie składa się w znacznej części ze sfery usług kierowanych do obywateli. [...] w języku sektora pomocowego zwykło nazywać się ich „klientami”, „uczestnikami” czy „podopiecznymi”. Jeśli zatem część polityki społecznej stanowi sfera usług, to można powiedzieć, że standardy powinny funkcjonować także w polityce ukierunkowanej na rozwiązywanie problemu bezdomności. [...] standardy mogą określać i definiować jakość usług w różnych obszarach [...]. Standaryzacja usług służy w pełni realizacji celów i priorytetów określonej polityki społecznej, nie jest wobec nich nadrzędna, w tym przypadku pełni funkcję podrzędną, podporządkowaną pewnym paradygmatom. **Standardy** takie są bardziej elastyczne, co wcale nie musi oznaczać, że są mało precyzyjne. **Stają się raczej wskazówkami metodologicznymi, pewnym katalogiem propozycji niż zbiorem technicznych procedur, które bez żadnych odstępstw muszą być wdrażane.** Standardy mogą zarówno definiować minimalne wymagania dotyczące określonych usług, jak i precyzować optymalne i najbardziej pożądane wymagania [podkr. – I.B.K.] (Stenka, Olech, Browarczyk 2014: 67–68).

Taka interpretacja do pewnego stopnia mogłaby rozwiewać zastrzeżenia wobec wyobrażenia o standardzie jako o narzędziu kontroli i unifikacji. Ważne jest także, że opisywane w tekście *Podręcznika*... przykłady i zasady nowej pracy z „klientami” kładą nacisk na metody oparte na dialogu. Działania socjalne są osadzone ściśle w metodologii pracy właściwej dla tamtej dyscypliny, *Podręcznik*... przykładą jednak szczególne znaczenie do pracy przy zastosowaniu wywiadu motywacyjnego. Jego celem jest więc wzmacnianie. Nie skupia się wyłącznie na zdiagnozowaniu i zakwalifikowaniu jednostki do określonej kategorii i przypadku.

Na terenie Łodzi, w środowisku zajmującym się bezdomnością na różne sposoby (od pracy w tym sektorze, poprzez badania), idea łączenia się i współpracy spotkała się z pozytywną reakcją. W trakcie prac nad *Podręcznikiem*... (2014 r.) zaangażowani w jego tworzenie pracownicy z sektora pomocowego w naszym mieście zaczęli

dążyć do zbudowania partnerstwa lokalnego, tworząc sieć zainteresowanych i organizując ich spotkania. W 2014 r. zaczął kształtować się zręb partnerstwa łódzkiego i ostatecznie przybrało ono kształt (na razie) grupy nieformalnej, która zawiązała się w listopadzie 2014 r. Przedstawiciele chętnych do przystąpienia podmiotów⁵⁹ podpisali deklarację o przystąpieniu do partnerstwa. Przyjęło ono nazwę Łódzkie Partnerstwo Pomocy Osobom Wykluczonym i Bezdomnym. Działalność opiera się na wypracowanym wspólnie statucie. Grupa funkcjonuje w oparciu o zarząd i praktyki deliberacyjne na temat wspólnych działań.

Jestem włączona aktywnie w Partnerstwo: w pierwszej kadencji działalności grupy (kadencje trwają rok, ta obejmuje okres od grudnia 2014 r. do listopada 2015 r.) sprawuję funkcję jego przewodniczącej. Gdy piszę te słowa, trudno mi jeszcze dokonać wyczerpującej oceny kilku pierwszych miesięcy spotkań, podczas których nadal wypracowujemy w ramach dyskusji i spotkań (ogólnych i w grupach roboczych) wspólne cele i misję programową oraz przystępujemy do ich realizacji. Jest także za wcześnie, abym wypowiedziała się na temat tego aspektu mojej działalności z punktu widzenia antropologii kulturowej, szczególnie korzystając z dorobku antropologii opartej na współpracy, w tym rozbudowując go w oparciu o doświadczenia własne. Są opracowywane plany dotyczące zaproszenia do składu Partnerstwa kolejnych grup i osób, w tym propozycji współpracy poza sformalizowaniem porozumienia oraz w ramach złożenia deklaracji członkowskiej. Priorytetem – z mojego punktu widzenia – jest włączenie do Partnerstwa osób bezdomnych, by łódzka grupa lokalna nie stała się kolejnym zgrupowaniem ekspertów zewnętrznych. Prace nad tym dopiero się rozpoczęły. Interesująco może się także ukształtować współpraca Partnerstwa z władzami lokalnymi. Na fali zmian, którym będzie poddana Łódź (kompleksowy program rewitalizacji śródmieścia, w tym tzw. rewitalizacji społecznej), we współdziałaniu z jednym z pionów podlegających Prezydentowi Miasta Łodzi (biuro do spraw rewitalizacji i inwestycji), Partnerstwo przygotowało Program Mieszkalnictwa Wspieranego na podstawie *Podręcznika...*, aby ideę tę propagować wśród decydentów. Obecny okres, w jakim znajduje się Łódź, gdy jej władze prezentują mieszkańcom i mieszkańkom projekty zmian, to czas aktywności rozmaitych grup starających się włączyć

59 W skład Partnerstwa wchodzi (stan na marzec 2015 r.): Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej w Łodzi, Stowarzyszenie Inicjatywa Rozsądnych Polaków, Towarzystwo Pomocy im. Św. Brata Alberta Koło Łódzkie, FUTHARK Fundacja na Rzecz Popularyzacji Kultury i Biznesu Krajów Nordyckich, Stowarzyszenie Promocji Zdrowia i Psychoterapii, Ogólnouczelniane Centrum Promowania Zrównoważonego Stylu Życia UŁ i Miejskie Centrum Zdrowia Publicznego. Z racji wewnętrznych przepisów nie mogą podpisać porozumienia o przystąpieniu do Partnerstwa, choć współdziałają z nim i identyfikują się z jego celami: Policja (reprezentowana przez funkcjonariuszy oddelegowanych z pionu prewencji przy Komendzie Miejskiej Policji w Łodzi) oraz łódzka Straż Miejska (przedstawiciele oddelegowani z referatu profilaktyki). Współdziałają także (jeszcze) poza umową: Caritas Oddział łódzki oraz Oddział Łódź Międzynarodowego Stowarzyszenia Studentów Medycyny IFMSA-Poland.

w ten proces np. poprzez uczestnictwo w konsultacjach, przedstawienie swoich stanowisk na różnych spotkaniach czy wchodzenie w kontakt z urzędami. Celem jest przekonanie władz do modyfikacji pierwotnych założeń i wdrożenie poprawek, jeśli mieszkańcy oceniają projekty jako chybione i rozmiijające się z ich potrzebami. Idea mieszkań wspieranych jest o tyle ważna, że zrywa z obrazem pomocy jako „usługi opiekuńczej” świadczonej osobom w specjalnych, wydzielonych placówkach. Mieszkania wspierane mogą mieć charakter rozproszony (może się ich znajdować kilka w jednym budynku) lub zwarty (zajmują cały budynek). Najważniejsze, że są to lokale stanowiące część typowych budynków mieszkalnych, osadzone w infrastrukturze miejskiej i miejskim środowisku. Pomoc, jaką objęci są ich lokatorzy, w myśl założeń mieszkalnictwa wspieranego, polega na udzielaniu wsparcia i doradztwa w miejscu zamieszkania osoby, a nie w specjalnej placówce.

Stanowisko Partnerstwa pokrywa się z punktem widzenia, jaki wyrażają jednostki podlegające miastu, a zajmujące się pomocą społeczną. W tym samym okresie one również przygotowywały swoje opracowania. Nasze perspektywy zazębiają się w wielu punktach. Ruch dążący do zmiany, obserwowany przeze mnie (i wywoływany w ramach dostępnych mi środków), który powstał „na dole”, jest kompatybilny z punktem widzenia jednostek samorządowych znajdujących się „na górze” procesu decyzyjnego. Być może w przyszłości, dzięki zintegrowanemu i odpowiednio silnemu naciskowi na władze miasta, by zgodziły się na transformację polityki społecznej (co same też deklarują w postaci reform społecznych planowanych w latach 2015–2020), uda się osiągnąć pożądaný efekt. Przekształceniu mógłby wówczas ulec ten rodzaj „ukrytego programu”, jaki stał za działaniami pomocowymi, które obowiązywały dotąd. Nowym celem i normą byłoby zatem włączanie, a nie dopasowywanie i w efekcie ubezwłasnowolnienie zwracających się o pomoc.

7. Bibliografia

Abucewicz-Szcześniak Monika

b.r.w. *Bezdomność we współczesnej literaturze przedmiotu.*

http://www.ipsir.uw.edu.pl/UserFiles/File/Katedra_Socjologii_Norm/TEKSTY/MAbucewiczbezdomno_w_literaturze.rtf (dostęp: 30.01.2014).

Anderson Nels

1923 *The hobo: the sociology of homeless men.* Chicago: Chicago University Press.

1998 *On hobos and homelessness.* Chicago: Chicago University Press.

Ashenburg Katherine

2009 *Historia brudu.* Warszawa: Bellona.

Augé Marc

2010 *Nie-miejsce. Wprowadzenie do antropologii hipernowoczesności.* Warszawa: PWN.

Bachelard Gaston

1957 *La poétique de l'espace.* Paris: PUF.

1975 *Dom rodzinny i dom oniryczny.* [W:] idem. *Wyobrażenia poetycka.* Warszawa: PIW, s. 301–330.

Baer Monika

2014 *Między nauką a aktywizmem. O polityczności, płci i antropologii.* Wrocław: Wydział Nauk Historycznych i Pedagogicznych, Katedra Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Wrocławskiego.

Barker Chris

2005 *Studia kulturowe. Teoria i praktyka.* Kraków: WUJ.

Barth Fredrik

2006 *W stronę pełniejszego opisu i głębszej analizy zjawisk kulturowych.* [W:] *Badanie kultury. Elementy teorii antropologicznej. Kontynuacje.* Red. Nowicka E., Kempny M. Warszawa: PWN, s. 180–192.

Bartosz Bogna, Błażej Ewa

1995 *O doświadczaniu bezdomności.* Warszawa: Wydawnictwo Naukowe Scholar.

Bauman Zygmunt

2004 *Życie na przemiał.* Kraków: Wydawnictwo Literackie.

- 2006** *Praca, konsumpcjonizm, nowi ubodzy*. Kraków: Wydawnictwo WAM.
- 2008** *Płynny lęk*. Warszawa: Wydawnictwo Literackie.
- 2009** *Konsumowanie życia*. Kraków: WUJ.
- 2012** *Straty uboczne: nierówności społeczne w epoce globalizacji*. Kraków: WUJ.
- 2013** *Ponowoczesność jako źródło cierpień*. Warszawa: Wydawnictwo Sic!

Beck Ulrich

- 2012** *Spółczesność światowego ryzyka: w poszukiwaniu utraconego bezpieczeństwa*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe Scholar.

Benedyktowicz Danuta, Benedyktowicz Zbigniew

- 1992** *Dom w tradycji ludowej*. Wrocław: Wiedza o kulturze.

Berger Peter L., Luckmann Thomas

- 1983** *Spółeczne tworzenie rzeczywistości*. Warszawa: PIW.

Bieńko Mariola

- 2013** *Intymne i prywatne praktyki codzienności. Studium socjologiczne*. Warszawa: WUW.

Bińczyk Ewa

- 1999** *O czym szepcze władza (w ujęciu Michela Foucaulta)*. „Przegląd Artystyczno-Literacki” nr 9, s. 67–72.

Body-Gendrot Sophie, Orali Kristina

- 2000** *Obce wzory? [W:] Historia życia prywatnego. Od I wojny światowej do naszych czasów*. T. 5. Red. Prost A., Vincent G. Wrocław–Warszawa–Kraków: Zakład Narodowy im. Ossolińskich, s. 551–644.

Bogucka Maria

- 1992** *Ubóstwo w Gdańsku. Prządki, gręplarki i gręplarze (Czesacze) w XVI–XVIII w. [W:] Biedni i bogaci. Studia z dziejów społeczeństwa i kultury ofiarowane Bronisławowi Geremekowi w sześćdziesiątą rocznicę urodzin*. Red. Aymard M. i in. Warszawa: PWN, s. 71–76.

Borowski Andrzej

- 2013a** *Domy pomocy społecznej jako instytucja totalna*. „International Letters of Social and Humanistic Science” t. 4, s. 70–74.
- 2013b** *Problemy etyczne w badaniach instytucji totalnych*. „International Letters of Social and Humanistic Science” t. 1, s. 14–18.

Bourdieu Pierre

2004 *Męska dominacja*. Warszawa: Oficyna Naukowa.

2007 *Dom, czyli świat odwrócony*. [W:] idem. *Szkic teorii praktyki poprzedzony trzema studiami na temat etnologii Kabylów*. Kęty: Wydawnictwo Marek Derewiecki, s. 59–79.

Bowpitt Graham i in.

2011 *Comparing men's and women's experiences of multiple exclusion homelessness*. „Social Policy and Society” t. 10, nr 4, s. 537–546.

Brach-Czaina Jolanta

1999 *Szczeliny istnienia*. Kraków: eFKa.

Braidotti Rosi

2009 *Podmioty nomadyczne: ucieleśnienie i różnica seksualna w feminizmie współczesnym*. Warszawa: WAIiP.

Brosz Maciej

2012 *Gospodarowanie przestrzeni mieszkalna. Poszukiwanie koncepcji ładu przestrzeni indywidualnej jako jej odtwarzanie*. [W:] *Między rutyną a refleksyjnością. Praktyki kulturowe i strategie życia codziennego*. Red. Maślanka T., Strzyczkowski K. Warszawa: WUW, s. 209–218.

Buczyńska-Garewicz Hanna

2006 *Miejsca, strony, okolice. Przyczynek do fenomenologii przestrzeni*. Kraków: TAiWPN Universitas.

Bukowska-Floreńska Irena

2001 *Dom rodzinny jako przestrzeń kulturowa*. [W:] *Miejsca znaczące i wartości symboliczne*. Red. Bukowska-Floreńska I. „Studia Etnologiczne i Antropologiczne” t. 5. Katowice: WUŚ, s. 65–81.

Burek Anna

2013 *Narracja jako sposób autoprezentacji osób bezdomnych*. [W:] *Rozprawy Komisji Językowej*. T. 40. Red. Miodek J., Wysoczański W. Wrocław: Wrocławskie Towarzystwo Naukowe, s. 203–221.

Bystron Jan S.

1934 *Tradycyjne pojęcie o środku ziemi*. [W:] *Zbiór prac poświęconych przez Towarzystwo Geograficzne we Lwowie w 40-lecie jego twórczości naukowej*. Red. Arctowski H. Lwów: Towarzystwo Geograficzne, s. 592–594.

1939 *Czynniki magiczno-religijne w osadnictwie*. „Przegląd Socjologiczny” t. 7, s. 25–46.

- 1976 *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce. Wiek XVI–XVIII*. T. 1. Warszawa: PIW.
 1980 *Tematy, które mi odradzano*. Warszawa: PIW.

Canetto Silvia, Sakinofsky Isaac

- 1998 *The gender paradox in suicide*. „Suicide and Life Threatening Behavior” t. 28, nr 1, s. 1–23.

Certeau de Michel

- 2008 *Wynaleźć codzienność. Sztuki działania*. Kraków: WUJ.

Charter Roger

- 2005 *Historia życia prywatnego. Od renesansu do oświecenia*. T. 3. Wrocław–Warszawa–Kraków: Zakład Narodowy im. Ossolińskich.

Chomczyński Piotr

- 2013a *Instytucja totalna w obiektywie. Socjologiczna analiza architektury wybranych zakładów karnych*. [W:] *Architektura przymusu*. Red. Ferenc T., Domański M. Łódź: ASP im. W. Strzebińskiego w Łodzi, s. 111–118.
 2013b *Sposoby radzenia sobie z negatywnymi emocjami wśród wychowanków zakładów poprawczych w Polsce*. „Studia Komunikacyjne” nr 26, s. 185–204.
 2014 *Problem dominacji i podporządkowania wśród dziewcząt i chłopców w Zakładach Poprawczych typu półotwartego w Polsce*. <http://hdl.handle.net/11089/1083> (dostęp: 19.06.2014).

Chopin Katia, Gardella Edouard

- 2013 *Les sciences sociales et le sens-abrisme. Recension bibliographique de langue française 1987–2012*. Saint-Étienne: Université de Saint-Étienne.

Cichy Magdalena Anna

- 2011 *Ludzie luzni*. [W:] *Encyklopedia „Epistema”*. <http://wiedzaiedukacja.eu/archives/53958> (dostęp: 4.06.2014).

Ciesielska Małgorzata, Wolapik Boström Katarzyna, Öhlander Magnus

- 2012 *Obserwacja*. [W:] *Badania jakościowe. T. 2: Metody i narzędzia*. Red. Jemielniak D. Warszawa: PWN, s. 41–68.

Corbain Alain

- 1998 *We władzy wstępu. Społeczna historia poznania przez węch. Od odrzy do snu ekologicznego*. Warszawa: Oficyna Wydawnicza Volumen.
 2006 *Kulisy*. [W:] *Historia życia prywatnego. Od rewolucji francuskiej do I wojny światowej*. T. 4. Red. Perrot M. Wrocław–Warszawa–Kraków: Zakład Narodowy im. Ossolińskich, s. 467–708.

Czarnowski Stefan

1956a *Góra” i „dół” w systemie kierunków sakralnych.* [W:] idem. *Dzieła.* T. 3. Warszawa: Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, s. 237–241.

1956b *Podział przestrzeni i jej rozgraniczenie w religii i magii.* [W:] idem. *Dzieła.* T. 3. Warszawa: Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, s. 221–236.

Dambuyant-Wargny Gisèle

2004 *Sans toi ni loi. Les exlus.* „Ethnologie Française” t. 34, nr 3, s. 499–508.

Dant Tim

2007 *Budowanie i zamieszkiwanie.* [W:] idem. *Kultura materialna w rzeczywistości społecznej.* Kraków: WUJ, s. 73–97.

Dąbrowska Katarzyna

2012 *Cechy procesu degradacji osobowości w placówkach leczenia uzależnień w świetle koncepcji instytucji totalnej Ervinga Goffmana. Wnioski z badań.* „Normy, Dewiacje i Kontrola Społeczna” t. 13, s. 338–356.

Declerck Patrick

2004 *Rozbitkowie. Rzecz o paryskich kłoszardach.* Warszawa: Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA S.A.

Dębski Maciej

2008 *Sytuacja bezdomnych kobiet w województwie pomorskim. Pomysł naukowego zdiagnozowania środowiska.* Br. miejsca wydania i wydawcy. http://www.neww.org.pl/download/bezdomne_kobiety_raport.pdf (dostęp: 28.05.2014).

2010 *Przyczyny bezdomności i powody pozostawiania w niej. Typologie i kwestie sporne.* [W:] *Problem bezdomności w Polsce. Wybrane aspekty. Diagnoza Zespołu Badawczego działającego w ramach projektu „Gminny standard wychodzenia z bezdomności”.* Red. Dębski M. Gdańsk: br. miejsca wydania, s. 52–94.

Domańska Izabela

2011 *Antropologia literatury – projekt interdyscyplinarny czy transdyscyplinarny?* „Przegląd Kulturoznawczy” t. 1 (9), s. 55–64.

Dominiak Łukasz

2012 *Urządzanie ciał, czyli władza w epoce biopolityki.* „KLIO. Czasopismo poświęcone dziejom Polski i powszechnym” t. 20 (1), s. 251–288.

Douglas Mary

1991 *The idea of a home. A kind of space.* „Social Research” t. 58, nr 1, s. 287–307.

2005 *Profile kultury. [W:] Badanie kultury. Elementy teorii antropologicznej.* Red. Nowicka E., Kempny M. Warszawa: PWN, s. 149–169.

Duch Danuta

2002 *O władzy w rodzinie. Prace w domu a równość związku. [W:] Fuszara M. Kobiety w Polsce na przełomie wieków. Nowy kontrakt płci.* Warszawa: ISP.

Duracz-Walczak Anna, Uliasz Tamara (współudz.)

1996 *Bezdomni. [W:] Bezdomni.* Warszawa: Centrum Rozwoju Służb Społecznych, s. 7–53.

Easthope Hazel

2004 *A place called home.* „Housing, Theory and Society” t. 21, nr 3, s. 128–138.

Edensor Tim

2004 *Tożsamość narodowa, kultura popularna i życie codzienne.* Kraków: WUJ.

Eisenstein Hester

1984 *Contemporary feminist thought.* Londyn: Unwin Paperback.

Eliade Mircea

1993 *Sacrum, mit, historia.* Warszawa: PIW.

1996 *Sacrum i profanum.* Warszawa: KR.

Elias Norbert

1980 *Przemiany obyczajów w cywilizacji Zachodu.* Warszawa: PIW.

Erikson Erik

2004 *Tożsamość a cykl życia,* Poznań: Zysk i S-ka.

Falkowska Macieja

1998 *Wychowanie dzieci w rodzinie i opieka nad nimi. Komunikat CBOS.* Warszawa: CBOS.

Ferenc Tomasz

2013 *Szpital jako laboratorium współczesnych projektów biopolitycznych. [W:] Architektura przymusu.* Red. Ferenc T., Domański M. Łódź: ASP im. W. Strzemińskiego w Łodzi, s. 57–64.

Fijalek Jan

1962 *Instytucje pomocy materialno-zdrowotnej w Łodzi i okręgu łódzkim (wiek XIX do roku 1870)*. Łódź: Zakład Narodowy im. Ossolińskich, ŁTN.

Fitzpatrick Suzanne

2005 *Explaining homelessness: a critical realist perspective*. „Housing, Theory and Society” t. 11, nr 1, s. 1–17.

Fluehr-Lobban Carolyn

2013 *Antropologia oparta na współpracy jako etyczna antropologia XXI wieku*. „Tematy z Szewskiej” z. 1, s. 8–14.

Foucault Michel

1998a *Trzeba bronić społeczeństwa*. Warszawa: Wydawnictwo KR.

1998b *Nadzorować i karać. Narodziny więzienia*. Warszawa: Fundacja Aletheia.

2011 *Narodziny biopolityki*. Warszawa: PWN.

Frančič Mirosław

1967 *Ludzie luźni w osiemnastowiecznym Krakowie*. Wrocław: PAN.

Franta Anna

2004 *Reżyseria przestrzeni. O doskonaleniu przestrzeni publicznej miasta*. Seria „Architektura”. Monografia 309. Kraków: Politechnika Krakowska im. Tadeusza Kościuszki.

Frieske Kazimierz W.

2001 *Bezdomność: ideologie pomocy*. http://www.bratalbert.org/tl_files/brat_albert/pdf/konferencja%202001/frieske.pdf (dostęp: 4.06.2014).

br.r.w. *Dynamika koncepcji marginalizacji społecznej*. <http://www.ipiss.com.pl/polsko/konferencja2002.frieske.doc> (dostęp: 20.04.2013).

Geremek Bronisław

1989a *Litość i szubienica. Dzieje nędzy i miłosierdzia*. Warszawa: Czytelnik.

1989b *Świat „opery żebraczej”. Obraz włóczęgów i nędzarzy w literaturach europejskich XV–XVII wieku*. Warszawa: PIW.

2003 *Ludzie marginesu w średniowiecznym Paryżu XIV–XV wieku*. Poznań: Wydawnictwo PTPN.

Giddens Anthony

2002 *Nowoczesność i tożsamość. „Ja” i społeczeństwo w epoce późnej nowoczesności*. Warszawa: PWN.

2008 *Konsekwencje nowoczesności*. Kraków: WUJ.

Girard Chris

- 1993 *Age, gender, and suicide: a cross-national analysis*. „American Sociological Review” t. 58, nr 4 s. 553–574.

Giroux Henry, Purpel David (red.)

- 1983 *The hidden curriculum and moral education*. Berkeley, California: McCutchan Publishing Corporation.

Glasser Irene, Bridgman Rae

- 1999 *Braving the street. The anthropology of homelessness*. New York: Berghahn Books.
- 2004 *International perspectives on homelessness*. [W:] *Encyclopedia of homelessness*. T. 1. Red. Levinson D. Thousand Oaks–London: SAGE, s. 239–244.

Gloger Zygmunt

- 1901 *Dziad*. [W:] idem. *Encyklopedia staropolska*. T. 2. Warszawa: Druk Piotra Laskuera i S-ki, s. 93.
- 1903 *Żebractwo w Polsce*. [W:] idem. *Encyklopedia staropolska*. T. 4. Warszawa: Druk Piotra Laskuera i S-ki, s. 514.

Goffman Erving

- 2005 *Piętno. Rozważania o zranionej tożsamości*. Gdańsk: GWP.
- 2011 *Instytucje totalne. O pacjentach szpitali psychiatrycznych i mieszkańcach innych instytucji totalnych*. Sopot: GWP.

Goody Jack

- 2012 *Człowiek, pismo, śmierć. Rozmowy z Pierrem-Emmanuellem Dauzat*. Warszawa: WUW.

Grabowski Marian

- 1998 *Istotne i nieistotne w nauce. Szkice z aksjologii nauki*. Toruń: Wydawnictwo Rolewski.

Greenwood Davydd J.

- 2012 *Action research, czyli o badaniach w działaniu*. [W:] *Badania jakościowe. Podejścia i teorie*. T. 1. Red. Jemielniak D. Warszawa: PWN, s. 115–140.

Grotowska-Leder Jolanta

- 2002 *Fenomen wielkomiejskiej biedy. Od epizodu do underclass*. Łódź: WUŁ.

Hall Edward

- 1997 *Ukryty wymiar*. Warszawa: Wydawnictwo Literackie MUZA S.A.

Haraway Donna

- 2008** *Wiedze usytuowane. Kwestia nauki w feminizmie i przywilej ograniczonej/częściowej perspektywy*. <http://www.ekologiasztuka.pl/pdf/f0062haraway1988.pdf> (dostęp: 10.09.2010).

Harwas-Napierała Barbara

- 2001** *Modele ról płciowych i ich psychologiczne konsekwencje dla małżeństwa i rodziny*. [W:] *Małżeństwo: męskość, kobiecość, miłość, konflikt*. Red. Liberska H., Matuszewska M. Poznań: Wydawnictwo Humaniora, s. 75–94.

Hastrup Kirsten

- 2008** *Droga do antropologii. Między doświadczeniem a teorią*. Kraków: WUJ.

Heszen-Niejodek Irena

- 2000** *Teoria stresu psychologicznego i radzenia sobie*. [W:] *Psychologia. Podręcznik akademicki*. T. 3: *Jednostka w społeczeństwie i elementy psychologii stosowanej*. Red. Strelau J. Gdańsk: GWP, s. 465–492.

Heidegger Martin

- 1977** *Budować, mieszkać, myśleć*. [W:] idem. *Budować, mieszkać, myśleć. Eseje wybrane*. Warszawa: Czytelnik, s. 316–334.

Hryciuk Renata H., Korolczuk Elżbieta (red.)

- 2012** *Pożegnanie z Matką Polką? Dyskursy, praktyki i reprezentacje macierzyństwa we współczesnej Polsce*. Warszawa: WUW.

Ihnatowicz Ewa

- 1997** *Kiedy kamienica jest a kiedy nie jest domem*. [W:] *Obraz domu w kulturach słowiańskich*. Red. Dąbek-Wirgowa T., Makowiecki A. Z. Warszawa: UW, Wydział Polonistyki, s. 89–95.

Ilnicki Rafał

- 2002** *O sposobach posługiwania się stechnicyzowanym ciałem*. „Studia Kulturoznawcze” nr 1 (2), s. 43–52. <https://repozytorium.amu.edu.pl/jspui/handle/10593/7505> (dostęp: 29.07.2014).

Informacja dotycząca problematyki bezdomności...

- 2013** *Informacja dotycząca problematyki bezdomności na terenie województwa warmińsko-mazurskiego. Stan na dzień 31 grudnia 2012 r.* Olsztyn: Urząd Marszałkowski Województwa Warmińsko-Mazurskiego. Regionalny Ośrodek Polityki Społecznej. http://wrota.warmia.mazury.pl/archiwum/images/stories/stories_2011/ROPS/Pliki/rops_1/w_artykolach/2013/bezdomnosc/2013_02/bezdomno_wg_stanu_na_31_grudnia_2012.pdf

Jackson Philip W.

1968 *Life in classrooms*. New York: Holt, Rinehart and Winston.

Janiak Agnieszka

2012 *Zgiełk jako tworzywo nauki. Obrona przyczynkarstwa (?)* [W:] *Przestrzeń zgiełku. Przestrzenie wizualne i akustyczne człowieka. Antropologia audiowizualna jako przedmiot i metoda badań*. T. 3. Red. Harbanowicz J., Janiak A. Wrocław: Wydawnictwo Naukowe Dolnośląskiej Szkoły Wyższej, s. 213–215.

Janowski Andrzej

1995 *Uczeń w teatrze życia szkolnego*. Warszawa: Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne.

Jewdokimow Marcin

2007 *Wyprowadzka z punktu widzenia koncepcji wcielania*. „Kultura i Społeczeństwo” nr 1, s. 117–131.

2011 *Zmiany społecznych praktyk zamieszkania*. Warszawa: Wydawnictwo UKSW.

Kafar Marcin P.

2014 *W świecie wygnańców, wdów i sierot. O pewnym wariacie antropologii zaangażowanej*. Łódź: WUŁ.

Kaniowska Katarzyna

2013 *Antropologie problemowe – nowy krok rozwoju naszej dyscypliny? Wprowadzenie*. „Lud” t. 97, s. 133–156.

Karczewski Leszek

2013 *Prowokacja wobec konserwatywnego oka. Performans osób z niepełnosprawnościami*. [W:] *Performans, performatywność, performer. Próby definicji i analizy krytyczne*. Red. Bal E., Świątkowska W. Kraków: WUJ, s. 203–211.

Kaufmann Jean-Claude

2004 *Ego. Socjologia jednostki. Inna wizja człowieka i konstrukcji podmiotu*. Warszawa: Oficyna Naukowa.

Kemeny Jim

1992 *Housing and social theory*. London: Routledge.

Kępski Czesław

1993 *Towarzystwa dobroczynności w Królestwie Polskim (1815–1914)*. Lublin: Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej.

King Peter

- 2004** *Private dwelling: contemplating the use of housing*. Abingdon: Routledge.
2005 *The common place: the ordinary experience of housing*. Aldershot: Ashgate.
2008 *In dwelling: implacability, exclusion and acceptance*. Aldershot: Ashgate.
2009 *Using theory or making theory: can there be theories of housing?* „Housing, Theory and Society” t. 26, nr 1, s. 41–52.

Klee Ernst

- 2012** *Auschwitz. Medycyna III Rzeszy i jej ofiary*. Kraków: TAIWPN Universitas.

Knapp Mark L., Hall Judith A.

- 2000** *Komunikacja niewerbalna w interakcjach międzyludzkich*. Wrocław: Astrum.

Kosińska-Dec Katarzyna

- 1999** *Konstrukcja i właściwości kwestionariusza do badania intymności*. „Przegląd Psychologiczny” t. 42, nr 4, s. 145–158.

Krzyżanowski Juliusz

- 1973** *Śladami wędrownych pieśniarzy. Wstęp*. [W:] *Karnawał dziadowski*. Wyb. i opr. Nyrkowski S. Warszawa: Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, s. 15–29.

Kuper Adam

- 2009** *Wymyślanie społeczeństwa pierwotnego. Transformacje mitu*. Kraków: WUJ.

Kurczewski Jacek

- 1997** *Dom i jego przeciwieństwa. Szkic zagadnienia*. [W:] *Obraz domu w kulturach słowiańskich*. Red. Dąbek-Wirgowa T., Makowiecki A. Z. Warszawa: UW, Wydział Polonistyki, s. 7–14.

Kuźma Inga B.

- 2013a** *Tematy trudne – pola minowe – tabu w badaniu naukowym. Słowo wstępne*. [W:] *Tematy trudne. Sytuacje badawcze*. Red. Kuźma I. B. Łódź: WUŁ, s. 7–11.
2013b *Wprowadzenie do antropologicznych badań wśród bezdomnych kobiet. Charakterystyka relacji dialogicznej*. [W:] *Tematy trudne. Sytuacje badawcze*. Red. Kuźma I. B. Łódź: WUŁ, s. 65–90.
2013c *Antropologia przewyżająca „hermeneutyczną niesprawiedliwość”*. Z badań w schronisku dla bezdomnych kobiet. „Lud” t. 97, s. 133–156.

Landburg Jonas

- 2008** *Alcohol and suicide in Eastern Europe*. „Centre for Social Research on Alcohol and Drugs” t. 27, s. 361–373.

Leufgen Jill, Snow David A.

2004 *Survival Strategies*. [W:] *Encyclopedia of Homelessness*. T. 2. Red. Levinson D. Thousand Oaks–London: SAGE, s. 548–555.

Lehr Urszula

2007 „Jestem głodny”. *Przestrzeń jako kontekst zdarzeń codziennych*. „Lud” t. 91, s. 207–229.

Lewis Oskar

1970 *Rodzina Martinezów. Życie meksykańskiego chłopca*. Warszawa: PIW.

1976 *Nagie życie*. Warszawa: PIW.

Lichański Jakub Z.

1997 *Dom w literaturze staropolskiej i oświeceniowej. Próba charakterystyki sposobu użycia pojęcia*. [W:] *Obraz domu w kulturach słowiańskich*. Red. Dąbek -Wirgowa T., Makowiecki A. Z. Warszawa: UW, Wydział Polonistyki, s. 15–23.

Lipski Stanisław

2010 *Zakłady dobroczynne i domy poprawy w dawnej Polsce*. Łódź: Wyższa Szkoła Edukacji Zdrowotnej.

Lofland John i in.

2009 *Analiza układów społecznych. Przewodnik metodologiczny po badaniach jakościowych*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe Scholar.

Łojewska Anna Jadwiga

2006 *Pamiętnik z dekady bezdomności*. Zakrzewo: Wydawnictwo Replika.

Łotman Jurij

1978 *Lalki w systemie kultury*. „Teksty” nr 6, s. 46–53.

Łukasik Magdalena, Jewdokimow Marcin

2012 *Niedom. Socjologiczna monografia mieszkań migracyjnych*. Warszawa: Wydawnictwo Akademickie ŻAK.

Mallett Shelley

2004 *Understanding home: a critical review of the literature*. „The Sociological Review” R. 51, nr 1, s. 62–89.

Massey Doreen B.

1994 *Space, place and gender*. Minneapolis: University of Minneapolis Press.

Marody Mirosława, Giza-Poleszczuk Anna

2004 *Przemiany więzi społecznych. Zarys teorii zmiany społecznej.* Warszawa: Wydawnictwo Naukowe Scholar.

Martuszevska Anna

1997 *Azyl czy więzienie. O domu starej panny w literaturze polskiej drugiej połowy XIX wieku.* [W:] *Obraz domu w kulturach słowiańskich.* Red. Dąbek-Wirgowa T., Makowiecki A. Z. Warszawa: UW, Wydział Polonistyki, s. 79–88.

Marszałkiewicz Jerzy Adam

2011 *Mój pamiętnik.* Wrocław: Wydawnictwo Towarzystwa Pomocy im. Św. Brata Alberta.

Masters Alexander

2007 *Stuart – życie do tyłu.* Warszawa: Wydawnictwo Książkowe Twój Styl.

Mauss Marcel

2001 *Sposoby posługiwania się ciałem.* [W:] idem. *Socjologia i antropologia.* Warszawa: Wydawnictwo KR, s. 389–413.

Mazur Elżbieta

1999 *Dobroczynność w Warszawie XIX wieku.* Warszawa: IAiE PAN.

Merleau-Ponty Maurice

2001 *Fenomenologia percepcji.* Warszawa: Fundacja Aletheia.

Michajłowa Katia

2010 *Dziad wędrowny w kulturze ludowej Słowian.* Warszawa: Oficyna Naukowa.

Miller Daniel

2008 *The comfort of things.* Cambridge–Malden: Polity Press.

Morley David

2011 *Przestrzenie domu. Media, mobilność i tożsamość.* Warszawa: NCK.

Möller-Leimkühler Anne Maria

2003 *The gender gap in suicide and premature death or: why are men so vulnerable?* „European Archives of Psychiatry and Clinical Neuroscience” nr 253, z. 1, s. 1–8.

Murphy George E.

- 1998 *Why women are less likely than men to commit suicide*. „Comprehensive Psychiatry” t. 39, nr 4, s. 165–175.

Musiał Maciej

- 2014 *Intymność i jej współczesne przemiany. Studium z filozofii kultury*. Rozprawa doktorska przygotowana w Zakładzie Filozofii Kultury Instytut Filozofii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu pod kierownictwem prof. zw. dr hab. Anny Pałubickiej, Poznań: Repozytorium UAM. <http://hdl.handle.net/10593/10852> (dostęp 18.07.2014).

Nalaskowski Filip

- 2007 *Wykluczenie społeczne jako przedmiot namysłu naukowego*. www.accept.umk.pl/publications/PDF_EN/2007FN_2.pdf (dostęp: 22.06.2014).

Neyman Elżbieta

- 1966 *Typy marginesowości w społeczeństwach i ich rola w zmianie społecznej*. „Studia Socjologiczne” nr 4, s. 35–62.

Nowakowski Artur

- 2013 *Przymus czy miłosierdzie: architektura zakładów dla obłąkanych w XIX-wiecznej Anglii i Stanach Zjednoczonych*. [W:] *Architektura przymusu*. Red. Ferenc T., Domański M. Łódź: ASP im. W. Strzemińskiego w Łodzi, s. 45–56.

Nowel-Śmigaj Anna

- 2012 *Panopticon a oligopticon. Czy strzeżone znaczy zastrzeżone?* „Architektura. Czasopismo Techniczne” R. 109, z. 1, s. 27–37.

Oakley Ann

- 1974a *Housewife*. London: Allen Lane.
1974b *The sociology of housework*. London: Martin Robertson.
1976 *Woman's work: The housewife, past and present*. New York: Random House.

Oliwa-Ciesielska Monika

- 2006 *Piętno nieprzypisania. Studium o wyizolowaniu społecznym bezdomnych*. Poznań: Wydawnictwo Naukowe UAM.

Olszewska Maria Jolanta

- 1997 *W niewoli uciekinierstwa. Literackie obrazy wojennego domu*. [W:] *Obraz domu w kulturach słowiańskich*. Red. Dąbek-Wirgowa T., Makowiecki A. Z. Warszawa: UW, Wydział Polonistyki, s. 121–130.

Orwell George

2004 *Na dnie w Paryżu i w Londynie*. Warszawa: Dom Wydawniczy Bellona.

Palak Zofia, Bujnowska Anna, Pawlak Agnieszka

2010 *Przedmowa*. [W:] *Edukacyjne i rehabilitacyjne konteksty rozwoju osób z niepełnosprawnością w różnych okresach życia*. Red. Faedem. Lublin: Wydawnictwo UMCS, s. 7–12.

Para Piotr

2012 *Przestrzeń zgielku a społeczne interakcje*. [W:] *Przestrzeń zgielku. Przestrzenie wizualne i akustyczne człowieka. Antropologia audiowizualna jako przedmiot i metoda badań*. T. 3. Red. Harbanowicz J., Janiak A. Wrocław: Wydawnictwo Naukowe Dolnośląskiej Szkoły Wyższej, s. 23–32.

Patton Eric, Appelbaum Steven H.

2003 *The case studies in management research*. „Management Research News”, t. 26, nr. 5, s. 60–71.

Payne Sarah i in.

2008 *The social construction of gender and its influence on suicide: a review of the literature*. „Journal of Men's Health” t. 5, nr 1, s. 23–35.

Perrot Michelle, Guerrand Roger-Henri

2006 *Sceny i miejsca*. [W:] *Historia życia prywatnego. Od rewolucji francuskiej do I wojny światowej*. T. 4. Red. Perrot M. Wrocław–Warszawa–Kraków: Zakład Narodowy im. Ossolińskich, s. 341–466.

Perrot Michelle, Hunt Lynn, Hall Catherin

2006 *Podniesienie kurtyny*. [W:] *Historia życia prywatnego. Od rewolucji francuskiej do I wojny światowej*. T. 4. Red. Perrot M. Wrocław–Warszawa–Kraków: Zakład Narodowy im. Ossolińskich, s. 15–98.

Perzanowski Andrzej

2009 *Odmieńcy. Antropologiczne studium dewiacji*. Warszawa: Wydawnictwo DiG.

Pietrowiak Kamil

2013 *Kłamstwo, uczciwość, zaufanie. Problemy etyczne w badaniach na temat życia osób niewidomych*. „Lud” t. 97, s. 267–290.

2014 *Etnografia oparta na współpracy. Założenia, możliwości, ograniczenia*. „Przegląd Socjologii Jakościowej” t. 10, nr 4, s. 17–36. http://przegladsocjologiijakosciowej.org/Volume28/PSJ_10_4_Pietrowiak.pdf

Pietrowiak Kamil, Tworkowska Sandra, Zdobyłak Joanna

2013 *Etnograficzny tandem, czyli na ślepo w nieznane. „Tematy z Szewskiej”* t. 2 (10), s. 25–63.

Pisarska Małgorzata

1993 *Miejskie Schronisko dla Bezdomnych Kobiet. Zasady funkcjonowania, charakterystyka zbiorowości pensjonariuszek schroniska. „Praca Socjalna”* R. 8, nr 4, s. 37–52.

Płonka-Syroka Bożena

2012 *Spółeczny ruch higieniczny w Królestwie Polskim (1863–1914) i jego rola w zapobieganiu i zwalczaniu chorób społecznych. [W:] Brud. Idee – dylematy – sprawy. Red. Sztandara M. „Stromata Anthropologica”* t. 8. Opole: Uniwersytet Opolski, s. 299–316.

Podraza-Kwiatkowska Maria

1997 *Stabilizacja czy nomadyzm? Z problematyki domu w literaturze Młodej Polski. [W:] Obraz domu w kulturach słowiańskich. Red. Dąbek-Wirgowa T., Makowiecki A. Z. Warszawa: UW. Wydział Polonistyki, s. 107–119.*

Prost Antoine

2000 *Granice i obszar prywatności. [W:] Historia życia prywatnego. Od I wojny światowej do naszych czasów. T. 5. Red. Prost A., Vincent G. Wrocław–Warszawa–Kraków: Zakład Narodowy im. Ossolińskich, s. 15–162.*

Rakowski Tomasz

2009 *Łowcy, zbieracze, praktycy niemocy – etnografia człowieka zdegradowanego. Gdańsk: Słowo/Obraz Terytoria.*

Rakowski Tomasz (red.)

2013 *Etnografia/Animacja/Sztuka. Nierozpoznane wymiary rozwoju kulturalnego. Warszawa: NCK.*

Rappaport Joanne

2013 *Poza obserwację uczestniczącą – etnografia oparta na współpracy jako innowacja teoretyczna. „Tematy z Szewskiej”* z. 1 s. 15–37.

Raś Danuta

2011 *Rodziny ubogie i przestępczość od XVI do XX wieku. Warunki życia, badania psychologiczno-społeczne, dobroczynność i wychowanie młodzieży. Kraków: Impuls.*

Reason Peter, Torbert William R.

2010 *Zwrot działaniowy. Ku transformacyjnej nauce społecznej.* [W:] *Badania w działaniu. Pedagogika i antropologia zaangażowane.* Red. Červinkova H., Gołębiak B. D. Wrocław: Wydawnictwo Naukowe Dolnośląskiej Szkoły Wyższej, s. 117–152.

Robaczyński Wojciech, Konińska Aleksandra, Wojtczak Joanna

br.r.w. *Mieszkania socjalne: dla kogo? Eksmisja i możliwości jej uniknięcia?* http://wpia.uni.lodz.pl/klinika/Programy_Pliki/stol/Mieszkania%20Socjalne.pdf (dostęp: 22.10.2014).

Rodak Mateusz

2011 *Schroniska dla bezdomnych w międzywojennej Warszawie.* „Problemy Polityki Społecznej. Studia i dyskusje” t. 11, s. 99–116.

Rozporządzenie Prezydenta RP...

1927 *Rozporządzenie Prezydenta RP z 14 października 1927 r. o zwalczaniu żebractwa i włóczęgostwa.* Dz. U. nr 92 poz. 823.

Rozporządzenie Ministra...

1929 *Rozporządzenie Ministra Pracy i Opieki Społecznej o organizacji przytułków, domów pracy dobrowolnej i zbiorowej.* Dz. U. nr 41 poz. 350.

Rudmin Lloyd Webster, Ferrada-Noli Marcello, Skolbekken John-Arne

2003 *Questions of culture, age, and gender in the epidemiology of suicide.* „Scandinavian Journal of Psychology” t. 44, s. 373–381.

Rybczyński Witold

1996 *Dom. Krótka historia idei.* Gdańsk–Warszawa: Wydawnictwo Marabut, Oficyna Wydawnicza VOLUMEN.

Rzepkowska Aleksandra

2012 *A biographical perspective on taming disability. An anthropological case study.* „Physiotherapy” nr 2, s. 50–60.

2013 *W mieście i na wsi. O doświadczaniu przestrzeni w autyzmie – rekonesans antropologiczny.* [W:] *Nie tylko o wsi... Szkice humanistyczne dedykowane Profesor Marii Wieruszewskiej-Adamczyk.* Red. Kasprzyk D. Łódź: WUŁ, s. 347–372.

Sacuk Alesia

2010 *Życiowe sytuacje kryzysu: fenomenologia, typy oraz wewnętrzne konflikty,* „Przedsiębiorczość i Zarządzanie” t. 11, z. 1, s. 61–70.

Sayer Andrew

1992 *Method in social science: a realist approach*. London: Routledge.

Schmidt Dariusz

2009 *Zachowania proksemiczne i zatłoczenie a funkcjonowanie zamkniętych instytucji resocjalizacyjnych*. „Prace Instytutu Profilaktyki Społecznej i Resocjalizacji” t. 14, s. 89–125.

Segal Lynne (red.)

1983 *What is to be done about the family?* Harmondsworth: Penguin in association with the Socialist Society.

Shusterman Richard

2010 *Świadomość ciała. Dociekania z zakresu somaestetyki*. Kraków: TAIWPN Universitas.

Skłodowski Henryk

2010 *Psychologiczne wyzwania kryzysu*. „Przedsiębiorczość i Zarządzanie” t. 11, z. 1, s. 9–22.

Skowrońska Marta

2012 *Zamieszkiwanie a komfort. Co oznacza „czuć się u siebie” i jak to badać?* [W:] *Między rutyną a refleksyjnością. Praktyki kulturowe i strategie życia codziennego*. Red. Maślanka T., Strzyczkowski K. Warszawa: WUW, s. 219–234.

Skórzyńska Agata

2013 *Kto potrzebuje współ-badań? (Participatory) action research jako projekt emancypacji (intelektualistów)*. „Kultura Współczesna. Teoria. Interpretacje. Praktyka” nr 2 (77), s. 95–111.

Somerville Peter

1992 *Homelessness and the meaning of home: rooflessness or rootlessness?* „International Journal of Urban and Regional Research” t. 16, s. 529–539.

Stanisz Agata

2011 *Emocje i intymność w antropologicznym badaniu procesie badawczym. Problemy z tożsamościami*. [W:] *Teren w antropologii. Praktyka badawcza we współczesnej antropologii kulturowej*. Red. Buliński T., Kairski M. Poznań: Wydawnictwo Naukowe UAM, s. 181–208.

Stankiewicz Leszek

- 2002** *Zrozumieć bezdomność. Aspekty polityki społecznej.* Olsztyn: Wydawnictwo Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego.

Stenka Rafał, Olech Piotr, Browarczyk Łukasz (red.)

- 2014** *Podręcznik. Model gminny standard wychodzenia z bezdomności.* Gdańsk: Pomorskie Forum na rzecz Wychodzenia z Bezdomności.

Strasburger Edward

- 1915** *Wielkomijska polityka społeczno-gospodarcza ze szczególnem uwzględnieniem miast w Anglii i w Niemczech.* Warszawa: Skład główny w Księgarni Gebethnera i Wolffa.

Surmiak Adrianna

- 2010a** *W sieci kłamstw i zamęcie ról społecznych. Dylematy etyczne związane z prowadzeniem badań w środowisku prostytutek ulicznych.* [W:] *Etyczne problemy badań antropologicznych.* Red. Kaniowska K., Modnicka N. „Łódzkie Studia Etnograficzne” t. 49. Wrocław–Łódź, s. 165–183.
- 2010b** *Zaangażowany antropolog. O potrzebie granic.* [W:] *Antropologia zaangażowana (?)* Red. Wróblewski F., Sochacki Ł., Steblik J. „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Jagiellońskiego. Prace Etnograficzne” nr 38. Kraków: WUJ, s. 179–186.

Szluz Beata

- 2010a** *Świat społeczny bezdomnych kobiet.* Warszawa–Rzeszów: „Bonus Liber”.
- 2010b** *Bezdomność w opinii mieszkańców bloków socjalnych.* „Seminare. Poszukiwania Naukowe” z. 28, s. 113–124.
- 2012** *Piętno nieprzypisania – o pomocy i tolerancji (?) wobec innego.* [W:] *Disputationes Quodlibetales. Humanizmus et tolerancia.* Red. Danacák P., Šoltés R., Hruška D. Prešov: Prešovská univerzita v Prešove, Gréckokatolícka teologická fakulta, Katedra filozofie a religionistiky, s. 59–73.

Świątkiewicz Aleksandra

- 2011** *Praca w domu w świetle wcześniejszych badań.* [W:] *Kobiety pracujące w domu o sobie. Analiza wywiadów pogłębionych na temat nieodpłatnej pracy domowej.* Opr. Goś-Wójcicka K. Łódź: ISO, s. 11–24. http://domtopraca.pl/wp-content/uploads/2012/01/raport_PWD_ebook.pdf

Tarkowska Elżbieta

- 2004** *Bliżej biednego – doświadczenia i potrzeby badawcze.* www.ekologiaisztuka.pl/pdf/Tarkowska_Bliżej%20biednego_2004.pdf (dostęp: 22.06.2014).

- 2012** *Subiektywny wymiar ubóstwa*. [W:] *Polska bieda w świetle Europejskiego Roku Walki z Ubóstwem i Wykluczeniem Społecznym*. Red. Kubiak H. E. Kraków: Krakowskie Towarzystwo Edukacyjne, s. 199–138.

Tarkowski Zbigniew

- 2008** *Zapobieganie przemocy w domach pomocy społecznej. Konferencja szkoleniowa, Kazimierz Dolny, 4–6 czerwca 2008*. http://www.fundacja.orator.pl/pliki/maerialy/szkoleniowe_kaziemirz_2008.pdf (dostęp: 30.04.2014).

Toro Paul A., Janisse Heather C.

- 2004** *Patterns of homelessness*. [W:] *Encyclopedia of homelessness*. T. 1. Red. Levinson D. Thousand Oaks–London: SAGE, s. 244–250.

Tuan Yi-Fu

- 1987** *Przestrzeń i miejsce*. Warszawa: PIW.

Trzebiński Jerzy

- 2001** *Narracyjne konstruowanie rzeczywistości*. [W:] *Narracja jako sposób rozumienia świata*. Red. Trzebiński J. Gdańsk: GWP, s. 17–42.

Ustawa o opiece...

- 1923** *Ustawa o opiece społecznej z 16 sierpnia 1923 r.* Dz. U. nr 92 poz. 726.

Ustawa o pomocy...

- 2004** *Ustawa o pomocy społecznej z 12 marca 2004 r.* Dz. U. nr 64 poz. 593.

Walzer Michael

- 2007** *Sfery sprawiedliwości. Obrona pluralizmu i równości*. Warszawa: WUW.

Wardhaugh Julia

- 1999** *The unaccommodated woman: home, homelessness and identity*. „The Sociological Review” t. 47, nr 1, s. 91–109.

Warzywoda-Kruszyńska Wielisława

- 2013** *Ciągłość i zmiana w łódzkich enklawach biedy*. Łódź: WUŁ.

Wierciński Hubert

- 2010** *Nowotwór i technika medyczna w narracjach „ocalonych” pacjentów – na przykładzie chemio- i radioterapii*. [W:] *Nie czas chorować? Zdrowie, choroba i leczenie w perspektywie antropologii medycznej*. Red. Penkala-Gawęcka D. Poznań: Wydawnictwo Telgte, s. 159–175.

- 2012** *Amazonki na wojennej ścieżce – w jaki sposób narracją o działaniu i działaniem o charakterze narracji można pokonać raka?* [W:] *W zdrowiu i chorobie... Z badań antropologii medycznej i dyscyplin pokrewnych*. Red. Penkala-Gawęcka D., Main I., Witeska-Młynarczyk A. Poznań: Wydawnictwo Telgte, s. 77–92.
- 2013a** *Antropologiczne studium zmiany w relacjach pacjentów chorych onkologicznie*. „Etnografia Polska” t. 57, z. 1–2, s. 145–170.
- 2013b** *Dom spokojnej starości? Piętno i wykluczenie w Domu Pomocy Społecznej „Architekci” w Warszawie*. [W:] *Etnograficzne wędrówki po obszarach antropologii. Tom w darze dla Profesora Lecha Mroza*. Red. Smyrski Ł., Waszczyńska K. Warszawa: Wydawnictwo DiG, s. 439–450.

Wosińska Małgorzata

- 2009** *Do kogo należy ta ziemia? Postrzeganie, wyobrażanie i doświadczenie grobów masowych przez mieszkańców Ponar. Próba kategoryzacji*. [W:] *Materiały z X Międzynarodowej Interdyscyplinarnej Sesji Studentów Archeologii pt. Współczesna Przeszłość*. Poznań: Wydawnictwo KNSA, s. 79–96.
- 2013** *Murambi to nie Auschwitz*. [W:] *Obóz-muzeum. Trauma we współczesnym wystawiennictwie*. Red. Fabiszak M., Owsiniński M. Kraków: TAIWPN Universitas, s. 215–230.

Värnik Andrus i in.

- 2008** *Suicide methods in Europe: a gender-specific analysis of countries participating in the „European Alliance Against Depression”*. „Journal of Epidemiology and Public Health” t. 62, nr 6, s. 545–551.

Zacharska Jadwiga

- 1997** *Dom rodzinny – raj utracony czy porzucony?* [W:] *Obraz domu w kulturach słowiańskich*. Red. Dąbek-Wirgowa T., Makowiecki A. Z. Warszawa: UW. Wydział Polonistyki, s. 97–106.

Zachwatowicz-Wajda Krystyna, Komorowska Małgorzata

- 2010** *O bezdomności*. [W:] *Dom zredukowany. Bezdomność w sztuce współczesnej*. Częstochowa: Miejska Galeria Sztuki w Częstochowie, s. 6–7.

Zadrożyńska Anna

- 1992** *Ludzie i przestrzeń domowa – przyczynek do antropologii schronienia*. [W:] *Dom we współczesnej Polsce*. Red. Łukasiewicz P., Siciński A. Wrocław: Wiedza o kulturze, s. 35–41.

Zalewska Joanna

- 2009** *Stary człowiek w kulturze młodości. Doświadczenie starości wśród warszawskich seniorów. Rozprawa doktorska napisana pod kierunkiem prof. dr hab. Elżbiety Tarkowskiej.* Szkoła Nauk Społecznych Instytut Filozofii i Socjologii Polska Akademia Nauk. Warszawa. 40 201 09 12 15 09 06_Joanna_Zalewska Stary człowiek_pr. doktorska.doc (dostęp: 26.04.2014).

Zbyrad Teresa

- 2012** *Instytucje opieki totalnej jako forma zniewolenia i kontroli nad człowiekiem potrzebującym pomocy – na przykładzie domów pomocy społecznej.* „Roczniki Nauk Społecznych” t. 4 (40), nr 2, s. 51–69.

Zeidler-Janiszewska Anna

- 2006** *Visual Culture Studies czy antropologicznie zorientowana Bildwissenschaft? O kierunkach zwrotu ikonicznego w naukach o kulturze.* „Teksty Drugie” nr 4, s. 9–29.

Zwolan Agata

- 1997** *Aksjologia domu zesłańczego.* [W:] *Obraz domu w kulturach słowiańskich.* Red. Dąbek-Wirgowa T., Makowiecki A. Z. Warszawa: UW. Wydział Polonistyki, s. 37–46.

Zwoliński Piotr

- 2006** *Działalność społeczno-dobroczynna Kościoła łódzkiego w okresie międzywojennym.* Łódź: Archidiecezjalne Wydawnictwo Łódzkie.

Źródła internetowe:

- <https://fonosferra.wordpress.com/author/kamilpietrowiak> (dostęp: 11.12.2014)
- <http://po-omacku.klangoblog.net/2012/11/15/slowo-wprowadzenia/#comments> (dostęp: 11.12.2014)
- <http://www.mops.lodz.pl/index.php/akcja-liczenia-ludzi-bezdomnych-podsumowanie> (dostęp: 22.01.2014)
- <http://www.rp.pl/artukul/978643.html> z 7.02.2013 (dostęp: 23.01.2014)
- <http://www.europarl.europa.eu/sides/getDoc.do?pubRef=-//EP//NON-SGML+TA+P7-TA-2011-0383+0+DOC+PDF+V0//PL> (dostęp: 27.01.2014)
- <http://www.misja.com.pl/wp-content/uploads/2013/11/Stanowisko-KMPS-liczenie-ludzi-bezdomnych.pdf> (dostęp: 24.01.2014)
- http://www.mpips.gov.pl/gfx/mpips/userfiles/File/Departament%20Pomocy%20Spoecznej/BEZDOMNOSC_diagnoza%2010%2011%202010.pdf (dostęp: 24.01.2014)
- <http://synonim.net/synonim/bezdomno%C5%9B%C4%87> (dostęp: 27.01.2014)
- <http://thesaurus.com/browse/homeless> (dostęp: 27.01.2014)
- <http://biznes.pwn.pl/haslo/3876751/bezdomnosc.html> (dostęp: 27.01.2014)
- <http://biznes.pwn.pl/index.php?module=haslo&id=3934666> (dostęp: 27.01.2014)
- <http://www.macmillandictionary.com/thesaurus-category/british/The-homeless-and-homelessness> (dostęp: 27.02.2014)
- <http://www.bezdomnosc.edu.pl/content/view/19/71/> (dostęp: 30.05.2014)
- http://www.bratalbert.wroc.pl/index.php?option=com_content&view=category&layout=blog&id=116&Itemid=60&lang=pl (dostęp: 5.06.2014)
- <http://www.feantsa.org> (dostęp: 5.01.2010)
- <http://statystyka.policja.pl/st/wybrane-statystyki/samobojstwa> (dostęp: 12.03.2013)
- <http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,96856,1169610.html> (dostęp: 7.04.2010)
- <http://www.bratalbert.org/projekty.html> (dostęp: 8.03.2015)
- <http://www.kielce.caritas.pl> (dostęp: 9.03.2015)
- <http://wpis.irss.pl/gminny-standard-wychodzenia-z-bezdomnosci/> (dostęp: 7.03.2015)
- <http://www.monar.org/content/pliki/> (dostęp: 7.03.2015)

Homes of the Homeless. On Studying Crisis Situations

This book deals with homelessness and the image of home as experienced and expressed by the men and women who are affected by the crisis of homelessness and live in specialized institutions in Łódź. Even though only two selected institutions are presented, the author draws from her long-standing research conducted in such places. Her research is based on the paradigm of anthropology/ethnography in action, whose branch is known as collaborative anthropology.

In the book, the author highlights the methodological, theoretical and ethical issues which relate to the work of the action-research and collaboration paradigm, where the research areas are night shelters and dosshouses for homeless people. These above-mentioned sites are a kind of total institution. The author's interest is focused on the *hidden curriculum* which drives the idea of aiding and living of those benefiting from the aid. The *hidden curriculum* underlies the spatial organization of the centres, their rhythm of life, including the hygiene-oriented approach and panoptism, the approach of staff to their "clients" and self-image of people residing there. The researcher proposes the concept of "home imitations" to describe the practices of living therein which are both adopted by and promoted to the residents. She also provides an explanation of the meaning and purpose of such behaviours. Furthermore, the book organizes the concepts associated with ideas and images of home and homelessness, which prevail in culture and in social sciences and humanities.

The author presents her own experience in carrying out research in total institutions and, above all, she focuses on describing and interpreting 11 stories of people from homeless centres (six relations of women and five stories of men) who speak about the ups and downs of their lives and about how they have experienced homelessness. The researcher draws her attention on the stereotypically idealised image of home, which shows its real face when it is seen as a social construct, taking into account the gender perspective as well as other cultural and individual contexts.

The author of this book is engaged in the activities of the group *Łódzkie Partnerstwo Pomocy Osobom Wykluczonym i Bezdomnym*, aimed at the homeless and socially-excluded people in Łódź and involved in the networking of institutions, associations and people dealing with homelessness. The group also runs its own campaigns and actions, including educational ones. For that reason Inga B. Kuźma's book has an extra dimension: in addition to being a research paper, it can be treated as a report diagnosing the current state of affairs, and at the end contains the recommendations on changing the existing aid policy. These recommendations, which have been developed by the Łódź partnership, draw from the experience of other similar groups operating in Poland and abroad.